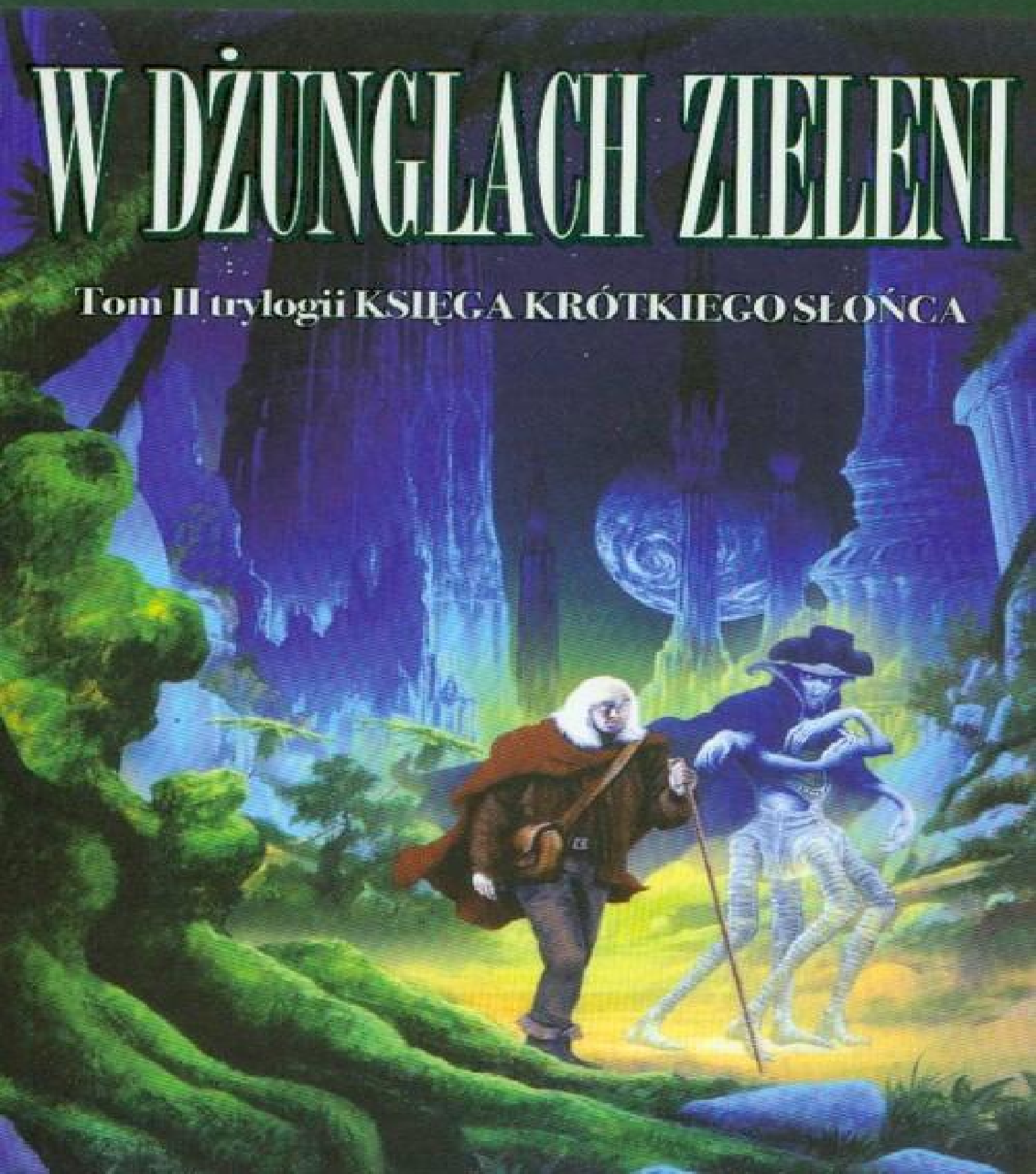


GENE WOLFE

W DŻUNGLELACH ZIELENI

Tom II trylogii KSIĘGA KRÓTKIEGO SŁOŃCA



GENE WOLFE

W DŻUNGLACH
ZIELENI
(IN GREEN'S JUNGLE)

KSIĘGA KRÓTKIEGO SŁOŃCA (TOM: II)

Przełożył Wojciech Szypuła

Wydawnictwo
MAG

MAG: 2006

Spis treści

Karta tytułowa	
Dedykacja	
Imiona i nazwy własne występujące w tekście	
Dwudziesty siódmy dzień mobilizacji	
1 Nowy początek	
2 Opowieści przed kolacją	
3 Wspomnienie matki: Zza grobu	
4 Moja historia: Człowiek z czarnym mieczem	
5 W dżungli Zieleni	
6 Zgadywanki	
7 Drugie opowieści	
8 Moja druga opowieść: Człowiek, który wrócił	
9 Druga opowieść Favy: Dziewczynka z Zieleni	
10 Naturalne talenty	
11 Wyprawa wojenna	
12 Wymiana jeńców	
13 Ucieczka na Zieleń	
14 Duko Rigoglio	
15 Przed bitwą	
16 Młodzieniec z południa	
17 Bitwa o Blanko	
18 Koniec — i co dalej	
19 Powiedz „ojcze”	
20 Z powrotem na polu bitwy	
21 Czerwone słońce	
22 Barbakan i Wieża Niedźwiedzia	
23 Dlaczego inhumni są do nas podobni?	
24 Wioska Ściągna	
25 Bóg Błękitu	

Dla Maddie i Becki z szacunkiem

Imiona i nazwy własne występujące w tekście

Wiele osób i wiele miejsc, które pojawiają się w tej książce, występowało już w „Księżdzie długiego słońca”, do której odsyłamy Czytelnika. W zamieszczonym tu spisie najważniejsze nazwy i imiona wyróżniono WERSALIKIEM.

Pułkownik Abanja — szefowa wywiadu w służbie generalissimus Siyuf.

Acalypha — żona Alki. Razem udali się na ZIELEŃ.

Kapitan Adatta — najważniejsza podwładna ENCANTO w bitwie o BLANKO.

Affito — woźnica INCLITO.

ALGA — jednoręka kobieta, którą RÓG zostawił w Pajarocu.

Alka — złodziej stojący na czele grupy kolonistów, która udała się z VIRONU na ZIELEŃ.

Atteno — gospodarz INCANTO w BLANKO, właściciel sklepu papierniczego.

Babbie — hus, którego RÓG dostał w prezencie od Pleśni.

Badour — strażnik, który schodzi z posterunku, aby zaprowadzić INCANTO, SKÓRĘ, JAHLEE, MOREĘ i pozostałych do oficera.

Bala — żona ŚCIEGNA.

Pułkownik Bello — oficer w ordzie BLANKO.

BLANKO — miasto na BŁĘKICIE założone przez kolonistów z Grandecitta.

BŁĘKIT — lepsza z dwóch nadających się do zamieszkania planet w układzie KRÓTKIEGO SŁOŃCA.

Bricco — chłopczyk, którym opiekowała się FAVA.

Bruna — potulny muł należący do INCLITO.

Cantoro — kupiec z BLANKO.

Porucznik Carabin — oficer najemników.

Casco — zazdrosny zalotnik sprzed lat.

Chaku — najemnik z Gaonu.

Comus — pomniejszy bóg, trefniś Paha.

Cugino — drwal, który sporządził kostur dla INCANTO.

Cuoio — imię, pod którym SKÓRA jest znany w BLANKO.

Decina — kucharka w domostwie INCLITO.

Dentro — młody mężczyzna, który dawno temu zakochał się w stredze.

Eco — jeden z posłańców wybranych przez INCLITO.

FAVA — gość INCLITO, towarzysza zabaw MORY.

Gagliardo — astronom z SOLDI.

Gaon — duże, kwitnące miasto, leżące na południowy wschód od BLANKO.

Gioioso — jeden z nieszczęsnych małżonków Saliki.

Gorak — sierżant najemników.

Grandecitta — miasto we WHORLU DŁUGIEGO SŁOŃCA, w krainach niebios.

Hiacynt — piękna Vironka, żona JEDWABIA.

Hierax — bóg śmierci we WHORLU DŁUGIEGO SŁOŃCA.

INCANTO — imię, pod którym dawny rajan Gaonu jest znany w BLANKO (także imię starszego brata INCLITO, zmarłego w dzieciństwie).

INCLITO — najbardziej wpływowy obywatel BLANKO.

JAHLEE — pierwszy inhumi ocalony przez INCANTO i Wieczorną Pieśń.

JASZCZURKA — wyspa leżąca na północ od NOWEGO VIRONU, na której stoi papiernia ROGA.

Patere JEDWAB — calde VIRONU w czasie, gdy koloniści odlatywali na BŁĘKIT; nazywany także calde JEDWABIEM.

Kam — syn ŚCIĘGNA. Ma dwa lata.

Krait — inhumi, który wyciągnął ROGA z jamy w ziemi.

KRÓTKIE SŁOŃCE — gwiazda, której wzejście na niebo rozpoczyna nowy dzień na BŁĘKICIE i ZIELENI. Wokół niej orbituje „WHORL”.

Kapitan Kupus — dowódca najemników.

Patere Kwezal — od dawna nieżyjący inhumi, w swoim czasie prolokutor VIRONU.

Legaro — ambasador Novella Citta.

Maliki — tytuł wodza wioski ŚCIEGNA, tu używany jako kobiece imię własne.

Mamelta — śpiąca obudzona przez Pleśń i uratowana przez JEDWABIA.

Mano — młody i popularny żołnierz ordy BLANKO.

Maytere Marmur — dawna sybilla, która towarzyszyła kolonistom w podróży na BŁĘKIT, gdzie wróciła do swojego dawnego powołania. Jest chemem.

Matka — bogini morza na BŁĘKICIE, podobna do Scylli.

Mistrz Miecznik — stary nauczyciel szermierki z VIRONU.

Maytere Mięta — bohaterka rewolucji w VIRONIE, znana również jako „generał Mięta”.

MORA — nastoletnia dziewczyna, córka INCLITO.

Generał Morello — dowódca ordy SOLDÓ.

Nadar — szaleniec z wioski ŚCIEGNA.

Nadi — rzeka przepływająca przez Gaon.

Novella Citta — małe miasto leżące nieopodal SOLDÓ.

NOWY VTRON — miasto na BŁĘKICIE, założone przez kolonistów z VIRONU.

Oliwin — młody chem z VIRONU, niepełnosprawna córka Marmur i Pięściaka.

Olmo — małe miasto leżące nieopodal SOLDÓ.

Onorifica — służąca, pomoc kuchenna w domostwie INCLITO.

OREB — nocny kruk, ptak INCANTO.

Pah — ojciec bogów WHORLA DŁUGIEGO SŁOŃCA.

Pajarocu — widmowe miasto na zachodnim kontynencie BŁĘKITU.

Pająk — viroński łowca szpiegów.

Perito — robotnik zatrudniony na farmie INCLITO.

Kapral Pięściak — żołnierz armii VIRONU.

Pismo Chrasmologiczne — święta księga VIRONU.

Pleśń — kobieta obdarzona mocami nadprzyrodzonymi, wnuczka Marmur.

Patere Płetwa — wiekowy, od dawna nieżyjący augur z Vironu.

Pokrzywa — żona ROGA, matka ŚCIĘGNA, Racicy i SKÓRY.

Poliso — zagraniczne miasto leżące nieopodal BLANKO.

Qarya — wioska ŚCIĘGNA na ZIELENI.

Quadrifons — jeden z aspektów ZEWNĘTRZNEGO we WHORLU DŁUGIEGO SŁOŃCA.

Racica — brat SKÓRY, jeden z synów-bliźniaków ROGA.

RAJAN — tytuł przysługujący władcom Gaonu, tu często używany jako imię własne.

Patere Remora — głowa Odłamu Obrządku Virońskiego na BŁĘKICIE.

Diuk Rigoglio — władca SOLDO.

Rimando — jeden z posłańców wybranych przez INCLITO.

Szeregowy Rimo — żołnierz ordy BLANKO.

RÓG — papiernik z NOWEGO VIRONU, któremu polecono sprowadzić JEDWABLA na BŁĘKIT.

Salica — starsza kobieta, matka INCLITO.

Sąsiedzi — nazwa rodowitych rozumnych mieszkańców BŁĘKITU, używana na zachodnim kontynencie. Inaczej: Zaginiony Lud.

Sborso — robotnik na farmie INCLITO.

Schiamazza — starsza służąca w domu rodzinnym Saliki.

Scylla — bogini z WHORLA DŁUGIEGO SŁOŃCA, patronka VIRONU, często nawiedzająca INCANTO w snach (także potwór morski z whorla czerwonego słońca).

Kapitan Sfido — oficer z SOLDO.

Shauk — syn ŚCIEGNA. Ma trzy lata.

Generalissimus Siyuf — dowódca ordy Trivigaunte.

Sklerodermia — kolonistka z VIRONU, obecnie już nie żyje.

SKÓRA — jeden z synów-bliźniaków ROGA.

Dzielnica Słońca — dzielnica, w której znajdował się manteion JEDWABIA.

SOLDO — największe z miast założonych przez kolonistów z Grandecitta.

Solenno — jeden z nieszczęsnych małżonków Saliki.

Szpik — wpływowy obywatel NOWEGO VIRONU.

ŚCIĘGNO — najstarszy syn ROGA. Przybył za ojcem do Pajarocu.

Świnia — przyjaciel INCANTO we WHORLU DŁUGIEGO SŁOŃCA.

Pułkownik Terzo — oficer z SOLDO.

Thelxiepeia — bogini z WHORLA DŁUGIEGO SŁOŃCA.

Torda — służąca INCLITO.

Tnvigaunte — miasto, które wtrąciło się do rewolucji w VIRONIE.

Turco — faworyt sprzed lat.

Ugolo — zamożny mieszczanin z BLANKO.

Urbanita — sąsiadka Volanty.

Ushujaa — pasażer lądownika, na którym RÓG przybył na ZIELEŃ.

Sierżant Valico — żołnierz ordy BLANKO.

VIRON — miasto we WHORLU DŁUGIEGO SŁOŃCA, rodzinne miasto JEDWABIA, ROGA i Pokrzywy.

Pułkownik Vivo — oficer ordy BLANKO Volanta — gospodyni INCANTO w BLANKO, żona Atteno.

Volto — niepopularny żołnierz ordy BLANKO.

Radca Wari — przełożony virońskich szpiegów.

Porucznik Warren — najemnik.

Whorl czerwonego słońca — odległa planeta, na której urodził się Rigoglio.

WHORL DŁUGIEGO SŁOŃCA — wewnątrz „WHORLA”.

„WHORL” — statek pokoleniowy, z którego przybyli koloniści.

Wieczorna Pieśń — konkubina, która ukryła się na łodzi INCANTO.

Porucznik Wight — oficer najemników.

Ulica Wody — nadrzeczny bulwar w BLANKO.

Zaginiony Lud — nazwa rodowitych rozumnych mieszkańców BŁĘKITU.
Inaczej: Sąsiedzi.

Porucznik Zepter — oficer najemników. ZEWNĘTRZNY — bóg bogów.

ZIELEŃ — gorsza z nadających się do zamieszkania planet w układzie KRÓTKIEGO SŁOŃCA.

Zitta — dawno nieżyjąca żona INCLITO i matka MORY.

Dwudziesty siódmy dzień mobilizacji

Incanto, mój drogi przyjacielu i doradco,

Olmo padło. Nie ma co do tego cienia wątpliwości. Nasi zwiadowcy wypatrzyli powiewającą nad obozem chorągiew diuka Rigoglio. Ja sam przed niespełną dwoma godzinami widziałem martwego żołnierza w fioletowo-kasztanowych barwach. Dragoni straży przybocznej już tu są, a reszta nie pozostała daleko w tyle. Stajemy mężnie, ale musicie być przygotowani na cios.

Wiem, że błagałem cię rozpaczliwie o zaopatrzenie, ale już nie będzie potrzebne. Zatrzymaj muły i poganiaczy, którzy przyszli z Rimando. Jego samego również. Tylko w ten sposób mogę ci pomóc.

Dam ci dobrą radę. Wiesz, że próbowałem ocalić farmy na północy. Dzieliliśmy się mięsem i solą, Incanto, więc posłuchaj: farm nie da się uratować. Zabierz z nich wszystko, co zdołasz, i zostaw je na pastwę losu. Siwobrodzi starcy, kobiety i chłopcy, dla których udało ci się znaleźć broń, mogą jeszcze powalczyć — albo przynajmniej pogrozić nieprzyjacielowi z wałów — ale jeśli ruszysz z nimi na północ, kawaleria diuka w pół godziny rozniesie was w pył. Cokolwiek by się działo, nie wypuszczaj ich z miasta. Pokaż diukowi Rigoglio, że nie jesteś bezbronny, ogłoś zawieszenie broni i przyjmij zaproponowane przez niego warunki rozejmu.

Jeżeli będziesz miał wieści na temat Mory, napisz niezwłocznie.

Jeśli zginę, zaopiekuj się moją matką, Tordą i Onorificą. I nie oplakuj swojego źle wychowanego przyjaciela.

Inclito

Pamiętaj szczególnie o Tordzie i mojej matce. I.

1

Nowy początek

Znów mam papier, a w małej buteleczce zostało jeszcze sporo atramentu. Jestem zresztą przekonany, że właściciel sklepu dostarczyłby mi więcej, gdybym go o to poprosił. To zdumiewające, jak wiele może znaczyć jedna mama libra papieru dla człowieka, który wytwarzał ogromne jego ilości.

To miasto ma mury obronne. Nigdy przedtem nie byłem w mieście, które byłoby obwiedzione murem. Nie jest to wysoki mur — widywałem wyższe, znacznie wyższe — ale za to otacza całe miasto, z wyjątkiem tych dwóch miejsc, w których rzeka wpływa do miasta i z niego wypływa.

Wydaje mi się, że nie jest to ta sama rzeka, którą mieliśmy na południu; ta płynie szybko i cicho, chociaż niewykluczone, że miejski hałas po prostu zagłusza jej odgłosy. Woda jest ciemna, jakby rozgniewana.

Nasza leniwa południowa rzeka zawsze się uśmiechała, a czasem śmiała w głoś; przeskakując przez głazy, odsłaniała koronkową halkę z białej piany. Żyły w niej krokodyle — a w każdym razie istoty, które my nazywaliśmy krokodylami: smukłe szmaragdowe jaszczury o połyskliwych ciałach, ośmiu łapach i paszczach jak potrzask na dzikie zwierzęta. Zdawały

się równie rozleniwione jak sama Nadi, kiedy wylegiwały się na słońcu i tylko ich niebieskie, rozwidlone języki wysuwały się z paszcz i znikwały jak małe płomyki. Nie sądzę, aby nasze krokodyle były takie same jak te we „Whorlu”, chociaż całkiem możliwe, że każde podobne do nich zwierzę zasługuje na tę nazwę. Tak jak „ptaki” bywają rozmaite.

A skoro o ptakach mowa, to powinienem napisać, że Oreb cały czas jest przy mnie: zazwyczaj przesiaduje mi na ramieniu albo — jeszcze chętniej — na czubku mojego kostura.

Przed przybyciem do miasta wyprałem ubranie w rzece. Widziałem parę ryb, ale ani jednego krokodyla.

Kostur zrobił mi pewien drwal. Pamiętam, że miał na imię Cugino. Nigdy nie spotkałem równie dobrodusznego człowieka; nikt też nie był tak jak on życzliwy mnie, obcemu. Bardzo się ucieszyłem na jego widok, bo od wielu dni nie widziałem żywej duszy. Pomogłem mu objuczyć osła i poprosiłem, żeby pożyczył mi siekierę, to wytnę sobie kostur. (Wcześniej próbowałem wyciąć i obrobić laskę azothem, o czym Cugino nie wspomniałem. Niestety, azoth siekł drewno w drzazgi).

Nawet nie chciał o tym słyszeć: przecież to on, Cugino, był największym autorytetem, jeśli chodziło o laski i kostury wszelkiej maści. Wszyscy w wiosce przychodzili do niego — i do nikogo innego. Sam wytnie mi kostur; osobiście wybierze gałąź i odpowiednio ją obrobi.

— Wszystkim się zajmę: stosowne drewno, właściwa wysokość, uchwyt w dobrym miejscu. O wszystko zadbam! Wyprostuj się!

Zmierzył mnie wzrokiem, dłońmi, a na koniec także siekierą — teraz już wiem, że mierzę dwa trzonki i jedno ostrze siekiery Cugino.

— Wysoki! Wysoki! — powtarzał, chociaż to nieprawda. Z całą pewnością nie wyróżniam się nieprzeciętnym wzrostem.

Przekrzywił głowę w lewo, czubek palca wskazującego oparł w kąciку ust. Jestem przekonany, że mój przyjaciel z południa nie robił nawet w przybliżeniu tak niezwykłego wrażenia, kiedy snuł plany nowej bitwy.

— Wiem! — zawołał Cugino i klasnął w dłonie. Odgłos był taki, jakby uderzył deską o deskę.

Spełaliśmy jego osła (wciąż był, biedaczysko, objuczony) i zagłębiliśmy się w las, aż doszliśmy do olbrzymiego drzewa, oplecionego pnączem grubszym niż moje przedramię. Dwa potężne uderzenia siekiery odcięły solidny, rozwidlony u góry kawał pnącza, a trzecie oddzieliło jedną z odnóg rozwidlenia.

— Grube — oznajmił Cugino z taką dumą, jakby osobiście je zasadził. — Silne jak ja. — Pokazał mi naprężony biceps, który rzeczywiście prezentował się okazale. — I wcale nie sztywne.

Zerwał odcięty kawał pnącza z drzewa (które zapewne dziękowało mu z całego rdzenia) i spróbował złamać go na kolanie. Naprężył wszystkie mięśnie.

— Giętkie, widzisz? Nie złamie się.

Odważyłem się zauważyć, że mój przyszły kostur wygląda bardzo masywnie.

— Jeszcze nie skończyłem.

Sękatymi palcami zdarł grubą jak korek korę i w niespełna pół minuty później wręczył mi gotowy kostur: prawie idealnie prosty, gładki jak szkło, z zagiętą pod kątem prostym końcówką, która sięgała mi pod brodę.

Mam go do dziś. Sam kostur należy do mnie, lecz zakrzywioną końcówkę przejął na własność Oreb, który

właśnie siedzi na niej i mnie prowokuje: — Rybie głowy? Rybie głowy?

Wskazuję mu rzekę i mówię, żeby sam nałowił sobie ryb. Wiem, że to potrafi. Nie miałbym nic przeciwko posiłkowi, ale mogę z tym zaczekać do zaciemnienia, o ile w ogóle znajdę coś do jedzenia. Na razie światło pada pod takim kątem, że dobrze mi się pisze — co oznacza, że słońce przebyło połowę nieba. Tutaj, nad rzeką, powietrze jest chłodne, a słabiutki wiatr nie zasługuje nawet na miano zefirka; na pewno nie wydałby żagla, a jednak w sam raz wystarczy, żeby osuszyć atrament na papierze. Lepiej być nie może.

Zanim zapomnę, powinienem napisać, że to, co mój dobry przyjaciel Cugino nazwał „pnączem”, na Zieleni nazywaliśmy „lianą”. Zieleń to whorl stworzony dla drzew, które uporały się tam ze wszystkimi problemami — poza problemem lian.

Właściwie można by nazwać Zieleń whorlem stworzonym z drzew: porastają całą jej powierzchnię z wyjątkiem nagich skał na urwiskach i szczytach najwyższych gór oraz biegunów (czy jak tam należałoby nazwać te obszary skute lodem). A i tam zaczynają pomalutku zapuszczać korzenie.

We „Whorlu” mieliśmy biegun wschodni i zachodni — dwa pylony, pomiędzy którymi rozciągało się długie słońce. Dlatego wciąż mówimy (zarówno tutaj, jak i na Zieleni) o wyimaginowanym biegunie zachodnim, w stronę którego zmierza krótkie słońce, i równie fikcyjnym biegunie wschodnim, z którego ponoć przybywa. Z pokładu lądownika widać, że to wszystko nieprawda. Nie ma takich miejsc. Kolorowe whorle nie są cylindryczne, choć zwykle tak je sobie wyobrażamy, lecz kuliste; można by powiedzieć, że każdy z nich ma umowne „bieguny” na dole i na górze. Oznacza to, że

gdyby jakiś uczonec chciał zbudować model whorla, musiałby przeprowadzić przez „bieguny” oś, na której whorl by się obracał. Ta oś wystawałaby nad powierzchnię niby ogromny rożen, na który nadziano whorl.

Kiedy pisałem te słowa, przysiadł się do mnie mężczyzna imieniem Inclito. Zaczęliśmy rozmawiać, jak to zwykle czynią ludzie, którzy nie mają nic lepszego do roboty niż wygrzewać się na słońcu jak krokodyły w ciepłe jesienne popołudnie. Nasze języki poruszały się równie szybko, choć zapewne nie tak efektywnie jak u krokodyli.

Inclito zagaił rozmowę, zadając mi całkowicie naturalne pytanie, co piszę. Odparłem, zresztą zgodnie z prawdą, że to tylko głupstwa.

— To mądrość — poprawił mnie. — Jesteś mądrym człowiekiem. Wszyscy to widzą. Taki mędrzec nie pisałby głupstw.

— A czy mędrzec w ogóle by coś pisał?

Chciałem zadać mu jakieś niewinne pytanie, żeby mówił dalej, i pomyślałem, że to będzie w sam raz.

— Właśnie, mistrzu, pisałby czy nie? — odpowiedział bez mrugnięcia okiem.

Nie spodziewałem się, że tak się do mnie zwróci, ale taki chyba panuje tu zwyczaj. W domu mistrzem nazywaliśmy zwykle nauczyciela (takiego jak na przykład mistrz Miecznik) albo dyrygenta zespołu muzycznego.

— Owszem — odparłem — mędrzec mógłby pisać, ale nie tak, jak ja to czynię. Nie spisywałby swoich dziejów. Przewidziałby, że mogą trafić do rąk przypadkowego czytelnika, który przy ich

lekturze wywichnie sobie szczękę ze śmiechu. Mędrzec nigdy nie krzywdzi innych, jeśli nie ma takiego zamiaru.

— Dobrze powiedziane. — Inclito wyprężył pierś. — Też kiedyś byłem żołnierzem.

Wyjaśniłem mu, że nigdy nie parałem się tym nad wyraz szacownym zajęciem.

— Jesteś przecież ranny.

Zerknąłem w dół, pełen obaw, że rana w boku otworzyła się i krew plami moją togę.

— Tam też? — zdziwił się Inclito. — Miałem na myśli twoje oko.

Powinienem przysłonić oczodół jakimś kawałkiem materiału, tak jak to robił Świnia.

Inclito mówił dalej:

— Przepraszam. To musi być przykre, kiedy ktoś ci o tym przypomina.

Szeroka, kwadratowa twarz Inclito również jest zdeformowana, tyle że nie z powodu ran, a za sprawą jakiejś choroby skórnej. Nie jest to twarz, która podoba się kobietom, chociaż wyraźnie malują się na niej odwaga, uczciwość, siła i inteligencja. Siedzę i czekam, aż zaprosi mnie na kolację. Niewiele o nim wiem, lecz po tym, co widziałem i słyszałem, skłonny jestem sądzić, że od dawna nawykł do dźwigania brzemienia odpowiedzialności, a wobec siebie jest nawet bardziej wymagający niż wobec innych.

Rozmawialiśmy przez dobrą godzinę, próbując wzajemnie naciągnąć się na zwierzenia. Przytaczanie w tym miejscu szczegółów naszej konwersacji wydaje mi się niezbyt sensowne. Starłem się nie mówić za wiele o sobie, żeby nie dać mu poznać, jak bardzo sfuszerowałem swoje zadanie. Inclito ze

swojej strony był równie powściągliwy. Przypuszczam, że panicznie bał się samochwalstwa.

— Powinieneś o mnie pamiętać — rzekł z uśmiechem — kiedy korzystasz z łazienki. Kanały pod miastem, rozumiesz? To moja robota.

— Zaprojektowałaś je?

— Sporządziłem parę szkiców. Zbudowaliśmy kanały, ale nie funkcjonowały jak należy. — Zachichotał. — Więc podarliśmy moje szkice i zbudowaliśmy kanalizację od początku.

Wynikałoby z tego, że był również urzędnikiem.

— Przyszedłeś tu na spacer — stwierdził. Wcześniej sam mu to powiedziałem. — Gdzie chcesz zjeść kolację?

— Wątpię, żebym w ogóle... Cicho, Orebie! Nie mam sprecyzowanych planów na wieczór.

— Boisz się, że zaproszę cię do kanałów. — Znów parsknął śmiechem. — A co powiesz na wizytę u mnie w domu? O siódmej. Pasuje ci siódma?

Odparłem, że chętnie odwiedzę go o tej porze, musi mi jednak powiedzieć, gdzie mieszka.

— Daleko stąd. Przyjadę po ciebie. Gdzie się zatrzymałeś?

Tak sformułowane pytanie wydało mi się wystarczająco wieloznaczne, żeby dać pole do swobodnej interpretacji. Odparłem więc, że „zatrzymałem się” w sklepie, w którym dostałem ten papier. Podałem nazwę uliczki, przy której sklep się znajduje.

— Wiem, gdzie to jest. Atteno cię przenocuje?

— Mam przynajmniej nadzieję, że mnie nie przepędzi.

Inclito ryknął śmiechem — dobrym, donośnym śmiechem.

— Jeśli tak się stanie, pokażę ci kanały. W moim zawsze jest sucho. Dobrze by ci się tam spało. Przyjadę po ciebie o szóstej,

dobrze? Tam, gdzie się zatrzymałeś.

Oto jestem. Nie ma jeszcze szóstej, ale i tak nie mam lepszego zajęcia. Właściciel sklepu był tak uprzejmy, że pozwolił mi usiąść na parapecie — siedzę więc i piszę. Wydaje mi się, że pełnię rolę żywego szyldu. Znowu pozamiatałem w sklepie, tak jak poprzednio w zamian za libnę papieru, i poustawiałem na półkach drobiazgi, w których zrobił się bałagan. Wracam do zajęć, które wykonywałem w dzieciństwie. Miałbym ochotę powiązać pióra w pęczki, tak jak u ojca w sklepie, ale właściciel sam już to zrobił.

Szkoda, że nie mogliśmy sprzedawać naszego papieru po takich cenach, jakie tu obowiązują. Bylibyśmy z Pokrzywą bogaci.

Wzmianka o tutejszych kanałach przypomniała mi — a nie jest to miłe wspomnienie — olbrzymi ściek na Zieleni, w podziemiach Miasta Inhumich. Jeżeli mam zostać kronikarzem swoich niewydarzonych przygód (a coraz wyraźniej się na to zanosi), powinienem napisać także o tej, najokropniejszej ze wszystkich.

Ściągnę i pozostali spali, ja zaś czuwałem i rozmyślałem o wizycie Kraita, kiedy zjawił się Sąsiad. Otworzył drzwi i nie zamknął ich za sobą. Przez chwilę bez reszty pochłonęły mnie rozważania, czy powinienem pobudzić śpiących i kazać im uciekać, skoro nadarza się okazja. Nic dziwnego, że z początku nie byłem w stanie sensownie z nim rozmawiać.

— Jesteś naszym przyjacielem? — Uśmiechnął się i wskazał pierścień Algi.

Miał niewiarygodny głos. Nie umiem tego opisać, ale kiedy mówił, brzmiało to tak, jakby mi tłumaczył, że wszystkie

nieszczęścia, jakie mnie w życiu spotkały, były tylko złudzeniem.

— Tak — odparłem. — To znaczy, chciałbym nim być.

Znów się uśmiechnął, ja zaś dostrzegłem w tym uśmiechu błysk zębów, chociaż jego twarz skrywał cień ronda kapelusza.

— Czy zatem odblokujesz dla nas kanał? Prosimy cię o pomoc.

Wszystko się we mnie wyrywało, żeby odpowiedzieć „tak”, żeby zapewnić go, iż jestem gotów do końca życia harować w kanałach, jeśli tylko takie jest jego życzenie.

— Nie mogę — odparłem jednak. — Jesteśmy tu uwięzieni.

Była to niewiarygodnie idiotyczna odpowiedź, jeśli wziąć pod uwagę fakt, że za jego plecami (a częściowo także przez jego plecy) widziałem otwarte drzwi.

On także zerknął w ich kierunku.

— Istotnie, ci, którzy was pojмали, mogliby się rozżłościć.

— Mam nadzieję... Nie, właściwie to nie gra roli, ale nie chciałbym tu zostawiać przyjaciół. Mogliby pójść z nami?

Pokręcił głową.

— Rozumiem, że nie... Może chociaż mój syn?

— Nie.

Zdążyliśmy już wyjść za drzwi, które z hukiem się za nami zatrzasnęły.

— Obudzą się — mruknąłem, chociaż przede wszystkim obawiałem się, że łoskot ściągnie jakiegoś inhumiego.

— Chcemy, żebyście wszyscy się obudzili. Przejrzeli na oczy.

— I zdali sobie sprawę z niebezpieczeństwa? Na to już za późno. Wiemy, co nam grozi.

Opowiedziałem mu, jak przejeśliśmy lądownik i jak inhumie później go odbili.

— Chcemy, żebyście zrozumieli, że jesteście bezpieczni — odparł, wysłuchawszy mnie do końca.

Teraz, kiedy znam tajemnicę Kraita, rozumiem także uwagę Sąsiada. Wtedy jednak nie miałem pojęcia, o co mu chodzi.

Wyszliśmy przez wąskie drzwi na pusty dziedziniec, a z niego na ulicę. Dwa ciała niebieskie na nocnym firmamencie były stanowczo zbyt duże jak na gwiazdy. Zdawały się budzić cienie (zwykle rozmyte i blade, ale miejscami głębokie i mroczne), choć zarazem wcale nie świeciły — przynajmniej takie odnosiło się wrażenie.

— Boisz się zamkniętych przestrzeni? Albo podziemi? Wielu z was żywi takie lęki.

— Nie wiem. Dawno nie byłem w zamkniętej przestrzeni. — Ledwie wypowiedziałem te słowa, przypomniała mi się dziura w ziemi, z której Krait mnie wyciągnął. Dodałem więc pospiesznie: — Poza jednym wypadkiem, kiedy się bałem, bo nie mogłem wydostać się z zamknięcia.

Spojrzał na mnie z namysłem. Kiedy widzę te słowa na papierze, wydają mi się głupie; nie widziałem jego twarzy na tyle dobrze, żeby odczytać jej wyraz. Powinienem raczej napisać, że odwrócił się w moją stronę i przez chwilę wyglądał tak, jakby bacznie mnie obserwował.

— Z tego ścieku będziesz mógł się wydostać, o ile wcześniej się nie utopisz — powiedział.

— To świetnie.

— Jeżeli się wystraszysz, będziesz mógł wyjść i zostawić kanał zatkany. Czy tak zrobisz?

— Nie mogę wykluczyć takiej możliwości, ale spróbuję nad sobą zapanować. A ty nie idziesz ze mną?

— Nie — odparł.

Po tej wymianie zdań przez dłuższy czas szliśmy w milczeniu; minęliśmy kilka przecznic — cztery, może pięć. Znajdowaliśmy się w Mieście Inhumich i przemierzaliśmy je późną nocą, a to przecież w nocy inhumich są najbardziej aktywni, zarówno tutaj, jak i na Zieleni. Zdziwiłem się więc, że widzimy ich tak niewielu, a i oni zdają się nas nie zauważać. Teraz jednak rozumiem, że ci, którzy nocą wyszli na ulice, pragnęli krwi i raczej nie spodziewali się znaleźć jej w mieście.

— Mógłbym z tobą pójść — powiedział Sąsiad. — Mógłbym sam, bez twojej pomocy, odetkać ten ściek. Muszę ci o tym szczerze powiedzieć.

— W takim razie jestem ci podwójnie wdzięczny za to, że postanowiłeś mnie uwolnić.

— Gdybym ci jednak pomógł, kanał znów by się zatkał.

Widziałem, że czeka na moją reakcję, kiwnąłem więc głową.

— Tak mi się przynajmniej wydaje, choć mogę się mylić — ciągnął. — Nawet jeśli zrobisz to, o co cię prosimy, i tak może znów zostać zablokowany. Taki jest najbardziej prawdopodobny rozwój wydarzeń.

— Ale nastąpi to dopiero po paru latach — zasugerowałem.

— Istotnie. Tyle że to bez znaczenia. Najważniejsze jest to, że jeśli ty go odblokujesz, może już na zawsze pozostać otwarty.

Chyba się wtedy uśmiechnąłem, i był to uśmiech pełen goryczy.

— Sądzisz, że mam jakąś cudowną moc?

— Jeśli ty tego nie wiesz, to ja tym bardziej nie będę wiedział — odparł z powagą.

Weszliśmy do budynku, który był w jeszcze gorszym stanie niż większość domów w tym mieście ruin: została z niego tylko

pozbawiona dachu skorupa o przysypanej kamieniami podłodze. Zapytałem, czy to stąd wejdziemy do kanałów.

— Nie. Równie dobrze mogliśmy się dostać do środka z podziemnej sali, w której byłeś uwięziony. Zejście, którym się posłużysz, znajduje się daleko stąd. Masz coś przeciwko temu, żebym dotknął twojej twarzy? Byłoby dobrze, gdybyś mi na to pozwolił.

Zgodziłem się, on zaś namaścił mi oba policzki słodko pachnącym olejkiem, którego aromat zdawał się pochodzić z whorla znacznie odleglejszego niż te trzy, które znam. Zapach podsuwał mi niezwykle myśli i obrazy, tak intensywne, jakbym śnił na jawie. Może tak właśnie miał działać.

Rozmawiałem z właścicielem sklepu, Atteno (Inclito miał rację, sklepikarz rzeczywiście tak się nazywa). Zapytałem, czy nie ma nic przeciwko temu, żebym dzisiejszą noc spędził w sklepie; obiecałem, że niczego nie ukradnę. Odparł, że przygotuje mi posłanie — rozumiem, że pożyczy mi jakieś koce. Cóż to będzie za odmiana! Mimo wszystko nie żałuję, że zostawiliśmy nasze koce dziewczynie z Hanu, chociaż od tamtej pory do spania mam tylko swoją togę. Rozdarłem ją w dwóch miejscach, przedzierając się przez las. Na szczęście ta dobra kobieta później mi ją zszyła.

Atteno twierdzi, że Inclito to ważna persona; fakt, że osobiście po mnie przyjdzie, zrobił na nim ogromne wrażenie. Zapytał mnie później, czy umiem robić „różne rzeczy”. Nie bardzo wiem, co miał na myśli. Odparłem więc, że potrafię co nieco, a on zrobił mądrą minę i poszedł sobie.

— Człowiek dobry! — stwierdził Oreb.

Przypuszczam, że Sąsiedzi muszą się czuć w naszej obecności podobnie jak ja tutaj. Jesteśmy skłonni wierzyć, że są jakimiś pomniejszych bogami, że wiedzą wszystko i posiadają najróżniejsze tajemne moce. Oni jednak nie widzą w swoich osobach nic nadzwyczajnego. Ten, o którym pisałem (nie przedstawił mi się), powiedział w pewnej chwili coś takiego: — Wydaje ci się, że wiem wszystko o tobie i twoim synu.

Zaprzeczyłem.

— Przyszło mi po prostu do głowy, że Sąsiedzi, których spotkałem na Błękicie, mogli ci o mnie opowiadać. To wszystko.

— Wydałeś mi się najbardziej prawdopodobnym kandydatem — odparł, ale nie wyjaśnił, czego się po mnie spodziewał.

Kiedy ujrzałem spoczywające w pojemniku z brązu miecze, bałem się ich dotknąć.

— Sam wybierzesz? — zapytał mnie wtedy. — Czy mam wybrać za ciebie?

Odparłem, że lepiej będzie, jeśli zdam się na niego, nie wiedziałem bowiem, z kim — albo z czym — przyjdzie mi walczyć.

— Mam nadzieję, że w ogóle nie będziesz musiał walczyć. To mało prawdopodobne. Czy mimo to wolisz, abym to ja dokonał wyboru?

— Z pewnością lepiej ode mnie znasz się na tej broni.

Skinął głową i podał mi jeden z mieczy. Łatwiej byłoby go chyba narysować niż opisać, ale mimo wszystko spróbuję. Ostrze było czarne (zapewne ze starości). Pokrywające je wzory nie były chyba pismem, chociaż trudno mi powiedzieć, jaką inną funkcję mogły pełnić. Klinga rozszerzała się od rękojeści w dół i największą szerokość osiągała na samym końcu, tuż przed

tym, jak zbiegała się w ostry szpic. Była jednosieczna, miała prosty grzbiet i łukowato zakrzywione ostrze, co trochę upodabniało ją do sierpa.

Tak wyglądał miecz, kiedy już dobyłem go z pochwy. Powinienem zaś nadmienić, że sama pochwa była czarna i wykonana z jakiegoś nieznanego mi, twardego i ciepłego w dotyku materiału, i zawieszona na pasie splecionym z wielu cienkich włókien.

— Podoba ci się?

Zanim jeszcze Sąsiad zadał mi to pytanie, wyjąłem miecz i obejrzałem jego klingę.

— Jest jak przedłużenie mojej ręki.

*

Słońce już wstało. Powinienem poszukać innego miejsca do spania. W nocy niewiele spałem, gdyż Inclito odprowadził mnie do sklepu dość późno, ja zaś za bardzo objadłem się jego wyśmienitą kolacją. Jeśli mnie pamięć nie myli, był to mój pierwszy prawdziwy posiłek, odkąd w wiosce Cugino zjadłem zupę. Powtarzałem sobie, że powinienem jeść wstrzemięźliwie, ale kiedy zorientowałem się, że coś mi z tą wstrzemięźliwością nie wychodzi, było już za późno. Jedwab mówił nam kiedyś, że doświadczenie jest doskonałym nauczycielem, lecz zawsze zbyt późno udziela nam lekcji. W swoim życiu na każdym kroku przekonywałem się o prawdziwości tych słów.

Powinienem był nadmienić, że Inclito zajechał pod sklep odkrytym powozem. Wsiadłem do niego, ledwie napisałem

słowo „jęki”, potrząsając w powietrzu kartką, na której atrament jeszcze nie wysechł.

— Masz ptaka — stwierdził z satysfakcją Inclito.

Powiedziałem, że nie bardzo mogę się od niego uwolnić (czy coś w tym guście), co Oreb z zapalem potwierdził: — Ptak zostaje!

— Kiedy spotkałem cię nad rzeką, ptak był przy tobie, ale od — frunął. Pomyślałem, że musiałem się pomylić i wcale nie należy do ciebie.

— To raczej ja należę do niego — odparłem szczerze. Taka jest prawda.

— Tutejsi mieszkańcy uważają cię za czarownika — roześmiał się Inclito. — Właśnie z powodu ptaka. Wierzą w takie rzeczy.

Odparłem, że mieszkańcy miasta są dla mnie bardzo mili i że choć mieszkam wśród nich dopiero od dwóch dni, już zdążyłem ich polubić.

— Umieją cieszyć się życiem. A tacy ludzie zawsze są dobrzy, nawet jeśli są źli — wyjaśniłem, choć zapewne dość mętnie.

— Oni też cię lubią. Za to twój strój ich przeraża. Ta czerń.

— Chodzi ci o to? — Chciałem mu wytłumaczyć, że noszę szaty augura, ale doszedłem do wniosku, że nie miałyby to wielkiego sensu.

— Wydaje im się, że czerń oznacza, iż krzywdzisz ludzi, kiedy przyjdzie ci na to ochota. Ptak też jest czarny.

— Ptak dobry!

— Na to właśnie liczą. — Inclito się uśmiechnął. — Dobry ptak. Czarownicy mają swoje zwierzątka, zwykle koty, chociaż nie zawsze. Chowańce. Familiares. Słyszałeś o tym?

Spojrzał na mnie pytająco. Pokręciłem głową.

— To słowo oznacza, że zwierzę należy do rodziny czarownika; czasem jest wręcz jego matką lub ojcem... Coś w tym stylu. Bawi cię to? Mnie również. Też mam swoje ulubione zwierzę. Konia. Ale to nie chowaniec. Nie jest moim ojcem, tylko zwyczajnym koniem.

Powtórzyłem, że Oreb nie jest moją własnością.

— Masz takie siwe włosy, więc myślą, że może czasem krzywdzisz ludzi, ale tylko złych. — Inclito parsknął śmiechem. — Nawet jeśli są dobrzy.

Wy tłumaczyłem mu, że jestem chory i za słaby, żeby komuś zrobić krzywdę, a zresztą i tak nie mam broni. Skłamałem, rzecz jasna, ale naprawdę nie miałem zamiaru (i nadal nie mam) używać azotha Hiacynta.

Mniej więcej w tym czasie dotarliśmy do bramy miejskiej, która była zamknięta na cztery spusty; Inclito twierdzi, że zawsze zamyka się ją na głucho po zaciemnieniu. Strażnicy zasalutowali mu i ledwie ściągnął wodze, otworzyli wrota.

— Zaprosiłem cię na kolację, ponieważ cię lubię — powiedział Inclito, kiedy z turkotem wyjeżdżaliśmy za mury.

— Dobry człowiek? — mruknął Oreb.

Pokiwałem głową. Nie miałem cienia wątpliwości, że ma rację.

— Chcesz coś zjeść? Bo ja chcę cię nakarmić. Ale to nie wszystko.

— Tego się właśnie obawiałem.

— Nie ma powodu do obaw. Chcę, żeby ludzie zobaczyli nas razem, bo wtedy pomyślą, że stoisz po naszej stronie. Nie skrzywdzą cię. Co w tym złego?

— Nic. To bardzo uprzejme z twojej strony. Teraz rozumiem, dlaczego jedziemy otwartym powozem i dlaczego obaj siedzimy

na koźle.

Roześmiał się znowu — tubalnie, donośnie, tak że na wpół spodziewałem się, iż otaczające nas ciemne pola odpowiedzą mu echem.

— Zawsze sam powożę. Mam woźnicę, a mimo to sam powożę. Lubię to. Lubię świeże powietrze, słońce, wiatr.

— Ja też, jeśli pogoda jest sprzyjająca. Tak jak dziś. Mogę zapytać, kto stoi po tej „drugiej stronie”?

— Soldo i kilka innych miast. — Inclito machnął lekceważąco ręką, jakby rywale nie byli godni nawet jego pogardy. — To bratobójcza walka. Wiesz, co mam na myśli?

— Mam w tej kwestii pewne doświadczenie.

— W większości miast jest tak samo: wszyscy mieszkańcy pochodzą z jednego miasta tam, u góry. — Wskazał batem niebo. — Stamtąd, gdzie słońce ciągnie się przez całe niebo.

— Z whorla długiego słońca.

— Właśnie. Czy ludzie z twoich rodzinnych stron założyli tu więcej niż jedno miasto?

— Na Błękanie? Nie.

— Właśnie — powtórzył. — Z nami sprawa wygląda inaczej. Przyleciało nas całe mnóstwo. W kilku lądownikach. Przywódców też mamy różnych. Ale wszyscy pochodzimy z Grandecitta. To naprawdę ogromne miasto.

— Domyślam się.

— Było nas za dużo na jedno miasto. Więc są cztery. Nasze nazywa się Blanko. Mówisz, że ci się podoba. Mnie też. Najbardziej podoba mi się to, że rządzą w nim ludzie, nie jakiś diuk. Zbieramy się, dyskutujemy, podejmujemy decyzje. Czasem zdarzają się ludzie, których nikt nie słucha. Wiesz, co mam na myśli?

— Za to innych słucha się z najwyższym szacunkiem.

— Mądry z ciebie człowiek. Zresztą to wiedziałem już wcześniej. W Soldo mają diuka, Duko Rigoglio. Chciałby nam dyktować, co mamy robić. A nam się to nie podoba. Ma dużo żołnierzy i cały czas werbuje nowych. Mamy im oddawać ziemię, wiesz? Srebro. Konie. Cokolwiek im się zamarzy. Ma dużo ludzi, ale niewielu więcej może zwerbować. Znasz Jedwabia?

Zadał mi to pytanie tonem, którego nie umiałem zinterpretować.

— Kiedyś go znałem.

— Rozumiem. — Inclito przestał poganiać konie i odwrócił się do mnie. — Nie zapytam, jak się nazywasz.

Przypomniałem sobie Świnię. Powiedziałem, że może mógłby nadać mi nowe imię.

— Naprawdę tego chcesz?

— A czemu nie? Na pewno znasz wiele imion.

— Niech będzie Incanto. Podoba ci się? Ludzie cię polubią.

Pokiwałem głową.

— W takim razie nazywam się Incanto. Słyszałeś, Orebie? Nie zapomnij.

— Ptak bystry!

— Mam nadzieję.

— Chcesz ze mną walczyć? — zapytał Inclito.

— Nie! Oczywiście, że nie.

— Ja też tego nie chcę. — Odłożył na chwilę bat, ujął wodze w lewą rękę i podał mi prawą.

Uścisnąłem ją.

— Powiem ci coś. Miałem brata o tym imieniu. Nie żyje. Umarł w dzieciństwie. Moja matka go pamięta, może cię polubi.

Ja nie pamiętam. Jeszcze mnie wtedy nie było. Widziałem tylko jego grób.

— W Grandecitta.

— Właśnie. My przylecieliśmy. Umarli zostali. Chociaż może nie wszyscy. Czytaliśmy tu o Jedwabiu. Jest o nim książka.

Pokiwałem głową.

— Myśleliśmy, że nie żyje, a tu nagle... bach! — Strzelił z bata. — Okazuje się, że Jedwab jest w którymś z tych miast na południu. W górach. W Gaonie. Werbuje własną armię. Żołnierzy. I odbiera ludzi diukowi Rigoglio. — Znów się roześmiał, tym razem cicho, dyskretnie. — Więc mówię mojej rodzinie: Jedwab tu jest. Przyjechał nam pomóc. Nie wiem, skąd się o nas dowiedział, Incanto.

— Wątpię, aby naprawdę o was słyszał.

— Jesteś ranny. Nie w oko. Pod szatą masz świeższą ranę. Może pies cię ugryzł?

Zaprzeczyłem.

— Ktoś postrzelił cię z igłowca?

Pokręciłem głową.

— Z pistoletu?

Nic nie odpowiedziałem, a Inclito mówił dalej: — Masz szczęście. Człowiek trafiony kulą z pistoletu zwykle umiera. Jedwab jest do ciebie podobny. Tak wynika z jego książki. Nie jest żołnierzem, ale też walczy. Czasem strzela z igłowca. A czasem walczy laską.

Postukał batem w mój kostur.

— Cokolwiek o mnie myślisz, nie jestem Jedwabiem. Nie chcę cię okłamywać.

— Ani ja nie chcę cię do tego zmuszać, Incanto. Jesteś moim bratem, ale nie będziemy walczyć.

W tym miejscu Inclito zaczął się rozwodzić nad swoją karierą wojskową, która była długa i bogata. Przejechaliśmy może z milę, zanim zmienił temat: — Chciałbym zasięgnąć twojej rady, Incanto. Prosić cię o pomoc. Nie wiesz zapewne, dlaczego to robię.

— Mogę próbować się domyślić.

— Nie ma potrzeby. Sam ci powiem. Doradzam wszystkim w Blanko. Tłumaczę im, jak ćwiczyć. Jak walczyć. Mówiłem ci, że się spotykamy. Takie zgromadzenie nazywa się „corpo”. Ludzie chcą wiedzieć różne rzeczy, więc sięgam w głąb mojej głowy i im mówię. — Inclito wykonał gest, jakby wyciągał sobie coś z ucha. — Ale nie mam nic więcej do powiedzenia. Pustka w głowie. Dlatego cię proszę.

— Mądry człowiek — stwierdził Oreb. Zerwał się do lotu i poszybował nad łąkami i lasem.

— Pozwól zatem, że na początek doradzę ci, abyś oparł się pokusie i nie szukał porady u ludzi, którzy gorzej od ciebie orientują się w sytuacji.

— Słusznie. — Inclito cmoknął na konie i przez chwilę udawał głęboko zamyślonego. — Nie powinienem pytać cię o wojnę na południu, tak? Nic o niej nie wiesz?

— Z pewnością mniej niż ty.

Od blisko tygodnia nie miałem żadnych wieści z południa.

— Gdybym ci powiedział, co mnie martwi... — Umilkł, kiedy powóz podskoczył na nierównościach traktu. — Gdybym ci powiedział, może rozjaśniłoby mi się w głowie. Chodzi o Jedwabia. Nie tego z książki. Tego prawdziwego.

Pokiwałem głową.

— Werbuje żołnierzy, mówiłem ci o tym? Płaci im.

— To najemnicy.

— Wiedziałem, że jest na nich specjalne słowo. I widzę, że ty coś o nich wiesz. On wygra. Człowiek, którego nazywają Jedwabiem, wygra. Jego miasto wygra. A najemnicy, których werbuje, — zaczną szukać nowych źródeł zarobku. Pozwoli im zatrzymać pistolety? W książce tak właśnie robi, Incanto. Myślisz, że i tym razem postąpi podobnie?

— Przypuszczam, że większość z nich już ma broń — zauważyłem. — Jeśli zaś chodzi o tych, którzy jej nie mają i otrzymają ją przed walką, to naprawdę nie wiem, co myśleć.

Decyzję w tej kwestii podjąłby Hari Mau.

— Tak czy inaczej, są niebezpieczni. Ci najemnicy. Obojętne, czy mają pistolety, czy nie. Powiesz, żebyśmy też ich wynajęli, ale oni są groźni także dla tego, kto im płaci. Poza tym to niemożliwe. Nie jesteśmy bogaci.

— A Rigoglio?

— Jest dość zamożny. — Inclito strzelił z bata. — Bierze pieniądze od swoich ludzi.

Przypomniałem sobie plany radcy Loriego, ale o nich nie wspomniałem.

— Jeżeli nie możecie zwabić najemników, nie uda wam się chyba przeszkodzić diukowi w werbunku.

Inclito z ponurą miną pokiwał głową.

— Moglibyście natomiast odwlec wybuch wojny do czasu, kiedy nie będzie w stanie dłużej ich opłacać — stwierdziłem, choć w moich słowach było więcej optymizmu niż w sercu. — Od chwili, gdy zaciągną się na służbę u diuka, czas zacznie działać na waszą korzyść. Ale wspomniałeś o tym, że inne miasta mu pomogą...

— Novella Citta i Olmo. Leżą dalej niż Soldo. Też mają swoich diuków czy kogoś w tym rodzaju. To jeden powód.

Pokiwałem głową, żeby dać mu do zrozumienia, że rozumiem.

— Co zyskają na zwycięstwie diuka Rigoglio?

— Może da im spokój. Myślę, że się go boją. Widzisz to wzgórze? — spytał Inclito i wyciągnął przed siebie bat.

Noc była pogodna, Zielen świeciła jasno na niebie. Otwarta, łagodnie pofalowana przestrzeń oświetlona blaskiem Zieleni zawsze wygląda niesamowicie. Chyba nigdy wcześniej nie zdawałem sobie z tego sprawy tak wyraziście, jak wczoraj w nocy.

— Będzie stamtąd widać mój dom. Zatrzymamy się na chwilę na wzgórzu, to sobie popatrzysz.

— Tylko dlatego chcesz się tam zatrzymać? Żebym obejrzał twój dom z daleka?

— Chyba muszę ci to powiedzieć... — Inclito strzelił z bata. Konie przyspieszyły kroku, a on położył sobie bat na kolanach i uderzył się otwartą dłonią w czoło. — Ależ ze mnie głupiec!

— Mam wiele powodów, by w to wątpić.

— Jestem głupcem, bo sądziłem, że muszę powiedzieć ci o czymś, o czym dobrze wiesz. Obawiam się, że w moim domu jest szpieg. Właściwie to jestem prawie pewien.

— Woźnica?

— Woźnica to dureń, więc nie sądzę... — Inclito pokręcił głową. Wzruszył ramionami i znów popędził spienione konie. — Ale może jest dość głupi, żeby przyjmować karty od diuka?

— Być może. Ponieważ mam zasiąść do kolacji z tobą i twoimi domownikami — przy okazji jeszcze raz dziękuję ci za zaproszenie — może lepiej powiedz mi, kogo zastaniemy w domu i kogo podejrzewasz o zdradę.

— Dobrze. — Inclito ściągnął wodze i zatrzymaliśmy się na szczycie pagórka. — Zaraz ruszymy dalej. Kiedy są spocone, nie powinny stać bez ruchu. Dobrze im zrobi, jak sobie pochodzą.

Pokiwałem głową.

— Nie mam żony. Od razu ci to powiem, to lepiej zrozumiesz. Kiedy opuszczaliśmy Grandecitta, poszła za mną. Czy na waszym lądowniku umarły jakieś kobiety?

— Owszem, całkiem sporo. Mężczyźni zresztą też umierali. Ale najwięcej umarło dzieci, więcej niż dorosłych obojga płci razem wziętych. Przyjmij moje najszczerze, choć spóźnione wyrazy współczucia z powodu śmierci żony.

Inclito milczał długą chwilę.

— Gdzie twój ptak? — zapytał w końcu.

— Nie mam pojęcia. Pewnie rozgląda się po okolicy. Wróci, kiedy mu przyjdzie na to ochota. Jeśli w ogóle mu przyjdzie.

— Może to i lepiej, że go nie ma. Moja matka nie weźmie cię za strego. To znaczy za czarownika. Tak na nich mówi.

Inclito się uśmiechnął. Dostrzegłem błysk zębów na tle jego śniadej twarzy, ale pomyślałem, że wcale nie żartuje.

— Mieszkasz z matką?

Skinął głową.

— Miałem ci powiedzieć, kogo zastaniemy w domu i komu ufam. Zacznę od matki i córki. Może jest tam szpieg, a może nie, ale one na pewno są poza wszelkim podejrzeniem. Widzisz mój dom?

— Nie wiem, czy patrzę na ten, co trzeba — przyznałem. Miałem przed sobą skupisko niskich, pobielonych budynekczków, przesłoniętych rzędem smukłych drzew niczym kolumnadą.

— Kiedy przylecieliśmy, dostałem dobrą ziemię — westchnął Inclito. — Współczuli mi, bo straciłem Zittę. Potem wspierałem ich przy różnych okazjach. Pomagałem miastu w czasie wojny, więc corpo głosowało, żebym dostał dodatkową ziemię. Nie mogłem z niej korzystać, bo jest za daleko, więc zamieniłem się z sąsiadem. Dwa do jednego. On dostał dwa razy więcej niż mi oddał. — Inclito wyszczerzył zęby w uśmiechu. — Niezbyt korzystna transakcja, co? W takich sprawach jestem jak dziecko.

Wydawało mi się, że dobrze go rozumiem.

— Dostałeś dobrą ziemię?

— Naturalnie. Nie gorszą od tej, którą już miałem. O, tam. — Wskazał ręką. — Za to oddałem gorszą. I daleko od Blanko. Nie podobała mi się.

Milczałem, wsłuchany w nocną ciszę, i czekałem, co jeszcze powie Inclito.

— W Grandecitta mieliśmy mądre powiedzenie. Ty na pewno znasz takich mnóstwo.

— Kilka pewnie by się znalazło.

— Może to będzie jedno z nich... Jeśli praca jest dobrą rzeczą, to czemu bogaci nie biorą jej dla siebie? Ale ja jestem teraz bogaty, więc biorę. Ile zdołam, wiesz? — Inclito szarpnął wodze. Konie ruszyły leniwym krokiem. — Dalej chcesz wiedzieć, kto jeszcze mieszka u mnie w domu? I komu ufam?

— Owszem, jeśli tylko zechcesz mi to powiedzieć.

— Nasza rodzina to ja, moja matka i moja córka. To już mówiłem.

— Nie mówiłeś, że to już wszyscy.

— Wszyscy. Wszyscy krewni. Mieszka u nas teraz przyjaciółka Mory. Jej ojciec wyjechał.

— Mora to twoja córka?

— Tak. Przyjaciółka ma na imię Fava. Siądzie z nami do stołu. To miła dziewczyna.

— Ale i tak jest podejrzana?

Inclito podniósł ręce, nie wypuszczając z nich wodzy.

— Kogoś muszę podejrzewać. Nawet jeśli szpiega nie ma. Chcesz usłyszeć resztę? Wszystkie imiona?

— Na razie powiedz mi, kim są ci ludzie. Imion nauczę się później, kiedy będą mi naprawdę potrzebne.

— Dobrze. Mam trzech ludzi do pomocy. O woźnicy już mówiłem. Affito. Najstarszy. Jest od powożenia. Zwykle tym powozem jeździ moja matka. Kiedy ona albo Mora gdzieś się wybierają, Affito czyści powóz i zabiera je ze sobą. Nie jest zbyt szybki, ale umie się obchodzić ze zwierzętami. Zobacz, widzisz, jakie są spocone?

Pokiwałem głową.

— Ja jeżdżę za szybko. Affito powozi wolniej, więc koniom na dłużej starcza sił. Dwaj pozostali to bratankowie Affito. Szproty jego brata. Urodzili się już tutaj, nie tak jak ty i ja.

Znowu skinąłem głową.

— Ja mam trzech mężczyzn, a matka trzy kobiety do pomocy. Chociaż tak naprawdę to ma pięć, bo Mora i Fava też czasem pracują.

Zapytałem, czym zajmują się służące.

— Jedna gotuje, dwie pomagają w domu. Jedna z nich głównie w kuchni. Nazywa się Onorifica. Druga zmywa podłogi i ściele łóżka.

— Rozumiem. Gdzie śpią mężczyźni?

— Gdzie śpią?

— No właśnie, gdzie? To chyba nie tajemnica? Śpią w domu?

Inclito pokręcił głową — przede wszystkim z niedowierzania, jak mi się wydawało.

— Na tyłach domu, w stodole. Mają tam taki mały kantorek, tylko dla siebie. Pokażę ci go, jeśli będziesz chciał.

— Może po kolacji, zobaczymy. A kobiety? Gdzie śpią?

— Gdzie indziej. O to ci chodziło?

— O nic mi nie chodziło. Po prostu pytam.

— Kucharka w kuchni. Kuchnia jest jej sypialnią, więc jeśli w nocy chcę coś zjeść, muszę pukać. Czasem jedna z dziewcząt śpi z nią. Albo z moją matką. Kiedy matka źle się czuje albo wie, że będzie czegoś w nocy potrzebować, jedna z nich śpi u niej w pokoju na małym łóżku, które specjalnie tam wstawiliśmy. Albo moja córka. Albo Fava.

— Przypuśćmy, że twoja córka ma spać z matką, a kucharka nie potrzebuje pomocy w kuchni. Gdzie wtedy śpią Fava i dwie służące?

Inclito odłożył bat i otarł pot z masywnej, gładkiej czaszki. Jest prawie całkiem łysy, o czym powinienem był już wcześniej napomknąć.

— Chcesz u nas zanocować? Mamy dwa puste pokoje. Torda wyszykuje ci poślanie.

— Nie próbuję robić żadnych aluzji. Chcę się tylko dowiedzieć, czy te kobiety mogą podsłuchiwać wasze rozmowy, czytać listy i tak dalej. Woźnica mógłby na przykład usłyszeć twoją rozmowę z przyjacielem, gdyby siedział na koźle i powoził, ale...

— To się prawie nie zdarza.

— Właśnie. Mógłby jednak usłyszeć, jak matka powtarza przyjaciółce twoje słowa, więc nie możemy go zupełnie pominąć. Wydaje mi się natomiast, że jego bratankowie jeszcze

gorzej nadają się na szpiegów. Uważasz, że mogę być patere Jedwabiem. Pozwól, że przytoczę ci słowa prawdziwego Jedwabia.

Inclito pokiwał głową.

— To będzie coś ważnego, prawda? Chętnie posłucham.

— Można te słowa znaleźć w książce, o której wspomniałeś. Jeżeli ją czytałeś, prawdopodobnie je sobie przypominasz. Kiedy radca Potto powiedział, że uwielbia sekrety, patere Jedwab odparł, że on za nimi nie przepada i że zawsze stara się je rozwikłać. Przez całe życie próbuję go naśladować. Pytałeś mnie o radę w kwestii wojny, która, jak się obawiasz, może wkrótce wybuchnąć.

Inclito bez słowa skinął głową.

— W takim razie posłuchaj mnie: dowiedz się, kto jest szpiegiem. Zrób to jak najszybciej. A potem przeciągnij go na swoją stronę, jeśli tylko zdołasz. Niech dostarcza diukowi fałszywe informacje.

— Dobrze. Spróbujemy tak zrobić, Incanto. Razem, ty i ja. Masz jeszcze jakieś pytania?

— Jeśli dobrze usłyszałem, powiedziałeś, że siądziemy do stołu w piątkę: ty, twoja matka, córka, przyjaciółka córki, Fava, i ja. Kto nam będzie usługiwał? Kto będzie podawał jedzenie?

— Dziewczęta.

— Onorifica i Torda, tak?

— Mhm. Przy szczególnych okazjach Decina sama podaje pieczyście. Matka czasem jej pomaga, jeśli dobrze się czuje.

Decina była kucharką.

Zajechaliśmy pod dom.

A ja naprawdę muszę się teraz zdrzemnąć.

2

Opowieści przed kolacją

Jest, jak sędzę, wczesne popołudnie. W beczce odwiedził mnie niezapowiedziany gość. Próbowałem ją ugościć jak najlepiej. Nie skarżyła się. Zostawiła mi nawet mały medalion, wykonany — jak twierdzi — ze szczerego złota. Wciąż czuję zapach jej perfum.

Ale nie uprzedzajmy wypadków.

Ponieważ bardzo dobrze pamiętam pałac calde w Starym Vironie, dom Inclito zrobił na mnie zapewne mniejsze wrażenie niż na przeciętnym gościu. Prawdę mówiąc (a o prawdę muszę dbać nade wszystko), nie umywał się nawet do mojego pałacu w Gaonie — do tego pałacu, o którym z całego serca staram się zapomnieć, tak jak i o stylu życia, które w nim wiodłem.

Dom powstał na fundamentach będących dziełem Zaginionego Ludu, nadbudowanych ceglami, z czego Inclito jest niezmiernie dumny. Od zewnątrz mury zostały otynkowane i pobielone, w środku natomiast wciąż widać, gdzie pradawny kamień łączy się ze świeżą czerwoną cegłą. Aby jednak oddać Inclito sprawiedliwość, muszę przyznać, że pokoje w domu są przestronne i opatrzone licznymi dużymi oknami. Zewnętrzne ściany są w większości zakrzywione, wewnątrz natomiast

biegną prosto. Odniosłem wrażenie, że wiele pokoiów, zwłaszcza tych nowych, największych, zostało dodanych później, kiedy właściciel miał na to ochotę — lub pieniądze.

Matka Inclito jest siwa jak ja, lecz i tak wydała mi się młodsza niż się spodziewałem, chociaż nie ulegało wątpliwości, że nie czuje się najlepiej. Z pewnością nie po niej syn odziedziczył z gruba ciosane, szorstkie rysy: jej twarz jest gładka, i gdyby nie zapadnięte policzki, mógłbym napisać, że ma kształt migdała. Drobnny nos i usta, a także łagodnie zakrzywione, choć wyraziste kości policzkowe giną przy olbrzymich, ciemnych oczach, które wyglądają jak jedyny żywy element w twarzy trupa.

Jej wnuczka, Mora, wdała się w ojca: jest za duża i zbyt masywna, żebym mógł ją nazwać atrakcyjną dziewczyną, choć przyznaję, że nosi się dumnie, jest cicha i sprawia wrażenie bystrej osóбки. Ma jakieś piętnaście lat.

Fava, jej przyjaciółka, jest od niej znacznie drobniejsza i całkiem ładna. W porównaniu z Morą można ją nazwać blondynką. Jest o kilka lat młodsza od Mory (w każdym razie tak wygląda) i na pierwszy rzut oka wydała mi się nerwowa i przygaszona.

Matka Inclito powitała mnie życzliwie, przeprosiła, że nie wstanie z łóżka, uprzedziła, że na kolację przyjdzie nam jeszcze z godzinę poczekać i zapytała, czy nie napiłbym się wina. Chętnie przystałem na tę propozycję, a wtedy Inclito podał mi kieliszek.

— To nasz trunek, z naszych własnych winogron. Jak ci smakuje?

Skosztowałem i orzekłem, że wino jest znakomite. Uczciwie przyznaję, że naprawdę było niegorsze.

— Jesteś derwisem? — spytała Fava. — Ojciec Mory tak nam powiedział.

— W takim razie chyba tak właśnie jest — zapewniłem ją — choć jestem tu obcy i nie znam wielu określeń, których używacie.

— Derwis to taki wędrowny święty mąż — podpowiedziała mi Mora.

— Wędrowny... To się zgadza. Mąż również. Trudno jednak nazwać mnie świętym.

— Za to z pewnością możesz nam opowiedzieć o odległych krainach — zasugerowała matka Inclito.

— Mógłbym opowiedzieć twojej córce, pani, i jej przyjaciółce o „Whorlu”, który jest jedynym znanym mi odległym krajem wartym wzmianki. Z pewnością jednak ty i twój syn już to zrobiliście, i to o wiele lepiej ode mnie.

— Gdzie byłeś, zanim przybyłeś tutaj? — zainteresowała się Mora.

Ojciec posłał jej surowe spojrzenie.

— W małej wiosce, położonej o dzień drogi na południe od waszego miasta. Mieszkałem w domu drwala.

— Nie jesteśmy w sądzie — zadudnił basem Inclito.

— Obiecuję, że to koniec pytań — odparła z uśmiechem jego matka. — Pozwól jednak, że coś jeszcze ci powiem. Nie zamierzam cię przy tym urazić.

Uspokoilem ją, że przed kolacją nie jestem skory do obrażania się.

— No więc gdyby Inclito, mój sławny syn, nie opowiedział mi o tobie wcześniej, pomyślałabym, że jesteś czarownikiem. Kiedy byłam mała, takich jak ty nazywaliśmy strego. Ucieszyłabym się z przybycia czarownika, bo w dogodnym momencie mogłabym

go poprosić o amulet, który zapewniłby mi zdrowie. A z taką twarzą, tego jestem pewna, byłbyś dobrym człowiekiem. Nawet jako strego.

— Wobec tego żałuję, że nim nie jestem, pani. Gdybym tylko mógł, z radością przywróciłbym ci zdrowie.

— Możesz się za nią pomodlić — zasugerowała Mora.

— Rzeczywiście. Tak zrobię.

Fava się uśmiechnęła. Jej uśmiech wydał mi się zarazem pociągający i złośliwy — a w każdym razie figlarny.

— Chciałabym, żebyśmy zegrali w naszą grę. Wiem, że jesteś ode mnie starszy, Incanto, ale jeśli bardzo ładnie cię poproszę, zgodzisz się?

Uśmiechnąłem się do niej w odpowiedzi — nie mogłem się powstrzymać, chociaż tak jak dla Inclito była dla mnie podejrzana.

— Jeśli ta gra wiązałaby się z bieganiem albo zapasami, musiałbym ci odmówić. W przeciwnym razie będę się z tobą bawił w co zechcesz i jak długo zechcesz.

— Ja nie umiem biegać!

— Właściwie to niemądra gra — wtrąciła matka Inclito — ale bawimy się w nią czasem, ponieważ tak robiliśmy w domu. A Fava ją uwielbia, bo zawsze wygrywa.

— Wcale nie! Wczoraj ty wygrałaś!

— Głosowaliście na mnie przez grzeczność.

— Opowiada się historie — wyjaśniła mi Fava. — A na końcu wszyscy głosują, tylko że nie można głosować na siebie. Ten, kto zaproponuje zabawę, opowiada ostatni.

— W takim razie proszę was, żebyście ze mną zegrali — powiedziałem. — Tylko muszę najpierw usłyszeć wasze

opowieści, żebym wiedział, jakiego rodzaju historię sam mam przedstawić.

Fava zaczęła protestować, ale matka Inclito uciszyła ją gestem drżącej ręki.

— Ty zaczniesz — powiedziała. — Pewnie dlatego tak często wygrywasz, że zawsze opowiadasz ostatnia. — Po czym zwróciła się do mnie: — Nie wolno przerywać opowiadającemu. To najważniejsza zasada. Jeśli przerwiesz, musisz dać fant.

Przygoda Fawy: Dziecko w strumieniu

Zdarzyło się to dwa lata temu, kiedy pojechaliśmy do Soldo, do krewnych w odwiedziny. Nasza rodzina ma tam taką ogromną farmę, nie tak dużą ani nie tak zamożną jak ta, ale większą i zamożniejszą od większości gospodarstw w tej części whorla. A nawet w całym whorlu.

Za ostatnim, najdalej wysuniętym na wschód polem kończyła się ziemia uprawna. Pole rozpościerało się u stóp góry i sięgało aż na jej zbocze, które wkrótce stawało się zbyt strome, żeby je zaorać. W górach pasły się owce i kozy, a młodzi mężczyźni czasem tam polowali. Nie chcieli brać mnie ze sobą, więc pewnego pięknego dnia postanowiłam pójść sama. Nie miałam strzelby, łuku ani niczego w tym rodzaju, bo tak naprawdę to nie chciałam zabić żadnego zwierzęcia, choćby nawet było najpiękniejsze. Krew mnie przeraża, o czym większość z was dobrze wie. Nie znoszę widoku zarzynanej świni; nie mogę nawet patrzeć, jak zabija się kaczki.

Tam wstawało się wcześniej, tak jak tutaj, ale tego dnia ja wstałam najwcześniej, przed wszystkimi. Ubrałam się i wybiegłam na pola jeszcze przed rozjaśnieniem, jak to mówią

starsi ludzie. Pamiętam, że bałam się wejść do lasu zanim wstanie dzień, ale niepotrzebnie się martwiłam. Zanim doszłam na skraj pól, zrobiło się już dość jasno, a kiedy zagłębiłam się między drzewa, dzień wstał na dobre i wszystko rzucało normalne cienie. Las był prześliczny. Kozy i owce wyskubały prawie całe runo, tak że zostały tylko duże drzewa, i miałam wrażenie, że spaceruję po ogromnym budynku, takim jak capelle bogów w starym whorlu. Oczywiście ja nigdy nie widziałam capelli, ale odkąd tu przyjechałam, Salica mi dużo o nich opowiadała. No więc ten las wyglądał dokładnie tak jak one. Mora się pewnie zastanawia, czy się nie bałam, że zabłądzę; ona zawsze się boi, kiedy znajdzie się w jakiejś obcej okolicy. Ale ja się nie bałam. Cały czas wdrapywałam się pod górę, więc wiedziałam, że kiedy będę chciała wrócić na farmę, wystarczy iść w dół stoku. Jak widzicie, byłam bardzo pewna siebie i szłam bardzo, bardzo długo.

Minęła chyba z połowa poranka, kiedy dotarłam nad taki mały strumyk. Napiałam się wody, która była lodowata, bo wytapiała się ze śniegu pod szczytem. Zaintrygowało mnie wyżłobione w skale koryto potoku, więc postanowiłam pójść kawałek wzdłuż niego.

Nie uszłam daleko, kiedy usłyszałam płacz dziecka. Przyszło mi do głowy (co zrozumiałe), że jakieś maleństwo zgubiło się w lesie, więc przyspieszyłam kroku, gramoląc się po kamieniach nad strumieniem. Po jakiejś minucie czy dwóch pomyślałam, że dziecko jest pewnie śmiertelnie przestraszone i że jeśli wypadnę na nie w pełnym pędzie, wypłoszę je do reszty, a wtedy przede mną ucieknie. Zwolniłam, ale dalej szłam całkiem szybko. Na szczęście szum strumienia zagłuszał chrzęst żwiru

pod moimi stopami i hałas, jaki robiłam, kiedy potknęłam się o kamień.

Niedługo potem zobaczyłam bardzo brudną kobietę, która przytrzymała bardzo brudnego nagusieńkiego chłopczyka. Woda sięgała chłopcu do kolan, a kobieta szorowała go bardzo brudną szmatą. Podbiegłam do niej i zapytałam, co też ona sobie wyobraża. Biedny maluch miał skórę zaczerwienioną jak burak i cały się trząsał, aż mi się go żal zrobiło. Musiał być przemarznięty i wystraszony.

Spojrzała na mnie i odparła spokojnie, że to jej syn, nie mój, i że jeśli chce go umyć, to jest to wyłącznie jej sprawa.

No cóż, nie jestem taka silna jak Mora; jestem też chyba słabsza od tej kobiety, ale wtedy wcale o tym nie myślałam. Pogroziłam jej pięścią i wyjaśniłam, że kiedy matka znęca się nad dzieckiem, to jest to sprawa każdego porządnego człowieka, który może ją powstrzymać. Dodałam, że nie przyszłoby mi do głowy wtrącać się, gdyby dawała dziecku klapsa za złe zachowanie albo normalnie je kąpała, ale w takiej lodowatej wodzie chłopczyk na pewno umrze z zimna. Ostrzegłam, że jeśli mnie do tego zmusi, obrzucę ją kamieniami albo obtlukę kijem. Wzięłam nawet kamień do ręki, ale wtedy ta kobieta wyjęła dziecko z wody i je przytuliła.

— Mówisz, że ta woda go zabije — odparła. — Nawet nie wiesz, ile racji jest w twoich słowach. Przyniosłam go tutaj, żeby go utopić, i zrobię to, gdy tylko sobie pójdziesz.

Po kawałku wyciągnęłam z niej całą historię. Po śmierci męża została sama z szóstką dzieci. Przez kilka lat mieszkała z pewnym mężczyzną, licząc na to, że się z nią ożeni. To on był ojcem chłopca, którego myła w strumieniu. Kiedy jednak i on ją porzucił, nie mogła sama zaopiekować się siedmiorgiem

potomstwa. Postanowiła zmniejszyć swoje brzemię — i wybrała tego właśnie chłopca: był siódmym dzieckiem, najmłodszym i najśłabszym, więc stawiałby najmniejszy opór. Nad strumieniem ogarnęła ją jednak dziwna дума i postanowiła przynajmniej go umyć, żeby jego zwłoki nie przyniosły wstydu rodzinie, kiedy ktoś je znajdzie.

Kiedy skończyła, zapytałam, czy opowiadając mi swoje dzieje nie zmieniała zdania. Odparła że nie; chłopiec był już wystarczająco czysty, a ona zamierzała go utopić, gdy tylko zniknę jej z oczu. Kiedy dodała, że z dnia na dzień coraz bardziej przypominał ojca, wiedziałam, że mogę zrobić tylko jedno: przekonałam ją, żeby oddała mi dziecko, i obiecałam, że jeśli pójdzie ze mną do domu, w którym mieszkam, dostanie jedzenie dla siebie i pozostałych dzieci.

Wstydziłam się, kiedy wróciłam do domu, w którym byłam tylko gościem (i to takim raczej ubogim krewnym), holując za sobą trzyletnie dziecko. Ale stało się. Dobrzy ludzie nakarmili chłopca i urządzili mu małe posłanie w pokoju, w którym mnie ulokowali. Wieczorem, zanim przyszła jego matka, porozmawiałam o wszystkim z panią domu i razem doszłyśmy do wniosku, że najlepiej zrobię, jeśli zabiorę go ze sobą i tutaj poszukam mu nowej, porządnej rodziny. Wiem, że nasze miasto ma zatargi z innymi miastami, ale nie myślcie sobie, że w Soldo i okolicach mieszkają sami źli ludzie. Tak postanowiłyśmy, a kiedy matka chłopca się zjawiała, gospodyni podarowała jej dwie ładne, tłuste gęsi.

Wszyscy się zgodzili, że chłopczyk jest ładniutki i milutki, chociaż nie był zbyt bystry i sprawiał wrażenie chorego — albo po tym okropnym szorowaniu w strumieniu, albo przez to, że się wystraszył, kiedy własna matka chciała go utopić. Nie

wiedział, jak ma na imię, albo może nie chciał nam powiedzieć. W każdym razie nazwaliśmy go Bricco, bo kiedy go przyprowadziłam, był taki brudny, że aż czarny.

Z jego matką za to cały czas mieliśmy problemy. Pierwszej nocy przyszła pod kuchenne drzwi i, jak już mówiłam, dostała dwie gąski. Następnego wieczora znów się zjawiała, poprosiła o coś innego i dostała to, co chciała. Następnej nocy znów przyszła, i następnej, i jeszcze następnej. W przedostatnią noc dali jej chyba dwie rzepy, a w ostatnią już nic.

Na to ona poszła do sądu i oskarżyła mnie o kradzież syna. Sędzia przysłał dwóch żołnierzy, żeby zabrali dziecko i oddali je matce. To nie był diuk we własnej osobie, tylko jakiś pomniejszy sędzia, któremu diuk zlecił rozsądzanie mniej ważnych spraw.

Powinnam była przewidzieć, że sprawa skończy się w sądzie, gdzie spotkaliśmy się we troje: chłopiec, jego matka i ja. Krewni, z którymi tam pojechałam, stanęli po mojej stronie; tak samo rodzina, u której mieszkaliśmy. Opowiedziałam sędziemu, co się wydarzyło, tak jak dziś wam opowiadam. Matka chłopca zarzuciła mi kłamstwo; twierdziła, że wyszła z synem na jagody, a ja ukradłam jej dziecko, gdy tylko na chwilę spuściła je z oka.

Tak przynajmniej mówiła na początku, bo kilka celnych pytań sędziego wyjaśniło sprawę. Kobieta, u której mieszkaliśmy, zeznała, że matka ani razu nie poprosiła o oddanie Bricco — zawsze tylko zabierała jedzenie.

Sędzia zrobił wtedy bardzo inteligentną rzecz: posadził Bricco na małym podwyższeniu obok swojego stołu, chwilę z nim porozmawiał i zapytał go, czy woli wrócić do domu z matką, czy zostać ze mną. Bricco powiedział, że chce zostać, i to zakończyło sprawę.

Zaraz potem ruszyliśmy w drogę powrotną do domu. Przez ten proces zasiedzieliśmy się miesiąc za długo i teraz wszyscy chcieli wracać. Pierwszej nocy spaliśmy, jak to się mówi, przy gościńcu, za to drugiego dnia znaleźliśmy dobrą i niedrogą gospodę i zatrzymaliśmy się w niej na noc. Kiedy rano się obudziłam, Bricco zniknął.

Całkiem poważnie myślałam o tym, żeby wrócić i go poszukać, ale inni nawet nie chcieli o tym słyszeć, a ja wołałam nie wracać sama. Wiadomo przecież, że trakty bywają niebezpieczne, zwłaszcza dla samotnych podróżnych, takich jak ja.

Nikt nie miał wątpliwości, co się naprawdę wydarzyło: Bricco zatęsknił za domem i uciekł. Zastanawialiśmy się, czy wróci cały i zdrowy do domu; dwóch ludzi nawet cofnęło się godzinę gościńcem, żeby go poszukać, ale nic nie znaleźli. Doszliśmy do wniosku, że wrócił do domu albo zatrzymał się po drodze w jakimś miłym miejscu.

— W tym momencie chciałabym was zapytać, co myślicie o tej historii — stwierdziła Fava. — Wiem, że nie można przerywać opowiadania, więc na tym skończę, ale potem chciałabym jeszcze dodać parę słów.

— Z twoich słów jasno widać, jak źle dzieje się ubogim mieszkańcom Soldo — stwierdził Inclito. — Ta rodzina przez szesnaście lat straciła całą ziemię i teraz głoduje. Staramy się, żeby u nas nie dochodziło do takich sytuacji.

Rozejrzał się, jakby prowokował nas do dyskusji, ale nikt nie podjął tego wątku.

— To się wydarzyło dwa lata temu? — upewniła się jego matka. — Sama byłaś wtedy dzieckiem, Favo.

Fava pokiwała głową i spojrzała na Morę, ciekawa, co powie. Trudno było nie zauważyć, jaki stanowią kontrast: Mora, wyższa od niejednego mężczyzny, niemal groteskowa w niebieskiej sukience i makijażu — i Fava, o połowę mniejsza i jeśli nie piękna, to z pewnością atrakcyjna dzięki przeszywającemu spojrzeniu i zaróżowionym policzkom.

— Moim zdaniem zachowałeś się bardzo przyzwoicie, Favo — stwierdziła Mora niskim, leniwym głosem. — Chociaż nie wszyscy tak uważają.

Fava z uśmiechem zwróciła się w moją stronę.

— Jesteś tu chyba najstarszy, Incanto, a mój obecny gospodarz twierdzi, że bardzo mądry z ciebie człowiek. Czy możemy usłyszeć twoją opinię?

— Gdybym był mędrce, nie wygłosiłbym żadnej opinii, nie wysłuchawszy opowieści do końca. Ponieważ jednak nim nie jestem, przyznaję, że wydała mi się interesująca, zwłaszcza w części traktującej o procesie. Przypomniała mi się podobna sprawa, o której kiedyś słyszałem: pewna kobieta twierdziła, że służąca jest jej córką, mimo że dziewczyna stanowczo temu zaprzeczała. Na razie posłuchajmy, co było dalej.

— Jak sobie życzysz. Wszystko to wydarzyło się dwa lata temu, kiedy byłam, jak słusznie zauważyła Salica, młodsza. W zeszłym roku miałam okazję ponownie odwiedzić Soldo. Jak sobie zapewne wyobrażasz, ucieszyłam się ogromnie i natychmiast po przybyciu na miejsce zaczęłam rozpytywać o Bricco. Po dwóch dniach znalazłam dom, w którym mieszkała jego matka, ale, co chyba zrozumiałe, wcale nie spieszo mi było do spotkania z nią. Popytałam bawiące się w okolicy dzieci, opisałam im Bricco i wyjaśniłam, że był najmłodszy z całej rodziny. Nie zgadniecie, co mi powiedziały.

Obaj z Inclito pokręciliśmy głowami.

— Powiedziały, że zabrali go Zaginieni Ludzie. Ze spodobał się pewnej wysoko urodzonej kobiecie z Zaginionego Ludu i jej służący go wykradli. Podobno od czasu do czasu widywano go jeszcze w okolicy, ale rzadko. Był chudy, blady i nieszczęśliwy, a w dodatku zaraz znikał. Jak duch.

— Posłuchaj, Favo — westchnęła matka Inclito. — Bądź z nami szczerą. Czy to prawdziwa historia? Nie zmyśliłaś jej?

— Nie powiedziałam, że on im się naprawdę pokazywał — zauważyła Fava. — Tylko że one tak mówiły. Bo tak mówiły.

— Szproty wymyślają najdziwniejsze historie — chrząknął Inclito. — Teraz ty, Moro. Posłuchajmy, co nam powiesz.

Opowieść Mory: Córka olbrzyma

To będzie dzisiaj najkrótsza historia. I najmniej skomplikowana, ale zarazem najlepsza, chociaż nie liczę na zwycięstwo. Prawdę mówiąc, nie chciałabym wygrać. Fava zawsze wygrywa i tak powinno stać się i tym razem.

Kiedy whorl był młody — czyli wcale nie tak dawno — było w nim pewne przytulne, ciche miasteczko, które tym tylko różniło się od innych okolicznych miast, że należało do najlepszego z olbrzymów. Olbrzym mieszkał w białym zamczysku pod miastem, a mieszczanie nie mogli się na niego skarżyć — był, to fakt, ogromny, bardzo silny i niezbyt ładny, ale za to łagodny, hojny, mądry, dobry i dzielny, i ze świecą by szukać lepszego właściciela. Sami zresztą nie umieliby rządzić miastem nawet w połowie tak dobrze, jak on to robił.

Można by pomyśleć, że będą zadowoleni z takiego układu. I rzeczywiście, wielu się cieszyło, ale wielu innych kręciło nosem.

— Jakim prawem on jest większy od nas? — pytali.

— A jakim prawem jest bogatszy?

— Niedobrze mi się robi, jak widzę tego wesołka. Sprawy układają się fatalnie, a on się uśmiecha i pogwizduje!

— Gdybym miał taki majątek, też bym był wesoły i odważny — powtarzali sobie, kiedy ich nie słyszał. Nie przyszło im do głowy, że olbrzym był równie mądry, radosny i dzielny, kiedy za cały majątek miał tylko córkę-jedynaczkę.

Była tak samo wysoka i silna jak on, czyli z pewnością zbyt duża, żeby nazwać ją ładną. Przykro mi to mówić, lecz była też stanowczo za młoda, żeby uchodzić za mądrą. Uczęszczała razem z innymi dziewczętami do akademii w mieście, gdzie wyróżniała się z tłumu jak krowa spośród kur. Koleżanki nabijały się z niej — ale tylko do dnia, kiedy w bójce powaliła pół klasy.

Po tym zdarzeniu akademii podzieliła się na dwa obozy, tak jak czasem dzieli się *corpo*. Do jednego obozu należała córka olbrzyma, do drugiego — wszyscy pozostali, nawet nauczyciele. I tak to trwało przez rok, aż do akademii przyszła nowa dziewczynka. Była ładniejsza od najładniejszej mieszczanki i bystrzejsza od najbystrzejszej. Wszyscy chcieli się z nią przyjaźnić. Wyobraźcie sobie, jak się zdziwili, kiedy na przyjaciółkę wybrała sobie młodą olbrzymkę! A jacy byli wściekli!

W akademii nadal istniały dwa obozy i w dalszym ciągu ten drugi był znacznie liczniejszy od pierwszego. Ale do pierwszego należała uczennica, która wygrywała wszystkie konkursy biegów i skoków, a także dziewczynka, która najlepiej radziła sobie z arytmetyką, pisaniem i innymi przedmiotami. No i wtedy mnóstwo dziewcząt chciało się do nich przyłączyć.

Niektórym zdawało się nawet, że są na dobrej drodze, ale po paru dniach przekonywały się, że wcale nie należą do pierwszego obozu.

Jeśli ktoś z was uważa, że to wcale nie jest szczęśliwe zakończenie, to chyba nigdy nie był w takiej akademii jak ta, gdzie wszyscy krzywo patrzyli na córkę olbrzyma.

— Bardzo ładna historia — stwierdziła Fava. — Będę na nią głosować. Myślę, że możesz dziś wygrać.

Mora pokręciła głową.

— Olbrzym wolałby milczeć — powiedział Inclito. — Ma własne kłopoty i chyba za mało interesuje się kłopotami innych. Mimo to chciałbym usłyszeć, co nasz gość ma do powiedzenia. Incanto?

Przypomniałem sobie moją opowieść o karierze patere Jedwabia w Vironie.

— Moim zdaniem najlepsze są prawdziwe historie, w dodatku takie, które budzą w autorze żywsze uczucia. Dlatego muszę przyznać, że twoja opowieść, Moro, należy do najlepszych, jakie w życiu słyszałem.

Inclito z powagą pokiwał głową i zwrócił się do matki: — Chcesz być następna? Czy wolisz, żebym ja mówił?

— Mów.

Relacja Inclito: Żołnierz i jego brat

Działo się to przed dziesięciu laty, kiedy walczyliśmy z Heleno. Miałem pod sobą stu ludzi, a wśród tej setki było dwóch braci: Volto i Mano. Nienawidzili się serdecznie. Kiedy się o tym

dowiedziałem, próbowałem ich jakoś rozdzielić, ale niewiele można zdziałać, kiedy ma się tylko stu żołnierzy.

Volto był wysoki, kościsty i miał paskudną, zgorzkniałą twarz. Ja też jestem brzydki, ale to Pah dał mi takie rysy. Jego twarz była brzydka, bo miał ohydne myśli. Należał do tych ludzi, którzy nie dość, że pracują niechętnie, to jeszcze zysk z ich pracy jest mizerny w porównaniu z tym, ile trzeba się namęczyć, żeby ich do czegokolwiek zmusić. Ale był dobrym żołnierzem.

Mano, młodszy, był przy nim jak dzień przy nocy: zawsze zadowolony, pracowity, powszechnie lubiany, a przy tym odważny. Dzielny młodzieniec — chociaż to i tak nie miało znaczenia: nienawidził Volto równie serdecznie, jak Volto nienawidził jego. Mówił mi nawet, że w dzieciństwie Volto bił go przy każdej okazji; trzy, cztery razy omal nie zatłukł go na śmierć.

Pokonaliśmy Heleno i przez dłuższy czas nie opuszczaliśmy ich miasta, próbując odzyskać to wszystko, co nam ukradli. Wprowadziliśmy godzinę policyjną, ludziom nie wolno było wychodzić z domów po zmroku, moi żołnierze pilnowali porządku. Rozstawiłem ich wszędzie, prawie na każdym skrzyżowaniu. A potem było tak, jak w opowieści mojej córki: za dużo myślałem o swoich kłopotach. Mano stał na straży. Sierżant wyznaczył Volto na jego zmiennika — miał przejąć służbę, kiedy warta Mano się skończy.

Padł strzał. Wszyscy pobiegli zobaczyć, co się stało. Volto już nie żył. Nawet nie zdążyłem z nim porozmawiać. Wszyscy pomyśleli, że Mano zczekał, aż przyjdzie go zmienić, i wtedy go zastrzelił. Wszyscy, ale nie ja. Nikt nie miał szczególnych pretensji do Mano, lecz morderstwo pozostaje morderstwem.

Sprawdzili nowego oficera, majora, żeby go osądził. Ten major nie znał ani Volto, ani Mano. Pomyślałem, że to uczciwe, ale potem zmieniłem zdanie. Poszedłem spotkać się z Mano. Trzymali go pod kluczem.

— Dlaczego to zrobiłeś? — zapytałem. — Będą cię chcieli powiesić. Co im powiesz?

Długo trwało, zanim udało mi się wyciągnąć z niego całą historię.

— Chciał mnie zabić — odparł Mano. — Powiedział, że kiedy mnie zabije, on i cała rodzina będą mogli udawać, że nigdy mnie nie było. „Nie będziesz miał nawet nagrobka”, tak powiedział. Nigdy mu tego nie zapomnę, chociaż pomyślałem, że po prostu znów kłamie. Znów mnie oszukuje. W rozmowie z Volto zawsze należało być przygotowanym na kłamstwo; tak jak treser zwierząt wie, że koń nigdy nie zapomina czegoś, co go zraniło. Z Volto było wiadomo, że prędzej skłamie niż powie prawdę, nawet jeśli nie musiał kłamać. Wydawało mu się wtedy, że jest mądrzejszy od swojego rozmówcy.

— Chciał cię zastrzelić, tak? Więc musiałeś strzelić pierwszy? Mano w milczeniu pokręcił głową.

— Powiem to majorowi, który będzie cię sądził. Ludzie cię lubią, wiedzą, że dobry z ciebie żołnierz. Niektórzy już rozmawiali z majorem. Słyszał o tobie, o twoim bracie... Zaprzecza temu, ale coś na pewno musiał słyszeć. To miasto jest takie małe. Wieści szybko się rozchodzą.

— Nie — przerwał mi Mano.

— Rozumiem. Byłeś zmęczony. Chciałeś po prostu wrócić do garnizonu i położyć się spać. Przyszedł twój zmiennik. Rozpoznałeś go. Poznałeś tę twarz, te oczy. Wymierzył do ciebie ze strzelby, więc strzeliłeś pierwszy.

— Nie. To by było kłamstwo. Bogowie by się zorientowali, kapitanie. Sędzia też by je przejrzał.

Wyszedłem. Potem przyszedł do mnie mój sierżant. Obejrzał broń braci. Ze strzelby Volto ktoś strzelał: komora była pusta i śmierdziała prochem. Z broni Mano nie oddano ani jednego strzału. Sierżant zapytał, czy ma o tym powiedzieć majorowi, ja zaś odparłem, że naturalnie tak, bo sprawa i tak może się wydać, a wtedy będzie z nim źle.

Wróciłem do Mano.

— Dlaczego podmieniłeś strzelby? — zapytałem. — Źle to wygląda.

— Wcale ich nie podmieniłem — stwierdził i dopiero wtedy wszystko mi opowiedział.

Kiedy rozpoznał w zmienniku brata, ten podniósł strzelbę i przystawił ją sobie do piersi.

— Miał takie długie ręce — wyjaśnił mi Mano — ale i tak nie myślałem, że mu się uda. Nie sądziłem, że dosięgnie spustu. Zacząłem się śmiać. Nigdy sobie tego nie daruję. Wyśmiałem go, a on pod wpływem impulsu pociągnął za cyngiel.

Nie pogrzebaliśmy jeszcze Volto, a od chwili zgonu minęło dość czasu, żeby stężenie ustąpiło. Wziąłem jego strzelbę, przystawiłem trupowi do piersi i złapałem go za rękę. Strzelba miała krótką lufę, a Volto był wysoki i długoręki. Kiedy wyciągnął rękę, o tak... Mógł to zrobić.

Mano opowiedział sędziemu, jak zginął Volto. Poręczyłem za niego. Mieliśmy przeciw sobie z tuzin oponentów, którzy potwierdzili wzajemną wrogość braci. Powiedzieli, że Mano i Volto wielokrotnie grozili sobie śmiercią. Lubili Mano i wcale im się nie podobało, że muszą mówić takie rzeczy, ale pod

przysięgą nie mogli kłamać. Major uznał, że sprawa jest oczywista, i kazał mi powiesić Mano.

Następnego dnia przekonaliśmy się, że wojna wcale się jeszcze nie skończyła. Tuż po rozjaśnieniu zaatakowali nas żołnierze Poliso. Przełożyłem egzekucję na później — nie dlatego, że miałem nadzieję ocalić Mano, ale dlatego, że potrzebowałem wszystkich swoich ludzi bez wyjątku. Dwa dni byliśmy w oblężeniu. Od śmierci Zitty nigdy nie czułem się tak fatalnie jak wtedy. Baliśmy się, że wszyscy zginiemy, ale postanowiliśmy walczyć do końca.

Jednak każdy wie, że lepiej się walczy, kiedy to nie chodzi o jego koniec, tylko koniec przeciwnika. Musieliśmy wysłać do Blanko wiadomość i poprosić o posiłki, ale nieprzyjaciel otaczał nas szczelnym kordonem. Nie wiedzieliśmy, co zrobić.

Poszedłem do majora.

— Mam nadal w areszcie tego żołnierza, który zastrzelił brata — powiedziałem. Z takimi ludźmi jak major lepiej nie dyskutować. — Proponuję go wysłać z listem do Blanko. Jeśli go zabiją, wykonamy egzekucję rękoma nieprzyjaciela. Jeżeli zaś się przedrze, zasłuży na ułaskawienie.

Major, zgodnie z moimi oczekiwaniami, nie chciał przystać na moją propozycję.

— No dobrze — powiedziałem w końcu. — W takim razie proszę mi pozwolić go wypuścić i oddać mu broń. Każdy żołnierz się przyda, tym bardziej dobry żołnierz.

Ten argument poskutkował. Posłaliśmy Mano z listem. Przedarł się, ale został ranny w brzuch. Kiedy wróciłem do domu, był umierający. Poszedłem go odwiedzić; gdybym się spóźnił choć o jeden dzień, fatygowałbym się na próżno. Powiedziałem mu, że jest bohaterem, że uratował nas

wszystkich i że rodzina będzie z niego dumna po wieczne czasy, aż Molpe wyjdzie za mąż. „Aż Molpe wyjdzie za mąż, i jeszcze przez cały rok później”, tak dokładnie powiedziałem. , A za dwadzieścia lat ja będę się chwalił dzieciom Mory, że byłem twoim oficerem”, dodałem.

Siedziałem przy jego łożu śmierci, kiedy przyszło ułaskawienie: duża biała koperta, wysłana przez corpo, przewiązana jedwabną wstążką i opieczętowana ogromną czerwoną pieczęcią, tak grubą, że Mano nie miał siły jej złamać. Otworzyłem więc Ust, przeczytałem mu go, a on się uśmiechnął. Twarz miał żółtą jak masło w maselnicy. Ten uśmiech odebrałem jak nóż wbity mi w serce.

— Każdy by się tam przedarł, panie kapitanie — wyszeptał.
— To żaden wyczyn.

Nie miał racji. Nigdy przedtem nie widziałem równie odważnego człowieka. Powiedziałem mu o tym.

— Ale zastrzelić rodzzonego brata... i uniknąć stryczka... to już coś. Ilu ludzi może się tym pochwalić?

— Co za okropna historia, mój synu — odezwała się matka Inclito. — Incanto pomyśli, że jesteśmy jakimiś potworami.

— Niektórzy z nas są. — Inclito pociągnął łyk wina. — W każdym mieście tacy się zdarzają.

— W rzeczy samej. — Kobieta pokiwała głową. Przejechała po włosach dłonią tak bladą i suchą, że miałem wrażenie, iż mógłbym przejrzeć ją na wylot. — W rzeczy samej. Cieszę się, że o tym wspomniałeś, Inclito, synu mój. Zachodziłam w głowę, jaką też historię mogłabym opowiedzieć, której ty i Mora jeszcze byście nie słyszeli, i twoje słowa coś mi przypomniały. — Odwróciła się do mnie. — Opowiem o Grandecitta, o dawnych

czasach. Młodzi myślą, że wspominając tamte dzieje okłamujemy ich, ale ty i Inclito znacie prawdę. Byłam wtedy o rok starsza od Mory i Favy, może o dwa lata... Z pewnością nie więcej. Zapewne mi nie uwierzysz, tak jak młodzi nie wierzą, ale byłam wtedy bardzo ładną dziewczyną.

— Wciąż jest pani piękną kobietą — odparłem szczerze. — Sądzę więc, że w wieku pani wnuczki musiała pani być olśniewającą pięknnością.

3

Wspomnienie matki: Zza grobu

Mój syn opowiedział o wojnie, którą wszyscy pamiętamy. Ja opowiem o innej, toczonej pod długim słońcem. Ledwie wyrosłam z lat dziecięcych, gdy ta wojna wybuchła.

Ledwie wyrosłam z dziecięcych lat, ale już zdążyłam stać się obiektem zalotów dwóch młodzieńców: Turco i Casco. Wolałam Turco. Do dziś pamiętam, jak siadywaliśmy pod drzewkami pomarańczy, mówiąc o miłości i wspólnej rodzinie. Kiedy teraz o tym myślę, wydaje mi się, że często tak rozmawialiśmy, ale to niemożliwe, bo w moich wspomnieniach drzewka zawsze kwitną. Jakież długie były wtedy lata!

Nadeszła wojna. Zamożny Casco mógł sobie pozwolić na zakup pięknego konia, wstąpił więc na służbę do kawalerii. Przyjechał się ze mną pożegnać, zanim udał się na front. Dochodziło chyba południe, leżałam w swoim pokoju. Do tej pory słyszę, jak puka do drzwi i jak nasza starsza służąca mruczy coś pod nosem, idąc do drzwi. Nie musiałam pytać; wiedziałam, kto przyjechał, wstałam więc i wyszłam z nim porozmawiać.

— Ja wrócę — powiedział. — I obiecuję, że jeśli znajdę przy tobie tego zakłamanego fałszywca Turco, złożę jego zwłoki u twoich stóp. Nie mów potem, że cię nie ostrzegalem.

Casco był silnym i dzielnym człowiekiem, ale ledwie znalazł się na froncie, od razu został ranny. Wydawało mi się, że dopiero co wyjechał, kiedy dostałam od niego pierwszy list. Pisał ze szpitala. Nie pamiętam dokładnie jego słów, ale wszystkie listy Casco brzmiały podobnie. Czczył mnie, ubóstwiał wręcz i wiedziałam, że gdybym odważyła się przy nim choćby zerknąć na innego mężczyznę, obciąłby mi nos. Albo i gorzej. Mam nadzieję, dziewczęta, że wy takich listów nie dostajecie. Możecie mi wierzyć, nie ma w nich nic miłego.

Jak się można było spodziewać, nie ustawał w błaganiach, żebym przyszła go odwiedzić w szpitalu, co też w końcu — w dniu ślubu — uczyniłam, ale Casco stracił przytomność i w ogóle nie wiedział, że przyszłam. Nie macie pojęcia, jak mi ulżyło. Znalazłam pielęgniarkę, która się nim opiekowała, i zapytałam, czy wyzdrowieje, na co ona odparła, że nie. Poczulałam ogromną radość.

Ale on wyzdrowiał. Czarny wieniec wisiał jeszcze na drzwiach naszego domu, kiedy przyszedł w odwiedziny; jego żołnierskie buciory dudniły na drodze, koniec szabli włókł się po ziemi, kawaleryjski mundur wisiał na nim jak na strachu na wróble, ale na widok wieńca i mojej czarnej sukni zdobył się na uprzejmość.

— Twój ojciec? — zapytał.

— Mój mąż — odparłam.

Wybałuszył oczy, niczego nie rozumiejąc.

— Czyżbyś sądził, że poza tobą nie było więcej ofiar, Casco? Patre połączył nas węzłem małżeńskim niespełna dwadzieścia

łóżek od tego, w którym leżałeś. Po ceremonii pozwolono mi zabrać męża do domu. Później sama się nim opiekowałam.

Spojrzał na mnie spode łba. Wzrok miał taki, jakby chciał mi się rzucić do gardła.

— Potrzebowali wolnych łóżek, a zdawali sobie sprawę, że ani ich wysiłki, ani moje nie zapobiegną jego śmierci. Dlatego pozwolili nam go tutaj przewieźć, a kiedy zmarł, pochowaliśmy go na naszym rodzinnym cmentarzyku, nieopodal sadu, w którym — razem przesiadywaliśmy. Co dnia chodzę na jego grób i wypłakuję sobie oczy.

— Zaprowadź mnie tam.

Pokręciłam głową.

— Jeśli chcesz zobaczyć grób i pomodlić się, proszę bardzo. Ja z tobą nie pójdę.

Casco skinął głową i przeszedł przez dom, na podwórze, ja zaś wróciłam do siebie i zamknęłam drzwi. Dopiero później dowiedziałam się, co zrobił.

Wychodząc ode mnie pałał gniewem, za to po powrocie był spokojny i układny. Obserwowałam go przez okno; wydał mi się tak schorowany i osłabiony, że żal mi się go zrobiło. Jak by nie patrzeć, kochał mnie, a żadne z nas nie było winne tego, że nie chciałam takiej miłości, jaką mógł mi ofiarować. Poza tym walczył przecież w obronie Grandecitta i odniósł poważne rany.

Zeszłam do niego na parter, poprosiłam, aby usiadł i zapytałam, czy nie miałby ochoty na wino i owoce, które orzeźwiłyby go przed powrotem do miasta.

Podziękował i usiadł. Przyznał, że nie czuje się najlepiej, na co już wcześniej zwróciłam uwagę.

— Kieliszek wina, jeśli można prosić. — Nigdy nie zapomnę bladości jego twarzy ani widoku kości czaszki, przezierających

spod skóry. — Jakiego bądź wina. Wypiję i więcej nie będę ci się naprzykrzał.

Nie wierzyłam mu. Byłam przekonana, że gdy tylko poczuje się lepiej, zacznie mnie po dawnemu adorować. Szykowałam się do tego, żeby stanowczo mu odmówić. Co nie zmieniło faktu, że pospiesznie napełniłam winem kieliszek — malutki, ten sam, którego używałam, kiedy byłam jeszcze za mała, żeby siadać do kolacji z rodzicami — i poszłam mu go zanieść.

Często się potem zastanawiałam, jak długo mnie nie było. Pół minuty, minutę, może dwie — z pewnością nie dłużej. A jednak wystarczająco długo. Casco spadł z krzesła i leżał na podłodze. Nie żył. Wrzasnęłam i upuściłam kieliszek, ale zdawało mi się, że całe wieki minęły, nim ktoś się zjawił. Zdążyłam już częściowo opanować lęk, uklękłam i zaczęłam zbierać odłamki szkła i wycierać rozlane wino. Wtedy właśnie zauważyłam, że Casco nie ma szabli: miał tylko pas i zawieszoną przy nim pustą pochwę.

Teraz powiem wam, co następnego dnia zdradziła mi nasza stara służąca, Schiamazza. Bała się, że Casco zechce zbeczczyć grób mojego męża, więc śledziła go, kiedy poszedł do sadu.

Przez długą chwilę stał nad grobem. Nie było jeszcze nagrobka i Schiamazza podejrzewała, że Casco ma wątpliwości, czy znalazł właściwy grób — mimo kopca kwiatów, które na nim złożyłam. Rozglądał się czujnie, aż Schiamazza zaczęła się bać, że ją zauważy, chociaż schowała się za drzewem w dość znacznej od niego odległości. Pomyślała, że pewnie szuka innego świeżego grobu; ja sądzę, że raczej upewniał się, czy nikt go nie zobaczy.

Wyjął szablę i uklękął. Widząc, w jaki sposób ujął broń, Schiamazza domyśliła się, co zamierza, ale bała się krzyknąć o

pomoc. Klęcząc na grobie, na piersi mojego biednego Turco, ścisnął rękojeść oburącz i wzniósł szablę do ciosu.

Schiamazza mówiła, że potem zdarzył się cud. Może tak było, a może nie, sami musicie to osądzić.

Obok Casco stanął wysoki mężczyzna, na którego ramieniu siedział ptak. Schiamazza nie zauważyła, skąd się tam wziął, tak jak potem nie widziała, dokąd odszedł. Kiedy Casco zamachnął się szablą jak nożem, ze strachu zamknęła oczy, a gdy je otworzyła, ten wysoki już tam stał. Z całą pewnością był czarownikiem. Strego. Przemówił do Casco dość głośno, bo stara Schiamazza go usłyszała: — Tylko tchórz atakuje umarłego. Trupy nie mogą się bronić.

Casco opuścił broń i coś odpowiedział, zbyt cicho jednak, by służąca dosłyszała jego słowa.

— Jak chcesz — odparł strego. — Ale pamiętaj: umarli potrafią się mścić.

W tej samej chwili odezwał się również familiare czarownika. Nieraz słyszałam gadające ptaki, ale żaden z nich nie mówił do rzeczy. Schiamazza zaś zaklinała się na wszystkie świętości, że ten ptak przemówił do Casco jak człowiek do człowieka.

— Strzeż się! — powiedział. — Strzeż się!

Zatrzepotał skrzydłami i obaj — on i strego — zniknęli.

Casco znów wziął zamach szablą, przez chwilę trzymał ją wzniesioną nad głową — modląc się lub klnąc w duchu — a potem zatopił ją aż po gardę w świeżo wzruszonej ziemi. Wstał, roztrącił nogami kwiaty i, jak mówiła Schiamazza, zaczął niemal tańczyć na grobie, taki był wściekły. Tak ją to przeraziło, że uciekła.

Pozwólcie, że w tym miejscu zrobię krótką przerwę. Z twoich oczu, Incanto, odczytuję nieme pytania. Spróbuję na nie odpowiedzieć. Cmentarzyk i sad były otoczone kamiennym murem, wysokości mniej więcej tych drzwi, które tu widzisz. W murze były dwie furtki. Tę, która znajdowała się dalej od domu, zamykaliśmy na klucz i rzadko z niej korzystaliśmy. Zdarzało się, że chłopcy z sąsiedztwa przełazili przez mur i kradli nam owoce z sadu, więc i strego mógł uczynić podobnie. Niewykluczone, że po prostu wyszedł z domu i śledził Casco, tak jak zrobiła to Schiamazza; może mój ojciec, matka albo brat mieli z nim jakieś konszachty w sekrecie przed resztą rodziny, kto wie? Ja osobiście uważam, że mógł wlecieć do sadu jak ptak, w ptasiej lub własnej postaci. We „Whorlu”, kiedy nie wiedzieliśmy jeszcze nic o inhumich, powszechnie wierzono, że strego umieją latać. Wy, młodzi, możecie sobie ze mnie drwić, ale opowiadałam wam wiele takich historii. W każdej tkwi ziarnko prawdy. A w niektórych znacznie więcej.

Myśleliśmy, że krewni Casco będą chcieli go pogrzebać, ale jego ojciec i obaj bracia zginęli w tej samej bitwie, w której on został ranny, i z całej rodziny pozostała tylko babka — starowinka, taka jak ja teraz, zbyt ogłupiała i otumaniona, żeby zawracać jej głowę zajęciami bardziej skomplikowanymi niż pieczenie ciast. Przypuszczam, że zapłaciła mojemu ojcu, żeby zajął się pogrzebem. Jak już mówiłam, mundur Casco wcale na niego nie pasował, pochowano go więc w porządnym aksamitnym płaszczu, z którego mój brat zdążył wyrosnąć. Przez długie miesiące nawet nie wiedziałam, co się stało z jego starym ubraniem i długą szablą, którą mój brat wyjął z grobu mojego męża.

Powinnam powiedzieć: mojego pierwszego męża. Trzeba ci bowiem wiedzieć, Favo, że pięciokrotnie wychodziłam za mąż, chociaż kiedy na mnie dziś patrzysz, wydaje ci się nieprawdopodobne, żeby ktoś mnie zechciał. Wciąż okropnie trudno mi mówić o tych sprawach, które zresztą tobie i Morze wydałyby się śmiertelnie nudne. Spróbuję dziś się nad nimi nie rozwodzić.

Następnego lata ponownie wyszłam za mąż — za cudownego, przystojnego i uprzejmego człowieka. Jesienią pojechał z dwoma przyjaciółmi na polowanie; rozstaliśmy się po raz pierwszy od ślubu. Mówili mi potem, że spadł z konia i zginął na miejscu.

Długo nie mogłam w to uwierzyć. Kiedy rano służba pukała do drzwi, budziłam się z myślą, że za dzień lub dwa znów go zobaczę. Dopiero kiedy się myłam i ubierałam, świadomość jego śmierci uderzała mnie jak obuchem. To było coś potwornego.

Minęły trzy lata, zanim ponownie dojrzałam do zamążpójścia. Mój małżonek był dobrym, spokojnym, pracowitym i pilnym człowiekiem. Twierdził, że dla mnie gotów jest zmierzyć się z klątwą. Bo trzeba wam wiedzieć, że rozeszła się plotka o ciąży na mnie klątwie. Nie miałam jeszcze dwudziestu lat, a już zdążyłam pochować dwóch mężów. Żli ludzie szeptali, że sama ich zamordowałam.

Przez siedemnaście miesięcy wiedliśmy szczęśliwy żywot — do czasu, aż mój ojciec zachorował. Nieco wcześniej zlecił robotnikom wykopanie rowów melioracyjnych na jednym z pól: było nisko położone i zabagnione, ale liczył na to, że po osuszeniu nada się na pastwisko. Kiedy jednak zmożony chorobą zaległ w łóżku, poprosił mojego męża, żeby

nadzorował przebieg robót (mój brat mieszkał wtedy w mieście). Miał na imię Solenno. Mój mąż, nie ojciec. Trzeci mąż. Drugi nazywał się Gioioso.

Jeśli mnie pamięć nie myli, Solenno był ociupinkę wyższy od Gioioso... Chociaż może tylko dzisiaj tak mi się wydaje, z perspektywy czasu. Kiedy przynieśli jego ciało, całe było oblepione błotem. Od tej pory nienawidzę widoku błota, co mój syn z pewnością potwierdzi. Stara Schiamazza musiała pomóc matce go umyć; ja nie byłam w stanie. Balsamiści też go obmyli, tak w każdym razie twierdzili, ale ja czułam zalatujący od niego błotny smród, dopóki nie zamknięto trumny — a był już wtedy zabalsamowany i odziany w nowe, czyste ubranie.

Którejś nocy poszłam porozmawiać z matką. Nie wiem, ile czasu upłynęło od śmierci Solenno — tydzień, dwa, może miesiąc. Ogarnęła mnie czarna rozpacz. Nie wiedziałam, co mam ze sobą zrobić. Powtarzałam w kółko, jak bardzo kochałam Turco i jak za każdym razem miałam wrażenie, że to jego muszę pochować.

Matka tuliła mnie, kiwała głową i słuchała, a kiedy nie mogłam już dłużej mówić ani płakać, powiedziała: — Próbujesz go odnaleźć w innych. Podejrzewałam to już wcześniej, a teraz jestem pewna. Solenno trochę go przypominał, wszyscy tak mówili. A widok Gioioso zawsze przywodził mi na myśl Turco. Mieli taki sam głos, tak samo gestykulowali...

Przypuszczam, że westchnęłam wtedy i wytarłam oczy. Jak już wspomniałam, nie mogłam dłużej płakać.

— Posłuchaj, córeczko. Turco nie żyje. Musisz znaleźć sobie kogoś, kogo pokochasz ze względu na niego samego, a nie dlatego, że przypomina ci Turco.

Tak też zrobiłam. Znalazłam przyszłego ojca Inclito. Zastanawiacie się, jak wyglądał? Spójrzcie na mojego syna: postawny, silny, nieokrzesany, ale dusza człowiek. Kochał mnie jak jeleń kocha otwartą równinę. Złożył mi swoje serce u stóp i pobraliśmy się. Minął miesiąc, dwa, trzy... Cały rok! Urodziłam syna, straciłam go, ale rok później powiłam mojego Inclito. Kiedy odstawiłam go od piersi, razem patrzyliśmy, jak uczy się chodzić.

Pewnego dnia mąż pokazał mi stare, brudne, oblepione błockiem buciory.

— Czy to buty? — zapytał.

Przyjrzałam się im. Wyglądały znajomo, ale nic więcej nie potrafiłam mu powiedzieć.

— To żołnierskie buty do jazdy konnej — ciągnął. — Czy twój brat był kawalerzystą? Albo ojciec?

Buty, rzecz jasna, należały dawniej do Casco. Wydaje mi się, że wcześniej ani słowem nie zająknęłam się przy mężu na temat Casco, teraz jednak opowiedziałam mu całą historię od początku do końca, tak jak wam dzisiaj.

— Aha — mruknął. Postawił buty na podłodze i stanął obok nich. — Są na mnie za małe. W życiu bym ich nie wcisnął na nogi. I bardzo dobrze, bo coś już jest w środku.

Podniósł prawy but i pokazał mi, co ma na myśli. Na wysokości kostki coś białego sterczało z cholewki do wewnątrz buta. Wyglądało jak odłamek kości.

— To ząb jadowy żmii — wyjaśnił mi mąż. — Tak mi się w każdym razie wydaje. Gdyby właściciel butów nie pozbył się szabli, nie musiałby zadeptywać węża na śmierć. I może dziś nadal by żył.

Z pewnością rozumiecie już, co zdarzyło się wcześniej. Gioioso założył te buty, jadąc na polowanie. Ząb wbił mu się w stopę, a skrzepnięty jad pomalutku przenikał do krwi, aż zebrało się go dość, by zatrzymać serce. Biedny Solenno też znalazł buty na dnie szafy, która przeszła na jego własność. Założył je, udając się na inspekcję podmokłego pola.

Powiecie, że sprawa jest oczywista, a wyjaśnienie rozsądne. Ja jednak jestem od was znacznie starsza i wydaje mi się, że nie wszystko jest takie proste. Turco się zemścił, tak jak zapowiedział to strego. Spotkaliście kiedyś człowieka, który przypominałby was samych? Nie? A ty, Favo? Incanto?

Kręcicie głowami — i słusznie. Bo takie rzeczy się nie zdarzają. Wielokrotnie mówiono mi, że pewna kobieta jest do mnie podobna jak siostra bliźniaczka. Spotkałam się z nią, porozmawiałyśmy i doszłam do wniosku, że trudno byłoby sobie wyobrazić osobę bardziej ode mnie różną. Tak samo było z Turco. Ja i matka byłyśmy zgodne, że Gioioso i Solenno do złudzenia go przypominają, natomiast samemu Turco bardziej przypominali Casco: byli jego rywalami, kandydatami do mojej ręki. No i nosili ten sam rozmiar buta.

— Wyśmienita opowieść — przyznałem. — Jedna z najlepszych, jakie w życiu słyszałem.

— Przeżyłam ją osobiście — odparła gospodyni. — A możesz mi wierzyć, że takich historii znacznie przyjemniej się słucha niż doświadcza. Nawet jeśli dobrze się kończą, tak jak ta. Miejmy nadzieję, że żadna z dziewcząt nie będzie musiała przechodzić przez taki koszmar.

Wesoła, pucółowata kobieta w brudnym fartuchu weszła do pokoju i oznajmiła, że kolacja gotowa. Inclito zerwał się z fotela.

— Świetnie! Umieram z głodu, Onorciu. Przyszykowałaś dla mnie coś specjalnego?

Kobieta mrugnęła do niego porozumiewawczo.

— Myślę, że będzie panu smakowało — odparła.

Poszliśmy za nią do przestronnej jadalni. Ogień buzował w kominku, na rożnie piekł się podzielony na ćwierci roczny cielak. Inclito natychmiast poskarżył się, że w pokoju jest za gorąco, i otworzył dwa okna. Prawdę mówiąc, nie miałbym nic przeciwko otwarciu następnych dwóch. Fava jednak zamieniła się miejscami z Morą, żeby siedzieć bliżej ognia.

Matka Inclito otuliła się szalem.

— Twoja kolej, Incanto. Postaramy się jeść po cichu, żeby ci nie przeszkadzać.

Inclito podał mi butelkę z winem. Podziękowałem mu i napełniłem sobie kieliszek.

— Bardzo się cieszę, że opowieść gospodyni poprzedziła moją, ponieważ dopóki jej nie usłyszałem, cały czas szukałem w pamięci historii, którą mógłbym wygrać nasz mały plebiscyt. Teraz jednak, wiedząc, że i tak nie mam szans na zwycięstwo, mogę opowiedzieć pierwszą lepszą bajeczkę, jaka przyjdzie mi na myśl. Tak też uczynię, ale najpierw chciałbym was o coś zapytać. Nie zacząłem jeszcze opowieści, więc możecie mówić śmiało. Czy znacie kogoś, kto żywy wrócił z Zieleni?

— Tam w ogóle nie można polecieć — zauważyła Mora. — Musiałbyś mieć własny lądowik, który byłby ci posłuszny.

— Czy to nie stamtąd pochodzą inhumie? — dodała matka Inclito. — Wszyscy tak twierdzą. Wszyscy ludzie, którzy udali się z „Whorla” na Zielen, zginęli.

Spojrzałem na Favę. Pokręciła głową.

— Skąd mam wiedzieć, gdzie naprawdę byli ci, z którymi rozmawiałem? — zadudnił Inclito.

— Odpowiedz zgodnie ze stanem twojej wiedzy.

— Może... Ale nie. — Pokręcił głową. — O nikim takim nie słyszałem.

— To będzie opowieść o człowieku z Zieleni. Nie proszę, żebyście w nią uwierzyli. Jeżeli się wam spodoba, w zupełności mi to wystarczy.

Powinienem w tym miejscu przytoczyć moją opowieść, ale chwilowo mam dość pisania. Zostawię ją na następny raz, tak jak powrót Oreba, który to epizod był, przyznaję, dość zabawny. Zanim jednak zamknę ten stary piórnik, który ojciec z pewnością zostawił specjalnie po to, abym go znalazł, chciałbym napisać o niezwykłym śnie, który przyśnił mi się w nocy w sklepie. Dużo bym dał za to, żeby dowiedzieć się, co znaczy. Boję się, że jeśli od razu go nie zapiszę, zapomnę o nim.

Znów znajdowałem się w jamie. Siedziałem w samym jej środku przez wiele godzin, tak jak w rzeczywistości. Obok mnie leżało Pismo Chiasmologiczne, egzemplarz studencki, gruby, nieduży, wydrukowany na cieniutkim papierze. Pomyślałem, że nic nie stoi na przeszkodzie, bym przygotował się do nadchodzącego scyldagu, wziąłem więc książkę do ręki i otworzyłem ją. Jedna strona była zadrukowana, drugą zajmował rysunek odzianej w czerwień Scylli. Kiedy ja wczytywałem się w słowa, bogini próbowała wyrwać się z niewoli papieru. No tak, pomyślałem. Dla mnie to zwykły obrazek, a dla niej membrana, natłuszczona skóra, ciasno opinająca święte okno. We śnie ten pomysł uderzył mnie jako

całkowicie naturalny i zrozumiały, fakt, którego zawsze byłem świadomy, lecz o którym ostatnio jakoś zapomniałem.

Po przeczytaniu każdego wersu spoglądałem na Scyllę, która wszystkimi dziesięcioma ramionami usiłowała odepchnąć się od kartki. Słyszałem jej słabiutkie wołanie: — Pomocy! Pomocy!

A potem:

— Strzeż się! Strzeż się! — powtarzała słowa ptaka z opowieści matki Inclito.

Obudziłem się — a przynajmniej tak mi się wydawało, bo drukowana Scylla wciąż była przy mnie i wołała o pomoc.

Usiadłem i powiodłem wzrokiem po wnętrzu sklepu, jakbym pierwszy raz w życiu widział zapełnione księgami półki.

— Uważa! — zawołał nagle Oreb, tak jak często to czyni.

Krzyczał głosem Scylli.

Moja historia: Człowiek z czarnym mieczem

Nic nie wiem o Grandecitta. Nie mam też pojęcia, jakie miasta widzieliście przed odlotem z „Whorla”, ty, Inclito, i twoja matka. Mimo to wątpię, by któreś z nich przypominało Miasto Inhumich na Zieleni. Zanim przejdę do jego opisu, nadmienię, że jest tam bardzo gorąco i często pada deszcz. Nie zapominajcie o tym, kiedy będziecie mnie słuchać.

Nie zbudowali go inhumi, nie lubią bowiem narzędzi i nie potrafią się nimi należycie posługiwać. Wszystkie budynki są dziełem Zaginionego Ludu, tych samych mistrzów budownictwa, którzy położyli fundamenty pod wasz dom. Jestem przekonany, że w ich czasach było to piękne miasto z szerokimi ulicami, pełne gościnnych podwórców i szlachetnych wież. Pewna kobieta powiedziała mi kiedyś, że miasto, w którym mieszkałem we „Whorlu”, zawsze uważała za brzydkie. Domy były w nim w większości parterowe lub jednopiętrowe, choć zdarzały się i takie po cztery, pięć pięter, a wieże Juzgado

napawały nas wszystkich dumą. Ja jej miasta nie widziałem. Były w nim ponoć niezliczone piękne budowle o niebosiężnych iglicach, wznoszących się ponad palmami jak słupy białego dymu, które jakiś bóg zamienił w kamień.

Przypuszczam, że byłaby zachwycona widokiem Miasta Inhumich w czasach jego młodości. Jednak w okresie, o którym wam opowiem, miasto straciło całą dawną urodę. Wyobraźcie sobie kobietę, piękną, dumną i mądrą kobietę. Pomyślcie o jej błyszczących oczach i wdzięcznych ruchach. Usłyszcie jej melodyjny głos.

Widzicie ją już i słyszycie? To wyobraźcie sobie teraz, że ta kobieta nie żyje od pół roku, a my za chwilę otworzymy jej trumnę. Właśnie tak wyglądało Miasto Inhumich: szerokie aleje były zaśmiecone gruzem i poskręcanyymi kawałkami metalu, domy przybrały barwę szarozieloną od pniących się na murach porostów i mchów, pnącza grubsze niż ręka silnego mężczyzny zwieszały się między wieżami, niektóre tak wysoko, że przypominały pajęczne nici.

Wieże w Mieście Inhumich nie mają marnych dwunastu pięter, ani piętnastu, ani nawet osiemnastu, jak w moim rodzinnym mieście. Są tak wysokie, że niepodobna zliczyć ich kondygnacje. Zdają się dotykać nieba nawet oglądane z takiej odległości, że w ogóle ledwie je widać. Drzewa wyrastają z ich stromych ścian, występów i parapetów niczym z urwisk i półek skalnych; natarczywe korzenie podważają olbrzymie kamienne bloki i zwalają je w dół, a te, zanim rozbiją się o bruk ulicy, kaleczą dolne partie macierzystych ścian. We wszechobecnych stawach i bajorach lęgną się stada rozbzyczanych i żądlących insektów.

Bohater mojej opowieści dostał od przedstawiciela Zaginionego Ludu miecz. Miecz nie był długi ani ciężki, ale bardzo ostry; jego klinga została wykonana z czarnej stali niezwyklej twardości — o ile w ogóle była to stal. Mężczyzna powinien był go nosić z dumą, gdyż nigdy w życiu nie widział tak wspaniałego oręża. Nawet paradny miecz kobiety, która z takim lekceważeniem wypowiadała się o jego rodzinnym mieście, nie mógł się z nim równać. On jednak bał się z nim obnosić, a miecz, choćby i najszlachetniejszy, i tak nie mógł go obronić przed insektami. Schował go więc do pochwy i zdołał jakoś dopasować i zapiąć pas, choć ten nie był przeznaczony dla istot takich jak on. Z czarnym mieczem u boku przebył długą drogę przez Miasto Inhumich. Towarzyszył mu ten sam Zaginiony, który dał mu miecz, pochwę i pas.

Powiedziałem „towarzyszył”, ale człowiekowi z czarnym mieczem często wydawało się, że jest sam — albo przeciwnie, że idzie z nim nie jeden, lecz wielu Zaginionych. Niektórych obiektów nie można policzyć, ponieważ jest ich zbyt wiele, tak jak fal na morzu albo liści w dżunglach na Zieleni. Ale są i takie, których po prostu nie sposób zliczyć i już — tak jak zmarszczki na powierzchni stawu w deszczowy dzień. Z Zaginionym Ludem jest podobnie: czasem mamy jednego Zaginionego, a wydaje nam się, że jest ich kilku, a czasem wielu Zaginionych łączy się, splata i zostaje dwóch albo trzech. Albo jeden. W takich chwilach człowiekowi z mieczem wydawało się, że Zaginieni noszą ze sobą lustra i raz się w nich odbijają, a raz nie.

Albo raczej że kiedyś się w nich odbijali, a potem, choć porzucili zwierciadła, ich zwielokrotnione odbicia zaczęły żyć własnym życiem.

Ze wszystkich szczelin w bruku wyrastała ostra piłotrawa i powykręcane krzewinki, coraz gęstsze i wyższe, aż w końcu miało się wrażenie, że Miasto Inhumich było tylko złudzeniem. Odległe wieże rysowały się szarymi i zielonymi krechami na tle nieba, ale bliżej widziało się tylko okrutne źdźbła piłotrawy i wykrzywione, karłowate gałęzie.

Po długim marszu stanęli u szczytu stromych schodów i człowiek z czarnym mieczem, przekonany dotąd, że stąpa po litym gruncie, zdumiał się na widok podziemi rozciągających się pod Miastem Inhumich. Ujrzał ciąg oślizłych, wilgotnych pieczar o ścianach porośniętych pomarańczowym i fioletowym grzybem. Szeroka podziemna rzeka leniwie toczyła swoje czarne, oleiste wody.

— Teraz musisz uważać — powiedział jeden z Zaginionych.

— Obiecałem, że ze strony inhumich nic ci nie będzie groziło — odezwał się drugi. — I rzeczywiście, nic złego cię nie spotkało. Ale są tutaj rzeczy gorsze od inhumich.

— Bezpieczny czas dobiegł końca — zawtórował im trzeci.

Człowiek patrzył, jak stojący obok niego Zaginiony (ten sam, który dał mu miecz) pierwszy wchodzi na schody. Ruszył za nim. Wzdłuż rzeki prowadził wąski — a gdzieś tam nawet bardzo wąski — chodnik. W wielu miejscach ziały w nim szerokie wyrwy. Wtedy człowiek z czarnym mieczem stąpał po osypujących się otoczakach, pełen obaw, że lada chwila zjedzie po nich do wody.

— Ależ byliśmy naiwni! — odezwał się Zaginiony, który go prowadził. — Wydawało nam się, że nasze budowle przetrwają wieczność, tymczasem wygląda na to, że za następnych tysiąc lat nie zostanie z nich dosłownie nic.

— Ilu nas tu jest? — zapytał człowiek z czarnym mieczem. Rozejrzał się, ale nikogo nie zobaczył.

— Was? Dwóch — odparł jego przewodnik.

W tej samej chwili człowiek z czarnym mieczem dostrzegł zwłoki, unoszące się na wodzie twarzą w dół. Zatrzymał się, wyjął broń, przykucnął na kruszącym się chodniku i czubkiem miecza spróbował przyciągnąć ciało do brzegu. Osiągnął tylko tyle, że poharatał plecy trupa. Ziała w nich teraz głęboka, bezkrwawa i bezbolesna rana.

W końcu, kiedy wychylił się ponad wodą dalej niżby to podpowiadał zdrowy rozsądek, zdołał złapać trupa za rękę i przyciągnąć go bliżej. Wtedy z rany na plecach wylazła gruba na palec, biała, ślepa larwa, która zaatakowała go niczym wąż. Człowiek z mieczem odskoczył, zachwiał się na nogach, złapał równowagę i rozplątał robala mieczem. Klingą odepchnął trupa od brzegu, nie przejmując się tym, że ostrze wchodzi w ciało na cztery palce głęboko.

— Czego chciałeś od swojego brata? — zainteresował się Zaginiony.

Człowiek z czarnym mieczem wyjaśnił, że chciał pogrzebać trupa i pomodlić się za jego duszę.

— Tego się właśnie obawiałem. Nie pójdę z tobą do kanału, który masz dla nas oczyścić. Musisz tam wejść sam, mając za towarzystwo tylko takich jak on. Chodź.

Szli dalej. W spokojnej wodzie pływało coraz więcej ciał. Strop pieczary stopniowo zamykał się ponad rzeką, aż smużka światła, padająca na wodę przez szczelinę nad ich głowami, zwęziła się do szerokości męskiej dłoni.

— Nocą musi tu być strasznie — stwierdził człowiek z czarnym mieczem.

— W dzisiejszych czasach to miejsce jest okropne bez względu na porę dnia — odparł Zaginiony. — A tam, dokąd się udajesz, panuje wieczna noc.

Dopiero teraz człowiek z mieczem dostrzegł wpatrzony w nich żółte i zielone oczy, tak jakby głos Zaginionego wydobył je z ciemności. Były wszędzie — w wodzie i w półmroku na brzegach rzeki.

W miejscu, gdzie smuga światła gasła do reszty, znajdował się ołtarz z kamienia i brązu. Umieszczony za nim posąg był zniszczony i miał tak zatarte kształty, że człowiek nie umiałby powiedzieć, czy przedstawia mężczyznę, kobietę, potwora, gwiazdę czy jeszcze coś innego.

— To nasza bogini czystości — wyjaśnił mu Zaginiony.

— Czy jeśli się do niej pomodłę, coś mi to pomoże?

Zaginiony pokręcił przecząco głową.

— Mimo to pomodłę się — stwierdził człowiek z czarnym mieczem.

Uklęknął i wypowiedział mnóstwo słów, w większości niezbyt mądrych; opowiadał bogini Zaginionego Ludu o swoim zadaniu, o synach, żonie i domu na drugim krańcu pustki.

Gdy wstał, Zaginionego nie było nigdzie widać, za to na zimnym ołtarzu migotało małe światełko. Wyciągnął rękę. Nie poczuł żadnego oporu, ale światełko i tak przesunęło się pod dotykiem jego palców, zupełnie jak kamyk albo patyk. Kiedy zacisnął na nim pięść, zrobiło się ciemno; kiedy otworzył dłoń, blask znów rozjaśnił mrok. Poświecił w kierunku rzeki i oczy, które go obserwowały, zniknęły pod powierzchnią wody. Odwrócił się i wygłodniałe ślepia na łądzie także pogasły.

Nie wiem, jak daleko zawędrował. Był zmęczony, często przystawał, a droga była nierówna i nużąca. Po każdym stu

krokach miał wrażenie, że przemieścił się bardzo, bardzo daleko.

W końcu znalazł w podziemiach nagiego starca, ogryzającego ludzką stopę. Starzec usłyszał jego kroki i podniósł głowę, a wtedy człowiek z czarnym mieczem zorientował się, że jest niewidomy: oczy miał białe i puste jak gotowane jajka.

— Nie podchodź! — krzyknął ślepiec. Porwał z ziemi zardzewiały nóż i zaczął nim wymachiwać.

— Muszę cię wyminąć — wyjaśnił człowiek z mieczem. — Nie zrobię ci krzywdy.

Na dźwięk jego głosu ślepiec przestał machać nożem.

— Ty jesteś... żywy — wyjąkał i zaczął po omacku szukać swojego rozmówcy, chociaż ten zatrzymał się daleko poza zasięgiem jego rąk.

— Owszem. Bałeś się, że to inhumim? Nie jestem inhumim.

— Mnie też się to przydarzyło — wyjaśnił starzec. — Straciłem całą krew, do ostatniej kropli. Pomyśleli, że nie żyję, i zrzucili mnie tutaj.

— Dawno? — zapytał człowiek z czarnym mieczem, na co ślepiec odparł: — Chyba tak.

Nie wiedział już, jak się nazywa, nie znał nazwy miasta, z którego wraz z towarzyszami przybył na Zieleń. Pamiętał tylko, że uwierzył komuś, kto kazał im lecieć i że zaraz po wylądowaniu wpadli w łapy inhumich.

Człowiek z czarnym mieczem kazał mu wstać i wyprostować się, bo chciał zobaczyć, jaki jest wysoki, ale ślepiec nie umiał już nawet prosto stanąć.

— Pomyślałem, że możesz być Alką — powiedział człowiek z mieczem. — Alka, którego znałem, zamordował mężczyznę

imieniem Pawian. Nie poznałem Pawiana osobiście, ale musiał być do ciebie podobny, tylko nie był niewidomy.

— Nie jestem niewidomy — zaprotestował ślepiec.

— To dzieło bogów. Czy imię Alka jest ci znane?

— Nie — odparł ślepiec po krótkim namyśle.

— A Acalypha?

— Acalypha? — Ślepiec przez chwilę obracał to imię w ustach. — Acalypha... Acalypha... Nie — stwierdził wreszcie.

Człowiek z czarnym mieczem wytłumaczył mu, na czym polega zadanie, którego się podjął.

— Zaprowadzę cię — zaproponował z entuzjazmem ślepiec i ruszył naprzód, szurając nogami. — Paskudne miejsce. Paskudne — zachichotał, a człowiek z czarnym mieczem przypomniał sobie obłąkańczy śmiech pewnych zwierząt, które spotkał kiedyś w podobnym miejscu.

— Paskudne — powtórzył ślepiec. — Zepsute. Do tych dobrych nijak nie można się dostać. — Nagle zatrzymał się w pół kroku. — A tobie właśnie o to chodzi, prawda? Chcesz się dostać do tych świeżutkich?

Człowiek z czarnym mieczem oświetlił twarz ślepca, próbując coś z niej wyczytać, ale zdeformowana przez zło i chorobę wyglądała tak ohydnie, że natychmiast zacisnął pięść na światelku.

Ciała mężczyzn, kobiet i dzieci piętrzyły się w wylocie bocznego kanału aż po sklepienie, czyli znacznie poza zasięg rąk wysokiego mężczyzny. Niektóre nabrzmiały i dopiero zaczynały się rozkładać, inne przegniły tak bardzo, że na gołych kościach nie została ani odrobina mięsa.

— Oni wypijają ich krew, a ja je zbieram — mruknął ślepiec. — Ale nie ma w nich nawet najmniejszej iskiejki życia.

Człowiek z mieczem ciął martwą kobietę po nodze. Czarna klinga gładko weszła w kolano i oddzieliła podudzie od reszty ciała. Człowiek zepchnął je do wody.

— Zrzucili cię do kanałów, bo myśleli, że nie żyjesz — powiedział do ślepeca. — To zrozumiałe. Nie mogę natomiast pojąć, dlaczego postanowiłeś tu zostać.

Ślepiec nie odpowiedział. Odepchnął go na bok i zaczął obmacywać zwalone na stertę zwłoki. Pomagał sobie przy tym nożem, który przypominał czułek jakiegoś ślepego, pozbawionego kości wodnego stwora.

— Weź, co chcesz, i zabieraj się stąd — odezwał się człowiek z mieczem. — Mam coś do zrobienia.

— Chcę przy tym być. Chcę to zobaczyć.

Człowiek z mieczem kazał mu się odsunąć i zaczął rąbać zwłoki. Przekonał się, że czarne ostrze tnę miednicę dorosłego mężczyzny równie łatwo jak siekiera drewno na rozpałkę. Ciął i rąbał, cała ręka ociekała mu cuchnącym zgnilizną płynem, aż wreszcie, kiedy miał wrażenie, że pochlastał ze szczętem co najmniej setkę ciał, woda, która do tej pory ledwie sączyła się przez tę tamę, zaczęła ciurkać żywszym strumieniem. Nie była bynajmniej czysta, ale człowiekowi z mieczem wydała się krystaliczna jak woda źródłana. Odłożył miecz i światełko, które otrzymał w darze, obmył ręce i twarz.

— To przeszłość — stwierdził ślepiec. — Rozumiesz? Przeszłość się łatwo nie poddaje.

— Woda już płynie. — Człowiek ponownie wziął miecz do ręki. — Coraz zwawiej.

— Woda zawsze się przeciśnie.

— Ale ta woda jest świeża... i chyba lepsza. — Człowiek z mieczem podniósł nic nie ważące światełko. Czubkiem miecza

wygrzebał ze stosu okaleczone, pozbawione twarzy zwłoki, a kiedy upadły na chodnik, zepchnął je stopą w nurt rzeki. — Chyba rozumiem, co masz na myśli. Może nawet lepiej niż ty sam. Kiedyś ten whorl, nazywany przez nas Zielenią, należał do inhumich. Kiedy przybyli tu ludzie, inhumci zaczęli żywić się ich krwią. To się musi zmienić. — Cały czas rozcinał klatki piersiowe martwych, rozrąbywał im czaszki, odcinał kończyny. — Trzeba uwolnić przyszłość.

Skończył mówić, gdy nagle poczuł na plecach ręce ślepcy — i wiedział, co to oznacza. Okręcił się na pięcie. Błysnął zardzewiały nóż. Próbował sparować pchnięcie czarnym mieczem, kiedy coś uderzyło go w plecy: splątana masa umarłych w końcu osunęła się w głąb tunelu.

Osypujące się trupy poniosły go daleko — i omal nie zatopiły. Kiedy wreszcie zdołał wygramolić się z wody, brzeg rzeki porastały olbrzymie drzewa — drzewa, dla których opisania brakło mu słów, drzewa, przy których najwyższe wieże wyglądałyby jak miniatutki, drzewa, których gigantyczne konary i niezliczone rozszepowane liście skrywały Miasto Inhumich przed jego wzrokiem. Drzewa, których korony sięgały gwiazd.

— Takich historii nie opowiada się przy stole, Incanto — poskarżyła się matka Inclito. — Słuchając cię, nie mogłam wcale jeść. — Nazbyt gwałtownym ruchem odcięła plaster cielęciny i podzieliła go na dwa mniejsze.

Przeprosiłem ją z całego serca.

— Czy to aby na pewno zwykła bajka? — zaciekawiała się Mora. — I czy ty sam ją wymyśliłeś?

Byłem głodny, a do tej pory nie zdążyłem nawet spróbować smakołyków, które Inclito hojnie nałożył mi na talerz. Wzruszyłem więc ramionami i zacząłem jeść.

— Nikt nie mówił, że dziś przy kolacji musimy opowiadać prawdziwe historie — zauważyła matka Inclito. — To, że Fava od takiej zaczęła, jeszcze nic nie znaczy.

Fava uśmiechnęła się promiennie.

— Wszystkie opowieści są zmyślane, a najbardziej te, które mają uchodzić za prawdziwe. Kłamstwo nakłada na nie kolejną warstwę fałszu.

Mora spojrzała na nią.

— Z twoją historią też tak było?

— Z moją też, chociaż starałam się, by była jak najprawdziwsza. Ciekawe, dlaczego Incanto postanowił nam dziś opowiedzieć właśnie taką, a nie inną historię. — Fava podniosła do ust kawałek gotowanego ziemniaka, ale po chwili odłożyła go na talerz. — Jeśli nikt z was się nie kwapi, ja go o to zapytam, ale lepiej by było, gdyby to twój ojciec zadał takie pytanie.

Inclito chrząknął, przeżuł i przełknął.

— A ty, Favo? — zapytał. — Dlaczego opowiedziałas nam akurat o tym biednym szprocie, którego znalazłaś w strumieniu?

— Bo nic lepszego nie przyszło mi wtedy do głowy. Byłam pierwsza i miałam mało czasu do namysłu. Wasz strego dłużej się zastanawiał, a jest zbyt sprytny, żeby zależało mu tylko na wygraniu konkursu.

Matka Inclito zwróciła Favie uwagę:

— To bardzo nieuprzejme z twojej strony, że nazywasz Incanto strego, skoro on sam zaprzecza, jakoby nim był. Jest

naszym gościem.

— Jeśli papa nie chce zapytać, ja to zrobię — wtrąciła Mora.
— Dlaczego opowiedziałeś nam tę historię, Incanto?

Pociągnąłem łyk wina, zastanawiając się nad odpowiedzią.

— Wszystkie historie, które dziś usłyszałem, traktowały o powinnościach. Takie odniosłem wrażenie. Tobie nie wiodło się najlepiej w palestrze, więc Fava uznała, że powinna ci pomóc. A zgodnie z tym, co sama opowiedziała, czuła się zobowiązana uratować chłopca z rąk matki, potem zaś szukać go, kiedy zniknął.

Inclito pokiwał głową.

— Mano spełnił swój obowiązek, mimo że był człowiekiem zdolnym zabić rodzzonego brata. Ja jednak chciałbym Favę jeszcze o coś zapytać. Ten chłopiec, Favo... Jak go nazwałaś? Bricco. Powiedziałaś, że nie wrócił do rodziny?

— Zgadza się.

— Ale te inne szproty, te, z którymi się bawił, widywały go od czasu do czasu, prawda? I twierdziły, że to Zaginiony Lud go uprowadził?

Fava znów potwierdziła.

— Czy kiedy go widywały, któryś z Zaginionych przyprowadzał go do wioski?

Fava się roześmiała — wybuchnęła szczerym, radosnym śmiechem, który przekonał mnie, że jest o wiele dojrzała, niż by się mogło wydawać na pierwszy rzut oka.

— Powinnaś była je o to zapytać, bo nie wiem. Może Bricco czasem uciekał swoim porywaczom i próbował wrócić do starego życia.

— Ale nie mógł tego zrobić — zauważyłem. W tym momencie byłem już pewien, że nie pomyliłem się w jej ocenie.

Inclito postanowił dalej drążyć temat.

— Jeden z Zaginionych towarzyszył bohaterowi opowieści Incanto. Bricco zachowywał się tak, jakby też należał do Zaginionego Ludu. Jakby do nich przystał.

Fava pokiwała głową.

— Pewnie dlatego inne dzieci tak szybko skojarzyły ich ze sobą.

— Ale przecież Zaginionego Ludu nie ma, prawda, papo? — wtrąciła Mora. — Zawsze to powtarzasz.

— Różnie ludzie gadają. — Inclito nałożył sobie cielęciny. — Jedną z takich historii wszyscy dziś słyszeliśmy.

— Są przecież stare domy — ciągnęła Mora. — Nie takie jak nasz, ale naprawdę stare, niechciane, zbudowane przez Zaginionych. — Mówiła powoli, z naciskiem, przez co jej słowa (chyba wbrew jej woli) nabierały niezwykłej wagi. — Ludzie widują obozujących w nich nocą wędrowców. Mówi się, że mieszkają w mieście, którego nie udało nam się znaleźć.

— A nasz gość w nich wierzy — stwierdził stanowczo Inclito. — Co o nich wiesz, Incanto?

Jego matka szturchnęła mnie w łokieć.

— Zjedz coś, proszę. Prawie nie tknąłeś jedzenia.

Przełknąłem jeszcze jeden kęs, żeby zrobić jej przyjemność.

— Długo pościłem — wyjaśniłem. — To, co zjadłem, w zupełności mi wystarczy.

— Nic nie mówicie o mojej opowieści. — Matka Inclito znów uderzyła w oskarżycielski ton. — Twierdzisz, że wszystkie historie dotyczyły powinności, ale ja przecież opowiadałam o duchach i czarach.

— Rzeczywiście, nie miałem racji. Pokornie proszę o wybaczenie.

— Wierzysz w czary, Incanto? Tak jak moja babka? — spytała Mora. — Albo w strego? I w duchy?

— Wierzę w duchy. — Doskonale pamiętałem ducha Hiacynta i wrażenie, jakie zrobił na Świni, ale wolałem o tym nie wspominać. — Najlepszy z ludzi, których znałem, powiedział mi kiedyś, dawno temu, że widział ducha. Był to duch pewnego starca, z którym niegdyś mieszkał i któremu pomagał. Człowiek, którego znałem, był bystrym obserwatorem. Poza tym z pewnością by mnie nie okłamał. W ogóle starał się nie oszukiwać ludzi. — Zwróciłem się do matki Inclito. — Duch Turco wypełnił swoją powinność, tak mi się przynajmniej wydawało. Turco uznał, że jako twój mąż ma obowiązek bronić cię przed Casco i dwoma następnymi, którzy byli do Casco podobni. Albo mogli się tacy stać. Nie zauważyłaś takiego podobieństwa?

Kiedy pokręciła przecząco głową, dodałem: — Umarli inaczej postrzegają ludzi niż żywi.

— Też mi się tak wydaje — zgodził się ze mną Inclito. — Mężczyźni i kobiety również się w tym różnią. Jakaś dziewczyna szaleje na punkcie mężczyzny. Jej matka też go lubi, ale się do tego nie przyzna. A ojciec dobrze wie, że ten człowiek jest obibokiem i złodziejem. To nic nowego.

— Nie odpowiedziałeś jeszcze na pytanie papy o Zaginiony Lud. No i nie powiedziałaś nic o czarownikach. Jeżeli wierzysz w duchy, musisz też wierzyć w czarowników.

— Wiem, że są ludzie, których inni ludzie tak nazywają. Niektórym z nich na pewno pomaga fakt, że gawiedź wierzy w czary.

— Ty zatem wierzysz w istnienie czarowników, ale nie w same czary — stwierdziła Mora. Fava parsknęła śmiechem.

— Jeśli chcesz... Można to tak ująć. To chyba uczciwe. A czyja mogę cię o coś zapytać, Moro? Powiedziałaś, zdaje się, że córka olbrzyma nie najlepiej radziła sobie w szkole... Nawet jeśli nie powiedziałaś tego wprost, to dałaś nam to do zrozumienia. Czy ze wszystkich przedmiotów była równie słaba? Czy może tylko z niektórych?

— Ta historia już się skończyła — zauważyła Mora.

— Znam dziewczynkę, która rozwiązuje zadania szybciej niż nauczyciel — wtrąciła Fava.

— Z arytmetyki? Tak myślałem. Niektórzy ludzie nie są świadomi wszystkich swoich zalet. Wydaje mi się, że Mora jest właśnie taką osobą.

Widząc, że matka Inclito znów zamierza zabrać głos, dodałem pospiesznie: — Człowiek, który ostrzegał Casco przed zemstą umarłego, był strego, czyli, jeśli wolicie, czarownikiem. Nie wiem, jak się dostał do sadu, ale ze słów naszej gospodyni wnoszę, że nie mogło to być przesadnie trudne. Jeśli zaś chodzi o ostrzeżenie człowieka, który zamierza zbezczcić czyjś grób, nie trzeba być mędrce, aby wiedzieć, że z takiego czynu nic dobrego wyniknąć nie może. Gdyby żmija nie pokąsała Casco, i tak czekałby go powszechny ostracyzm, kiedy wydałoby się, co zrobił.

Wszyscy przy stole zgodnie pokiwali głowami.

— Dziś wieczorem kilkakrotnie nazwano mnie mędrce. Wiem, że nim nie jestem, ale wiem również, że ludzie pod wpływem silnych emocji potrafią się zachowywać nader nierozważnie. Ja także. Kiedy są to dobre uczucia, takie jak miłość, ów brak rozwagi potrafi być czarujący, natomiast złość, nienawiść i chciwość owocują takimi wydarzeniami, o jakich opowiadała nam gospodyni.

Inclito skinął głową, przełknął i dodał: — Chciwość, czyli żądza posiadania zagranicznych kart.

— I jedzenia. Obiecałem sobie, że nie będę się dziś objadał, i proszę. — Podczas rozmowy uprzątnąłem talerz do czysta. — Zresztą są i inne rzeczy.

Inclito wycelował we mnie nóż.

— Wierzysz w istnienie Zaginionego Ludu.

— Dlatego że umieściłem go w swojej opowieści? Od początku zastrzegłem się, że to zwykła bajeczka.

— Mora cały czas próbuje cię zmusić, byś przyznał, że w nich nie wierzysz, a ty unikasz takiej deklaracji.

Przyznałem mu rację.

— Za morzem jest inny kontynent. Słyszeliście o nim? Zdaję sobie sprawę, że mieszkacie daleko od morza...

— Coś tam musi być — zgodził się ze mną Inclito. — Albo inny ląd, albo spodnia strona naszego.

— Jego mieszkańcy nazywają Zaginiony Lud „Sąsiadami”. Ludzie wiedzą o bliskości Sąsiadów. Dlatego nadali im taką nazwę.

Wziąłem głęboki wdech. Czuję, że się przejadłem — i wiedziałem, że jeszcze nie wszystkie potrawy pojawiły się na stole, postanowiłem jednak, że niczego więcej nie tknę.

— Ja sam maszerowałem u boku Sąsiadów i siedziałem z nimi przy ognisku. Dlatego wiem, że istnieją. Odeszli, znaleźli sobie nowy dom, krążący wokół innego krótkiego słońca, ale pozwoliliśmy im odwiedzać ten whorl, kiedy tylko przyjdzie im ochota.

— My? To znaczy kto? — zdziwiła się Fava.

Aż zbyt dobrze zdawałem sobie sprawę, że jej piękne, wyraziste, uniesione w zdumieniu brwi są zaledwie kreskami

narysowanymi na skórze czoła.

— Ja.

— Byłeś tam? — zaciekawiała się Mora. — Byłeś na kontynencie za morzem?

Spojrzałem na jej szeroką, z gruba ciosaną twarz, szczerą i pełną wyrazu — i zdałem sobie sprawę, że wcale nie jest tak nieatrakcyjna, jak mi się na początku wydawało. Nie wytrzymuje porównania z Favą, jest poza tym nieco otyła nawet jak na tak masywnie zbudowaną osobkę, ale wydamy, haczykowato zagięty nos i szerokie usta nie są w stanie zatrzeć śladów odziedziczonej po babce urody.

— Mógłbym odpowiedzieć, że tak. Albo że nie. Co za różnica? Jeżeli okłamałem was, twierdząc, że siedziałem z Sąsiadami przy ogniu, mógłbym skłamać po raz drugi, nieprawdaż? Rybacy łąą, kiedy opowiadają o złowionych rybach, a wędrowcy — kiedy mówią o odległych krainach, które odwiedzili. Taką w każdym razie mamy reputację, my, podróżnicy.

Fava nie wytrzymała.

— Jak cię nazywano, zanim przybyłeś do nas i przyjąłeś imię Incanto? — wypaliła.

— Nazywano mnie rajanem. Nosilem też inne imiona, ale chyba właśnie o to miano pytasz.

Nachyliła się w moją stronę i tak usilnie starała się mnie przekonać o swojej uczciwości, że jej niebieskozielone oczy naprawdę błysnęły w blasku świec.

— Ja nie szukam zwady, Incanto. Naprawdę nie.

— Jesteś strego! — wykrzyknęła matka Inclito.

— Nie, pani, ale mimo to spróbuję cię uleczyć. Jeżeli po tym wyśmienitym posiłku dostanę kawałek papieru, spiszę na nim moje zalecenia. Ich wypełnienie nie przysporzy ci kłopotu, a

jeśli będziesz się ich trzymać, z pewnością wkrótce poczujesz się lepiej.

W następnej chwili wydarzyło się coś tak absurdalnego, że wstyd mi o tym pisać. Oreb wleciał przez otwarte okno jadalni, zatoczył koło nad stołem i usiadł mi na ramieniu.

— Ptak wraca! — zaskrzeczał. — Złe coś!

5

W dżungli Zieleni

Atteno znów pozwolił mi dziś przenocować w sklepie. Zostawił nawet siennik, który specjalnie dla mnie kupił, a także poduszkę, pościel i trzy koce. Wczoraj jednak spałem tak długo (po otwarciu sklepu przeniosłem się do leżącej w zaułku beczki), że teraz nie mogę zasnąć. Przynajmniej na razie.

Siedzę więc — jak zwykle — na parapecie. W lampce płonie należący do Atteno olej, a ja piszę na papierze, który wziąłem z jego zapasów po tym, jak wszystkie otrzymane od niego arkusze zapełniłem opisem przedwczorajszej kolacji u Inclito. Jeśli mnie pamięć nie myli, nigdy nie napisałem tak dużo za jednym posiedzeniem. Nawet kiedy tworzyliśmy z żoną książkę o Jedwabiu, nie zdarzało mi się pisać tak długo bez żadnych przerw.

Niewiele się wydarzyło, odkąd Oreb niespodziewanie wpadł przez okno. Dostałem dwa listy. Sklepikarz, mój przyjaciel (muszę pomyśleć, jak mu się odwdziczę za papier, który sobie wziąłem), był zachwycony.

— Pisanie listów świadczy o klasie człowieka — stwierdził, z trudem maskując swoje zadowolenie. — O klasie i o wykształceniu.

W Blanko każdy, kto chce napisać choć słowo, musi najpierw wręczyć parę srebrnych kwadracików (nazywanych tu „bitkartami”) właścicielowi sklepu papierniczego — i Atteno dobrze o tym wie. Ponieważ moją nieskładną opowieść o powrocie do „Whorla” zacząłem od przepisania listu z Pajarocu (a w każdym razie tego, co z niego zapamiętałem), zacytuję także i te listy.

Dwóch młodzieńców minęło właśnie sklep, prowadząc na smyczy ogromne brytany. Zasalutowali na mój widok. Nieśli strzelby przewieszane przez plecy, tak samo jak nasi żołnierze w Gaonie. Zasalutowałem w odpowiedzi i w jednej chwili, bez mamrotania zaklęć i składania Thelxiepei jakiejś biednej, smętnej małpki w ofierze, znów stałem się piętnastoletnim — i bynajmniej nie najmłodszym — ochotnikiem służącym pod generał Miętą. Kto raz był żołnierzem, na zawsze nim pozostanie. Pająk na pewno to rozumiał, zapewne lepiej ode mnie. Powinniśmy byli napisać o tym w naszej książce, ale teraz jest już na to za późno.

Widmo wojny wisi nie tylko nad Blanko, także nade mną samym. Chcąc oddać sobie sprawiedliwość muszę przyznać, że porzucając na brzegu Nadi Wieczorną Pieśń i jej śliczną łódeczkę, nie liczyłem na to, że przestaną mnie ścigać. Sądziłem, że opóźnię pogoń o tydzień, dziesięć dni — nie więcej. Trudno. Walczyłem z nimi już przedtem, a teraz zamiast strzelby i czarnego miecza mam azoth Hiacynta. Powinni się mieć na baczności.

*

Narysowałem teraz trzy whorle, tak jak czyniłem to w Gaonie. Nie dlatego, że gdzieś wychodziłem, spałem czy kochałem się z kobietą. Nie — po prostu zrobiłem sobie godzinną przerwę na zabawę z Orebem i zmagania z własnym sumieniem. Północ nadeszła i minęła; słyszałem bicie zegarów.

Jak wielką lojalność jestem winien mojemu diablemu synowi? Przysiągłem mu, że nikomu nie powiem o jego sekrecie, i dotrzymam słowa, ale co to właściwie znaczy: nie powiem? Gdybym zdjął sztabę z drzwi, wyszedł na ulicę, złapał jakiegoś przechodnia i wyłożył mu rzecz całą (na co miałbym wielką ochotę), z pewnością zdradziłbym syna. Ale gdybym tylko o tym napisał? I tak nikt nie przeczyta moich słów.

List od Favy był nierówno złożony i opieczętowany rozmazanym rysunkiem jakiegoś kwiatka. W Nowym Vironie byłby to z pewnością ten sam kwiat, od którego pochodziłoby jej imię, tutaj jednak nie wiem, co znaczy. Ma szerokie płatki, krótką łodyżkę i jest niewyraźnie odcisnięty w różowym wosku. Wygląda na to, że Fava nie chciała zdać się na pomoc Mory.

Słyszałem, że w palestrze, do której chodzą z Morą, jest wyróżniającą się uczennicą. Nie wątpię w to, ale kaligrafia nie jest jej najmocniejszą stroną — chyba że użyła wobec mnie podstępu, który przerasta moje wyobrażenia. Przypuszczam, że obie noszą maski na użytek rodziny Inclito: Fava błyszczycy, a Mora musi być we wszystkim od niej gorsza. Nie wierzę jednak, by sprawy przedstawiały się tak trywialnie. Na mój gust (o ile mogę się uważać za znawcę kobiecych charakterów) Mora powinna mieć drobne, równe i zgrabne pismo.

Przyszła do beczki, w której spałem, ubrana w prostą sukienkę, w której mogłaby chodzić do palestry, chociaż miała też na sobie tę swoją dziecienną biżuterię. I użyła perfum. Co jej

chodziło po głowie, kiedy tak wystrojona szła na spotkanie ze mną? Tego mogę się tylko domyślać.

Zacznijmy od sukienki. Tego dnia powinna była iść normalnie do szkoły. Wychodząc z domu nie była pewna, czy odważy się zwagarować. Być może Uczyła na to, że znajdzie mnie szybko i jeszcze zdąży na lekcje. W takim wypadku odnotowano by tylko jej spóźnienie, nie zaś nieobecność.

„Być może”. Ulubione słowa patere Jedwabia. Ponieważ on je tak lubił, ja staram się ich unikać. Jakie bowiem mam prawo, by używać jego słów? Chociaż... Pod tyloma innymi względami usiłuję się do niego upodobnić — nade wszystko sposobem myślenia, a czy mogę myśleć jak on, nie mówiąc jego słowami? Prawdę powiedziawszy, gdybym naprawdę myślał tak jak Jedwab, dawno bym zadał sobie to pytanie. Nie wystarczy powiedzieć „będę myślał logicznie”; trzeba naprawdę kierować się logiką. I szlachetnymi pobudkami.

Powiedziałem Morze, że szlachetne pobudki nie usprawiedliwiają złych czynów. Byłem wobec niej surowy, mam nadzieję, że nie zbyt surowy. Wiem, co czuje, biedactwo. Jest jeszcze dzieckiem.

— Nie każę ci się rozbierać — powiedziałem. — To, co wiem, nie ma znaczenia. Najważniejsze, że jeśli mam rację, ty będziesz zdawać sobie z tego sprawę.

Pokiwała z powagą głową. Siedziała po turecku na ziemi, naprzeciw mojej beczki, z kolanami przykrytymi niebieską sukienką. Parę osób widziało, jak rozmawiamy. Ciekawe, co sobie pomyśleli?

— Nie wszyscy ludzie dorastają równocześnie. Niektórzy, nieliczni, osiągają dojrzałość już w wieku jedenastu lat, inni, równie nieliczni, dopiero po skończeniu osiemnastu. Zwykle

jest tak, że im człowiek masywniej zbudowany, tym później zaczyna.

Zawiesiłem głos, dając jej czas na przetrwanie tych słów.

— Mówiąc o „masywnej budowie”, mam na myśli zarówno wagę, jak i sylwetkę. Ty jesteś postawną dziewczyną. I sądząc po tym, co widziałem, dobrze o tym wiesz. — Udało mi się uniknąć „być może”. — Kto wie, czy nie aż za dobrze. Oboje mamy nadwagę. Ja próbuję z nią walczyć, chociaż mam po temu inne powody niż ty. Nie twierdzę, że i ty powinnaś koniecznie pozbyć się zbędnego ciężaru. Jeśli czujesz się dobrze...

Pokręciła przecząco głową.

— W takim razie możesz to zmienić. Wtedy szybciej staniesz się kobietą. Porozmawiaj z babką, ona ci wyjaśni, co to znaczy. Popłynie krew, a jeśli nie będziesz na to przygotowana, możesz się zdenerwować.

Pokiwała głową.

— Myślisz, że w przyszłości mogłabym... — Spuściła wzrok.

— Dobra dziewczeczka! — zapewnił mnie Oreb.

— Na razie za wcześnie, by myśleć o małżeństwie. Ale odpowiadając na twoje pytanie: tak, myślę, że tak.

Podniosła oczy. Nieśmiały uśmiech rozświetlił jej twarz.

— Zazdrościsz pięknym kobietom, Moro. To naturalne, ale...

— Takim jak Fava.

— Fava nie jest piękną kobietą, nie jest nawet ładną dziewczyną, chociaż taką udaje. Oboje wiemy, kim naprawdę jest.

Spodziewałem się, że zaprotestuje, a kiedy nie zareagowała, mówiłem dalej: — Taka zazdrość jest czymś najzupełniej naturalnym. Może niezbyt mądrym, ale z pewnością

nieszkodliwym. Uważaj wszakże, by nie przeobraziła się w nienawiść.

— Postaram się — odparła z powagą.

— Nie zapominaj, że i one mają ci czego zazdrościć.

— Chodzi ci o moją rodzinę — domyśliła się. — O mojego ojca — dodała z goryczą.

— Wydaje ci się, że byłabyś szczęśliwsza, gdyby twój ojciec nie był człowiekiem majątnym, gdybyś była jedynaczką, a on nie kochałby cię tak jak teraz. Mylisz się, Moro. Możesz mi wierzyć.

— Ojciec chce, żebyś u nas zamieszkała.

— Wiem. Nalegał, żebym został na noc.

— Dlaczego nie zostałeś?

— Nie byłem pewien, czy będę mile widzianym gościem.

— Babka jest tobą zachwycona! Pewnie nic nie zauważyłaś, ale cały czas naciskała na ojca, żeby cię przekonał do przenocowania u nas. Widziałam, jak na niego patrzy. I słyszałam, co mówi.

— Nie uszło to mojej uwagi, Moro. Nie bałem się reakcji twojej babki.

Widać było, że moja odpowiedź niczego jej nie wyjaśniła.

— Ojciec napisze do ciebie list. Tak powiedział.

— Wolałbym, żebyś ty go napisała.

Kolejne poważne skinienie głowy.

— Jak tylko wrócę do domu.

— Fava z pewnością będzie próbowała odwieść cię od tego zamiaru.

— O niczym jej nie powiem. — Mora na chwilę umilkła. — Spalą ją, jak się dowiedzą! — wypaliła nagle.

— W takim razie zachowuje się nierozsądnie, mieszkając u was — odparłem pozornie bez emocji.

— Powiesz papie? Osobiście ją spali. On ich nienawidzi.

— Podobnie jak większość ludzi. Mogę mu powiedzieć, ale mogę też milczeć. Z pewnością nie powiem, dopóki nie uznam tego za konieczne.

— A ty? Ty ich nie nienawidzisz? — Spojrzała na mnie pytająco spod gęstych, ciemnych brwi.

— Nie. Moro, ja byłem na Zieleni i wróciłem stamtąd żywy. Wiem, że trudno ci w to uwierzyć, ale to prawda.

— Dobry Jedwab! — zawtórował mi Oreb, ale Mora nie zwracała na niego uwagi.

— Podobno inhumie zabijają każdego, kto tam trafi.

— Wiem, że ludzie tak mówią, ale nie mają racji. Nie rozmawiałaś o tym z Favą?

— W ogóle o tym nie rozmawiamy — odparła szeptem.

— O czym? O jej prawdziwej naturze?

Mora pokręciła głową. Nie chciała mi spojrzeć w oczy.

— To skąd wiesz?

— Domyśliłam się.

— Widziałaś ją w sytuacji, kiedy nie była... nie była Favą?

— Nie — powiedziała szeptem. — I nie chcę widzieć — dodała głośniej.

— Nie mam ci tego za złe, Moro. Wiesz, że poznałem inhumiego, który był potem dla mnie jak syn? Możesz w to uwierzyć?

— Nie.

— Ale tak właśnie było. Ty przez pewien czas tylko podejrzewałaś, kim naprawdę jest Fava, a i potem długo nie miałaś pewności. Ze mną było inaczej. Znalazłem się w

śmiertelnym niebezpieczeństwie, a on pomógł mi i od razu pokazał mi się w prawdziwej postaci. Byłem tak przerażony, że jego widok wcale nie wydał mi się niezwykły.

— Ja też miałam kłopoty.

— Wiem. Właśnie dlatego nie chcę śmierci Favy. Między innymi dlatego.

— Nie wyobrażam sobie, że coś mogłoby cię przestraszyć. Naprawdę się bałeś?

Wróciłem pamięcią do jamy w ziemi. Wydało mi się, że cofam się w niezwykle odległą przeszłość.

— Przypuszczam, że kiedy się zjawił, byłem już całkiem zrezygnowany i gotowy na śmierć. Straciłem wszelką nadzieję. I okropnie się bałem.

— Powiedziałeś, że powinnam ją przekonać, żeby odeszła.

Pokiwałem głową.

— Ale tamten ci pomógł.

— Wtedy, przy jamie, i potem także. — Pokiwałem głową. — Został ze mną. A właściwie: z nami. Dla innych wyglądał jak chłopiec, mniej więcej twój rówieśnik, ja zaś widziałem go jako inhumiego. Taka była umowa: ustaliliśmy, że nie będzie mnie oszukiwał w taki sposób, jak oszukuje innych. Kiedy z moim rodzonym synem weszliśmy na pokład lądownika, który miał nas zawieźć na Zieleń, inhumie wsiadł razem z nami. Znienawidziłem go za to, tak jak nienawidziłem go wcześniej, na słupie. Odważni ludzie igrają z niebezpieczeństwem, Moro. On był taki sam.

— Fava się mnie nie boi.

— A powinna. Mówiłaś przecież, że gdybyś wydała ją ojcu, spaliłby ją żywcem.

— To prawda. Ale ona wie, że jej nie zdradzę. Jak odkryłeś prawdę?

— Przede wszystkim pomogła mi swoją opowieścią, w której aż roilo się od niedopowiedzeń. Twój ojciec też je wyczuł, chociaż chyba nie do końca świadomie. Pamiętasz, jak się zdziwił, że chłopczyk nie wrócił do rodziny?

Mora przytaknęła.

— Kazano nam uwierzyć, że bał się matki, która raz już próbowała go zabić i mogła tę próbę powtórzyć. Zabrzmiało to jakoś nieszczerze, więc obaj z twoim ojcem z miejsca odrzuciliśmy to wyjaśnienie. Dziecko, które było za małe, żeby znać własne imię, nie mogło nawet domyślać się zamiarów matki, a poza tym wystarczyłby dzień albo dwa, żeby o wszystkim zapomniało. Potem Fava zasugerowała, że chłopiec umykał Zaginionym, a ci za każdym razem znajdowali go i ponownie łapali. To już było żenujące. Prawdziwa odpowiedź stała się aż nadto oczywista.

Mora kiwnęła głową.

— A jak brzmi prawdziwa odpowiedź? Tego ci, Moro, nie zdradzę. Sama mi powiedz.

Po krągłych policzkach popłynęły łzy.

— To się nigdy nie zdarzyło.

— Dzieweczka płacze! — zakrakał Oreb.

— Fava zmyśliła całą tę historię!

Czas jakiś siedzieliśmy w milczeniu.

— Masz bystry umysł, Moro — powiedziałem w końcu. — A ludzie o bystrych umysłach cierpią, kiedy ich nie używają.

Rozszlochała się wtedy na dobre — z początku trzymała głowę w dłoniach, potem popłakiwała w chusteczkę, o wiele za małą, wyjętą z kieszeni sukienki. Kiedy płacz przestał nią

wstrząsać, odezwałem się ponownie: — Krait, ten inhumi, którego pokochałem jak syna, powiedział mi kiedyś, że jesteśmy dla nich jak bydło. To nieprawda, ale na Zieleni próbują tak właśnie ułożyć sobie życie. Nie najlepiej im to wychodzi. My doimy krowy, a kiedy mamy ochotę na mięso, po prostu je zarzynamy. Nie dopuszczamy jednak do tego, żeby zdychały przez naszą chciwość, wydojone na śmierć. Ktoś mnie wczoraj zapytał, dlaczego opowiedziałem akurat taką, a nie inną historię.

— Fava. — Mora zaczęła wycierać twarz chusteczką, a kiedy niewiele jej z tego wyszło, poprawiła rękawem. — Opowiedziałeś ją po to, żeby dać jej do zrozumienia, że wiesz.

— Nie. Wtedy jeszcze nie miałem pewności. Opowiedziałem ją głównie po to, żeby sprawdzić, czy ktoś oprócz mnie przeczuwa, kim jest Fava.

Mora pokręciła głową.

— Rzeczywiście: nikt jej nie podejrzewał. Z waszych twarzy wyczytałem, że ty wiesz i że Fava zdaje sobie z tego sprawę. Zorientowałem się również, że ani twój ojciec, ani babka, którą Fava pomalutku morduje, nie mają zielonego pojęcia o jej prawdziwej naturze.

Poprzednio Mora szeptała. Tym razem jej głos był cichszy od szeptu, brzmiał tak słabo, że nie byłem pewny, czy się nie przesłyszałem. Wydawało mi się, że powiedziała: — Teraz zostanę już całkiem sama.

Próbowałem delikatnie ją pocieszyć.

— Są gorsze rzeczy niż samotność, Moro. Jedną z nich właśnie przeżywasz.

Napisałem te słowa i olśniło mnie, że to właśnie dlatego Zewnętrzny zesłał mi grzbietoskóra, kiedy płynąc samotnie na slupie modliłem się o towarzystwo. Chciał mi dać do zrozumienia, że samotność wcale nie jest najgorszym nieszczęściem, żebym potem mógł przekazać tę prawdę Morze.

Jakaż samotność musi dręczyć bogów!

Kiedy Krait umierał w dżungli, podsunąłem mu swoją rękę. Zaproponowałem, żeby napił się mojej krwi, jeśli miałoby to dodać mu sił. Albo po prostu złagodzić śmierć.

— Nigdy nie piłem twojej krwi.

— Wiem.

W moich oczach było wtedy tyle samo łez, co dziś po południu w oczach Mory. Czułem się jak skończony dureń.

— Osłabiłbym cię tylko — powiedział. — A sam wcale nie stałbym się przez to silniejszy.

Przypomniałem sobie wtedy, że Kwezal był opity krwią, kiedy postrzeliły go żołnierki Siyuf, ale dwa dni później i tak umarł.

— Wiesz, dlaczego pijemy krew, Rogu?

— Musicie się jakoś żywić.

Wydaje mi się, że tak odparłem, po czym wspomniałem coś o krótkim przewodzie pokarmowym. Mogłem jeszcze dodać, że wszystkie żywe stworzenia muszą jeść, nawet jeśli jedynym ich pokarmem jest powietrze i światło słońca. Chyba tak właśnie powiedziałem.

— W tę noc, kiedy się pierwszy raz spotkaliśmy, piłem krew twojego husa.

— Pamiętam.

— Stałem się przez to zwierzęciem, aż do czasu następnego posiłku. Pijemy krew, żeby dzielić z wami wasze życie. Żeby czuć tak, jak wy czujecie.

— W takim razie nakarm się mną.

Znów podstawiłem mu rękę pod nos. Powiódł czubkami palców po mojej skórze. W pozostawionych przez nie czerwonych śladach wezbrały krwawe łyzy.

— Jest i inny powód. Obiecuj mi coś. Przysięgnij, że jeśli ci go zdradzę, nikomu o nim nie powiesz.

Obiecałem, że będę milczał, chociaż dziś nie jestem już pewien, jakich użyłem słów.

— Musisz przysiąc...

Nachyliłem się nad nim i przytknąłem usta do jego ucha.

— Nie mogę umrzeć, ojczy, dopóki ci tego nie powiem. Przysięgnij.

Przysięgłem. Złożyłem przysięgę, której Jedwab nauczył mnie na statku powietrznym. Nie będę jej tu zapisywał.

Krait zdradził mi swój sekret, a potem rozmawialiśmy tak długo, aż zrozumiałem nie tylko jego słowa, ale także to, co stało się niemal dwadzieścia lat wcześniej. Widząc, że rozumiem, ścisnął moją dłoń i poprosił o ostatnie błogosławieństwo. Pobłogosławiłem go. Dobrze pamiętam wyraz jego twarzy. Czułem się tak, jakby to Ściągnio umierał na moich rękach, zmuszony wyrokiem jakiegoś obłąkanego boga do włożenia węzowej maski. Widziałem oblicze węża, ale czułem, że pod nim kryje się ludzka twarz.

W chwili śmierci Kraita miałem wrażenie, że okoliczne drzewa pochylają się nad nim tak, jak ja się pochyliłem; że w pewnym sensie jest tak samo ich synem, jak moim. Opadające z nich powłóczyste liany wydały mi się nagle żeńskimi istotami,

złymi kobietami w zielonych sukniach, którym na barkach przysiadły szare i fioletowe motyle, a we włosach zakwitły ogniste orchidee. Kiedy zdumiony podniosłem wzrok, ujrzałem tylko pnącza i kwiaty, usłyszałem zaś smętne trele kolorowo upierzonych ptaków, prześlizgujących się z gałęzi na gałąź. Ledwie jednak spuściłem oczy na Kraita, zaraz wróciły odziane w zieleń kobiety wsparte na ramionach okrutnych olbrzymów i niczym żałobnicy dzielące mój smutek.

Wiem, że jeśli kiedyś przeczytasz te słowa, Ścięgno, nie uwierzysz w nie. Gardzisz wrażeniami, które odbiegają od tego, co uważasz za prostą prawdę. Lecz moja prawda nie jest twoją, tak jak nie jest nią prawda twojej matki. Patrzyłem kiedyś, jak mysz przemyka po podłodze pałacu, który jako rajan zajmowałem w Gaonie. Dla niej komnata — z mnóstwem poduszek, grubym dywanem i intarsjowanym kością słoniową stołem — była dżunglą. Niewykluczone, że kiedy Krait umierał, Zewnętrzny pozwolił mi w pewnej mierze dzielić z nim jego myśli i doznania, pozwolił mi ujrzeć dżunglę jego oczami.

Zobaczyć ją taką, jak ją widzieli inhumie dzięki naszej krwi. Nigdy potem nie odczuwałem tego tak silnie, jak w chwili jego śmierci, jednak dopóki nie odleciałem z Zieleni, ta wizja zawsze mi towarzyszyła. Wiem, że bałeś się tej dżungli; wiem, bo i ja czasami czułem ten sam strach. A przecież była taka piękna, z tymi kożuchami mchu i szemrzącymi strumykami. Pnie olbrzymich drzew przypominały kolumny jakiejś budowli, ale jaki architekt mógłby nam dać miliony milionów kolumn, indywidualnych i despotycznych, majestatycznych i pradawnych?

*

Po napisaniu ostatnich słów zdmuchnąłem lampkę, wypuściłem Oreba, zamknąłem okno i zdrzemnąłem się kilka godzin. Teraz jest już ranek, i to chyba wczesny, bo sklepikarz jeszcze się nie zjawił. Dzień zapowiada się pogodny, chłodne promienie słońca rozświetlają ulicę. Chętnie wziąłbym kostur i powędrował ulicami Blanco, ale musiałbym zostawić sklep otwarty, czym źle bym się odwdzieczył właścicielowi za jego uprzejmość. Zamiast więc wychodzić, sięgnąłem po pióro.

Poczekaj chwilę, przeczytam, co napisałem wczoraj wieczorem.

Widzę, że wiele wątków zostało niedokończonych — przede wszystkim sprawa listów. Było ciemno, a ja byłem zmęczony. Oto więc obiecane listy. Inclito stawia duże litery, grubo zaostrzone pióro miota się po papierze, zostawiając grubą smugę czarnego jak smoła atramentu.

Incanto, drogi mój bracie,

Nie wierzyłeś, kiedy mówiłem, że chcę, byś u nas został. Matka prosi, bym dał ci do zrozumienia, że nalegam. Czy moje naleganie wystarczy?

Zamieszkaj u nas. Oboje cię o to prosimy. Matka własnoręcznie wyszykowała ci pokój. Doprowadza mnie do szafu.

Spakuj się więc i przybywaj...

Każdy, kogo poprosisz, przywiezie cię do nas. Albo pożyczycy ci konia.

Jeżeli do wieczora nie przyjedziesz, pofatyguję się po ciebie osobiście.

Inclito

Fava gryzmoli jak kura pazurem; niektóre słowa ledwie jestem w stanie odczytać.

Do Incanto,

sklep papierniczy przy ulicy Wody

Rajanie,

Moje słowa, prawdziwe ubiegłej nocy, są prawdziwe także dziś rano. Wiesz o mnie więcej niż wszyscy pozostali, dlatego nie chcę się z tobą sprzeczać. Przyjdź po południu pod akademię i powiedz mi, że jesteśmy przyjaciółmi. Będę taka szczęśliwa!!! Jeśli będziesz chciał, możesz pojechać z nami do domu Mory. Miejsca jest dosyć, a Inclito i Salica będą zachwyceni. Sam zobaczysz, że Salica przestrzega wszystkich twoich zaleceń, chociaż nie ma takiej potrzeby. Rozumiesz, co mam na myśli, rajanie?

Twoja zawsze wierna przyjaciółka

Fava

Przytoczyłem większą część mojej konwersacji z Morą, choć tylko we fragmentach. Nie miałem innego wyjścia: rozmowa miała na tyle osobisty charakter (dla niej, naturalnie), że źle bym uczynił, cytując ją tu w całości. Mimo to jest bardziej pokawałkowana i chaotyczna niż to konieczne, a ponadto pominąłem pewne fragmenty, które powinienem był zamieścić.

— Babka nieustannie narzeka, jaką to żalosną instytucją jest małżeństwo i ile zgryzot jej przyniosło — powiedziała Mora. — Była zamężna pięć razy i wszystkich pięciu mężów przeżyła. Ojciec papy wcale nie był jej ostatnim małżonkiem. Kiedy się jej słucha, można dojść do wniosku, że małżeństwo to jakieś nieszczęście, a wdowieństwo to już zupełna tragedia. Wiem, że

powtarza to, bo myśli, że nigdy nie wyjdę za mąż, i nie chce robić mi przykrości. Ale ja i tak jestem nieszczęśliwa.

— Małżonkowie muszą znieść wiele nieszczęść, Moro, tak jak i ludzie żyjący samotnie. Ale oba te stany obfitują także w szczęśliwe zdarzenia. Po co zatem je krytykować? Po co wynosić jeden nad drugi?

Mówiąc, cały czas myślałem o maytere Mięcie, ale nic o niej nie powiedziałem.

— Ja chcę wyjść za mąż.

— Naprawdę, Moro? Jesteś tego pewna?

— Tak, jak najszybciej. Chcę znaleźć kogoś, kto będzie mnie zawsze kochał.

— Dobra dziewczeczka — zauważył Oreb.

— Twój ojciec i babka cię kochają, a mimo to obwiniasz ich o to, że jesteś nieszczęśliwa.

Przez chwilę nic nie mówiła. Widziałem, że rozważa moje słowa, nie przerywałem więc milczenia.

— Gdybym była taka jak inne dziewczęta, te z miasta, bardziej by mnie lubiły.

— Albo mniej. Gdybyś mieszkała tutaj, w mieście, tak jak one, twój wzrost, siła, sposób mówienia, bystry umysł i wyrazista, wrażliwa twarz, którą będziesz miała jako kobieta, na każdym kroku byłyby dla nich zniewagą. Twój ojciec mnie lubi, dzięki czemu mieszkańcy miasta traktują mnie z szacunkiem. Myślisz, że szanowaliby mnie tak samo, gdybym urodził się trzy przecznice stąd?

Pokręciła głową.

— Uważasz, że los spletał ci figla. Nie, to nie jest pytanie; ja tylko stwierdzam fakt. Twoje dzisiejsze słowa to potwierdzają. Wiem, że twoja matka umarła, kiedy byłaś dzieckiem, a ciężko

jest z tym żyć. Współczuję ci głęboko i szczerze, ale poza tym jednym wydarzeniem wiedzie ci się lepiej niż przeciętnej mieszkance Blanko.

— Ja tak nie uważam!

— Oczywiście. Mało kto tak uważa. Jak byłoby uczciwie, Moro?

— Gdyby wszyscy byli równi.

— Są. Proszę cię, wysłuchaj mnie. Jeżeli nie chcesz mnie słuchać, równie dobrze możesz już iść. Wczoraj wieczorem ktoś mi powiedział, że biegasz najszybciej ze wszystkich dziewcząt, że wygrywasz wyścigi w palestrze. Przypuszczam, że Fava...

— Złe coś — wtrącił Oreb.

— ... że Fava słabo biega.

— W ogóle nie biega. Ma coś z nogami, więc jest zwolniona.

— Czy wyścigi są uczciwe?

Mora skinęła głową.

— Dlaczego?

— Wszyscy startują z jednej linii.

— Ale przecież niektóre dziewczęta biegają szybciej, inne wolniej. Wiadomo, że te szybsze muszą wygrać. Widzisz teraz, jakie to się musi wydawać nieuczciwe tym, które przegrywają? Życie rządzi się tylko jedną zasadą, Moro, zasadą, która wszystkich obowiązuje w równym stopniu: mnie, ciebie, dziewczęta z palestry, nawet Favę. Każdy ma prawo korzystać z tego, czym go los obdarzył. Twój ojciec ma potężną posturę, siłę i rozum. Korzystał z nich, bo takie jego prawo, i nikt nie powinien się skarżyć, że jest od niego gorszy. Twój ojciec gra fair.

— Papa pomaga biednym.

— Dobry człowiek!

— Wcale mnie to nie dziwi. — Pokiwałem głową. — Niektórzy ubodzy boczą się na niego, ale on i tak przychodzi im z pomocą.

— Skąd o tym wiesz? — Mora wybałuszyła oczy.

— Po prostu wiem, że są tacy ludzie, którzy kiedy coś ich boli, atakują najbliższy cel. Cokolwiek znajduje się w ich zasięgu. Jeśli jeszcze się tego nie nauczyłaś, niedługo się nauczysz. Wszyscy się uczymy.

— Czy ja też taka jestem?

— Sama musisz to przemyśleć. Kiedyś byłem sędzią, Moro, ale tu nim nie jestem. Zanim przejdziemy do poważnych spraw, a są takie, chcę poddać ci coś pod rozwagę. Przypuśćmy, że zamiast być sobą, jesteś drobną, śliczną dziewczynką, taką, jaką udaje Fava. Nie wydaje ci się, że ojciec mógłby nabrać wątpliwości, czy w ogóle jesteś jego córką? I że gdyby doszedł do wniosku, że nie, twoje życie wyglądałoby znacznie gorzej?

Nic nie odpowiedziała. Złożyła masywne, mięsiste dłonie na podolku i siedziała bez ruchu, ze spuszczoną głową.

— Nigdy o tym nie myślałam — odparła w końcu.

— Ale teraz pomyślisz.

Wiedziałem, że słowa, które za chwilę padną z moich ust, narażą siedzącą przede mną dziewczynę na śmiertelne niebezpieczeństwo. Musiałem odczekać chwilę, żeby głos na pewno mi nie zadrżał.

— Znałem kiedyś kobietę imieniem Sklerodermia. Była dość niska, ty już teraz znacznie ją przerosłaś. Była też gruba, znacznie grubsza od ciebie, a w dodatku zwyczajnie brzydka. Kiedy ludzie się z niej nabijali, śmiała się najgłośniej ze wszystkich. Sama zresztą też żartowała na swój temat... i nie

tylko na swój. Wszyscy uważaliśmy, że jest ogromnie zabawna. Większość z nas lubiła ją i uważała za gorszą od nas.

— Ja bym jej współczuła.

— Być może. Gdy wybuchła wojna, Sklerodermia weszła w posiadanie igłowca. Nie wiem jak do tego doszło, ale to w tej chwili nie ma znaczenia. Miała igłowiec i już. Kiedy przyszła pora na nas, mieszkańców dzielnicy Słońca, żebyśmy stanęli do walki, Sklerodermia walczyła jak żołnierka. Żołnierz nie powinien być grubasem po czterdziestce, w dodatku na krótkich nóżkach. Sklerodermia taka właśnie była, ale biła się za trzech.

Kiedy to powiedziałem, w oczach Mory pojawił się znaczący błysk. Wiedziałem już, że naprawdę narażam jej życie.

— Było wśród nas wiele kobiet, które znały ją od lat. Wstyd nie pozwolił im się wycofać, ale żadna nie okazała takiej odwagi jak Sklerodermia. Miałem wtedy prawie dokładnie tyle samo lat co ty teraz. Walczyła po naszej stronie dziewczyna imieniem Pokrzywa, moja rówieśnica. Oboje mieliśmy już pewne doświadczenie w boju i na widok Skleroderмии Pokrzywa powiedziała to, co oboje dobrze wiedzieliśmy: generał Mięta mogłaby spokojnie postawić Sklerodermię na czele oddziału liczącego pięćdziesięciu albo i stu żołnierzy.

— U nas kobiety nie walczą — zauważyła Mora. — W każdym razie rzadko.

Uśmiechnąłem się.

— Chyba że z mężem, tak? Wszędzie tak jest. Sklerodermia nie ograniczała się jednak do walki, chociaż zacząłem od tego, jak zasłużyła się na wojnie, bo to był początek jej kariery. Nasi przeciwnicy byli odważni, świetnie wyszkoleni, uzbrojeni w strzelby, — niektórzy nawet ubrani w zbroje. Nie trzeba było

długo czekać, żeby po naszej stronie padli pierwsi ranni i zabici. A wtedy Sklerodermia wyciągała rannych spod ostrzału, opatrywała im rany i wlokła ich w bezpieczne miejsca. Sam wiem o tym najlepiej, Moro, bo byłem wśród tych rannych.

— Chciałabym ją poznać.

— Nie żyje, ale mam nadzieję, że w przyszłości oboje się z nią spotkamy. Długo po zakończeniu wojny, kiedy przybyliśmy tu, na Błękit, pomagałem jej i jej mężowi zbudować nowy dom. Sklerodermia zdradziła mi wtedy swój sekret. To nic wielkiego, ale jeśli go sobie przyswoisz, tobie też może się przydać. Powiedziała, że zawsze rozważała w myślach, co jest do zrobienia; analizowała, które zadania będą najtrudniejsze, które ciut łatwiejsze, które łatwe, i tak dalej. A potem zastanawiała się, które zadania są w jej zasięgu, na co może się porwać. Układała sobie w głowie hierarchię. Rozumiesz mnie, Moro?

— Tak mi się wydaje...

— Powiedzmy, że doszła do wniosku, że najtrudniej będzie przeciągnąć pnie drzew do miejsca, w którym miał stanąć nowy dom. Że nieco łatwiej byłoby te drzewa ściąć i że żadnemu z tych obowiązków nie podoła, bo nie ma dość siły. Okorowanie i ociosanie pni, a także wycięcie otworów na kołki też ją przerastało. Mogła natomiast wycinać kołki z mniejszych gałązek i wygładzać je nożem. To nic trudnego.

— Czasem też to robię.

— Kiedy to ustaliła, wybierała sobie zadanie o jedno oczko trudniejsze i, na przykład, borowała otwory na kołki.

Chwilę trwało, zanim teraz Mora skinęła głową, ale doczekałem się.

— Wojna wkrótce zawita do Blanko. Tak uważa twój ojciec, a on ma poukładane w głowie i dobrze orientuje się w tutejszej sytuacji. Nie twierdzą, że idąc w ślady Sklerodermii czy Pokrzywy, zaskarbisz sobie miłość, o jakiej marzysz. Może nie. Osobiście jestem przekonany, że nawet jeśli nic nie zrobisz, i tak doczekasz się takiego uczucia. Jeśli jednak weźmiesz przykład ze Sklerodermii, to sobie na nie zasłużysz, a to już coś zupełnie innego. Znacznie łatwiej jest po prostu otrzymać wszystko, co — dobre w życiu, niż na to zasłużyć. Ale niezasłużone dary rzadko nas cieszą.

— Nie wiem, czy bym tak potrafiła — mruknęła Mora. — Spróbuję.

— Musisz zrozumieć, że położysz na szali własne życie. Fatalnie się czuję z tym, że rozmawiając z tobą w pewnym sensie wystawiam cię na niebezpieczeństwo. Możesz zginąć, ale...

— Tak?

— Śmierć może cię spotkać bez względu na to, co zrobisz. Nie każdy ryzykant umiera, tak jak nie każdy, kto się nie wychyla, dożywa szczęśliwej starości. Jesteś córką jednego z przywódców Blanko...

— On jest jak diuk. Nikt go tak nie nazywa, ale takie są fakty.

— Jeżeli Blanko przegra, nie będziesz miała lekkiego życia. A na razie zmykaj do palestry. Z pewnością jesteś już bardzo spóźniona. Nie wiem, ile warte jest moje błogosławieństwo, ale udzielam ci go.

— Idzie już! — poparł mnie Oreb. — Pa, dziewczeczko.

— A Fava... Czy to naprawdę konieczne, żeby odeszła?

— Dla dobra twojej babki. — Skinąłem głową. — Dla twojego własnego. I dla dobra jej samej.

Mora z ociąganiem wstała.

— To moja jedyna przyjaciółka.

— Wiem. Ale dopóki jest przy tobie, nie możesz mieć innych przyjaciół. Pewnie nawet nie myślałaś o tym w ten sposób, ale ona na pewno to przewidziała. Przyjaciółka mogłaby domyślić się prawdy, tak jak tobie się to udało. Fava dopilnuje więc, by nikt zanadto się do ciebie nie zbliżył. A może już to robi? Ty wiesz najlepiej, a twoja historia z wczorajszego wieczora dowodzi, że mam rację.

Odprowadziłem ją wzrokiem. Przyszło mi do głowy, że mam przed sobą kobietę, która albo nie zdaje sobie sprawy ze swojej kobiecości, albo się z nią jeszcze nie pogodziła. Bo w jej wypadku stażu kobiecości nie mierzyło się w latach, lecz — w najlepszym razie — w miesiącach. Jeśli nie w tygodniach albo i dniach.

*

Na Zieleni, kiedy szukałem w rzece otrzymanych od Sąsiada miecza i światełka, spędziłem nad wodą większą część dnia. Widziałem wtedy w nurcie wiele rzeczy, którymi zupełnie się nie przejąłem. Szukałem światła i miecza, a ponieważ inne unoszące się w wodzie przedmioty nie były ani jednym, ani drugim, nie zwracałem na nie uwagi. One zaś zemściły się na mnie właśnie teraz — to przez nie obudziłem się zlany potem. Wytarłem się ręcznikiem, który dała mi matka Inclito, zapaliłem świecę i otworzyłem drzwi. Nie wzgardziłbym jakimś towarzystwem, ale Oręb gdzieś pofrunął, a reszta mieszkańców domu chyba śpi. Jeśli któreś z nich się obudzi, być może zajrzy do mnie, żeby porozmawiać. Nie ma w tym domu nikogo, z kim

nie chciałbym zamienić paru słów. Najlepsza byłaby chyba ponura służąca, Torda, ale na jej wizytę nie powinienem raczej liczyć.

A tymczasem opiszę to, co widziałem i o czym śniłem — czyli dwa razy napiszę to samo. Opisując te obrazy, spętam je dyscypliną świadomości. Taką przynajmniej mam nadzieję.

Trupy najbardziej rzucały się w oczy. Podczas poszukiwań cały czas przepływały obok mnie, niesione leniwym nurtem, zwykle pojedynczo, rzadziej po dwa lub trzy jednocześnie. O pierwszym — tym, którego znalazłem, kiedy Sąsiad był jeszcze ze mną — już pisałem. Wszystkie następne były do niego podobne, więc nie będę się rozpisywał o oczywistych faktach, żeby się nie powtarzać. Po tym, jak odblokowałem kanał, poziom rzeki wyraźnie się podniósł, a z odsłoniętego przeze mnie przelotu woda cały czas wymywała nowe ciała — mężczyzn, kobiet i dzieci — tak jak najwątlesza nawet strużka wypłukuje ziarenka piasku. Niektórzy płynęli twarzą do góry, ale większość unosiła się w wodzie na brzuchu, co bardzo mnie cieszyło.

Nic się nie wydarzyło. Siedzę tu, pogrążony w zadumie, i próbuję sobie przypomnieć słowa, które patere Płetwa dawno, dawno temu wyczytał w Piśmie Chiasmologicznym. Było tam coś o ludziach, których Pah umieścił we whorlu długiego słońca, a oni rozmnażali się, aż stali się tak liczni jak ziarenka piasku. Wiem, że patere Remora ma własny egzemplarz Pisma. I zapewne zna ten cytat na pamięć, nawet nie musiałbym go prosić, żeby go dla mnie znalazł. Jakże trudno jest jednak żyć w zgodzie z księgą, którą spisano z myślą o innych czasach i

innym whorlu! Bogowie, do których patere się modli i którym składa ofiary, są bardzo, bardzo daleko.

Co nie zmienia faktu, że jest jednym z nielicznych prawych mieszkańców Nowego Vironu. Jednym z ostatnich dobrych ludzi w ogóle, powinienem dodać. No bo kto jest lepszy — my, którzy utraciliśmy wiarę w księgę, czy on, który trwa w swej wierze bez pochwał i bez nagrody? On, bez wątpienia. Lepiej być dobrym bez powodu niż czynić zło, mając setki dobrych wytłumaczeń.

Czy Pah Wielki naprawdę przewidział to wszystko, kiedy natchnął któregoś z autorów Pisma i podyktował mu ten fragment o ziarnkach piasku? Czy mógł przewidzieć zatkany kanał na Zieleni i masę zwłok niesionych falą wody, która omal mnie nie zatopiła? We śnie ciała machały do mnie i przemawiały, powtarzały słowa, które wypowiadały za życia. Namawiały mnie do kupna gwoździ i butów, tanich ubrań, pierożków z mięsem; błogosławiły mnie w imię różnych bóstw; witały się ze mną, mówiąc „dzień dobry” i „dobry wieczór”. Stało się dla mnie jasne, że nie dociera do nich, że nie żyją. Gdyby zdawali sobie z tego sprawę, nie mogliby być martwi. Dlatego zachowywali się tak samo jak za życia. Oczywiście wydało mi się, że i ja nie żyję. Tylko martwy (i nieświadomy własnej śmierci) mogłem słyszeć, jak mówią, i widzieć, jak się poruszają.

Zapomnijmy na chwilę o moim śnie. Długo się zastanawiałem nad motywami, jakie kierowały Sąsiadem, który mnie uwolnił, dał mi miecz (a także, z całą pewnością, światełko) i wyznaczył mi zadanie. Dlaczego tak mu zależało na odblokowaniu kanału w podziemiach Miasta Inhumich? I

dlaczego wybrał właśnie mnie, a nie kogoś innego? Dlaczego sam się tym nie zajął?

I najważniejsze pytanie: dlaczego nie zgodził się, bym wziął ze sobą Ścięgno?

Wydaje mi się, że ta ostatnia kwestia jest zarazem najłatwiejsza do rozstrzygnięcia. Na długo przed zapadnięciem zmroku doszedłem do wniosku, którego od tamtej pory nie porzuciłem. Sąsiad chciał, żebym wrócił później do Miasta Inhumich i uwolnił wszystkich współwięźniów. Gdyby wraz ze mną wypuścił Ścięgno, prawdopodobieństwo, że wrócimy po resztę, znacznie by się zmniejszyło, a ponadto wdzięczność wyzwoleńców podzieliłaby się między nas dwóch. A tak, uwalniając ich w pojedynkę, stałem się ich przywódcą.

Nie chciałem zostać żadnym wodzem, a jeszcze mniejszą ochotę miałem po raz wtóry ryzykować życie w Mieście Inhumich. Postanowiłem zatem — stanowczo i, jak mi się wydawało, nieodwołalnie — że nie dam sobą manipulować. Ścięgno przez całe lata darzył mnie niechęcią, więc niech teraz sam się uwolni. Albo niech zginie. A co do reszty naszych towarzyszy z lądownika Tego-od-ognia, nic a nic mnie nie obchodzili — poza Kraitem, ale Kraitowi nic nie groziło. Postanowiłem, że kiedy się ściemni, zakończę poszukiwania, ruszę z biegiem rzeki i będę szedł tak długo, aż padnę ze zmęczenia, oddaliwszy się uprzednio jak najbardziej od miasta.

Niebo, na Zieleni i tak ciemne, pociemniało jeszcze bardziej. Coraz liczniejsze odgłosy mąciły senną ciszę rzeki i dżungli. Zbudzone z całodziennego snu zwierzęta zeszyły do wodopojów, gdzie pluskały się i paraskały z zadowoleniem, a dobiegający z drugiego brzegu rzeki (w tym miejscu całkiem wąskiej) chrupot kości świadczył o tym, że jakiś padlinożerca pożywia się

wyłowionymi z wody zwłokami. Oczyma wyobraźni widziałem przycupniętego na brzegu ślepcę, ogryzającego rękę trupa.

Wtedy właśnie, zgodnie z powziętym zamiarem, ruszyłem w dół rzeki.

We śnie, który dziś śniłem, ten moment nie nastąpił. W zagłębieniu w piaszczystej łasze na zakręcie kanału znalazłem garść klejnotów, a w każdym razie przedmiotów, które wyglądały jak klejnoty. Włożyłem kilka do kieszeni, a resztę zostawiłem swojemu losowi; prawdę mówiąc, miałem nadzieję, że znajdę wśród nich moje światełko. We śnie były to najprawdziwsze kamienie szlachetne, ogromne jak kurze jaja, połyskujące dziesiątkami wy — szlifowanych faset. Po drugiej stronie kanału, w miejscu, gdzie silniejszy prąd podmywał brzeg, wypatrzyłem utkwione wśród korzeni skorupy i kanciaste kamienie, które w moim śnie przybrały kształty dziwacznych machin i połyskliwej broni, przedmiotów niewyobrażalnie potężnych — i niewyobrażalnie tajemniczych. Podjudzane przez Scyllę martwe dzieci naprzykrzały mi się swoim błaganiem: — Bitkarta, panie? Jednego bitkarta!

W tej chwili wydaje mi się, że owa niesamowita maszyna i broń pojawiły się tylko w moim śnie, równie wyimaginowane, jak Scylla i gadający umarli. Niewykluczone jednak, że istniały naprawdę, a ja, ujrawszy je, zignorowałem ich obecność, woląc nie wiedzieć, czym są naprawdę. Tymczasem pamięć przechowała ich obraz, który teraz przywołuje, by mnie dręczyć i karać za moje zaniedbanie. Co byśmy znaleźli, gdybyśmy zaczęli szukać skarbów w ziemi w pobliżu takich budowli jak dom Inclito?

Kiedy dziś przy kolacji opowiadaliśmy sobie historie, stwierdziłem, że mogę wejść w opowieść Favy — ku jej

konsternacji i mojemu bezgranicznemu zdumieniu. Widziałem nie tylko to, o czym mówiła; widziałem znacznie więcej, mogłem nawet wpływać na przebieg wydarzeń. (Muszę pamiętać, żeby później o tym napisać). A zatem jeśli opowieści są czymś więcej niż dotąd sądziłem, czy i sny nie mogą mieć większego znaczenia? Nie posunę się do stwierdzenia, że skoro śniły mi się skarby w ruinach, to z pewnością tu są; takie słowa graniczyłyby z szaleństwem. Ale czy skarby nie mogą leżeć schowane w ziemi, tak jak mój miecz tkwił wbity w mur? Albo, jeszcze lepiej, tak jak srebrny puchar musiał być ukryty w ruinach domu Sąsiadów pod Gaonem? I czy to naprawdę niemożliwe, żeby sen mnie do nich zaprowadził?

Przynajmniej przez chwilę miałem towarzystwo, za którym tak tęskniłem. Służąca, w dziennym stroju, ale ze wzburzonymi włosami i niemożliwym do opisanego wyrazem twarzy kobiety, która zaznała miłosnej rozkoszy, stanęła w progu i zapytała, czy mam ochotę coś zjeść. Nie odpowiedziałem, zapytałem natomiast, dlaczego o tak niezwykłej porze jest na nogach.

Odparła, że co rano wstaje bardzo wcześnie, żeby pomóc kucharce przy wypieku chleba. A matka gospodarza nalega, aby przy śniadaniu podejmować gości świeżym chlebem.

Zauważyłem, że w takim razie chyba niewiele sypia, a przy okazji zapytałem, gdzie właściwie spała. Trafiłem w dziesiątkę. Zaczerwieniła się; na jej puciołowatą (nawet bardziej niż u Mory) twarz wystąpił rumieniec tak intensywny, że nawet w świetle świecy nie mógł ujść mej uwagi. Odparła, że spała w kuchni.

— Właśnie tam wracam — dodała.

Powstrzymałem się od pytania skąd.

— Więc jeśli takie jest wasze życzenie, mistrzu Incanto, bez problemu mogę podać coś do jedzenia.

Podziękowałem, a ona czmychnęła do kuchni. Druga służąca jest zgrabniejsza i bardziej atrakcyjna.

Próbowałem jeszcze się zdrzemnąć, ale na próżno. Rzeka, która płynie w moim koszmarze, tylko czeka, żeby się na mnie rzucić, gdy przymknę powieki. Trupy wykrzykują swoje trupie pozdrowienia, a ich martwe dzieci błagają mnie o pomoc. Nie żeby znów mi się przyśnili — z pewnością nie, bo nie zasnąłem ani na chwilę — ale moje myśli cały czas krążą wokół nich, a to paskudne uczucie.

Niespełna pół minuty po tym, jak znów usiadłem wyprostowany na łóżku, do pokoju weszła służąca z tacą. Tym razem udało mi się z nią dłużej porozmawiać, chociaż miałem wrażenie, że tak przerażonej jeszcze jej nie widziałem. Ma na imię Onorifica, jest czwartym z siedmiorga dzieci, jej ojciec ma małe, ubogie gospodarstwo niedaleko stąd. Kupił od Inclito trzy jałówki (Onorifica twierdzi, że to bardzo ładne sztuki), więc jego córka spłaca je teraz trzema latami pracy.

— Tu wcale nie jest tak źle, jak by się mogło wydawać, panie. Mam co jeść, mam się w co odziać, czasem dostanę jakiś prezent. — Pokazała mi srebrny pierścionek i bransoletkę, wykonaną, jak twierdzi, ze złota. Na mój gust bransoletka jest mosiężna, a wyprodukowana została w Gaonie. Tam na targu kupuje się je dziesiątkami. — A po śniadaniu będę mogła się zdrzemnąć. Obie z kucharką się prześpimy.

Zapytałem o pozostałych. Decina, kucharka, jest zatrudniona na stałe. Inclito płaci jej w naturze, a Decina później wymienia żywność na inne potrzebne jej towary. Podobnie opłacani są

woźnica i robotnicy rolni. Raz w miesiącu jadą wozem do Blanko, żeby pohandlować.

Torda, druga służąca, jest daleką krewną Inclito.

— Kuzynką? — podsunąłem.

— Ona chciałaby, żebyście tak myśleli, panie. Syn brata pani ożenił się z matką Tordy, tak mi się w każdym razie zdaje. Ale zginął na wojnie, a wtedy ona wyszła za mąż drugi raz i dopiero później urodziła Tordę. Mniej więcej tak to wyglądało, panie. W każdym razie kucharka mówi, że kiedy do nas przyszła — Torda, znaczy się — wyglądała jak łachmaniarka, a spodziewała się, że będą ją traktować jak Morę. Te dwie wiecznie się kłóciły. Tak to wyglądało, kiedy przyszedłam do pracy. A teraz muszę już iść.

Na tacy, którą mi przyniosła, znalazłem filiżankę na spodku, imbryczek z bardzo smaczną herbatą, cukier (bielszy niż ten, do którego przywykłem w Gaonie), połówkę cytryny i taką masę kruchych ciasteczek wiśniowych, że z pięć osób by się nimi najadło. Popijam herbatę, ale ciastka zachowam dla Oreba. Wzmianka o świeżym chlebie zapowiada sute śniadanie.

Przeglądając ostatnie zapiski, natrafiłem na swoje spekulacje 'na temat motywów, jakimi kierował się Sąsiad, który na Zieleni najął mnie do oczyszczenia kanału. Spróbuję zmierzyć się z następnym pytaniem, poważniejszym, jak mniemam, i trudniejszym od poprzedniego.

Dlaczego (pytałem) sam się tym nie zajął? Przedstawię za chwilę dwie teorie. Możliwe, że obie są prawdziwe; możliwe też, że żadna z nich nie odpowiada prawdzie.

Pierwsza sprowadza się do stwierdzenia, że Sąsiadom z trudem przychodzi przemieszczanie niektórych przedmiotów.

Po tym, co widziałem obcując z Sąsiadami, wydaje mi się to całkiem prawdopodobne. Mam wrażenie, że nie znajdują się tutaj w takim samym sensie jak my, nawet kiedy stoją obok nas. Domyślam się, że łatwiej jest im chwytać i przesuwać obiekty pochodzenia naturalnego, takie jak kamienie czy patyki, oraz przedmioty, które sami wykonali, kiedy Błękit i Zielień były ich domem, trudniej zaś obiekty pochodzące z innych światów. Srebrny puchar, który od nich dostałem (jakże żałuję, że go porzuciłem!), drzwi, które Sąsiad otworzył przede mną, kiedy byłem uwięziony na Zieleni, miecz i światełko, które od niego dostałem — to wszystko przykłady przedmiotów, które zaliczam do pierwszej kategorii. My pochodzimy z whorla długiego słońca, nie zaś z Zieleni czy Błękitu, dlatego też, jeśli moje domysły są słuszne, zbite i splątane ciała setek ludzi musiały dla Sąsiada stanowić nie lada kłopot.

Przypuszczam również, że chciał, abym zobaczył te zwłoki, abym ich dotknął i poczuł ich woń. Mógł mnie uwolnić na wiele sposobów, tak jak na wiele sposobów mógł uczynić mnie przywódcą współwięźniów. Nie przychodzi mi jednak do głowy żaden sposób, który byłby równie skuteczny. Strach, jaki czułem do inhumich wyruszając z Jaszczurki, stępiął wskutek codziennego obcowania z Kraitem na pokładzie słupa. Jeżeli więc Sąsiadowi zależało na jego odnowieniu, wybrał najlepszą metodę.

Wydaje mi się jednak, że przede wszystkim chciał, abym zdał sobie sprawę z tego, co naprawdę nas czeka.

Zanim przejdę dalej, powinienem cofnąć się do czasu, kiedy Mora udała się do palestry. Nie napisałem ani słowa o tym, co się potem wydarzyło.

Po odebraniu listów doszedłem do wniosku, że jeśli mam pojechać z Morą i Favą, dobrze byłoby się dowiedzieć, kiedy kończą się zajęcia. Zapytawszy o drogę trafiłem do palestry, gdzie zastałem już woźnicę, czekającego na dziewczęta. Napisałem do Inclito krótki list, w którym podziękowałem mu za zaproszenie i przeprosiłem, że wprawdzie tego dnia nie będę mógł go odwiedzić, ale z przyjemnością przyjadę w dniu następnym. Poprosiłem też, żeby uprzedził woźnicę, iż będę towarzyszył Morze i Favie w drodze do domu.

Właściciel sklepu papierniczego zaprosił mnie na rodzinną kolację, prosty posiłek, na który podano zupę i chleb. Zaskoczyłem oboje gospodarzy (i sprawiłem im nie lada radość), próbując zupy i chleba i zabawiając ich opowieściami o mojej podróży do Vironu w towarzystwie Świni i Ogara. Zanim zaczęliśmy jeść (o czym powinienem był wspomnieć w pierwszej kolejności), poprosili mnie, bym odwołał się do bogów. Pobłogosławiłem więc posiłek w imię Zewnętrznego, uczyniłem znak dodawania z takim samym namaszczeniem, z jakim czyniłem to w dzieciństwie, i trochę im o Zewnętrznym opowiedziałem. Mam wrażenie, że na Błękicie ludzie są ogromnie stęsknieni bogów. Dopóki jednak bogów nie ma, tęsknota nie znajduje należytego wyrazu.

Onorifica wróciła, spocona po pracy przy wypieku chleba, ale uczesana schludniej niż poprzednio. Wtedy, podając mi tacę z herbatą, wyglądała na przestraszoną i cały czas strzelała oczami na boki. Pomyślałem, że boi się Oreba, i uspokoiłem ją, mówiąc, że gdzieś sobie poleciał. Teraz sprawiała wrażenie bardziej pewnej siebie. Przekonałem ją, żeby usiadła na chwilę, i poczęstowałem jednym z jej własnych ciastek.

Usiadła ostrożnie, ujęła ciastko oburącz i zaczęła je ogryzać. Przypominała spasioną wiewiórkę.

— Kucharka mało ducha nie wyzionęła, jak jej o was powiedziałam.

Milczałem.

— Ona się was boi, panie. Zarzeka się, że nie przekroczy progu kuchni, dopóki wy tu siedzicie.

Naturalnie wyjaśniłem Onorifice, że kucharka nie ma powodów do obaw, chociaż w głębi serca zastanawiałem się, czy to prawda. Wydawało mi się prawdopodobne, że to właśnie kucharka jest szpiegiem, którego obawiał się Inclito.

— W mieście też się was boją, panie. Z tego, co słyszałam, to błądy strach padł na ludzi.

Spytałem, czy była w mieście, a kiedy zaprzeczyła, zapytałem, skąd wie o lęku mieszkańców.

— Woźnica mi powiedział, panie. — Zawahała się, prawdopodobnie zdając sobie sprawę, że wystawia swojego informatora na niebezpieczeństwo. — Rano ma przykazane wracać prosto z miasta po odstawieniu dziewcząt do szkoły, więc wraca.

— Za to po południu ma dość czasu, żeby... — „poplotkować” nie było najwłaściwszym słowem — ... żeby porozmawiać z mieszczanami, zwłaszcza jeśli przyjedzie przed czasem.

— No właśnie, panie.

— Kiedy tu przyjechałem, Mora i Fava skarżyły się, że nauczyciele nieustannie je o mnie wypytyją.

Przeżuła i przełknęła kawałek ciastka.

— Pewnie tak, panie.

— Twierdziły też, że wystawiają mi jak najlepszą opinię i zapewniają wszystkich, że jestem całkowicie niegroźny. To

ostatnie to zresztą szczerą prawdą, ja zaś mam nadzieję, że zasługuję na dobre słowo... Chociaż swoje wiem.

— Nic więcej wam nie mówiły, panie?

Pokręciłem głową.

— Buzie im się nie zamykały — odparłem. — Zwłaszcza Favie. Ale twierdzą, że nauczycielom nic więcej nie powiedziały.

— Mora by was nie okłamała, panie.

— Ogromnie miło mi to słyszeć.

Byłoby mi jeszcze milej, gdybym w to wierzył.

— Ale ta cała Fava... Nie ufajcie jej, panie.

Obiecałem, że nie obdarzę Favy zaufaniem.

— Można by pomyśleć, że masło wcale jej się w ustach nie topi. Posłuchajcie mojej rady, mistrzu, i nie ufajcie jej. Czasem, kiedy on o czymś mówi i ona nagle wejdzie do pokoju, zapomina języka w gębie. Potem już prawie się nie odzy... — Wzrok Onorifiki padł na kostur, który dostałem od Cugino. — Czy wasz kostur gada, panie? — zapytała zmienionym głosem.

Z uśmiechem odparłem, że ostatnio raczej mu się to nie zdarza.

— Ale jest na nim taka mała buźka, prawda?

— Naprawdę? Pokaż mi ją.

— Wolałabym go nie dotykać, panie, jeśli... Mam wam go podać? — zapytała, błagając mnie zarazem spojrzeniem, bym odmówił. Wstałem więc i sam go przyniosłem.

Wskazała wyciągniętą ręką. Jej drżący palec zatrzymał się dobry łokieć od drewna.

— Tutaj, panie.

We wskazanym przez nią miejscu znajdował się mały otwór po sęku. Nieco wyżej widniało drobne zgrubienie, które można by nazwać nosem, a jeszcze wyżej dwie ciemne plamki, które

można by od biedy (przy ogromnej dozie dobrej woli) uznać za oczy. Przetarłem tę „bużkę” kciukiem, zdzierając kilka płatków łyka.

— O tym mówisz?

— Proszę, nie dotykajcie jej, panie! — Onorifica zbladła jak ściana. — Jeszcze przemówi...

Powstrzymałem się od uśmiechu i zapewniłem ją, że nie będę zachęcał „bużki” do mówienia.

— Muszę was o coś zapytać, panie...

Wargi jej zadrżały. Nie mogła wykrztusić ani słowa więcej.

— Czy naprawdę jestem strego, jak mówi wasza pani? Czy param się magią?

Po wyrazie jej twarzy poznałem, że nie trafiłem, ale pokiwała głową.

— Nie, Onorifico, nie jestem. Nikt nie jest strego.

Na próżno czekałem, aż coś powie.

— Strego nie istnieją, tak jak nie istnieje magia w twoim rozumieniu tego słowa. Pewne zjawiska, których nie rozumiemy, takie jak upiory czy nagłe burze, każą nam wierzyć w magię. Tymczasem upiory to po prostu duchy zmarłych, a co do burz, to choć nie wiem, co je powoduje, jestem przekonany, że nie ma w nich nic magicznego. Owszem, są ludzie, którzy potrafią przepowiadać przyszłość, ale wykorzystują do tego albo swoje naturalne zdolności, których nie są świadomi, albo wiedzę uzyskaną od bogów. — Uśmiechnąłem się, żeby dodać jej otuchy. — Dawno temu przyjaźniłem się z człowiekiem, który stał się swego rodzaju bogiem, jednym z aspektów Paha. Udzielił mi wielu bezcennych rad i informacji, ale choć był mądrym człowiekiem, nie nauczył mnie magii. Nie mógł tego

zrobić, nawet gdyby doszedł do wniosku, że magia mogłaby mi się przydać.

— Tak jak dziś, panie.

Pomyślałem, że nawiązuje do opowieści Favy.

— Czasem dziwne rzeczy się zdarzają, ale nazwanie ich magią niczego nie załatwia.

Rozległo się pukanie w okno. Otworzyłem i Oreb wleciał do pokoju.

— Dobra dziewczeczka?

Spojrzał z powątpiewaniem na dobrą dziewczeczkę, która omal nie zemdląła na jego widok.

— Bardzo dobra — uspokoiłem go.

— Mówiłam mu, że nie powinniśmy, kiedy wy jesteście w domu, panie — wypaliła dobra dziewczeczka, obryzgując mnie okruszkami.

— Złe coś — ostrzegł mnie Oreb.

Już chciałem zapytać, jakiego „jego” Onorifica ma na myśli, podejrzewając, że chodzi o inhumiego, gdy nagle zrozumiałem w czym rzecz. Zniżyłem głos: — Zły człowiek szpiegował przyjaciela, o którym ci przed chwilą opowiadałem, kiedy ten spowiadał pewną młodą kobietę. Przyjaciel mówił mi potem, że ponieważ kobieta mówiła bardzo cicho, szpieg niewiele się dowiedział. My powinniśmy zrobić to samo — dodałem głośniej.

— Dobrze, mistrzu Incanto.

Po jej minie widziałem, że nie ma zielonego pojęcia, o czym mówię.

— Kiedy wracałaś dziś w nocy do kuchni, przechodziłaś przypadkiem koło mojego pokoju, zajrzałaś więc i uprzejmie zapytałaś, czy czegoś nie potrzebuję. Ja zaś zapytałem, gdzie

spalaś, czym ogromnie cię wystraszyłem, chociaż wcale nie miałem takiego zamiaru. Mam rację?

Była tak przerażona, że ledwie zdobyła się na lekkie kiwnięcie głową.

— Nie zamierzam wtrącać się w sprawy mojego gospodarza, poza tymi, w których poprosił mnie o pomoc. Nie zamierzam również wtrącać się w twoje życie.

— Co ze mną zrobicie, panie? — zapytała chrapliwym szeptem.

— Pytasz, czy cię ukarzę? Nie mogę, a zresztą nawet gdybym mógł, i tak bym tego nie zrobił. Dał ci przecież pierścionek.

— Ale my nie jesteśmy, wiecie, panie... jak mąż i żona.

— Nic dziwnego, skoro nie ma tu augurów z prawdziwego zdarzenia. Mnie udzielił ślubu patere Remora, więc jesteśmy z żoną małżeństwem jak się patrzy. Taki pierścionek to najlepszy dowód małżeństwa, jeśli nie ma pod ręką augura. Może się jednak zdarzyć, że urodzisz dziecko. Myślałaś o tym?

Onorifica się rozpromieniła.

— Chcę mieć dziecko, panie. On się nami zaopiekuje. Znam go.

Wstałem. W pożyczonej od Inclito nocnej koszuli nie wyglądałem nazbyt reprezentacyjnie, ale na dziewczynie chyba i tak zrobiłem wrażenie. Aby je wzmóc, wziąłem kostur do ręki. Oreb zeskoczył z mojego ramienia i przysiadł na zakrzywionej końcówce kija.

— Nie mam mocy augura, która pozwoliłaby mi wybaczać złe uczynki, ale mogę cię pobłogosławić — powiedziałem. — I zrobię to. Dzięki łasce Paha Wielkiego każdy może udzielić błogosławieństwa.

Uczyniłem w powietrzu znak dodawania i poprosiłem Paha i Zewnętrznego, aby łaskawie spojrzeli na Onorificę i jej ewentualne potomstwo.

Kiedy skończyłem, dziewczyna wstała.

— Dziękuję wam, panie — uśmiechnęła się. — Czy mogę...
Macie jeszcze jakieś życzenia?

— Potrzebuję paru drobiazgów — odparłem. — Miałaś mi powiedzieć, co woźnica usłyszał w mieście.

— Wszyscy się was obawiają, panie. — Oblizła palce. — Boją się zbliżyć do sklepu, w którym mieszkacie, kiedy jesteście w pobliżu. Dopiero kiedy sobie pójdziecie, schodzą się, żeby posłuchać, ale on im nic nie mówi, dopóki czegoś nie kupią. Kucharka też mnie będzie wypytywać, panie.

— Rozumiem. Co jej powiesz?

— Nic, panie.

— Nic? Ani słowa?

— No, coś tam może i powiem. — Znow się uśmiechnęła, ja zaś zacząłem rozumieć, dlaczego podoba się gospodarzowi. — Ale nie za dużo.

— To bardzo rozsądne. Zanim jednak wrócisz do kuchni, czy mogłabyś odszukać drugą służącą, nawet obudzić ją, jeśli będzie to konieczne, i powiedzieć, że chciałbym z nią pomówić?

— Dobrze, mistrzu Incanto. Już się robi.

— A wychodząc, przyślij do mnie Favę. Czeka na korytarzu, a przynajmniej niedawno czekała.

Ledwie to powiedziałem, Fava weszła do pokoju. Za nią, mniej dumnym krokiem i pociągając nogami, szła Mora. Obie były w koszulach nocnych.

6

Zgadywanki

Zdarzają się takie chwile, w których olśnienie spływa na człowieka nieoczekiwanie, tak jak się to zdarzyło na boisku. Zawsze, kiedy o tym myślę, przypomina mi się druga noc na Zieleni. Większą część upalnego dnia zajęło mi szukanie otrzymanych od Sąsiada podarków, zanim porzuciłem to beznadziejne zajęcie. Byłem gotów potwierdzić najgorsze opinie Ściąga na mój temat, zostawiając i jego, i innych naszych druhów z lądownika na pastwę losu. Ruszyłem wzdłuż rzeki śmierci, która wypływała ze ścieku pod Miastem Inhumich. Chciałem jak najszybciej zostawić za sobą miasto i jego makabryczne widoki.

Przez pół nocy brnąłem ostrożnie przez mrok skrywający brzegi rzeki. Ruchomy szafirowy punkcik Błękitu dodawał mi otuchy, zaś blada, nierówno płonąca iskierka „Whorla” nieskończenie mnie zasmucała. Powinienem być tam, na górze, przeczesywać Viron w poszukiwaniu calde, a tymczasem...

Miałem pisać o mojej wędrówce z biegiem rzeki, ale (jak właśnie sobie uświadomiłem) po tym, jak ujrzałem „Whorl” błyszczący w mrowiu gwiazd, zatrzymałem się i przysiadłem spocony na wyrzuconej na brzeg kłodzie. Oganiając się od

robactwa, patrzyłem, jak gwiazdy odbijają się w gładkiej, oleistej powierzchni wody. Spieniona fala, która uniosła mnie poza miasto, dawno opadła. Chwilami zdawało mi się, że pod wodą kryją się setki inhumich, a świecące punkciki, które widzę, to ich łyskające groźnie ślepia. Jednak za każdym razem, kiedy wśród światełek przesuwał się ciemny, bezwładny kształt, uświadamiałem sobie, że w wodzie nie ma żadnych inhumich i że w tej chwili to głównie my spływamy rzeką.

Nie chcę przez to powiedzieć, że nie widziałem nic więcej. Olbrzymie bezwłose potwory, na dwóch, czterech i sześciu nogach, schodziły nad rzekę pić i łapać nasze zwłoki, tak jak niedźwiedzie polują na ryby. Przypomniałem sobie niedźwiedzia o niezwyklej nazwie, z którym Ten-od-owiec wymienił krew. Zastanawiałem się, czy tamte niedźwiedzie też wyławiają padlinę z rzek na Zaciemnieniu.

Najbardziej utkwił mi w pamięci ogromny wąż, który płynął szybko pod prąd. Łeb miał wielkości — i kształtu — trumny. Płynąc, trzymał go nad wodą i rozglądał się na boki. Sięgał głową wyżej niż ja bym sięgnął, gdybym wyprostowany stanął na mojej kłodzie, ale, jak już przed chwilą pisałem, siedziałem. Nie poruszyłem się, nawet nie drgnąłem i wąż przepłynął obok mnie. Długo po tym, jak jego łeb zniknął mi z oczu w górze rzeki, śledziłem jeszcze ruch jego długiego cielska i słuchałem chlupotania fal wzbudzonych jego ruchem.

Potem nie zostało mi już nic innego, jak tylko wstać i ruszyć dalej. Kiedy teraz o tym myślę, dochodzę do wniosku, że nie przeszedłem nawet stu kroków, kiedy mój wzrok przyciągnęło światełko, zatopione w mule przy brzegu. Z niedowierzaniem zszedłem nad wodę, podniosłem je i obmyłem z brudu. Wcześniej porzuciłem wszelką nadzieję odnalezienia go, teraz

zaś trzymałem je w rękach. Przytrafiło mi się wiele niezwykłych przygód — we whorlu długiego słońca, na Zieleni, i tu, na uśmiechniętym Błękanie — żadna jednak nie wydała mi się tak cudowna i niesamowita. Kiedyś ześliznąłem się z dzioba statku powietrznego i już zacząłem spadać (a spadałbym dobrą milę), kiedy Jedwab wyciągnął rękę i złapał mnie w locie. Znalezienie światełka mogę porównać chyba tylko z tym jednym doświadczeniem.

Płuczając je, zauważyłem, że unosi się na wodzie swobodnie niczym korek, co zresztą mogłem być przewidzieć, pamiętając o tym, jak lekkie mi się wydało. Nic więc dziwnego, że fala powodziowa uniosła je znacznie dalej niż mnie. Nagle doznałem olśnienia (o takim właśnie olśnieniu pisałem przed chwilą), że zachowałem się jak ostami dureń, godzinami szukając go w miejscu, gdzie wyrzuciła mnie rzeka. Co więcej, zdałem sobie też sprawę, że miecz (który, rzecz jasna, nie miał prawa unosić się na wodzie) musiał zatonać znacznie bliżej miejsca, w którym go zgubiłem, niż okolic, w których zdyszany wylazłem na brzeg i zwymiotowałem ohydną wodę. Najprawdopodobniej został pod łukowatym sklepieniem kanałów Miasta Inhumich.

Uklęknąłem w wodzie i wepchnąłem światełko pod powierzchnię. Zakładałem, że skoro nie zgasła go potężna fala, tym bardziej nie zaszkodzi mu zanurzenie w wodzie głębokiej na dwa palce. Ucieszyłem się, że zatopione doskonale oświetla dno rzeki.

Ale, ale... Kiedy siadałem wieczorem do pisania, zamierzałem pisać o sposobach pozyskiwania wiedzy, a lada chwila zgubię się w dygresjach, co często mi się zdarza. Mógłbym nawet

zapomnieć, że muszę jeść i spać, gdyby nie Oreb, który mi o tym przypomina.

Niespodziewane oświecenie może być czymś cudownym, równie wspaniałym, jak dla mnie był widok prześwitującego przez gęste nadbrzeżne listowie światła Sasiada. Nie znaczy to jednak, że jest to jedyna droga do zrozumienia. Następnego dnia (wciąż pamiętam, jaki głód mnie wtedy dręczył), gdy coś poruszyło się na przysypanym kośćmi rzeczonym dnie, odruchowo cofnąłem rękę, przekonany, że to z pewnością jadowity robal, taki sam jak ten, który wylazł z rany na plecach pierwszego znalezionego przeze mnie trupa. Poderwany z dna muł zmacił wodę i przez minutę albo dwie — dopóki nurt nie poniósł go w dół rzeki — nic nie widziałem. Później zaś ujrzałem głowicę miecza, który próbował dosięgnąć mojej dłoni. Wstrzymałem oddech, wyciągnąłem rękę, ale zanurzony w brudnej wodzie musiałem zamknąć oczy i po omacku szukałem rękojeści, która po omacku szukała mnie. W końcu zacisnąłem na niej dłoń — i poczułem, jak ona zaciska na mnie swój chwyt.

Tak też można osiągnąć poznanie. Pierwszej nocy w domu Inclito powiedziałem Morze coś o moim mieczu... Ale po kolei.

Wyjechaliśmy z Blanko we troje — Mora, Fava i ja. Był jeszcze woźnica, ale nie sądzę, by przysłuchiwał się naszej rozmowie. Stanowił część naszej kompanii w takim samym stopniu, jak konie, którymi powoził.

— To dla nas zaszczyt jechać z tobą — oświadczyła Fava. — Przemierzamy z Morą tę drogę dwa razy dziennie; wygłupiamy się i wymyślamy sobie różne gry, żeby się nie nudzić. Poza tym to miło z twojej strony, że z nią porozmawiałeś. Mówiła mi o tym.

Wyraz twarzy Mory jasno wskazywał, że nie wszystko jej powiedziała.

— Z tobą też chciałbym pomówić — odparłem. — Na osobności.

Wykonała szeroki gest otwartą parasolką, wskazując powóz, w którym się znajdowaliśmy. Pokręciłem głową.

— Mora nikomu nie powie. A wie to samo co ty.

— W takim razie nie musisz ze mną w ogóle rozmawiać — zauważyłem. — Wszystkiego dowiesz się od niej.

— Nie zagrałbyś z nami? Kiedy wspomniałam o naszych zabawach, miałam nadzieję, że o nie zapytasz.

— Złe coś — zakrakał Oreb. — Uważa!

— Incanto? — chrząknęła Mora. — Nie mam ochoty na zabawę. Jeśli chcecie, zagrajcie sobie we dwoje. Chętnie za to porozmawiam z twoim ptakiem. Możesz go namówić, żeby tu usiadł?

Siedziały z Favą naprzeciwko mnie.

— Nie! — Oreb nerwowo zatrzepotał skrzydłami. — Nie, nie!

— Poczekaj trochę, niech się z tobą oswoi — poradziła Fava. — Bo inaczej może udukać.

Zwróciłem się do Mory:

— Nie podoba mu się towarzystwo, w jakim się obracasz.

Fava udała, że nie słyszy.

— Chcę zagrać w zgadywanki. Mogę być pierwsza. Zgaduję, że Mora nie będzie z nami grała, chociaż mogłaby, gdyby miała ochotę. W ten sposób zdobyłam punkt i mam prawo zadać ci pytanie, Incanto. Znam na nie odpowiedź. Wątpię, żebyś i ty ją znał. ale jeśli odpowiesz poprawnie, zdobędziesz punkt. Wygrywa — ten, kto zdobędzie więcej punktów do chwili przyjazdu do domu Mory.

Skinąłem potakująco głową.

— Uważa! — powtórzył Oreb.

— Jak ci się wydaje, dlaczego dziś wszyscy interesowali się mną i Morą bardziej niż kiedykolwiek od czasu, gdy tu przyjechałam?

Przez chwilę udawałem, że się zastanawiam. Przewróciłem oczami, podrapałem się po brodzie.

— Bo dziś wzięłyście do palestry swoje najładniejsze parasole.

— To jakaś aluzja? — skrzywiła się Fava. — Gorąco ci i chciałbyś siedzieć w cieniu? To niech Mora pożyczy ci swoją parasolkę, i tak jej nie używa.

— Ptak cień — zaskrzeczał Oreb. Usadowił mi się na głowie i rozpostarł skrzydła.

— Spróbuj jeszcze raz — zaproponowała Fava. — Nie zdradzę ci odpowiedzi, jeśli się bardziej nie postarasz.

— Dobrze. Z pewnością chodziło o to, że Mora rozmawiała ze mną dziś rano.

— Nie mogli o tym wiedzieć — zaprotestowała Mora. — Nikomu nie powiedziałam.

Fava uśmiechnęła się demonstracyjnie.

— Właśnie przyszło mi do głowy świetne pytanie, ale teraz twoja kolej, Incanto. Tylko najpierw podam ci właściwą odpowiedź: to przez to, że byłeś u nas na kolacji.

— Skąd o tym wiedzieli?

— Czy tak brzmi twoja zagadka?

Skinąłem głową.

— Hmm... Twoje ptaszysko za bardzo kłapie dziobem?

— Wątpię.

Fava na chwilę ukryła twarz za różową koronkową parasolką.

— Myślisz, że to ja im powiedziałam, ale nie. W ogóle rzadko z nimi rozmawiam. Spytaj Morę.

Parasolka uniosła się, spod falbanki wyjrzała uśmiechnięta złowrogo twarz Favy.

Udałem, że źle ją zrozumiałem.

— Słyszała pytanie — stwierdziłem. — Jeśli chce, może odpowiedzieć.

— No dobrze, w takim razie ja to powiem — stwierdziła Mora. — Mój ojciec wszystkim rozpowiada. Chwalił się, że u nas mieszkasz, zanim napisał do ciebie z zaproszeniem.

— Być może, ale nie tak brzmi odpowiedź na moje pytanie. Znacie sklepikarza, u którego mieszkałem? Nazywa się Atteno. Powiedziałem mu, dokąd jadę, zanim twój ojciec po mnie przyjechał.

— Mora dostaje pół punktu — zarządziła Fava. — A teraz czas na moje cudowne pytanie. Mora twierdzi, że nikomu nie pisnęła ani słówka. Komuś jednak powiedziała. Komu poza mną?

— Nie mam pojęcia.

— Nauczycielom. Prawda, że to odważne z jej strony? I głupie?

— Mora jest odważną dziewczyną, wątpię natomiast, by była głupia. Punkt dla mnie?

— Nie, bo to nie było pytanie konkursowe. Ja po prostu tak mam, kiedy z kimś rozmawiam. Zadaję pytania.

— Używasz figur retorycznych.

— Właśnie, dziękuję. Jesteś taki mądry, że można by spodziewać się twojego łatwego zwycięstwa.

— Jestem dostatecznie mądry, by wiedzieć, że to niemożliwe. Czy teraz moja kolej? Dlaczego mieszkasz u Mory?

— Bo podoba mi się u niej, a ona się na to zgodziła. To zły powód?

Mora skinieniem głowy wskazała woźnicę, który jej nie widział.

— Jej matka nie żyje, tak jak moja, a ojciec jest kupcem. Rzadko bywa w domu.

— Mam dwa punkty — oznajmiła Fava. — Mora ma pół, a ty ani jednego. Moja kolej. Dzisiaj nie musiałyśmy z Morą wychodzić na dwór i brać udziału w żadnych grach. Dlaczego?

— Ty nigdy tego nie robisz, Favo.

— Ja nie, ale Mora owszem. Odpowiedz na moje pytanie. Staralam się, żeby było proste.

— Może nauczyciel chciał z nią porozmawiać?

— Niezupełnie. Nie jeden nauczyciel, tylko wszyscy, i nie z nią, bo znacznie więcej rozmawiali ze mną. Chcieli się wszystkiego o tobie dowiedzieć, a ponieważ ja chętniej opowiadałam, zadawali mi więcej pytań.

— Co ich najbardziej interesowało?

— Nie możesz zadawać pytań, na które nie znasz odpowiedzi. Na to znasz?

Pokręciłem głową.

— W takim razie to pytanie odpada.

Spojrzałem na świeże rżyska, klony i topole, rozkołysane na wietrze jak ogniste kolumny. Przypomnieli mi się młodzieńcy w zielonych mundurach, którzy mi salutowali.

— Przeformułuję je. Czy pytali, jak zamierzam pomóc Blanko w walce z diukiem Rigoglio?

Mora wytrzeszczyła oczy.

— Tak.

— Punkt dla ciebie. Moro. Razem masz półtora.

Fava skinęła głową sponad koronkowego kołnierzyka, ciasno obejmującego jej szyję.

— Jesteś niezwykle przenikliwy, Incanto — przyznała. — Spotykałam już strego obojga płci, ale za każdym razem udawało mi się przejrzeć na wylot ich sztuczki i kłamstwa. A ty jesteś prawdziwy. Kto teraz?

— Mora — odparłam.

— Wygląda na to, że jednak gram z wami — westchnęła Mora. Niech będzie. Oto pytanie dla ciebie, Incanto: co znaczy twoje imię?

— Ma wiele znaczeń. Nazywamy tak naczynie, z którego się pije. Taką samą nazwę nosi również pojemnik na atrament.

— Pudło. Papie nie udało się na razie drugi raz pożyczyć tej książki, którą czytał w zeszłym roku, więc nie wiem, jakie nosiłeś imię, zanim przybyłeś do nas, ale tu nazywasz się Incanto.

Imię papy znaczy „sławny”. A twoje?

— Twoja babka coś o tym wspominała.

— Twoje znaczy „czarownik”. — Mora odwróciła się lekko na skórzanej kanapie i spojrzała na Favę. — Wy już zadaliście po dwa albo trzy pytania. Nie powinnam mieć prawa do jeszcze jednego?

— Jeśli Incanto nie ma nic przeciwko temu...

— Nie sądzę. Mogę się mylić, Incanto, ale przypuszczam, że papa zaproponował, że będzie cię tak nazywał, zanim jeszcze przyjechaliście do nas do domu. Jeśli mam rację, dlaczego wybrał dla ciebie takie imię?

— Bo tak nazywał się jego brat, który zmarł w dzieciństwie.

— Znowu pudło. Mam trzy i pół punktu. Nazwał cię tak, żeby utwierdzić mieszkańców miasta w ich opinii na twój temat. Chce, żeby mieli cię za potężnego czarownika, który stanie po naszej stronie w wojnie z Soldo. Wtedy będą walczyć zamiast uciekać. Bo oni się boją, wszyscy. Myślę, że nawet papa trochę się boi.

— I słusznie — przyznałem. — Wiem, jak wygląda wojna.

— Powiedziałyśmy nauczycielom, że jesteś najpotężniejszym strego w całym whorlu, ale jesteś dobry i przyjaźnisz się z Inclito — wtrąciła Fava. — Prawda, Moro? A ja dodałam, że przybyłeś do nas w tych trudnych czasach na dany przez Inclito tajny sygnał. Mora mnie nie poparła, ale pomyśleli, że to pewnie dlatego, że nie powinnam była wspominać o tym sygnale. Gdybym знаła odpowiedź, zapytałabym cię teraz, jak chcesz zniszczyć Soldo, nie oddając ani jednego strzału.

— Dobry człowiek! — Oreb przestąpił z nogi na nogę.

— Miejmy nadzieję — uśmiechnęła się Fava.

— Nie mam najmniejszego zamiaru niszczyć Soldo. Z pewnością mieszkają tam niewinni ludzie, w tym wielu, jeśli nie większość, ubogich, a diuk i inhumi karmią się ich potem i krwią. Czy nie można by uznać, że nawet bez śmierci i zniszczeń wojennych wiodą wystarczająco smętny żywot?

— Lepiej zadaj pytanie konkursowe. Bo jak nie, to Mora cię wyręczy.

— Złe coś! — Oreb spojrział na Favę z wyraźną niechęcią.

Odparłem, że nie mam nic przeciwko temu, aby to Mora zadała następne pytanie, po czym dodałem: — Właśnie zdałem sobie sprawę, dlaczego inhumi tak często atakują biedaków.

— Bo są głupi! — warknęła Mora.

— Nie, nie są. Nie mogą sobie na to pozwolić. Dorastałem w ubogiej dzielnicy, Moro. Moja rodzina była biedna, choć i tak nieźle wypadła na tle innych. Wystarczyło w domu pieniędzy na posłanie mnie, moich braci i siostry do palestry, ale na nic więcej.

— My nazywamy ją akademią — zauważyła słodkim głosem Fava.

Pokręciłem głową.

— Mora, jej ojciec i babka pewnie tak mówią. Dopominałaś się o następne pytanie, powiedz mi w takim razie, dlaczego matka Mory dała swojemu pierworodnemu na imię Incanto?

— To nie fair! Musisz znać odpowiedź!

— Znam. A ty?

Oreb zeskoczył na kostur, zakolebał się w górę i w dół.

— Jedwab wygra!

— Czy takie właśnie nosisz imię? — zainteresowała się Mora.

— Nie — próbowałem się tłumaczyć. — Nigdy go nie nosiłem, ale kiedy dostałem Oreba, wypytywałem go często o człowieka imieniem Jedwab. Podchwycił moje słowa.

Czekałem na ich reakcję, a kiedy nic nie powiedziały, dodałem: — Pytanie zadałem wam obu, nie tylko Fawie. Jeśli chcesz, Moro, możesz odpowiedzieć.

Mora zawsze cedzi słowa, ale tym razem wydawało mi się, że przeciąga głoski bardziej niż zwykle: — Najpierw chciałabym wrócić do inhumich i biedaków. My nie jesteśmy biedni.

— To nie jest jakaś uniwersalna zasada. Po prostu trochę podróżowałem i zwróciłem uwagę, że ubogich atakują najchętniej.

Nic więcej nie zostało wtedy powiedziane — w każdym razie nic ważnego. Wkrótce potem ponura służąca wpuściła nas do

domu.

A teraz mam inne rzeczy do napisania.

7

Drugie opowieści

Przy kolacji znów bawiliśmy się w opowiadanie historii.

Tym razem zaczęła babka Mory.

Druga opowieść Saliki: Uwięziony w kominie

To prawdziwa historia, która wydarzyła się w Grandecitta, kiedy byłam małą dziewczynką. Mieszkała wśród nas pewna okropna strega. Była stara i brzydka, ale znała się na magii, więc wszyscy się jej bali. Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy uczyłam się chodzić, strega się zakochała. Nieszczęsny wybraniec miał na imię Dentre; był spokojnym, przystojnym mężczyzną. Można by pomyśleć, że umrze ze strachu, kiedy się dowie, że jakaś strega chce z nim rozmawiać. Ona jednak mogła na zawołanie zmieniać wygląd, toteż kiedy Dentre kręcił się w pobliżu — a z biegiem czasu zdarzało się to coraz częściej — przybierała postać młodej, pięknej dziewczyny o olśniewającym uśmiechu i bujnych kształtach. I na nic zdało się ostrzeżenie Dentre, że kobieta, z którą się spotyka, to w istocie wstrętna

wiedźma. Mieszkańcy naszej dzielnicy, którzy lubili go i mu współczuli, byli bezradni.

Dysputy i kłótnie przeciągały się w nieskończoność, ale koniec końców ustalono, że należy zamknąć Dentro i trzymać go pod kluczem. Ludzie doszli do wniosku, że kiedy przestanie widywać stregę, odkocha się, ona zaś opuści miasto i wyruszy na poszukiwanie zaginionego ukochanego. Kilku jego rówieśników odwiedziło go w domu, udając, że składają mu przyjacielską wizytę. Obezwładnili go, związali i przenieśli do komnaty, którą uprzednio wyszykowano na jego przyjęcie. Pokój był całkiem wygodny i przyjemny, tylko na ścianach pozawieszano zioła i zaklęcia, które miały uniemożliwić stredze odszukanie Dentro.

Rzeczywiście nie znalazła go, ale bardzo szybko odkryła podstęp i wkrótce w całej dzielnicy zaczęło źle się dziać. Kiedy ktoś się przewrócił na ulicy, łamał obie ręce; jeśli kobieta gotowała gulasz, musiała go przypalić; dzieciak, który rzucił w kolegę kamieniem, wyłupiał mu oko; domy bez powodu stawały w płomieniach, a ugaszony czterema cysternami wody ogień potrafił rozgorzeć na nowo jakby za sprawą czarów. Nieszczęść było tyle, że ludzie musieli wypuścić Dentro i pogodzić się z tym, że strega wyszła za niego za męża. Jak się domyślacie, te zdarzenia bynajmniej nie przysporzyły jej sympatii w mieście.

Pewnego wieczora człowiek, który mieszkał niedaleko od nas, przejeżdżał koło ich domu. Spieszył się, ale nie mógł nie zauważyć Dentro, który stał na dachu, czarny jak drukarz, i kijem od szczotki przepychał komin. Rozumiecie? Zamiast nająć kominiarza, strega kazała mężowi czyścić komin!

Jej skąpstwo tak rozeźliło naszego sąsiada, że dał koniowi ostrogę (jak zwykle czynią to jeźdźcy w gniewie) i popędził na

złamanie karku, aż dotarł na cmentarz. Nagle zza nagrobka wyskoczyła strega. Stała na środku drogi, ot tak, po prostu, przez co koń zarył kopytami tak gwałtownie, że nasz sąsiad omal nie spadł z siodła.

— Dokąd ci tak spieszno, próżniaku?

Jej słowa jeszcze bardziej rozgniewały jeźdźca.

— Jadę do lekarza — odparł. — Ten twój Dentro wpadł do komina i nie może wy leźć. Na mój gust, już jest po nim.

Zbladła jak gotowany lukier i powłócząc nogami, zeszła mu z drogi, on zaś pojechał prosto do gospody, gdzie zdrowo się z przyjaciółmi uśmiali z figla, jakiego jej spłatał.

Na górze, we „Whorlu” — Incanto potwierdzi moje słowa — wściekłe burze były dziełem diabłów, które szykowały je i wypuszczały na nas tak samo, jak tu, na Błękicie, czyni to Zieleń. A diabły są posłuszne stregom. Nasza strega odczekała więc, aż nasz sąsiad wyjechał w interesach z miasta, a potem ściągnęła na nas taką burzę, że połowa domów w Grandecitta legła w gruzach. Zniszczenia były tak ogromne, że słuchy o nich doszły sąsiada daleko, w obcym mieście, toteż czym prędzej pospieszył do Grandecitta, żeby sprawdzić, czy jego dom ocalał.

Był już niedaleko, kiedy spotkał na trakcie... Kogo mógł spotkać, jeśli nie stregę? Zastąpiła mu drogę i zatrzymała go, tak jak poprzednio.

— Spiesz się, próżniaku, twoja żona utknęła w kominie — powiedziała.

Roześmiał się, słysząc te słowa, gdyż jego żona była dużą, grubą kobietą, uwielbiała jeść i nie znosiła ruszać się ze swojego fotela. Wydawało mu się, że w całym mieście nie znalazłby się komin dość szeroki, żeby się w nim zmieściła. Kiedy jednak dotarł na miejsce, zastał zburzony dom. Zony

nigdzie nie było widać. Było to mniej więcej o tej porze roku, kiedy noce bywają chłodne, toteż wieczorem zebrał odłamki potrzaskanych mebli i rozpałił ogień w kominku w dawnej sypialni. Niestety, nie było ciągu i ogień zgasł.

Domyślcie się zapewne, co znaleźli sąsiad i mój ojciec, kiedy wyleźli rano na dach, żeby kawałkiem złamanego drąga przetkać komin. I jaką krzywdę wyrządziły tej kobiecie diabły, wciągając ją do środka.

— Gwałtowne burze potrafią dokonywać cudów — stwierdził Inclito. — Widziałem drewniane drzazgi powbijane w pnie drzew jak gwoździe.

— Ja też. — Fava pokiwała głową. — I widziałam jeszcze gorsze rzeczy. Może by tak przywołać burzę, która zrówna Soldo z ziemią? Co ty na to, Incanto?

— Gdybym umiał to zrobić, rozważyłbym tę możliwość. Niestety, nie jestem w stanie zaszkodzić diukowi bardziej niż wy, chociaż może się okazać, że to w zupełności wystarczy. Zobaczymy.

— Dobre coś? — zaciekawiał się Oreb.

— Nie. Ale może kiedyś się zmieni.

— Cały czas powtarzasz, że Incanto jest strego — Mora zwróciła się do babki. — Chcesz przez to powiedzieć, że zły z niego człowiek? To przecież niemożliwe!

Starsza pani zarumieniła się. Widok jej delikatnie zaróżowionych policzków sprawił mi ogromną radość.

— Nie, skądże. Nie wszyscy strego są źli. Nie powinnaś przywiązywać nadmiernej wagi do wszystkich starych opowieści, jakie usłyszysz. — Zwróciła się do mnie: — Nie chciałam cię urazić, Incanto, naprawdę. Nigdy nie

potraktowałabym w ten sposób gościa. Odkąd za twoją radą zamykam drzwi i okna w sypialni na zasuwkę, a na kominku mam zapalony ogień, śpiam znacznie lepiej.

Podniosłem ze stołu talerz pierogów, który miałem pod ręką, i podałem go Fawie.

— Częstuj się. Są delikatne i bardzo smaczne, a ty z pewnością jesteś głodna.

Spiorunowała mnie morderczym spojrzeniem.

— Dziś, zgodnie z daną obietnicą, mówiłam pierwsza — powiedziała Salica. — Kto teraz? Może ty, droga Moro?

Druga opowieść Mory: Fałszywa i prawdziwa przyjaciółka

Kiedyś, dawno temu, żyły sobie dwie dziewczynki. Mieszkały blisko siebie: ich domy dzieliło dosłownie kilka kroków, chociaż znajdowały się bardzo daleko od innych domostw. Ta historia musiała się chyba wydarzyć niedługo po przybyciu pierwszych lądowników, kiedy osadników było jeszcze niewiele i wszędzie panował chaos. Jedna dziewczynka była bardzo dobra i miła, druga zaś stale kłamała, oszukiwała i kradła. Mimo to bawiły się razem niemal codziennie — nie miały wyboru: nigdzie w pobliżu nie znalazłyby innych towarzyszy zabaw.

Z czasem kolonistów zaczęło przybywać, ale dziewczynki zdążyły się już przyzwyczaić do siebie nawzajem. Bawiły się więc dalej we dwie, a ponieważ trochę już podrosły, łącząca ich więź z czasem się wzmocniła. Nikt tego nie rozumiał, bo przecież jedna z nich była taka miła, a ta druga — zła do szpiku kości.

Mimo to szczerze się przyjaźniły.

Mała, odległa osada rozrosła się tymczasem do rozmiarów miasteczka i zaczęła mieszać się do polityki. Chyba wszystkie

mieściny tak mają. Ojciec dobrej dziewczynki zaangażował się w politykę, kiedy więc jego przeciwnicy zwyciężyli, odebrano mu ziemię i kazano wynosić się wraz z całą rodziną. Dobra dziewczynka była wtedy tak dzielna i silna, że nawet przeciwnicy jej ojca podziwiali ją i przebąkiwali o jej „szlachetnej naturze”.

Zła dziewczynka była niepokieszona, ciągle płakała i płakała i nijak nie dawało się jej uspokoić. Pomogła przyjaciółce się spakować — a pracowała przy tym najciężej ze wszystkich — i obsypała całą jej rodzinę prezentami. Niektóre śliczne podarki tak naprawdę oddawała właścicielom, bo wcześniej sama im je zabrała, ale wiele innych, bardzo cennych, dała ze szczerego serca. Kiedy odjeżdżali, szła zapłakana obok ich wozu, a gdy nastąpiła noc i zaczęli rozbijać obozowisko przy trakcie, ostatni raz przytuliła swoją małą przyjaciółkę i ruszyła w drogę powrotną.

Była zmęczona, więc szła powoli. Noc się skończyła, wzeszło słońce, a ona jeszcze nie doszła do domu. Traf chciał, że spotkała starą kobietę, znajomą obu sąsiadujących rodzin, która właśnie szła wydoić krowę. Kiedy ujrzała niedobrą dziewczynkę i zobaczyła, jak fatalnie wygląda, zaprosiła ją do siebie i poczęstowała śniadaniem.

— Znam cię od dziecka, Moro — powiedziała, kiedy już chwilę rozmawiały. — I w życiu nie widziałam drugiego takiego skąpiradła ani samoluba. Co teraz w ciebie wstąpiło?

— Ma pani rację, jestem bardzo, ale to bardzo samolubna — zgodziła się niedobra dziewczynka. — A ona była moją jedyną Przyjaciółką.

— Słyszałam już tę historię — oznajmiła Fava tonem nie znoszącym sprzeciwu.

— Złe coś!

— Ale to było odwrotnie. Wszystko pomyliłaś.

Mora pokręciła głową.

— Powiedziałam prawdę. Nawet takie kłamczuchy jak ja czasem mówią prawdę.

Na lewym policzku Mora ma brodawkę albo ciemne znamię. Jeśli się nie skoncentruję, często łapię się na tym, że wpatruję się w nie, zamiast śledzić jej wyraz twarzy. Być może popełniam w ten sposób poważny błąd.

— Podoba mi się wersja Mory — stwierdziła matka gospodarza. — Często w takich historiach ludzie są albo idealni, albo bezwzględnie źli. Mora twierdzi, że nawet ci źli mogą być czasem dobrzy, a ja się z nią zgadzam.

Było oczywiste, że Salica nie ma zielonego pojęcia, co naprawdę miała na myśli jej wnuczka.

— Może teraz ty, Favo? — zaproponował Inclito, ale widząc, że Fava nie pali się do zabrania głosu, wzruszył ramionami. — W takim razie ja wam coś opowiem, jeśli wolisz.

Fava z zapalem pokiwała głową.

Druga opowieść Inclito: Pracodawca najemnika

Znam wiele opowieści, ale mama i Mora już je słyszały. Fava zresztą też zdążyła poznać większość z nich. Nawet tobie, Incanto, opowiedziałem po drodze historie, które powinienem był zachować na później. Dlatego też przyszła pora na taką, którą usłyszałem zaledwie dzisiaj. Nawet mama jej nie zna.

Dużo się ostatnio mówi o wojnie. Nie chcę straszyć Mory i Favy, ale i do nich musiały dotrzeć jakieś słuchy. Nawet jeśli tu,

w domu, o wojnie się nie rozmawia, w mieście wszyscy o niej mówią.

Na wojnie nie ma czegoś takiego, jak nadmiar żołnierzy. Może się zdarzyć, że będzie zbyt wiele gąb do wyżywienia, z tym się zgodzę, ale jeśli idzie o liczebność armii, to naprawdę od przybytku głowa nie boli. Tym bardziej, że jeśli armia jest wystarczająco liczna, do walki może w ogóle nie dojść. Diuk opłaca najemników, żeby walczyli po jego stronie — i żeby nas nastraszyć; my ze swojej strony uważamy, że też powinniśmy nająć żołnierzy — Nie przelewa się u nas, ale trochę kart zawsze się znajdzie.

Dlatego byłem dziś w mieście, żeby się spotkać z najemnikami, obejrzeć ich sobie, porozmawiać. Posłuchajcie, co jeden z nich mi powiedział.

Niedawno walczył w armii dużego miasta na południe stąd.

Kiedy przylatywał z whorla lądownik, lądował w jednym konkretnym miejscu i więcej się stamtąd nie ruszał. Wszyscy o tym wiedzieli. Ludzie wyjmowali z takiego lądownika wszystkie zapasy, a potem zaczynali się zastanawiać. I myśleli tak: dolecieliśmy na miejsce, więc po co nam lądownik? No i wyciągali z niego wszystkie karty, wyrywali większość kabli. Zdarzało mi się odwiedzać ludzi w ich domach i siadywać na fotelach wymontowanych z lądownika. Mieli też arkusze stalowej i tytanowej blachy, bo uważali, że mogą się im przydać.

W tym mieście na południu było inaczej. Bóg powiedział im, że mają zostawić lądownik nienaruszony; mogli tylko zabrać zapasy, nic więcej. Ten najemnik twierdzi, że wszyscy powtarzali mu tę opowiastkę. Może komuś się wydawało, że bóg naprawdę tak powiedział? Któż to może wiedzieć? W

każdym razie zabrali zapasy i zostawili całą resztę. To było wiele lat temu.

A po jakimś czasie lądownik wrócił na górę. Poleciał do whorla długiego słońca, zabrał stamtąd nowych osadników i zwiózł ich tu, na dół. I tak w kółko.

Źle się działo w tamtym mieście, tak jak w historii, którą opowiedziała nam Mora. Ludzie kłócili się, bili, kradli, nie było mowy o sprawiedliwości. Kto chciał coś załatwić, płacił łapówkę; ten, kto zapłacił najwięcej, wygrywał.

— Jest źle — uznali w końcu. — Następnym razem paru z nas powinno polecieć lądownikiem na górę. Znajdziemy tam jakiegoś naprawdę uczciwego i mądrego człowieka i namówimy go, żeby przyleciał tutaj i zaprowadził porządek.

Najemnik nie słyszał, żeby ktoś wcześniej wpadł na podobny pomysł, i ja też nie. Ale mówił, że tak mu właśnie powiedzieli.

No więc polecieli i znaleźli człowieka, którego szukali. Był wysoki, brodę miał białą jak świeży śnieg, za to tylko jedno oko, koloru głębokiej wody. Nadal przebywał w mieście, kiedy mój najemnik tam przybył. Wcześniej inny człowiek, który pracował dla tego mędrca, spotkał się z najemnikami i załadował ich na statek, którym spłynęli do miasta na południu. W taki sposób ten mędrzec z siwą brodą wcielił najemnika do swojej armii. Wynajął go.

Najemnik twierdzi, że to naprawdę dobry człowiek. I godny zaufania. Mieszkał w domu otrzymanym w darze od miasta, wysokim, dwu-, a może nawet trzypiętrowym. Pamiętam, widziałem takie domy w Grandecitta. Mama też je pamięta, kiedyś, dawno temu, nawet w takim mieszkała. Ale ten najemnik urodził się tutaj, na dole, i nigdy w życiu nie widział domu, który miałby więcej niż jedno piętro. Jest młodszy ode

mnie, od prawie wszystkich tu obecnych, tylko od Mory i Favy jest starszy.

W tym dużym domu jest mnóstwo dywanów, przeróżnych mebli i obrazów, trochę podobnie jak w rezydencji diuka Rigoglio. Ale już po jednej rozmowie z mądrym człowiekiem najemnik wiedział, że cały ten przepych nic dla niego nie znaczył. Nosił jedwabne stroje, klejnoty, na głowie zawój ze złocistej materii — ale miał to wszystko za nic. Nie robiło mu różnicy, czy chodzi po dywanie, czy po trawie.

Chwilę przemawiał do nich wszystkich, a potem pytał każdego z osobna, na co mu są potrzebne karty, które wypłaci mu miasto. Najemnik mówił, że poznał na statku paru ludzi, którzy umieli kłamać jak z nut, ale kiedy próbowali oszukać mądrego człowieka, nie mogli wykrztusić ani słowa. Mówili tylko „Eee... eee... eee... ”.

I nic więcej.

Jedni chcieli przeznaczyć pieniądze na dobre cele, inni na złe. Rozmawiał ze wszystkimi, bez względu na to, jakie mieli plany.

Ten najemnik, z którym rozmawiałem, chciał kupić ziemię. Tam, skąd pochodzi, cała dobra ziemia jest już podzielona i zajęta, więc zamierzał zebrać trochę kart, wykupić kawałek gruntu, postawić na nim dom i ożenić się. Zostawił w domu dziewczynę, która, miał nadzieję, zaczeka na niego.

Kiedy rozmowy dobiegły końca, mędrzec wynajął ich wszystkich i mój najemnik też poszedł się za niego bić. Dość szybko odnieśli zwycięstwo, wkroczyli do wrogiego miasta i je zajęli — Mądry człowiek odesłał swoich ziomków do domów i na farmy, a zdobyte miasto obsadził najemnikami. A potem zniknął i nikt nie wiedział, co się z nim stało. Mieli tam takiego

młodego generała, który kochał go jak rodzzonego ojca. Szukał go wszędzie. Myślał, że ktoś go zabił i ukrył zwłoki.

Potem w mieście, w którym stacjonowali najemnicy, ktoś rozpoznał żonę mędrca. Powiedział o tym dowódcy garnizonu, a ten posłał po nią swoich ludzi, między innymi najemnika, z którym rozmawiałem. Przepytywali ją bardzo długo, a mój najemnik był przy tym i słuchał.

Powiedziała, że chcieli razem z mędrceem odpłynąć i nigdy więcej nie wracać. Mieli łódź i zamierzali spłynąć rzeką, która tam płynie. To jest inna rzeka, niż ta u nas. Kobieta była przerażona, bo mędrceowi deptali po piętach inhum, którzy chcieli go zabić. Mąż próbował ją uspokoić, tłumaczył jej, że im chodzi tylko o niego, a ona jest bezpieczna. Przybili do brzegu jakiejś wyspy, ugotowali posiłek, zjedli, a wszędzie roiło się od inhumich. Potem wrócili spać do łodzi. Mądry człowiek miał gadającego ptaka...

— Ptak dobry! — wtrącił w tym miejscu Oreb.

— ... i obiecał żonie, że ptak ich obudzi, jeśli inhum za bardzo się zbliżą. Była przerażona, ale utulił ją i w końcu zasnęła. Kiedy się obudziła, była jeszcze noc. Mędrzec zniknął, a wraz z nim odeszli inhum. Łódź cały czas stała zacumowana do drzewa na wyspie, ale kobieta zobaczyła, że mąż stoi daleko od niej, na brzegu rzeki. Zdjął z głowy zawój i jego siwe włosy połyskiwały w ciemnościach. Potem odszedł i wkrótce przestała go w ogóle widzieć. Odczekała do rana, odcumowała łódź i pożeglowała z powrotem w górę rzeki, do nieprzyjacielskiego miasta, gdzie łódź sprzedała.

Najemnik, z którym rozmawiałem, należał do oddziału, który sprowadził kobietę z wrogiego miasta do tego dużego miasta, gdzie mędrzec urzędował. Myślał, że młody generał będzie ją

chciał przesłuchać. Kiedy jednak dotarli na miejsce, generał zapłacił mu i zwolnił go ze służby, gdyż, jak powiedział, postanowili zmniejszyć armię. Dlatego najemnik przybył tutaj. Na tym kończy się jego historia — i moja także.

Mora spojrzała na ojca pytająco.

— Dlaczego mądry człowiek postanowił odejść po wygranej wojnie?

Inclito wzruszył potężnymi barami.

— Może ktoś taki jak Incanto umiałby odpowiedzieć na to pytanie, ja jestem zwykłym rolnikiem. Interesują cię świnie i krowy? Proszę bardzo, pytaj, a ja ci powiem wszystko, co wiem.

— Incanto?

Pokręciłem głową. Inclito westchnął.

— To samo pytanie zadałem najemnikowi: dlaczego mędrzec odszedł? Ale on też nie wiedział. Zapytałem, co słyhać w dużym mieście, które ich wynajęło. Stwierdził, że już jest lepiej. Spytałem, czy ludzie już tam się nie biją i czy przestali kraść, na co on odparł, że tak, mieszkańcy są mili i uczciwi, a miasto sympatyczne, choć duże, ponoć równie duże jak miasta we whorlu długiego słońca. Co on tam wie? Miałoby dorównać Grandecitta? Nie wierzę! — Inclito odwrócił się w moją stronę. — Wszyscy z mojej rodziny już coś opowiedzieli: ja, mama i Mora. Zostaliście tylko ty i Fava.

Powiedziałem, że wolałbym ustąpić Favie pierwszeństwa. Salica podsunęła mi pod nos półmisek świeżutkiej wieprzowiny.

— Nic dziś nie jecie — zauważyła. — Ani ty, ani Fava. Może chleba? Decina upiekła go dziś rano. A do chleba mamy własnego wyrobu masło.

Nałożyłem sobie kawałek mięsa i wziąłem kromkę chleba, żeby nie robić gospodyni przykrości.

— Jutro wyjeżdżam — oznajmiła Fava. — Mora już o tym wie, teraz dowiedział się także Incanto. Dziś opowiem wam długą historię, ponieważ to mój ostatni raz i chciałabym uraczyć was czymś wyjątkowym. Poza tym poprzednim razem to Incanto opowiadał ostami. — Spojrzała na mnie. — Zgodzisz się tym razem wystąpić przede mną? Opowiedz nam jeszcze o Zieleni. Historia, którą później poznacie, też się tam wydarzyła.

8

Moja druga opowieść:

Człowiek, który wrócił

W czasach, o których opowiem, na Zieleni przebywała grupa stu złych ludzi. Paru z nich miało strzelby, prawie wszyscy — noże; używali tej broni do walki z inhumimi, a także, aż nazbyt często, do pojedynków między sobą.

Na ich czele stał pewien mężczyzna z synem. Uważali się za lepszych od reszty, choć w istocie byli znacznie gorsi, gdyż nienawidzili się nawzajem. Inni nie darzyli się nienawiścią, chociaż walczyli między sobą, a czasem nawet się zabijali. Byli po prostu dumni i porywczy i żaden nie chciał wyjść na tchórza.

Mądrzy ludzie spróbowaliby odszukać lądownik, którym przybyli na Zielen; ci jednak byli głupcami, a poza tym bali się inhumich i nie wiedzieli, gdzie szukać lądownika. Byli ponadto przekonani, że na Zieleni są inni ludzie, także kobiety. A bardzo chcieli znaleźć jakieś kobiety.

Ich przywódca, o którym wspomniałem, próbował ich przekonać, żeby znaleźli i odbili lądownik z rąk inhumich.

Odmówili mu jednak, on zaś zgodził się — niezbyt mądrze — poprowadzić ich na północ w poszukiwaniu kolonistów z whorla długiego słońca. Powiodł ich na północ, przez upał i straszliwą dżunglę, wydawało mu się bowiem, że lądowniki wybrałyby dla kolonistów bardziej umiarkowany klimat.

Przemierzyli szmat drogi (tak im się w każdym razie wydawało), aż dotarli do małej osady. Jej mieszkańcy przepędzili ich jednak, a potem, kiedy intruzi wrócili i przypuścili szturm, uciekli. Dokądkolwiek ludzie z Miasta Inhumich poszli, wszędzie czekała na nich dżungla, gorączka i insekty.

W końcu przywódca zebrał ich i powiedział bez ogródek, że jedyną szansą będzie dla nich odzyskanie lądownika, który przywiózł ich na Zieleń.

— Jeżeli nie pójdziecie ze mną — powiedział — wrócę sam. Odbiję lądownik podstępem, a jeśli mi się nie uda, zginę, ale przynajmniej spróbuję. Wiem tylko, że jeżeli będziemy dalej tak szli przed siebie, i tak czeka mnie śmierć. Obiecałem ludziom z mojego miasta, że dołożę wszelkich starań, żeby wrócić do „Whorla”. Jeśli więc mam tu umrzeć, wolę umrzeć z honorem.

Długo potem rozprawiali; około dziesięciu ludzi było gotowych go poprzeć, kilkunastu, może nawet dwudziestu zdecydowanie mu się sprzeciwiało. Dyskutowali przez wiele godzin...

W tym miejscu przestałem opowiadać, gdyż nagle usłyszałem Hiacyntę, jak śpiewała morskim falom.

— Co się stało? — zdziwiła się matka gospodarza.

— To przez kobietę, która mieszka w morzu na drugim końcu whorla — odparłem. — Wątpię, żebyście słyszeli jej śpiew. Ja

jednak słyszę go doskonale.

Oni więc dyskutowali, ja zaś liczyłem ich raz po raz i za każdym razem uzyskiwałem ten sam rezultat, wynik, do którego przyzwyczałem się po śmierci Ushujaa: sześćdziesiąt dziewięć. W końcu zmęczeni się i posnęli, ustalwszy, że rankiem rozstrzygną sprawę przez głosowanie.

Leżałem, pocąc się, w ciemnościach, kiedy nagle zrozumiałem, że wiem, co przyniesie poranek. Nie było to złudzenie ani olśnienie zesłane przez boga. Zdążyłem dobrze poznać tych ludzi, wiedziałem, jacy są niemądrzy i w gorącej wodzie kąpani. Zagłosują, głosy rozłożą się prawie po równo, a zwycięzcy zażądają, żeby pokonani przystali na ich wszystkie żądania. Przegrani się sprzeciwią i wybuchnie bójka.

Wstałem najciszej jak potrafiłem. Na noc zawsze rozpalaliśmy ognisko i wystawialiśmy strażę, dwóch wartowników. Tym razem strażnicy wprawdzie nie posnęli, ale — zmęczeni jak wszyscy — przestali dokładać do ognia, który ledwie się żarzył. Odczołgałem się od obozowiska niezauważony przez nikogo. Światełka, które dostałem od Sąsiada, odważyłem się użyć dopiero wówczas, kiedy miałem absolutną pewność, że nikt z obozu go nie zobaczy.

Zawróciłem i przez następne dwa dni cofałem się w stronę Miasta Inhumich. Nie chcę wyjść na pyszałka, twierdząc, że żywiłem się istotami, które mnie napadały, ale tak właśnie było. Ich mięso było obrzydliwe, bo same często żywiły się padliną, ale jadłem je, tak jak jadłem na wpół pożarte owoce i orzechy, upuszczone przez olbrzymie zielone pająki.

Trzeciego dnia dołączył do mnie Ściągno, dzień później, z samego rana, trzech innych ludzi, a po zapadnięciu zmroku

jeszcze sześciu. Ci ostatni znaleźli mnie dzięki światełku, które nawet w tej gęstej dżungli widać było z bardzo daleka. Moich towarzyszy przybywało, aż w końcu zebrało się nas czterdziestu sześciu.

I w czterdziestu sześciu uderzyliśmy na Miasto Inhumich. Jestem z tego dumny — nie mniej niż patere Remora, kiedy sprowadził maytere Miętę na rokowania z Ayuntamiento. Od chwili wyruszenia z miasta ubyła nas ponad połowa, ale wiele się dzięki temu nauczyliśmy, i teraz, w drodze powrotnej, nie straciłem już ani jednego człowieka.

— Biedny Jedwab — mruknął współczująco Oreb. Siedział mi na ramieniu. — Biedny Jedwab.

— Nie nazywam się Jedwab — odparłem, zwracając się do ludzi usadowionych poza zasięgiem białego blasku światełka. — Nigdy się nie nazywałem, ale ptak należał kiedyś do człowieka o takim imieniu i teraz tak samo zwraca się do mnie.

Światełko w mojej dłoni zgasło. Postawny mężczyzna o brzydkiej, łagodnej twarzy, na widok której usta same składały mi się do uśmiechu, zapytał: — Czy to wydarzyło się naprawdę, Incanto? Widziałeś Zieleń? Na dzieci Echidny, ty naprawdę tam byłeś!

Pokręciłem głową i wyjaśniłem mu, że opowiadam o kimś innym, o człowieku, którego imienia nie pamiętam, o człowieku, który nosił pierścień z białym kamieniem. Ja zaś, bez względu na to, co twierdzi Oreb, mam na imię Róg.

Zakradli się do Miasta Inhumich nocą. Z początku szli kanałami, potem weszli do piwnic, jeszcze później na parter zburzonych wież. Syn ich przywódcy przepatrywał drogę przed

nimi. W końcu jednak musieli wyjść na zapuszczone i zawalone gruzem ulice, na których inhumie przybierają postaci mężczyzn i kobiet, aby brać udział w makabrycznej parodii ludzkiego życia.

Mijały godziny. Kiedy ludzie musieli walczyć — walczyli; byli przebiegli jak dzikowilki i zażarci jak rysie Pleśni. Przebili się w końcu do miejsca, w którym osiadł lądownik, ale jego już tam nie było. Na ten widok duch w nich upadł.

Podczas natarcia stracili dwóch ludzi. Przywódca próbował liczyć także tych, którzy padli przy odwrocie, ale było ich zbyt wielu. W końcu udało im się wycofać do kanałów. Wtedy przeliczył ich na nowo: razem z nim i jego synem zostało ich dwudziestu siedmiu. Kiedy weszli na wąski, śliski chodnik nad lustrem wody, próbował przepowiadać sobie w myśli imiona ocalałych, ale umiał nazwać tylko dwudziestu sześciu z nich. Owszem, przypominały mu się także inne imiona — zarówno tych zabitych, jak i tych, którzy nie przyłączyli się do niego w dżungli, ale dwudziesty siódmy członek jego oddziału nie był żadnym z nich.

Spodziewał się, że ludzcy niewolnicy inhumich będą na nich czekać w miejscu, gdzie podziemna rzeka ścieków wypływała z miasta — i nie pomylił się. Rozgorzała zażarta walka. Przywódca został ranny. Jego syn zaniósł go w mrok pod miastem, a potem wrócił do swoich. Kiedy przywódcy wróciło trochę sił, usiadł i obserwował rozwój wydarzeń jak spokojny widz, który w zaciemnionym teatrze ogląda sztukę; patrzył, jak jego ludzie strzelają w przykłęku, jak czołgają się i skradają, żeby z bliska zadać cios nożem. Walczył pośród nich młodzieniec, którego przywódca nigdy przedtem nie widział. Miał igłowiec i należał do najdzielniejszych żołnierzy.

Kiedy nastala noc, udalo im sie wycofac. Ranny przywodca przestal byc przywodca, ale zabrali go ze soba. Kochal ich i plakal z wdziecznosc. Mlody zolnierz z iglowcem tez zostal ranny, podobnie jak wielu innych, o ile jednak ich rany z wolna sie goily, o tyle jego obrazenia (ktorych nie dal nikomu opatrzyc) z dnia na dzien wygladaly coraz gorzej. Twierdzil, ze przybyl na Zielen innym ladownikiem i ukrywal sie w miescie az do ich przybycia.

Niewolnicy — uzbrojeni i skuci lancuchami męzczyzni i kobiety, ktorych oczy zialy pustka — scigali ich. Kiedy mlody zolnierz nie mogle dalej isc, ludzie, u boku ktorych walczyli, zlozyli go wsród szarych, lukowato wygietych korzeni drzewa, gdzie spoczywal jak w Wielkim Manteionie. Czlowiek, ktory dawniej byl ich przywodca, legl obok niego.

— To dla ciebie zbyt trudne, Incanto — wtracila lagodnym tonem matka gospodarza. — Jesli chcesz, mozesz na tym zakonczyc.

— Lepiej bedzie, jak opowiem wszystko. Postaram sie zanadto nie rozwlekać koncowki. I tak za bardzo sie rozgadalem.

Mlody czlowiek lezal na ziemi, na czarnej, nagiej glebie Zieleni; wsród monstrualnych drzew nie rośnie zwykle poszycie. Dawny przywodca lezal obok niego. Mial wrazenie, ze drzewa i pnacza nachylaja sie ku nim, probujac podslychac ich rozmowe. Plakal. Nie bede wam tłumaczył, jak wysokie sa te drzewa ani jak grube maja pnie; i tak byscie mi nie uwierzyli. Ale powiem tak: drzewa, ktore znacie, sa przy nich jak krzewy. Korzenie olbrzymow z Zieleni wzburzylyby cala ziemie na tej

farmie, złościąc w niej doliny i wypiętrzając wzgórza. W ich korze żyją zwierzęta, które są większe od ludzi.

— Nie poznajesz mnie — stwierdził umierający żołnierz. — Wiedziałem, że tak będzie.

Dawny przywódca pokręcił głową.

— Obiecałem, że nie oszukam cię, dopóki będziemy na łodzi — ciągnął młodzieniec. — Ale dawno zesłiśmy z jej pokładu. Jestem Krait, twój syn.

Krait był inhumim. Inhumi potrafią maskować się przed nami, przybierając wygląd zwyczajnych ludzi — ale o tym z pewnością wszyscy dobrze wiecie.

Mora i Fava posłały mi dziwne spojrzenia, Inclito zaś odparł: — Ja tam rozpoznam każdego inhumiego, jak tylko go zobaczę.

Nasza gospodyni mówiła o diabłach i o wiedźmach, którym diabły służą i na których żądanie wzniesają burze. Nie wiem, czy tak jest naprawdę; może tak, choć raczej w to wątpię. Dawno jednak zdałem sobie sprawę, że diabły obecne w opowieściach biednych, prostych mieszkańców whorla długiego słońca — owe złośliwe istoty, które podobno zakradły się do „Whorla” bez wiedzy i zgody Paha — to po prostu inhumi, znani ludziom pod inną nazwą. Umierając, Krait zdradził mi sekret, dzięki któremu mogę im czasem rozkazywać. Inhumi boją się, że gdyby inni ludzie poznali tę tajemnicę, wykorzystaliby ją przeciw nim i przywiedli ich do zguby.

Ja osobiście mam co do tego wątpliwości. Mówię o tym szczerze i otwarcie, wam wszystkim, którzy mnie teraz słuchacie, i tym, którzy przeczytają moją relację z obiadu u Inclito. Owszem, jest to tajemnica o ogromnym znaczeniu. Jeśli

wolicie: jest to potężna, straszliwa broń. Tak twierdzą inhumim, a ja nie będę się upierał, że nie mają racji — co nie zmienia faktu, że my nie bylibyśmy w stanie udźwignąć tego oręża. Sąsiedzi, których nazywacie Zaginionym Ludem, znali tę tajemnicę, ale nie mogli jej użyć przeciw inhumim, którzy w tamtych czasach pili ich krew, tak jak dziś piją naszą. Skoro oni nie dali sobie z nią rady, my, istoty ludzkie, mamy jeszcze mniejszą szansę powodzenia. Tak w każdym razie uważam.

Muszę teraz pominąć milczeniem wiele spraw, w przeciwnym razie trzymałbym was tu do rana. Otarłszy się o śmierć — nie raz i nie dwa — dawny przywódca wrócił do swoich ludzi. Razem przemierzyli daleką drogę i widzieli wiele dziwów, o których dziś nie opowiem, aż dotarli do opuszczonej wioski. W samym jej środku stał rozbity lądownik.

(Jedwab, znajdując się pod ziemią, wziął lądownik, który pokazała mu Mamelta, za wieżę. Ten też wyglądał jak wieża, dziobem sięgał najwyższych drzew, a z jego smukłych kształtów emanowała moc, której już nie posiadał. Wciąż jak żywy stoi mi przed oczami; przekrzywiona iglica połyskuje słabo w czerwonym świetle dusznego popołudnia. W miejscach, gdzie zdjęto części poszycia, lądownik niczym gnijący trup odsłaniał żebra. Jakże wtedy krzyczeliśmy ze szczęścia, myśląc, że przyniesie nam ocalenie!) W żałosnych chatynkach znaleźliśmy kości i karty — karty, które we whorlu długiego słońca służyły nam jako pieniądze i często do dziś pełnią tę samą funkcję. To dzięki nim lądownik może myśleć i mówić. Przełożyliśmy je do lądownika i korzystając ze wskazówek monitora, próbowaliśmy naprawić sam lądownik. Najechaliśmy i złupiliśmy kilka pobliskich osad, sprowadziliśmy ciężkie części zamienne z innych lądowników, często odległych o

dziesiątki mil. I wtedy, w jednym z tych osiedli, syn przywódcy znalazł sobie kobietę i do reszty zwrócił się przeciw ojcu. Wspomógł osadników w walce z ludźmi, którymi jego ojciec dowodził.

I tak oto ci ludzie zaczęli umierać, jeden po drugim. Niektórzy padli łupem dzikich zwierząt, innych — rannych — zabrały zakażenie i gorączka, jeszcze inni zginęli z rąk kolonistów. Byli i tacy, których uprowadzili (lub zabili) inhumii. A tym, którzy przeżyli, cały czas wydawało się, że wystarczy dołożyć jeszcze dosłownie kilka części, trzy, dwie, jedną — tylko jedną! — żeby lądowik wzbił się w powietrze i zawiózł ich z powrotem do whorla długiego słońca.

W końcu człowiekowi, którego znów uznali za swojego przywódcę, zostało tylko dwóch towarzyszy. Ci dwaj opuścili go, zostawiając na pewną śmierć.

Zabrali mu zarówno paskudny czarny miecz, jak i światełko, które dostał w prezencie. Może wciąż mieli nadzieję, że znajdą złącze falowodowe, którego tak potrzebowali — a może liczyli na to, że przygarną ich mieszkańcy innej osady. Pewne jest tylko to, że ich przywódca dogorywał na pokładzie lądownika. Uciszył monitor, żeby móc umrzeć w spokoju.

Kiedy monitor umilkł, mężczyznę ogarnęła przemożna tęsknota za życiem, które miał niedługo utracić. Zdjął pierścień, który nie tak dawno dała mu Alga, i ściskając go w dłoniach — niegdyś mocnych i zgrubiałych — zaczął błagać wszystkich bogów, jacy tylko przyszli mu do głowy, by zesłali mu Sąsiada, który by go uleczył.

Nikt się nie zjawił. Mężczyzna stracił czucie w nogach. Czuł coraz bliższe tchnienie śmierci. Pomyślał wtedy, że został

oszukany, że przy łożu śmierci powinni być wszyscy jego synowie, żona Pokrzywa i Alga. Podniósł... podniósł...

Fava podała mi chusteczkę, kwadratowy strzępek materiału, niewiele większy od bibuły, obsyty szorstką koronką. Inclito wcisnął mi w dłoń swoją wytłuszczoną serwetkę.

Podniósł do oka pierścień Algi i spojrział przez niego w otaczającą go ze wszystkich stron, zaciskającą swój uścisk ciemność. I ujrzał whorl jako mały, jasny punkcik, niknący wśród gwiazd. Z niewytłumaczalnych powodów pomyślał, że jaśniejący okrąg pierścienia pozwoli mu odeprzeć nadciągającą noc.

Przez ten pierścień zobaczyła go Sąsiadka. Przybyła do niego, a on, cierpiąc, wyznał, co go dręczy.

— Nie potrafię cię uleczyć — odparła, kiedy skończył. — Zresztą nawet gdybym zdołała tego dokonać, nadal znajdowałbyś się w tym samym miejscu. Jest jednak coś, co mogę dla ciebie zrobić. Mogę przelać twojego ducha w ciało innego człowieka, człowieka, którego duch jest umierający. Jeżeli chcesz, znajdę kogoś takiego w twoim rodzinnym whorlu. Zamiast dwóch umierających ludzi, jednego tutaj i jednego tam, będzie jeden zdrowy — tam, na górze.

Na tym kończy się historia, którą opowiedziałem tamtej nocy Inclito, Morze i pozostałym.

Przystąpiłem na propozycję Sąsiadki — i po chwili klęczałem przed otwartą trumną, w której leżały zwłoki kobiety w średnim wieku. Z rąk, twarzy i szyi ciekła mi krew, obok mojej dłoni, na ziemi, leżał stary, sfatygowany nóż o ostrzu pokrytym

krwią. Byłem sam w ubogiej chacie. Prawie wszystkie sprzęty były połamane i poniszczone.

Wstałem, odsunąłem się od kobiety w trumnie i otworzyłem drzwi. Wszedłem na zewnątrz. Było wczesne popołudnie — przynajmniej takie odniosłem wrażenie, spojrzawszy na zwiężającą się krechę długiego słońca.

9

Druga opowieść Favy:

Dziewczynka z Zieleni

Opowieść Incanto rozgrywała się na Zieleni. Wszyscy chyba się ze mną zgodzicie, że nie była to wesoła historia; najsmutniejsza wydała mi się scena, w której umiera Krait. Incanto nie wyjaśnił nam, ani skąd Krait znał przywódcę ludzi, ani jak to się stało, że człowiek adoptował inhumiego. Nie wątpię, że byłoby to kolejne niezwykle interesujące opowiadanie. Tym bardziej żałuję, że z powodu rychłego wyjazdu nie będę mogła go usłyszeć.

Zamierzam jednak wykorzystać tę samą scenerię. Jako że żadne z nas nigdy nie było na Zieleni, będę mogła popuścić wodze fantazji i umieścić tam akcję niezwyklej historii.

Była na Zieleni pewna mała dziewczynka. Żyła sobie szczęśliwie w ciepłym i ciemnym miejscu. Nic w tej ciemności nie widziała, ale i tak nie miała pojęcia, co to znaczy „widzieć”, więc wcale jej to nie przeszkadzało. Niewiele też słyszała — chociaż zdarzało się, że dolatywały ją czasem jakieś odgłosy, a

wtedy dziewczynka zastanawiała się, co mogą oznaczać. W tym ciepłym, ciemnym miejscu było pod dostatkiem pożywienia, więc piła do syta, kiedy tylko zrobiła się głodna.

Z czasem jednak zaczęło brakować jedzenia, a ciepłe i ciemne miejsce robiło się coraz ciasniejsze; głowa, plecy i ręce dziewczynki coraz częściej i coraz boleśniej ocierały się o ściany. Nie koniec na tym. Im bardziej musiała się rozplaszczać na ścianach, tym wyraźniej docierało do niej, że choć ciepłe, ciemne miejsce jest jej całym whorlem, na zewnątrz istnieje inny whorl — niezwykle, zimny, straszny. Jak mówiłam, do jej uszu dobiegały różne dźwięki. Do jej umysłu również: słyszała odgłosy żądz i głodu, które brzmiały przerażająco.

Kiedy dopiła resztki pożywienia, przestała pojmować głód jako dobiegający z zewnątrz hałas. Poznała go jako wewnętrzną potrzebę. Kobieta z opowieści Saliki, ta, którą podczas burzy diabły wciągnęły w głąb komina, przez lata najadała się do syta i nie miała ochoty ruszać się z miejsca. Dziewczynka znalazła się w dokładnie odwrotnej sytuacji: umierała z głodu i marzyła o tym, by przenieść się tam, gdzie znów będzie pod dostatkiem jedzenia.

Tak to już jest w tym whorlu. Syci, jeśli tylko mogą, nie ruszają się z domu, a głodni wędrują z miejsca na miejsce.

Nie sugeruję tu bynajmniej, Salico, że źle mnie karmiliście, chociaż jutro opuszczam wasz dom i udaję się z ojcem w podróż po licznych zagranicznych miastach. Zawsze byłaś dla mnie bardziej niż hojna; dzieliłaś się ze mną nie tylko jedzeniem, ale także miłością, a twój syn był dla mnie jak ojciec. Niemniej jednak tęsknię za moimi krewniakami. Mam nadzieję, że mnie rozumiecie, a może nawet mi współczujecie.

— Ależ naturalnie! — wykrzyknęła matka gospodarza.

— Złe coś! — zaskrzeczał z mojego ramienia Oreb. — Coś lata!

Nadeszła w końcu chwila, kiedy dziewczynka nie mogła dłużej znieść głodu. Zebrała kołaczące się w drobnym ciałku resztki sił i zaczęła się rozpychać głową, rękami i nogami. Kiedy jej wysiłki na nic się nie zdały, próbowała rozpaczliwie drapać ściany ciepłego, ciemnego miejsca, które odkąd pamiętała, było jej domem.

Ściany nie stawiały większego oporu, toteż wkrótce znalazła się wśród gnijących gałązek i liści — chociaż, musicie to zrozumieć, nie wiedziała wcale, czym są. Dla niej były po prostu kolejną ścianą, przedłużeniem ciepła i mroku, które tak długo ją spowijały. Na nie też rzuciła się z pazurami, aż w końcu, zmęczona i osłabiona głodem, przebiła się na rozświetlony blaskiem słońca brzeg rzeki.

Musicie też zrozumieć, że nie wiedziała, kim jest ani skąd pochodzi. Wiedziała tylko, że jest głodna. Ujrawszy zieloną wodę, wyczuła, że woda jest płynem — tak jak jej pożywienie — zaczęła więc czołgać się po błocie, aż dotarła na skraj rzeki i zanurzyła się w niej.

Szybko stwierdziła, że poza nią w wodzie znalazły się setki dzieci. Ależ była zabawa! Inne dzieci próbowały ją kąsać, więc odpowiadała im tym samym, ale nikomu nie działa się krzywda. Z każdym dniem dzieci nabierały sił, ale i z każdym dniem ich ubywało, gdyż ryby, którymi się żywiły, same też je pożerały.

Dziewczynka była w rzece szczęśliwa jak nigdy w życiu, aż pewnego dnia...

Tu Fava przerwała i zapytała mnie:

— Mogę wykorzystać twojego przywódcę, Incanto? Twojego człowieka z Zieleni? Nie zrobię mu krzywdy, obiecuję.

Skinąłem przyzwalająco głową. Miałem tylko nadzieję, że nikt poza Orebem nie zwrócił uwagi, jak bardzo jestem zdenerwowany.

... aż pewnego dnia, uciekając przed jakąś wyjątkowo dużą i agresywną rybą, podskoczyła wysoko i dostrzegła idącego brzegiem człowieka, o którym opowiadał Incanto. Ledwie go zobaczyła, zrozumiała, że cała ta zabawa w rzece nie ma sensu. Wyczołgała się na brzeg. Długi czas biegła za człowiekiem na czterech łapach, jak pies — ale i to wydało się jej niewłaściwe.

Jedzenie i pływanie w spokojnej, rozświetlonej słońcem wodzie pozwoliło jej nabrać sił. Wstała więc na dwie nogi, tak jak ten człowiek, i chwiejnym krokiem ruszyła za nim, zostawiając w błocie dziecinne ślady.

Szła najszybciej jak potrafiła, ale nie mogła dotrzymać mu kroku. W pewnym momencie z gęstych zarośli wyskoczył zielony łapacz i wyciągnął po nią pazury, takie trochę sowie, tylko z dziesięć razy większe. Łapacze to straszne bestie. Nie mają piór ani włosów, potrafią za to zmieniać kolor skóry, przez co bardzo trudno je dostrzec. Wyobraźcie sobie paskudnego dzieciaka wielkości dorosłego człowieka, z długim ogonem, z rękami zakończonymi dłońmi jak sowie szpony — tak mniej więcej wyglądają łapacze. No więc kiedy wypadł na nią z gęstwiny, musiała wskoczyć do wody i dłuższą chwilę ukrywać się przed nim, a ten przywódca ludzi szedł spokojnie dalej.

Słuchając Favy, próbowałem sobie wyobrazić opisywaną przez nią sytuację. W chwili, kiedy dziewczynka wyskoczyła z zielonej wody i zobaczyła mnie, widziałem ją oczyma wyobraźni ze wszystkimi bolesnymi szczegółami.

Ze względu na kształt pysków i pazury nazwaliśmy łapacze „barwikotami”. W tamtej chwili widziałem barwikota, o którym mówiła Fava, znacznie wyraźniej niż Morę, Inclito, jego matkę, a także łukowato zakrzywioną, obrobioną ścianę i ogień płonący w kominku z surowych kamieni: samiec barwikota, zielony jak trawa, z mięśniami prężącymi się pod skórą brodził ostrożnie w rzece, rozbryzgując wodę na wszystkie strony. Jego węzowaty ogon wił się jak żywa liana. Barwikot rozglądał się, obracał, wpatrywał w toń — aż w którymś momencie rozpostarł straszliwe pazury i skoczył, ale w łapach został mu tylko muł i gruda błota. Odruchowo sięgnąłem do boku w poszukiwaniu miecza, którego już nie miałem — i namacałem go. Był na swoim miejscu.

Dziewczynka, o której opowiadam, zostałaaby daleko z tyłu (mówiła dalej Fava z wyrazem zdumienia na twarzy) i nigdy nie dogoniłaby człowieka, gdyby nie fakt, że ten zawrócił. Najwyraźniej zauważył łapacza albo — co bardziej prawdopodobne — usłyszał, jak bestia chrząka i rozchlapuje wodę, próbując dopaść zdobycz. Wątpię, żeby człowiek zdawał sobie sprawę, że łapacz poluje na małą dziewczynkę, ale wyglądało na to, że jest zdecydowany ocalić niedoszłą ofiarę potwora. Na widok łapacza dobył miecza i bez cienia lęku ruszył do natarcia. Łapacz zaś, widząc jego determinację i morderczą klingę w ręku, stracił zapał do polowania.

Matka gospodarza nie wytrzymała.

— Favo? — weszła Fawie w słowo. — Ten człowiek... Czy on był...

— Babciu! — krzyknęła Mora. — Dobrze wiesz, że nie wolno przerywać, kiedy ktoś opowiada. Zawsze zwracasz mnie i Fawie uwagę.

— W pewnych sytuacjach jest to dozwolone — odparła matka gospodarza z niezachwianą pewnością siebie. — Muszę cię zapytać, Favo, o przywódcę ludzi, bo Incanto nie powiedział, jak wyglądał. Był wysoki? Wzrostu Incanto?

Fava pokręciła głową.

— Zabawne... Nie, był niższy, choć niewiele. Zresztą wcale nie wyglądał na wysokiego. Poza tym był...

Krępy. Lub, jeśli wolicie, muskularny. Na pewno sprawiał wrażenie człowieka, który umie się bić, wspinać po drzewach i tak dalej, ale nie miał w sobie nic z bohatera. Nic poza oczami.

Dziewczynka, o której przygodach opowiadam, zupełnie się nie znała na mieczach, bohaterach i innych takich sprawach, ale była ciekawska jak małpka. Ledwie więc zdała sobie sprawę, co się dzieje, wystawiła główkę nad wodę, a gdy tylko potwór wyzionął ducha, przezwyciężyła wrodzoną nieśmiałość na tyle, by przemówić do człowieka, który zabił łapacza i ocalił jej życie. Podziękowała przywódcy niepewnie, a po chwili wahania przyznała, że jej zdaniem wszyscy powinni wyglądać tak jak on. Tak byłoby najlepiej.

Barwikot leżał martwy na skraju rzeki, do połowy zanurzony w wodzie, a z jego rozprutej gardzieli tryskała czerwona krew, nie do odróżnienia od krwi człowieka albo wieprza. Dziesiątki młodych inhumich rzuciły się ją spijać. Wszedłem do wody,

złapałem jednego za kark i wyniosłem na brzeg. Bezradnie młócił ogonem i wymachiwał wszystkimi czterema łapami. Potrząsnąłem nim.

— Umiesz mówić? — zapytałem.

Najpierw pokręcił głową, potem pokiwał potakująco. Jego ja — szurza twarz już zaczynała mięknać, jakby się roztopiała.

— Widzisz to drzewo? — Wyciągnąłem przed siebie rękę w dramatycznym geście. — Wystarczyłoby, żebym złapał cię za ogon — i zamachnął się, a roztrzaskałbym cię o jego pień, więc lepiej rób co mówię. Jak się nazywasz?

— Mee.

— Zmieniasz postać. To dobrze, ale wyglądasz trochę nazbyt dziecinnie. Zrób z tym coś. Wydłuż nogi. Jesteś samcem czy samicą, Mee?

— Dziewczynka.

— I bardzo dobrze. Zatrzymam cię. Przyda mi się twoja pomoc. Jeśli pójdziesz ze mną i będziesz mi posłuszna, nie zrobię ci nic złego i będę pilnował, żeby nikt cię nie skrzywdził.

Odciął kawał skóry łapacza (ciągnęła Fava) i oskrobał ją, aż stała się cienka, gładka i na tyle miękka, na ile to możliwe w wypadku skóry tego zwierzęcia. Dziewczynka owinęła się w nią, a potem razem nazbierali kwiatów i ślicznych listków, które wplotła sobie we włosy.

Była potrzebna człowiekowi, żeby pokrzyżować plany, jakie jego syn i pewna młoda kobieta snuli w jednej z ludzkich osad. Przywódca mimowolnie uczynił z małej dziewczynki, o której mówiłam, wieczną małą dziewczynkę. Od tamtej pory była zawsze bardzo miła i grzeczna, na swój sposób, ubóstwiała

ładne sukienki i uwielbiała bawić się z innymi małymi dziewczynkami.

Zmęczyłam się, a wy skończyliście jeść. Ponieważ jutro czeka mnie daleka podróż, przerwę opowieść w tym miejscu. To będzie szczęśliwe zakończenie.

*

Może nie powinienem był rysować trzech whorli — zakorkowałem tylko kałamarz, wytarłem pióro, przeciągnąłem się i zamieniłem parę słów z Orebem. A teraz znów siedzę w tym samym miejscu, nad tym samym papierem i kałamarzem i z tym samym piórem w ręce — chociaż, jak widzicie, nieco je zaostrzyłem.

Ja zaś widzę, że doszedłem do momentu, kiedy ubiegłej nocy Fava i Mora przyszły do mnie w koszulach nocnych, a potem zacząłem cytować nasze opowieści. Mam nadzieję, że jeszcze do tego wrócę, najpierw powinienem jednak nadmienić, że Fava wyjechała, a na kolacji gościliśmy dziś dwóch młodych ludzi, którzy mają rozwieźć listy pisane przez mnie w imieniu Inclito.

Jeden z nich z pewnością jest tym najemnikiem, z którym Inclito rozmawiał. Kiedy wszedłem do pokoju, widziałem, że zerknął pytająco na Inclito, a ten odpowiedział mu skinieniem głowy. Nazywa się Eco i jest przystojnym, silnie zbudowanym młodzieńcem. Jego śniada cera, błyszczące oczy i połyskujące w ciemnej twarzy zęby przywodzą mi na myśl Hań Mau.

Próbowałem go umiejscowić w grupie ludzi, z którymi rozmawiałem w pałacu; chyba stał w głębi sali, po lewej stronie. Jest dość wysoki. Wydaje mi się, że pamiętam, jak patrzył na mnie ponad głowami ludzi stojących przed nim. Nie uśmiechał

się. Stał przede mną bardzo młody człowiek, którego miałem posłać w bój. Zastanawiałem się wtedy, czy wystarczy mu odwagi, by godnie się zachować. Z tego, co mówił Inclito, odwagi mu nie brakowało.

Zresztą nawet gdyby Inclito słowem o nim nie wspomniał, i tak nie miałbym żadnych wątpliwości.

Kiedy w nocy przyszły do mnie Mora i Fava, posłałem Onorificę po Torde, drugą służącą — pochmurną, choć niebrzydką kobietę, która przyniosła nam pledy, gdy Inclito odwoził mnie do Blanko.

— Od dłuższego czasu chciałem z tobą porozmawiać — oznajmiłem. — Grozi ci niebezpieczeństwo. Śmiertelne niebezpieczeństwo. Spróbuję cię przed nim obronić. Nie zamierzałem rozmawiać z tobą w obecności Mory...

Zerknąłem na nią ukradkiem. Z ciężkich, topornych rysów jej twarzy niewiele dało się wyczytać, ale jej usta zacisnęły się w węższą niż zwykle kreskę.

— ... ale może tak będzie lepiej. Obecność Fawy przy tej rozmowie na pewno nie zaszkodzi, a może pomóc.

— Myślicie, że wyciągnęliście mnie z łóżka. — Torda spojrzała na mnie oskarżycielsko. — Myślicie, że...

— Wcale nie. Onorifica bardzo szybko cię przyprowadziła, więc nie musiała cię budzić. Zdążyłaś wstać i ubrać się, zanim przyszła.

— Do moich obowiązków należy podgrzewanie wody do kąpieli dla pani. Pani kąpie się co rano. Teraz będzie wściekła.

— Onorifica przygotowuje kąpiel.

— Onorifica musi nakryć do śniadania.

Fava parsknęła śmiechem. Zbyłem odpowiedź Tordy machnięciem ręki.

— Tym z kolei zajmie się Decina. Nakrycie stołu dla pięciu osób nie wymaga chyba wielkiego wysiłku.

— Myśleliście, że będę wystraszona i zmieszana, ale...

Pokręciłem głową.

— Mam nadzieję, że zaraz poczujesz strach, widzę bowiem, że na razie się nie boisz. — Kłamałem. Widziałem, że jest przerażona. — Tak będzie dla ciebie lepiej. Kobiety boją się śmierci tak samo jak mężczyźni, Tordo. Jeśli udowodnię ci, a myślę, że uda mi się tego dokonać, że nawet teraz, kiedy rozmawiamy, Hierax wyciąga po ciebie rękę, przestraszysz się i powiesz mi prawdę. A wtedy możesz wyjść z opresji obronną ręką. Nie, wcale nie liczyłem na to, że się zmieszasz. Wolałbym, żebyś miała niczym niezmacony umysł, żebyś myślała tak jasno i klarownie, jak biednej Onorifice nie zdarzyło się w całym jej życiu. Jeżeli masz uniknąć zagrożenia, musisz je najpierw dostrzec.

— Biedna dziewczeczka! — Oreb przekrzywił łebek.

Mora z zapalem pokiwała głową.

— Właśnie! Gdyby nie... Nie powinieneś traktować jej tak ostro. Powiem wszystko ojcu.

Fava uśmiechnęła się, ale przysłoniła usta dłonią.

— Przyszliśmy w zupełnie innej sprawie, Incanto. I byliśmy pierwsze.

— Wiem, o co wam chodzi — odparłem, starając się, by w moim głosie zabrzmiała pewność siebie, której wcale nie czułem. — Te sprawy się łączą. Mówicie, że to całkiem co innego, ale przecież nie wiecie jeszcze, o czym chciałem porozmawiać z Tordą. A może się mylę?

Fava pokręciła głową.

— Torda jest szpiegiem — powiedziałem, nie odrywając wzroku od Favy. — Inclito już od jakiegoś czasu podejrzewa, że ma w domu szpiega. Poprosił mnie, żebym pomógł mu go zdemaskować. A właściwie „ją” zdemaskować, bo od początku było oczywiste, że szpiegiem może być tylko jedna z czterech kobiet: Decina, Onorifica, Torda albo ty, Favo. Wiem już, że to Torda. Oszczędzi nam wszystkim sporo czasu, jeśli od razu się przyzna.

— Co takiego? Nie jestem żadnym szpiegiem!

— Zła dziewczeczka! — prychnął Oreb.

— Chyba wszyscy tu obecni znają twoją historię, więc nic się nie stanie, jeśli pokrótce ją przypomnę — powiedziałem. — Przybyłaś tu jako uboga krewna i zostałam przyjęta bardziej przez uprzejmość niż przez wzgląd na więzy krwi. Twoja matka miała być kuzynką drugiego stopnia pani domu, w dodatku spowinowaconą tylko przez małżeństwo. Takie mgliste związki najtrudniej udowodnić. Skąd przybyłaś?

Torda utkwiała wzrok w podłodze i pokręciła głową.

— Z tego, co słyszałem, raczej nie z Blanko. Gdyby twoja rodzina mieszkała w mieście, Inclito i jego matka — zwłaszcza matka — wszystko by o tobie wiedzieli. Przyjechałaś zatem z Soldo, a w takim razie oczywiste jest, kto cię przysłał.

— Nie!

— Może nawet naprawdę jesteś daleką krewną Inclito, ale czy to ważne? Związek jest tak mętny, że praktycznie nie istnieje. Inclito przygarnął cię i traktował jak własną córkę. Wszyscy wiemy dlaczego.

Czekałem, co Torda na to powie, ale uparcie milczała.

— Ładna z ciebie dziewczyna — ciągnąłem — zwłaszcza kiedy spojrzeć z profilu. Można by się czepiać, że twarz masz

odrobinę za wąską, ale z pewnością jesteś niebrzydka, a figury niejedna kobieta mogłaby ci pozazdrościć. Na pewno też ślicznie się uśmiechasz. I z początku często i chętnie uśmiechałaś się do Inclito, prawda?

Teraz podniosła na mnie wzrok i posłała mi nienawistne spojrzenie.

— To cię nie powinno interesować!

— A potem coś się między wami popsuło. Przyłapał cię z innym mężczyzną? A może naśmiewałaś się z jego wyglądu? Inclito nie grzeszy urodą i jest bardzo czuły na tym punkcie.

Twarz Tordy stężała.

— Już mówiłam: to nie twoja sprawa.

— Incanto reprezentuje mojego ojca — zauważyła Mora zrezygnowanym głosem. — Tak w każdym razie uważa.

— Osobiście przypuszczam, że miałaś zbyt wygórowane żądania. Poszło o stroje i biżuterię? Inclito popełnił błąd, kiedy przyjął cię i potraktował tak łaskawie na początku. Kto wie, może nawet chciałaś go zmusić do ożenku? Ale on nie chce drugi raz się żenić. Chce zostawić w spadku wszystko, co ma, córce i zięciowi.

Torda spojrzała na Morę. Jej wzrok wyrażał wszystko.

— Odepchnął cię więc, a tobie nie pozostało nic innego, jak naprawdę wcielić się w rolę zwykłej służącej, którą wcześniej tylko odgrywałaś. Inna kobieta poszłaby sobie precz...

— Ja nie miałam dokąd iść!

— Jeśli nie będziesz cicho, napytasz sobie jeszcze większej biedy — westchnęła Mora.

Pokiwałem głową.

— Dlaczego zostałaś? Bo diuk Rigoglio nie byłby zachwycony, gdybyś odeszła. Miałaś zostać, dopóki mogłaś zbierać

informacje...

— Pochodzę z Novella Citta. Naprawdę. — Głos Tordy był zupełnie beznamiętny, ale po policzku pociekła jej łza.

Wzruszyłem ramionami.

— Skoro tak twierdzisz, to może uda mi się załatwić, aby twoje zwłoki z powrotem tam przewieziono. Postaram się. Bo Blanko na pewno nie zechce pogrzebać cię razem ze swoimi obywatelami.

— Rybie głowy? — zainteresował się Oreb.

— Owszem, niedługo będzie śniadanie, ale wątpię, żeby znalazła się jakaś ryba dla ciebie. Moro, czy mogłabyś zajrzeć do kuchni i dopilnować, żeby Onorifica podgrzała wodę na kąpiel dla twojej babki? Albo wręcz sama się tym zająć? Byłoby...

Mora pokręciła głową.

— Jak chcesz. — Odwróciłem się do Tordy. — Wracając do rzeczy: było dla mnie oczywiste, że szpiegiem jest któraś z waszej czwórki. Inclito podejrzewał Favę. Pilnował się więc i nie poruszał w jej obecności żadnych istotnych tematów. Założenie było rozsądne, środek zapobiegawczy również, ale nic się nie zmieniło. Diuk nadal znał na bieżąco plany Inclito. Fakt ten sugerował, że to nie Fava jest szpiegiem, ale Inclito nie wyzbył się podejrzeń, a kiedy o wszystkim mi opowiedział, zaszczerpił je także mnie. Fava nie jest z nim spokrewniona, zdaje się w ogóle nie mieć rodziny, a na dodatek ma tu, w domu, sporo do powiedzenia. Porozmawiałem z nią w obecności Mory i zasugerowałem, że jej wizyta, choć miła, powinna mieć się ku końcowi. Mora wolałaby nie wypędzać przyjaciółki, sama Fava chętnie jednak przystała na moją propozycję, o czym z pewnością słyszałaś. Moim zdaniem to załatwia sprawę: Fava

nie jest szpiegiem. Moro, nie wiesz przypadkiem, jak w Blanco zabija się szpiegów? Tam, skąd pochodzę, rozstrzeliwano ich, ale ponoć są miasta, w których szpiegów rozdziera się końmi.

— W Blanco chyba idą na szubienicę.

— U nas inhumich się pali — zauważyła Fava. — Wszystko zależy od tego, za co ktoś został skazany.

— Tak więc ty, Favo, zostałam wyłączona z kręgu podejrzanych. Zostały Decina, Onorifica i Torda. Kandydatura Tordy, odrzuconej kochanki, sama się narzucała, ale poświęciłam trochę czasu także na zebranie informacji o dwóch pozostałych. Decina pracowała u Inclito jeszcze kiedy Mora była malutka. Poza tym prawie nosa nie wyściubia z kuchni. Odrzuciłam ją więc, podobnie jak na moim miejscu uczyniłby każdy rozsądny człowiek. Rodzina Onorifiki mieszka nieopodal, a ona sama jest chyba niezbyt bystra i nie nadaje się na szpiega. Chyba że tak doskonale się maskuje. — Ponownie zwróciłam się do Tordy. — Nawet jeżeli się nie przyznasz, i tak staniesz przed corpo, które osądzi cię i wyda wyrok skazujący. Gdybym miał tu coś do powiedzenia, inaczej załatwiłbym tę sprawę, ale to nie mój dom, tak jak Blanco nie jest moim miastem. Co nam masz do powiedzenia?

— Nie zrobiłam nic złego! — odparła. I dodała półgłosem: — Ja go kocham.

— Biedna dziewczeczka!

— To prawda, Orebie. Ale byłaby bogata, gdyby Inclito jej uwierzył. Powiem ci tylko tyle, Tordo: dziwnie okazujesz uczucia. Jeżeli przyznasz się teraz do winy, zrobię wszystko, aby nie doszło do procesu i egzekucji.

Pokręciła głową.

— Z pewnym wahaniem zabieram głos w imieniu Inclito —
ciągnąłem. — Jestem jednak przekonany, że i on dołoży starań,
byś uniknęła kary. Przyznasz się?

— Jestem niewinna!

Odetchnąłem głęboko.

— W takim razie to wszystko. Moro, idź po ojca. Powiedz mu,
że musimy porozmawiać. Bezzwłocznie.

— Nie — odparła Mora i poleciała Favie: — Idź, powiedz
drugiej służącej o wodzie dla babci.

Fava chciała coś powiedzieć: f — Doprawdy, Moro, nie...

— Idź już. Pospiesz się.

Fava wstała, skinęła głową i wyszła. Zamknęła drzwi.
Odprowadziłem ją wzrokiem, podziwiając perfekcję iluzji: Oreb
nie dał się nabrać, ja jednak widziałem trzynasto-, może
czternastoletnią dziewczynkę, drobną, o jasnobrązowych
włosach, które, z czego doskonale zdawałem sobie sprawę,
musiały być peruką.

— Złe coś! — zakrakał Oreb. — Rybie głowy? — zapytał,
skubiąc mnie za włosy.

— Nie, śniadanie jeszcze nie gotowe. Onorifica z pewnością
dałaby nam znać.

— To ja... — zaczęła Mora.

Wszedłem jej w słowo:

— Wiem. Pozwól, że najpierw odprawię Tordeę.

— To ja jestem szpiegiem — dokończyła Mora. — To ja.

— Jak chcesz. — Zwróciłem się do Tordy. — Mora
szpiegowała ojca na zlecenie diuka Rigoglio. Oskarżyłem cię, bo
miałem nadzieję, że w ten sposób zmuszę ją, by się przyznała.
Rozumiesz, co do ciebie mówię?

— To go... — Torda była wstrząśnięta. — To go zabije.

— Jeśli się dowie... Być może. Przed chwilą powiedziałaś, że go kochasz. Powiesz mu?

Torda pokręciła głową.

— Może faktycznie go kochasz. A ty, Moro, powiesz?

— Nie. Nie mogłabym mu tego zrobić.

— W takim razie ja również będę milczał. Jeżeli we troje dochowamy tajemnicy, nie widzę powodu, by ujawniać prawdę.

Mora chciała jeszcze coś powiedzieć, ale uciszyłem ją gestem.

— Zanim wspomnisz o Favie... Całkiem możliwe, że przed chwilą widzieliśmy ją po raz ostatni. Rozumiesz? To dlatego nie chciałem, żebyś ją odsyłała.

— Mam nadzieję, że już nie wróci. — Mora oklapła w fotelu.
— Tak byłoby łatwiej.

— Raczej trudniej. Bo nie koniec na tym. To ona cię zwerbowała, prawda?

Minęła długa chwila, zanim Mora skinęła potakująco głową.

— Czyli Fava naprawdę była szpiegiem diuka? — wtrąciła Torda.

— Jednym z dwóch. Zmusiła Morę do współpracy, a sama dostarczała raporty do Soldo.

W tej samej chwili Fava otworzyła drzwi.

— Rzeczywiście, zanosłam raporty. Przekonałam też Morę, by dostarczała mi informacji. To wszystko. Słowem nie wspomniałam jej o szpiegowaniu ani o współpracy z diukiem. Nie wiem, co ci powiedziała, ale taka była prawda.

— Nie wątpię. Co nie zmienia faktu, że po jakimś czasie Mora musiała zdać sobie sprawę z tego, w jakiej sytuacji się znalazła. Nawet jeśli nie od razu, to z pewnością po tym, jak Inclito zwierzył jej się ze swoich podejrzeń. Mimo to chciała, żebyś została.

Mora pokiwała głową.

— W dodatku musiała się obawiać, że znajdziesz sposób, by po swoim odejściu zdradzić sekret jej ojcu: zostawisz list czy coś w tym guście. Większość z was nie umie pisać, ale wiem, że ty jesteś wyjątkiem. Zresztą nie ma w tym nic dziwnego, skoro chodzisz z Morą do palestry.

— Nie zrobiłaby tego — wtrąciła Mora.

— Gdybyś teraz ją o to zapytała, na pewno tak by ci właśnie powiedziała. — Patrzyłem, jak Fava na powrót sadowi się na łóżku. — Jak ci diuk zapłacił? Złotem i srebrem? Kartami do naprawy lądownika? Bo raczej nie jedzeniem. Sama umiałaś o siebie zadbać.

Fava pokręciła głową.

— Więc jak?

— Nie powiem!

— Ależ powiesz. — Próbowałem nadać swojemu głosowi okrutny ton. — Masz szansę ująć stąd z życiem, ale możesz ją stracić. Ja ci ją dałem i ja ci ją odbiorę, jeśli mnie do tego zmusisz.

Zapadło ponure milczenie.

— Za chwilę porozmawiam z Tordą na osobności, ponieważ chcę, by udzieliła mi pewnych informacji natury prywatnej. Ty nie zasługujesz na takie względy. Dlatego chcę, żebyś zdradziła swój sekret nam trojgu. A Morze w szczególności.

— Tordzie też?

— Też. Chyba trochę za późno, żeby ją wyłączyć ze sprawy?

Odwrociłem się i wyjrzałem przez okno. Krótkie słońce właśnie wzeszło, rozświetlając rozległe pola i syte bydło. (Widziałem dziś, jak Inclito schylił się i roztarł w ręce grudę czarnej ziemi, oranej właśnie pod siew oziminy).

— To wszystko będzie pewnego dnia twoje — powiedziałem do Mory, popierając słowa zamaszystym gestem. — Ojciec na pewno ci o tym mówił. Twoje i twojego męża.

— Dobre miejsce! — zapewnił nas wszystkich Oreb.

Mora bez słowa kiwnęła głową.

— Jak diuk płacił ci za informacje, których mu dostarczałaś, Favo? Co ci dał?

— Nic! — Fava się zawahała. — Bizuterię, głównie. I karty. Po — rozdawałam je albo wyrzuciłam.

— Wyobrażam sobie. Złoto jest ciężkie. Skoro nie zależało ci na klejnotach i kartach diuka, czego chciałaś? Bo z pewnością czegoś musiałaś chcieć.

— Niczego.

— Ja wiem czego. Tak mi się w każdym razie wydaje. I powiem o tym Morze, jeśli ty tego nie zrobisz. A będzie o wiele gorzej, kiedy usłyszysz to z moich ust.

— Bo ty wiesz wszystko, tak?!

— Z pewnością wiem zbyt mało. Chcę zapytać bogów o zdanie, jeśli tylko zdołam przekonać ojca Mory, by dał mi jagnię...

— Nie zarźnie!

— Nie ciebie, niemądry ptaku. Jeżeli Inclito da mi jagnię lub inne zwierzę ofiarne, spróbuję zwrócić się do Zewnętrznego. Do niego przede wszystkim, ale może także do Matki, bogini morza Zaginionego Ludu, choć o ile mi wiadomo, tutejsza wojna nie ma z morzem nic wspólnego.

— I będziesz udawał, że bogowie o wszystkim ci powiedzieli — zakpiła Fava.

— Nie. Ludziom, którzy tak się zachowują, bogowie nic nie mówią.

— Czekaliśmy na to — odezwała się podekscytowana Mora.
— Na jakieś czary. Baliśmy się, ale chcieliśmy je zobaczyć.

Przyznałem, że w jej wieku czułem podobne podniecenie.

— Czy nadal chcemy z nim rozmawiać o sprawie, z którą przy — szłyśmy, Moro? — spytała Fava. — Po tym, co się tu wydarzyło, nie ma to większego sensu.

— Mnie to obojętne — stwierdziła Mora. — Rób, jak chcesz.

— W takim razie nic nie powiem.

— Najpierw powinniśmy zamknąć sprawę twojego szpiegostwa — zauważyłem. — Mora od razu poczuje się lepiej, ja zresztą również. Nie było cię w pokoju, Favo, kiedy powiedziałem, że jeśli we troje z Morą i Tordą dochowamy tajemnicy, nie będzie powodu, by ją ujawniać innym. A może ty znasz taki powód?

— Jeśli ty go nie znasz, to ja tym bardziej.

— Nie, nie znam. Jesteś inteligentną młodą kobietą. Mogłabyś streścić mi informacje, które przekazałaś diukowi? W paru zdaniach, bo czas nagli.

— Owszem, nagli. Przede wszystkim chodziło o amunicję. Po ostatniej wojnie w Blanco zostało dużo broni, ale niewiele amunicji do niej. Inclito kupił trochę naboju w Aspis. Udało mu się także sprowadzić stamtąd ludzi, którzy pokazali mieszkańcom Blanco, jak wytwarzać amunicję. Dzięki temu mają tu teraz własny warsztat, którego całą produkcję miasto wykupuje na pniu. Druga sprawa to fortyfikacje. Niektórzy obywatele chcieli, by mur wokół miasta był wyższy i grubszy, a także miał więcej baszt, ale to by kosztowało fortunę. Inclito, naturalnie, sprzeciwiał się tym pomysłom, podobnie jak inni farmerzy. Chciał przeznaczyć pieniądze na wynajęcie żołnierzy, którzy chroniliby wszystkich, nie tylko mieszczan. I postawił na

swoim, kiedy gospodarze zagrozili, że zaczną sprzedawać swoje plony gdzie indziej.

— Mój ojciec obszedł wszystkie okoliczne gospodarstwa, żeby przekonać farmerów do swojego pomysłu — wtrąciła Mora. — Niektórych namówił nawet, żeby tak jak on chodzili po domach.

— Rozumiem.

— Powiedziałaś też o tobie — mówiła dalej Fava. — Zaraz po tym, jak się zjawileś. Inclito uważa, że jesteś tym Jedwabiem, o którym czytał...

— Jedwab dobry — zapewnił nas Oreb.

— ... w jakiejś książce. Ja tam uważam, że ludzie z książek nie są prawdziwi.

— Ja też — przyznałem.

— To wszystko. Ostatni raport złożyłam dwie noce temu. Powiedziałaś, że jesteś ponoć potężnym czarownikiem, który rzuci takie zaklęcia na siebie i na Soldo, że Blanco wygra wojnę. Przyznałam, że w tych bajdach może być ziarno prawdy, a wszystko przez tę historię, którą opowiedziałeś nam pierwszego dnia. Potem opowiedziałeś tę następną, a poza tym wszedłeś do mojej historii i zacząłeś ją zmieniać. Powiedziałaś o tym Morze, a ona zaproponowała, żebyśmy poszły cię zapytać, jak to robisz. Tak zwyczajnie, po przyjacielsku. Zastrzegłam, że jesteś jej przyjacielem, nie moim, ale zgodziłam się z nią pójść.

— On chce cię puścić wolno — zaznaczyła Mora. — A przecież mógłby cię dawno wydać papie, który z dziesięć razy zdążyłby cię zabić. Incanto jest twoim najlepszym przyjacielem.

— Wcale nie. Mam lepszych.

— Zanim przejdziemy do opowieści...

— Gada, gada — odezwał się siedzący na moim ramieniu Oreb.

— Zanim się nimi zajmiemy, chciałbym cię jeszcze zapytać o te raporty, Favo. Ile razy spotkałaś się w Soldo z diukiem?

Fava mruknęła coś pod nosem, policzyła na palcach.

— Dziewięć.

Torda nie wytrzymała:

— Powiedziała, że była w Soldo przedwczoraj w nocy! — wypaliła. — To niemożliwe, Incanto. Była w domu, kiedy pan wieczorem odwoził cię do miasta, a rano siadła z innymi do śniadania!

— Masz rację, ale udawajmy na razie, że jej wierzymy.

— Żaden koń tak szybko nie pojedzie!

— Lata! — zaskrzeczał Oreb i zademonstrował, co ma na myśli, robiąc kółko po pokoju. — Złe coś!

— Wracaj tu, ty głupie ptaszysko.

— Chodzi mi o to, Favo, że podczas tych wypadów chcąc nie chcąc musiałaś zdobyć informacje, które mogłyby być użyteczne dla Inclito. Jak mu je przekazałaś?

— Wcale. Miałam związane ręce. Zorientowałby się.

— Oboje wiemy, że to nieprawda. Nie musisz cały czas wyglądać jak Fava. Pod jaką postacią pokazywałaś cię diukowi?

— Pod taką jak teraz.

Nie miałem na to najmniejszej ochoty, ale odruchowo wyobraziłem sobie, jak musiała wtedy wyglądać: w peruce i z poskładanymi skrzydłami, wypinającymi luźną bawełnianą sukienkę.

Torda pochyliła się i przyjrzała jej z bliska.

— Gdyby było jaśniej, może dostrzegłabyś łuski — powiedziałem. — To dlatego zawsze nosi parasolkę. Tu jest chyba za ciemno, chyba że masz naprawdę nieprzećiętny wzrok.

— Nigdy nie widziałam żadnego z nich z bliska.

— Teraz też nie widzisz. Fava, czy zechciałabyś pokazać się Tordzie i Morze w swojej naturalnej postaci?

— Jeśli takie jest twoje życzenie... Chyba nie mam wyjścia.

— Nie, zapytałem tylko, czy byś chciała.

Fava pokręciła głową.

— Jak widzisz, potrafią do złudzenia przypominać ludzi — wyjaśniłem Tordzie. — Myślą też podobnie. Jest w nich jednak piętno zła. A może powinienem raczej powiedzieć, że mają w naturze coś, co nam, ludziom, wydaje się złem, mroczny ślad ich gadziej natury.

— Wydaje nam się... — zaczęła Fava, ale przerwałem jej, podnosząc rękę.

— Zastanów się, zanim coś powiesz.

Pokiwiała głową.

— Chciałam powiedzieć, że naszym zdaniem postępujemy słusznie, tak jak tobie czy Morze wydaje się, że wasze zachowanie jest właściwe, nawet kiedy to nieprawda.

— Ale to właśnie to piętno zła, o którym wspomniałem, powstrzymało cię przed podzieleniem się wiedzą z Inclito, który przyjął cię pod swój dach i okazał ci serce. Z tego samego powodu wysługiwałaś się diukowi. Chciałbym w miarę możliwości wyrównać rachunki.

— Pomogę ci — zaproponowała Fava.

— To wszystko? — wtrąciła Mora. — Powiedziałaś, że wyrzuciłaś biżuterię. Wystarczyło ci, że nas nie lubisz?

— Ciebie lubię.

— Jeśli to prawda, to powinnaś odejść przez wzgląd na Morę. Nie wątpię, że uczyniłaś tu wiele dobra, teraz jednak zaczynasz czynić zło, a z czasem będzie coraz gorzej. Nie zapominaj, że za

tydzień albo za miesiąc mnie tu nie będzie, a Mora i Torda zostaną. One wiedzą. Ty zaś, Moro, powinnaś zrozumieć, że choć Fava twierdzi, iż darzy cię wielką sympatią — nie mnie to oceniać — nie przepada za innymi istotami ludzkimi. Nie znosi nie tylko twoich bliskich, ale także Tordy, Onorifiki i wszystkich poznanych mieszkańców Blanko.

Mora bez entuzjazmu skinęła głową.

— Zazdrości im ich człowieczeństwa. Szpiegując, próbowała ukoić ten ból, udowadniając sobie, że jest w stanie ich zniszczyć... Ale czas ucieka, a ja chciałem ci zadać oczywiste pytanie, Favo: dlaczego diuk nie napadł na Blanko, kiedy doniosłaś mu o niedostatku amunicji?

— Powinien był zaatakować.

— Zgadza się, ale tego nie zrobił. Dlaczego?

— Powiedział, że chce jeszcze podszkolić ludzi. I spokojnie zebrać plony.

Pokiwałem głową. Nie byłem wtedy pewien — tak jak i teraz wcale nie jestem — jak dalece mogę jej ufać.

— I nająć więcej żołnierzy.

— To też. Poza tym chciał ich lepiej wyposażyć, żeby mogli walczyć w zimie.

— Pada tu śnieg? Pewnie tak...

— Znacznie więcej pada na Wysokich Wzgórzach — wtrąciła Mora. — Ojciec właśnie tam chciałby wydać bitwę diukowi.

— Z pewnością. Posłuchaj, Favo. Opowiedziałaś diukowi o charyzmie Inclito, o tym, jak przekonał ludzi, żeby wyszli do walki poza mury miasta. Wydawałoby się naturalne, że po tych doniesieniach diuk powinien był kazać ci go zabić. Blanko pozbawione Inclito stałoby się łatwiejszym celem.

— To prawda. Ale ja się nie zgodziłam.

Nie potrafię powiedzieć, ile prawdy było w jej słowach, ale słuchając ich, znów poczułem zaduch panujący wśród olbrzymich drzew ociekających wilgocią, przypomniałem sobie nieruchome powietrze, ciężkie od woni rozkładających się roślin. Oreb musiał czuć się podobnie, bo zaczął w panice wykrzykiwać: — Złe miejsce! Złe miejsce!

— Ciebie też kazałyby zabić, Incanto. — Odsłoniła kły w uśmiechu. Osobniki jej gatunku okazują zadowolenie grymasem, który kojarzy się z jedzeniem. Tak jak ludzie. — Tak właśnie by powiedział, gdybym dziś się z nim spotkała. Ale i tego rozkazu bym nie posłuchała.

Mora i Torda przyglądały się jej z niedowierzaniem. Z rozdziawionymi ustami Mora wyglądała na jeszcze brzydszą niż zwykle.

— Chcę, żebyś do niego wróciła — powiedziałem.

Miałem wrażenie, że oboje siedzimy na wilgotnej, żyznej ziemi. Ćma o skrzydłach wielkich jak półmiski przefrunęła nad dzielącym nas ciemnym bajorem. Ze skrzydeł spojrzały na nas wytrzeszczone oczy, a potem ćma poleciała wysoko, pod leśne sklepienie, utworzone przez najniższe gałęzie drzew.

— Mówiłaś, że pomożesz mi naprawić wyrządzone zło — ciągnąłem. — Oto twoja szansa. Powiedz diukowi, że Inclito żeni się z kobietą z Novella Citta i że w razie wybuchu wojny Novella Citta i Olmo razem z Blanko zaatakują Soldo. Zrobisz to?

Fava kiwnęła głową. Kły zniknęły.

— Jeżeli to zrobisz i nigdy więcej tu nie wrócisz, możesz liczyć na moją dozgonną przyjaźń. Chociaż nie wiem, ile jest dla ciebie warta. Nie powiem Inclito, kim naprawdę jesteś. Nie

zdradzę mu też, że o mały włos nie zamordowałaś jego matki, podpisując jej krew.

Torda złapała mnie za rękę i wskazała długonogą istotę o idiotycznym wyrazie twarzy. Stwór spadł właśnie z drzewa, pod którym siedzieliśmy. Jego pomarszczona, bezwłosa skóra wyglądała jak skóra człowieka, miała ten sam brązoworóżowy odcień. Istota wyglądała na oszołomioną upadkiem, ale jej tępo zakończony ogon niby ślepy robał bezustannie sondował ziemię.

— Nie bój się — uspokoiłem ją. — Te stwory jedzą liście, są niesmaczne, bezradne i całkowicie nieszkodliwe. Ten nawet nie zlazłby z drzewa, gdyby nie szukał partnera.

Na dźwięk mojego głosu stwór podniósł głowę i spojrzał na mnie. Wzrok miał tępy i bezmyślny. Poruszał bezgłośnie wargami.

Fava pochyliła się i podziwiała swoje odbicie w ciemnej wodzie, jakby miała przed sobą wypolerowany blok czarnego marmuru.

— W Grandecitta, gdzie mieszkałam jako dziewczynka... Nie przeszkadza ci, że jestem teraz starsza, Moro? Nie było łatwo udawać młodą, kiedy co wieczór siadałam do kolacji z twoją babką. Musiałam zatrzymywać się po drodze do pałacu diuka Rigoglio albo w drodze powrotnej, żeby znaleźć sobie jakieś dziecko. Incanto uważa, że nie miałam kłopotu ze znalezieniem pożywienia. Słyszałam też, jak mówił, że karmimy się biedakami. Zabrzmiało to jak oskarżenie. My po prostu wybieramy domostwa, które nie są zbyt solidne ani pilnie strzeżone.

Morę zatkało.

— To ty? — stęknęła. — Czy to... Czy stamtąd właśnie pochodzisz?

Fava skinęła głową.

— Ale to nie moje dzieło. — Przez chwilę miała usta otwarte szeroko jak człowiek. Chyba wydawało jej się, że chowa kły. — To na pewno jego robota. Jak ty to robisz, Incanto?

Pokręciłem głową.

— W Grandecitta wiara w wiedźmy, wróżki i inne brednie była w modzie. Nawet jeśli kobieta nie chodziła do stregi co miesiąc, kiedy miała okres, udawała, że jest inaczej, i sama sporządzała amulet, żeby chwalić się nim przyjaciółkom. Sama tak robiłam, a jestem przekonana, że nie byłam jedyna. Były amulety przeciw bólom, na miłość, na szczęście. Kiedy teraz o nich myślę, wydaje mi się, że nikomu nie pomagały, a paru osobom mogły zaszkodzić.

Twarz Favy stała się gładką, choć poznaczoną delikatnymi zmarszczkami twarzą kobiety, która przed trzydziestu laty mogła być chodzącą pięknnością.

— Mam nadzieję, że ty jesteś inny, Incanto — dodała Fava. — Przecież wszyscy tu jesteśmy przyjaciółmi, prawda? A skoro tak, to coś, co wyrządza krzywdę jednemu z nas, krzywdzi nas wszystkich. Mam nadzieję, że się ze mną zgodzisz.

Nie odpowiedziałem. Patrzyłem na Pleśń, która zmaterializowała się z rozedrganej mgiełki na ciemnej powierzchni wody.

— Tu jesteś, Jedwabiu. I ty, Rogu. Wszędzie cię szukałam. Babbie wrócił sam. Babcia się martwi.

— Powiedz jej, że znalazłem dla niej oko — odparłem. — Przywiozę je przy pierwszej okazji.

Rozległo się pukanie i z za drzwi dobiegł stłumiony, chrapliwy głos.

Pleśń zwróciła swą trupio uśmiechniętą twarz ku Tordzie.

— Jesteś pewna, że chcesz za niego wyjść? Jedwab ci pomoże.

Drzwi się otworzyły. Przez chwilę widziałem na progu korpulentną kucharkę w średnim wieku. Na jej twarzy malowało się najwyższe zdumienie.

— Ś... ś... śniadanie...

Olbrzymie drzewa rozpływały się w powietrzu. Wokół mnie materializowała się nieduża, lecz wygodna sypialnia, którą gospodarz oddał do mojej dyspozycji.

— Podano do stołu. Ś... śnia eee...

Oreb wydał mi się mniejszy niż zwykle.

— Dobrze miejsce — zakrakał. — Rybie głowy?

Naturalne talenty

Mora, Oreb i ja poszliśmy potem na śniadanie. Torda zajęła się zapewne codziennymi porannymi obowiązkami (jakiegokolwiek by one były); w każdym razie gdzieś zniknęła, a zobaczyłem ją ponownie dopiero na krótko przed złożeniem ofiary. Fava musiała zaś wyruszyć w drogę do Soldo chyba że poleciała po swoich współplemieńców, którzy pomogliby jej wytropić mnie i zabić. Nie wiem, gdzie była, ale z całą pewnością nie zasiadła dziś z nami do stołu.

Powinienem teraz przejść od razu do opisu kolacji. Przy stole usiadło z nami dwóch młodych ludzi, którzy mieli rozwieźć listy napisane przeze mnie w imieniu Inclito. Pochłonęli bez reszty naszą uwagę. Nikomu nawet nie przyszło do głowy proponować zabawy w opowiadanie historii. Jeden z nich wychował się w Blanko. Nazywa się Rimando; imię to, jak mi wyjaśnił, znaczy „zwłoka”. Nadano mu je po tym, jak matka nosiła go w brzuchu przez prawie dziesięć miesięcy.

— Gdybym o tym wiedział, nigdy bym cię nie zatrudnił mruknął Inclito. — Pół poranka zejdzie ci na zakładaniu derki na koński grzbiet.

Drugi z posłańców jest najemnikiem, którego historię Inclito nam opowiedział. Nazywa się Eco. Kiedy wszedłem do jadalni, skinął Inclito głową.

— W imieniu Blanco zawiozą moje listy do Novella Citta i Olmo — wyjaśnił Inclito matce i córce. — To niebezpieczna misja. Obaj o tym wiedzą, a biorę wszystkich bogów na świadków, że i ja dobrze o tym wiem. Mimo to zrobią wszystko, żeby się przedrzeć. Mam rację, chłopcy?

Młodzieńcy zgodnie pokiwali głowami.

— To znaczy, że żołnierze diuka już wyruszyli? — zdziwiła się matka gospodarza. — Czy właśnie to zobaczyłeś, składając ofiarę?

— Mówiłem ci, pani, co widziałem.

— My mu wierzymy — zauważył jej syn. — Ale nawet gdyby bogowie powiedzieli mu, że żołnierze diuka będą jeszcze miesiąc zwlekać z wymarszem, my musielibyśmy założyć, że już na nas idą. Nie możemy sobie pozwolić na pomyłkę. Unikajcie głównych traktów. W miarę możliwości unikajcie też mniejszych gościńców. Niech pod kopytami waszych koni jak najczęściej szeleści trawa.

Pomyślałem o Zieleni.

— A nad głowami niech szumią liście — dodałem.

— Właśnie. Podróżujcie dyskretnie, szybko, ale bez przesady, żeby nie zajeździć koni. — Inclito zawiesił głos. — Nie sądę, żeby udało się wam zmienić wierzchowce, ale gdyby trafiła się okazja, zróbcie to. Na stromiznach zsiądźcie z siodeł, poprowadźcie konie za uzdę. Niech odpoczną.

Mora przemówiła pierwszy raz podczas kolacji: — Powinni już jechać.

— Przyjechali tutaj — odparł jej ojciec, kręcąc głową. — Na dziś wystarczy. Teraz niech zjedzą i się wyśpią. Dla koni znajdują się duże boksy w stajni, świeże siano, woda i owies. A jutro wyruszą skoro świt. — Zwrócił się do Rimando: — Decina, kucharka, budzi mnie rano. Kładzie się spać zaraz po kolacji, wstaje potem bardzo wcześnie. Ja z kolei obudzę ciebie i Eco. Odprowadzę was.

Rimando i Eco pokiwali głowami. Spojrzałem — znacząco, w moim mniemaniu — na Inclito.

— Macie przeżyć. Nie posyłamy was na śmierć. Czy to jasne? Jeżeli będą próbowali was zatrzymać, a wam uda się uciec, w porządku. Ale jeśli was złapią... — Inclito podniósł ręce.

— Dostaną igłowce? — zainteresowała się Mora.

Rimando pokręcił głową.

— Nie możemy stracić ani jednego igłowca — wyjaśnił Inclito. — Nie dostaną też strzelb ani mieczy. Broń byłaby tylko zbędnym brzemieniem. Mają uciekać, nie walczyć.

Decina weszła do jadalni i przełożyła pieczeń z różną na cynowy półmisek słusznych rozmiarów, który z namaszczeniem postawiła przed Inclito. On zaś wziął do ręki widelec (wielki jak widły do przerzucania siana) i nóż o ostrzu długim jak moje przedramię.

— To święte mięso — powiedział. — Nie kląć mi tu i nie złorzeczyć na bogów przy jedzeniu. To niegrzeczne.

Eco, który siedział między Inclito i jego matką, zapytał, czy złożyłem w ofierze wołu.

— Nie, młodego byczka, płowego z czarnym pyskiem. Czy w waszym mieście składa się ofiary z wołów?

— Chyba tak.

— Co kraj, to obyczaj. W moim mieście, a już szczególnie w Starym Vironie, nie wolno było składać w ofierze żadnych zwierząt, które zostały już jakoś okaleczone. Tak samo mieszczanin u siebie w domu nie mógł złożyć bogom w ofierze napoczętego bochenka chleba czy butelki wina.

— Nie jesteś patre, Incanto? — upewniła się Salica. — Nie, przecież już o to pytałam.

— Nie, niestety nie jestem. — Uśmiechnąłem się. — Nie jestem też augurem, bo u nas tak właśnie się ich nazywa. Nasze prawo dopuszcza jednak możliwość złożenia ofiary przez sybillę, kiedy augur jest nieobecny, a gdyby zabrakło także sybilli, również przez człowieka świeckiego. Takie prywatne ofiary składa się zwykle na małym, prywatnym ołtarzu w domu ofiarodawcy.

— Rozumiem.

— Uznałem, że w tym wypadku mamy do czynienia z taką właśnie prywatną ofiarą. Złożyłem ją w obecności twojego syna, pani, w jego majątku, w świętym ogniu rozpalonym na własnoręcznie wzniesionym torfowym ołtarzu.

— W obecności członków rodziny — dodała Salica pod adresem Rimando i Eco. — To znaczy mojej, mojego syna i wnuczki.

— I Tordy — dodała Mora.

— Rzeczywiście, Torda pomogła Incanto z nożem i krwią.

Słuchając nas, Inclito kroił gruby plaster pieczeni.

— Jesteś naszym najważniejszym gościem, Incanto, i to ty złożyłeś byka w ofierze. Podaj mi swój talerz.

Nie podałem mu talerza.

— Dla mnie połowa takiej porcji. Albo i mniej.

— Rimando? — zaproponował Inclito. — Proszę bardzo.

Odkroił i nałożył mi mniejszy plaster.

— W Gaonie, tam, skąd przyjechałem, ludzie składają Echidnie w ofierze jałowki — powiedział Eco, zwracając się do Mory. — Ale nie jedzą potem ich mięsa.

— Bogowie dostają głowę, kopyta i inne drobiazgi — zauważył Inclito, kładąc mu na talerzu gruby kawał mięsa. — Powiedzieli, że więcej nie chcą. Ze resztą możemy sobie wziąć.

— Mieszkańcy Gaonu nie dlatego nie jedzą wołowiny i cielęciny, że uważają je za nieczyste — wyjaśniłem. — Lecz dlatego, że są dla nich święte.

Rimando zamarł z uniesionym nożem.

— Bogowie powiedzieli ci, że orda Soldo ruszyła już na Blanko, tak? — upewnił się. — To najważniejsze. A tak w ogóle, to którzy bogowie tak twierdzą?

— Zewnętrzny i bogini morza Zaginionego Ludu. Nie znam jej imienia. Nie wiem, czy w ogóle jest jeszcze ktoś, kto je zna.

— Mógłbyś zapytać naszych sąsiadów — uśmiechnęła się z przekąsem Mora.

— Czyli Zaginionych Ludzi we własnej osobie? Będę o tym pamiętał.

— Fava w nich nie wierzyła — powiedziała Mora do Eco. — Fava to moja przyjaciółka. Mieszkała u nas przez jakiś czas, ale dziś rano wyjechała.

— Dostał mi się jej pokój — dodał Rimando. — Wygląda na to, że nie zabrała mnóstwa rzeczy.

— Z pewnością jeszcze kiedyś po nie wróci.

— Albo przyśle kogoś, żeby je zabrał — wtrąciłem. — To chyba bardziej prawdopodobne.

Mora skinęła głową.

— Dlaczego wybrałeś tych dwoje? — zaciekawiał się Rimando.
— Nie ma jakichś bogów wojny?

— Jest bogini — odparłem z roztargnieniem. — Wojnie patronuje też parę pomniejszych bóstw.

— Nie zagadujcie go tak, proszę — odezwała się Salica. — Przez was prawie nie je.

— A o nas bogowie nic nie powiedzieli? — zapytał Eco, zwracając się tym razem do Inclito.

Zapadło krępujące milczenie, dopiero po dłuższej chwili przerwane przez Rimando: — Chyba rozumiem... Jeden z nas nie dotrze do celu podróży. A może obaj?

— Rybie głowy? — Oreb wleciał do jadalni przez otwarte okno i usadowił się, jak zwykle, na moim ramieniu. Podałem mu kawałek mięsa.

— A ode mnie też weźmie? — zainteresowała się Mora.

— Tak myślę. Lubi cię.

Odcięła ze swojego plastra znacznie pokaźniejszy kawałek mięsa niż ja i rzuciła przez stół Orebowi, który złapał go w dziób i sfrunął na ziemię przy kominku. Zaczął szarpać pieczeń na łatwe do przełknięcia kęsy.

— Chciałbym się dowiedzieć... — Rimando posłał nam wszystkim wyzywające spojrzenie. — Chciałbym się dokładnie dowiedzieć, co tych dwoje bogów, o których nigdy nawet nie słyszałem, miało do powiedzenia na nasz temat. Nie wierzę w nich, tak jak twoja przyjaciółka nie wierzyła w Zaginiony Lud. — Ostatnie słowa były skierowane do Mory. — Ale chcę wiedzieć. Obaj z Eco mamy do tego prawo.

— Dlaczego nie wierzysz w bogów? — spytała nieśmiało Salica.

Rimando prychnął lekceważąco, a Salica spojrzała na mnie błagalnie.

— Sama widzisz, pani: ledwie mnie uciszysz, zaczyna ci brakować mojego głosu — zauważyłem.

— Wolę tego nie wiedzieć — stwierdził pojednawczo Eco. — Mówią, że to była prywatna ofiara, niech więc tak zostanie.

— Podzielał twoje zdanie — odparłem. — Najciekawsze wcale nie jest to, co wyczytałem we wnętrznościach młodego byka. Obdarzony bujną wyobraźnią augur wyczyta dowolne rzeczy z resztek dowolnego zwierzęcia; przepowiednie ofiarne równie często okazują się błędne, co prawdziwe. A z mojego doświadczenia wynika, że nawet częściej.

— Czy jeden z nas zginie? — naciskał Rimando. — Który?

— Nie — odpowiedziała Mora. — Nic takiego tam nie było.

— Nieistotna jest również kwestia niewiary w bogów — kontynuowałem. — Bo dlaczego ktoś miałby wierzyć? Dlaczego Fava nie wierzyła w to, że Zaginieni Ludzie wciąż tu są, Moro? Powiedz nam, to może być bardzo ciekawe.

— Dlatego, że oni odeszli. Rozumiała, że kiedyś tu mieszkali. To znaczy, widziała porzucone przez nich artefakty, różne wykopane z ziemi skarby. W zeszłym roku jeden z ojca służących, czyszcząc studnię, znalazł mały posążek.

— Chętnie bym go zobaczył.

Inclito podniósł wzrok znad talerza.

— Pokażę ci po kolacji.

— Ale potem odeszli i dlatego nazywamy ich Zaginionym Ludem. Nie ma ich wśród nas. Gdyby byli, widywalibyśmy ich codziennie i wszystko o nich wiedzieli.

— Wszystko, czego zbyt często nie widać, z założenia spychamy w odległą przeszłość. — Pokiwałem głową. — Nawet

jeśli ostatni raz widzieliśmy to wczoraj.

— Chciałbym się dowiedzieć... — zaczął Rimando.

— Oczywiście. To moja wina. Niewykluczone, wielce prawdopodobne nawet, że źle zinterpretowałem przesłanie od bogów. Uznałem, iż znaczy ono, że tylko jeden z was wyruszy rankiem w drogę.

Ciszę, którą zapadła po moich słowach, przerwał Inclito: wziął stojący przy talerzu matki dzwoneczek i zadzwonił. W drzwiach natychmiast stanęła uśmiechnięta Torda, on zaś powiedział: — Przydałby się chrzan. Poprosisz Decinę, żeby nam go podała? Wiem, że to nie należy do twoich obowiązków.

— Sama się tym zajmę, panie. Zetrę trochę chrzanu. Wiem, gdzie jest.

Rimando odchrząknął.

— Ale nie umiałbyś powiedzieć, który z nas wyruszy, a który nie?

— Tego nie wiem. Możliwe, że i ta informacja została zapisana w trzewiach byka, ja zaś okazałem się zbyt tępy, by ją odczytać.

— A czy bogowie nie powinni się zorientować, że nie będziesz umiał jej dostrzec? — zaciekawiała się Mora. — Wtedy mogliby jej tam wcale nie umieszczać.

Wzruszyłem ramionami.

— Wszyscy macie ochotę zapytać, dlaczego nie wierzę w bogów — stwierdził Rimando. — Ale się boicie. Albo jesteście na to zbyt uprzejmi.

— Wcale nie — zapewniłem go. — Znasz już naszego gospodarza dość dobrze, by wiedzieć, że jest wprawdzie niezwykle odważny, ale do przesadnie uprzejmych nie należy.

Inclito wypuścił z rąk sztucę i wybuchnął śmiechem.

— Ma wiele godnych pochwały cech charakteru. Jest na przykład zarazem inteligentny i przebiegły, a to rzadkie połączenie. Moro, wiem, że kochasz ojca. Co ci się w nim najbardziej podoba?

— Dobry człowiek! — zakrakał donośnie Oreb z okolic kominka.

— Rzeczywiście, jest dobrym człowiekiem — zgodziła się Mora. — Ale nie dlatego go kocham. Trudno to wyjaśnić.

— Czy mimo to chcesz spróbować?

— Chyba tak. Chodzi chyba o to, że on całe serce wkłada w to, co robi. Kiedy byłam mała, zrobił dla mnie domek dla lalki. Cieszyła go ta praca, tak jak cieszyło go rozbudowywanie naszego domu czy stawianie nowej stodoły. Dużo bawiłam się tym domkiem, a wiecie, jakie są dzieci. Wkrótce przestał wyglądać tak ładniutko, więc ojciec odnowił go i pomalował na nowo. I też się tym cieszył, chociaż zajmował się tym po całym dniu ciężkiej pracy.

Torda wróciła z kuchni z talerzykiem chrzanu. Inclito wziął go od niej, nałożył sobie połowę i resztę podał nam.

Tylko Eco się poczęstował.

— Twoja córka wspomniała o jakimś posążku. Obiecałeś Incanto, że mu go pokażesz. Też chętnie bym go zobaczył, jeśli to nie kłopot.

— Żaden kłopot — zapewnił go Inclito. — Mam zresztą nie tylko posążek.

— W Gaonie mają puchar, który należał kiedyś do ich rajan. Do tego, który zniknął.

Inclito pokiwał głową.

— Podobno dostał go od Zaginionego Ludu. Z całą pewnością przypomina inne ich wytwory. Podobno ma moc leczenia

chorych. Trzymają go w świątyni swojej bogini.

Mora weszła, gdy pisałem słowo „leczenia”.

— Tym razem nie jestem w koszuli nocnej — zauważyła i postukała się szpicrutą po butach do jazdy konnej.

— I nie ma z tobą Favę — dodałem. — Co bardzo mi odpowiada.

— Za to pytania są te same, które chciałyśmy ci zadać wczoraj w nocy. Tyle że doszły do nich nowe. — Zawahała się. — Właśnie wracam ze stajni. Rimando chciał zobaczyć, jak się miewa jego koń, sprawdzić, czy ma dość wody i siana. Kiedy jednak znaleźliśmy się sam na sam, zasypał mnie pytaniami.

Chyba spodziewała się, że zareaguję uśmiechem, uśmiechnąłem się więc.

— Nie znałam odpowiedzi na większość z nich, ale kiedy wróciłam do sypialni i zaczęłam się rozbierać...

— Stwierdziłaś, że też nie dają ci spokoju — podsunąłem.

— Już wcześniej nie dawały. To dlatego przyszłam tu wczoraj z Favą. Ale chodzi przede wszystkim o to, że muszę z kimś porozmawiać. Kiedyś miałam od tego Favę, ale odeszła.

— A ojciec? Albo babka?

— Z nimi rozmawia się zupełnie inaczej niż z Favą. Albo z tobą.

Przez chwilę siedziała w milczeniu, ja zaś kończyłem pisać zdanie, które zacząłem przed jej przyjściem. Wytarłem pióro do sucha.

— Eco mówił o człowieku z południa, który szukał ojca. Masz syna?

Skinąłem głową.

— Pomyślałeś, że może to ciebie szukał. W każdym razie Rimando odniósł takie wrażenie. Ja też.

Zapytałem, czy Rimando jej się podoba.

— To nie ma nic do rzeczy.

— Uważa! — zaskrzeczał ostrzegawczo Oreb.

— Przeciwnie. Poszłaś z nim do stajni.

— Po prostu chciałam zobaczyć konie. Ty je widziałeś?

Pokręciłem głową.

— Są przepiękne. Oba. Eco ma kasztana, Rimando gniadosza. Ojciec przekonał dwóch zamożnych mieszczan z Blanko, żeby im kupili te konie. Chciałabym tak umieć.

— Ja też.

— Pewnie. Bo ty nic nie wiesz ani nie umiesz, co, Incanto?

— Mam przynajmniej świadomość tego, jak mało wiem.

— Naprawdę pomyślałeś, że ten człowiek z południa to twój syn? Że cię szuka?

— Nie. — Przyznanie się do prawdy wymagało sporej determinacji. — Wydało mi się to niemożliwe, ale miałem taką nadzieję.

— Na mój gust ojciec tego człowieka powinien być młodszy niż ty. Poza tym z opisu wcale cię nie przypominał.

Pokiwałem głową.

— Nie wiesz, o kogo chodziło?

— Nie mam pojęcia. Zielonego pojęcia. Interesuje cię, czy podany przez Eco opis pasowałby do mojego syna. Otóż nie, nie pasowałby. Mój syn ma na imię Ścięgno.

— To ty tak twierdzisz.

— Bo to prawda. Może sam przedstawia się inaczej, tego nie wiem. Ale młody człowiek, o którym opowiadał Eco, nie wyglądał na mojego syna. Mówiłaś, że dręczy cię wiele z tych

pytań, z którymi przyszłyście wczoraj z Favą. To z pewnością nie jest jedno z nich. O co więc chodzi?

Zbyła moje pytanie machnięciem ręki.

— Napisałeś listy.

— Listy, które Rimando i Eco mają zawieźć do Olmo i Novella Citta? Zgadza się, napisałem. Twój ojciec pozwolił, bym to zrobił, i przeczytał je przed podpisaniem. Chcesz wiedzieć, co w nich jest?

— Nie. Rimando zostawił swój w sakwie przy siodle. Gdybym chciała, mogłabym zaraz zejść do stajni i go przeczytać. Musiałabym tylko złamać pieczęć. Miałyś coś przeciwko temu, żebym go przeczytała?

— Absolutnie nic.

— To dobrze. — Pochyliła się, wpatrując się we mnie natarczywie, z dziewczęco-brutalnym wyrazem twarzy. — Rano, zanim przyszła Decina, na chwilę przenieśliśmy się w jakieś inne miejsce: ja, Fava, Torda chyba też, sądząc z tego, co mi później powiedziała. Czy to była Zielen?

Skinąłem głową.

— Zrobiłeś to, żeby skłócić mnie z Favą.

— Niczego nie zrobiłem. A już na pewno nie świadomie.

— Ale przecież byłeś tam, prawda? Takie jest właśnie to, co nazywasz dżunglą? Czy tak wygląda i pachnie dżungla?

— Owszem. Chociaż wcześniej o tym nie mówiłem.

— Wczoraj przy kolacji wszedłeś w historię Favy i wszystko pozmieniałeś. Czy to zdarzyło się naprawdę?

— Tak mi się wydaje. Ale też nie zrobiłem tego celowo.

— Jedwab dobry!

Mora przez dobre pół minuty patrzyła na mnie podejrzliwie, oparłszy łokcie na kolanach, a podbródek na złożonych

dłoniach.

— Chodziło mi o historię Favy — powiedziała w końcu. — Czy ona naprawdę się wydarzyła? Próbowalesz wykorzystać inhume, żeby oszukać swojego syna?

— Nie.

— To wszystko bujda?

Pokiwałem głową.

— Mówiłem, że nie wiem, jak to zrobiłem, jeśli to rzeczywiście ja. Jak się domyślasz, dużo o tym myślałem. Chciałabyś usłyszeć moją teorię? Jeśli nią z kimś się podzielę, może i mnie samemu trochę się wyklaruje w głowie.

— Mów.

— Przypuśćmy, że diuk Rigoglio zbudowałby drogę do granicy, żeby ułatwić swojej ordzie marsz na Blanko. Czy żołnierze z Blanko nie mogliby z niej skorzystać, by rozpocząć oblężenie Soldo?

— Obawiam się, że nie rozumiem.

— Ja też nie, ale się staram. Widziałaś kiedyś martwego inhumiego? Takiego, który wcześniej udawał człowieka?

— Niedawno sam powiedziałaś, że nigdy nie widziałam żadnego z nich. Miałaś rację. Nadal masz.

— A ja widziałem. Widziałem ich więcej niż bym chciał.

To były magiczne słowa, chociaż wypowiadając je, nie zdawałem sobie sprawy z ich mocy. W dzieciństwie słyszałem te same bajki, którymi karmi się wszystkie dzieci, i wyobrażałem sobie, że jeśli tylko przypadkiem znajdę właściwe słowa, w miejscu, gdzie stoi dom sąsiadów, zakwitnie ogród, cudowny i tajemniczy; drzewa będą w nim rodzić szmaragdy, które dojrzewając, zmieniają się w diamenty, a w fontannach będzie płynąć mleko i wino. Koniec końców zrozumiałem, że jedynymi

duchami spełniającymi życzenia ludzi są nieśmiertelni bogowie, a magiczne słowa, których szukałem, to nic innego jak modlitwy. Ta świadomość zawsze wydawała mi się ekscytująca — i do dziś nic się w tym względzie nie zmieniło. Kiedy jednak opowiadałem o moim odkryciu przyjaciółom, ci uśmiechali się z politowaniem i odwracali do mnie plecami.

Teraz zaś — daleko od owych przyjaciół, od mężczyzn i kobiet, których już nigdy nie zobaczę — napatoczyłem się na słowa, które emanowały prawdziwą magią. Wymówiwszy je, natychmiast znalazłem się z powrotem w dżungli na Zieleni. Przykucnąłem obok młodego mężczyzny, który przyłączył się do nas i walczył razem z nami, a teraz krwawił i wił się z bólu w cieniu łukowato wygiętych korzeni.

— Powiedz mi jeszcze raz, dlaczego nienawidzicie inhumich — poprosił, zupełnie jakbyśmy siedzieli spokojnie w mojej sypialni w domu Inclito i mieli mnóstwo czasu na rozmowę.

— Nigdy ci o tym nie mówiłem. Właściwie w ogóle się do ciebie nie odzywałem. Pierwszy raz z tobą rozmawiam.

— Kiedy odejdę, poznasz, kim jestem.

— Piją naszą krew. To mało?

— Mało.

Jego twarz była maską bólu.

— Incanto? — Mora była wyraźnie zaniepokojona.

— Słucham?

— Dobrze się czujesz?

— Dobrze. Widzisz, jego matka... matka Kraita... była tą jedyną. Byliśmy biedni jak... Ty przez całe swoje krótkie życie byłaś bogata. Nie możesz nawet sobie wyobrazić naszej biedy.

— Mogłabym spróbować.

— Po wylądowaniu dzieliliśmy się wszystkim: my, mieszkańcy Starego Vironu, i nowi, śpiący, ludzie, którzy przespali trzysta lat w przepastnych trzewiach „Whorla”. Słyszałaś o nich? Mamelta była jedną z nich. Manipulowano ich wspomnieniami. Mieli mętlik w głowach.

Mora z pewnością uznała mnie za jednego z pomylnych śpiących, o co nie mam do niej pretensji. W każdym razie grzecznie skinęła głową.

— Dzieliliśmy się narzędziami, nasionami, zamrożonymi embrionami, chociaż nie było ich dużo. Ludzkich embrionów nie mieliśmy w ogóle. Zniknęły. Ludzie z nich wyhodowani mieli przejawiać naturalne talenty, nieprzewidywalne i niemożliwe do poskromienia zdolności, które mogły nam się przydać. Ale zabrali je ci, którzy złamali pieczęcie. Zabrali i sprzedali. Dawno temu.

— Nie zarżnie — poradził mi Oreb. — Jedwab dobry.

— Jedwab, jeden z ludzi zrodzonych z embrionów, był naszym przywódcą. Na tym właśnie polegał jego talent. Ludzie ufali mu, szli za nim, a on starał się... Starałem się jak mogłem, Moro, nie sprowadzić ich na manowce, nie zdradzić ich. Ale Jedwab został z Hiacyntem we „Whorlu”, co omal nas nie zniszczyło.

— Rozumiem — powiedziała Mora, chociaż byłem pewien, że nic nie rozumie.

— Nasze kobiety miały rodzić zwierzęta, tak jak wnuczka maytere Marmur: konie, owce, krowy, osły. Pokrzywa nie mogła tego zrobić, bo nosiła już w łonie Ściągnę, oddała więc nasze zwierzę kobiecie, którą znała całe życie. Ta kobieta obiecała, że odda nam zwierzę, kiedy je urodzi, ale potem nie chciała tego zrobić. Twierdziła, że urodziło się martwe. Często się tak

zdarzało, ale nie tym razem. Ukrywała je przed nami bardzo długo, aż pomyślała, że już się nie zorientujemy. Poza tym to było takie drobne, długoszyje zwierzątko, jak wielbłąd bez garbu. Nie nadawało się — do pług i padło, kiedy ta kobieta i mężczyzna, z którym żyła, próbowali zmusić je do orki. Byliśmy z Pokrzywą biedni, tacy biedni, a wszystko przez to, że Jedwab nie przyleciał z nami. Sprzedaliśmy część ziemi, którą nam dali, i kupiliśmy osła, ale zdechł. W końcu sprzedaliśmy całą ziemię. Pieniądze poszły na jedzenie i na mleko, kiedy Pokrzywie skończył się pokarm. Mieszkaliśmy w namiocie na Jaszczurce, w małym namiociku, który zrobiłem ze skór upolowanych przeze mnie kozic. Wtedy zjawiała się matka Kraita. Ściągnę omal nie przypłacił jej wizyty życiem. Mój syn miał na imię Krait. Mówiłem ci o tym?

Biedna Mora pokręciła głową.

— Mówiłeś, że nazywał się Ściągnę.

— Tak... Tak właśnie się nazywał. A kiedy umierał, kiedy Krait umierał w dżungli, iluzja trzymała się najdłużej. Chyba zawsze tak jest. Iluzja człowieczeństwa. Widzisz, to cecha duchowa, więc w pewnej mierze nieśmiertelna. Duch jest tchnieniem, Moro.

Znów niepewnie skinęła głową. Nie umiałbym powiedzieć, czy rozumie wszystko, co mówię, czy nic.

— Umieją zmieniać kształt. To ich zwierzęca natura. Tak żyli i rozmnażali się do czasu, gdy Sąsiedzi przybyli, odkryli ich i sami zostali przez nich odkryci. Zwierzęca natura. Chemiczna kobieta, na przykład maytere Marmur, nosi w sobie połowę planów niezbędnych do budowy nowego chema. Chemiczny mężczyzna, taki jak Pięściak, ma drugą połowę. Wiedziałaś o

tym? Tak właśnie zaczęli budować Oliwin. Ty pewnie nigdy nie widziałaś chema.

Pokazałem jej oko, które wiozę dla maytere Marmur.

— Zwierzęca natura jest nieskomplikowana. W domu mieliśmy takie jaszczurki, które zmieniały kolor, przez co ich skóra wyglądała jak ludzka. Niektóre owady umieją upodabniać się do innych owadów, do patyków, do łbów zdechłych węży. Kiedy inhumi umiera, przypomina człowieka. Na Zieleni, w dżungli, Krait do końca przypominał młodego mężczyznę. Do samej śmierci, a nawet ciut dłużej. Dopiero kiedy było za późno, ujrzałem go w takiej postaci, jaką znałem ze słupa.

Nad biurkiem wisiało lustro. Stałem przed nim. Cały się trząsałem.

— Widzisz tę twarz, Moro? Oczywiście, że widzisz. To jedyna twarz, jaką możesz dojrzeć. Ale ona nie należy do mnie. Chodź, spójrz.

— Nie chcę!

— Biedna dziewczeczka! — Oreb podfrunął do niej. Na pewno by ją pocieszył, gdyby tylko umiał.

— Wyobraź sobie, że Fava umiera, a ty siedzisz przy jej łożu śmierci, tak jak ja siedziałem przy umierającym Kraicie. Zostałem z nim, bo walczył jak jeden z nas. Sam byłem ranny, próbowałem więc przekonać innych, żeby go ponieśli. Nie posłuchali mnie. Wydałem im rozkaz, ale tylko pokręcili głowami i odwrócili się ode mnie. Wszyscy, nawet Ścięgno. Mnie też nie zgodzili się nieść. Zostawili mnie, tak jak przedtem zostawili jego. Zmusiłem się, żeby wstać i do niego wrócić. Usłyszałaś ostatnie słowa Fawy, tak jak ja słyszałem słowa Kraita. Może zdradziłaby ci tajemnicę, ten skrywany skrzętnie sekret, który tak bardzo obawiają się przed nami odsłonić.

Słyszałaś w jej krtani grzechotkę Hieraxa, grzechotkę, której zawistnie strzegł. Nie pozwalał się nią bawić młodszej siostrze. A sekundę albo dwie później wyzionęłaby ducha. Rozumiesz mnie, Moro? Rozumiesz, co mówię?

Skinęła głową.

— A ty cały czas — mimo wszystko! — widziałaś leżące w łóżku dziecko, które znałaś jako Favę. Jej twarz skurczyłaby się, policzki pobladłyby i zapadły się, ale nadal byłaby to Fava, istota ludzka, twoja rówieśnica.

— Zanim odeszła, wyglądała znacznie starzej — zauważyła Mora. — Jak babcia.

— To przez to, że często karmiła się krwią twojej babki, kiedy ta spała. Niemądrzy ludzie myślą, że znaleźliby ślady ukąszenia, krew na pościeli... Tymczasem ślady kłów są malutkie i białe, a ranki nie krwawią. Kły inhumich są w przekroju okrągłe. A rany zadane okrągłym narzędziem same się zasklepiają, jeśli tylko nie są zbyt duże. Poza tym przypuszczam, że Fava była dość sprytna, by kąsać twoją babkę w takie miejsce, żeby ran nie było widać: na przykład w plecy. Albo w tylną stronę ud. Widziałaś ją umierającą. Wyglądałaby tak samo jak zwykle. Potem zamrugałabyś, otarła łzę, odwróciła na chwilę wzrok — a kiedy znów byś na nią spojrzała, zobaczyłabyś stwora, który w niczym nie przypomina człowieka, potwora udającego małą dziewczynkę. Ujrzałabyś pokrytą łuskami twarz, umalowaną i upudrowaną; poznałabyś, że zamiast włosów ma perukę. W okolicach Nowego Vironu farmerzy wystawiają na polach słomiane kukły, które mają odstraszać ptaki. Tutaj też tak robicie?

Mora jeszcze raz skinęła głową.

— Czy zdarzyło ci się zobaczyć taką kukłę z daleka, na przejażdżce, i wziąć ją za żywego człowieka?

— Rozumiem, o co ci chodzi, ale wciąż nie mogę pojąć, jak udało ci się przenieść nas przed śniadaniem na Zieleń.

— Iluzja była bardzo silna. Kiedy patrzyłem na Favę, widziałem dziewczynkę, chociaż znałem prawdę. Fava narzuciła mi swoją rzeczywistość, wtłoczyła mi ją do głowy, tak jak diuk Rigoglio próbuje narzucić Blanko obowiązujący w jego mieście system rządów. Mój umysł podchwycił więź, którą Fava połączyła całą naszą czwórkę, i nałożył na nią własną wizję rzeczywistości. Moją wizję. Przy trakcie rozbrzmiewały fanfary i trąbki, słyhać było chrzęst i tupot maszerujących strzelców. Wszystko wyglądało dokładnie tak, jak wymyśliła to sobie Duka Fava. Tylko to nie byli jej ludzie.

— Chyba rozumiem...

— Mam nadzieję. Nie sądzę, żeby udało mi się to lepiej wytłumaczyć.

— Mogę cię spytać o ofiarę? Co zobaczyłeś w trzewiach byka?

— Naturalnie, że możesz. Wątpię jednak, żebym mógł powiedzieć ci coś więcej niż przedtem.

— Powiedziałeś, że jeden z nich nigdzie nie pojedzie. Czy to znaczy, że tylko jeden list zostanie wysłany? Czy...

— Chyba tak.

— Czy że jeden z posłańców zostanie u nas?

— To dobre pytanie.

Zgubiłem się na chwilę, próbując przypomnieć sobie, jakie dokładnie wskazówki wyczytałem z wnętrzości byka.

— Widziałeś, czy listy zostaną doręczone?

— Nic nie wiem o listach. — Pokręciłem głową. — Rzadko zdarza się, by augur wywróżył przyszłość przedmiotu

nieożywionego. Z ludźmi jest inaczej. Widziałem znaki, które, jak uznałem, reprezentowały posłańców: widziałem ciernistą gałązkę, którą zinterpretowałem jako Rimando, zamkniętą pod kopułą, którą odczytałem jako symbol Eco. Pojedyncza linia łączyła ten obraz z literą „O”, oznaczającą, jak mniemam, Olmo.

— To Eco ma jechać do Olmo. Rimando ma list do Novella Citta. Czy to znaczy, że dziś w nocy coś go wystraszy? Tak bardzo, że rano będzie bał się wyruszyć?

— Tego nie wiem. Jeśli pytasz, czy widziałem coś takiego w trzewiach ofiary, to odpowiedź brzmi: nie. A co ty o tym sądzisz? Rozmawiałaś z nim na osobności, jesteś już praktycznie dorosłą kobietą... Jak go oceniasz?

— Wątpię, żeby stchórzył. Mówił, że nic mu po drodze nie grozi, że czeka go po prostu długa, nużąca przejażdżka. Chciał, żebym zasugerowała ojcu, by zostawił mu konia jako zapłatę.

— Rozumiem. Zrobisz to?

— Raczej nie. Dziwisz mi się, że rozmawiałam z Rimando w cztery oczy. Ty też chciałeś się spotkać z Tordą na osobności.

— Nie sugeruję bynajmniej, że w waszej rozmowie było coś niewłaściwego. Stwierdziłem tylko fakt. Liczyłem na to, że lepiej go poznałaś niż ja.

— Poinstruowałaś ją, jak ma się zachowywać przy składaniu ofiary. Co jeszcze jej powiedziałaś?

— Dobra dziewczeczka — oznajmił Oreb. — Ptak słyszy.

Mora się uśmiechnęła.

— Chyba chodzi mu o to, że powinienem powtórzyć ci wszystko, co powiedziałem Tordzie. Pewnie ma rację. Mam jednak nadzieję, że rozumiesz, iż nie mogę ci powtórzyć tego, co sam od niej usłyszałem.

— Zgoda.

Westchnąłem i rozparłem się wygodnie na krześle. Zrobiło mi się przykro na myśl, że łącząca mnie z Morą nić przyjaźni musi zostać zerwana.

— Można by powiedzieć, że działałam na twoją szkodę.

— Chcesz, żeby papa się z nią ożenił, tak?

— Jeśli on też tego chce... Tak.

— Wtedy nie odziedziczę farmy. Nie będę bogatą panią tego domu. Wiem, że twoim zdaniem już teraz jestem zamożna, ale nic z tego nie wynika.

— To ty tak uważasz.

— Bo tak jest! Nie chodzi o to, że jestem największa w klasie. Życie się na tym nie kończy.

— Zdaję sobie z tego sprawę.

— Wiesz, czego się boję? Co mnie naprawdę przeraża? Chciałabym powiedzieć o czymś, czego bałam się od dziecka, ale to nie byłaby prawda. Wiesz, co napawało mnie największym lękiem przez ostatni rok?

— Na pewno nie Fava. I nie wojna. Boisz się, że zjawi się więcej inhumich? Nie... — Pokręciłem głową. — Nie wiem.

— Boję się, że poznam jakiegoś mężczyznę, pomyślę, że mnie kocha, a kiedy się pobierzemy, okaże się, że zakochał się w tej farmie i w wizji bogactwa, jakie na niego spłynę, kiedy papa pewnego dnia umrze. — Jej dłonie (ma duże dłonie jak na dziewczynę w jej wieku) zacisnęły się na udach. — Dziś wieczorem widziałam, jak to się zaczyna. Pierwszy raz. Ale ja wiem, wiem...

Dwie łzy spłynęły z jej głęboko osadzonych oczu na szerokie policzki. Podeszedłem do niej, przykucnąłem i objąłem ją ramieniem.

— Wiem, że to się będzie ciągnęło bez końca... — Podniosła głowę, spojrzała na mnie zapalczywie jak pisklę jastrzębia. — Zabiję go! Obiecuję ci, co zechcesz, a potem i tak go zabiję. Co powiedziałaś Tordzie?

— To samo, co powiedziała by jej każdy człowiek na moim miejscu. — Wstałem i wróciłem na solidne, obite skórą krzesło, na którym teraz siedzę i piszę. — Ze moim zdaniem kocha twojego ojca, a on kocha ją. Że ponurą miną i nastrojem nie zdobędzie jego serca, tak jak żądanie, żeby się z nią ożenił, nie wymusiło na nim ożenku. Że gdyby rozpogodziła się, zaczęła częściej uśmiechać i o nic go nie prosiła, wiele by jej dał — może nawet dałby jej to, czego najbardziej pragnie.

— Mnie też by to pomogło?

Wzruszyłem ramionami.

— Może. Gdybyś znalazła odpowiedniego mężczyznę i miała okazję dłużej z nim przebywać... Tordzie moje rady też mogą się nie przydać. A jeśli mężczyzna będzie niewłaściwy, nie pomogą żadnej kobiecie.

— Pójdę już — powiedziała zamyślona Mora. — Powinno się przespać, ale nie zasnę łatwo bez Favy.

— Na pewno powinnaś iść spać, jeśli chcesz wstać o świcie i pożegnać posłańca.

— Będzie tylko jeden posłaniec?

— Tak mi się wydaje.

— A mnie nie. Ale i tak powinnam się zbierać. Kiedy byłeś z żoną i... z synkiem, prawda? Kiedy byliście na tej... Jak ją nazwałeś?

— Pewnie powiedziałem „Jaszczurka”. To wyspa, niedaleko od wybrzeża.

— Polowałeś tam na kozice?

— Tak. Łowiłem też ryby.

— Właśnie. Wolałabym mieszkać na takiej wyspie z mężczyzną, który mnie kocha, w namiocie ze skór, niż żyć tutaj sama albo z człowiekiem, któremu jestem obojętna. Dlaczego się uśmiechasz?

— Bo cztery dni łamałem sobie głowę nad tym, kogo mi z ojcem przypominacie, a teraz już wiem. Wiedziałem... A właściwie miałem wrażenie, że już się kiedyś spotkaliśmy. Ale mniejsza z tym, imiona tych ludzi i tak nic by ci nie powiedziały.

— Czy to byli dobrzy ludzie?

— Bardzo dobrzy. — Mimowolnie ściszyłem głos i ze zdumieniem słuchałem swoich dalszych słów. — Ludzie zawsze proszą mnie o przepowiednie, Moro. Zazwyczaj odpowiadam, że nie umiem przewidzieć przyszłości, bo rzeczywiście rzadko mi się udaje. Próbuję, jak sama widziałaś, ale moje proroctwa są niepewne, tak jak przepowiednia dotycząca Eco i Rimando.

Mora wstała i pokiwała głową.

— Jednak czasem, rzadko bo rzadko, ale jednak, udaje mi się naprawdę zajrzeć w przyszłość. A wtedy, choć, powtarzam, chwile te należą do rzadkości, ludzie nie chcą mi wierzyć. Czy ty mi uwierzysz, jeśli przysięgnę, że powiem ci szczerą prawdę? Prawdę o przyszłości?

— Jeśli tylko zdołam...

— Właśnie. Jeśli zdołasz. Dorastając, przyjęłaś wiele rzeczy za pewne i przesądzone, Moro. Niesłusznie. Mówiłaś przed chwilą... Proszę, nie płacz, to nie ma sensu. Mówiłaś, że pierwszy raz zobaczyłaś, jak to będzie być zwierzyną dla łowców posagów.

— Pytał, ile m-m-mam lat. — Jej głos był całkowicie wyprany z emocji, dopóki się nie załamał. — Powiedziałam, że piętnaście,

bo chciałam sprawdzić, czy... czy... — Przygryzła wargę. Uspokoila się trochę. — Chciałam sprawdzić, czy mi uwierzy. Uwierzył. W Blanco trzeba mieć szesnaście lat, żeby wyjść za mąż. Czy tam, skąd pochodzisz, jest tak samo?

— Pewnie nie. Nie jestem pewien, ale wątpię, by w ogóle było jakieś ograniczenie.

— W każdym razie w Blanco jest to szesnaście lat. Powiedziałam, że mam piętnaście, i czekałam, co będzie dalej. Spojrzał na mnie, potem spuścił wzrok; widziałam, jak obraca moją odpowiedź w myślach. Zapytał, czy mam matkę, ile mam rodzeństwa, a z każdą moją odpowiedzią było coraz gorzej.

— Wiem, co czujesz. Dzisiaj też zobaczyłem coś po raz pierwszy w życiu. Nie ja jeden zresztą. Myślę, że nikt przedtem tego nie widział. — Przerwałem na chwilę, próbując zebrać myśli. — Kiedy chłopiec staje się mężczyzną, Moro, nadchodzi taka chwila, jedna jedyna chwila, w której chłopiec bezpowrotnie znika. Zanim jednak ta chwila nastanie, jest wiele takich momentów, w których zza chłopca wygląda mężczyzna. Ten, który czeka, by zająć jego miejsce.

— Nie jestem mężczyzną, chociaż niektórzy w akademii tak mówią. Chłopcem też zresztą nie.

— Wiem o tym. Tym bardziej się zdziwiłem. Na chłopcach trochę się znam, nie sądziłem natomiast, że ta sama prawda w podobnym stopniu dotyczy dziewcząt. Kiedy ta przemiana dokonywała się na moich oczach, byłem tak pochłonięty rozpoznawaniem kobiety, którą się staniesz (a rozpoznałem ją na pierwszy rzut oka), że przez moment w ogóle nie myślałem o implikacjach tego faktu. Mówiłaś przed chwilą, że chciałabyś znaleźć mężczyznę, który cię pokocha.

— Może to niemożliwe. — Znow upodobniła się do małego drapieżnego ptaka. — Ale biorę na świadków wszystkich bogów whorla, że spróbuję!

— Znajdziesz wielu takich mężczyzn — odparłem. — Bez większego wysiłku. Musisz jednak bardzo, bardzo uważać, żeby znaleźć takiego, którego i ty będziesz w stanie pokochać.

— Człowiek idzie — mruknął Oreb.

— To twój ojciec — powiedziałem do Mory. — Otworzysz mu?

— Skąd wiesz, że...

— Poznają ten krok.

Inclito zapukał do drzwi.

— I to pukanie. Wejdz, Inclito. Otwarte.

Wszedł — i zdziwił się na widok córki.

— Po odejściu Favy Mora czuje się trochę samotna — wyjaśniłem. — Chciała ze mną porozmawiać, o tym i o innych sprawach. Zaczyna rozumieć, tak jak i ty, że jej dzieciństwo dobiega końca. Martwi się, co ją czeka w życiu. To normalne, wszystkie młode kobiety mają takie rozterki. Próbowałem jej pomóc, choć doprawdy niewiele mogę.

— Twoja pomoc byłaby bezcenna, gdybym potrafiła ci uwierzyć — odparła Mora. — Dobranoc, Incanto! Dobranoc, papo! — Posłała nam całusy i wybiegła z pokoju, zanim zdążyłem pomyśleć o tym, jakim gestem mógłbym jej odpowiedzieć.

Inclito zamknął za nią drzwi.

— Nie ma chyba kłopotów z jakimś chłopcem, co?

Pokręciłem głową.

— Jej matka okręciła sobie wokół palca z tuzin mężczyzn. Nikt nigdy nie wiedział, dlaczego wybrała właśnie mnie. — Inclito usiadł na łóżku. — Nie była piękną kobietą, ale...

— Gdybym był lepiej wychowany, powiedziałbym, że się mylisz. Przynajmniej po części.

— Ale nie jesteś aż tak dobrze wychowany?

— Nie.

— Ja też nie. Mama próbowała mnie wychowywać, jak byłem mały, ale to strata czasu. No dobrze, może nie tuzin. Siedmiu, razem ze mną. Nie, dziewięciu.

— Nie o to mi chodziło. Mogło was być tuzin, mogło być dwudziestu. Skłamałeś mówiąc, że nie była piękną kobietą.

— Poznałeś po mojej minie, co? Myślałem, że jestem lepszym kłamcą. Ale masz rację, była piękna i tylko ja się na jej urodzie poznałem.

— Jesteś całkiem niezły. Twarz, która cię zdradziła, nie należy do ciebie.

— Widziałeś ją? Widziałeś moją Zittę? Zanim odleciałeś ze starego whorla?

— Widziałem ją dziś wieczorem. Z czym przychodzisz?

Podszedłem do uchylonego okna i otworzyłem je na oścież.

— Chodzi mi o szpiega. To była Fava?

— Tak.

— Powinno się ją powiesić.

— Mnie powieś. Pomogłem jej uciec.

Pokręcił głową, większą niż u większości ludzi, osadzoną na nieprzeciętnie grubej szyi.

— To zwykły szprot. Nie chciałbym widzieć, jak ją wieszają. Nie powiem, że dobrze zrobiłeś, ale cieszę się, że stało się to, co się stało.

— Ja również.

— Więc diuk ruszył? Tak mówiłeś.

— Wcale nie. Powiedziałem, że tak mi się wydaje. Dodałem, że jeśli jeszcze nie wyruszył, uczyni to najdalej jutro. Dokładniej nie umiem tego przewidzieć.

— Musimy mu wyjść naprzeciw na wzgórze. — Inclito wstał. Roztargnionym gestem wytarł dłonie (dwa razy większe niż ręce jego córki) o koszulę. — Jeśli zejdziesz na niziny i pozwoli konnicy rozwinąć szyki, będzie po nas. Nigdy nie byłeś żołnierzem? Tak mi kiedyś powiedziałaś... Ale musiałaś brać udział w walkach, bo dałaś się postrzelić. — Wskazał moją ranę, ukrytą przed jego wzrokiem pod togą. — W bok. Kula przeszła na wylot. Rana ci nie doskwiera?

Wzruszyłem ramionami. Prawdę mówiąc — Pokrzywo, nie wolno ci nigdy przeczytać tych słów — wsłuchiwałem się w pieśń Algi, niosącą się nad falami setki mil od miejsca, w którym się znajdowałem.

— A ten człowiek z południa, tnn, jak go zwa, rajan... Ponoć całkiem nieźle radził sobie na wojnie. Drugie miasto miało więcej ludzi, tak w każdym razie twierdzi Eco. Ale rajan ich pobił. Pokonał ich rozumem i magią.

— Szczęściem, głównie.

— Aha... Też o tym słyszałaś? Przydałoby się nam takie szczęście. Diuk ma podobno sześciuset konnych.

W moich oczach musiał się odbić sceptycyzm.

— Miał u nas szpiega, tak? Ja mam swoich szpiegów u niego. To oni mówią o sześciuset konnych. Novella Citta i Olmo to potwierdzają. A wiesz, ilu ja mam jeźdźców? Staram się zebrać choć ze dwie setki. Znasz moich służących? Zabieram ich ze sobą, całą trójkę. Dosiądą koni wyprzężonych z powozu. Jeśli znajdę jeszcze paru, dobiję do dwustu.

— A tymczasem ja wysyłam twoich dwóch jeźdźców z listami.

— I bardzo dobrze. Nie mamy tych koni znowu aż tak mało, żeby w ogóle z nich nie korzystać. Założmy, że się przedrą. Jaką mamy szansę, że Olmo i Novella Citta nas poprą?

— Z pewnością umiesz to lepiej ocenić niż ja.

— Jeden do dziesięciu. Albo jeden do dwudziestu. Wystawią po stu pięćdziesięciu jeźdźców. Może po stu. Jak tylko orda diuka zejdzie ze wzgórz, łącznie ośmiuset konnych wypadnie nam na tyły.

Zauważyłem, że wysyłając listy, nie miałem nadziei na przeciągnięcie Olmo i Novella Citta na naszą stronę, choć byłby to miły efekt uboczny poselstwa. Dodałem też, że i wśród wzgórz konnica diuka może nas oskrzydlić.

— Ale tam byłoby im trudniej. Musieliby z nami walczyć. A tak będą mogli uderzyć prosto na Blanko. Widziałeś rzekę i mury. Jak długo można się tam bronić przeciw ośmiuset ludziom? W mieście zostaną same kobiety, starcy i dzieci.

Zastanowiłem się chwilę nad odpowiedzią.

— Z miesiąc? Pod dobrym dowództwem...

— Też coś! Dzień, najwyżej jeden dzień. Dwóch już nie wytrzymają. A kiedy nasi ludzie dowiedzą się, że miasto padło...

— Inclito wykonał obrazowy gest. — To są szewcy, sklepikarze, farmerzy tacy jak ja. Czy bogowie nie powiedzieli, że wygramy wojnę?

— Nie powiedzieli też, że ją przegramy.

— Wyjdziemy im na spotkanie na wzgórze i zmiażdżymy ich. Nie mamy wyboru. Na wzgórzach... — Wskazał mi krzesło. — Usiądź, drażnisz mnie. Usiądź.

Usiadłem posłusznie, on również.

— Na wzgórzach liczebność ordy ma mniejsze znaczenie niż jakość żołnierzy. Powiem ci, że moim zdaniem diuk ma lepszych ludzi, ale to my wygramy. Musimy zwyciężyć, więc zwyciężymy. Jutro wymarsz. Dziś po południu rozesłałem wici. Gdybyśmy chcieli czekać, aż wszyscy się zbiorą, zajęłoby to cały dzień, ale nie mamy tyle czasu. Wyruszymy, gdy tylko szron zniknie z traw.

— Chcesz, żebym pojechał z wami?

Inclito uniósł brew.

— To nie twoja wojna.

— Nie, i wiem, że specjalnie ci się nie przydam. Ba, mogę wręcz okazać się zawadą. Wolę jednak jechać z wami i zobaczyć bitwę, niż na własną rękę przedzierać się na wybrzeże, w zimie i w wojennym chaosie.

— Pomyślałem, że mógłbyś zostać i zaopiekować się mamą i Morą.

— Tak zrobię, jeśli tego właśnie chcesz. Mogę jednak przywieźć do domu wieści o tobie, jeśli okaże się, że faktycznie zawadzam na froncie.

Teraz żałuję tych słów, ale tak właśnie powiedziałem.

Siedzę i piszę już bardzo długo, bo nie ma mowy, żebym zasnął, dopóki Alga śpiewa. Posłałem Oreba, żeby poprosił ją, by umilkła, chociaż wątpię, by mógł dolecieć tak daleko.

Z pewnością nie doleci. Nawet gdyby, biedaczysko, leciał całą noc i cały następny dzień.

Zamknąłem okno i zaciągnąłem żaluzje. Minie wiele dni, zanim Oreb wróci, jeśli w ogóle jeszcze wróci. Zamknięcie okna nie przyszło mi łatwo, choć w pokoju zrobiło się już przeraźliwie zimno. Zresztą niewiele pomogło — chociaż

prawie nie słychać teraz tętentu kopyt. Pomodłę się i położę spać, a gdybym nie mógł zasnąć, będę wspominał, jak pierwszy raz leżałem u boku Algi na niezgrabnym słupie, który własnoręcznie zbudowałem i serdecznie pokochałem. I jak leżałem w „Gronostaju” u boku Hiacynta w noc naszego ślubu.

Jakże słodkie będą te sny na jawie!

Niech Inclito odprowadzi posłańców — obu, jeśli zdoła ich przekonać do wyjazdu. Ja zaś niniejszym doprowadziłem moją relację do chwili bieżącej, a teraz zamierzam spać tak długo, jak mi pozwolą.

Wyprawa wojenna

Cały obóz śpi, ale ja boję się zasnąć. W nocy dręczyły mnie koszmary: błądziłem po dżungli na Zieleni i po upiornym mieście.

Poza tym nie czuję się zmęczony ani śpiący. Dlaczego miałyby być inaczej? Żołnierze szli pieszo — w każdym razie większość z nich — aż prawie padli ze zmęczenia, ale ja jechałem wierzchem. Wróćmy do wczorajszego ranka.

Obudziło mnie łomotanie do drzwi. Jeszcze zanim je otworzyłem — chwilę siedziałem w łóżku i ziewałem rozdzierająco — usłyszałem krzyki Inclito: — Nie ma jej! Zniknęła!

Wiedziałem, co się stało. Wiedziałem — a przynajmniej domyślałem się — co zamierza Mora, kiedy w nocy wychodziła z mojego pokoju. Upewniłem się w moich podejrzeniach, słysząc tętent kopyt jej konia. I nie kiwnąłem palcem, żeby ją zatrzymać. Nie mogłem jej tego zrobić.

Poradziłem Inclito, żeby się uspokoił, i razem wyszliśmy na dwór. Było jeszcze prawie całkiem ciemno, lekko prószył śnieg. W stajni trzech służący robili sporo zamieszania i przeszkadzali sobie nawzajem, szykując konie. Rimando tupał i klął ze złością,

Eco zaś siodłał wysokiego wałacha kasztanowej maści, który wyglądał tak, jakby mógł iść w zawody z wiatrem.

— Znajdę ją — obiecał Eco, wskakując na siodło. — Znajdę, gdziekolwiek jest, i przywiozę z powrotem.

Próbowałem mu jeszcze tłumaczyć, że gdyby nie mógł znaleźć Mory, powinien jechać do Olmo, oddać list i wznowić poszukiwania w drodze powrotnej, ale wyjechał na podwórze i dalej, na trakt, nie czekając, aż skończę.

Wkrótce osiodłano także konia Inclito — na moje oko całkiem porządnego wierzchowca, choć nie tak wspaniałego, jak rumak Eco. Inclito oparł mi dłonie na ramionach.

— Ty to musisz zrobić, Incanto. Pojedziesz do miasta i dopilnujesz wymarszu. Żołnierze mogą ruszyć równie dobrze beze mnie, jak ze mną, a ja dołączę do was na wzgórzach, gdy tylko znajdę Morę i sprowadzę ją do domu.

Potem on także odjechał, Rimando zaś zażyczył sobie, by oddano mu najlepszego z pozostałych koni. Woźnica stanowczo sprzeciwił się jego żądaniu. Wiedziałem, że w razie kłopotów odwoła się do mnie jako ostatecznej instancji. Wsparłem się na kosturze, wciąż nie do końca rozbudzony, i czekałem, aż do tego dojdzie.

Nie czekałem długo, chociaż woźnica najpierw poszukał poparcia u Perito i Sborso.

— Nie mogę tego zrobić, prawda, panie? Przecież te konie nie są moją własnością. Nie mogę chyba pozwolić, żeby ktoś ich dosiadał tylko dlatego, że...

— Znajdę córkę waszego pana i przywiozę ją do domu — powtórzył Rimando chyba po raz dziesiąty. — Na Paha, gdybym miał miecz, wszystkich bym was tu pozabijał!

Pokręciłem głową i zwróciłem się do woźnicy: — Wasz pan zostawił dom pod moją pieczęcią, Affito. Sam słyszałeś. Chcesz podać w wątpliwość jego słowa?

— Nie, panie. — Wyraźnie mu ulżyło, że znalazł się ktoś, kto weźmie na siebie całą odpowiedzialność. — Będę ci posłuszny, mistrzu Incanto. Bez dyskusji.

— To dobrze. — Odwróciłem się do dwóch pozostałych służących, spytałem, jak się nazywają, i uzyskałem od nich podobne — zapewnienia o lojalności. — Ile macie tu koni? Dobrych, kiepskich, byle jakich... Ile razem?

— Cztery, panie.

— Cztery i osła. Wiem, że macie tu osła, bo parę razy słyszałem jego ryki.

— To prawda, panie. Są jeszcze muły.

Pokiwałem głową i spojrzałem na Rimando.

— Zaliczasz się do żołnierzy z ordy Blanko? Pod nieobecność Inclito ja nią dowodzę. Rano mam zebrać ludzi i wyruszyć naprzeciw diukowi, żeby zastąpić mu drogę wśród wzgórz dzielących Blanko od Soldo. Inclito zależy na tym, żeby orda diuka nie zaczęła palić chat i pól. To chyba zrozumiałe. Jesteś inteligentnym młodym człowiekiem z dobrej rodziny, masz w sobie bojowego ducha. Możesz mi się przydać. Jeżeli będziesz mi posłuszny jak na dobrego żołnierza przystało, od razu awansuję cię na mojego zastępcę.

Przez chwilę udało mu się nie spuścić wzroku.

— Chcę odszukać dziewczynę, która zabrała mi konia.

— Wiem o tym. Jeżeli uprzesz się, żeby ją ścigać — pieszo, bo nie dam ci zabrać żadnego z naszych zwierząt — nie będę cię zatrzymywał. Nie omieszkam jednak zameldować o twojej

niesubordynacji, kiedy we czterech dotrzemy do Blanko. Inclito też się o niej dowie, kiedy do nas dołączy.

Tym razem wbił wzrok w ziemię. Wciąż jednak się wahał.

— Nie będę ci groził ani cię straszył. Wątpię, żeby ktoś chciał cię ukarać; wątpię nawet, byś na karę zasługiwał. Kiedy jednak dożyjesz moich lat, a mieszkańcy będą wspominać tych, którzy dzielnie bronili Blanko przed śmiertelnym zagrożeniem, nie będzie cię wśród bohaterów. Zaczną się pytania i szept. Nie wolałbyś, żeby twoje imię wymawiano z szacunkiem?

— Zgoda. Tak, wolałbym.

Wypiął pierś, wyprężył się na baczność i zasalutował.

Zasalutowałem mu w odpowiedzi, muskając prawą brew czubkiem kostura.

— Niektórzy nazywają mnie tu strego. Nie jestem czarownikiem, bywają jednak takie chwile, że posiadam pewną wiedzę, niedostępną innym ludziom. Teraz jedna z tych chwil nadeszła.

— Tak jest.

— Gdybym pozwolił ci pojechać za Morą, nie zdołałbyś jej sprowadzić z powrotem. W ogóle byś jej nie znalazł. Bez urazy. Wiem, że jesteś młodym, zdolnym człowiekiem, ba, wiem o tym lepiej niż ty sam. Mówię ci o tym, bo to prawda.

— Tak jest — powtórzył Rimando.

— Jej ojciec również wróci z niczym. Tak jak i Eco. Mam tylko nadzieję, że swoich prób nie przypłacą życiem.

— Jedziemy do miasta, panie? — zapytał Sborso.

— Tak, ale po śniadaniu. Trzeba też wcześniej nakarmić konie. Macie owies, czy co one tam jedzą?

Woźnica przytaknął gorliwie.

— To dobrze. Chodźcie teraz do domu. Wszyscy. Wiem, że zwykle nie siadacie z Inclito do stołu, ale dziś nie jest zwyczajny dzień. Muszę porozmawiać z kobietami, a lepiej byłoby, gdybyście i wy byli przy tej rozmowie obecni.

Wywołałem Decinę i Onorificę z kuchni, posłałem Tordeę po matkę gospodarza. Kiedy wszyscy zajęli miejsca przy nakrytym stole, wstałem.

— Mora pojechała do Novella Citta — wyjaśniłem Salice. — Zabrała konia Rimando i wymknęła się w nocy z domu. Twój syn, pani, pojechał za nią, podobnie jak drugi z posłańców. Na razie nie wiem, czy komuś z nich nie stanie się krzywda. Będę się za nich modlił i zalecam, byś i ty, pani, uczyniła tak samo. Ty także, Tordo. I wy, Onorifico i Decino.

Kucharka wytrzeszczyła na mnie oczy, pozostałe trzy kobiety niepewnie pokiwały głowami.

— Każdy z obecnych tu mężczyzn potwierdzi, że Inclito zostawił dom pod moją opieką i do czasu swojego powrotu wyznaczył mnie na dowódcę ordy Blanko. Nie mogę tu zostać, chociaż bardzo bym tego chciał. Dokładniej rzecz biorąc: żaden z nas pięciu nie może zostać. — Zwróciłem się do woźnicy: — Rimando jest moim zastępcą. Dajcie mu najlepszego konia.

Woźnica pokiwał głową. Nic nie powiedział, bo miał pełne usta.

— Inclito mówił mi, że zamierzał wcielić waszą trójkę do swojej kawalerii. Dał wam broń i resztę ekwipunku?

Perito i Sborso przytaknęli.

— W takim razie pojedziecie z nami. Będziecie pode mną służyć do powrotu waszego pana.

— Incanto, farma... — zaczęła matka gospodarza, ale głos jej zadrżał.

— Będziesz musiała się nią zająć sama, najlepiej jak potrafisz, pani. Przyda ci się ktoś do pomocy. Proponuję Torde, chociaż, naturalnie, nie musisz skorzystać z mojej rady.

Obie pokiwały głowami — Salica z wdzięcznością, Torda z lękiem.

— Nie sędzę, żeby udało się wam wysiać oziminę, ale spróbujcie. Nawet jeśli zdążycie obsiać tylko część pól. Któraś z was umie orać?

Tym razem wszystkie cztery zgodnie pokręciły głowami.

— To tak jak ja — przyznałem. — Ale może znajdzie się na którejś z okolicznych farm jakiś staruszek albo młodzik, którzy zna się na rzeczy. Mogłybyście wynająć go do orki. Sam siew nie powinien sprawić wam kłopotu.

— Zostawimy im muły? — zapytał woźnica.

Odparłem, że tak.

— W takim razie będą mogły użyć siewnika.

— Jeden muł wystarczy — powiedział Sborso, zwracając się do Tordy. — Bruna jest najlepsza. I nie wierzga, jeśli ją dobrze traktować. Wystarczy nasypać ziarna, wjechać w brzdę i pociągnąć za rączkę. To proste.

Spotkałem się z dawnymi znajomymi. A Oreb wrócił. Ten drugi fakt może być dużo bardziej znaczący, niż mi się to w pierwszej chwili wydawało. Jego nieobecność niepokoiła przywódców Blanko. Gdyby cały czas był przy mnie, chyba lepiej by mi się z nimi układało. Ale napiszę o tym później — o ile w ogóle.

Na razie powinienem zaznaczyć, że mamy nadal tę samą noc, podczas której zacząłem pisać o spotkaniu z Tordą i kobietami, które miało miejsce wczoraj rano (choć wczorajszy poranek

wydaje mi się teraz ogromnie odległy). Nie było mnie przy biurku dosłownie kilka godzin.

Wrócił jeden z patroli, które rozesłałem po rozbiciu obozu. Kiedy dowódca stwierdził, że znalazł obóz wroga, kazałem mu A usiąść przy tym tutaj małym ognisku i o wszystkim mi opowiedzieć, nie pomijając nawet najdrobniejszych szczegółów.

— Niewiele jest do opowiadania. Sami widzieliście, panie, jak tu trakt wygląda.

Pokiwałem głową.

— Im dalej na północ, tym gorzej. — Ruchem głowy wskazał kierunek. — Trakt nie nadaje się dla wozów. Tylko juczne zwierzęta przejdą.

— Jak daleko znajduje się nieprzyjaciel?

Dowódca nie odpowiedział. Przyglądał mi się, jak w zadumie skubię brodę.

— Wiem, że nie mieliście jak zmierzyć odległości — dodałem. — Ale jak długo was nie było? Cztery godziny? Pięć? I jak szybko szliście?

— Nie w tym rzecz, panie. Na moje oko przeszliśmy jakieś sześć mil w jedną stronę i sześć w drugą. Tam są takie dwa wzgórza... — Pomógł sobie gestem. — Teraz ich nie widać, ale kiedy wzejdzie Zielen, widoczność trochę się poprawi.

— Powiedzcie mi, jak wyglądają, żebym wiedział, czego się spodziewać.

— Trochę wyżej jest między nimi przełęcz, takie siodełko, ale chyba nie da się przez nie przejść. Tak mi się wydaje. Jest zawalona głazami i zarośnięta kolczastym zielskiem.

— Widziałem ją.

— Droga ją mija. — Kolejne gesty. — Najpierw biegnie tędy, a potem zakręca, o tak.

— Obchodzi wschodni pagórek z flanki, jeśli można tak powiedzieć.

— Właśnie. A potem zawraca i znów biegnie na wschód.

— Chyba rozumiem.

— Kiedy pierwszy raz dostrzegliśmy wroga, nie było jeszcze tak ciemno. Cały czas zerkałem w stronę siodełka. Z naszej strony wygląda paskudnie, ale przypuszczam, że po tamtej stronie jest jeszcze gorzej.

— I nie mogliście przestać myśleć o tym, że gdyby jednak udało nam się tamtędy przedrzeć, moglibyśmy ich zaskoczyć.

Uśmiechnął się. Kiedy w jego śniadej, brudnej twarzy błysnęły białe zęby, poczułem, że go lubię.

— Właśnie. Pytaliście, panie, jak to daleko. Na skróty na przełęcz będzie ze trzy mile, nie więcej. Moglibyśmy wysłać po dwudziestu ludzi na wzgórze. Tam nie ma drzew, tylko krzaki i kamienie. Mogliby ostrzeliwać wroga, a reszta poszłaby drogą.

Zawołałem do siebie Rimando. Wprowadziłem go w temat.

— Brzmi to nieźle — przyznał z namysłem. — Ale wolałbym jeszcze sam rzucić okiem na to siodło.

— Ja też. Poruczniku... ?

— Sierżancie, panie. Jestem sierżant Valico.

— Poruczniku Valico, ilu żołnierzy wroga widzieliście?

— Z pewnością nie całą ordę.

— To zrozumiałe. Napotkaliście straż przednią albo boczną; szkoda, że nie wiemy którą. Ilu ich było? Setka? Tysiąc?

— Naliczyłem dwadzieścia pięć ognisk, panie. Siedzieli po siedmiu, ośmiu przy ogniskach.

— Plus wartownicy — zauważył Rimando. — Musieliby być największymi durniami na całym Błękicie, żeby nie wystawić straży.

Valico pokiwał głową.

— Jeden nawet do nas strzelał. Otworzył ogień, kiedy próbowałem się podkraść bliżej. Dlatego wróciliśmy.

— I to szybko — zauważył Rimando, szczerząc zęby.

— Wcale nie. Próbowaliśmy zastawić na nich pułapkę, bo myślałem, że ktoś za nami ruszy. Ale nikt się nie pojawił.

Podejście na przełęcz okazało się dość strome. Zanim jeszcze na nią weszliśmy, doszedłem do wniosku, że nawet gdyby udało się jakoś uprzętnąć kamienie i wyciąć kolczaste zarośla, o których wspominał Valico, i tak nie przeprowadzilibyśmy tamtędy koni ani jucznych mułów. Trzeba by zbudować drogę z prawdziwego zdarzenia.

— Powinniście byli zabrać osła, panie — zauważył Rimando.

— W rzeczy samej. Zaczynam już żałować, że mieszkańcy Blanco dali mi tego konia. I że go przyjąłem.

Podał mi rękę — przyjąłem ją z wdzięcznością — i pomógł pokonać szczególnie stromy odcinek.

— Mogłem też wziąć któregoś z mułów Inclito. Tak chyba byłoby najlepiej. Jak nazywała się ta mulica? Bruna? To pewnie znaczy, że ma brunatną sierść. W każdym razie kiedy o niej mówili, pomyślałem, że byłaby w sam raz dla mnie.

— Dalej nie da się iść — zawołał gdzieś z góry Valico.

— Trzeba by tu postawić strażę — stwierdziłem. — Dwóch ludzi, co najmniej dwóch. I rozstawić ich z dala od siebie, żeby nie gadali. Zajmij się tym, Rimando, kiedy zejdziemy.

— Chodzi o to, że porucznik Valico twierdzi, że ktoś mógłby przejść górą?

— Tak.

Nogi się pode mną ugiwały, ale wsparłszy się na kosturze, wdrapałem się na ostami gład i stanąłem na nim. Udało mi się

nie stracić równowagi. Z tego miejsca widziałem prześwitującą zza zarośli tarczę Zieleni — z początku niewyraźną, jakby rozmazaną, ale z każdą chwilą jaśniejszą i coraz bardziej złowieszczą. Kiedy ją taką zobaczyłem — wciśniętą między wierzchołki dwóch wzgórz, które były jednym wzgórzem, dopóki nie przedzieliło ich zavalone kamieniami i zarośnięte zielskim łożysko potoku — w niewytłumaczalny sposób przywiodła mi na myśl muszkę igłowca. Próbowałem (tak jak teraz próbuję) trzymać się tego wyobrażenia i zapomnieć o jej dżunglach, przerażających urwiskach i bagnach, na których roi się od jadowitych gadów; o bezkresnych połaciach porośniętych trzciniami mokradeł, o wiekowych drzewach i cuchnącej zgnilizną wodzie, w której rozmnażają się inhumi.

Rimando wysforował się do przodu i pytał teraz scenicznym szeptem: — Pozwolicie, panie, że rozejrzę się, jak wysoko da się tu podejść?

Chyba skinąłem potakująco głową. Może nawet coś powiedziałem.

Minimalny ruch głowy sprawił, że kolczaste zarośla się rozstały. Po bokach nadal tworzyły nieprzebyte gąszcz, ale nad samym środkiem koryta, którym w porze deszczowej płynęła woda, Zieleń lśniła jak nefrytowy paciorek. Patrzyłem, jak Rimando robi kilka kroków w jej stronę, ostrożnie rozgarniając krzewy, które bez trudu mógł obejść bokiem, i widziałem, jak zatrzymuje się i odwraca z odrazą.

Podszedłem do niego, kilka razy zbaczając z najkrótszej drogi. Wybałuszył na mnie oczy.

— Wracaj — poleciłem mu. — Nie zapomnij przysłać tych wartowników. I pamiętaj, że od obozu wroga dzieli nas najwyżej sześć mil. Zbudź część ludzi, żeby mogli bronić reszty.

Jeśli do rozjaśnienia nie wrócę, przejmiesz dowodzenie i będziesz stał na czele ordy, dopóki mieszkańcy Blanko nie postanowią inaczej.

Odwróciłem się i wszedłem po łagodnie nachylonym stoku. Pomachałem na pożegnanie Rimando i Valico; wiedziałem, że nie zapomną widoku mojej sylwetki na tle tarczy Zieleni. W tej samej chwili usłyszałem nad głową skrzeczenie Oreba: — Jedwab? Jedwab?

Tak samo krzyczał, kiedy Jedwab zostawił nas przed wejściem do tuneli. Zamachałem do niego, ale nie mógł do mnie podlecieć w zaroślach. Dopiero kiedy podniosłem kostur, ujawszy go za koniec i wystawiwszy zakrzywiony uchwyt wysoko ponad krzewy, usiadł na nim. Ściągnąłem go do siebie na dół i zapytałem, czy znalazł Algę.

— Nie znaleźć. Nie śpiewa.

— Nie widziałeś pięknej, jednoręki kobiety o złotych włosach?

— Nie znaleźć — powtórzył smętnie. — Bardzo mokro. Ptak mokry. Nie pływa.

Najwyraźniej Alga wróciła do morza i więcej jej nie usłyszę. Chyba powinienem się z tego cieszyć, ale serce pęka mi z bólu, gdy piszę te słowa.

Nieprzyjaciel rozbił obóz na północnym stoku. Zatrzymałem się w miejscu, gdzie zarośla rzedyły, i spokojnie obserwowałem nielicznych nie pogrążonych we śnie żołnierzy. Szybko wypatrzyłem znajome twarze, najpierw jedną, potem drugą i następne. Przez chwilę próbowałem — bezskutecznie — przypisać im jakieś imiona, aż w końcu któryś z nich mnie

zobaczył. Pobłogosławiłem ich, kreśląc w powietrzu znak dodawania.

Podszedł bliżej, na tyle, na ile pozwalały zarośla, z bronią gotową do strzału.

— Rajan? To wy, panie?

— Tak. Porzuciliście służbę u Hari Mau?

Odpowiedzią było ostrożne skinienie głową.

— Zapłacił wam? Dostaliście wszystko, co się wam należało? Bo jeśli nie, to przy pierwszej sposobności wrócę z wami do Gaonu i w waszym imieniu upomnę się o resztę.

— Wypłacili mi wszystko.

Drugi żołnierz szedł już w naszym kierunku. Sprawiał wrażenie mniej podejrzliwego, chociaż broń też trzymał w pogotowiu. Było oczywiste, że dopóki sądzą, że się ich boją, nie mogą mi ufać. Wyszedłem z zarośli.

— Pamiętasz mnie, rajanie? — zapytał ten drugi. — Nazywam się Chaku.

To było gaońskie imię. Chaku nosił na głowie zawój, jak wszyscy mieszkańcy tego miasta. Odparłem, że oczywiście, pamiętam go, i zapytałem co on, mieszkaniec Gaonu, robi w takim miejscu.

— Jest nas tu wielu z Gaonu, rajanie. Kiedy walki ustały, skończyła się robota, więc postanowiliśmy przyłączyć się do tych ludzi i zarobić bitkarta albo dwa.

— Ja się nazywam Gorak — dodał pierwszy. — Przemawiałeś do nas, zanim poszliśmy w bój.

Wokół nas zbierali się coraz liczniejsi gapie.

— Twoją twarz pamiętam doskonale — odparłem. — Myślę, że i imię bym sobie przypomniał, gdybyś dał mi więcej czasu.

— Kiedyś przemówiłeś do mnie podczas inspekcji okopów, rajanie — odezwał się trzeci żołnierz. — Lało wtedy tak, jakby bogowie postanowili w jeden dzień wylać nam na głowy roczny zapas deszczu. Pamiętasz to?

Zapewniłem go, że pamiętam i nigdy nie zapomnę, i zapytałem, czy któryś z nich zna Eco.

— Nie ma go tu, rajanie — odezwał się żołnierz, który do tej pory milczał.

— Ale znasz go?

Pokiwał głową.

— Na południu służyliśmy w jednym bunkrze. To porządny człowiek.

— Teraz jest po mojej stronie. Po stronie Blanko. Sporo was tu się zebrało... — Łut szczęścia sprawił, że w tej samej chwili rozpoznałem następnego mieszkańca Gaonu, chudzielca z blizną na brodzie. — Thody! Jak się masz? Cieszę się, że cię widzę.

Jego uśmiech rozgrzał moje serce.

— Niewiele tu mamy, ale możemy cię poczęstować herbatą — zaproponował Gorak.

— I chlebem cynamonowym — dodał Chaku. — Zaraz przyniosę.

Podniosłem obie ręce — tę z kosturem i tę pustą — żeby ich uciszyć.

— Zaczekajcie, bracia. Za chwilę możecie chcieć mnie zastrzelić. Służycie w ordzie diuka?

Kilku z nich pokiwało głowami.

— W takim razie to wasz obowiązek. Nie ma sensu marnować strawy na człowieka, który ma zaraz zginąć. Kto tu

wami dowodzi? Macie swojego oficera czy też diuk przydzielił wam jednego ze swoich?

— Nasz dowódca jest z Soldo. — Gorak wskazał namiot, stojący na stoku w pewnej odległości od nas.

— To fatalnie. Szykuje się trudna przeprawa.

— Nie zabijemy cię — zapewnił mnie ten, który znał Eco.

— Posłuchaj mnie uważnie, zanim złożysz następną pochopną obietnicę. Tworzycie straż przednią?

Znowu paru skinęło głowami. Westchnąłem.

— Widzicie... Ja dowodzę ordą Blanko, która...

— Dwa dni temu pojмалиśmy ich generała — przerwał mi Chaku.

Pokiwałem głową, tak jakbym już o tym wiedział, a inny żołnierz dodał: — I jego córkę.

— Właśnie dlatego ja teraz dowodzę ordą. Byłem jego doradcą, więc kiedy przestał pełnić swoje obowiązki, cała odpowiedzialność spoczęła na moich barkach.

— Jedwab dobry — poparł mnie Oreb.

— Chciałem jutro rano roznieść was w puch. Kiedy to planowałem, nie wiedziałem jeszcze, naturalnie, kim jesteście. Teraz zas... Scyllo Przenajświętsza, co mam teraz zrobić?

— Nie walczy — zasugerował Oreb.

Chwilę później Thody wystąpił z szeregu, stanął po mojej prawej stronie i zapowiedział: — Każdy, kto by chciał skrzywdzić rajana, będzie miał najpierw ze mną do czynienia!

Żołnierze zgodnym chórem zapewnili nas, że nic nam z ich strony nie grozi.

— Ja również nie chcę was skrzywdzić. Powiem więcej: bez względu na konsekwencje nie będę z wami walczył.

Dłuższą chwilę szeptali między sobą, ja zaś miałem wrażenie, że kołyszają się przy tym jak łan pszenicy, poruszany nocną bryzą. Chaku podszedł do mnie z lewej strony. Stał przy mnie ze strzelbą gotową do strzału i wzrokiem utkwionym w towarzyszy broni.

— Nie walczy — nalegał Oreb. — Idzie Jedwab.

— Ptak ma rację — przyznałem. — Posłuchajcie, bracia. Chcę was wszystkich wynająć. Jeżeli zwróćcie diukowi żołąd i przejdziecie na naszą stronę, zapłacę wam tak samo, jak w Gaonie.

— Diuk obiecał nam po srebrnej karcie co miesiąc — zauważył głośno któryś z żołnierzy.

— Ile do tej pory od niego dostaliście?

— Nic! — odezwało się kilka głosów.

— Ale przynajmniej dobrze was karmi, co?

— Nie!

— Zamiary diuka są oczywiste: ma nadzieję zająć Blanko, zanim będzie musiał wam zapłacić. Wtedy powoła się na jakiś kruczek prawny i wypłaci wam dziesiątą część należności. Albo i mniej. Jeżeli wypłaci jedną dziesiątą, będziecie mogli się uważać za szczęściarzy.

Wielu żołnierzy pokiwało głowami.

— Nie mogę wam obiecać takiej sumy ani nawet sumy o połowę niższej, ale zapewniam was, że Blanko wypłaci całą umówioną stawkę.

— Pozwolisz, że do nich przemówię, rajanie? — spytał z szacunkiem Gorak.

— Proszę bardzo.

— Ludzie! — zawołał. — Wszyscy mnie znacie. Param się żołnierką dłużej niż większość z was. To moja piąta wojna.

Szmery i szepty ucichły.

— Ci żołnierze — Gorak wskazał Chaku i Thody'ego — staną po jego stronie, ponieważ był ich rajanem. Dla mnie nie ma to żadnego znaczenia i dla was też nie powinno mieć. Kiedyś i mnie wynajął, zapłacił mi i koniec, było po sprawie. Gdyby był zwykłym wodzem jakiegoś obcego miasta, nie robiłoby mi różnicy, czy walczę po jego stronie, czy przeciw niemu. Ale w tamtej wojnie on rzucał czary. Najprawdziwsze czary. Skuteczne czary. Nie widziałem tego, wątpię, żeby w ogóle ktoś to widział, ale rozmawiałem z jeńcami. A oni mieli na ten temat sporo do powiedzenia. Dalej chcecie z nim walczyć? Bo ja nie! — Odwrócił się do mnie, nie bacząc na narastającą wrzawę za jego plecami. — Wielu śpi, rajanie. Znacznie więcej niż nas się tu zebrało. I jest jeszcze ten oficer z Soldo. Możesz poczekać do rana?

Te słowa przywiodły mi na myśl nieprzyjemne wspomnienia z Zieleni, ale powiedziałem, że zaczekam.

— Wtedy wszyscy się naradzimy. Jeżeli przyjdziemy do was ze strzelbami przewieszonymi przez plecy, lufą w dół, nie strzelajcie, gdyż będzie to znaczyło, że przechodzimy na waszą stronę. Jeśli zaś postanowimy stanąć po stronie Soldo i walczyć przeciwko tobie, najpierw cię o tym powiadomimy.

Na tym spotkanie się skończyło. Gdybym się zgodził, z pół tuzina żołnierzy od razu by ze mną poszło, ale rozkazałem im zostać i przekonać wątpiących. Teraz zaś muszę się choć parę godzin przespać.

Wymiana jeńców

Ostatnie dwa dni były naprawdę niezwykle! Znów jestem wolny, a Inclito ponownie dowodzi orlą, co przyjąłem z ogromną ulgą. Mamy też ponad trzystu nowych najemników, którym obiecałem zapłacić. Jutro wracam do Blanco, spróbuję zebrać pieniądze. Za chwilę o wszystkim napiszę, ale najpierw muszę zaznaczyć, że w tej chwili stanowimy znaczącą siłę. Kiedy prowadziłem rozmowy z najemnikami — moimi najemnikami, powinienem powiedzieć — dołączyło do nas stu pięciu żołnierzy, którzy później od nas wyruszyli z Blanco. Następna grupa, licząca blisko dwie setki ludzi, przemaszerowała dziś rano. Właśnie wyjeżdżałem z obozu, tak że nawet jeśli dokonano rzetelnych rachunków, nie znam ich wyniku.

Po wydarzeniach, które ostatnio opisałem, najemnicy przysłali Górkę, Chaku i jeszcze dwóch na rozmowy. Spotkaliśmy się tuż po wschodzie słońca. Ich oficerowie naradzali się właśnie, co zrobić. Na razie rozbroili dowódcę i zostawili go pod strażą.

Poprosili mnie, żebym wygłosił apel do żołnierzy — nalegali tak stanowczo, że przez chwilę bałem się, iż mogliby

uprowadzić mnie siłą.

Odparłem, że chociaż jestem tymczasowym dowódcą ordy Blanko, byłoby lepiej, gdyby w pertraktacjach towarzyszyli mi dwaj wysocy rangą oficerowie. Nikt nie mógłby mi wtedy zarzucić, że przekroczyłem swoje uprawnienia. Owi dwaj oficerowie, zawczasu przeze mnie wezwani, gorąco mi przyklasnęli.

Ponieważ najemnicy nie przewidzieli takiego rozwoju wydarzeń, poszli naradzić się ze swoim dowództwem.

Wrócili wczesnym przedpołudniem, tym razem w towarzystwie oficera, niejakiego kapitana Kupusa. Kapitan jest niski, krępy i zupełnie nie przypomina żołnierza, ale sądząc po tym, co widziałem i słyszałem, ma bystry umysł. Jego ludzie, którzy darzą go ewidentnym szacunkiem, twierdzą, że jest waleczny jak hus.

Złożył nam nową propozycję: ponieważ generał Inclito, jeden z najbardziej wpływowych obywateli Blanko, znalazł się w ich niewoli, pozwolą mu uczestniczyć w rokowaniach. Jego córka również zostanie do nich dopuszczona.

Odparłem, rzecz jasna, że decyzja nie należy do mnie, i zapytałem o zdanie dwóch wybranych wcześniej oficerów (nazywają się Bello i Vivo). Odparli — zgodnie z moimi oczekiwaniami — że nie wiemy, czy Inclito nie został zastraszony. Wobec tego dobrze byłoby, gdyby wraz z Morą mógł być obecny przy rozmowach, ale oni również chcieliby w nich uczestniczyć. Po trwającej chyba z godzinę — i niezbyt twórczej — dyskusji ustaliliśmy, że udamy się do obozu najemników we trzech, bez broni i damy się przy wejściu zrewidować.

Chcąc przyspieszyć rozwój wydarzeń, pożyczyłem konie kapitanowi Kupusowi, Gorakowi i pozostałym. Chyba zrobiło to na nich spore wrażenie. Kiedy przygotowywano wierzchowce do drogi, udało mi się ukryć azoth — w miejscu, którego z oczywistych względów nie wspomnę.

Spotkanie odbyło się na odsłoniętym terenie, przy prószącym śniegu. Rozsiedliśmy się na ułożonych w krąg głazach: Kupus, czterech innych oficerów, Bello, Vivo i ja. Inclito ani Mory nie było wśród nas, natychmiast więc poprosiliśmy, by ich przyprowadzono.

Wtedy właśnie spotkała nas pierwsza tego dnia niespodzianka, bowiem oprócz Inclito dołączyła do nas nie Mora, lecz Fava. Próbowałem nie dać niczego po sobie poznać; mam nadzieję, że lepiej mi to wyszło niż Bello i Vivo. Poprosiliśmy, by przyniesiono siedzenia także dla Inclito i Fawy, którą zgodnie nazywaliśmy Morą, i nasze życzenie zostało spełnione. Pozostali najemnicy stłoczyli się wokół nas i rokowania mogły się rozpocząć.

Zaczęliśmy od zapoznania Inclito (a przy okazji także wszystkich zgromadzonych wokół nas słuchaczy, chociaż udawaliśmy, że mówimy tylko do niego) z sytuacją. Wyjaśniłem mu, że rankiem tego samego dnia, kiedy wyjechał z domu, ja zgodnie z jego poleceniem udałem się do miasta. Miałem nadzieję, że orda Blanco będzie gotowa do wymarszu.

Na miejscu zastałem tymczasem niespełna setkę ludzi, z czego ponad połowę stanowili najemnicy. Wraz z zastępcą spędziliśmy dobre dwie godziny na rozmowach z mieszkańcami miasta, ale nasze starania doprowadziły do wzmocnienia ordy zaledwie czterdziestoma dwoma nowymi

żołnierzami. Wtedy zwołaliśmy spotkanie wszystkich wpływowych mieszczan; kilku musieliśmy sprowadzić siłą. Szczegółowo przedstawiłem grożące im niebezpieczeństwo: rozproszone i nieliczne oddziały mogły łatwo zostać zdziesiątkowane i jeden po drugim zlikwidowane, nawet gdyby nieprzyjaciel miał niezbyt liczną orzę, lecz atakował każdą grupę z osobna z dużą przewagą liczebną.

Ostrzegłem ich, że wyruszamy natychmiast z tyłoma ludźmi, ilu udało się zebrać. Zamierzaliśmy wyjść naprzeciw ordzie diuka i bez względu na stosunek sił opierać się natarciu tak długo, jak to będzie możliwe. Gdyby nieprzyjaciel przeważył (a przyznałem bez ogródek, że tego się właśnie spodziewam), poradziłem mieszczanom zdać się na łaskę diuka Rigoglio, co zapewne pozwoliłoby niektórym z nich zachować domy, sklepy i farmy.

Potem sformowaliśmy szyk — łącznie mieliśmy dwudziestu jeźdźców i dziewięćdziesięciu sześciu pieszych — i wymaszerowaliśmy z miasta.

Inclito nachmurzył się i pokręcił głową.

— Podjąłeś ogromne ryzyko.

Odparłem, że i tak dość łagodnie ocenia sytuację, ale wiedział przecież równie dobrze jak ja, że żołnierz, który chce należycie wypełnić swój obowiązek, na każdym kroku podejmuje ryzyko. Miałem wrażenie, że tymi słowami trafiłem w gust naszych słuchaczy.

Fava zapytała, dlaczego nie zwolniliśmy tempa marszu, żeby pozwolić dołączyć do nas spóźnialskim.

— Szliśmy najszybciej, jak się dało. Konni ruszyli przodem jako zwiad, a przy okazji mieli zgarniać ewentualnych rekrutów z mijanych po drodze farm. Dzięki szybkiemu

pochodowi obóz rozbijaliśmy już prawie poza granicą pól uprawnych.

Bello dodał, że szliśmy bez przerwy prawie do północy, a raniem wstaliśmy razem z krótkim słońcem.

— Moi ludzie wyszli z Blanco około trzeciej po południu — wtrącił Vivo. — Dzięki temu zdołaliśmy dogonić Incanto, kiedy się teraz zatrzymał. Reszta chciała zaczekać do rana i dopiero wtedy wyruszyć. Zapewne tak właśnie zrobili.

— Drugiej nocy zatrzymaliśmy się w miejscu, w którym w tej chwili obozujemy — wyjaśniłem Inclito. — Pasterze ostrzegali nas, że nieprzyjaciel jest blisko, więc rozesłaliśmy patrole, żeby go wytropić.

Kupus odchrząknął, powiódł wzrokiem po swoich oficerach, potem spojrział na nas.

— W nocy powiedziałaś moim ludziom, że zamierzaliście nas roznieść w puch. Nie było mnie przy tym, ale tak słyszałem. Ilu miałaś wtedy żołnierzy?

— Około dwustu pięćdziesięciu — odparłem. Naprawdę tylu ich było, chociaż kiedy mówiłem o roznoszeniu wroga w puch, jeszcze o tym nie wiedziałem.

— I myślałaś, że tylu wystarczy?

— Połowa by wystarczyła.

— Jak to?

Pokręciłem głową.

— Obiecałem nie walczyć z wami, kapitanie. Wy jednak takiej przysięgi nie złożyliście.

Jeden z przysłuchujących się nam ludzi — Chaku, jak mi się wydaje — zaprotestował w tym momencie.

— Nie licząc kilku przyjaciół, których mam wśród was — przyznałem. — Sam kapitan Kupus z całą pewnością nic takiego

nie obiecywał.

— Myślicie, że ludzie, o których mówi, to jego cała orda? — wtrąciła Fava. — To błąd. Mówiłam wam przecież, że zostaliśmy z ojcem w niewoli, bo Incanto sobie tego życzył. Wczoraj w nocy mógł nas bez trudu uwolnić, gdyby tylko chciał.

Inclito spiorunował ją wzrokiem, jakby chciał ją uciszyć.

— Było was mniej niż trzystu... — Kupus postanowił wrócić do tematu. — Ilu jest was teraz? Widziałem, że żołnierzy wciąż wam przybywa.

— Około siedmiuset pieszych — odrzekł Bello.

Wątpię, by była to prawda.

Podniosłem kostur. Siedzący na nim Oreb zatrzepotał skrzydłami.

— To bez znaczenia. Przede wszystkim dopóki ja dowodzę ordą, macie pełną gwarancję bezpieczeństwa, przynajmniej z naszej strony, bo za diuka ręczyć nie mogę. Obiecałem, że was nie zaatakujemy, i dotrzymam słowa. Po drugie, takie samo niebezpieczeństwo groziłoby wam ze strony stu szesnasto ludzi, z którymi wyszedłem z Blanko, jak teraz ze strony siedmiuset. Albo w przyszłości ze strony tysiąca sześciuset czy pięciu tysięcy. Wszyscy chcielibyśmy tego uniknąć.

Kupus uniósł pytająco brwi.

— Ale służąc wam, będziemy bezpieczni, tak?

— Oczywiście, że nie. Chcemy zaatakować diuka i złupić jego miasto, chociaż zdobyczą prawdopodobnie trzeba będzie się podzielić z Olmo i Novella Citta. Część z nas, może nawet wielu, zginie; część z was również. Gdybym był chociaż w połowie tak dobrym prorokiem, za jakiego uchodzę, może umiałbym oszacować straty. Ale nie jestem i nie umiem.

Jeden z pozostałych oficerów Kupusa (imieniem Carabin) zapytał: — A potrafisz przewidzieć, czy przyjmiemy wasze srebro?

— Wolałbym o tym nie mówić.

— Potrafisz czy nie? — zainteresował się Kupus.

— Jeśli pytasz o swoją osobistą decyzję, kapitanie, to nie wiem, jaka będzie. Jeżeli zaś interesuje cię zdanie twoich żołnierzy... — Rozłożyłem ręce.

— Chyba powinniśmy przyprowadzić Sfido — zauważył jeden z poruczników, mając na myśli oficera diuka.

Zgodziłem się z nim.

Przyprowadzono aresztowanego dowódcę. Kiedy zobaczyłem, że nie rozcięli mu więzów ani nie przysunęli kamienia, na którym mógłby usiąść, zrozumiałem, że podjąłem właściwą decyzję.

— Kapitan Sfido, wyznaczony przez diuka na naszego dowódcę — wyjaśnił kapitan Kupus. — Oficjalnie jestem jego zastępcą.

Jego żołnierze parsknęli śmiechem.

— Kapitanie, ci trzej ludzie przybyli z Blanko. Ten w czarnej szacie to czarownik na usługach Inclito.

Sfido spojrzał na mnie pytająco. Skinąłem głową.

— Kiedy go poznałem, był rajanem Gaonu — ciągnął Kupus. — Tutaj nosi imię Incanto, ale w Gaonie ludzie twierdzili, że naprawdę nazywa się Jedwab.

Pokręciłem głową, Oreb zaś zakrakał donośnie: — Jedwab dobry!

Powiedziałem mu, żeby siedział cicho.

— Ci dwaj to pułkownik Vivo i pułkownik Bello, prawdopodobnie sklepikarze uzbrojeni w igłowce albo

farmerzy, tacy sami jak generał Inclito.

— Próbujecie przekupić żołnierzy, aby przeszli na waszą stronę — powiedział Sfido, zwracając się do mnie. Po brzmieniu jego głosu od razu poznałem, że będzie groźnym przeciwnikiem.

— Wcale nie — odparłem. — Próbuję ich przekonać, żeby oddali otrzymane od diuka wynagrodzenie i zaciągnęli się na służbę w Blanko. Kapitan Kupus poinformowałby cię, kapitanie, o zmianie planów, my zaś pozwolilibyśmy ci wrócić do diuka i wszystko mu wyjaśnić. Dostałbyś nawet konia.

— Na razie diuk Rigoglio nic im nie zapłacił — przyznał Sfido. — Chociaż wielu służy mu już prawie miesiąc. Jeżeli przystaną na twoją propozycję, zrezygnują z dużych pieniędzy, które zarobili i na które zasługują.

— Możesz im teraz zapłacić, kapitanie? — zainteresował się Bello.

— Nie. — Sfido pokazał mu związane ręce. — A ty?

Bello nie odpowiedział.

— Czy sugerujesz, kapitanie, że masz pieniądze przy sobie, schowane w namiocie? — spytałem.

— Nie. Zostaną przysłane z Soldo dziesiątego następnego miesiąca.

Wśród słuchaczy zapanowało poruszenie.

— Powinniśmy je przejąć, Incanto — zauważył Inclito. — Nie sprawi nam to wielkiego kłopotu.

Pokiwałem głową.

Sfido się uśmiechnął — miał ciepły, serdeczny uśmiech.

— Zaraz powiecie, że zapłacicie im za czas spędzony w służbie diuka. I jeżeli są tu dumie, którzy wam uwierzą, natychmiast przeciągniecie ich na swoją stronę.

— Nie — odparłem. — Tego nie zrobię.

— Wystarczy — stwierdził oficer, którego imienia jeszcze nie poznałem: barczysty, z sumiastym blond wąsem. — Jeżeli zostaniemy w służbie Soldo, dostaniemy obiecane przez diuka karty. Jeśli przejdziemy pod sztandar Blanko, zaczniemy od zera, i za mniejsze pieniądze. Wszyscy widzieliśmy orzędię diuka, większość z nas nie ma natomiast pojęcia, jak wygląda orda Blanko. Sam też tego nie wiem, ale z tego, co słyshałem, wynika, że diuk raczej wygra wojnę.

— Nie byłeś w Gaonie — zauważył Carabin.

— Nawet gdybym był, powiedziałbym to samo.

Dyskusja trwała jakiś czas. Gdybym chciał przytoczyć ją w całości (i gdybym ją całą pamiętał), zużyłbym cały zapas papieru; często zdarzało się, że dwie albo trzy osoby mówiły jednocześnie. W końcu wstałem, stanąłem na swoim kamieniu i uciszyłem żołnierzy.

— Zaraz zaczniecie się bić — zauważyłem.

Dwóch oficerów głośno zaoponowało.

— Posłuchajcie! Jeżeli opowiecie się po stronie diuka, obecni wśród was mieszkańcy Gaonu i ci, którzy tam walczyli, wystąpią przeciwko pozostałym. Jeżeli postanowicie przejść na stronę Blanko, prawie połowa z was będzie chciała się bić, żeby zostać przy diuku. Wszyscy, co do jednego, wiecie, że mam rację.

Czekałem, aż któryś zaprotestuje, ale rozległo się tylko skrzeczenie Oreba: — Jedwab mówi!

— Powiedziałem wcześniej, że rozniósłbym was w puch, dysponując setką ludzi. Teraz sami widzicie, że nie byłoby to trudne. Po co mi żołnierze, jeżeli z taką łatwością mogę was sprowokować do wewnętrznych sporów?

Milczeli, zawstydzeni.

— Nie chcę jednak was niszczyć. Zbyt wielu z was walczyło u mego boku, kiedy pokonaliśmy Hanów. Pozwólcie więc, że jeszcze raz przedstawię swoje racje. Obiecuję, że będę mówił krótko, a potem zamilknę i nie odezwę się nie pytany. Po pierwsze: Blanko wam zapłaci. Kapitan Sfido obiecuje wam pieniądze i wierzy, że nie kłamie, ale ja wiem, że Soldo nie ma pieniędzy. Po drugie: Blanko wygra. Wspomniałem niedawno o podziale łupów z Soldo między Blanko, Olmo i Novella Citta. Nikt z was o to nie zapytał. Nikt się nie sprzeciwił. Dawni sprzymierzeńcy diuka stoją teraz po naszej stronie.

— Opowiadałam wszystkim, że mamy poparcie Olmo i Novella Citta — wtrąciła Fava.

— Oto jak się sprawy mają — ciągnąłem. — Jestem przekonany, że każdy, kto trzeźwo oceni ofertę Blanko, przyzna, że jest niezwykle atrakcyjna.

— Jak dla mnie nie dość atrakcyjna — prychnął barczysty oficer.

— Słucha Jedwab! — nalegał Oreb. Uciszyłem go.

— Z pewnością wielu żołnierzy zgodzi się z panem, poruczniku. Ale na razie chciałbym skierować swoje słowa do tych, którzy zgadzają się ze mną.

Porucznik wstał i wyjął igłowiec. Kapitan Kupus zrobił to samo.

— Na to chyba nie możemy pozwolić — powiedział.

— Dlaczego? Chciałem im tylko powiedzieć, że nie powinni walczyć ze swoimi kompanami, którzy są także moimi towarzyszami. Najlepiej byłoby, gdybyście walczyli dla Blanko, w imię sprawiedliwości. Ale wolę, żebyście walczyli przeciw Blanko, niż występowali przeciwko sobie nawzajem. —

Zwróciłem się do Kupusa. — Kapitanie, chciałbym wam złożyć pewną propozycję. Pozwoli ona uniknąć sytuacji, w której przyjaciel zabije przyjaciela. Przybyłem tu z pułkownikami Bello i Vivo bez broni, na rozmowy. Temu nie możesz zaprzeczyć, kapitanie.

Kupus skinął głową.

— Świetnie. Chcę wymienić siebie na generała Inclito i jego córkę. Jeśli...

Barczysty porucznik z jasnym wąsem przerwał mi w pół zdania: — Wyliczając powody, które przemawiałyby za zwycięstwem twojego miasta, nie wspomniałeś ani słowem o swojej magii.

— To nie jest moje miasto, ja zaś nie władam magią, którą mógłbym wam grozić.

Fava próbowała przekrzyczeć gwar, który zapanował po tym, jak wypowiedziałem te słowa.

— Moja babka jest starą kobietą — stwierdziła. — Miała prawie pięćdziesiąt lat, kiedy przybyła na Błękit. Zna się na strego i twierdzi, że Incanto to najpotężniejszy strego, o jakim słyszała. Nie mówcie, że was nie ostrzegałam! — krzyknęła na koniec.

Kupus podszedł do mnie na tyle blisko, że mogliśmy rozmawiać prawie normalnym tonem, nie podnosząc głosu.

— Oddasz się w niewolę zamiast Inclito? — zapytał.

— Zamiast niego i jego córki. Jeżeli zostanę z wami, nie pozabijacie się nawzajem.

— Córka zostanie. — Kupus schował igłowiec, wziął od jednego z żołnierzy strzelbę i wypalił w powietrze. Wrzawa ucichła. — Przybyła tu z własnej woli, żeby uwolnić ojca. Zostanie z nami.

Na tym spotkanie się zakończyło. Na odchodnym Inclito chciał jeszcze zamienić ze mną dwa słowa na osobności, ale strażnicy nie dopuścili go do mnie.

— Posłuchaj kogoś, kto zna się na rzeczy, kapitanie — poradził Kupusowi Inclito. — To koniec. Wszyscy wkrótce wejdziecie w skład ordy Blanco. Nie wierzysz mi, kapitanie, ale nie znasz Incanto tak dobrze jak ja.

Pocałował Favę i odjechał razem z Bello i Vivo.

Do wieczora nikt nas nie pętał, dopiero potem Sfido kazał nam związać ręce. Strażnicy zabrali mi kostur i przepędzili Oreba.

Ucieczka na Zieleń

Znowu nie nadążam z opisem za wydarzeniami. Wróciłem do Blanko. Mieszkam u moich przyjaciół — Atteno, właściciela sklepu papierniczego, i jego żony. Atteno pozwolił mi napełnić ten mały kałamarz atramentem i dał mi mnóstwo papieru, więcej zapewne, niż będzie mi kiedykolwiek potrzebne.

Mam zebrać w mieście pieniądze na opłacenie naszych najemników i zaczynam odkrywać, że nie jest to wcale takie proste. Zanim jednak do tego przejdę, powinienem napisać, jak doszło do tego, że w ogóle mamy nowych najemników, chociaż wątpię, by moi przyszli czytelnicy mi uwierzyli.

Nie mieli namiotu dla mnie i Favy; w ogóle jedyny namiot w całym obozie należał do Sfido. Śnieg, który z początku wcale mi nie przeszkadzał, po zachodzie słońca stał się prawdziwą udręką, bo przemokliśmy na wylot i przemarzliśmy na kość. Skuliliśmy się pod krzakiem. Fava czerpała ciepło z mojego ciała, ja jednak nie mogłem liczyć na to, że ogrzeję się przy niej. Przez kilka godzin leżałem więc dygocąc z zimna, pilnowany przez czterech uzbrojonych strażników. Zaciskałem pod togą skostniałe palce, aż w końcu udało mi się zasnąć.

Albo obudzić.

Leżałem nie na wielu małych kamieniach, lecz na jednolitej kamiennej powierzchni — na posadzce, która wydała mi się cudownie chłodna, gdyż gorące i przesycone parą powietrze zdawało się płynąć wprost z łaźni. Przykucnął obok mnie mężczyzna z głową owiniętą kawałkiem materiału, na gaońską modłę. Potrząsnął mnie za ramię.

— Rajanie! — szepnął. — Rajanie!

Usiadłem. Wyczuwałem instynktownie, że leżąca obok mnie spocona dziewczyna jest normalną istotą ludzką, chociaż w panujących ciemnościach ledwie mogłem dostrzec twarz człowieka, który mną potrząsał.

— Nie śpię, Chaku. O co chodzi?

— Gdzie my jesteśmy, rajanie?

Nie miałem pojęcia, gdzie jesteśmy, ale przytknąłem palec do ust, żeby go uciszyć. Nie chciałem, żeby obudził Favę.

Jeden z naszych strażników stanął nad Chaku. Nazywał się Schreiner.

— Ty to zrobiłeś? — zapytał. Głos łamał mu się ze strachu.

— Co zrobiłem?

Zauważyłem, że kiedy nie znam odpowiedzi na jakieś pytanie, najlepiej jest samemu o coś zapytać.

Chaku odwrócił się do Schreiner.

— Czy ja śnię?

Strażnik milczał, ja zaś spytałem:

— Często we śnie pytasz innych o to, czy śniesz, Chaku?

— Nie, nigdy!

— Wobec tego wątpię, byś w tej chwili spał.

Drzwi otworzyły się z impetem, pchnięte przez niewolnika, i do środka wszedł niski, przystojny mężczyzna w drogich

szatach. Towarzyszyło mu trzech nagich muskularnych niewolników. Na nadgarstkach mieli żelazne obręcze, połączone łańcuchem, którym wymachiwali jak bronią. Ich pan wskazał im Chaku. Przeczuwałem, co się za chwilę wydarzy. Zerwałem się z ziemi i zasłoniłem go, rozkładając szeroko ręce.

Niewolnicy się zawahali. Największy z nich, siwiejący mężczyzna z odstającymi uszami i kanciastą szczęką, wskazał Schreinerą.

Ich pan skinął głową.

Schreiner wycelował strzelbę, ale nie zdążył strzelić, bo jeden z niewolników wytrącił mu ją z rąk. Drugi cios łańcucha spadł jak piorun i rozciągnął Schreinerą na kamiennej podłodze.

Mężczyzna w bogatych szatach rzucił się na niego i przywarł ustami do jego szyi, jakby go całował.

— Lepiej stąd zmiatajcie, patere — wyszeptał jeden z niewolników.

Chaku strzelił. Głowa władcy niewolników eksplodowała. Krew i mózg bryznęły mi w twarz z takim impetem, że ich uderzenie prawie sprawiło mi ból. Inni żołnierze, rozstawieni po całym pomieszczeniu, też otworzyli ogień. Kule z wizgiem rykoszetowały od ścian, sufitu i posadzki. Niewolnicy krzyczeli, wymachiwali rękami, a potem porwali zwłoki swojego pana i uciekli, zatrzasnąwszy za sobą żelazne drzwi.

Fava zerwała się ze snu z krzykiem.

Zdażyłem już rozpoznać miejsce, w którym się znajdowaliśmy.

— Śpię — wymamrotałem, nic nie rozumiejąc. — A oni są w moim śnie.

Chaku na szczęście mnie nie słyszał.

Sala była tak słabo oświetlona, że ledwie widziałem jej ściany, ale o ile mogłem się zorientować, tylko Fava jakoś się zmieniła — a i to nader subtelnie: zawsze przypominała rumiane dziecko o długich kasztanowych włosach i uwodzicielskim uśmiechu, które właśnie wkracza w wiek młodzieńczy.

Myśląc o niej, o tym, co się przed chwilą wydarzyło, i o pewnych innych sprawach, usiadłem na chłodnej podłodze. Palcem wskazującym prawej ręki odruchowo wodziłem po policzku, kreśląc na nim małe kręgi.

Kiedy tak siedziałem zatopiony w myślach, Schreiner, nasz strażnik, odzyskał przytomność. Ktoś obandażował mu głowę pasami materiału oddartymi z jego tuniki, a potem — ponieważ najwyraźniej nie odpowiadało mu moje towarzystwo — ktoś inny pomógł mu wstać i się oddalić. Patrzyłem na to, ale nic sobie z tego nie robiłem. Wiedziałem, że sen zaraz się skończy, tak jak poprzedni dobiegł końca, kiedy przeszkodziła nam kucharka. Wróćą problemy, które roztrząsałem, leżąc obok Favy pod ośnieżonym krzakiem. Rozważałem je bez wielkiej nadziei na powodzenie i zastanawiałem się, czy właśnie zamierzam na śmierć, ocierając jednocześnie rękawem pot z twarzy.

Chciałem zapobiec rzezi wśród najemników, a nie widziałem na to innego sposobu, niż przeciągnięcie ich wszystkich na stronę Blanko. Przy okazji zamierzałem na bieżąco łagodzić spory, których będę świadkiem.

No dobrze, musiałem ich przekonać do służby dla Blanko, ale zanosilo się na to, że nie uda mi się, dopóki upływ czasu nie wykaże fałszywości obietnic diuka, do tego zaś czasu wojna byłaby już sromotnie przegrana. Zganiłem się w duchu za

rzekomą zgodę na zgłoszoną przez Inclito propozycję przechwycenia mułów wiozących obiecane przez diuka srebro. Przytakując mu, przyznawałem niejako, że diuk faktycznie dysponuje taką sumą i że jest gotów ją wypłacić. Zależało mi na tym, by podkreślić, że we wszystkich kwestiach jesteśmy z Inclito jednomyślni, ale popełniłem błąd, którego nadal żałuję.

(Teraz, kiedy piszę te słowa, nachodzi mnie refleksja, że może Inclito miał rację, a ja się myliłem. Do dziesiątego zostały tylko trzy dni. Dobrze byłoby wysłać konnych, żeby przechwycili ładunek srebra, o ile ten w ogóle istnieje. Ja jednak nie mam tu ani jednego wartego wzmianki konia, a Inclito z pewnością sam się tym zajmie, jeśli tylko znajdzie wolną chwilę).

Jak przekonać diuka Rigoglio, żeby wycofał się z wojny? Posłałem do niego Favę z nadzieją, że jej argumenty przemówią mu do wyobraźni; napisałem listy do Olmo i Novella Citta, Ucząc na to, że posłańcy wpadną w ręce żołnierzy Soldo. Wszystko po to, żeby Rigoglio pomyślał, że nie może liczyć na swoich sprzymierzeńców, i odwołał inwazję. Najwyraźniej oba moje podstępny zawiodły, i kiedy tak siedziałem na kamieniu w gorącej sali, w której nie miałem prawa ponownie się znaleźć, nie przychodził mi do głowy żaden nowy plan.

Co gorsza, Mora była samozwańczym posłem, jednym z dwojga ludzi, których życie wystawiłem na niebezpieczeństwo, Ucząc na utrzymanie pokoju. Przyszło mi do głowy, że do tej pory z pewnością została pojmana i zgwałcona i płakała teraz w ciemnicy o wiele gorszej od tej, do której trafiłem we śnie.

Dreńczyła mnie jednak jeszcze inna, poważniejsza zagadka: jak mam wrócić do Nowego Vironu i do ciebie, Pokrzywo (jakże za tobą tęsknię!), nie porzucając moich przyjaciół na pastwę

losu? Problemy nadal mnie prześladują, a ten jest wśród nich najgorszy.

Fava usiadła obok mnie. Obejrzałem się na nią, uśmiechnąłem i zauważyłem, że mamy całą połówkę pomieszczenia tylko dla siebie.

— Pomyślałam, że przyda ci się towarzystwo — wyjaśniła z uśmiechem. — Ktoś, z kim mógłbyś porozmawiać, nawet jeśli miałabym to być ja.

— Uważasz mnie za wroga, ale ja nigdy nim nie byłem, Favo. Wtedy, w tamtych okolicznościach, nie mogłem być twoim przyjacielem, ale nigdy nie byłem wrogiem.

— Mora też tak twierdziła.

— I miała rację. Ale jeśli mamy być przyjaciółmi, powiedz mi coś: czy naprawdę jesteś taka młoda, na jaką wyglądasz?

Zawahała się, a po chwili pokręciła głową.

— Tak mi się wydawało. Jesteś starsza i niezwykle przebiegła...

Roześmiała się, słysząc moje słowa. To był dźwięczny, dziewczęcy śmiech.

— I zbyt często to ujawniasz. Naprawdę chciałaś uwolnić Inclito?

— Tak. Był dla mnie dobry, przyjął mnie pod swój dach, pozwolił mieszkać ze swoją córką i traktował nie gorzej od niej. Ja zaś skrzywdziłam jego i jego matkę. Chciałam jakoś odwdzięczyć mu się za gościnność.

Uśmiechnąłem się ponownie, starając się, by mój uśmiech nie zdradzał nadmiernej goryczy.

— Niewielu ludzi ma dość honoru, by się tak zachować.

— Nawet na moment nie dajesz mi się zwieść, prawda?

— Przeciwnie. Miałem szczerą nadzieję, że mówisz prawdę.

— Mówiłam prawdę. Przy okazji chciałam też wyrównać rachunki z diukiem Rigoglio. Założę się, że nie wierzylesz, że przekażę mu twoją wiadomość.

— Miałem nadzieję, że to zrobisz. Uważałem to za całkiem prawdopodobne.

— Zrobiłam. Kazał mnie za to aresztować i chciał mnie ściąć. Wyraziłem swoje współczucie i dodałem, że nie przewidziałem tak gwałtownej reakcji diuka.

— Myślisz, że jestem sprytna, bo ty taki jesteś. Uważasz, że każdy, kto wystąpi przeciwko tobie, też musi być cwany. Gdyby diuk był cwany, zostawiłby mnie sobie jako szpiega. Liczyłam na to, ale ludzie mówią, że jest na wpół obłąkany. Wściekł się, kiedy uznał, że przynoszę złe wieści.

Przyznałem, że chciałbym kiedyś osobiście porozmawiać z diukiem.

— Wcale byś nie chciał — odparła z przekonaniem Fava.

— Chciał cię zabić, tak? Rozumiem, że mu uciekłaś?

— A co, myślałeś, że nie dam rady? — roześmiała się. — Wsadzili mnie do takiego małego pokoiku z zakratowanym oknem, więc kiedy tylko na chwilę spuścili mnie z oczu, przecisnęłam się między kratami. Dobrze wiesz, że jeśli chcemy, umiemy dość dowolnie zmieniać kształty. Wiem, że o tym wiesz, bo wplotłeś ten wątek do mojej historii.

Pokiwałem głową.

— Wiem, że umiecie zmienić długość nóg i rozpostrzeć ręce tak, żeby zmieniły się w skrzydła.

— Potrafimy o wiele więcej. Pamiętasz, jak miałam związane ręce? Gdybym chciała, mogłam się od razu uwolnić. A wiesz, jak mnie kusilo, żeby to zrobić i zobaczyć jego minę? Umiemy nawet prześliznąć się przez szparę pod drzwiami, jeśli tylko jest

dostatecznie szeroka. Chcesz zobaczyć, jak wyciągam szyję i rozkładam kaptur? Kiedy tak robimy, zwierzęta biorą nas za większe niż w rzeczywistości.

Odparłem, że bardzo chciałbym to zobaczyć — o ile jest pewna, że nikt inny nie zwróci uwagi.

— Oni boją się na ciebie spojrzeć — zauważyła. — A kaptur zasłonię włosami. Tylko troszkę się zmienię.

Spojrzała mi prosto w oczy, podniosła głowę i wyszczerzyła zęby w uśmiechu. Nic się nie stało.

— Nie musimy się chyba martwić, że coś zobaczą — stwierdziłem.

— Nie mogę!

— Latać też nie możesz. — Zgadywałem, ale byłem prawie pewien, że mam rację. — Umiesz za to biegać i skakać. Gdyby — były tu konie, mogłabyś nawet nauczyć się jeździć wierzchem, tak jak Mora.

Wytrzeszczyła na mnie oczy.

— Co się stało?!

— Zasnąłem. Po prostu zasnąłem. Siedzimy i rozmawiamy w moim śnie. Jesteś tu taka, jaką sobie ciebie wyobrażam.

Zarzuciła mi ręce na szyję i pocałowała mnie.

Kiedy się rozdzieliliśmy, powiedziałem jej o wyznaniu, które kiedyś uczynił Krait: skarżył się, że jego życie jest koszmarem, w którym został uwięziony w ciele żywiącego się krwią gada.

— Właśnie! Doskonale go rozumiem!

— Nie wydaje mi się, ale nie mnie to oceniać. Musisz jednak zrozumieć, oboje musimy zrozumieć, że to jest najprawdziwszy koszmar. Nieważne, mój czy twój; nasze umysły wspólnie go stworzyły. Często widziałem w tobie zwyczajną dziewczynkę,

choć wiedziałem, kim naprawdę jesteś. Sama pewnie czasem tak o sobie myślisz. Dlatego w naszym wspólnym koszmarze...

Fava zerwała się na równe nogi i pobiegła przed siebie; długie włosy powiewały za nią jak proporzec. Odprowadziłem ją wzrokiem. Przypomniała mi się Mamelta biegnąca po Sali Śpiących, opętana przez dziewczynkę zamkniętą w małej, śmierdzącej sypialni i tak zagłodzoną i schorowaną, że sama nie byłaby w stanie biec. Nawet gdyby była wolna.

Po sekundzie Fava zniknęła w spowijającym komorę mroku, a po dwóch już była z powrotem. Powiedziałem, że nie może latać, ale kiedy tak do mnie pędziła, naprawdę zdawała się frunąć w powietrzu.

— Idą... — wysapała, padając bez tchu na podłogę. — Jacyś ludzie... Widzieli, jak cię całowałam. Z Soldo... — Wyciągnęła przed siebie rękę.

Spojrzałem we wskazanym kierunku.

— To kapitan Sfido i kapitan Kupus — stwierdziłem. — Jest z nimi jeszcze jakiś trzeci oficer.

— Zepter — sapnęła. — Ten co nas nie lubi.

Zepter był barczystym wąsaczem. Mruknąłem pod nosem, że w tych okolicznościach wcale nie dziwię się jego uczuciom, ale nie jestem pewien, czy Fava mnie usłyszała.

— Możemy porozmawiać, rajanie? — zawołał z pewnej odległości Sfido.

— Nie mam nic przeciwko naszej rozmowie, wolałbym jednak, by mnie pan tak nie nazywał, kapitanie.

— A jak mam się do ciebie zwracać? — Sfido, choć zbliżał się do mnie z wahaniem, i tak wysforował się przed pozostałą dwójkę.

— Mieszkańcy Blanko nazwali mnie Incanto.

Zatrzymali się i spojrzeli po sobie.

— Nazwijcie go Dervisem — zaproponowała figlarnie Fava.
— To ładne imię, nie sądzę, by miał coś przeciwko niemu.

— My... — zaczął Kupus, ale zawahał się. — Nasi ludzie... —
Odchrząknął.

— Usiądźcie — poleciała Fava. — Nie lubi, kiedy ktoś tak nad
nim stoi. — W tej chwili znajdowali się dobrych sześć, siedem
kroków od nas. — Ja zresztą też nie. I papa też. Na pewno nie
zapomni wam tego, jak trzymaliście nas na ziemi i krzyczeliście
na nas.

— Nie chcieliśmy was urazić — odparł bez zająknięcia Sfido.
— Pozwoliłem wam usiąść, żeby okazać wam szacunek.

— Kazałeś nam usiąść, bo bałeś się, że papa znowu cię
kopnie! I kopnąłby!

Wstałem z podłogi.

— Ci dzielni żołnierze na pewno nie przyszli się z nami
przekomarzać.

Wszyscy trzej pokiwali głowami, Sfido z największym
zapałem.

— Ci dzielni żołnierze nie przyszliby w ogóle, gdybym nie
pokazała im, że nie gryziesz — zauważyła Fava.

— Chcemy dobić targu — zadeklarował Kupus. — Musisz
nam zaufać...

Fava prychnęła lekceważąco.

— Nie masz powodu mi nie wierzyć. Kiedy przyszlście
pertraktować, nikt nie próbował was skrzywdzić.
Wymieniliśmy cię na jeńca, którego pojмалиśmy zgodnie z
prawem. Sam zaproponowałeś wymianę.

— Ja też przybyłam tu z własnej woli — wtrąciła Fava. — A
Incanto chciał, żebyście w zamian za niego wypuścili i papę, i

mnie.

Uciszyłem ją gestem.

— Nie wiedziałem wtedy, że możesz uciec, kiedy tylko zechcesz. Nie miało więc znaczenia, czy zostaniesz ze mną, czy odjedziesz z Inclito. Nie kłóćmy się o to. Jak brzmi wasza oferta, kapitanie?

— Ludzie twierdzą, że przeniosłeś nas tutaj dzięki magii — wtrącił Zepter. — Czy to prawda?

— Nie.

Fava tupnęła gniewnie.

— Incanto!

— Nikogo nigdzie nie przenosiłem. Mam kłamać?

— Ty... — Poczerwieniała ze złości.

— Skoro tę kwestię mamy z głowy, jak brzmi wasza propozycja? — zwróciłem się ponownie do Kupusa.

— Możesz nas przenieść z powrotem?

— Na to kamieniste, ośnieżone zbocze? Dziwię się wam. Nie lepiej zostać tutaj?

Fava, choć wściekła, zachichotała.

— To był inhumi, prawda? Ten, którego służący powalił Schreinerą?

— Tak.

— Wiesz, gdzie jesteśmy?

— Tak mi się wydaje. A pan, kapitanie? Proszę mi powiedzieć, jak nazywa się ten whorl?

Kupus pokręcił z niedowierzaniem głową.

— Chcesz powiedzieć, że naprawdę znajdujemy się na Zieleni? Nie wierzę w to. Magia, nie magia, ja w to nie wierzę.

— Oni naprawdę mają tu ludzkich służących? — zapytał po chwili Zepter. — Nie wiedziałem...

— W naszym whorlu też się tak zdarza. Jest pan najemnikiem, kapitanie?

— Poruczniku. — Zepter wypiął pierś. — Owszem, wykonuję ten zaszczytny zawód.

— I służy pan diukowi Rigoglio w zamian za srebrną kartę co miesiąc...

— Trzy karty — wtrącił Kupus. — Sierżant dostaje dwie, a porucznik trzy karty miesięcznie.

— A kapitan cztery — dopowiedziała Fava. Kupus skinął głową.

— Ile inhumi musieliby panu zapłacić, poruczniku, żeby przystał pan do nich na służbę? — zapytałem.

— Nigdy bym się na to nie zgodził!

— Twierdźcie, że jestem strego, czarownikiem. Powiedzmy, że zamienię srebro w złoto. Trzy złote karty miesięcznie, poruczniku Zepter. Czy to byłaby wystarczająca zapłata?

— Tak — przyznał Sfido. — Nawet bardziej niż wystarczająca. Nie zaprzeczaj, Zepter. Widziałem twoją minę. — Odwrócił się do mnie. — Naprawdę uważasz, że tam, skąd przybyliśmy, inhumi mają ludzkich służących?

Wzruszyłem ramionami.

— Spotkałem inhumich w mieście zwanym Pajarocu. Oczywiście wydaje mi się, że ludzie mogliby im służyć. Gdyby inhumi tego chcieli i mieli złoto... Albo karty. Albo nawet srebro.

— Szukasz pracy, Dervis? Ile chcesz? Zobaczę po powrocie, czy uda mi się zebrać stosowną sumę.

— Nie jesteś inhumą, ty paskudny szprocie — warknął Zepter. — A poza tym...

— Mora! Nazywam się Mora! To lepsze imię niż twoje. — Fava zadarła sukienkę i zaczęła tańczyć. Z początku wyglądało

to dość komicznie, ale wkrótce jej kroki nabrały wdzięku. — Spójrz, to nogi inhumy, prawda? Patrz teraz. — Zgarnęła włosy w dłoń, jakby chciała je spiąć, i wcisnęła mu w dłoń cały ich kłęb. — Peruka. Jak ją mocno pociągnąć, cała zejdzie.

Położyłem jej uspokajająco rękę na ramieniu.

— Nie mam normalnych zębów, widzisz? — Fava wyszczerzyła dwa rzędy równych, bielutkich ząbków. — To dlatego, że my nie przeżuujemy pożywienia. Kły wystarczą, żeby pić krew. Chcesz zobaczyć? — Przystawiła do ust wyprostowane palce wskazujące.

— Przyszliśmy z poważną sprawą — powiedział do mnie Kupus.

— Wiem. O co chodzi?

— My już... — Odetchnął głęboko. — Chcielibyśmy wrócić na to kamieniste zbocze, z którego zakpiłeś. — Spojrzał na Sfido i Zeptera, którzy zgodnie pokiwali głowami. — Jeśli możesz tego dokonać...

Pokręciłem przecząco głową. Fava zaśmiała się triumfalnie.

— Nie możesz.

— Nie. W każdym razie nie w tej chwili.

Sfido zrobił krok w przód.

— Ale później mogłoby ci się udać?

— Być może.

— Jak? — zaciekawiał się Zepter.

— Próbuje się ze mną targować, prawda? Nie dziwcie mi się, kiedy i ja to robię.

— Zgoda — stwierdził Kupus. — Mów.

— Jeżeli oddacie mi kostur, czyli moją własność, którą bez powodu mi odebraliście, a następnie wszyscy trzej przyznacie, że faktycznie jesteśmy na Zieleni, czyli whorlu, który dla

większości z nas zawsze był co najwyżej kolorową plamką na niebie, powiem wam, co trzeba zrobić, żebyśmy mieli szansę powrotu na Błękit.

Sfido pokiwał głową.

— Któryś z ludzi może mieć twój kij. Popytam. Jeśli chodzi o mnie, to zgodzę się, że przenieśliśmy się na Zielień, kiedy tylko ty tak powiesz. Co ty na to, rajanie?

Spojrzał mi w oczy, z wysiłkiem przełknął ślinę i pospiesznie odszedł.

— Gorąco tu — zauważył Kupus. — Nawet bardzo.

— Nam, inhumim, to odpowiada — przyznała Fava, ale kapitan udał, że jej nie słyszy.

— Ale przecież znajdujemy się we wnętrzu budynku. Jestem wystarczająco stary, żeby pamiętać whorl długiego słońca, Incanto. Tak jak ty. Nie wiem, jak było w twoim mieście, ale u nas niektóre budynki miały ogrzewanie: w piwnicy stał ogromny piec, w którym buzował ogień.

— Przypuszczam, że pałac prolokutora w Vironie mógł być podobnie ogrzewany. Za to pałac calde z pewnością nie miał tyle szczęścia. Nawet przy najgorszej słocie podłogi w pałacu prolokutora zawsze były ciepłe.

Kupus stęknął, schylił się i dotknął posadzki, na której wcześniej siedziałem. Zauważyłem, że w porównaniu z otaczającym nas powietrzem podłoga jest całkiem chłodna.

— Chcesz powiedzieć, że taki upał panuje na dworze?

— Nie.

— Dlaczego zatem upierasz się, że jesteśmy na Zieleni? — zdziwił się Zepter.

— Wcale się nie upieram. Po prostu pamiętam tę salę i wiem że znajdowała się na Zieleni. Wydaje mi się bardziej

prawdopodobne, że to my się do niej przenieśliśmy, niż że ona została przetransportowana na Błękit. A panu?

— Może to kopia... — zasugerował nieśmiało Kupus.

Usiadłem.

— Na dworze nie jest tak ciepło — przyznała Fava. — Tylko jeszcze cieplej. Znajdujemy się w piwnicy, nie rozumiecie?

— Rzeczywiście, na to wygląda — zgodził się niechętnie Kupus.

— Bo to naprawdę piwnica. Jesteśmy pod ziemią, więc i upał jest mniejszy. Na dworze musi być bardzo przyjemnie.

Zepter ukucnął przy mnie.

— Przykro mi z powodu twojego kostura, Dervisie. To był rozkaz kapitana Sfido, a on jest przedstawicielem naszego pracodawcy. My go tylko wykonaliśmy.

— Rozumiem.

Kupus ciężko i niezgrabnie opadł na podłogę obok mnie.

— Jest ci potrzebny, żeby przenieść nas z powrotem?

— W tym nam nie pomoże. Już lepsza byłaby strzelba.

— Jeśli Sfido nie... — zaczął Zepter, ale Kupus go uciszył.

— Nie chcę broni — wyjaśniłem. — Tak mi się przynajmniej wydaje. Na pewno nie chcę jej dostać na takich warunkach, jakie pan proponuje, poruczniku. Jeszcze się nie zdecydowałem. Chciałbym odzyskać kostur ze względu na Oreba. Lubi na nim siadywać.

— To twój ptak? — zdziwił się Zepter.

— Tak. — Zamknąłem oczy. — Przepędziliście go, zanim się tu znaleźliśmy. Myślę, że kostur nam to ułatwi.

Próbowałem wyobrazić sobie mój kij podróżny i Oreba, jak z głuchym stukotem ląduje na jego zakrzywionej końcówce — tak jak robił to regularnie w ostatnich dniach.

— Wraca ten oficer z Soldo — zauważyła Fava. — Ale kostura nie ma.

— Czasem, kiedy prawie się budzę... — wyszeptałem.

Chwilami ton głosu Sfido — łagodny, trochę kobiecy — przywodzi mi na myśl jednego z augurów ze scholi. Tym właśnie tonem powiedział: — Strasznie mi przykro, rajanie, ale wygląda na to, że twój kostur nie przeniósł się tu z nami. Rozmawiałem z szeregowym Gevaarem, bo to on ci go zabrał. Powiedział mi, gdzie go odłożył. Kostur chyba musiał tam zostać.

Myślałem właśnie o słońcu połyskującym na czarnych skrzydłach Oreba, o tym, jak wyglądał, kiedy wyfrunął przerażony z kaplicy Scylli na wysokim brzegu Limny — i nie odpowiedziałem.

— Gdzie go odłożył? — spytała Fava.

— A co to za różnica? — zdziwił się patero Węgorz.

— Śpi? — zabrzmiał jakiś chrapliwy, lekko okrutny głos.

— Nie — odparła dziewczyna.

— Tak — powiedziałem, ale wcale nie byłem pewien, czy mnie słyszeli.

Oreb z furkotem skrzydeł unosił się nad błękitną wodą, coraz dalej i dalej; na jego jednym skrzydle mignęła mi granatowa plamka. Przez chwilę (tylko przez chwilę) fioletowoczarny ptak, szybujący pod wąską złotą krechę długiego słońca, wydał mi się bardziej rzeczywisty niż ohydna cela na Zieleni, w której siedziałem; bardziej niż ośnieżone kolczaste krzaki, pod którymi kulilem się z Favą. Może usłyszałem skrzypienie zawiasów. Teraz, kiedy koszmar się skończył i wszyscy wróciliśmy na Błękit, nie jestem już pewien.

Na pewno jednak usłyszałem zdumiony okrzyk Favy i pełne niedowierzania słowa Kupusa: — Na bogów...

— Ptak wrócić!

Otworzyłem oczy. Oreb był wzrostu czteroletniego dziecka, jego skrzydła wyglądały jak upierzone ręce, ale przekrzywił po swoim łebek i spojrzał na mnie jednym czarnym jak smoła okiem.

— Ptak dobry?

— Tak, dobry z ciebie ptak, Orebie. Ogromnie się cieszę, że cię widzę.

— Jedwab dobry!

— Często mnie tak nazywa — wyjaśniłem Kupusowi. — Takie unię nosił chyba jego poprzedni właściciel, człowiek, którego — miałem sprowadzić do mojego miasta, Nowego Vironu. Nie udało mi się. Jedwab jest teraz jednym z aspektów Paha.

— Wygląda zupełnie inaczej... — zauważyła Fava.

— Ty też — odparłem.

— Czy to kolejny inhumi? — spytał Zepter.

— Nie, na pewno nie. Chodź no tu, Orebie. Na razie jesteś za duży, żeby siedzieć na moim kosturze jak na grzędzie. Będiesz musiał sam chodzić. Albo latać. Możesz latać?

— Ptak lata!

— Wątpię, ale wkrótce się przekonamy.

— Rybie głowy?

Pokiwałem głową i wstałem.

— Z pewnością przyda nam się coś do jedzenia, zwłaszcza że nie wiemy, jak długo przyjdzie nam tu siedzieć. Wątpię, żeby inhumi chcieli nas karmić.

— Zjadłabym coś. — Fava zatarła ręce. — Sałatkę z takim gęstym białym sosem, jaki Decina robi z jajek i oliwy. I może

plasterek wołowej pieczeni i kromkę chleba z masłem.

Wszystko, czym była, kryło się w jej uśmiechu: dziewczyna — i przebiegła, uśpiona inhuma (ubrana w sukienkę niczym lalka z malowanego drewna), która razem ze mną zamarzała pod bezlistnym, obsypanym śniegiem krzewem, najeżonym ostrymi jak sztylety, czarnymi kolcami.

— Coś dziewczeczka? — Oreb najwyraźniej nie mógł się rozeznąć w sytuacji.

— Też bym sobie podjadł — zgodziłem się z Favą — ale jeśli sądzisz, że wyczaruję te smakołyki z powietrza, to muszę sprawić ci zawód.

— Ależ nie. Byłam po prostu ciekawa, co powiesz na pieczeń. Niezbyt dużą i dobrze wypieczoną, jeśli łaska.

Zepter pokiwał głową z miną człowieka, który jedzenie traktuje bardzo poważnie.

— Doskonale cię rozumiem, Moro.

— Mam nadzieję, że i pod innymi względami będziecie się rozumieli — powiedziałem. — Dziewczyna stoi po stronie Blanko i Inclito...

— Papy? To chyba oczywiste!

— A to dopiero początek. Wy walczycie i przeciw temu miastu, i przeciw temu człowiekowi, poruczniku Zepter. W każdym razie do tej pory walczyliście. Kapitanie Sfidó, to nierozsądne z pańskiej strony tak sięgać po igłowiec.

Porucznik odwrócił się do niego z cichym warknięciem, jakie mógłby z siebie wydać wyjątkowo duży i podejrzliwy pies.

— Lojalność wobec diuka Rigoglio dobrze o panu świadczy, kapitanie, ale nie może pan zmusić żołnierzy siłą, by też byli mu wierni. — Zwróciłem się do Kupusa. — We wczorajszym spotkaniu uczestniczyło z waszej strony czterech oficerów.

Porucznik Zepter jest tu z nami, zostaje jeszcze trzech. — Gestem ogarnąłem pozostałą część pomieszczenia. — Są gdzieś tam?

— Tak.

— W takim razie proszę ich zawołać, kapitanie... Albo nie, niech pan wezwie wszystkich.

Kupus podniósł lewą rękę i zatoczył nią koło w powietrzu.

— Do mnie!

— Ponownie zwołamy spotkanie — wyjaśniłem Sfidu. — Przyszło panu do głowy, kapitanie, że ja, dziewczyna i najemnicy z kompanii kapitana Kupusa moglibyśmy wrócić na Błękit i zostawić pana tutaj?

Przez chwilę patrzył na mnie bez słowa, dopiero później pokręcił głową.

— Wszystko w swoim czasie — ciągnąłem. — Nie zna pan jeszcze Zieleni. Tylko tę komorę. Kiedy będzie pan miał za sobą noce na bagnach, w dżungli i w Mieście Inhumich, ta myśl nie da panu spokoju.

— Nie zdradzę Soldo — stwierdził stanowczo Sfidu.

— Nikt tego od pana nie żąda.

Oreb podskoczył, ale karykaturalne skrzydła nie mogły utrzymać go w powietrzu.

— Ludzie idą!

— Pomachałem im na powitanie.

— Porucznik Carabin? Nie znam imion pańskich towarzyszy. Może nas pan sobie przedstawi?

— Ja powinienem był to zrobić — wtrącił Kupus. — Ale teraz mów, Carabinie.

— Tak jest, panie kapitanie. — Carabin nosił najeżone wąsy, które upodabniały go do Zeptera, był jednak wysoki, dość

szczupły, a wąsy miał czarne. — Jeszcze nas sobie oficjalnie nie przedstawiono, rajanie. — Podał mi rękę. Uścisnąłem ją. — To porucznik Warren, a to porucznik Wight. Pochodzą z jednego miasta. Rzadko trafiają nam się oficerowie z jednego miasta.

Podaliśmy sobie ręce.

— Mogę zapytać, jak najemnik zostaje oficerem? — zainteresowałem się. — Bez urazy.

— Nasi ludzie wybierają sobie oficerów, rajanie — odparł Wight. — Sformowaliśmy pluton, a potem wybraliśmy sierżantów i porucznika.

— Czyli pana? — upewniła się Fava.

Wight skinął głową.

— Po wybraniu poruczników wybraliśmy mnie na kapitana — dodał Kupus. — Potem pierwszy pluton musiał awansować jednego z sierżantów na porucznika i wybrać nowego sierżanta.

Zanim skończył mówić, wokół zebrał się tłum żołnierzy. O to właśnie mi chodziło, kiedy zadałem to pytanie. Większość z nich zerknęła na Oreba, odczekałem więc chwilę, aż zaspokoją ciekawość. Uśmiechem i skinieniem głowy witałem każdego żołnierza w zawoju na głowie.

— Uważa! — mruknął Oreb.

Pokiwałem głową. To, co zamierzałem zrobić — a przynajmniej spróbować zrobić — było równie ryzykowne, jak siedzenie na dziobie statku z Trivigaunte i machanie nogami w powietrzu. Musiałem jednak zrozumieć, jaką mocą dysponuję w tej rzeczywistości, którą nadal brałem za senny koszmar (śniony do spółki z Favą). Mój plan miał mi to umożliwić — jak żaden inny.

— Żołnierze! — zacząłem. — Zasługujecie na wyjaśnienie, dlaczego zamierzam zrobić to, co zamierzam. Musicie też

wiedzieć, czego od was oczekuję. Wytłumaczę wam wszystko po kolei. Nie zajmę wam wiele czasu. Zaczniemy od tego, że jesteście na Zieleni, na tym zielonym whorlu, który od dziecka widywaliście na nocnym niebie. Zieleń ściąga na nas burze. Na Zieleni rozmnażają się inhum.

Odpowiedział mi szmer podnieconych głosów.

— Niektórzy z was mogą powątpiewać w to, czy naprawdę znajdujemy się na innym whorlu. Nie będę z wami dyskutował; sami się wkrótce przekonacie. Przed chwilą miałem wyjaśnić waszym oficerom, jak — moim zdaniem — możemy wrócić do naszego whorla. Obiecałem, że zrobię to, jeśli oddadzą mi mój kostur. Wam złożę tę samą propozycję: oddajcie mi kostur, a dowiedziecie się, co musimy zrobić, żeby mieć szansę — podkreślam: mieć szansę — powrotu do domu.

Stałem przez chwilę w milczeniu, skoncentrowany, i słuchałem ich rozmów. Gorak podszedł do mnie.

— Nie mamy go, rajanie.

— Czy nadal uważacie się za żołnierzy ordy diuka Soldo, sierżancie?

— Jeśli to pytanie tylko do mnie, rajanie...

— Nie, do wszystkich. Tak czy nie?

— Tak — odparł stojący przy mnie Kupus.

Ton jego głosu zdradzał nie mniejszą od mojej determinację. Przyjrzałem się jego wyrazistym, choć nieco zbyt mięsistym rysom i wzruszyłem ramionami.

— W takim razie nic wam nie powiem — stwierdziłem. — Po prostu was tu zostawię.

Zamknąłem oczy, wyciągnąłem przed siebie ręce i skoncentrowałem się całkowicie na mieczu, który dostałem od Sąsiada. Nie chodzi mi o to, że zacząłem go w myślach opisywać

słowami — nie myślałem o tym, że klinga była czarna i ostra ani o całej reszcie. Wyobraziłem sobie, jak ważę go w dłoni; przypomniałem sobie okrutne ostrze, którym zabiłem wielu inhumich i spluwacza.

Usłyszałem, jak setce ludzi naraz zapało dech w piersiach; nawet Fava stęknęła cichutko. Do mnie, pomyślałem. Do mnie! Wyciągnąłem rękę do poruczników i poczułem, jak coś twardego, zimnego i dziwnie znajomego łapie ją od wewnątrz.

Duko Rigoglio

Otworzyłem oczy. Miałem wrażenie, że miecz był ciemniejszy niż dawniej — i chyba bardziej zakrzywiony.

Sfido wpatrywał się we mnie jak urzeczony. Oczy wychodziły mu z orbit.

— Pan ma igłowiec — zauważyłem. — A pańscy żołnierze strzelby. Czyba nie będzie mi pan zazdrościł zwykłego miecza?

Odepchnąłem go na bok i czubkiem klingi zacząłem ostukiwać cętkowane kamienne płyty na podłodze. Miałem nadzieję, że któraś z nich zadudni głucho.

— Tutaj — stwierdziłem przy trzeciej. — Podnieś ją, Favo, bardzo cię proszę. Orebie, pomóż jej.

Z najwyższym trudem dźwignęli płytę, mozoląc się z nią, aż sierżant Gorak, znacznie od nich silniejszy, wspomógł ich ramieniem. Odór gnijącego mięsa natychmiast wypełnił całe pomieszczenie. Wąskie, strome i śliskie od wilgoci schody prowadziły w głąb otworu w podłodze.

— Idź pierwsza — poleciłem Favie. — Nie wiem, co spotkamy na dole, ale większe niebezpieczeństwo groziłoby ci, gdybyś została tutaj, sama.

Skinęła głową, wzdrygnęła się i z wahaniem zrobiła pierwszy krok.

— Teraz ty, Orebie. Zaopiekuj się nią.

— Ptak idzie? — zakrakał z powątpiewaniem. Jego głos nie zmienił się ani na jotę, chociaż z wyglądu Oreb przypominał niezgrabnego, upierzonego karła. Kiedy mocował się z kamienną płytą, zaparł się o nią nie tylko podobnymi do rąk skrzydłami, ale także parą dodatkowych, wijących się jak węże ramion. — Ptak ratuje?

— Tak — odparłem stanowczo. — Ptak ratuje. Chronj ją, Orebie. No, idź już.

Głowa Favy zniknęła w czeluści. Oreb ruszył w jej ślady, skrzywił się — w bardzo ludzkim grymasie — i zanurkował w ciemność. Prawie od razu rozpostarł skrzydła.

— Do zobaczenia — powiedziałem, zwracając się do żołnierzy, którzy ciekawie zaglądali w ciemność. — To trudna i niebezpieczna droga, ale niewykluczone, że koniec końców zawiedzie nas do domu. Wy zaś będziecie tu bezpieczni. Przynajmniej dopóki nie umrzecie.

— Rajanie!

Dwadzieścia par rąk wyciągnęło się w moją stronę, żeby mnie zatrzymać.

Kupus roztrącił swoich ludzi i wymierzył igłowiec prosto w moją głowę.

— Jesteś naszym więźniem.

— Nie. — Wszedłem na schody. — Więźniowie nie mają więźniów, kapitanie. A tutaj wszyscy jesteśmy więźniami, pan i ja także. Jeńcami inhumich, którzy rządzą tym whorlem. Ja jednak zamierzam im uciec. A przynajmniej spróbować ucieczki.

— Incanto! — dobiegło mnie z daleka wołanie Favy. — Tu jest jakiś człowiek! — Jej głos dudnił głucho w podziemiach.

Pomyślałem, że musiała natknąć się na ślepcę, którego pamiętałem z pobytu na Zieleni. Pokiwałem głową i ruszyłem w dół.

— Rajanie... — usłyszałem za plecami niepewny głos, po którym rozpoznałem Sfido.

Odwróciłem się. Sfido przykucnął na skraju otworu.

— Słucham, o co chodzi, kapitanie?

— Czy mogę... Czy możemy pójść z tobą?

— Nie. Ale ci ludzie mogą pójść za panem tam, dokąd pan się uda, kapitanie. Jest pan ich wodzem i dowódcą, przedstawicielem diuka Rigoglio.

Oreb przeleciał obok mnie. Jego baryłkowaty korpus i krótkie skrzydła upodabniały go do statku powietrznego w miniaturze.

— Człowiek idzie!

Zrobiłem krok w dół. Poprzedni stopień natychmiast zniknął.

— Rajanie!

To był znowu Sfido. Spojrzałem na niego.

— Chyba prosiłem pana, by mnie pan tak nie nazywał. Mogę jeszcze znieść, kiedy w ten sposób zwracają się do mnie ludzie, których znałem w Gaonie, ale kiedy pan używa tego słowa, obu nam nadaje pan fałszywą rangę.

— Ta dziura... — Z trudem powstrzymał się od dodania tytułu, którego zabroniłem mu używać. — Robi się coraz mniejsza.

Pomachałem mu na pożegnanie, życzyłem im wszystkiego najlepszego i zszedłem na dół.

— To ja, panie — zabrzmiał nowy głos. — Porucznik Valico.

Ciemność zamknęła się wokół mnie, gdy w moich uszach rozbrzmiewał jeszcze ostami rozpaczliwy krzyk Sfidu. Bojąc się, że potknę się i upadnę, otworzyłem dłoń — a tam lśniło światełko, które dostałem od Sąsiada. Kiedy się na nim skoncentrowałem, rozbliło jaśniej. Podniosłem rękę i zacząłem się rozglądać.

Kanał miał w przekroju kształt spłaszczonego owalu. Grube ściany z obsydianu były spękane i bliskie zawalenia się. Dnem kanału, sporo poniżej wąskiego chodnika, na którym stałem, płynęła wąska strużka wody. Leżał tam też rozkładający się trup, częściowo zanurzony w wodzie — cierpliwy podróżny, czekający na silniejszy nurt, którzy zabierze go ze sobą.

— Incanto! — zawołała Fava, co zaraz potwierdził Oreb: — Dzieweczka mówi!

Podniosłem światełko jeszcze wyżej i dostrzegłem stojącą w oddali Favę.

— On mówi, że my wszyscy śpimy!

— Bo to prawda, panie — powiedział Valico. — No bo... No bo tak to wyglądało.

Pokiwałem w zadumie głową.

— Czy z miejsca, w którym pan stoi, poruczniku, widać wylot kanału?

— Nie.

W takim razie jest noc, pomyślałem. Bo jeśli nie, to mamy przed sobą daleką drogę.

— Szukał nas, Incanto — poinformowała mnie Fava, kiedy się zbliżyłem. — Inclito go przysłał. To znaczy, papa.

— Naprawdę jesteście, panie, bratem generała? — spytał Valico.

— Skąd to pytanie?

— Ludzie tak gadali, kiedy on wrócił, a wy, panie, zostaliście zamiast niego. Podobno jesteście jego starszym bratem, który został z ojcem, kiedy generał z matką opuścili Grandecitta. A teraz przyszlście mu na pomoc.

Uśmiechnąłem się. Wydaje mi się, że Valico nie mógł tego widzieć.

— A co na to sam generał Inclito?

— Nic. Pułkownik Bello zapytał go o to wprost, ale generał nie chciał o tym mówić.

— Bardzo mądrze. My też będziemy mądrzy, poruczniku.

— Panie... ?

— Nie wie, jak go tu ściągnąłeś — wyjaśniła Fava. — Ja zresztą też nie, Incanto. Jak ty to robisz?

— Razem go sprowadziliśmy. Tak w każdym razie sądzę. Oboje jesteśmy niezbędni, aby doszło do przeniesienia. Chciałbym o tym z tobą porozmawiać, o tym i o Zaginionym Ludzie, ale w cztery oczy. Pamiętasz chyba, co wydarzyło się w domu Inclito niedługo przed twoim odjazdem, prawda?

— Tego też nie rozumiałam. Tak jak nie mogłam pojąć, jakim cudem znalazłeś się w mojej opowieści.

— Coś idzie! — zakrakał nam nad głowami Oreb. — Złe coś!

— Prawdopodobnie inhumi — wyjaśniłem Valico. — Widzę, że ma pan broń, poruczniku. Proszę ją przygotować do strzału. — Usłyszałem cichy szcęk odwodzonego bezpiecznika. — Nie, pomyliłem się. To nie inhumi.

— Całe szczęście — mruknęła Fava.

Mimo że chodnik był wąziuteńki, szła obok mnie i przyciskała się do mnie z całej siły, niczym szukające opieki dziecko.

— Będzie lepiej, jeśli pójdę pierwszy, panie — zaproponował Valico.

— Żebyśmy nie weszli ci na linię strzału.

— Właśnie.

Pokręciłem przecząco głową.

— Fava mówi, że nie wie pan, poruczniku, skąd się pan tu wziął. Nie jestem wcale pewien, czy ja to wiem, ale może mi pan opowie? Jak to wyglądało z pańskiego punktu widzenia?

Valico odchrząknął i zaczął mówić.

— Wysłał nas generał Inclito. Opowiedział nam — to znaczy mnie i moim ludziom — co się wydarzyło, kiedy poszliście, panie, paktować, wy i ci dwaj pułkownicy. Wyjaśnił, jak tamci wzięli przyjaciółkę jego córki za jego córkę i tak dalej. Wszystko nam powiedział.

— Z tyłu!

To wrócił Oreb.

W oddali mignął mi jakiś poruszający się kształt. W tej samej chwili huknęła strzelba Valico. Okręciłem się na pięcie, omal nie zrzucając przy tym Favy z chodnika — w samą porę, by dostrzec, jak nagie cielsko stworza o długich kłach, pomarszczone i obrzydliwe, spada na dno kanału.

Zanim przebrzmiało echo wystrzału, Valico odwrócił się do mnie. Z lufy strzelby jeszcze szedł dym.

— Będę bardziej uważał na tyły — obiecał.

— A ja będę baczniej wypatrywał drogi z przodu — zapewniłem go.

Biały kształt, który — jak mi się wydawało — widziałem przed nami, zniknął. O ile w ogóle naprawdę istniał.

— Ptak znaleźć — oznajmił z dumą Oreb.

Poprosiłem, żeby poleciał naprzód i opowiedział mi, co tam jest.

— Generał Inclito kazał nam podejść jak najbliżej — ciągnął Valico. — Sprawdzić, jak was traktują, i, gdyby się udało, uwolnić was. Wyruszyliśmy o północy. Wziąłem sześciu ludzi.

— I podeszliście na tyle blisko, na ile starczyło wam odwagi, a dalej poszedł pan sam, poruczniku. Mam rację?

— Tak jest. Mielście też rację, panie, mówiąc, że wystawią strażę.

— Pan jednak prześliznął się między wartownikami i znalazł się wśród śpiących?

— Tak. — Valico zawiesił głos. — Strażnik, którego ominąłem, też spał. To była pierwsza niespodzianka.

— A druga?

— Wszyscy pozostali też spali, tak jak on.

— Nie widzi — zameldował Oreb.

— Kiedy jest tak zimno, zawsze znajdzie się paru ludzi, którzy nie mogą zasnąć. Niektórzy wolą w ogóle nie kłaść się spać, dopóki ktoś im nie każe. A tu wszyscy najemnicy, o których mówił nam generał, spali jak zabici. Ogniska pogasły, większość już tylko dymiała.

— Rozumiem. Jak pan nas znalazł, poruczniku? Nie pozwolili nam rozpalić ogniska, a po ciemku nie mógł pan nas rozpoznać.

— I nie rozpoznałem. Po prostu szedłem od ogniska do ogniska... — Valico z odrazą przełknął ślinę. — Nagle poczułem taki ohydny smród. Ogniska niby się nie paliły, a mnie się nagle zrobiło gorąco.

Pokiwałem głową.

— Favo? Ty wiesz o inhumich najwięcej. Mogę chyba tak powiedzieć?

— Naturalnie.

— Dobrze. Ludzie często boją się, że inhumii mogliby przenieść się na Błękit i zacząć się tam rozmnażać, tak jak na Zieleni. Jakiś czas temu wysnułem teorię, że to niemożliwe, że wykluwają się z jaj pod wpływem ciepła krótkiego słońca i że na Błękitcie jest na to za zimno. Miałem rację?

— Chyba tak.

Zatrzymałem się. Coś czaiło się w mroku przed nami, nawet jeśli Oreb niczego nie dostrzegł.

— To dobra odpowiedź? — spytała Fava, jeszcze mocniej przytulając się do mnie. — Wystarczy ci taka? Jeśli wolisz, mogę po prostu powiedzieć, że masz rację i już.

— Favo... — Mój umysł pracował na najwyższych obrotach.

— Słucham?

— Widziałaś, jak stworzyłem ten miecz.

— Tak, chociaż tego nie rozumiem.

— Ja też nie, ale niewykluczone, że jestem teraz bliższy zrozumienia tego fenomenu, niż byłem jeszcze przed chwilą. To miejsce, ten kanał, istnieje naprawdę. Ja naprawdę kiedyś tu byłem. A ty?

— Ja? Wcześniej? — W blasku światełka ujrzałem zaskoczenie malujące się na jej twarzy. — Nie... Na pewno bym pamiętała.

— No dobrze. A dżunglę pamiętasz? Przenieśliśmy się do dżungli z domu Inclito. Czy tamta okolica wydała ci się znajoma? Może i w tamtym miejscu byłem już wcześniej, ale nie jestem tego pewien.

— Ja byłam. Rozpoznałam tamten stawek.

— Idzie nam coraz lepiej. To są prawdziwe miejsca. Kiedyś byłem więźniem w tej komorze na górze. Doskonale to

pamiętam. Zgodzisz się ze mną, że miejsca, w które się przenosimy, naprawdę istnieją?

— Chyba tak... — Fava pokiwała głową.

— Pamiętasz, jak mi mówiłaś, że diuk kazał ci zabić Inclito, a ty mu odmówiłaś? Kiedy o tym usłyszałem, przypomniał mi się mój adoptowany syn, który zmarł w dżungli.

Obejrzałem się przez ramię, po czym, bojąc się, że Valico mógłby mnie usłyszeć, zniżyłem głos: — Odsłoniłaś kły i znaleźliśmy się gdzie indziej, w miejscu, które zapamiętałaś. Nie tam, gdzie umarł mój syn. W miejscu, które istnieje w rzeczywistości, choć jest nie bardziej rzeczywiste niż mój miecz. I naprawdę wcale się tam nie przenieśliśmy. Byłaś kiedyś w pałacu diuka, prawda?

— Owszem. Do czego zmierzasz?

— Mora powiedziała mi kiedyś, że nie wierzysz w Sąsiadów. W Zaginiony Lud. Uznałem wtedy, że to głupie z twojej strony. Widziałem Sąsiadów na własne oczy, rozmawiałem z nimi, uratowali mi nawet życie. Później, kiedy przemyślałem całą sprawę, doszedłem do wniosku, że wcale nie było to takie niemądre, jak by się mogło wydawać na pierwszy rzut oka. Sąsiedzi, których widziałem i z którymi rozmawiałem na Błękicie, byli tam obecni nie bardziej niż ty i ja w tej dżungli na Zieleni.

— Myślisz, że mogliby nam teraz pomóc, Incanto?

— Wątpię. Między innymi dlatego, że nie mam już pierścienia, który dała mi Alga. Na szczęście wydaje mi się, że wcale nie są nam potrzebni. — Znów zerknąłem za siebie. — Twoi... Nieważne. Inhumi żywili się kiedyś krwią Zaginionego Ludu. Na pewno o tym słyszałaś. To był jeden z powodów, dla których Sąsiedzi opuścili te whorle, być może nawet główna

przyczyna ich decyzji. Kiedy inhumi piją naszą krew, upodabniają się do nas. Nie będę teraz wchodził w szczegóły, ale z pewnością wiesz, co mam na myśli. Jak ci się wydaje, jacy byli inhumi, kiedy karmili się krwią Sąsiadów?

— Zastanawiałam się nad tym. To musiało być cudowne uczucie. Niewiarygodne... Dla inhumich, naturalnie.

— Całkowicie się z tobą zgadzam. Przypuśćmy teraz, że ślad tego doświadczenia pozostał w inhumich, że w jakiś sposób jest przekazywany z pokolenia na pokolenie. Rozumiesz, do czego zmierzam?

— Tak mi się wydaje.

— To dobrze.

Zatrzymałem się i poczekałem, aż Valico nas dogoni. Zawołałem też Oreba, a ten niepewnie wylądował u naszych stóp.

— Kiedy leżeliśmy pod krzakiem, był mi zimno. Za wszelką cenę chciałem się rozgrzać i musiałem odruchowo pomyśleć o tej sali na górze, jednym z najcieplejszych miejsc, jakie zdarzyło mi się w życiu odwiedzić. Rozumiesz? Chcę teraz, żebyś wyobraziła sobie pałac diuka w Soldo, najlepiej jego sypialnię, jeśli ją widziałaś. Diuk pewnie teraz śpi.

— Nie widziałam jej.

Fava zamknęła oczy, a na jej szerokim, gładkim czole pojawiły się zmarszczki, świadczące o najwyższym skupieniu.

Najpierw odniosłem wrażenie, że nic się nie dzieje, zaraz potem, że kanał rozszerzył się znacznie — albo że zawsze był większy, niż mi się zdawało.

— Okno! — Valico wyciągnął drżącą rękę (nigdy nie zapomnę tego widoku), wskazując przeciwną stronę kanału. —

Patrzcie! Widzę gwiazdy!

— Ja też — przyznałem. — Niech pan tam podejdzie, poruczniku, i otworzy to okno. Nie sądzę, żeby po drodze zamoczył pan nogi.

Mój głos z pewnością nie oddawał pełni radości, którą czułem. Żaden głos nie byłby w stanie jej wyrazić.

Valico ostrożnie zszedł z oślizłego chodnika — którego nie było. Pokrywający go wilgotny śluz zmienił się w wosk, a brudne kamienne płyty w ozdobny parkiet z pięknodrzewia i śpiewodębu.

— Dobre miejsce? — zapytał niepewnie Oreb.

— Nie wiem, ale możesz już otworzyć oczy, Favo. Jesteśmy.

Fava rozejrzała się i złapała mnie kurczowo za rękę.

— Tu są strażę.

— Bez wątpienia.

Valico podniósł dolną część dużego okna — a właściwie jednego z całego rzędu dużych okien. Z zewnątrz dobiegły nas podekscytowane okrzyki, szczęk broni i charakterystyczny trzask zamków przeładowywanych strzelb.

— Coś się tam dzieje — mruknąłem. — Coś, do czego z całą pewnością nie powinniśmy się mieszać.

Widząc stojący na podwyższeniu ozdobny fotel, zapytałem, czy znajdujemy się w sali tronowej diuka. Fava przytaknęła.

— A gdzie diuk sypia?

— Nie mam pojęcia.

— Ale na pewno na tym samym piętrze.

Oreb zdążył tymczasem przelecieć na koniec komnaty i teraz zataczał koła nad tronem.

— Ptak znaleźć! Drzwi tutaj!

Rzeczywiście, znalazł drzwi, które w dodatku nie były zamknięte na zamek. Za nimi znajdowała się sala audiencyjna, dalej biblioteka z wysoko sklepionym sufitem i nader nielicznymi książkami, a jeszcze dalej drzwi strzeżone przez wartownika, który natychmiast zapytał, kim jesteśmy.

Postąpiłem krok naprzód i podałem mu miecz (którego i tak nie mógł ode mnie wziąć, gdyż trzymał strzelbę oburącz), zwrócony rękojeścią w jego stronę.

— Przybywamy z Blanko — wyjaśniłem — na wezwanie diuka, który chce rozmawiać o zawarciu pokoju.

— Jego Wspaniałość śpi!

— Nazywam się Fava — odezwała się Fava. — Na pewno mnie poznajesz, Marzo. Duko Rigoglio kazał mi się meldować natychmiast po przybyciu, w dzień i w nocy.

Dyskusja trwała jeszcze dłuższą chwilę i z pewnością zbudziłaby diuka, gdyby naprawdę spał. Wartownik wszedł w końcu do sypialni, żeby porozmawiać z diukiem. Ja wszedłem zaraz za nim, a Oreb zatoczył krąg nad naszymi głowami i wylądował w nogach książęcego łóżka.

— Co to ma znaczyć?!

Diuk był gładko ogolonym mężczyzną w średnim wieku. Nie wiedzieć czemu spodziewałem się, że będzie miał sumiaste wąsy.

Fava dygnęła.

— Ten człowiek ma strzelbę! Zabierzcie mu ją!

Kazałem Valico oddać broń strażnikowi, a kiedy to zrobił, dorzuciłem Marzo swój miecz i poprosiłem, żeby schował je w bezpiecznym miejscu, bo wychodząc, będziemy chcieli je zabrać. Kiedy tylko odwrócił się do nas plecami, stworzyłem sobie nowy miecz, tym razem prosty, podobny do miecza Świni,

ze złotym rytem, który znakomicie prezentował się na czarnej klindze.

— Kim jesteście?!

— To jest Incanto, Wasza Wspaniałość — odparła Fava z udawaną nieśmiałością. — Czarownik na usługach Inclito. Opowiadałam o nim Waszej Wspaniałości i pomyślałam, że Wasza Wspaniałość chciałby go poznać.

— Istotnie, chciałbym. — Diuk otrząsnął się z pierwszego zaskoczenia. Jego okrągła, płaska twarz była nieprzenikniona, oczy zaś budziły nieprzyjemne skojarzenia ze świętym wężem z Gaonu, którego w pierwszej chwili wziąłem za nieodłączny element wizerunku Echidny.

— A to jest porucznik Valico z ordy Blanko — dodałem.

Valico uklonił się diukowi, który całkowicie go zignorował.

— Oddałeś miecz strażnikowi, ale widzę, że masz drugi. W mojej obecności nikomu nie wolno nosić broni.

— W takim razie każ strażnikowi odłożyć strzelbę.

— W ten sposób donikąd nie dojdziemy, Wasza Wspaniałość — wtrąciła Fava. — Tak jak trzymanie mnie pod kluczem za to, że powiedziałam prawdę. Możecie znów zabrać miecz Incanto, ale on robi sobie nową broń, może nawet gorszą od miecza.

— Jedwab mówi! — dodał Oreb.

— Ma na myśli mnie — wyjaśniłem diukowi. — „Incanto” to dla niego za długie imię, dlatego nazywa mnie Jedwabiem.

— Ptak dobry!

— Dziewczynka, która ci towarzyszy, a która, muszę nadmienić, ma tutaj status zbiegłej z więzienia kryminalistki, mówiła mi o twoim gadającym ptaku. Myślałem jednak, że jest mniejszy, jak zwyczajny ptak.

Przyznałem, że obecna postać Oreba mnie również niepomernie dziwi.

— Jest tak gruby, jakby lada chwila miał pęknąć z przejedzenia!

— Nie zarżnie! — Oreb wycofał się na okienny parapet.

— Czy to on jest źródłem twoich tajemnych mocy, Incanto? — Diuk przyglądał się Orebowi z zainteresowaniem. — Bo sam tej mocy ma raczej niewiele. Pewnie nie uda mi się namówić cię, żebyś rozpruł go tym swoim ostrzem?

Używając lotek jak palców, Oreb otworzył zasuwkę i pchnął połówkę otwierającego się na zewnątrz okna. Powiał zimny wiatr.

— Nie — odparłem. Wyjaśniłem, że początkowo Oreb miał być złożony w ofierze, ale patere Jedwab postanowił go oszczędzić. Dodałem, że wcale nie mam pewności, czy jest to ten sam kruk.

— Bogów trzeba czcić, a ty wielokrotnie zaniedbywałeś ten obowiązek — zauważył diuk z błyskiem w oku.

— Z pewnością.

— Wy, przebudzeni z „Whorla”. W Nessus bogowie przechadzali się wśród nas, panów i dam z Urth, równych Pahowi Lśniącemu.

— Scylla! — zakrakał ze złością Oreb. — Nie bóg! (A może to było „wie bóg”? Powinienem go zapytać). — Bóg mokry!

Odparłem, że jeśli zmierza do tego, że bogowie i boginie, które znaliśmy we „Whorlu”, były glinianymi idolami, to całkowicie się z nim zgadzam. Fava zapytała, czy Nessus i whorl krótkiego słońca to to samo miejsce.

— Nessus to nasze miasto. — Diuk utkwił w niej swoje szkliste spojrzenie. — Większe niż whorl, na którym się

rozpościera.

— Oszalał — stwierdziła bez ogródek Fava.

— Nigdy! — Diuk zerwał się z łóżka zadziwiająco zwinnie i szybko jak na człowieka jego wieku i postury. — Dziecko! Moje dziecko! Wysłuchaj mnie!

Przestraszony Oreb wyfrunął przez okno.

— Posłuchaj. — Diuk, odziany w haftowaną koszulę nocną, ukucnął przed Favą. Świdrował ją natarczywym spojrzeniem. — Whorl, moje dziecko... Whorl, każdy whorl jest płaski, rozumiesz? Tyle lądu i tyle wody... — Gestem pokazał, jaką równinę ma na myśli. — Tu, na Błękiecie, zagarnę wszystko. W swoim czasie. Ale to i tak niewiele, prawda? Błękit nie jest znów taki ogromny. Na pewno musiałaś... Nie, nie ty. Wy, panie czarowniku. Incanto... Tak brzmi wasze imię?

Odparłem, że może mnie nazywać Incanto albo Rogiem, jak woli.

— Byłeś przecież w pustce, w międzygwiazdnej otchłani, w zwierciadlanej sferze. Patrzyłeś w dół, na Błękit tego whorla, i widziałeś go całego, prawda? Morza, kontynenty i wyspy. My tak samo patrzyliśmy na Urth z „Loganstone'a". Widzieliśmy lądy i oceany, i zieloną Lunę na nocnym niebie. Wcale nie była taka duża. — Diuk złapał Favę za ramię. — Patrzyliśmy też na Nessus, nieśmiertelne miasto. Ale nie widzieliśmy Nessus. Tylko Pah, którego prawdziwe imię w tych pięknych dniach znaleźliśmy wszyscy, mógł widzieć Nessus.

— Przybyliśmy, bo mamy nadzieję na pokój — szepnęła Fava.

— Właśnie — odparł również szeptem diuk. — Właśnie. Posłuchaj. wszystko ci wyjaśnię. Stało tam wiele budynków, mrowie domów, parterowych, piętrowych, dwu-, a nawet trzypiętrowych. I nieprzeliczone wieże, które miały po

dwadzieścia, trzydzieści i trzysta pięter. I trzy tysiące. Możesz to sobie wyobrazić? Nikomu nie udało się policzyć wież w samej Cytadeli. Tak mówili. Ja nigdy nie próbowałem i nie znam nikogo, kto by próbował, a sama Cytadela... Mieszkałem nieopodal niej. Mówiłem ci o tym?

Fava pokręciła głową.

— Tak, tak, mieszkałem niedaleko rzeki, na południe od Nekropolis. Nie było to najlepsze miejsce, gdyż rzesze trupów po — każdym deszczu zanieczyszczały wodę; przesączała się do niej taka lepka, czarna maź, trochę przypominająca smołę. Czasem unosiła się na powierzchni, a czasem opadała na dno. Mówiliśmy, że kobiety pływają, a mężczyźni idą na dno, ale to był tylko taki żart. W pewnym sensie. Nie sądzę, by tak było naprawdę.

Valico dotknął mojej ręki i wskazał otwarte okno, przez które dobiegał gwar spierających się głosów. Skinąłem głową i przytknąłem palec do ust.

— Cytadelę można było obejść dookoła w trzy dni, najwyżej w cztery — ciągnął diuk. — Była mała, całkiem mała. Ludzie z odległych części miasta, a były takich ludzi tysiące, nie wierzyli, że w ogóle istnieje. Wszystkie domy miały piwnice, a głębiej znajdowały się następne piwnice, lochy, podziemia i tunele, które ciągnęły się bez końca. W murze okalającym miasto, wyższym od najwyższych jego wież, wryto korytarze, komnaty, zbrojownie, koszary, schrony, galerie, prochownie, cele, kaplice, świetlice i pomieszczenia o wszelkim możliwym przeznaczeniu. Wystarczy zsumować ich powierzchnię i dodać obszar wilgotnych kopalń pod Gyoll. Ale nikomu się nie udało.

— Mieliśmy nadzieję, Wasza Wspaniałość, że uda nam się osiągnąć satysfakcjonujące oba miasta porozumienie, na mocy

którego nasze corpo uznałoby wprowadzić waszą zwierzchność, ale zachowałyby autonomię w sprawach lokalnych — wtrąciłem. — Jeżeli do — szłyby do tego gwarancje bezpieczeństwa ze strony Waszej Wspaniałości, byłoby już na czym budować trwałą, korzystną dla obu stron konfliktu pokój.

Diuk roześmiał się, wstał, podszedł do mnie i oparł na moim ramieniu rękę tak wypielęgowaną, że nie powstydziliby się jej żadna kobieta.

— Znasz definicję pokoju, mój przyjacielu?

— Z pewnością nie tę, którą Wasza Wspaniałość zaraz zacytuje.

Za plecami diuka mignął mi przelatujący za oknem Oreb. Usłyszałem też jego skrzeczenie: — Tutaj Jedwab! Jedwab tutaj!

— Pokój taki, jakim ty go rozumiesz, to zaledwie plasterk sera w kanapce; czas oszustwa, rozdzielający dwa okresy walki. Twój pokój utrzymałby się tylko wówczas, gdyby Blanco uznało, — że jest dość silne, by odrzucić naszą zwierzchność, wykorzystując zapewne nasze chwilowe zaangażowanie w innym rejonie. Nie, przyjacielu, Pah nie zgodziłby się na taki pokój. Ja również go odrzucam. Czy Blanco zgodzi się oddać całą posiadaną broń: wszystkie armaty, strzelby, igłowce, miecze i noże?

Odparłem, że tego nie wiem, ale zapewniłem diuka, że corpo na pewno byłoby gotowe rozpatrzyć jego żądanie.

— W takim razie stawiam takie właśnie żądanie, a robię to dlatego, że kiedy się na nie zgodzicie, będę miał wolną rękę.

Z korytarza dobiegł gwar. Głos wartownika wzniósł się ponad ogólny tumult, chwilę później rozległy się strzały — cztery, może pięć.

— Na nas już czas — ponagliłem Favę. — Wyobraź sobie ośnieżone wzgórze. I skup się!

Zamknęła oczy, ale zanim ja zdążyłem zrobić to samo, drzwi otworzyły się z impetem i do środka wleciał Oreb, a za nim wparowało kilkunastu rozwrzeszczanych żołnierzy, w których dopiero po chwili rozpoznałem najemników Kupusa. Jeden z nich wycelował ze strzelby w diuka i strzelił. Pocisk trafił w pokrytą śluzem ścianę po przeciwnej stronie leniwego, śmierdzącego strumyka, do którego chwilę później wpadła trzecia część żołnierzy. Rykoszetował raz po raz od ścian, a jego zwielokrotniony echem wizg niósł się daleko po cuchnącym tunelu.

*

Kiedy Inclito mnie tu przysłał, spodziewałem się poważnych kłopotów — ale nie aż tak poważnych jak ten, który faktycznie mnie spotkał. A sprowadza się on do prostego faktu: nie ma najemników. Nie mogę ich wobec tego wypytać — ani wszystkich razem, ani każdego z osobna — jaką zapłatę byliby skłonni przyjąć w zamian za obiecane srebro. Sformowałem swój oddział pomocniczy i zgromadziłem całkiem sporo pieniędzy, prawdziwą małą fortunę. I wcale nie są to czcze przechwałki.

Ale ile było przy tym zamieszania! Większość pieniędzy to srebro, różnej próby i w stopach z różnymi metalami, głównie z niklem. Jest też trochę złota, zmieszanego z miedzią i ołowiem. Jedne kawałki są miękkie jak masło (tak jak grudka, którą dostałem od Cantoro, niech Zewnętrzny na wieki obdarzy go

swym uśmiechem), inne twarde jak krzemienie (mam trzy takie duże krążki).

To nie wszystko, bo mamy też najprawdziwsze karty, takie same, jakich używaliśmy we „Whorlu”. Ile srebra jest warta taka karta? Albo ile złota? Wypytywałem o to z pół tuzina kupców, bankierów i lichwiarzy, ale dostałem chyba z tuzin różnych odpowiedzi. Właściwie nie ma w tym nic dziwnego. Nie wszystkie karty znajdujące się w obiegu nadają się do swoich dawnych zastosowań. (Pomyśleć, że rąbaliśmy je beztrudnie na sto bitkartów, nie myśląc o tym, że nigdy nie da się ich złożyć z powrotem!).

A co to za srebro przyniosłeś na wymianę, Incanto? Niech no je zobaczę.

Cóż, gdybym mógł, to bym je pokazał.

Ale znów uprzedzam fakty. Pozwólcie więc, że pokrótce opiszę naszą obecną sytuację, a później wrócę do losów Favy, Oreba i moich na Zieleni; napiszę też o tym, jak najemnicy Kupusa znaleźli włącz i trafili za nami do Soldo. Nie rozumiem, dlaczego nie zniknęli, nie pogrążyli się w jakimś własnym śnie, kiedy my z Favą wyszliśmy; nie mam też pojęcia, czemu wszyscy razem trafiliśmy do kanału, który — jak sądziliśmy — na zawsze zostawiliśmy za sobą. W całej sprawie jest jednak tyle tajemnic, że tą akurat najmniej się przejmuję. Dlaczego Duko nie podążył za nami? Czy kula go trafiła? Jaki był efekt strzału? Jak zadziałał pozorny pocisk, wystrzelony przez nierzeczywistego żołnierza z równie nierealnej strzelby?

Jedno pytanie samo się narzuca (wiem o tym dobrze; zadaję je sobie odkąd wróciłem): czy naprawdę byliśmy na Zieleni? I co właściwie znaczy „naprawdę”? Nasze ciała z pewnością nie

znalazły się tam ani przez chwilę: Valico widział, jak śpią pod krzakiem. Coś jednak przeniosło się na Zielen — albo wyobraziło sobie, że się przeniosło. Nasze umysły? Duchy? Jedno i drugie, a także jakiś tajemniczy trzeci pierwiastek? Albo i czwarty? I w którym dokładnie momencie Fava (nie mogę napisać — i nie napiszę — „biedna Fava”) umarła?

Kiedy wróciłem do miasta, nie bardzo wiedziałem, jak zebrać potrzebne pieniądze. Inclito zaproponował, żebym zwołał najbardziej wpływowych mieszkańców, dostarczył mi nawet ich listę, więc poszedłem za jego radą. Dyskusja szybko jednak zeszała na niepożądane tory: mieszczanie zastanawiali się przede wszystkim nad tym, jak oszukać najemników i nie płacić im obiecanej przeze mnie i Inclito sumy.

Staralem się ich przekonać, że to zły pomysł, ale bezskutecznie. W końcu wstałem i głośno uderzyłem kosturem w stół.

— Jesteście złodziejami! Byłem głupcem, uważając was za ludzi godnych szacunku. Wzbogaciliście się na okradaniu rodaków...

Zakrzyczeli mnie. Musiałem odczekać dobrą minutę, zanim gwar ucichł na tyle, żebym mógł mówić dalej — ale dobrze się stało. Emocje we mnie opadły i ogarnął mnie zwykły, lodowaty gniew.

— Wydaje się wam, że uciekliście bogom i unikniecie kary, jaką bogowie wymierzają takim jak wy. Mylicie się. Zewnętrzny jest wśród was, tyle że niewidzialny. Wydał już wyrok, wyznaczył stosowną karę. Nie wezwę was ponownie na naradę. Myślę, że nikt nie zwoła was ponownie, w żadnej sprawie. Jeżeli będziecie chcieli ze mną porozmawiać, przychodźcie pojedynczo. Może wtedy znajdę dla was czas. A może nie.

Nie tracąc więcej czasu, wyszedłem z domu Ugolo. Na ulicy pięciu chłopców bawiło się w żołnierzy. Dwóch starszych mężczyzn śmiało się i podsuwało im pomysły do zabawy. Zawołałem całą siódmkę do siebie. Przedstawiłem się (niepotrzebnie; wszyscy wiedzieli, kim jestem). Ani słowem nie wspomniałem o pieniądzach — było aż nadto oczywiste, że żaden z nich nie ma wiele gotówki — opowiedziałem natomiast, jak rozpaczliwa potyczka wśród wzgórz się szykuje. Używając całego danego mi daru wymowy, próbowałem przekonać ich, że Blanko będzie potrzebowało obrony, jeśli wróg przedrze się przez nasze szyki. Potem pokazałem im klucze do zbrojowni i kazałem iść za mną.

Z początku ludzie naśmiewali się z tej zbieraniny dzieci i staruszków. Zaczęli się śmiać jeszcze bardziej, kiedy do oddziału włączyłem pierwsze kobiety. Nadszedł jednak moment, w którym zabroniłem moim podwładnym strzelać do tłumu, dopóki tłum sam nie zaatakuje — i wtedy śmiechy ucichły. Aresztowałem prowodyrów oporu — Ugolo i paru innych. Wbiliśmy kołki w ściany osuszonego kanału, o którym powiedział mi Inclito (znacznie przyjemniejszego niż ten, który odblokowałem na prośbę Sąsiadów), i przykuliśmy ich do kołków.

We whorlu długiego słońca biochemicznych wojowników nazywano „rezerwą”, ponieważ główną siłę zbrojną stanowiły chemy. To była prawdziwa armia, zbrojne ramię miasta. Zaopatrzone w broń biochemy, pełniące wraz z innymi oddziałami (w Vironie w ich skład wchodziła moja gwardia) służbę pomocniczą, nazywano „ordą”. Armia i orda razem tworzyły „legię”.

W tamtym whorlu ordy systematycznie zyskiwały na znaczeniu, armie zaś słabły, gdyż chemów ciągle ubywało. Tutaj, na Błękicie, nie ma armii, jest tylko orda — tak jak w Blanko. W związku z tym z pewnością mogę nazwać moich ludzi rezerwistami.

Tak też zrobiłem.

Szybko przekonałem się, że do służby nadają się tylko najbardziej wyrośnięci chłopcy — mniejsi nie radzą sobie ze strzelbą, nawet przy zmniejszonym ładunku. Z podobnych powodów tylko największe i najsilniejsze kobiety (a także te z ubogich rodzin, od dziecka nawykłe do ciężkiej pracy) przydadzą się w walce z wojskiem diuka Rigoglio.

Przed bitwą

Czyżby czekał mnie samotny wieczór? Mam taką nadzieję. Miasto świętuje — i słusznie. To nie noc na przemówienia, a z pewnością nie na moje przemówienia. Może uda mi się trochę popisać.

Gdybym miał przemówić do mieszkańców Blanko, mówiłbym, obawiam się, głównie o Chaku i Terasie, którzy polegli w walce z białym robalem, a mimo to, kiedy się obudziliśmy, byli wśród nas, żywi i sprawni, choć oszołomieni i oniemiałi. Któż zgłębi umysł Zewnętrznego? Kto przejrzy jego plany? Nasze bogactwa są dla niego jak śmieci, nasi bogowie — igraszka w jego rękach.

Mieszczanie puszczają fajerwerki, moi żołnierze — z przykrością muszę to stwierdzić — strzelają na wiwat ze strzelb. Oreb dobrze wie, że dziś w nocy niebo nad Blanko nie jest dla niego najlepszym miejscem.

Wszystko przez to, że w porze zaciemnienia przybył poseł z Olmo. Posłaniec był wyczerpany, a koń prawie pod nim padł; zastanawiam się teraz, czy któremuś z nich dane jest odpocząć. Może tak; obaj wyglądali na takich, co mogliby paść bez

przytomności i spać, choćby cały whorl walił im się na głowy. Posłaniec przyniósł naprawdę wspaniałe wieści: Duko zwrócił się przeciw Olmo, Olmo zaś, znalazłszy się w potrzebie, poprosiło nas o pomoc. Jego mieszkańcy zaproponowali nam przymierze: staną do walki przeciw Soldo (nie mają wyjścia; diuk Rigoglio już ich oblega), a w zamian proszą o odsiecz i pozwolenie na zachowanie niepodległości.

Wygląda na to, że Eco został pojmany, a wieziony przez niego Ust trafił do rąk kogoś, kto uwierzył w jego treść. To ogromna szkoda, że Fava nie żyje. Mógłbym ją wysłać do Soldo, żeby wynegocjowała zwolnienie Eco — o ile ten jeszcze żyje. Ale jeśli taka będzie wola Zewnętrznego, Eco pozostanie bezpieczny (choć w więzieniu) do końca tej nic nie znaczącej, idiotycznej wojenki. Uwolnimy go po jej zakończeniu. Czy Morę też złapano — albo zabito? Wydaje się to całkiem prawdopodobne.

Chciałem pisać o Chaku i Terasie, o tym, jak się ucieszyliśmy, widząc ich całych i zdrowych po przebudzeniu na śniegu, chociaż wcześniej pochowaliśmy ich i opłakaliśmy na Zieleni. I o tym, jak okazało się, że nie mówią ani nie rozumieją, co my do nich mówimy. Wszystko to prawda, ja jednak nie mogę przestać myśleć o nieszczęsnej Fawie. Zniknęło wszelkie podobieństwo do ludzkiej istoty: była inhumą w dziewczęcej sukience w kwiaty, martwą inhumą w peruce i makijażu. Niczym więcej. Przykryłem ją szybko i poprosiłem najemników, którzy nie pozwolili nam rozpalić ogniska, o kilof i łopatę. Kilkunasto silnych mężczyzn chciało mi pomóc, ale podziękowałem im i pochowałem ją sam blisko grzbietu wzgórza, pod płaskim kamieniem, na którym wyryłem jej imię i znak dodawania. Nie bardzo wiedziałem, jak inaczej mógłbym oznakować miejsce jej spoczynku.

Fava, która na Zieleni cieszyła się jak najlepszym zdrowiem, zmarła to, na Błękicie. Chaku i Teras, którzy zginęli na Zieleni, żyją — o ile nie zostali zabici w którejś z prowadzonych przez Inclito potyczek.

— Człowiek idzie — wymruczał Oreb.

Otworzyłem drzwi i wyjrzałem na zewnątrz, ale nikogo tam nie było. Zapytałem, czy miał na myśli dobrego człowieka, ale w odpowiedzi tylko zaklekotał dziobem i zatrzepotał skrzydłami. Takie gesty zwykle są u niego oznaką podenerwowania, ale zachowywał się tak samo już przed zapowiedzeniem tajemniczego gościa. Cała ta strzelanina i fajerwerki na pewno go spłoszyły.

Powinienem dodać — może niekoniecznie akurat w tym miejscu, ale na pewno powinienem — że wraz z Favą i Valico zatrzymałem się, słysząc w kanale za plecami kroki najemników. Tylko Oreb — niech go Molpe błogosławi — pofrunął sprawdzić, co się dzieje.

Kilku od razu położyło się na ziemi, czym wprawili mnie w zakłopotanie. Powiedziałem, że nie będę z nimi rozmawiał, dopóki nie zwiążą Sfido i nie oddadzą mi jego igłowca. Zrobili, o co prosiłem.

— Kiedy podnieśliśmy płytę, nie było schodów, tylko czarna dziura — wyjaśnił Kupus. — Wskoczyliśmy do niej jeden po drugim i wylądowaliśmy w Soldo na ulicy. Było ciemno.

Pokiwałem głową. Fava (a właściwie ludzka dziewczynka, którą nazywam Favą) roześmiała się.

— A nie mówiłam? Incanto jest strego! Najlepszym, jakiego w życiu widzieliśmy!

— Nigdy nie wierzyłem w te bajki — odparł Kupus. — Uważałem, że to dobre dla was, kobiet. Ale okazuje się, że to kobiety miały rację, a Kupus się mylił.

Wyjął miecz i ujął go za ostrze.

— Pójdę za tobą, rajanie. A ze mną pójda ci, których prowadzę. Będziemy dla ciebie pracować i walczyć, dokądkolwiek nas poprowadzisz. Pozostaniemy ci wierni do ostatniego tchu. Nie żądamy żadnej zapłaty poza twoją życzliwością.

Zapytałem, na jak długo oddają mi się w służbę, na co chyba z dziesięciu, włącznie z Kupusem, odkrzyknęło chórem, że na zawsze. Pewnie byłoby takich chętnych więcej, ale ci, którzy tłoczyli się na wąskim chodniku w większej odległości od nas, nie słyszeli naszej rozmowy.

— Czy nie porzucicie służby, gdy wrócimy na Błękit? — spytałem Kupusa i porucznika Zeptera, który obejrzał się właśnie przez ramię.

— Nigdy! — odparli zgodnie, po czym Zepter dodał formułę, której wcześniej nie znałem: — Na trzech whorlach albo poza nimi.

Wy, moi przyszli czytelnicy, możecie mnie uznać za głupca, ja jednak widzę w tym rękę Zewnętrznego.

*

Minęła północ. Zaczął się więc nowy dzień.

Miałem gościa. Odwiedził mnie Sfido. Rozmawialiśmy przez godzinę albo dłużej, aż dźwięk naszych głosów obudził żonę gospodarza, która — z podziwu godnym rozsądkiem — nie wzięła udziału w triumfalnym pochodzie i położyła się spać.

Wyszykowała dla Sfido wolne łóżko, podgrzała i podała mu miskę zupy fasolowej. Próbował jej tłumaczyć, że jest zbyt zmęczony, by jeść, ale wyglądał na zagłodzonego. Całkiem szybko rozprawił się z zupą: maczając w niej biały chleb (jakże ceniony w Blanko), wylizał miskę jak pies.

Ale cofnijmy się do początku.

Rozległo się pukanie do drzwi. Nie od razu zareagowałem — bałem się bowiem, że wpuszczę do domu bandę pijanych hulaków. Pukanie jednak się powtórzyło — i tym razem odniosłem wrażenie, że do drzwi dobija się człowiek śmiertelnie przerażony.

— Dervis! Rajanie!

Nikt tu nie nazywa mnie ani tym imieniem, ani tym tytułem, otworzyłem więc czym prędzej. W pierwszej chwili go nie poznałem: był zarośnięty, wychudzony i toczył dookoła dzikim wzrokiem. Minęło dziesięć dni, odkąd się ostatnio widzieliśmy; wytworny oficer zniknął przez ten czas bez śladu. Wyjaśniłem mu oschle, że sklep Atteno jest zamknięty, i spytałem, czego chce.

— Musimy porozmawiać, rajanie. Nazywam cię tak, ponieważ teraz nie nadam już w ten sposób fałszywej rangi ani tobie, ani sobie samemu.

Po tych słowach wiedziałem już, z kim mam do czynienia, ale dopiero po sekundzie czy dwóch przypomniałem sobie jego imię— Sfido? Kapitan Sfido?

— To ja. — Wyprężył się, ściągnął ramiona, strzelił obcasami i zasalutował.

Chyba musiałem go wtedy zaprosić do środka; na pewno podsunąłem mu stare drewniane krzesło, które mój gospodarz

trzyma przy kasie.

— Biedny człowiek. — Oreb spojrział na niego smoliście czarnym okiem. Kłapnął dziobem, jakby chciał dodać „Strzeżcie się tarapatów, które czyhają na potępionych”.

Sfido uśmiechnął się z wysiłkiem. Rzadko zdarzało mi się widywać dorosłych ludzi w tak godnym pożałowania' stanie.

— Widzę, że masz już swojego ptaka z powrotem.

Odparłem, że nie próbuję ograniczać swobody Oreba, który wrócił do mnie z własnej woli.

— Więzi go tylko twoja magia. Nic więcej.

— Nie władam magią. Nawet gdyby było inaczej, z pewnością nie użyłbym jej w takim celu.

— Nie władasz magią.

Nie brzmiało to jak pytanie.

— Nie. Wcale.

— W mgnieniu oka przeniosłeś nas na Zieleń, potem do Soldo, znów na Zieleń, skąd wróciliśmy, kiedy przyszła ci na to ochota. — Sfido westchnął ciężko. — Brzmi to tak, jakbym się z tobą kłócił, a nie po to cię szukałem. Słyszałeś o człowieku imieniem Gagliardo, rajanie? Mieszka w Soldo.

— Nie znam go.

— Jest bogatym rentierem. Zabawia się obserwacją gwiazd, ponieważ to go interesuje. W tym celu kazał skonstruować kilka ciekawych przyrządów. Pamiętasz, jak dałeś mi konia i odesłałeś mnie do domu? Miałem poinformować diuka, że Kupus i jego ludzie przeszli na waszą stronę.

— Oczywiście, że pamiętam.

— Chciałem spotkać się z diukiem od razu po przyjeździe, ale był zajęty. Poszedłem więc najpierw do Gagliardo i spytałem go, jaka odległość dzieli Błękit od Zieleni. Przy największym ich

zbliżeniu dystans ten wynosi sto pięć tysięcy mil. Nie wiem, jak można w ogóle zmierzyć taką odległość. Gagliardo przyznaje, że może się mylić o trzy, cztery tysiące mil, ale takiej właśnie udzie — & mi odpowiedzi.

Podziękowałem mu za tę informację.

— Czasem też się nad tym zastanawiałem — przyznałem. — Cieszę się więc, że posiadam tę informację.

— Mówi, mówi — mruknął bez entuzjazmu Oreb.

— To doprawdy niewiarygodne, że ktoś jest w stanie dokonać takiego pomiaru — ciągnąłem. — Jeszcze bardziej dziwi mnie jednak fakt, że inhumi potrafią o własnych siłach pokonać dzielącą nasze whorle otchłań.

— Zieleń znajduje się teraz dość daleko od Błękitu — dodał Sfido. — Dzieli nas od niej blisko dwieście pięćdziesiąt tysięcy mil.

Pokręciłem głową.

— Boją się tak dalekich podróży. Przybywają tylko wówczas, gdy whorle się do siebie zbliżą, a nawet wtedy wielu ginie po drodze. Tak mi przynajmniej mówiono.

— Złe, złe — stwierdził z namaszczaniem Oreb.

— Nie gorsze od nas — zauważyłem. Widząc, że Sfido nie reaguje, mówiłem dalej: — Prawdą jest, że inhumi zamieszkują także whorl długiego słońca, ale wszystko wskazuje na to, że dotarli tam na pokładzie powracających lądowników.

— Czterokrotnie przeniosłeś dwie setki ludzi na odległość dwustu pięćdziesięciu tysięcy mil — westchnął Sfido. — Za każdym razem trwało to ułamek sekundy. To właśnie powiedziałem diukowi. Dodałem, że przecież poznał cię osobiście i że dopóki stoisz po stronie Blanko, walka przeciw wam byłaby samobójstwem.

— Zgodził się zawrzeć pokój?

Sfido pokręcił głową.

— A zatem kazał panu mnie zabić, kapitanie — domyśliłem się. — Kiedy zamierza pan zaatakować?

— Nie zarżnie! — wykrzyknął Oreb.

Sfido zawahał się, ale po krótkiej chwili zgodził się z nim: — Nie.

— Domyślam się, że diuk przyśle kogoś innego. Kazał Fawie otruć Inclito.

— Zaproponowałem, żeby spróbował cię przekupić. Przyznałem, że wątpię, by w ogóle można było cię zabić; potencjalny zamachowiec postradałby tylko życie i ewentualną zaliczkę. Dodałem jednak, że w zamian za złoto i władzę mógłbyś być skłonny wesprzeć nas, jeśli tylko oferta byłaby dostatecznie hojna. Namawiałem go, żeby przysłał ci kobiety, konie, żołnierzy i wszystko, co uzna za konieczne. Powinien też obiecać ci tron Blanko lub Olmo.

— Myli się pan, kapitanie. Raz już umarłem. Ale zasugerował pan diukowi, żeby odstąpił mi któryś tron, tak?

Sfido skinął głową.

— Ma pan swoje lata — zauważyłem. — Nie urodził się pan tutaj. W jakim wieku opuścił pan Grandecitta?

— Miałem piętnaście lat.

— Tak jak ja, kiedy opuściłem Viron. Powinien pan zatem pamiętać lądownik i lot przez otchłań. Ja pamiętam. Byli wśród was jacyś bogacze?

Sfido roześmiał się ironicznie, jak człowiek przeświadczony o nieskuteczności swoich wysiłków.

— Niektórzy z nas za takich się uważali, rajanie. To było takie lokalne bogactwo. Wiesz, co mam na myśli?

— Chyba tak. Mój ojciec miał sklep, podobny do tego, w ubogiej dzielnicy.

— No właśnie. Niektórzy mieli właśnie taki majątek, jak drobni sklepikarze.

— Kiedy to było, kapitanie Sfido? Dwadzieścia lat temu?

— Mniej.

— I proszę spojrzeć: my, ubodzy, którzyśmy tak wyrzekali na bogaczy, przejęliśmy od nich wszystkie znienawidzone cechy i nawyki. Trony! Jeden dla diuka, drugi dla mnie. Wie pan co, kapitanie? Nie umiałbym zliczyć skarg na bogaczy, których nasłuchałem się w dzieciństwie.

— Nie nazywaj mnie tak, rajanie. — Sfido uśmiechnął się z goryczą. — Nadajesz mi fałszywą rangę.

Odpowiedziałem mu uśmiechem. W duchu śmiałem się sam z siebie.

— Nie ulega wątpliwości, że zachowałem się w sposób godny Potępienia, dla kaprysu wciągając zmęczonego człowieka w długą rozmowę. Przybywasz prosić o pomoc, to oczywiste. A ja ci pomogę, jeśli tylko będzie to w mojej mocy. Co mogę dla ciebie zrobić?

Sfido znów wyprostował się dumnie.

— Sfido nie potrzebuje niczyjej pomocy. To ja chcę pomóc tobie.

Przyznałem, że bardzo się z tego cieszę, i czekałem, co jeszcze powie.

— Generał Inclito zostanie pokonany. Możesz temu zaprzeczać, ale tak właśnie się stanie.

— Powiedzmy, że wierzę, że ty w to wierzysz. Możemy na tym poprzestać?

— Nie. Byłem na wzgórzach, widziałem walki. Nie mam żadnych nadnaturalnych mocy, ale mam oko do wojskowych spraw. Nie bez powodu zostałem dowódcą przedniej straży.

Odparłem — zgodnie z prawdą — że nigdy w to nie wątpię.

Sfido milczał przez chwilę, tknięty nagłą myślą.

— Ty i twoja magia, rajanie... Powinieneś być na froncie. Co tu robisz?

— Zbieram pieniądze, które obiecałem najemnikom. Już prawie mam niezbędną sumę. Za pierwszy miesiąc, rzecz jasna.

— Powiedzieli, że będą ci służyć za darmo. Byłem przy tym. Kazałeś im odebrać mi igłowiec...

— Tak?

— A kiedy wróciliśmy do tego whorla, miałem go znów przy sobie. Kazałeś mi go odebrać po raz drugi. I jeszcze ci żołnierze, których robał rozszarpał na sztuki... Co za potworność! Ale oni ożyli, a córka generała zmarła.

— Mówiłeś, że chcesz mi pomóc — przypomniałem mu.

— Owszem. Umiesz przewidzieć przyszłość? Tak twierdzi jeden z mieszkańców twojego miasta.

— Nie zawsze.

— Ale czasem tak. Pewnie dość często. Czy zgodzisz się ze mną, że orda Blanco zostanie pokonana?

Odparłem (spokojnie, mam nadzieję), że to on tak powiedział, ja zaś zdaję się w tej kwestii na niego, skoro jest takim znawcą spraw wojskowych.

— Dzieweczka idzie — ostrzegł nas Oreb.

— To pewnie żona gospodarza — domyśliłem się. — Mam nadzieję, że jej nie obudziliśmy.

— Kto wygra wojnę? Na pewno wiesz! Powiedz mi, szybko! I szczerze! — Sfido przełknął ślinę. — Nie zwykłem o nic prosić. Nie błagałem o litość nawet kiedy diuk mnie potępił, ale proszę, rajanie, zdradź mi tę tajemnicę, a będę twoim wiernym sługą, dopóki Hierax nie wezwie mnie do siebie.

— Blanko.

Usłyszałem na schodach kroki Volanty schodzącej do sklepu. Weszła do środka, zanim zdążyłem powiedzieć coś więcej.

— Incanto? Czy ten człowiek ci się naprzykrza?

— Nie. Obawiam się, że to raczej ja naprzykrzam się jemu. Przeze mnie nie może udać się na spoczynek, chociaż bardzo go potrzebuje.

— Rybie głowy? — zasugerował Oreb.

— A tak, strawą też by pewnie nie wzgardził. Wątpię, żeby udało mu się coś kupić, jest już późno, ale ludzie jeszcze się bawią na ulicach. Może ktoś nakarmiłby głodnego, gdyby ładnie go o to poprosić.

Nie skończyłem jeszcze mówić, kiedy Volanta skierowała się do kuchni.

— Zostało trochę zupy. Zaraz ją zagrzeję. Zupa z chlebem to najlepsza kolacja.

— Jestem tak skonany, że nie przełknę ani kęsa — mruknął Sfido, ale się oblizał.

Dopiero teraz zwróciłem uwagę, że ma cieniutki wąsik, który prawie ginął w chaosie niechlujnie kiełkującego zarostu. Uprzedziłem go, że musi coś zjeść, choćby kęs chleba i parę łyżek zupy, żeby nie robić przykrości Volancie.

— Blanko wygra? Jesteś pewien?

Wzruszyłem ramionami.

— Wiesz, że nasi najlepsi żołnierze pomaszerowali do Olmo? Olmo chciało zwrócić się przeciw nam, a na wojnie trzeba zaczynać od najsłabszego wroga. Inaczej wbije ci nóż w plecy, kiedy będziesz walczył z innym, silniejszym. Poza tym złupienie Olmo powstrzyma zakusy Novella Citta.

Wyjaśniłem mu, że posłaniec, który zdołał się przedrzeć przez soldyjskie linie, przyniósł mi przed wieczorem wieść, że Olmo jest obleżone. To dlatego mieszkańcy wiwatowali na ulicach.

— Nie będziemy czekać, żeby wziąć ich głodem — mówił dalej Sfido jak człowiek pewny swojej wiedzy. — Szturm zacznie się lada dzień, może nawet już się zaczął. A wasza orda nie zdoła — utrzymać przełęczy. Już dwa razy zepchnęliśmy ją w tył. Generał Morello bawi się z wami, czekając na diuka i jego zawodowców. Na razie wasz Inclito walczy z żołnierzami z poboru — i nie potrafi stawić im czoła.

— Nie brzmi to dobrze — przyznałem.

— Dlaczego chcesz zapłacić najemnikom Kupusa?

— Bo im to obiecałem. — Nie zdążyłem jeszcze wytrzeć pióra ani poukładać zapisanych kartek. Skorzystałem więc teraz z okazji, zrobiłem porządek i zebrałem myśli. — Mówisz, że przeniosłem was, Oreba, Favę i Valico na Zieleń. Dziewczynka, którą nazywasz Morą, naprawdę miała na imię Fava.

Zdziwił się.

— I nie była córką generała Inclito?

Chciałem mu to wyjaśnić, ale tylko pokręciłem bezradnie głową. Gdyby Mora wpadła w ręce nieprzyjaciela (a zakładałem, że tak się stało), Sfido powinien był się dowiedzieć o tym po powrocie do Soldo. Zwłaszcza że nie od razu spotkał się z diukiem.

— Dzieweczka dobra — oznajmił Oreb.

Miał pewnie na myśli Morę, chociaż wolałbym myśleć, że mówił o Favie.

— Nawet gdybym dysponował nadprzyrodzoną mocą, i tak nie wykorzystałbym jej w sposób, jaki sugerujesz. Najemnicy byli zrozpaczeni i uwierzyli, co zrozumiałe, że umiem czynić cuda, więc będę mógł ich uratować. Poza tym walczyli dzielnie, kiedy czyściliśmy tamto stare miasto z inhumich; takie w każdym razie odniosłem wrażenie. Masz oko do spraw taktycznych i z pewnością lepiej ode mnie znasz się na sztuce wojennej. Jak byś ich ocenił?

— Byłem z nich dumny.

— Ja również. Zarobili na lepszą nagrodę niż ta, którą mogę im dać.

Volanta zawołała nas do kuchni. Sfido wstał.

— Gdybym mógł, osobiście bym ich poprowadził. A przez ciebie mogłem się im tylko przyglądać, mając ręce związane za plecami. Pamiętam jednak, jak pomyślałem, że na te kilka dni Sphigx dała mi najlepszych żołnierzy, jacy kiedykolwiek mieli w rękach strzelby. I że cokolwiek przydarzy mi się w przyszłości, lepszych podwładnych miał nie będę.

Przeszliśmy do kuchni i usiedliśmy przy stojącym tam stoliku.

— Mogłabym zanieść zupę do sklepu, gdybym podawała ją Incanto — wyjaśniła z powagą Volanta. — Ale nie gdy podaję ją komuś innemu.

— Mój gość nie zabawi tu długo — mruknąłem.

— Tak?

— Byłby dla was zbyt dużym ciężarem, Volanto. Zwłaszcza dla ciebie. Myślę, że w ogóle nie będzie chciał zatrzymywać się

dłużej w Blanko.

— Przecież zatrudniasz najemników — zauważył Sfido, kiedy Volanta postawiła przed nim miskę z zupą.

— Blanko ich zatrudnia. — Obok parującej miski pojawił się bochenek świeżego chleba, duży nóż o zakrzywionym ostrzu i wyszczerbiony niebieski talerz, który prawie ginął pod ogromną grudą masła. — Ja je tylko reprezentuję.

Sfido pokiwał głową, siorbnął gorącej zupy i zanurzył w niej łyżkę.

— Powiedziałeś, że zbierasz pieniądze, żeby im zapłacić. Skoro generał Inclito powierzył ci takie zadanie, musi to być trudna misja. Jak zawsze, kiedy trzeba od kogoś wyciągnąć pieniądze.

— Nie spodziewałem się tego, ale przyznaję, że napotkałem pewne trudności.

— Nie znam innego fachu prócz wojaczki, więc sam stałem się najemnikiem. — Sfido postukał się nożem w pierś. — Zatrudnisz mnie?

— Mówi pan poważnie, kapitanie?

— Najzupełniej poważnie, rajanie. Jestem odważny, lojalny i mam doświadczenie.

— Z pewnością rozważę pańską ofertę — uśmiechnąłem się. — Diuk skazałby cię na śmierć?

Sfido odgryzł kawałek chleba, przeżuł, przełknął, skinął głową.

— Nie powiedział tego wprost, na początek po prostu wtrącił mnie do więzienia, ale tak by się to skończyło. Boisz się, że mogę być szpiegiem diuka.

— Muszę brać pod uwagę taką możliwość.

— Człowiek dobry — wtrącił od niechcienia Oreb. — Rybie głowy?

Sfido wyciągnął w jego stronę okrawek chleba. Oreb podfrunął bliżej, zanurkował i wyrwał mu go z palców.

— A co ci mówi twoja moc, rajanie? Czy gdybym był szpiegiem, nie wiedziałbyś już o tym?

— Nie mam żadnej mocy. Męczy mnie już powtarzanie tych słów. Wątpię, żebyś był szpiegiem, ale nie mam co do tego pewności.

— W takim razie zatrzymaj mnie przy sobie. Będiesz miał na mnie oko. Widziałem w mieście uzbrojonych mężczyzn w wieku mojego ojca. Widziałem kobiety. Nie przydałby ci się dobry oficer?

Przyznałem mu rację.

— Jako pułkownikowi przysługuje mi pięciokrotnie wyższy żołd niż szeregowcom z twojej armii. — Nabrał łyżkę zupy tak gorącej, że nie nadawała się do przełknięcia, i zjadł ją bez mrugnięcia okiem. — Mam większe żądania, ale nie będę się upominał o pieniądze, dopóki wojna się nie skończy.

Czekałem, co jeszcze powie. Patrzyłem, jak je.

— Diuk skonfiskuje mój majątek. Dom i ziemię. Pewnie już to zrobił. Wyszkołę twoich ludzi i będę walczył po twojej stronie do końca wojny, jeśli obiecasz mi zwrot majątku po kapitulacji Soldo.

Tym razem to ja się zdziwiłem.

— To wszystko, pułkowniku Sfido?

— Plus prawo do łupu, który zgarnę w trakcie działań wojennych. Ale na tym koniec. — Uśmiechnął się, aż błysnęły mu zęby. — Straciłem wszystko, rajanie. Wszystko, na co zapracowałem i o co walczyłem. Dopóki miałem jakiś majątek,

zdawał mi się niewielki, ale odkąd go straciłem, wydaje mi się nieprzeliczoną fortuną. Miałem dom w mieście i trzy farmy. Czy mogę ci zaufać? Czy postąpisz wobec mnie równie uczciwie, jak wobec innych najemników?

Przytaknąłem i podaliśmy sobie ręce.

— Muszę się przespać. Gdybym mógł tu zostać...

— Urbanita cię przenocuje — stwierdziła Volanta. — Drzwi obok. — Wskazała wyciągniętą ręką sąsiedni pokój. — Jeżeli chcesz, ja z nią o tym porozmawiam.

— Proszę, zrób to — powiedziałem.

— Powiem, że to decyzja Incanto — dodała Volanta i pospiesznie wyszła z kuchni.

— Obawiam się, że wyrzuci biedaczkę z łóżka — zauważyłem.

Sfido uśmiechnął się szeroko. Nabrał łyżkę zupy.

— Wojna wymaga poświęceń, rajanie. A skoro o wojnie mowa... Mógłbyś ściągnąć tu wojska ze swojego miasta?

— To znaczy z Gaonu? To nie jest moje rodzinne miasto. Po prostu przez jakiś czas rządziłem nim. Chyba mógłbym tu sprowadzić gaońską armię, ale tego nie zrobię.

— Bo nie sądzisz, żebyśmy jej potrzebowali.

— Przeciwnie. Przydałaby się nam, i to bardzo. Ale oni nie potrzebują nas. Mógłbym poprosić ich, by przybyli i ryzykowali życie. Przypuszczam, że niektórzy przyszliby całkiem chętnie, ale co dziesiąty, może co dwudziesty by zginął. Rannych byłoby jeszcze więcej. I co by za to dostali? Moje podziękowania po zakończeniu wojny?

— Kiedy ta kobieta wróci, pozwolę zaprowadzić się do tego drugiego pokoju i położę się spać. — Sfido posmarował masłem

następną kromkę. — Rano, jeśli to będzie możliwe, chciałbym obejrzeć umocnienia twojego miasta.

Odparłem, że nie będę mu w tym przeszkadzał, ale dodałem, że to także nie jest moje miasto. Prędzej można by powiedzieć, że to miasto Inclito.

— Potem powiem ci, co należy zrobić. Uważasz zapewne, że miasto jest już wystarczająco ufortyfikowane. Całkiem możliwe, że masz rację. Co nie zmienia faktu, że zawsze można coś poprawić.

Sam też muszę się już położyć. Jest bardzo późno. Dobranoc, Pokrzywo. Dobranoc wam wszystkim.

Młodzieniec z południa

Kiedy dotarliśmy w końcu do dżungli — kiedy najemnicy napatrzyli się już na trupy ludzi wyrzucone na brzegi kanału i zmiażdżone w szczękach olbrzymich rzecznych potworów — zwołałem ich wszystkich.

— Próbowałem kiedyś zniszczyć Miasto Inhumich — powiedziałem. — Miałem niespełna setkę ludzi, w większości fanfaronów i tchórzy, fatalnie uzbrojonych, niewyszkolonych i niezdyscyplinowanych. Marzyłem wtedy, żeby mieć pod swoją komendą takich żołnierzy jak wy. Dziś moje marzenie się spełniło.

Ku mojemu zaskoczeniu odpowiedziały mi huczne wiwaty.

— Nie będę was uczył, jak się walczy; zarówno wy, jak i wasi oficerowie znacie się na tym lepiej ode mnie. Wraz z porucznikiem Valico będziemy walczyć u waszego boku i w miarę możliwości wam pomagać. Jeżeli chcesz nas opuścić, Favo, i ostrzec miasto, to teraz jest dobry moment.

— Przecież nie jestem inhumą! Spójrz na mnie!

— Jak chcesz. — Ponownie zwróciłem się do żołnierzy Kupusa. — Wiecie już, że inhumi mają ludzkich niewolników. Nie zabijajcie ich, jeśli nie będą stawiali oporu.

Kilku pokiwało głowami.

— A kiedy zginie ostatni inhum, wrócimy do domu — obiecałem na koniec.

Poszedłem z Favą, Valico, Kupusem i resztą oficerów na rekonesans.

— Będziemy musieli zdobywać dom po domu — zauważył Kupus. — Paskudna sprawa. Spiesz się nam?

Pokręciłem głową.

— W takim razie proponuję poczekać do rana. Im jaśniej, tym lepiej. Zwłaszcza że zapowiada się robota na cały dzień.

— Jeśli nie na dłużej — dodał ponuro Zepter.

Ostrzegłem, że nie mam dla nich jedzenia, ale usłyszałem w odpowiedzi, że żołnierze mają żelazne racje żywnościowe, którymi podzielą się ze mną, Favą i Valico.

Nawet noc spędzona w jamie nie była tak koszmarna, jak ta na Zieleni. Można by się uprzeć, że tak naprawdę nie spędziłem tej nocy na Zieleni, że przez cały czas tuliłem się do zlodowaciałego truchła Fawy w uginających się pod ciężarem śniegu zaroślach. Pamiętam jednak każdą jej chwilę, i właśnie się przekonałem, że nie jestem w stanie pisać o niej, nie czując dreszczy zgrozy. Kiedy ludzie układali się do snu, obszedłem nasze zaimprovizowane obozowisko, żeby przestrzec ich przed insektami (insekty z Zieleni nie przypominają ani owadów z whorla długiego słońca, ani tutejszych, trochę innych, najczęściej ślepych, ale nie wiem, jak inaczej mógłbym je nazwać). Ledwie zacząłem obchód, użądlił mnie jeden z tych fioletowo-żółtych gadów, które nazywamy ognistymi węzami: latająca jaszczurka, nieco podobna do żmii, ale z ogonem skorpiona.

Później rozmawiałem z kolejnymi żołnierzami, chodząc od jednej grupy do drugiej; cały czas miałem świadomość, że do wielu jeszcze nie dotarłem, a inni tymczasem posnęli i będę musiał ich obudzić, żeby ich ostrzec. Szedłem od jednego śpiącego do drugiego, zaglądałem im w twarze — tak jak przed laty w tunelu — szukając Jego Mądrości i licząc (wbrew rozsądkowi) na to, że znajdę Jedwabia, że jednak porzucił Hiacynta i pójdzie z nami, że dołączył do nas, a ja po prostu tego nie zauważyłem; rozmawiałem ze Sklerodermią i Dzierzbą, zostawałem z tyłu, żeby zamienić dwa słowa z Jego Mądrością, którego znalazłem (nie szukając) w tę koszmarną noc pod spowitymi w chmury drzewami, sięgającymi wyżej od naszych najwyższych wież, aż w końcu zacząłem cicho nawoływać: — Jedwabiu? Jedwabiu?

Szedłem tak wśród śpiących ludzi, dopóki Oreb nie złapał mnie za rękę palcami, które w rzeczywistości były lotkami.

— Jedwab tutaj — powiedział. — Jedwab dobry.

Poszedłem za własną radą. Znalazłem owoc znieczulający, rozciąłem go na pół czarnym, trawionym w złote wzory ostrzem miecza, który sobie wyobraziłem, i z płaczem przycisnąłem połówkę do śladu po użądleniu ognistego węża.

Znów odbiegłem od tematu — chyba że za temat uznać opowieść, którą postanowiłem spisać: długą, poplątaną historię moich zakończonych fiaskiem poszukiwań. Nie znalazłem bohatera, którego szukałem na polecenie Szpika i pozostałych.

Ale na razie powinienem napisać o szturmie najemników: następnego dnia uderzyli na Miasto Inhumich i oczyścili je z wrogów. Pracowali w dwójkach i większych grupach: jedna połówka oddziału szachowała inhumich ogniem, pozwalając

drugiej połowie podejść bliżej i skuteczniej ich ostrzelać. Od dwóch dni Sfido i ja uczymy tej taktyki moich rezerwistów. Uczymy ich też innych rzeczy, w tym musztry i strzelania, choć na ćwiczenia strzeleckie nie możemy przeznaczyć zbyt dużo amunicji.

Powinienem nadmienić, że Inclito prawie codziennie śle prośby o żywność, amunicję, koce i ciepłe ubrania. Przybywają od niego wyczerpani oficerowie albo sierżanci, prowadząc muły, zbyt nieliczne, by uniosły osiemnaście, dwadzieścia czy trzydzieści zamówionych pakunków — ale oficerowie i sierżanci nie przejmują się tym zbyt, bo wiedzą, że w mieście nie ma nawet połowy tego, co według rozkazu powinni zabrać.

— Mógłbyś wydać część pieniędzy, które zebrałeś dla Kupusa i jego ludzi, na żywność i juczne zwierzęta — powiedział Sfido, kiedy się dziś spotkaliśmy.

Odparłem, że już to zrobiłem. Poszły na to prawie wszystkie karty, o które tak się wcześniej martwiłem. Zapytałem jednak, dlaczego podsunął mi ten pomysł.

— Poległym nie trzeba płacić. Ten człowiek — (miał na myśli Rimando, który przybył z ostatnim zamówieniem) — dobrze wie, że mam rację, nawet jeśli nie chce tego przyznać. Ty też to wiesz, Incanto. Kiedyś miałeś dwustu żołnierzy Kupusa i ponad setkę wynajętych niezależnie od niego. Do tej pory z pewnością zostało ich znacznie mniej, a kiedy Olmo padnie...

— Olmo już padło — wtrącił Rimando.

— Teraz to już długo nie potrwa.

Podaliśmy mu list od Inclito.

— Generał też tak twierdzi. Chcesz przeczytać?

— Nie teraz.

Odłożyłem list na stół Volanty.

— To jest kapitan Rimando. Kiedy ta przekłeta wojna wybuchła, był moim zastępcą. Teraz generał odesłał go do Blanko. Ma nam pomóc przygotować miasto do oblężenia.

Rimando pokiwał głową.

— Dyskutowaliśmy o taktyce, więc kazałem wezwać ciebie, Sfido, naszego najlepszego specjalistę. Chcemy zapytać cię o radę. Po ucieczce z więzienia w Soldo spędziłeś parę dni wśród wzgórz, prawda?

Sfido przytaknął, a widząc zaciekawione spojrzenie Rimando, dodał: — Nie mam się czym chwalić, kapitanie. Kiedyś byłem bogatym człowiekiem. Udało mi się przekupić strażnika.

— Proszę mu pokazać mapę — zasugerował Rimando.

Odwrociłem list Inclito na drugą stronę, gdzie znajdował się naszkicowany przeze mnie i Rimando plan okolicy.

— Proszę sobie to obejrzyć, pułkowniku, a ja chciałbym jeszcze raz zapytać o Eco. Czy jest pan całkowicie pewien, że nie widział go pan w więzieniu?

— Krótko siedziałem i nie widziałem wielu współwięźniów. Mówiłem ci o tym pierwszej nocy. Mógł tam być. — Przyglądał w zadumie wąsik. — Nie wiem, po prostu nie wiem.

— Wysoki — dodał Rimando. — Silny. Raczej śniady. Często się uśmiechał, przynajmniej kiedy jechaliśmy razem do domu generała. Bez zarostu, mniej więcej w moim wieku.

Wyjaśniłem, że Rimando był drugim posłańcem i miał zostać wysłany razem z Eco, ale Mora, córka Inclito, ukradła mu konia. O nią również zapytałem.

— W więzieniu w ogóle nie było dziewcząt ani kobiet — odparł Sfido. — W każdym razie tak twierdził strażnik...

Wychwyciłem zmianę w wyrazie jego twarzy.

— Coś ci się przypomniało? Powiedz.

— Strażnik powiedział, że mieli tam jedną dziewczynę, ale tuż przed moim przybyciem uciekła razem z kochankiem. Z tego powodu zażądał ode mnie więcej srebra za pomoc.

Rimando spojrział na mnie pytająco.

— Nie rozumiem.

— Diuk wpadł w furję — mówił dalej Sfido. — Następna ucieczka z więzienia mogła przysporzyć strażnikowi kłopotów.

— Czy tamta para też przekupiła swojego strażnika? — spytałem.

— Nie wiem. — Sfido wzruszył ramionami. — Wątpię.

— Strażnik opisał ci tego mężczyznę? — zaciekawiał się Rimando.

— Nie, w ogóle mało mówił o obojgu. Wiem tylko, że dziewczyna wydostała się jakoś z celi, a potem wypuściła swojego kochanka. Mówił, że była duża i silna, jak mężczyzna. — Sfido odwrócił szkic w moją stronę. — A co do mapy... — Wskazał kilka wąskich prostokątów, które Rimando naniósł na szkic zgodnie z moimi wskazówkami. — To są nasze oddziały?

— Starcy i kobiety — odparłem. — Chłopców trzymamy w odwodzie, tutaj.

— Ta podwójna linia to droga na południe, tak? Wasze miasto jest mniej więcej tutaj?

Rimando skinął głową.

— Powiedzieć wam, co o tym myślę?

— Nie — stwierdziłem. — Jeszcze nie. Najpierw powiedz, jak Duko Rigoglio i generał Morello zaatakują.

— Phi! — Sfido był wyraźnie zdegustowany. — To oczywiste. Na lewej flance, tutaj, oparliście się o rzekę. Za to prawa jest

zupełnie odsłonięta. Co tu jest? Pola? Farmy?

— Tak.

— Dowodzona przez Morello infanteria uderzy od przodu. — Sfido zerknął na Rimando. — Rozumie pan, kapitanie? Mam na myśli piechotę, pieszych żołnierzy.

Rimando poczerwieniał, a ja znów zdałem sobie sprawę, jaki z niego młodzik.

— Naturalnie.

— Incanto nie wiedział, o co chodzi, dopóki mu nie wyjaśniłem. Ostrzelają nas, my ich też. Podejdą, a potem się wycofają, jeśli im na to pozwolimy. Kawaleria przez ten czas pojedzie tędy... — Sfido przesunął palcem po mapie. — Uderzy od tyłu i z flanki i zepchnie nas w stronę miasta. Jeżeli weźmiemy najlepsze konie, może we trzech zdołamy uciec. — Znów wzruszył ramionami. — Najmłodszy też mają szansę. Chłopcy szybko biegają. — Grzmotnął mapą o stół. — Pytałeś, Incanto, jak będzie wyglądał atak ordy Soldo na wasze pozycje. Powiedziałem ci. A teraz zapytaj mnie, co o nich myślę, bo ja już dłużej nie wytrzymam.

Z uśmiechem pokiwałem głową.

— Dobrze pan wie, jak wysoko cenię sobie pańskie zdanie, pułkowniku. Słucham.

— To dziecinada. Nie krytykuję cię, Incanto, bo nie jesteś wojskowym. — Sfido wycelował palec w Rimando. — Ale jeśli to pan jest kapitanem, to nie dziwota, że...

— Mówiłem mu! — wybuchnął Rimando. — Tłumaczyłem, że to absurd! Właśnie tego generał kategorycznie nam zakazał!

Wyjaśniłem im wtedy, jaki jest mój plan. Podziękowałem Rimando za muły i poganiaczy. Powiedziałem, że przydadzą się do przewiezienia materiałów, lin i fajerwerków. Wyjaśniłem

też, że następnego dnia musimy zebrać z pobliskich farm woły (do ciągnięcia dział) oraz kobiety i dzieci (do powożenia wołami).

Nie mam teraz więcej czasu na pisanie.

*

To był bardzo długi dzień, ale coś muszę napisać przed snem. Wieczorem wysłałem Oreba, żeby wypatrywał nieprzyjaciela. Wrócił przed chwilą.

— Ludzie idzie! Żli ludzie!

Tego się właśnie spodziewałem. Próbowałem się zorientować, czy jego zdaniem dotrą do miasta przed świtem.

— Wolno idzie — odparł. — Słońce idzie. Ludzie idzie.

W dżunglach Zieleni nieraz dawaliśmy się zaskoczyć inhumim i ich niewolnikom. Tym razem przedsięwziąłem kroki, które mają nam pozwolić uniknąć zaskoczenia. Wystawiłem strażę daleko na północy, na pierwszych wzgórzach. Nie ma u nas jeźdźców z prawdziwego zdarzenia, ale czujka wysunięta najdalej na północ — nie pamiętam, jak Adatta nazwała tę kobietę — ma łódź (z żaglami i wiosłami), zakotwiczoną w miejscu, gdzie rzeka wypływa spomiędzy wzgórz. Nie wiem, czy zdoła wyprzedzić soldyjską armię, ale Adatta zapewnia mnie, że zrobi wszystko, co w jej mocy. A przekonałem się, że Adatta zna się na kobietach.

Wykopaliśmy fosę, a przynajmniej większą jej część. Kobiety poszyły tysiące worków, teraz wypełnionych ziemią; wieczorem wały były w połowie gotowe — takie przynajmniej odniosłem wrażenie. Jeżeli Zewnętrzny da nam jutro choć kilka godzin dziennego światła (o co gorąco się modlę), zanim wróg pojawi

się w zasięgu wzroku, będziemy gotowi. Albo prawie gotowi. Wał sięga mi najwyżej do ramienia, ale jest dostatecznie gruby, by nie przebiła go kula ze strzelby. Próbowałem sobie przypomnieć, jak wyglądał mur, przez który dawno temu przelazłem przy ulicy Złota, i opisać go ludziom. Obawiam się, że nie mamy tu ani kawałka tak solidnej ściany.

Nadal nie jestem przekonany do pomysłu ze świniami, ale Atteno strasznie się do niego zapalił. Sam ma ponad dwadzieścia sztuk, w większości na wpół dzikich knurów.

*

Ranni żołnierze Inclito ściągają do miasta setkami, zamiast, jak do tej pory, po dziesięciu czy dwudziestu na raz. Niezdolnych do marszu pakuje się do koszy i na muły. Moi ludzie źle znoszą ten widok — zwłaszcza kobiety. Szukają wśród rannych mężów i braci i płaczą, nawet kiedy nikogo znajomego nie wypatrzą.

Jedna grupa rannych przyprowadziła ośmiu jeńców. Związali im ręce za plecami — tak mocno, że skóra na ich dłoniach wyglądała jak skóra trupów. Kazałem rozciąć im więzy. Przyniosłem im wino i trochę gotowanego jęczmienia, chociaż niewiele brakuje, żebyśmy zaczęli pożerać świnie Atteno. Twierdzą, że złu — pili i spalili Olmo. Podobno diuk osobiście wydał rozkaz spalenia miasta. Są pewni, że orda Soldo zwycięży, a oni za dzień lub dwa odzyskają wolność. Nie podzielałam ich wiary w zwycięstwo — w każdym razie nie w takie, jakiego oczekują — ale zazdrozczę im pewności siebie.

Przyjechało ostatnie działo. Właśnie ukryliśmy je w stogu siana i pieczemy woły, które je przyciągnęły. Rozentuzjasmowani ludzie chwalą pieczeń i namawiają mnie, żebym jadł, ja jednak wiem, że gdyby nie ogromny głód, nawet bym na nią nie spojrział. Ze zmęczenia nie mogę przełknąć ani kęsa. Kiedy ostatnio spałem dłużej niż godzinę? Chyba trzy dni temu. Dopóki się ruszam, nie jest jeszcze najgorzej, ale kiedy tak siedzę i piszę, nie mogę powstrzymać się od ziewania.

*

Spadł śnieg! Cóż za wspaniała wiadomość!

Położyłem się, obiecując sobie w duchu, że wstanę za minutkę, najdalej za dwie, ale kiedy rzeczywiście wstałem, był późny poranek. Nikt nie przyszedł mnie obudzić. Do rana śniegu napadało na dwa palce, a do teraz pewnie na cztery albo pięć.

Ja spałem, a Sfido i Rimando dokonali przez ten czas prawdziwych cudów. Budowa wału została ukończona. Z pozostałych worków z ziemią i wszelkich resztek, jakie wpadną im w ręce, nasi żołnierze budują chaty i schrony.

Ale najbardziej cieszy mnie śnieg, chociaż od wilgoci oklapły potykacze. Wysłałem paru zaufanych ludzi, żeby je ponaciągali. Fajerwerki złożyliśmy w solarii wiejskiego domu, w którym mieszkam, żeby nie zawilgły; największe niebezpieczeństwo polega w tej chwili na tym, że możemy nie zdążyć ich w porę przenieść na stanowiska.

Stara kobieta, która mieszka tu ze mną, przyniosła mi jabłko i kufel słodkiego cydru. Mówi, że poza jabłkami i cydrem prawie nic jej nie zostało; nasi żołnierze zabrali jej kurczaki, kaczki i

gęsi. Jej mąż nie żyje, synowie służą pod Inclito. Powiedziała, że jest jej mniej żal, ale ja bardziej rozczuliłem się nad nią niż nad sobą. Kazałem Uscicie przyrządzić najlepszą możliwą kolację. Podzielę się nią z moją gospodynią.

Do miasta wracają teraz także sprawni żołnierze. Wielu z nich porzuciło po drodze strzelby — tak wielu, że wysłałem oddział, który ma je zbierać z drogi. Po południu zwołałem ze dwudziestu umęczonych żołnierzy. Rozmawialiśmy przez blisko godzinę. Poprosiłem, żeby ochotnicy zostali z nami. Nikt się nie zgłosił. Gdyby był tu Inclito, połowa przysięgłaby, że będzie walczyć do ostatniej kropli krwi, ale ja jestem kiepskim mówcą.

To ciekawe odejść kilkaset metrów zaśnieżoną, zrytą koleinami drogą i z tej odległości spojrzeć na nasze miasto oczami nieprzyjaciela. Wały nie robią wielkiego wrażenia, a wykopaną przed nimi fosę łatwo przeoczyć (zwłaszcza teraz, gdy zasypuje ją śnieg). Powtarzam naszym ludziom, że wróg zjawi się jutro pod wieczór, tak jakbym był o tym całkowicie przekonany.

— Jeszcze jeden dzień — mówię. — I będzie po wszystkim.

Jak by nie patrzeć, zawsze chodzi o to, żeby wytrzymać jeszcze jeden dzień.

Starowinka nie chciała zasiąść ze mną do obiadu; zaklinała się, że już jadła. Jej szczupła, pomarszczona twarz wydała mi się znajoma. Pomyślałem najpierw, że musiałem ją widzieć u Cugino. Kiedy jednak wypatrzyłem go wśród ludzi sprowadzonych przez Colbacco z południa i zapytałem o tę kobietę, nie skojarzył jej. Miał tylko siekiere; przyniosłem mu strzelbę. Ucieszył się na widok mojego kostura, chociaż zdziwił się, że wciąż go mam.

*

Niedługo po świcie minął nas regularny oddział żołnierzy — zdrowych, nie rannych — wycofujący się z pola bitwy. Byli zdyscyplinowani i nie uciekali w popłochu. Nie zdążyłem ich policzyć, ale na oko było ich od pięćdziesięciu do stu. Bardzo by nam się przydali, ale dowodzący nimi oficer miał wycofać się prosto do Blanco i odmówił przyjęcia moich rozkazów. Nie mam tu wielkiego posłuchu, to fakt. Mówił, że Inclito dowodzi tylną strażą cofającej się ordy. Kiedy zapytałem, ilu ludzi ma generał, odparł, że trzystu, ale kłamał. Wiedziałem, że kłamie, a on wiedział, że ja wiem.

Inclito jest już z nami! Wycofywał się z oddziałem jeźdźców, cały czas odgryzając się nieprzyjacielowi. Widziałem też jego woźnicę i Perito, jednego z dwóch służących z farmy. Pytałem o ludzi Kupusa — mają do nas dołączyć w ciągu godziny.

*

Już po wszystkim. To koniec!

Jest chyba północ, ale ja nijak nie mogę zasnąć. Kobieta z północnego posterunku przypląnęła tuż po tym, jak wspomniałem o Perito. Wiedziałem już wtedy, że to nie potrwa długo. Najwyżej godzinę.

Po godzinie wysłałem Oreba, a ten wrócił tak szybko, że wniosek sam się nasuwał: wróg był prawie w zasięgu wzroku.

Zanim przejdę dalej, powiem wam, czytelnicy — kimkolwiek jesteście — że rozstawiliśmy wzdłuż drogi małe oddziały,

zwykle złożone z trzech chłopców dowodzonych przez starszego mężczyznę. Mieli rozkaz strzelić, gdy tylko zobaczą nieprzyjaciela, i wycofać się do naszych szeregów. Większość została na posterunkach chyba dłużej niż zakładaliśmy — kiedy wysyłałem Oreba na zwiad, od jakiegoś czasu słychać było nieregularną kanonadę.

Powinienem też wspomnieć o innej sprawie, chociaż nie ma ona chyba wielkiego znaczenia. W oddziale, który miał odpalać fajerwerki, dostrzegłem młodego człowieka, który boleśnie przypominał mi Skórę i Racicę. Wezwałem do siebie kaprała i zapytałem, co to za człowiek.

— Nie wiem, mistrzu Incanto. Zobaczyłem, że kręci się bez celu, i zapytałem, z którego jest oddziału. Nie umiał odpowiedzieć, więc zagoniłem go do roboty u siebie.

— Słusznie. Jak się nazywa?

Kapral (za młody, żeby służyć w ordzie Inclito) zamyślił się i skubnął brodawkę na policzku.

— Nie wiem, mistrzu. Powiedział mi, ale... Nie pamiętam.

— Zapytajcie go jeszcze raz, kapralu, i w wolnej chwili przyprowadźcie do mnie. Chciałbym z nim porozmawiać.

Kapral obiecał, że spełni moją prośbę, zasalutował i już miał wyjść, kiedy obrócił się na pięcie.

— Cuoio, mistrzu. Wiedziałem, że w końcu sobie przypomnę.

Ale Cuoio i kapral nie przyszli. Może któryś z nich zginął, może nawet obaj, chociaż mam nadzieję, że tak się nie stało. Może zjawią się jutro. Z pewnością są nie mniej zmęczeni ode mnie.

Jutro napiszę o bitwie. Poświęcę na to cały wieczór. Zdążę do tego czasu odpocząć i przyjąć raporty. Mam nadzieję, że uda mi się stworzyć rzetelną relację.

Znów nas zaatakowali, ale odparliśmy szturm.

Alga śpiewa. Słyszę ją, choć okna i okiennice są zamknięte, a w kominku buzuje ogień. Czuję, że muszę do niej iść, ale nie mogę tego zrobić.

Bitwa o Blanko

Wczoraj wieczorem byłem potwornie zmęczony i naprawdę sądziłem, że dziś na noc wrócę do ciepłutkiej sypialni w moim wiejskim domu i będę sobie pisał przy lampie, na sosnowym stole, do wtóru chrapania Sfido śpiącego na sienniku. Tymczasem (co było do przewidzenia) jestem znów wśród tych kamienistych, ośnieżonych wzgórz i szukam niedobitków ordy diuka — pokonanej i rozbitej ordy, która niczym morska fala roztrzaskała się o skałę Novella Citta i najwyraźniej zmieniła w wodny pył. Ale do tego wrócę w swoim czasie.

Nie znaleźliśmy jeszcze Mory ani Eco, liczę jednak na to, że jutro szczęście nam dopisze. Niewykluczone, że już są z Inclito gorąco się o to modłę.

Chciałbym od razu przejść do relacji z bitwy. Było w niej tyle emocji i heroizmu, że piór z obu skrzydeł Oreba nie wystarczyłoby do ich opisanie. Najpierw muszę jednak napisać (i to zgodnie z prawdą, choć nie jest to w tym wypadku łatwe), co się wydarzyło, zanim położyłem się wczoraj spać.

Obiecałem wam rzetelne sprawozdanie, wstałem, zakorkowałem kałamarz i zacząłem wycierać pióro, kiedy do

drzwi zapukała moja stareńka gospodyni. Robiła tak co wieczór, odkąd u niej zamieszkaliśmy. Zapytała, czy czegoś nie potrzebujemy, bo chciałyby się już położyć.

Odparłem, że niczego nam nie brakuje; ba, jesteśmy w znacznie lepszej sytuacji od większości ludzi, którzy dzielnie walczyli, a nie mogli liczyć tej nocy na schronienie pod jej dachem. Podziękowała mi za te słowa i zaczęła się krzątać po pokoju, przekładając drobiazgi z miejsca na miejsce (jak to kobiety mają w zwyczaju). Mamrotała coś pod nosem i pokasływała prawie tak samo jak ja. Poruszała się przy tym (choć wtedy nie zwróciłem na to uwagi) z niezwykłą gracją, która przywiodła mi na myśl ciebie, Pokrzywo, a także, w mniejszym stopniu. Wieczorną Pieśń, Wrotycz, Algę, Hiacynta i inne — a może po prostu wszystkie — kobiety (a przynajmniej wszystkie młode kobiety), które znałem w różnych czasach i miejscach. Pomyślałem wtedy, zdejmując buty i togę, że żałuję, bardzo żałuję, iż nie mamy córki, chociaż bywały chwile, że ledwie udawało nam się wyżywić te dzieci, które mieliśmy — samych synów. Byli dobrymi synami. Przynajmniej dopóki Ścięgno nie dorósł.

A czasem wykarmienie ich nas przerastało.

Przypomniałem sobie Ścięgno i Kraitę, a potem wróciłem pamięcią do tego okresu — waham się, czy powinienem tu o tym pisać, gdyż wiem, że sprawię ci tym ból — kiedy dopiero budowaliśmy nasz dom. Inhumi zakradł się do naszego małego namiotu i pił krew naszego syna. Właściwie powinienem napisać: inhuma zakradła się i piła krew, choć wtedy oboje przypuszczaliśmy, że był to samiec.

— Przeze mnie nie możecie się rozebrać, panie — zauważyła gospodyni, kiedy umyłem się i wytarłem stopy.

Wśliznąłem się pod kołdrę i zamknąłem oczy. Pod powiekami natychmiast rozbłysły mi soldyjskie strzelby.

— Co noc kładę się spać w tunice i spodniach — wyjaśniłem, tłumiąc ziewnięcie. — I przykrywam się togą, bo tak jest cieplej.

Rozdałem pościel tym, którzy musieli spać na dworze i w nie — ogrzewanych szopach. Bardziej jej potrzebowali niż ja. Zostawiłem sobie tylko jedną starą kołdrę.

Starowinka wymamrotała coś w odpowiedzi, życzyła mi dobrej nocy i zdmuchnęła lampę.

— Dziękuję, Jahlee — powiedziałem bez zastanowienia.

Dziwne to były słowa, przyznaję, ale nawet teraz nie jestem wcale przekonany, że się myliłem.

Przez dwie godziny — które ciągnęły się jak dwa lata — nowa straż przednia ordy Soldo przesuwiała się w tę i z powrotem wzdłuż naszych wygiętych w podkowę wałów i rowów, ostrzeliwując nas od czasu do czasu, a przede wszystkim — szacując nasze siły. W końcu jeden z oficerów wystąpił naprzód z białą flagą. Inclito wysłał mnie na rozmowy.

— Pułkownik Terzo — przedstawił mi się z uśmiechem oficer.

Podaliśmy sobie ręce. Przedstawiłem się również i wyjaśniłem, że oficjalnie nie wchodzę w skład ordy Blanko, przyjaźnię się natomiast z jej dowódcą i staram się mu służyć radą i pomocą.

— Więc nie jesteś wojownikiem, co? I nie walczysz, Incanto?

— Do tej pory nie walczyłem. Nie mam strzelby. Przyznaję jednak, że dowodziłem ludźmi, którzy z wami walczyli.

Nie skłamałem, ale wyraźnie czułem na biodrze ucisk zatkniętego za pas azotha.

Terzo spochmurniał i pokręcił głową.

— Nie będzie ci lekko, kiedy dostaniesz się do niewoli.

Odparłem, że dołożę starań, by do tego nie doszło.

— Bywają takie chwile, a wierz mi, Incanto, mówię z doświadczenia, że nie da się tego uniknąć. Wiele wojen widziałem.

Stwierdziłem, że zdaję sobie z tego sprawę, i dodałem, że we „Whorlu” byłem przez pewien czas jeńcem żołnierek z Trivigaunte.

— Widziałeś je? Walczyłeś przeciw nim?

Pokiwałem głową.

— W Grandecitta zawsze myśleliśmy, że to tylko legenda. Kobiety-żołnierze? Nawet Pah by się na to nie zgodził! Tak mówiliśmy.

— Dzielnie stawały. Teraz wiem, że walczyły lepiej ode mnie, chociaż wtedy tego nie zauważałem. My, to znaczy Pokrzywa, ja i inni ludzie, walczyliśmy najpierw z naszą własną gwardią cywilną. O, to byli prawdziwi wojownicy. Kiedy przyszło nam zmierzyć się z ordą Trivigaunte, od razu zauważyliśmy, że jej żołnierki są słabsze od gwardzistów.

— Kiedyś porozmawiamy o tym wszystkim przy winie — obiecał mi uroczyście Terzo. — Przegadamy cały dzień. Mam dom na Bacherozzolo, hoduję tam świetną winorośl. Na wzgórzach, od południa, rozumiesz? Na razie jednak muszę spełnić przykry obowiązek i przekazać wam żądania diuka. Macie złożyć broń.

Zauważyłem, że skoro nie znajdujemy się w Soldo, a ja nie jestem obywatelem tego miasta, diuk nie ma nade mną żadnej władzy.

— Nie chodzi tylko o ciebie. — Terzo pokręcił głową. — Także o tych żalosnych dziadków, których tu widzę, i o te biedne kobieciny. I o chłopców. Macie w swojej ordzie chłopców, prawda? Idąc tu, wypędziliśmy paru z kryjówek przy drodze.

Przyznałem, że nasze odwody składają się głównie z młodych chłopców.

— W takim razie nie macie żadnych odwodów. — Terzo rozłożył bezradnie ręce, jakby był poruszony naszą słabością, ale nie mógł nam pomóc. — Kobiety uciekną z krzykiem, gdy tylko bitwa na dobre się zacznie. Nie widziałem jeszcze kobiety, która by padła od cięcia szabli, i nie chcę takiego widoku oglądać. To będzie rzeź, Incanto...

Próbował objąć mnie za ramiona, ale strząsnąłem jego rękę.

— Polubiłem cię, Incanto. Spróbuję ci pomóc. Masz konia?

Przyznałem, że nie mam.

— Widziałem na waszych tyłach paru wiejskich głąbów na koniach. Sześciu? Siedmiu? Ilu ich jest?

— Rzeczywiście, brakuje nam kawalerzystów.

— Nie szkodzi. Pożycz konia od kóregoś z nich. Poddaj miasto, a potem odjedź, kiedy zaczniemy rozbijać te biedne kobiety, które ten łajdak Inclito powyciągał z kuchni. Dopilnuję, żeby udało ci się uciec.

Podziękowałem mu za życzliwość, ale powtórzyłem, że nie mamy zamiaru kapitulować.

— Incanto, nie znasz praw, którymi rządzi się wojna.

— To prawda, ale mam dwóch przyjaciół, którzy mi doradzają. Jeden z nich jest doświadczonym oficerem.

— Przyjaciół masz trzech. Ja jestem tym trzecim. I potrzebujesz nas wszystkich bardziej niż myślisz. Jedna z zasad sztuki wojennej głosi, że niektóre stanowiska są nie do obrony.

Rozumiesz, co mam na myśli? Przypuśćmy, że jakiś siwobrody prostak i trójka — dzieciaków — a widziałem dziś u was takich wojaków — próbowaliby bronić glinianej szopy przed natarciem armii wroga. To właśnie jest pozycja nie do obrony. Czterech największych herosów w historii ludzkości nie utrzymałoby się w takim miejscu, gdyby zaatakowała ich setka zwykłych, szeregowych żołnierzy. Rozumiesz, Incanto?

— Doskonale cię rozumiem.

— Ale ci ludzie potrafią być uparci. Nawet dureń może być bohaterem, tak jak bohaterowie czasem okazują się durniami. Kazaliśmy im się poddać. Odmówili, więc zaatakowaliśmy ich nędzną oborę. Niedługo później w moje ręce trafili dwaj mali chłopcy, dwunasto-, może trzynastoletni (czyli w wieku mojego młodszego syna), pokrwawieni i zapłakani. Opatrzyłbyś ich rany? Zamachałbyś rękami i wyrecytował zaklęcia uzdrawiające?

— Pewnie bym się za nich pomodlił.

— Właśnie. Ale ja jestem żołnierzem i nie miałem wyboru. Próbowali utrzymać pozycję, której nie dało się obronić. Wiesz już, do czego zmierzam? Musiałem ich zastrzelić. I zrobiłem to.

Byłem tak wstrząśnięty, że nie mogłem wykrztusić ani słowa.

— Nie chciałem cię rozstrzelać, Incanto. Może nawet bym próbował, ale pewnie zabrakłoby mi zimnej krwi. Wezwałem któregoś z podwładnych, oddał cię w jego ręce i udał, że nie widzę, co się z tobą dzieje. Proszę cię, nie skazuj mnie na takie męki.

Pokręciłem głową.

— Nie mówi pan poważnie, pułkowniku...

— Ależ mówię!

— Ja również. Z pewnością zna pan naszego pułkownika Sfido.

Twarz Terzo stężała.

— To jeden z dwóch przyjaciół, o których wspomniałem. Dowodził waszą strażą przednią, złożoną z dwustu najemników. Pan zastąpił go w tej roli, pułkowniku. Najemnicy przeszli na naszą stronę, o czym z pewnością nie muszę panu mówić. Walczyliście z nimi na wzgórzach. Ze Sfido też. Mogę go zawołać, jeżeli chciałby pan z nim porozmawiać.

— Nie. — Terzo spuścił wzrok.

— Diuk Rigoglio chciał go rozstrzelać za to, że przyniósł prawdziwe wieści. Diukowi prawda się nie spodobała.

— To tylko sen — mruknął Terzo. — Zły sen.

— Sfido przyszedł więc do nas. Nakarmiliśmy go, znaleźliśmy mu zajęcie i dach nad głową. Po upadku Soldo oddamy mu jego majątek. Wróci do domu, zamieszka w nim z żoną i dziećmi, tak jak przed wojną. Mam nadzieję, szczerą nadzieję, że pan nie wpadnie w takie tarapaty jak on. To mało prawdopodobne, gdyż wasz diuk wkrótce zostanie usunięty z urzędu. Gdyby jednak coś panu groziło, pułkowniku, proszę bez wahania przyjść do nas. Obiecuję panu uczciwy proces.

Terzo wyprężył się na baczność.

— Odmawiacie zatem kapitulacji? Mam zameldować, że jesteście gotowi walczyć do końca?

— Czemu nie... Przypuszczam, że uciekniemy, jeśli bitwa nie potoczy się po naszej myśli. Ale na razie nie mamy przed czym uciekać.

Spodziewałem się, że po powrocie do swoich oddziałów natychmiast wyda rozkaz szturm, ale nie zrobił tego.

Czekaliśmy więc w napięciu, ja zaś kazałem rozdać stojącym na wałach żołnierzom skromne racje żywnościowe.

— Lepiej, żeby się nam udało, Incanto — powiedział Inclito, patrząc na naszych ludzi. Jedni jedząc opierali się o zbudowane z worków ściany, inni po prostu przykucnęli w śniegu.

— Czy Pah wygna nas z tego whorla, jeśli się nie uda?

Odwrocił się zdziwiony w moją stronę.

— Wątpię, żeby w ogóle tu był. Został tam, na górze, razem z długim słońcem.

— W pewnym sensie tam również nigdy go nie było. Ale można też powiedzieć, że jest z nami, bo ja tu jestem.

Inclito nic nie odpowiedział. Nie umiem powiedzieć, jak długo trwało to milczenie, bo pogrążyłem się w rozmyślaniach.

— Bo się do niego modlisz — odezwał się w końcu. — O to ci chodzi? O to, że słyszy twoje modlitwy?

— Przynajmniej taką mam nadzieję.

— Ja też. Myślisz, że niedługo zaatakują?

Odparłem, że nie wiem i że niedawno głowę bym sobie dał uciąć, że lada chwila ruszą do szturmu. Wyglądało jednak na to, że postanowili poczekać na resztę ordy.

— Pułkownik Terzo wyrażał się o nas z taką pogardą, że mu uwierzyłem. Spodziewałem się, że uderzą natychmiast, gdy tylko odrzucimy żądanie kapitulacji. Ale chyba zmienił zdanie.

— Ty byś zaatakował?

— Nie. Ale gdybym rządził w Soldo, w ogóle nie próbowałbym podbić Blanko.

— Pułkownik Terzo nie rządzi w Soldo... Ale to dobra odpowiedź. Incanto?

— Tak?

— Zwykle kiedy pytam, co myślisz o...

— Ludzie idzie! — zakrakał z góry Oreb. — Ludzie źli! Szybko idzie!

Podniosłem kostur, żeby miał gdzie wylądować.

— Konni?

— Koń idzie! Ptak widzi!

— To na to czekał... — Inclito pokiwał głową. — Na kawalerię. I na kogoś, kto zamiast niego wyda rozkaz. Przestraszyłeś go, Incanto. Mnie też przerażasz. O co ci chodziło z tym Pahem, który nas wygna?

— Tylko o to, że tego nie zrobi. A przynajmniej ja w to wątpię. Zadawałem sobie pytanie, co się stanie, jeśli przegramy.

Inclito zaśmiał się oschle.

— Pewne jest, że Mora, o ile jeszcze żyje, zostanie sierotą. Skazańca powinno się grzecznie zapytać, czy chce, aby zawiązać mu oczy, a on powinien odmówić. Chociaż wtedy to już chyba bez znaczenia, co się powie.

Przypomniał mi się Świnia. Pomyślałem o Vironie i o wszystkim, co mogło się tam wydarzyć podczas mojej nieobecności.

— Przez jedno, może dwa pokolenia Soldo będzie panować nad Blanco. Potem Blanco zrzuci jarzmo niewoli, zginą kolejni ludzie. Później wydarzy się coś innego, zginą następni i zjawia się inhumi, by nocą pić krew tych, którzy przeżyją, by upajać się naszą nienawiścią, strachem i żądzą. Jeszcze później z innych powodów umrą dalsi ludzie i nic nikomu z tego nie przyjdzie. — Westchnąłem ciężko. — Posłuchaj, Inclito: najemnicy służą nam już prawie pół miesiąca. Czy wycofałeś do rezerwy tych, którzy jeszcze żyją?

— Tak. Stu trzydziestu siedmiu. Taką liczbę zapamiętałem, ale możliwe, że jest ich odrobinę mniej.

— Chcę im zapłacić. Chcę wypłacić im połowę miesięcznej stawki, zanim zacznie się bitwa. Mogę to zrobić?

— Masz pieniądze?

— Mam cztery razy więcej niż potrzeba. Mogę?

— Naturalnie, śmiało. Myślisz, że będą lepiej walczyć? I bez tego spisali się na medal.

— Ja będę lepiej walczył. Przestaną tak nienawidzić siebie za to, że biorę udział w tej wojnie.

— Człowiek dobry — stwierdził z przekonaniem Oreb.

— Staram się. Chcę również obiecać tym, którzy oszczędzają na własny kawałek gruntu, że po wojnie dostaną od nas ziemię. Zamożni mieszkańcy Soldo mają ogromne farmy, takie przynajmniej odnoszę wrażenie.

— Proszę cię bardzo. — Inclito podrapał się po brodzie. — Dzięki temu zostaną w Soldo, tak... Rozumiem. A jeśli soldyjscy... Dobrze, idź im to powiedzieć, Incanto. Jeśli wygramy, dopilnuję, żeby dostali to, co im obiecasz.

Wiedziałem, że wygramy, ale nie powiedziałem tego głośno. Znalazłem Sfido i we dwóch wyciągnęliśmy ze schowka skrzynię, którą ukryliśmy wkrótce po przybyciu. Wypłaciłem każdemu najemnikowi po trzydzieści srebrnych bitkartów — czyli połowę sumy, jaką co miesiąc wypłacaliśmy najemnym żołnierzom w Gaonie. Powiedziałem też o obiecanych przez Inclito farmach.

Kapitan Kupus wziął mnie na stronę.

— Każdy dostanie własne gospodarstwo? I dość ziemi, żeby wyżywić rodzinę?

— Tak. Główni poplecznicy diuka posiadają sporo dobrej ziemi wokół Soldo. Zostanie im odebrana, co zrozumiałe, a Inclito postanowił rozdać przynajmniej jej część pańskim

ludziom, kapitanie. Dzielnie walczą w obronie Blanko i sporo dla miasta wycierpieli.

Atteno przerwał nam rozmowę, żeby zameldować, że wszystkie świnie zostały wreszcie uwiązane na swoich pozycjach.

— Dostanę aż cztery? — zapytał Kupus, kiedy sklepikarz się oddalił. — Cztery farmy?

Pokręciłem głową.

— To będzie premia, a nie część regularnej zapłaty. Ale postaram się dopilnować, żeby mógł pan pierwszy dokonać wyboru, kapitanie.

Kupus nie należy do ludzi, którzy często się uśmiechają, ale wtedy uśmiechnął się szeroko.

— Nie liczyłem na cztery farmy, ale też nie myślałem o tym, że mogę mieć pierwszeństwo. Nie wszystkie farmy są takie same, prawda? To niemożliwe.

Musiałem mu przyznać rację.

— Najpierw jednak musimy ich pokonać. Co ten mały gość mówił o świniach?

— O knurach. Dorosły knur potrafi być niebezpieczny, prawie tak jak hus.

Kupus pokiwał głową.

— Kiedy powiązać je rozciągniętą w poprzek liną...

Mówiąc te słowa, zobaczyłem pierwszych konnych: maleńkie postaci w mundurach barwy czerwonego wina, rozproszone na tle nagich brunatnych wzgórz. Słońce odbijało się od czegoś, co zrazu wziąłem za przypięte do czapek srebrne odznaki. Później okazało się, że odblask pochodził z pierzastych hełmów z polerowanej stali, z ostrzy oficerskich mieczy i czarnych, nasmarowanych oliwą luf strzelb.

— Wcale nie są tacy straszni, na jakich wyglądają — prychnął Kupus. — Wystarczy poczekać, aż się zbliżą, i powystrzelać ich po kolei. — Kiedy nie zareagowałem, zapytał: — Myślisz, że wasze kobiety zdobędą się na to?

Przeczesalem palcami brodę. Pomyślałem o lunecie, którą miałem na słupie. Składała się z dwóch soczewek, zamontowanych w rozsuwanej rurze z drewna i mosiądzu. Przyjąłem ją bez entuzjazmu jako zapłatę za papier i nigdy należycie jej nie ceniłem. Teraz jednak oddałbym za nią pół zawartości naszej skrzyni.

— No, grunt, że jeszcze nie uciekły — mruknął na wpół żartobliwie Kupus. — Powinniśmy być wdzięczni bogini wojny.

Pokiwałem głową, starając się nie myśleć o tym, że mógłbym Wziąć naszą małą łódź zwiadowczą i spłynąć nią do morza.

— Rzeczywiście, pod długim słońcem Sphigx była naszą boginią wojny. Dziękuję, że mi pan o tym przypomniał. A co do pańskiego pytania... Kilka dni temu dostałem od generała list. Pisał w nim, że kobiety i starcy walczyliby zapewne ukryci za murami Blanco, ale nie zechcą się bić, kiedy wyprowadzę ich na równinę pod miastem. Wiedziałem już wtedy, że będą się dzielnie bronić, ale nie namówię ich do szturmowania na pozycje nieprzyjaciela. Pomyślałem też, że Inclito słusznie ocenia kobiety, ale doszedłem do wniosku, że mury Blanco nie są jedynymi murami na tym whorlu. Ścianę można zbudować wszędzie.

— Nie walczy — zakrakał niepewnie Oreb.

— Nie musisz — zapewniłem go. — Nikt ci nie zarzuci tchórzostwa, jeśli odleczysz i schronisz się w jakimś bezpiecznym miejscu.

— Dlatego postanowiłeś wyjść tutaj i zbudować te fortyfikacje.

— Właśnie. Żałuję, że nie było pana wtedy przy mnie, kapitanie, bo mógłby mi pan coś doradzić. Myślałem najpierw o tym, żeby zbudować fort, kwadrat prowizorycznych wałów otoczony fosą, ale Rimando wytknął mi, że wróg mógłby go po prostu ominąć i pójść prosto na miasto. Musiałem przyznać mu rację. — Ośloniłem oczy dłonią. — Wydaje mi się, że konie ślizgają się na śniegu.

— Jak zwykle. Będą się ślizgać jeszcze bardziej, jeśli jazda nas oskrzydli.

— A zrobi to. Powiedziałem, że Rimando ostrzegał mnie, że mogą obejść fort i pójść prosto na Blanko, łupiąc po drodze okoliczne farmy, ale on użył właśnie takiego określenia: „oskrzydlenie”. Uświadomiłem sobie wtedy, że w otwartym terenie, takim jak tutaj, powinniśmy być przygotowani na uderzenie z flanki. W mojej książce włożyłem w usta generała Mięty stwierdzenie, że na pustyni zawsze można oskrzydlić nieprzyjaciela. Generał Mięta była kobietą, a przy tym chyba najodważniejszym człowiekiem, jakiego znałem.

— Szkoda, że nie ma jej tu z nami.

— Szkoda. Ale to była dygresja, w dodatku zupełnie niepotrzebna. Chodziło mi tylko o to, że obsiane pszenicą pola są dla konnicy równie dogodnym polem bitwy jak pustynia. Orda Trivigaunte miała silną kawalerię. Chyba już panu o niej mówiłem?

Kupus skinął głową i wskazał na niebo.

— Tak, na górze. W domu. Ich generalissimus też walczyła konno. Dopiero dużo później dotarło do mnie, że żołnierki wyspecjalizowały się w taktyce walki konnej, ponieważ

większość ich kraju zajmowały pustynie i półpustynie. Poza tym pomagał im fakt, że kobiety są lżejsze od mężczyzn.

Rimando zameldował, że strzelcy zajęli pozycje, i poprosił o pozwolenie na otwarcie ognia. Kawaleria wroga zbierała się na wzgórzach na północ od miasta.

Pokręciłem przecząco głową.

— Teraz tylko byśmy ich rozproszyli. Nie strzelać. Ani jeden strzał nie może paść bez mojego rozkazu.

— Nie strzela! — Oreb podkreślił wagę moich słów.

Kupus odchrząknął.

— Nie chcę się z tobą sprzeczać, mistrzu Incanto, ale kawaleria to w tej chwili największe zagrożenie dla naszych ludzi.

— Grozi nam wiele niebezpieczeństw, kapitanie. Najgorszym z nich są zapewne nasze lęki. Pytał mnie pan o kobiety, prawda? Ale mężczyźni też mogą spanikować.

— Staram się o tym zawsze pamiętać.

— Kobiety będą walczyć z za wałów. Niektórym wały nie są w ogóle potrzebne, z czego powinniśmy się cieszyć. Nieliczne... Sam pan zwrócił uwagę, że Sphigx jest bogiem wojny. Przez grzeczność mówimy „boginią”, ale istotne jest to, że w ogóle mamy takie bóstwo. Ciekawe, dlaczego wybrała sobie taką właśnie domenę: wojnę.

Kupus wyciągnął przed siebie rękę.

— Już tu jadą.

Wydawało się, że powinien był powiedzieć „już tam jadą”, gdyż w pierwszej chwili miałem wrażenie, że konni oddalają się od naszych szaniców: długą czerwono-brunatną kolumną skierowali się na wschód.

Kupus zasalutował.

— Proszę o wybaczenie, mistrzu.

Skinąłem głową, a on truchtem wrócił do naszych rezerwistów. Już w biegu zaczął wymachiwać rękami i wydawać pierwsze rozkazy. Za chwilę chłopcy tworzący pierwotnie całą naszą rezerwę zaczęli zajmować pozycje naprzeciw kawalerii, ponaglani i kierowani przez najemników i żołnierzy, którzy wycofali się z pola bitwy pod dowództwem Inclito.

— Mężczyźni walczyć — mruknął smętnie Oreb.

— Starzy i młodzi — przytaknałem. — I kobiety. A także konie i świnie, przynajmniej taką mamy nadzieję. Ty też kiedyś walczyłeś, Orebie, i bardzo nam pomogłeś.

— Ptak walczy?

Pokiwałem z powagą głową.

— Chciałbym, żebyś i teraz mi pomógł. Porucznik Atteno, ten sam, u którego mieszkałem, odpowiada za odpalenie fajerwerków. — Wolną ręką wskazałem nieregularny żywopłot z prawej strony, na tyłach, gdzie ukrył się Atteno z fajerwerkami i chłopcy, którzy na ochotnika zgłosili się do pomocy. — Chcę, żebyś mu przypomniał, że ma czekać z zapaleniem pierwszego lontu...

— Nie bum.

— Właśnie: nie bum, dopóki konni nie dotrą do długiego rowu.

— Koń idzie — zakrakał z namysłem Oreb. — Idzie dziura.

— Świetnie. A teraz powiedz o tym Atteno. Niech on też zrozumie.

Podniosłem kostur, a Oreb machnął skrzydłami, wzbił się w powietrze i momentalnie zniknął na tle ciemnego nieba. Zaledwie godzinę, może dwie godziny wcześniej minęło

południe, ale dzień był ciemny, jak zwykle, kiedy pada śnieg. Pomyślałem, że fajerwerki wypadną wspaniale, jeśli tylko nie zamokną — bo wtedy nie wypadną w ogóle.

W tej samej chwili uderzyło mnie, że młody człowiek, który do złudzenia przypominał moich synów-bliźniaków, zgłosił się do tamtego oddziału i znajdzie się w poważnym niebezpieczeństwie — zarówno ze strony samych fajerwerków, jak i kawalerzy — stów, którym uda się zawrócić wierzchowce i zaatakować. Przed żywopłotem nie było rowu; nie mieliśmy już także czasu, by rów wykopać — nawet gdybym odważył się zaryzykować, że nieprzyjaciel zobaczy, co robimy. Ze złością upomniałem sam siebie, że w podobnym niebezpieczeństwie znalazło się także kilkunastu chłopców, którzy w niczym nie przypominali mojego syna, i że nie mam prawa wyciągać z biedy jednego, gdy tuzin innych będzie ryzykować życie.

Inclito niespiesznie podszedł do mnie.

— Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy — stwierdził.

— Tak uważasz?

Wzruszył ramionami i wytarł nos w rękaw płaszcza.

— Nie mogę się opędzić od myśli...

— Że powinienesz być siedzieć w mieście, tak jak ci kazałem, i polecić wieśniaków opiece Hieraxa. Jeżeli przegramy, Incanto, znajdzie się setka mądrych po szkodzie krytykantów, którzy będą ci wytykać błędy. Nie powiększaj tej grupy o siebie, jeśli nie musisz. Pamiętajsz tych braci, o których wam opowiadałem? Jeden zabił drugiego.

— Pamiętam.

Ileż razy myślałem z lękiem o tym, że Ścięgno mógłby zabić brata lub matkę! Albo że napadłby na mnie, a wtedy musiałbym

go zabić albo okaleczyć w obronie własnej. Nic podobnego się nie wydarzyło.

— Przez dwa dni wszyscy się wymądrzali, że to było do przewidzenia, ale zanim doszło do tragedii, nikt nie uprzedził mnie ani słowem. — Inclito splunął. — Mora dobrze jeździ konno. Nawet bardzo dobrze. Wiedziałaś o tym?

Odparłem, że Fava mi o tym wspominała.

— A jak myślisz, kto ją tego nauczył? Kto uczył Morę?

— Ty?

Inclito skinął głową.

— Czy gdybym tego nie zrobił, zabrałaby tamtego konia i pojechała z listem?

— Gdybym ja nie napisał listów, nie miałyby skąd wziąć konia.

— Kłamiesz. Jak sądzisz, ile razy wyrzucałem sobie, że nauczyłem ją jeździć konno?

— Pewnie z tysiąc.

— Nie. Osiem, może dziesięć, ale możesz mi wierzyć, że to i tak wystarczy. A wiedziałaś, że nigdy nie dowodziłem armią w czasie wojny?

Pokręciłem głową.

— Zawsze komuś służyłem, próbowałem wykonywać czyjeś rozkazy. Dowodzenie to coś zupełnie innego; zawsze myślałem, że lepszego, ale się myliłem. Wiesz, co mam na myśli?

— Aż za dobrze.

— Wyszkoliłem naszych ludzi i dałem im najlepszy możliwy ekwipunek. Opracowałem plan: chciałem utrzymać pozycję na wzgórzach, oskrzydlić ordę Soldo i nie puścić jej ani na krok dalej. A potem przyszła wojna. To tak, jakbyś był w polu i z daleka widział, że zbiera się na burzę. Zdarzyło ci się to kiedyś?

— Morze było moim polem, ale doskonale wiem, co masz na myśli.

— Rzeczywiście, to chyba żadna różnica. Widzisz więc, że szykuje się straszna burza i wiesz, że jeśli nie zaorałeś pola jak należy, deszcz zmyje wierzchnią warstwę ziemi i wypłucze ziarno. Zresztą może je wypłukać nawet, jeśli wszystko zrobiłeś jak trzeba. Ale burza nadciąga szybko, najeżona błyskawicami, towarzyszy jej huraganowy wiatr. Chciałbyś uciec, ale wiesz, że szproty i kobiety są przerażone, i nie możesz. Tak właśnie widziałem nadciągającą wojnę.

— Ja też się bałem. Powtarzałem sobie, że powinienem zostawić ciebie i Morę własnemu losowi. Gdyby sprawy ułożyły się odrobinę inaczej, z pewnością tak bym zrobił.

— To dlatego zostałeś? Ze względu na mnie i na Morę?

Skinąłem głową.

— Chciałbym cię kiedyś o to popytać... — Wyciągnął rękę. — Ruszyli. Zaczęło się.

— Przecież nie galopują — zaprotestowałem.

— Na razie jadą kłusa. Dopiero kiedy się zbliżą, przejdą w galop. Myślałeś, że od razu ruszą z kopyta?

— Owszem. Tak byłoby dla nas lepiej.

— I właśnie dlatego tego nie robią. — Szturchnął mnie pod żebro, żebym wiedział, że żartuje. — Nigdy nie widziałeś szarży kawalerii?

— Widziałem, ale tamci byli bliżej.

— Ci też będą.

Ruszyłem w stronę dowodzonego przez Kupusa oddziału, rozciągniętego w długi pojedynczy szyk, ale Inclito złapał mnie za ramię.

— Pamiętaj: kobiety i szproty już są przerażeni. Mężczyźni też; ja i ty na pewno. Nie biegnij. Idź.

Miał oczywiście rację. Ruszyłem niespiesznie ku naszej prawej flance, pozwoliłem sobie nawet lekko poutykać. Przechodząc przez wał, spojrzałem na zielone, pokryte płatami śniegu pola ozimej pszenicy i na zbliżającą się do nich czerwono-brązowo-srebrną kawalerię — żwawe konie i doświadczonych jeźdźców, ledwie widocznych w zadymce. Z naszego punktu widzenia byłoby o niebo lepiej, gdyby kołyszająca się na wietrze pszenica wyrosła wyżej. Widziałem stojące w niej świnię Atteno, a także długie łagodne fale biegnące przez łąny, kiedy świnię szarpały łączącą je grubą na palec liną. W większości były to duże, dorodne knury. Bałem się, że spętane zaczną gryźć się między sobą, ale brak macior — i spora długość łączących je sznurów — zapobiegła podobnym ekscesom. A przynajmniej je opóźniła.

Coś — chyba jakieś poruszenie wśród kobiet i starców na wałach — kazało mi spojrzeć na północ. Soldyjska piechota schodziła ze wzgórz, prawie niewidoczna w tumanach śniegu. Widząc ciemne strugi maszerujących żołnierzy, zrozumiałem, jak to się stało, że ludzie Inclito zostali wyparci z licznych dogodnych stanowisk obronnych. Kiedy rozgorzały walki, na każdą setkę naszych wojowników przypadał chyba z tysiąc żołnierzy Soldo. Teraz zaś miałem wrażenie, że tysiąc tamtych przypada na każdych dziesięciu naszych.

— Mistrzu? — Śnieg osiadał Adatcie na włosach i rzesach, osłaniających jej niezwykle oczy. — Przychodzę od pułkownika Sfido. Jeżeli chcecie, mistrzu, przyśle tu część swoich ludzi, żeby wzmocnić tę flankę.

Wskazałem na wzgórze.

— Wiem, mistrzu, ale na pewno on też ich widzi.

— Tak im się przyglądam, Adatto, i zastanawiam się, skąd wy, mieszkańcy Blanko, czerpicie odwagę, żeby w ogóle przeciwstawić się diukowi.

Zwlekała z odpowiedzią tak długo, że zapomniałem o niej i skoncentrowałem się na obserwacji maszerującej piechoty, zanim w końcu się odezwała: — Teraz sami stanowimy swoje prawa, mistrzu. Od tego jest corpo. Wielu z nas, tych starszych, pamięta, co działo się w Grandecitta, kiedy było inaczej.

— Ty też, Adatto? — Odwróciłem się w jej stronę. — Wyglądasz zbyt młodo.

— Ja też, mistrzu.

— Nie wierzę. Dwadzieścia lat temu pewnie jeszcze uczyłaś się chodzić.

— Dziękuję, mistrzu... Mistrzu?

— O co chodzi?

— Generał Inclito chodzi po wałach i ze wszystkimi rozmawia. Myślę, że byłoby dobrze, gdybyście i wy, mistrzu, zrobili podobnie.

— Czy generał albo pułkownik kazali ci mnie o to poprosić?

— Nie, mistrzu. To mój pomysł.

Gestem wskazałem rozciągnięty na dużej przestrzeni rząd chłopców i żołnierzy w postrzępionych płaszczach.

— Tam nie ma wału, kapitanie.

— To prawda, mistrzu. Tylko rów i żywopłot.

— Właśnie, rów i żywopłot. Jeżeli pułkownik Sfido przyśle nam posiłki, osłabi swoje i tak mizerne szeregi. Przysłałby i mężczyzn, i kobiety, jak sądzę. Wy też, kapitanie, przyslibyście tutaj, gdyby wydał taki rozkaz? Stańlibyście na skraju rowu ze

strzelbą i czekali, aż szarżująca konnica znajdzie się w zasięgu strzału?

(Kiedy to powiedziałem — nigdy nie zapomnę tej chwili, Pokrzywo — serce we mnie zamarło. Wydawało mi się, że pierwsi konni minęli już pierwszy potykacz, a to znaczyło, że wypatrzyli go w pszenicy i niepostrzeżenie przecięli. Za chwilę mogli przeciąć następne).

— Oczywiście, mistrzu.

Z wysiłkiem przełknąłem ślinę. Nawet nie próbowałem zapomnieć o czerwonych jeźdźcach, którzy lada chwila mieli nas otoczyć ze wszystkich stron.

— A gdybym to ja wydał wam taki rozkaz? Tylko wam, kapitanie Adatta... Wykonalibyście go?

— Oczywiście. Tam jest mój syn, mistrzu.

— Rozumiem. Nie ma sensu, żebym śladem Inclito robił obchód murów, kapitanie. Możecie zrobić to za mnie. Lepszego przykładu odwagi nigdzie nie znajdę.

Z daleka dobiegły srebrzyste dźwięki trąbki. Adatta zdjęła z pleców strzelbę.

— Jadą. Uważajcie, mistrzu.

Kawaleria ruszyła naprzód jak wezbrana fala — i prawie od razu padło ze dwadzieścia koni. Rimando machał do mnie jak szalony, ale pokręciłem przecząco głową, chociaż podzielałem jego uczucia. Usłyszałem krzyk Adatty: — Ognia! Dlaczego nie strzelają?!

Pierwszy potykacz został przecięty albo zerwany. Czerwono — brązowa fala szła dalej. Część jeźdźców cięła pszenicę na odlew szablami; widziałem, jak jeden z koni pięknym skokiem przesadził leżącego wierzchowca wraz z jeźdźcem. Za chwilę

padły dwa następne. Kwik świń niósł się w powietrzu jak granie trąbki.

Chłopcy strzelili nierówną salwą. Usłyszeliśmy huk, potem zgrzyt, kiedy odciągnęli zamki, żeby opróżnić komory z łusek, i łoskot, kiedy do setek luf równocześnie wprowadzono naboje.

Adatta szarpnęła mnie za nogawkę.

— Mogę, mistrzu?

Skinąłem głową, myśląc, że chce wrócić na stanowisko na wale, ale zanim się obejrzałem, śmignęła wzdłuż szeregu chłopców, poklepując ich po plecach i pokrzykując dla dodania im otuchy.

Przez długą chwilę mogło się wydawać, że kawaleria w ogóle nie dojedzie do rowu. Potykacze opóźniały ją zgodnie z przewidywaniami; mnóstwo koni połamało sobie na nich nogi. Szarży wojsk soldyjskich dzielnie przeciwstawiły się knury Atteno, które, rozdrażnione, wkrótce zaczęły toczyć pianę z pysków. Jeźdźcy często wstrzymywali konie i próbowali strzelać do świń, a wtedy sami ginęli od ognia z naszych strzelb.

Aż w pewnej chwili jakiś wyjątkowo odważny żołnierz wyłaniał się z szyku i w pojedynkę zaszarżował galopem na nasze linie obrony. Jego koń przeskoczył nad ostatnim potykaczem — I wpadł głową naprzód prosto w przysypany śniegiem rów.

W tej samej chwili żywopłot dosłownie eksplodował. Poleciały z niego gwiazdy, czerwone i niebieskie, żółte i pomarańczowe, jak małe diabły śmignęły między konie z jękiem, wizgiem, piskiem i skowytem; przelatywały krętym torem pomiędzy wierzchowcami i eksplodowały w chmurach iskier i wielobarwnego dymu.

— Bum — oznajmił z satysfakcją Oreb, sadowiąc się na moim kosturze. — Koń idzie. Idzie dziura.

Przynajmniej wydaje mi się, że to właśnie powiedział, bo w jazgocie fajerwerków ledwie go słyszałem.

Poza tym w tamtym momencie niezbyt mnie obchodziło, co dokładnie mówi. Wepchnąłem azoth Hiacynta z powrotem za pas (jego ciepła rękojeść mile grzała moje ciało) i ujrzałem pędzącego ku mnie Rimando. Zszedłem więc z wału i spokojnym (jak sędzę) krokiem wyszedłem mu na spotkanie. Przy każdym kroku robiłem efektowny zamach kosturem i mocno się na nim opierałem. Oreb podskakiwał i trzepotał na jego zakrzywionej końcówce, aż w końcu porzucił ją i przeskoczył mi na ramię.

— Możemy strzelać, mistrzu?! — zawołał Rimando.

Odczekałem chwilę, aż bardziej się zbliży, i odparłem, zniżając głos: — Porucznicy mogą sobie pozwolić na bieganie, kapitanie. Kapitanowie chodzą powoli.

— Tak jest! — Zatrzymał się, stanął na baczność i zaszalutował. — Czy mamy otworzyć ogień, mistrzu?

— Celujecie w teren za plecami idącej w naszą stronę piechoty, tak jak poleciłem?

— Tak jest!

— Strzelajcie, gdy tylko konnica nieprzyjaciela zostanie zepchnięta w tę okolicę, kapitanie.

— Już tam jest, mistrzu...

— W takim razie ognia!

Odwrócił się na pięcie i pobiegł w stronę zakopanego w sianie działa, krzycząc coś do swoich ludzi. Odniosłem wrażenie, że mimo jego pośpiechu minęła wieczność, zanim działło wypaliło. Od pierwszego strzału zajęło się siano, więc

połowa załogi rzuciła się gasić ogień, zanim dosięgnie złożonej w pobliżu amunicji, i do obsługi zostało tylko dwóch ludzi.

Chwilę później odezwała się armata umieszczona w stodole; wydaje mi się, że jej załoga czekała na pierwszy strzał, a potem dokonała ostatnich poprawek celownika — i dopiero wtedy ktoś zapalił lont. Niemal od razu zagrało działo umieszczone w lesie nad rzeką, największe i ustawione najdalej od pola bitwy. Od jego grzmotu zadrżała ziemia.

Później nie zwracałem już uwagi na to, która armata w którym momencie strzela ani która sieje największe zniszczenie w szeregach nieprzyjaciela. Inclito wystawił czujkę na drzewie przed domem; siedzący tam oficer żółto-czarną chorągiewką sygnalizował przebieg bitwy. Mimo że wiedziałem, co znaczą dwa machnięcia nad głową, cztery ruchy chorągiewki w dół i reszta znaków, zapomniałem większość szyfru. Jakie by te sygnały nie były, nasze pociski eksplodowały w szeregach wroga, ryły kamienistą ziemię i wyrzucały w górę fontanny brunatnego piasku i kamiennych odłamków, które tylko mnie wydały się nieduże, kiedy biegłem w kierunku naszych wałów i broniących ich ludzi. Wiedziałem, że w rzeczywistości są to ogromne gejzery, śmiertelne dla tysięcy przerażonych soldyjskich żołnierzy i setek spłoszonych koni.

— Wielkie bum — zakrakał Oreb.

— Nieźle to wygląda, co, mistrzu Incanto? — spytała z uśmiechem młoda kobieta o muskularnych rękach.

— Nieźle — przyznałem. — Musimy zmieść kawalerię, zanim się pozbiera i ruszy do drugiej szarży — dodałem rzeczowo, jakbym rozmawiał z Inclito.

— Pokazaliśmy im już nasze sztuczki.

— Właśnie. A fajerwerków pewnie niewiele nam zostało.

Mówiąc, zastanawiałem się, w którym miejscu przejść przez wał, tak jak na ulicy Złota wdrapałem się na mur Mattaka. Tym razem po drugiej stronie nie było jednak uzbrojonego sierżanta, który podałby mi pomocną dłoń, tylko wypełniony śniegiem rów.

— Wygraliśmy! — wykrzyknęła inna kobieta.

— Jeszcze nie. — Zmarszczyłem brwi. — Ale wygramy.

Widziałem ich ciała (wyglądały jak duchy) leżące u stóp muru: martwe kobiety z otwartymi oczami i martwych mężczyzn o brodach (siwiuteńkich brodach) czerwonych od krwi. Alka zdjął koszulę i wywiesił ją przez okno w Juzgado, ale była tak samo czerwona jak brody starców, ja zaś nie miałem żadnej koszuli, białej ani czerwonej, chociaż w taki dzień i przy takim wietrze miło byłoby założyć wełniany podkoszulek.

— Jeszcze zaatakują, prawda? — spytała następna kobieta.

Stała obok drewnianej skrzyni z nabojami do strzelb. Miała włosy przewiązane białą chustką. Poprosiłem ją, żeby oddała mi chustkę, zawiązałem ją na kosturze i przeszedłem na koniec wału, gdzie za namową Sfido zostawiliśmy wąskie przejście w wale i między rowami.

Ktoś — chyba pierwsza z kobiet, z którymi rozmawiałem — zawołał za mną: — Zastrzelą cię!

— Nie bum? — mruknął zaniepokojony Oreb.

Z każdym krokiem nogi coraz bardziej mi ciążyły. Dotarłem do punktu, który upatrzyłem sobie jako znaczący połowę drogi, ale przekonałem się, że do połowy jeszcze daleko. Szedłem jednak dalej i machałem moją flagą, której znaczenie było — musiało być! — oczywiste. Czy maytere Marmur czuła się podobnie, kiedy ja ze względnie bezpiecznego miejsca

obserwowałem, jak miarowym krokiem podchodzi pod dom Krwi?

— Mam dla niej nowe oko — poinformowałem Oreba — W kieszeni. Dla maytere Marmur. Pamiętasz chyba maytere Marmur, co?

— Żelazna dziewczeczka.

— O właśnie. Jeżeli zginę, zanieś jej to oko.

Wyjąłem je z kieszeni i pokazałem Orebowi.

— Człowiek idzie — powiedział. — Nie strzela.

Pułkownik Terzo szedł mi na spotkanie. Zamiast białej flagi trzymał w ręku igłowiec.

— Zabijacie naszych ludzi — stwierdził. — I nasze konie.

— Chętnie przestaniemy to robić — odparłem (obawiam się, że w moich słowach zabrzmiał przepraszający ton) — jeżeli tylko dacie nam ku temu powody.

— Powinienem cię zastrzelić, tak jak tu stoisz!

— Strzelano już do mnie — zauważyłem.

Moja odpowiedź zrobiła na nim większe wrażenie, niż bym się mógł spodziewać. Ręka, w której trzymał igłowiec, zaczęła mu się trząść. Miałem wrażenie, że pobladł nagle, chociaż z tej odległości nie mogłem być tego pewien.

Szedłem dalej, aż stanęliśmy na wyciągnięcie ręki od siebie, jak dwóch przechodniów, którzy przystanęli na rogu ulicy, żeby chwilę porozmawiać. Huk rozrywających się pocisków z dział przybrał na sile; odgłos samych wystrzałów stał się ledwie słyszalny, jak odległy grzmot. Przekrzywiłem głowę, nasłuchując morskiej pieśni Algi wśród niskich łąnów, dymu i śmierci.

— Nie przychodzę tu z rozkazu diuka. — Terzo był wściekły.
— Ani generała Morello. Przyszedłem, bo jestem twoim

przyjacielem.

Podziękowałem mu ruchem głowy.

— Wyprowadziłeś artylerię poza mury miasta. Naruszyłeś wojenne konwencje. Pomyślałem, że powinienem cię ostrzec: jeśli dostaniesz się do niewoli, zostaniesz rozstrzelany.

— Nie zdawałem sobie sprawy z istnienia takich konwencji. Gdzie są zapisane? Jakie sądy nadzorują ich przestrzeganie?

— Wszyscy je znają!

— Macie po prostu wytłumaczenie dla mordowania niewygodnych jeńców. Nie od dziś.

— Zaatakujemy przed upływem godziny, Incanto. A wtedy...

— Zawiesił głos i spojrzał na mnie dziwnie. — Czyżbyś słyszał coś, czego ja nie słyszę?

— Śpiewa — zasugerował Oreb.

Posłuchałem jego rady i w miarę swoich — jakże skromnych — możliwości spróbowałem naśladować melodię i brzmienie słów pieśni Algi. Był w niej szum fal, były niesamowite krzyki morskich ptaków i smutne zawodzenie wiatru.

— To pieśń w języku Sąsiadów, których wy nazywacie Zaginionym Ludem — wyjaśniłem, kiedy łyży zdławiły mi głos w gardle i nie mogłem dłużej śpiewać.

— Prawie... Prawie ją słyszę — wykrztusił Terzo i umilkł.

Położyłem mu dłoń na ramieniu.

— Wyteż słuch, a usłyszysz. Ci, którzy naprawdę słuchają, zawsze ją słyszą.

I wtedy usłyszał. Oczy niemal wyszły mu z orbit.

— Alga śpiewa w miejscu, które znajduje się poza tym whorlem. Zwróć się w jego kierunku, a na pewno ją usłyszysz. — Zaśpiewałem razem z nią kilka słów w języku tych, których Mora nazwała — Ludem z miasta, którego nie umiemy znaleźć".

— „Czekałam w domku o błyszczących oknach, aż przypląw przeniósł twój wrak ponad skalami. Połóż się tu, obok mnie, w ciemnościach. Obudzę do życia zwłoki, które nazywam tobą”. Nie jest to dosłowne tłumaczenie, ale lepiej tego we wspólnej mowie nie umiem oddać.

Ostatnie słowa rzuciłem na wiatr, bo Terzo puścił się biegiem w stronę swoich towarzyszy broni.

*

Dotarł dziś do nas przedstawiciel Novella Citta! To wiadomość tak pomyślna, że aż się boję ją zapisać. Nazywa się Legaro, jest wysoki i dystyngowany, ma siwiejące włosy i jest (jak sam mówi) asesorem (czyli radcą) w Novella Citta.

— Mam przyjemność z mistrzem Incanto — stwierdził, kiedy zostaliśmy sobie przedstawieni. Z obawą uściśnął moją wyciągniętą rękę. — Donna Mora i jej mążzonek dużo nam o was opowiadali.

— Mora jest u was? Wiem, że żyje, ale czy ma się dobrze?

— Dzieweczka bezpieczna? — zawtórował mi Oreb. — Nie strzela?

— Jest cała i zdrowa. Przebywa w blokhauzie w Novella Citta. Ale powinienem o tym powiedzieć diukowi, jej ojcu. Czy on tu jest?

— Wyszedł z oddziałem na patrol. Wróci najdalej za godzinę.

Kazałem Orebowi znaleźć Inclito i powiedzieć mu, że posłaniec przyniósł wieści o jego córce.

— Jesteście jego bratem? Wujem donny Mory?

— Skoro dostąpiłem tego zaszczytu, nietaktem byłoby go odrzucać. Mora jest wysoka, mocno zbudowana, raczej śniada,

prawda? I ma pieprzyk, o, tutaj?

Legaro skinął głową.

— Dostojna i stanowcza z niej dama. Wszyscy przyznają, że pozostawia niezatarte wrażenie. — Nachylił się ku mnie i dodał konfidencyjnym szeptem: — Czy diuk Inclito chce się ożenić z mieszkanką Novella Citta?

— Ma taki zamiar, ale uroczystość nie odbędzie się, dopóki trwa wojna.

— To zrozumiałe.

— Jego wybranka ma na imię Torda. Ale wiem o niej tylko tyle, że jest piękna, pełna wdzięku i luźno spowinowacona z diukiem — kuzynka drugiego stopnia przez małżeństwo czy coś w tym rodzaju. Inclito od lat jest wdowcem, ale o tym donna Mora z pewnością wam mówiła, panie.

— W rzeczy samej. Powiniennem wyjaśnić, że choć ja przybywam do was sam, tylko z jednym służącym, nasza orda jest niedaleko. Mamy czterystu pięćdziesięciu zbrojnych. Zdaję sobie sprawę, że dla was to niewielka siła, ale zapewniam, że żołnierze są dobrze uzbrojeni i zdyscyplinowani.

Podziękowałem mu i dodałem, że będziemy wdzięczni za wszelkie posiłki z Novella Citta.

— Spodziewaliśmy się zastać Blanko obleżone. Mieliśmy nadzieję, że zaskoczemy napastników niespodziewaną odsieczą. — Z uśmiechem zatarł ręce. — Ale możecie sobie chyba wyobrazić naszą radość z waszego zwycięstwa. Opowiedzcie mi o tej wiktorii? Bo widzicie, ja już rozmawiałem z żołnierzami obu stron. Wszystkich napotkanych musiałem przekonywać, że nie jestem ani z Soldo, ani z Blanko, a przy okazji sporo się dowiedziałem. Dowodziliście wojskiem razem z bratem, mistrzu?

Próbowałem mu tłumaczyć, że Inclito jest samodzielnym dowódcą ordy, a ja kierowałem tylko tymi oddziałami, które sam sprowadziłem z Blanco.

— No i działami. Ściągnęliście tu armaty, prawda?

— Słyszałem już, że na wojnie tak się nie robi, ale...

— W powszechnej ocenie jest to niebezpieczny manewr, ale trudno się sprzeczać ze zwycięzcami. A teraz proszę, opowiedzcie mi wszystko, mistrzu. Ze szczegółami. Dowiedziałem się tego i owego, a teraz chciałbym poznać możliwie spójną i rzetelną wersję wydarzeń. Rozbiliście dragonów i zmiotliście gwardzistów, prawda?

Streściłem mu więc przebieg bitwy, posiłkując się spisana już częściowo relacją. Dokończę ją, kiedy następnym razem zasiądę do pisania. Może znajdę przy okazji miejsce, żeby napisać o moich przeżyciach na Zieleni — bo przecież tym właśnie powinienem się przede wszystkim zająć.

Koniec — i co dalej

Soldyjczycy przypuścili następny szturm pół godziny po tym, jak rozstaliśmy się z pułkownikiem Terzo. Żołnierze pierwszej fali pędzili biegiem, kładli się w niskim zbożu i otwierali ogień. Potem znów się zrywali, biegli kawałek naprzód, aż w końcu padali. Po pierwszej fali przyszła druga, po niej trzecia.

Czwartego natarcia nie było.

Ledwie kilka tygodni temu obserwowałem zmasowany szturm armii Hanów. Pole bitwy dosłownie czerniało od ludzi. Kiedy zastrzeliło się jednego żołnierza, na jego miejsce wchodził następny, potem kolejny i jeszcze jeden, nieustępliwi i podobni jak krople deszczu. Być może właśnie dlatego, że miałem takie doświadczenia, żołnierze z Soldo wydali mi się mniej groźni niż byli w rzeczywistości. Kiedy dotarło do mnie, że szturm się zakończył, odczułem ogromną ulgę. Nasi weterani nie potrafili już skakać i biegać jak za młodu, ale chronieni ziemnym wałem mogli strzelać do przeciwnika choćby przez całe popołudnie. Widziałem, że niektóre kobiety cały czas zamykają powieki, naciskając spust, ale nie miało to już

wielkiego znaczenia. Zaś w tych rzadkich chwilach, kiedy widziałem, że moi ludzie płaczą, sam miałem łzy w oczach.

Druga fala doszła aż do głębokiego rowu, wykopanego pod samym wałem. Niektórzy wskakiwali do niego i próbowali wy — leźć na przeciwległy brzeg, ale trudno mi było wyobrazić sobie bardziej beznadziejne przedsięwzięcie. Jednego zszedłem na odlew kosturem, ratując go tym samym przed postrzałem w głowę, który nastąpiłby ułamek sekundy później.

Ostatnie natarcie zbliżyło się do wałów na odległość niespełna piętnastu metrów. Żołnierze zatrzymali się, strzelając i padając pod naszym ogniem. Trwało to dosłownie mgnienie oka, bo zaraz odwrócili się i podali tyły. Inclito poprowadził w pościg nasze odwody — skromną kawalerię, większość chłopców, oraz tych żołnierzy, którzy zeszli z nim ze wzgórz.

Odprowadziłem ich wzrokiem, wdrapawszy się — tak jak przedtem — na jeden z czterech wałów. Znów żałowałem, że zostawiłem moją drewniano-mosiężną lunetę na Jaszczurce. Orda, która wynurzyła się spośród wzgórz, wtapiała się w nie z powrotem, ścigana nie tyle przez naszych rezerwistów, co raczej przez eksplozje pocisków z naszych armat — odległe pióropusze czarnego dymu i fontanny ziemi, które z tej odległości przypominały gejzery żółtawej wody. Albo moczu.

Potem pozostało nam już tylko zrobienie porządków. Nieliczni zdrowi Soldyjczycy poddali się — należało zebrać ich w jednym miejscu i zrewidować w poszukiwaniu broni. Naszych rannych musieliśmy opatrzyć i zaopiekować się nimi w miarę naszych skromnych możliwości. Dwóch starszych mężczyzn, którzy zgodzili się jeszcze raz stanąć do walki w obronie miasta, było lekarzami. Ten, który dzień przed bitwą obejrzał i zabandażował mi ranę, teraz sam został ranny: kula

strzaskała mu prawą rękę tak paskudnie, że trzeba mu ją było amputować poniżej łokcia. Po tym zabiegu pomagał przy innych rannych — robił to, co mógł zrobić lewą ręką, i instruował przypadkową kobietę, która wykazywała spory talent do pracy pielęgniarskiej.

Można powiedzieć, że los naszych rannych był nie do pozazdroszczenia, ale ranni Soldyjczycy mieli się o wiele gorzej — prze — e wszystkim dlatego, że dopóki mieszkańcy Blanco nie zostali opatrzeni jak należy, nikt nie poświęcał uwagi żołnierzom wroga. Po naszej stronie większość postrzałów trafiła w głowy i ręce, a jeśli w korpus, to najczęściej na wysokości barków. Dobrze się stało, bowiem kobiety z niespotykaną stanowczością sprzeciwiały się rozcinaniu koszul i kamizelek, co czasem jednak okazywało się konieczne.

Naszych poległych ułożyliśmy na ziemi. Chcieliśmy okazać im choć odrobinę szacunku, a ponieważ nie mogliśmy okryć ich kocami, przykryliśmy ich słomą, sianem i chrustem. Krótki, mroczny dzień zdążył się przez ten czas skończyć. Śnieg przestał padać. Zrobiło się zimno. Ranni (zwłaszcza Soldyjczycy) umierali na naszych oczach, my zaś byliśmy tak zmęczeni, że każdy ruch przychodził nam z najwyższym trudem. Niektórzy z nas rozpalili maleńkie ogniska i jedli racje żywnościowe zabrane zabitym wrogom; ale większość, do której i ja się zaliczałem, chciała się tylko położyć, byle gdzie, i spać.

Miałem właśnie udać się do mojego domu, kiedy przybyła pierwsza grupa z miasta. Składała się w większości z ludzi, którzy poszli z Inclito na wzgórze — a zatem z ludzi, którzy uciekli w popłochu i ukryli się za murami Blanco, przy czym tylko co dziesiąty nie porzucił w panice broni. Z pewnością

wielu z nich nie dalej niż przedwczoraj przeszło przez nasze pozycje albo obeszło je bokiem. Znalazło się wśród nich paru oficerów. Kazałem ich aresztować, związać im ręce i posadzić w śniegu obok naszych soldyjskich jeńców. Pozostałym kazałem pobrać strzelby (których zgromadziliśmy spory zapas) i dołączyć do nas.

Ledwie zagospodarowałem pierwszy oddział z miasta, a już zjawił się następny. Kiedy z nim skończyłem, przybył trzeci. W końcu udaliśmy się ze Sfido na spoczynek, tak skonani, że nie mogliśmy wykrztusić ani słowa. Z przyjemnością stwierdziliśmy, że staruszka napaliła w naszym pokoju w kominku. Sfido padł jak kłoda, ja jednak stwierdziłem, że mimo zmęczenia nie jestem w stanie zasnąć. Usiadłem więc, napisałem o chłopcu, który przypomina mi Skórę i Racicę, po czym wstałem i podszedłem do drzwi sypialni gospodyni. Nie słysząc jej miarowego oddechu, zapukałem. Nie odpowiedziała.

Wracałem do naszego pokoju, starając się nie obudzić żadnego ze śpiących, którzy rozesłali sobie koce na podłozie, gdy z oddali dobiegły mnie krzyki i odgłosy wystrzałów. Ogłosiłem alarm, a sam pobiegłem na złamanie karku, choć jeszcze przed chwilą wydawało mi się, że kroku nie zrobię o własnych siłach. W rozpaczliwej potyczce w lesie nad rzeką robiłem, co w mojej mocy, mając do dyspozycji tylko swój głos i azoth.

Jak się później dowiedzieliśmy od jeńców, gwardziści diuka — było ich mniej niż stu — znaleźli bród na rzece i przeszli ją, zanurzeni po szyje w lodowatej wodzie, niosąc nad głowami strzelby i prochownice. Nie mogę się wyzbyć wrażenia, że gdyby dowódcy ordy Soldo wykazali się podobną przedsiębiorczością i wyobraźnią, kiedy ich armia była jeszcze

nienaruszona, sprawy mogłyby ułożyć się dla nas fatalnie. Podczas bitwy cały czas obawiałem się drugiego manewru oskrzydającego, tym razem z prawej flanki; bałem się, że uderzą na nas albo świeże oddziały jazdy (nie wiedziałem, że soldyjscy nie mają więcej konnych), albo piechota. Wystarczyłoby dwustu ludzi, żeby mocno skomplikować nam życie — a w każdej z trzech fal, które później przypuściły frontalny atak, było z pewnością więcej niż dwustu żołnierzy.

Położyłem się przed chwilą i spojrzałem w gwiazdy. Jakież one są zimne! Jakie piękne i jak odległe! Zielen, która właśnie zachodzi, wydaje się najzimniejsza z nich i równie odległa, ale ja nigdy nie zapomnę jej dławiących upałów. Naszym rannym pod Blanco groziła śmierć z zimna i od wstrząsu; na Zieleni natychmiast zaczęliby zapadać na groźne choroby. Dobrze — aż za dobrze — pamiętam gnijące rany, pamiętam trupy, których rozkładające się ciała żyły własnym życiem; wyłaziły z nich ślimaki, sine i żółte, i prążkowane stwory przypominające maleńkie kalmary.

Pamiętam, że kiedy chciałem się napić deszczówki ze stulonych liści, wiły się w niej zielone nitkowate glisty.

„Whorl” przemierza nieboskłon — jeszcze jeden zimny whorl, w którym panuje duszne gorąco. Kiedy po nim wędrowałem, noce ciągnęły się całymi dniami. Noce, których nie rozjaśniał ani blask tych pięknych gwiazd, ani światła krain niebios.

Wiem, że Pokrzywa nigdy nie przeczyta moich słów — ba, gdyby siedziała teraz koło mnie, sam zasłoniłbym przed nią te kartki. Ale czy nie mógłbym przesłać jej wiadomości? Przez Oreba? Ta myśl nie daje mi spokoju (choć staram się ją od siebie

odsuwać), odkąd Oreb odszukał dla mnie Algę. Gdybym miał jej coś przekazać, nie pisałbym, że wciąż żyję; nie chciałbym wlewać jej w serce złudnej nadziei. Powiedziałbym raczej, że Zewnętrzny — bóg, który stworzył naszą rasę na jednym z niewyobrażalnie odległych whorli krótkiego słońca, okrążającym jedną z miliardów gwiazd, które podziwiałem — jest dziś równie mocno obecny wśród nas, jak wtedy.

Sąsiedzi musieli mu tu oddawać cześć, chociaż znali go zapewne pod zupełnie innym imieniem. Kiedy składając ofiarę w imieniu Inclito dowiedziałem się, że Mora żyje (teraz Legaro potwierdził moje słowa), nie mniej od niego zapaliłem się do zdobywania informacji i zaskarbienia sobie bożych łask. Jutro — może nie jutro, ale z całą pewnością wkrótce — mam nadzieję znaleźć ołtarz, który Sąsiedzi pozostawili po sobie wśród wzgórz. Jeżeli tak się nie stanie, sam go postawię i złożę ofiarę Zewnętrznemu. A może oddam mu cześć bez składania ofiar? Wiem, że Orebowi bardziej by to odpowiadało.

*

Mam nadspodziewanie dobre wieści — tak dobre, że trudno im dać wiarę — ale zanim o nich napiszę, powinienem nadmienić (co zamierzałem uczynić już wczoraj), że rankiem następnego dnia po bitwie musiałem podjąć kilka trudnych decyzji. Nie umiem na razie powiedzieć, czy moje postanowienia były słuszne, czy nie. Może ty mnie ocenisz, Pokrzywo — albo wy, nieznani czytelnicy.

Sfido nalegał, żebyśmy zebrali wszystkie siły i ruszyli w ślad za Inclito. Tłumaczył mi (słusznie, jak sądzę), że wojnę wygrywa się dopiero wtedy, gdy przeciwnik jest niezdolny do

jej dalszego prowadzenia. Twierdził, że nawet jeśli Inclito dogoni nieprzyjaciela i zmusi go do bitwy, może mu zabraknąć ludzi, żeby go ostatecznie zniszczyć; dlatego, mówił dalej, będzie potrzebował prawdopodobnie wszystkich sprawnych mężczyzn i kobiet, którzy mogliby strzelać.

Z kolei Rimando namawiał mnie, żebym odesłał kobiety do Blanko razem z armatami (którymi dowodził), bo mimo wielkiej przydatności dział, na wzgórze ich nie zaciągniemy. A w Blanko, mówił dalej, będą bezużyteczne, jeśli zabraknie żołnierzy na murach. Bez względu na moje rozkazy kobiety nigdy nie zaatakują nieprzyjaciela z takim uporem i determinacją jak mężczyźni, a do obrony miasta wystarczą — pod warunkiem, że będą miały porządnego dowódcę. Jeśli zaś miasto padnie, wszystko będzie stracone. W tej ostatniej kwestii miał bez wątpienia rację.

Podziękowałem im obu za radę i sam podjąłem decyzję, której ciężar jak zwykle spadł tylko na moje barki.

Najpierw rozporządziłem resztą zebranych w mieście pieniędzy. Ponieważ wolałem nie spuszczać ich z oka, a skrzynia, w której je trzymaliśmy, ważyła swoje, postanowiłem się ich pozbyć, zanim opuścimy nasze pozycje. Zwołałem ludzi, wyjaśniłem, że wypłaciłem najemnikom połowę obiecaną sumy, i podzieliłem resztę pomiędzy tych, którzy brali udział w bitwie; oficerowie dostali podwójną stawkę. Na każdego żołnierza przypadło prawie tyle samo srebra, co na jednego najemnika.

Następnie wygłosiłem drugie przemówienie, obiecawszy sobie solennie, że wypadnie lepiej od pierwszego. Zapowiedziałem, że działa zostaną wycofane do Blanko, a ponieważ zjedliśmy woły, ktoś będzie musiał je do miasta

zaciągnąć — chyba że uda się znaleźć nowe zwierzęta pociągowe. Z drugiej strony, stwierdziłem, Inclito z pewnością przydałaby się pomoc, jeśli ma przypieczętować nasze zwycięstwo. Wobec tego pozwoliłem wszystkim chętnym wrócić do miasta i oddałem ich pod dowództwo major Adatty (którą niniejszym awansowałem) i kapitana Rimando. Mieli pomóc przy transporcie dział, odprowadzić do Blanco jeńców i rannych, a także bronić miasta, gdyby nieprzyjaciół pokonał Inclito i wrócił pod mury.

— Ja zaś z pułkownikiem Sfido wracamy na wzgórze, by zapobiec ewentualnej klęsce generała Inclito. Zabierzemy ze sobą wszystkich, którzy zgłoszą się na ochotnika.

Dołączyli do nas wszyscy ci, którzy przybyli z miasta po zakończeniu bitwy, a także mniej więcej trzecia część pozostawionych przez Inclito chłopców i kobiet oraz dwie trzecie weteranów. Przyznam, że trzy ostatnie grupy ogromnie mnie zaskoczyły. Drugiego dnia dogoniliśmy Inclito, a ja już wcześniej opisałem resztę wydarzeń — w każdym razie tych najważniejszych.

A oto dobra wiadomość, o której wspomniałem na początku: pojaliśmy diuka Rigoglio, generała Morello i pułkownika Terzo. Wszyscy mieli na sobie mundury szeregowych gwardzistów ze straży przybocznej diuka i dopiero reakcja innych jeńców na ich obecność (jeden napluł diukowi w twarz) zwróciła uwagę Sfido. W asyście czterech konnych zabieramy ich do Blanco. Dziś nocujemy pod gołym niebem, ale mam nadzieję, że jutro dotrzemy na pole bitwy, do szańców. Chciałbym przeprowadzić pewien eksperyment.

Rozmawiałem z diukiem. Niezwykły z niego człowiek, ja zaś, przyznaję, muszę być osłem skończonym, skoro wcześniej tego nie rozumiałem.

Był jednym ze śpiących, tak jak Mamelta. Zapytałem, czy ją zna, ale powinienem był przewidzieć, co odpowie — gdybym tylko miał więcej oleju w głowie.

— Mogłem znać twoją przyjaciółkę pod takim czy innym imieniem, ale teraz trudno mi to stwierdzić — odparł. — Minęło wiele czasu, całe lata, zanim zdałem sobie sprawę, że nie wszystko pamiętam. I że nie wszystko, co pamiętam, naprawdę się wydarzyło.

— Kiedy opuszczaliśmy whorl, było z nami wielu takich jak ty, diuku — powiedziałem. — Tak wielu, że musieliśmy wziąć dwa lądowniki, a i tak ledwo się w nich pomieściliśmy. Ci z nas, którzy wychowali się w Vironie, chcieli trzymać się razem, więc wsiedliśmy na pokład jednego lądownika. Na wolne miejsca zabraliśmy takich jak ty, a reszta trafiła na drugi statek. Nasi śpiący — Nie wiem, jak to powiedzieć...

— Upodabniali się do was. Ubierali się i mówili podobnie. Wierzyli w to, w co wierzyacie w mieście, które nazywasz Nowym Vironem.

Niezupełnie to miałem na myśli, ale kurczowo uchwyciłem się tej podpowiedzi.

— Widziałem, jak to się dzieje — ciągnął diuk. — Sam się tak zachowywałem. Nasze wspomnienia są jeszcze mniej godne zaufania od waszych. Z początku próbujemy żyć według nich, ale prędzej czy później prowadzą nas na manowce i dostajemy bolesną naukę. — Powiódł wzrokiem po swoich towarzyszach. Generał Morello i pułkownik Terzo wyglądali, jakby posnęli. Może tak właśnie było. — Wolałbym, żeby tego

nie słyszeli. Właściwie bez szczególnego powodu; większość spraw, o których mówimy, i tak nie ma już żadnego znaczenia. Ale mam swoją dumę, chociaż chciałbym się jej raz na zawsze wyzbyc.

— Biedny człowiek! — zaskrzeczał współczująco Oreb.

— Oto główny powód, dla którego ludzie biorą cię za czarownika, mistrzu Incanto. — Diuk pokazał na kruka. — Drugim jest moc, która pozwala ci zakradać się do snów innych ludzi, tak jak zakradłeś się do mojego. W dodatku razem z tym ptakiem. We „Whorlu” nie było takich gadających kruków, a i tu pewnie nie ma ich zbyt wiele.

Odparłem, że Oreb pochodzi właśnie z „Whorla”, tak jak ja.

— Może i tak, ale jestem pewien, że w Grandecitta nikt o nich nie słyszał. Zanim twój ptak do nas zagadał, chciałem powiedzieć, że w fałszywych wspomnieniach, które zawdzięczam Pahowi, kryła się jeszcze jedna, ostateczna porażka. Czas jednak, bym przestał mieć do niego pretensje za wszystkie moje słabości.

Umilkł i w zadumie potarł wydamy podbródek. Kiedy patrzyłem na jego szlachetną głowę, szerokie ramiona, wysklepione czoło i gęste czarne brwi, wydał mi się ostatnim człowiekiem we whorlu, który byłby gotów przypisywać winę za swoje niepowodzenia czynnikom zewnętrznym.

— Zaufałem Morello. Był przy mnie cały czas, kiedy pacyfikowaliśmy Olmo. Twierdził, że was przejrzał, że wie, na co was stać. Uprzedził mnie, że macie przebiegłych wodzów, i że jeśli sami spróbujemy podstęp, przewidzicie to. Podchody trwałyby całymi dniami, mówił, ale jeśli uderzymy wprost, jak młotem kowalskim, pękną. — Diuk zaśmiał się z goryczą. — Nie pękliście. Dałem się zwieść.

Przypomniałem, że generał Morello próbował nas oskrzydlić.

— Ale zrobił to zupełnie otwarcie. W ogóle się nie krył. Liczył na to, że was przestraszy. Jeden Pah wie, co sobie pomyślał, kiedy zobaczył, że wasza piechota wyszła naszej kawalerii na spotkanie, rozciągnięta w pojedynczy długi szereg. Pewnie doszedł do wniosku, że rzuciłeś na swoich ludzi zakłęcie. — Znów parsknął śmiechem. — Terzo panicznie się ciebie boi. Przeraza go wspomnienie odbytych z tobą rozmów. Na pewno zauważyłeś, że ma stracha.

— Biedny człowiek! — powtórzył Oreb.

— No proszę! Słyszałeś, mistrzu? — Przez chwilę miałem wrażenie, że diuk Rigoglio zaraz się uśmiechnie. — Bystry z niego ptaszek. Zawsze jest tak, że ktoś wygrywa, więc ktoś musi przegrać. Powtarza „biedny człowiek”, a tak naprawdę w ogóle nie słucha naszej rozmowy. Powiedz to jeszcze raz, ptaku.

— Nie, nie!

— Następne uniwersalne słowa. I przydatne. O czym to mówiliśmy?

Odparłem, że chętnie porozmawiam z nim na każdy interesujący go temat, gdyż wystarczy mi sam przywilej konwersacji.

— W takim razie zastanówmy się nad celowością dołożenia opału do naszego małego ogniska. Zrobiłbym to, gdybyś mi kazał. Nie miałbym wyjścia. Mając jednak tak związane ręce i nogi... Cóż, rozumiesz chyba, że nie byłoby to dla mnie łatwe.

— Biedny człowiek!

Dorzuciłem dREW i podniosłem mu do ust butelkę z winem. Pociągnął solidny łyk i z pewnym wysiłkiem wytarł usta o płaszcz na ramieniu.

— Dziękuję. Dobry z ciebie człowiek. Wiesz co, mistrzu? Nie musisz mnie już tytułować Wasza Wspaniałość. Twój brat też się tak do mnie nie zwracał.

— Inclito chełpi się swoim nieokrziesaniem. Przypuszczam, że równie chętnie mówiłby do ciebie, książę, po nazwisku, gdybyś siedział na tronie. To by do niego pasowało. Gdyby teraz użył przysługującego ci tytułu, byłaby to w jego ustach zniewaga.

— Ale wrodzona przyzwoitość nie pozwala mu obrażać człowieka, który i tak niedługo ma umrzeć, tak? Rzadka to cnota, — rzadsza niż można by pomyśleć. Przecież mógł od razu kazać mnie zastrzelić. Dobrze o tym wiem.

— Nie zarżnie! — zaznaczył Oreb.

— Przypuszczam, że corpo cię osądzi. I wątpię, by skazało cię na śmierć.

— Nie ma innego wyjścia. — Diuk smętnie pokręcił głową. — Co nie znaczy, że po tym, co się stało, mam szansę na powrót do władzy. A Pah jeden wie... — Zawiesił głos. — Pah, dobrze mówię? Nasz naczelny bóg?

— Nie, Wasza Wspaniałość. W każdym razie nie dla mnie.

— Biedny człowiek!

— Trafiłem w czuły punkt, co? Zmieńmy temat. Kiedy o mnie mówisz, nazywasz mnie diukiem Rigoglio. Sam słyszałem. Ale na pewno domyślasz się już, że kiedyś musiałem nazywać się inaczej.

Nie wpadłem na to — i wcale tego nie ukrywałem.

— Nazywałem się Roger. Taki w każdym razie napis był wybity na moim kloszu. Chciałbym, by znalazł się także na nagrobku, jeśli ktoś mi go wystawi.

Powtórzyłem, że Blanko nie ma powodów, by pozbawić go życia.

— Mimo wszystko proszę, zajmij się tym, jeśli będziesz mógł. Oni napiszą na kamieniu „Diuk Rigoglio”, i to jest w porządku. Ale chciałbym, że znalazło się miejsce także dla Rogera.

Diuk znów zamilkł i pogrążył się w rozmyślaniach. Otrząsnął się dopiero po dłuższej chwili.

— Pewna kobieta, moja znajoma, nazwała mnie Rigoglio. Po niej podchwycili to inni. Wiesz, jak to się stało, że zostałem diukiem?

— Myślałem, że twoi ludzie wybrali cię na to stanowisko, Wasza Wspaniałość.

— Przyzwyczaili się, że we „Whorlu” Grandecitta miała swojego diuka. Cieszyli się, że tu udało im się wyzwolić spod jego władzy; przynajmniej tak mówili, bo problem polegał na tym, że nie umieli się bez niego rzędzić. W ogóle nie mieli pojęcia, jak się do tego zabrać. Nie podobało mi się imię Rigoglio, więc nazwałem się Duko. Czyli diukiem. Ktoś zaprotestował, pobiłem go, a kiedy minął dzień czy dwa, miałem już grupę młodych mięśniaków, którzy rwali się do bitki w moim imieniu.

— Rozumiem.

— Później zacząłem rozsądzać spory. Jeśli byłeś moim przyjacielem, wygrywałeś. Jeśli nie, przyznawałem rację słabszej stronie, a ciebie kazałem ściąć pod byle pretekstem. Po paru miesiącach miałem w mieście samych zwolenników.

Skinąłem głową, notując jego słowa w pamięci.

— Przypomina mi to Paha, czy jak tam ten bóg się nazywa — zauważyłem. — Zachowywał się podobnie, różniła was tylko skala. Zawsze popierał przyjaciół. Kiedy dwa kraje toczyły wojnę, opowiadał się po stronie słabszego. Z nim przegrywało się tylko raz.

Diuk przetarł kułakiem oczy.

— Czego dosypałeś do wina, mistrzu Incanto?

— Niczego, Wasza Wspaniałość. Sam też je piję.

— Nie w ognisku...

— Uwaga! — Spłoszony Oreb zamachał skrzydłami.

— ... lecz ponad nim.

Spojrzałem w miejsce, które mi wskazał, i zobaczyłem, jak nad ogniskiem materializuje się postać Pleśni, jak gdyby siedzącej na słupie dymu.

— Babbie wrócił — stwierdziła. — Przyszło mi do głowy, że mógłby ci się jeszcze przydać.

— Ależ tak... Naturalnie. Jeśli tylko mógłbym znów mieć go przy sobie...

— To dobrze. Bo on za tobą tęskni. Przyślę ci go.

Dym zawirował i Pleśń zniknęła. Tak jak dawniej, w dniach, które przeżyłem pod długim słońcem, ponieważ przysły mi do głowy dziesiątki pytań, które chciałem jej zadać.

— Dzieweczka znika? — upewnił się Oreb. Zaklekotał dziobem i przyglądał piórka. — Dzieweczka duch!

Przytaknąłem, ale potem popełniłem błąd, przyznając, że chciałem, by wróciła.

— Ptak znika! — oświadczył Oreb. Wzbił się w powietrze i zniknął w mroku nocy.

— To nocny kruk — wyjaśniłem diukowi. — Bez obawy. Widzi w ciemnościach lepiej niż my w biały dzień.

— Nie o niego się martwię — mruknął diuk.

Powiedz „ojcze”

Zasiedziałem się wczoraj do późna (chyba trochę przesadziłem, przyznaję), ale i tak nie spisałem wszystkiego, na czym mi zależało. Teraz więc znów biorę pióro do ręki, kiedy wszyscy już śpią. Mimo że nie udało mi się przeprowadzić mojego małego eksperymentu, i tak mam tyle do napisania, że pewnie nie starczy mi na wszystko cierpliwości.

Ani, jak sądzę, papieru.

Oreb wrócił rano. Pamiętając o tym, jak chwaliłem się nim przed diukiem, kazałem mu znaleźć kamienny stół.

Nie zajęło mu to dużo czasu. Kiedy przyleciał z powrotem, był wyraźnie podekscytowany.

— Stół duży! Kamienny stół. Biały stół. Ptak znaleźć! Na wzgórzu. Obserwuje ptak!

Dziób mu się nie zamykał. Zapewniłem go, że będę go miał na oku, a wtedy zerwał się i poleciał prosto na północ.

Powiedziałem diukowi Sfidu, że zamierzam cofnąć się mniej więcej o godzinę drogi, i kazałem mu jechać dalej, do Blanko, beze mnie.

— Mam dobrego konia — zapewniłem go. — Przed nocą powinienem was dogonić.

Nie był to, rzecz jasna, żaden powód do zmartwienia, ale wyglądało na to, że Sfido bardzo się przejął moim pomysłem.

— Jeśli uważasz, mistrzu, że ta zwłoka jest konieczna, pozwól mi przynajmniej przydzielić ci ze dwóch ludzi do ochrony — zaproponowałem.

Oreb znów pojawił się w zasięgu wzroku. Podfrunął bliżej i zaczął krążyć mi nad głową.

— Widzi bóg! Obserwuje ptak! Widzi bóg!

— Konieczność zwłoki nie podlega dyskusji, Wasza Wspaniałość. Ja to po prostu zrobię i już. To sprawa prywatna, kwestia moich osobistych wierzeń. I nie zamierzam odbierać ci ludzi, których Inclito przydzielił nam do pilnowania jeńców. Ani dwóch, ani jednego, ani żadnej innej grupy.

Po tych słowach zawróciłem i ruszyłem z powrotem, zanim Sfido zdążył mnie zatrzymać.

Powiedziałem, że cofnę się o godzinę, ponieważ wcześniej uprzedziłem Oreba, że interesują mnie tylko te kamienne stoły, które znajdują się w pobliżu. Muszę mu oddać sprawiedliwość: gdybym jechał po płaskim terenie, do wskazanego przez niego ołtarza dotarłbym w czasie krótszym niż godzina. Okazało się jednak, że mój koń musi ostrożnie stąpać po skalistych, smaganych wiatrem wzgórzach i brnąć przez kamieniste żleby, przez co droga zajęło mi blisko trzy razy więcej czasu. Azoth Hiacynta miałem zatknięty za pas pod płaszczem, togą i tuniką, a zatem praktycznie niedostępny — nic więc dziwnego, że moje myśli krążyły wokół dzikich zwierząt i maruderów z ordy Soldo, chociaż nigdzie nie widziałem nawet śladu jednych ani drugich.

Za to porywisty wiatr i przenikliwy ziąb naprawdę dawały mi się we znaki. Otuliłem się zdobycznym płaszczem, wtuliłem twarz w kołnierz, tak jak kiedy jechałem ze Sfido, ale miałem wrażenie, że zrobiło się znacznie zimniej — może przez to, że jechałem pod wiatr, a może dlatego, że tego ranka zima zrobiła kolejny krok naprzód. Ci, którzy mieszkają w domach albo wychowali się w ciepłym klimacie, tak jak ja, na dobrą sprawę nie wiedzą, co to zimno. Podczas mojej długiej, samotnej przejażdżki poznaliśmy się z zimą bliżej; podaliśmy sobie ręce (aż mi się trzęsły) i wymieniliśmy nieuprzejmości, po których kaszlę do tej pory. Przez ten kaszel nie mogę spać. Na koniu stopy mi zamarzały, a kiedy zsiadałem, żeby przejść kawałek pieszo, prowadząc konia za uzdę, rozgrzewałem się wprawdzie, ale poruszałem się znacznie wolniej.

Zgodnie z moimi przewidywaniami znaleziony przez Oreba ołtarz znajdował się na płaskim szczycie wzgórza. Nie było łatwo na nie się wdrapać. Musiałem wspinać się po prawie pionowym — choć i tak najłagodniejszym — stoku, aż w końcu, spocony i zziębnięty, podciągnąłem się, przetoczyłem przez krawędź i stanąłem na kamiennej płaszczyźnie gładziej niż podłoga w twojej kuchni.

Spodziewałem się, że ołtarz okaże się zwykłą kamienną płytą, podobną do tej, pod którą złożyłem ciało Favy; oczekiwałem z grubsza obrobionego bloku, pocerniałego od ognia i wspartego na trzech czy czterech mniejszych głazach. Tymczasem na szczycie znajdowała się prostokątna płyta, wykonana z jakiegoś białego minerału o tak drobnym ziarnie, że przypominał matowe szkło, i podparta dwunastoma smukłymi kolumnami z metalu, który na razie, dopóki nie porozmawiamy osobiście, będę nazywał brązem. Kiedyś

Sąsiedzi tańczyli wokół niej; dotarło to do mnie, gdy tylko ją zobaczyłem i stanąłem na idealnie wypolerowanej posadzce. Tańczyli, a kroczący wśród gwiazd bogowie przyglądali się im i z uśmiechem schylali, by wziąć sobie kąsek z godnego bogów stołu.

Ścięgno znalazł w lesie ołtarz postawiony przez Zaginiony Lud. Próbował mnie namówić, żebym poszedł z nim go zobaczyć, i czynił to w taki sposób, żeby nie narazić się na upokarzającą odmowę. Zastanawiam się teraz, jakich cudów nie obejrzałem tylko przez to, że tak stanowczo mu odmówiłem. Czy tamten ołtarz przypominał stół, do którego dziś przywiódł mnie Oreb? A jeśli nie, to czym się od niego różnił? I dlaczego? Czy Ścięgno złożył na nim ofiarę? A jeżeli tak, to czy miał takie same oczekiwania jak ja? Albo chociaż podobne? Czy ty też tam byłaś, Pokrzywo? Nie mogę się doczekać, kiedy będę mógł z tobą o tym pomówić.

Ścięgno nadal przebywa na Zieleni, o ile w ogóle żyje (czego nie da się powiedzieć o jego ojcu). A będąc na Zieleni, jest dla nas całkowicie nieosiągalny, jak z pewnością stwierdziłby Gagliardo, przyjaciel Sfidu. Jeśli jednak mój eksperyment się powiedzie, jutro ja i moi towarzysze znajdziemy się w tamtejszej dżungli. Jeżeli uda mi się znaleźć Ścięgno, zapytam go o tamten ołtarz, żebyśmy i my mogli go znaleźć — zakładając, że mnie i Skórze uda się wrócić na Jaszczurkę. Jeśli ów ołtarz jest równie niezwykły, jak ten znaleziony przez Oreba, z pewnością warto odwiedzić go więcej niż jeden raz.

Od dziecka miałem wrażenie, że kiedy modlimy się do nieśmiertelnych bogów przy ich ołtarzach, nie składając im ofiar (mimo że złożenie ofiary byłoby możliwe), w pewnym sensie ich obrażamy. Gdybym miał długi, prosty nóż, który

nosiłem u pasa jako rajan Gaonu, całkiem poważnie rozważyłbym możliwość złożenia Oreba w ofierze. Wątpię, żebym ostatecznie się na to zdobył, ale zżera mnie ciekawość, jakie byłyby tego skutki. Mój koń nadałby się na ofiarę nawet w Wielkim Manteionie, bez dwóch zdań — ale nie mogłem się go pozbyć. Poza tym z noży miałem tylko azoth (o którym już wspomniałem), a wierzchowca i tak nie wciągnąłbym na górę.

Jutro znajdzie się dla biedaka jakaś ciepła stajnia. I siano. I pszenica albo jęczmień, jeżeli uda mi się je gdzieś znaleźć, chociaż to wątpliwe.

Porzuciwszy myśl o ofierze, postanowiłem pomodlić się tak, jakbym się modlił w świątyni. Uklęknąłem na gładkiej, żywej skale, z głową opatuloną szalem, i wymamrotałem kilka spośród modlitw, które jeszcze pamiętam. Dawniej, kiedy moje modlitwy pozostawały bez echa, wydawałem się sam sobie żaloszny, jak mały chłopiec, który błagał Hieraxa, żeby ten zabrał innego chłopca, sąsiada, i zrzucił go na głowę jakiegoś złoczyńcy.

Ale nie dziś — dziś moje modlitwy miały mniejszą moc od dobrodusznych kpin Comusa. Kiedyś, jeszcze w scholi, zastanawiałem się, dlaczego duchy, które zostały strącone ze Złotej Ścieżki, nie mogą się ratować modlitwą. Wyjaśniono mi wtedy, że są w ogóle niezdolne do modlitwy. My, żywi, możemy modlić się w ich imieniu, one zaś tylko bezgłośnie poruszają wargami, lecz ich słowa nie mają mocy, nie mogą nic zmienić. Tak samo stało się teraz ze mną, kiedy klęczałem przed białym, zimnym ołtarzem i czułem jego głód. Byłem jak bezpłodna kobieta, która marzy o dziecku, ale nie może go począć, choćby sypiała z setką mężczyzn.

W końcu wstałem, podniosłem głowę i spojrzałem w ciemne zimowe niebo.

— Nie mam noża, więc nie mogę złożyć ofiary — powiedziałem na głos, jakbym zwracał się do stojącego obok drugiego człowieka. — Zresztą nawet gdybym odzyskał moje stare ostrze, nie dałbym wam Oreba, który mnie do was przyprowadził. I tak wkrótce o nas obu się upomnicie. Nie potępiłście mnie jednak — przynajmniej mam taką nieśmiałą nadzieję — kiedy złożyłem ofiarę w imieniu Oliwinu.

Otworzyłem skórzany worek, otrzymany od Volanty przed wymarszem z Blanko, i wyjąłem kawałek soldyjskiego podpłomyka, który sam tam później spakowałem. Wpadłem na pomysł podzielenia się prostym posiłkiem, który jadaliśmy w południe razem z naszymi jeńcami. Zszedłem więc na dół, do konia, i przyniosłem z juków butelkę z resztką wina. Spodziewałem się, że za drugim razem wspinaczka przysporzy mi większych trudności, ale tak się nie stało. Byłem zmęczony, rwało mnie w kostce, a palce u rąk, od początku przemarznięte, do reszty mi zgrabiały. Za to cała ta pustka, która tak mi doskwierała przy modlitwie, zniknęła bez śladu — aż trudno mi było uwierzyć, że kiedyś ją odczuwałem. Przepęłniało mnie szczęście. Gdyby w tamtej chwili zjawił się przy mnie mój stary instruktor i spytał o powód mojej radości, wyśmiałbym go, że szuka wyjaśnienia tak banalnie prostych faktów. Byłem żywy, a Zewnętrzny, który zna mnie na wylot, mimo wszystko o mnie się troszczył.

— To wszystko, co mam — powiedziałem, podnosząc chleb i butelkę ku szarym, nisko zawieszonym chmurom. — Błagam cię, byś dzielił je ze mną, i proszę, byś dopuścił do posiłku także moje zwierzęta.

Przełamalem podplomyk na pol. Jedna polowke zlozylem na oltarzu i polalem winem. Uprzedzilem Oreba, ze nie wolno mu jej tknac. Potem zwilzylem winem mały kasek i podalem go Orebowi. Sam tez zjadlem kawalek, pociagnalem solidny łyk wina i zatkałem butelkę. Resztkę chleba schowałem do mieszka.

Przyszedł i stanął na szczycie wzgórza, za moimi plecami.

Odkąd zacząłem pisać, szykowałem się do opisanie tej sceny, a teraz, kiedy nadszedł czas, jestem równie niemy jak mój wierzchowiec.

Wiedziałem, że tam jest. Wiedziałem, że kiedy się odwrócę, zobaczę ich.

Wiedziałem również, że nie wolno mi tego zrobić. Wybaczone by mi wprawdzie taki akt nieposłuszeństwa, ale i tak musiałbym ponieść jego konsekwencje.

Wstałem na chwilę i przespacerowałem się po obozie, żeby zebrać myśli. Oreb polecał szukać czegoś do jedzenia.

— Ptak poluje — oznajmił.

Przypomniał mi się Krait, który odlatywał z łodzi na ląd, gdy tylko poszliśmy z Algą spać.

Obaj diukowie śpią, podobnie jak szeregowy Cuoio, generał Morello, woźnica i cała reszta żołnierzy. Tylko przerażony pułkownik Terzo przez chwilę wpatrywał się we mnie szeroko otwartymi oczami, zanim je zamknął i zaczął udawać, że śpi.

Wszystko to nie ma żadnego znaczenia.

Tak chyba powinienem napisać, chociaż nie jest to bynajmniej ścisłe określenie stanu rzeczy. Znalazłszy się w obecności Zewnętrznego, zdałem sobie sprawę z istnienia drugiego whorla — nie tak odległego jak Zieleń czy whorl długiego słońca, w którym dorastaliśmy, ale równie bliskiego

jak ten; whorla, który nas otacza, choć my go nie widzimy. Wielu powiedziałoby, że to nie jest prawdziwy whorl, ale byłoby to niemal zaprzeczenie faktom. Wedle standardów tego drugiego whorla, to nasz nie jest rzeczywisty.

Wyobraź sobie obraz. Pamiętasz te piękne obrazy w pałacu calde? Pamiętasz, jak chodziliśmy po pokojach, zdejmowaliśmy pokrowce i z zapartym tchem podziwialiśmy obrazy i ozdobne sprzęty? Na pewno.

Cały czas tam jesteśmy, Pokrzywo, tak jak Jedwab i Hiacynt cały czas klęczą nad stawem w „Gronostaju”.

Jeden z obrazów przedstawiał zatroskanego człowieka, który siedział przy małym stoliku i coś pisał, a jego żona dziergała coś szydełkiem. Pamiętasz go? Czy ten człowiek naprawdę tam był?

Z pewnością był obecny na obrazie — w przeciwnym razie młoda kobieta siedziałaby w pokoju sama i smutna, pochłonięta szydełkowaniem.

Z nami jest podobnie. Wzgórze, na którym znalazłem ołtarz, istniało naprawdę. Znajdowało się w tym whorlu, który z taką łatwością uznajemy za jedyny rzeczywisty — a jest on nie bardziej prawdziwy niż stolik, na którym pisał ten mężczyzna. Kiedy Zewnętrzny stał obok mnie, rozumiałem to doskonale.

Nie, inaczej: nadal to rozumiem, ale wtedy byłem tego w pełni świadomy.

Wyobraź sobie, że jakiś człowiek ogląda namalowany na ścianie obraz i bierze przedstawioną na nim scenę za rzeczywistość. Powiedzmy, że widzi drzwi, a za nimi drugi pokój, w którym stoi zapłakane dziecko w łachmanach. Obserwator chce pocieszyć dziecko, rusza w jego stronę, przystaje i wyciąga rękę, aż w końcu jego palce dotykają farby

na tynku. Tak samo było ze mną, gdy Zewnętrzny stanął za moim plecami: dotknąłem tynku i iluzja się rozviała.

Nie umiem tego lepiej wyjaśnić. Próbowałem wymyślić jakiś sposób, który pozwoliłby mi opisać, jak to jest iść pod rękę z bogiem, wiedząc, że on cię kocha. Alka znał to uczucie. Ja doświadczyłem go na tym wzgórzu. Może później wpadnę na jakiś pomysł — a wówczas nie omieszkać o nim napisać.

Zanim przejdę dalej, muszę nadmienić, że choć konia znalazłem tam, gdzie go uwiązałem, i nie stała mu się żadna krzywda, w śniegu znalazłem odcisnięte tropy jakiegoś ogromnego zwierzęcia. Nie znam się na tropieniu na tyle, by rozpoznać, co to było za zwierzę, ale musiało być naprawdę ogromne. Miało olbrzymie, miękkie, siedmiopalczaste łapy. Może antygrys? W Gaonie polowaliśmy na antygrysy, ale teraz wyglądało na to, że w tej części whorla to one częściej polują na ludzi. Cokolwiek to było, kilkakrotnie okrążyło mojego wierzchowca (dygotał na całym ciele, kiedy do niego zszedłem), ale nie zrobiło mu krzywdy.

Wyjąłem resztkę chleba (niedużo mi go zostało), zamoczyłem ją w winie i nakarmiłem konia, po czym dosiadłem go i odjechałem. Nigdy przedtem nie rozstawałem się z przyjacielem w tak doskonałym nastroju.

Nasz syn jest tutaj, o czym mogłem już wcześniej wspomnieć. Przybrał imię Cuoio... Ale po kolei.

Dogoniłem Sfido niespełna trzy mile od miejsca, w którym się rozstaliśmy. Pamiętasz zapewne, że kazałem mu kontynuować marsz. Posłuchał mojego rozkazu, ale nie uszli daleko. Bardzo

się ucieszyli na mój widok, przynajmniej Sfido. Wezwał do siebie Cuoio, który podjechał bliżej i zasalutował.

— Inclito dał temu młodzianowi konia i przysłał go do nas. Podobno chciałeś się z nim spotkać.

Przytaknąłem i poprosiłem Cuoio, by odszedł ze mną na stronę.

— Wybacz, że odciągam cię od ogniska, ale mam do ciebie sporo pytań. Pytań całkiem niewinnych, ale to nierozsądne pozwolić innym podsłuchiwać rozmowę, która ich nie dotyczy. Byłeś w oddziale, który ukrył się za żywopłotem, prawda? Odpalałeś fajerwerki?

— Tak jest, mistrzu.

— A potem, kiedy fajerwerki się skończyły, ostrzeliwałeś nacierającą kawalerię?

— Nie, mistrzu. Nie miałem wtedy broni. — Wskazał przewieszoną przez plecy strzelbę. — Tę dostałem dopiero po bitwie.

— Rozumiem. Przyszedłeś z Blanko?

— Tak jest.

— Pochodzisz stamtąd?

— Nie, mistrzu.

— Z Grandecitta?

— Nie, mistrzu.

— Z Olmo? Albo z Novella Citta? A może przypadkiem urodziłeś się w Soldo? Nie... Diuk Sfido też nie, pochodzi z Grandecitta, jeśli się nie mylę. Potem większość życia spędził w Soldo, a koniec końców i tak walczył przeciwko niemu.

— Nie wiedziałem, że jest diukiem. Tytułowałem go pułkownikiem, tak jak generał Inclito.

— Z całą pewnością nie ma nic przeciwko temu, bo inaczej zwróciłby ci uwagę. Więc gdzie się urodziliście, szeregowy?

— Daleko stąd, mistrzu — odparł głosem tak cichym, że ledwie go usłyszałem.

Odwróciłem się i zapatrzyłem w ognisko, ledwie widoczne zza skulonych wokół niego sylwetek Sfido i reszty. Nasze biedne konie stały cierpliwie w miejscu, wężąc pod wiatr.

— Nie zaznamy tu wygód — stwierdziłem. — Nawet tak niewielkich jak koc czy ciepło ognia. Zima to nie czas na prowadzenie wojen.

Siedzący na końcówce kostura Oreb przechylił się i zatrzepotał skrzydłami.

— Chłopiec mówi — zasugerował. — Teraz mówi.

— Właśnie, Cuoio, mów. Zdaję sobie sprawę, że możesz długo unikać odpowiedzi na moje pytania. — Odkaszlnąłem. — Długo, ale przecież nie do rana. Czy pomoże ci zapewnienie, że nie jestem twoim wrogiem? Ściętno traktował mnie jak nieprzyjaciela...

Cuoio odwrócił się gwałtownie i spojrzał na mnie.

— Ale w końcu zostaliśmy przyjaciółmi i nawet bitwa, w której wystąpiliśmy przeciwko sobie, nie zmieniła tego. Jakie imię nosiłeś przed przybyciem do Blanko? Jak nazwali cię rodzice?

— Skóra, mistrzu.

— Dziękuję, Skóro. To porządne imię. Dlaczego je zmieniłeś?

— Nikt nie chciał ze mną rozmawiać, mistrzu. Jeszcze zanim dotarłem do miasta. Trafiłem na przykład do takiej wioski. Kiedy powiedziałem, że nazywam się Skóra, odesłali mnie do szewca. To znaczy powiedzieli, żebym poszedł do takiego i takiego człowieka, a on mi wszystko wyjaśni. No i okazało się,

że ten człowiek jest szewcem. Wyśmiał mnie, ale i tak mi pomógł. Poradził mi, żebym przedstawiał się imieniem Cuoio, nauczył mnie jeść tak, jak tu się jada, i ludzie od razu zaczęli traktować mnie życzliwiej.

— Dobrze! Dobrze! — Oreb podskoczył na kosturze.

— Powiedzieli ci to, co chciałeś wiedzieć?

Przytaknął i przekrzywił głowę, nasłuchując.

— Słyszeliście to, mistrzu?

— Słyszę tylko wiatr. Co to było?

— Chyba jakieś duże zwierzę. Raczej nie koń.

— Przypuszczalnie antygrys, chociaż i mnie wydał się zbyt duży. Widziałeś dziś po południu trop, może nie antygrysa, ale na pewno jakiegoś podobnego stwora. Mówiłeś, że po zmianie imienia ludzie zaczęli odpowiadać na twoje pytania. O co pytałeś?

— Niezupełnie tak to wyglądało, mistrzu. — Skóra zdjął z pleców strzelbę i odciągnął bezpiecznik. — Po prostu zaczęli mi pomagać i byli dla mnie dobrzy.

— Moim zdaniem tutejsi mieszkańcy są bardzo przyjaźnie nastawieni do obcych.

— Nazywasz się Incanto, mistrzu, prawda? Imię brzmi, jakbyś pochodził z tych stron.

Zignorowałem jego słowa.

— O co ich pytałeś?

— Szukam mojego ojca, mistrzu. Albo przynajmniej miasta zwanego Pajarocu, bo wiem, że tam się udał.

— I już nie wrócił?

— Właśnie, mistrzu.

— Nie wiesz, gdzie leży Pajarocu, Skóro?

— Nie, mistrzu. A ty?

Pokiwałem głową.

— Powiesz mi, mistrzu? Ja... Byłbym bardzo zobowiązany, mistrzu.

— Może ci powiem, zobaczymy. Byłeś ze mną szczery, Skóro. Doceniam to. Zanim zadam ci dalsze pytania, chcę cię zapewnić, że szczerść nie wpędzi cię w żadne kłopoty. Życzę ci jak najlepiej. Rozumiesz?

— Tak jest. Wspomniałeś o Ścięgni, mistrzu. Podobno uważał cię za wroga.

— Owszem. Byliśmy razem w Pajarocu, ale na pewno nie był twoim ojcem. Mógł mieć najwyżej dziewięć, dziesięć lat, kiedy ty przyszedłeś na świat.

— Ścięgno jest moim bratem, mistrzu. Nie, inaczej: mam brata o tym imieniu, ale możliwe, że mówimy o dwóch różnych osobach. Jest wysoki i ma ciemne włosy tak, jak ja. I duże dłonie.

— Tysiące ludzi pasuje do takiego rysopisu, szeregowy. — Tym razem rozkaszałem się na dłużej. — Jak wygląda twój ojciec?

— Nazywa się Róg, mistrzu. Jest mniej więcej mojego wzrostu, może odrobinę wyższy. Przy kości. Łysawy.

Odwinąłem szalik i rozpuściłem włosy.

— Tak jak ja?

— Nie, mistrzu. Masz znacznie więcej włosów niż on, a poza tym jesteś siwy, a on szpakowaty. I, jak mówiłem, prawie łysy.

— Mojego wzrostu?

— Nie, mistrzu. Bliżej mu do mnie. Nie sądzisz, mistrzu, że powinniśmy wrócić do ogniska?

— Jeśli chcesz, Skóro, to proszę bardzo. Ja jednak chciałbym zadać ci jeszcze mnóstwo pytań. — Zacząłem wchodzić na

wzgórze wyrastające z lewej strony. — Czy nie będzie ci przeszkadzało, że inni nas słyszą? Chciałbym cię wypytać o twoją ojczyznę, matkę, braci i tak dalej. Czy w obecności diuka Sfido i reszty będziesz ze mną równie szczerzy jak teraz?

— Tak, mistrzu. Postaram się, tylko...

— Tylko co?

— Dowiedzą się, że nie jestem stąd.

Zatrzymał się, więc skinąłem na niego, żeby szedł za mną.

— To prawda. Jeśli jednak ja będę nazywał cię Cuoio, a ty będziesz nadal jadł i mówił tak jak oni — sposób mówienia jest najważniejszy, chociaż o tym nie wspomniałeś — nikt nie zauważy różnicy. Poza tym zamierzam cię adoptować. Szukałeś ojca, ale go nie znalazłeś. Czy sprawiłoby ci to kłopot, gdybyś miał mnie nazywać ojcem?

Zawahał się, ale kiedy przeszliśmy kawałek razem, odparł: — Nie, mistrzu.

— Chłopiec dobry! — zakrakał z aprobatą Oreb.

— Czy on rozumie, co mówimy, mistrzu?

— Mów do mnie „ojcze”, Cuoio.

— Dobrze. Ojcze, droga do obozu prowadzi w przeciwnym kierunku. Dokąd idziemy?

Pośliznąłem się na ośnieżonym kamieniu i tylko kostur uratował mnie przed upadkiem. Oparłem się na nim.

— Między innymi dlatego, że tędy będzie krócej. Chcę cię wypytać o matkę i dom rodzinny, Cuoio, ale mogę do tego wrócić, kiedy będziemy się już grzać przy ognisku. Chcę jednak dowiedzieć się czegoś o twoim ojcu, i lepiej, żebym zrobił to teraz, bo przy ogniu powiemy wszystkim, że jesteś moim synem. Jakim był człowiekiem?

— Dobrym, mistrzu.

Pokręciłem głową.

— To znaczy: ojciec. Zawsze ciężko pracował, żebyśmy mieli co jeść, i chronił moją matkę, braci i mnie. Tam, gdzie mieszkamy, życie jest ciężkie. Ludzie kradną i mordują się nawzajem. Ale dopóki ojciec był z nami, nikt się tak nie zachowywał. On sam też tego nie robił.

— Kochałeś go, Cuoio?

— Tak, ojciec.

— Chłopiec dobry! — Oreb zeskoczył Skórze na ramię.

— Kochałeś go z obowiązku? Albo żeby uszczęśliwić matkę?

— Nie, mistrzu... To znaczy: nie, ojciec. Był moim ojcem, więc go kochałem. Tak po prostu. Czasem zabierał mnie na łódź i razem wypływaliśmy, żebym mógł sobie połowić ryby, chociaż czasem był okropnie zmęczony.

— Rozumiem...

— Krótko nas trzymał, ale to przez to, że Ścięgno został w dzieciństwie ugryziony przez inhumiego i mało nie umarł. Potem oboje rodzice zawsze się bali, że mnie i Racicę też mogliby pokąsać inhumie. Czasem przyplýwawali do nas, na Jaszczurkę, różni ludzie z Nowego Vironu. Mieszkamy na wyspie, która nazywa się Jaszczurka.

— Przewieś broń przez plecy. Tylko najpierw ją zabezpiecz. Możesz przerzucić ją przez lewe ramię, jeśli nie chcesz spłoszyć ptaka.

— Dobrze.

Szczęknął bezpiecznik, a chwilę później zadzwoniły sprzączki przy pasku.

— Nie hałasuj tak. I posłuchaj mnie, posłuchaj bardzo uważnie.

— Dobrze, ojciec.

— Dałem ci znak, żebyś się ze mną zrównał.

— To prawda, ojciec. Jestem po prostu zmęczony po całym dniu jazdy.

— Ja też. Słyszysz mnie, kiedy tak szepczę?

— Tak, ojciec.

— To dobrze. Masz świetny słuch. Nie chcę już, żebyś szedł obok mnie, czy to jasne? Trzymaj się z tyłu. Orebie, chyba byłoby lepiej, gdybyś odfrunął. A jeśli chcesz zostać, to musisz być absolutnie cicho.

— Nie mówi.

Skóra zachichotała.

— Właśnie, Orebie. — Przyszedł mi do głowy pewien pomysł. — Wyciągnę kostur do tyłu, w ten sposób. Złap za koniec, Cuoio, i idź za mną.

Posłuchał mnie.

— Ojciec?

— O co chodzi?

— Tam wyżej, gdzie wzgórza się tak jakby rozdwiają, rośnie kolczaste zielsko. Straszny gąszcz. Chyba nie przejdziemy.

— Najgorsze, co moglibyśmy zrobić, to zawrócić w tej chwili. Odwrócić się do niego plecami. Dziś nie ruszył mojego konia. Może boski czar jeszcze trwa i nas też nie tknie.

— Mistrzu? Ojciec?

— Nie puszczaj kostura.

Weszliśmy w cierniste zarośla — i wtedy go zobaczyłem. Spodziewałem się (nie do końca wiem dlaczego), że będzie czekał przykucnięty, gotowy do skoku, tymczasem on stał wyprostowany, wsparty mocno na wszystkich ośmiu łapach. Był tak wysoki, że olbrzymimi zielonymi ślepiami patrzył mi prosto

w oczy Odbijało się w nich światło gwiazd, przez co błyszcząły jak klejnoty, złowrogie niczym sama Zielen.

— Mistrzu... — Skóra szarpnął za kostur z taką siłą, że mało nie wyrwał mi go z ręki.

— Cicho! Zima to dla zwierząt trudny czas. Jest wygłodniały. Skóra puścił kostur. Usłyszałem stłumiony brzęk sprzączek.

— Uspokój się! — warknąłem najostrzejszym tonem, na jaki się odważyłem.

Antygrys szedł wolno w naszym kierunku, krok za krokiem przedzierając się przez gąszcz. Powinienem był się bać, ale czułem się tylko potwornie osłabiony i bliski mdłości. Zrobiło mi się go żal, a teraz, kiedy mogę spokojnie cofnąć się do tej chwili i spojrzeć na całą scenę z dystansu, wydaje mi się całkiem prawdopodobne, że jemu było żal mnie.

— Czy to Pleśń? — wyszeptalem. — To ty, Pleśnio?

Jedyną odpowiedzią był bezlitosny zimowy wiatr. Oreb poruszył mi się na ramieniu, nastroszył pióra.

— Tak... — mówiłem dalej szeptem. — Wystaw ich.

Jak pies obwąchał zaciśniętą na kosturze dłoń. Kiedy jego potężne cielsko otarło się o mnie, poczułem ruch mięśni prężących się pod grubą zimową sierścią. Chwilę później wyminął Skórę, puścił się skokami w dół stoku i zniknął nam z oczu.

— Chodź tu — poleciłem Skórze. — Chcę, żebyśmy razem usiedli na tym kamieniu. Do ogniska wrócimy najwcześniej za godzinę.

— Nie mogę, ojczy. — Słyszałem, jak szczękają mu zęby. — Nie mogę się ruszyć z miejsca.

— Przez te ciernie?

— Tak, o-o-ojczy. To zwierzę...

— Tak? — Podszedłem i złapałem go za rękaw.

— Czy to był...

— Tak mi się wydaje. Chodź, Cuoio.

Kiedy wskazałem mu grób Favy, posłusznie usiadł na kamieniu. Przysiadłem się do niego i odruchowo przysunęliśmy się bliżej, żeby było nam cieplej. Jak ojciec i syn.

— Ptak mówi?

Od rana miałem katar, który wieczorem i w nocy jeszcze się nasilił. Kiedy Oreb się odezwał, wycierałem właśnie nos w szmatę, którą dzień wcześniej dostałem od jednego z żołnierzy, i nie zareagowałem.

— Chyba tak — odparł Skóra. — Byle nie za głośno.

— Będziemy tu polować, Orebie — wyjaśniłem, kiedy już mogłem mówić. — On spróbuje znaleźć zwierzynę i wystawić ją nam, a my ją dla niego zastrzelimy. To znaczy: Cuoio ją zastrzeli. Obiecałem mu to, więc nie mamy teraz wyboru.

Bardziej poczułem niż zobaczyłem, że Skóra skinął głową.

— Dobrze strzelasz? — zapytałem.

— Nie najgorzej, ojcze. Mój ojciec, mój prawdziwy ojciec, przywiózł z whorla długiego słońca igłowiec. Wziął go ze sobą, kiedy odchodził.

— Do Pajarocu.

— Tak. To trochę skomplikowane.

— Nie spieszy nam się. Opowiesz mi o nim, Cuoio? Chętnie posłucham.

Odchrząknął cicho.

— Pod warunkiem, że ty też, mistrzu, odpowiesz na moje dwa pytania. Na razie cały czas ja mówię. Ty prawie cały czas milczysz.

— Gdybyś bardziej uważał, moje słowa wiele by ci wyjaśniły.
Tylko dwa?

— Może więcej, ojcze. Mogę? Dlaczego chciałeś mnie poznać?

— Czy to nie naturalne, że ojciec chce zobaczyć syna, Cuoio?

— Nie, poważnie.

— A sądzisz, że pytam żartem? Mówiłem całkowicie poważnie.

— Nie jesteś moim prawdziwym ojcem!

— Jeżeli powiesz to przy wszystkich, obaj będziemy mieli kłopoty.

— To prawda.

— Gdzie jest Racica, Cuoio?

— Szuka naszego prawdziwego ojca. Miał ruszyć na północ, a ja na południe. Tak zrobiłem. Jak udało ci się przekonać antygrysa, żeby zrobił to, o co prosisz?

— Wcale go nie przekonałem. Wcześniej oszczędził mojego konia, więc teraz przystałem na jego prośbę. Zostawiliście matkę samą, ty i Racica?

— Musieliśmy — odparł ponuro Skóra. — Kazała nam szukać ojca.

— Bo sami nie mieliście na to ochoty.

— Mieliśmy, ale nie chcieliśmy zostawiać jej samej. Racica zamierzał wyruszyć sam i próbował mnie przekonać, żebym został. Zaproponowałem, żebyśmy zamienili się rolami, a wtedy matka wysłała nas obu.

— I została sama.

Skóra smętnie pokiwał głową.

— Kiedy ojciec zniknął?

— Jakies trzy... Słyszałeś to, mistrzu?

— Nie. Co miałem słyszeć?

— Ryczy. Daleko stąd. Ryczy, potem przestaje, i znów ryczy.

— Ptak słyszy! — Oreb pokiwał łebkiem.

— Próbuje spłoszyć zwierzynę, pewnie jakiegoś zielonka. Jest za wolny, żeby dogonić zielonka. Musi czekać w zasadzce i wyskoczyć znienacka, a przy takiej pogodzie zielonki nie zapuszczają się zbyt daleko. Nigdzie nie ma wiele do jedzenia, więc wyszukują miejsca, w których mogą schronić się przed wiatrem.

— Czasem zdychają. Mój brat, ten drugi brat...

— Ścięgno.

— No właśnie, Ścięgno. Mówił mi kiedyś, że znajduje je czasem w zimie martwe. Padają z głodu albo zamarzają na śmierć. Mógłby je oskórować i zabrać do domu, ale niewiele byłoby z nich mięsa.

— Rzeczywiście, niedługo będą biedne. I będzie ich coraz mniej.

— Zostawiłem matce strzelbę. Inną, nie tę, którą mam przy sobie, bo ją dostałem dopiero tutaj. Miałem zabrać strzelbę z domu, tak jak Racica, ale zostawiłem ją w takim miejscu, żeby matka łatwo ją znalazła. Po tym, jak ojciec i Ścięgno odpłynęli, przyjeżdżali do nas ludzie z Nowego Vironu, zabierali różne rzeczy i wydawali rozkazy. W końcu matka kupiła mnie i Racicy strzelby, żebyśmy mogli z nimi walczyć.

— Nie zarżnie!

— Nie zamierzałem nikogo zarżynać.

— Orebowi chodzi o to, żebyś do niego nie strzelał. Ja wiem, że i tak byś tego nie zrobił. Cuoio ma ustrzelić zwierzynę dla antygrysa, Orebie, a przy okazji może i dla nas. Rybie głowy. Mów dalej, Cuoio.

— Strzela dobrze?

— Pewnie — odparł Skóra. — Jak mówiłem, matka kupiła broń, ale nie musieliśmy z nikim walczyć. Racica ostrzelał ich, zanim jeszcze zeszli na ląd, i odpłynęli. Tylko boję się trochę, że mogą wrócić teraz, kiedy nie ma nas w domu. Ale matka też umie strzelać.

Pokiwałem głową, wspominając strzelaniny na ulicach Vironu i rozpaczliwe potyczki z ordą Trivigaunte w tunelach pod miastem.

— Wpadliśmy na pomysł, żeby wziąć przykład ze Ścięgna, popłynąć na dużą wyspę i tam zapolować, ale mieliśmy mało amunicji, bo nie bardzo było za co ją kupić. — Skóra parsknął śmiechem. — Na początku pudłowaliśmy, ale potem nauczyliśmy się podchodzić zwierzęta i strzelać jak należy, z bliska. — Westchnął, a ja wiedziałem, że wspomina dawne polowania. — Wiesz, mistrzu, dlaczego nazywa się je zielonkami?

— Powiedz „ojcze”. Musisz się tego nauczyć, tak jak ja muszę przywyknąć do nazywania cię Cuoio.

— Dobrze, ojcze.

W tej chwili ja również usłyszałem ryk antygrysa.

— Myślisz, że się z nami podzieli, ojcze? Przy ognisku nie ma wiele jedzenia, ja też dużo ze sobą nie zabrałem...

Mówiąc, podniósł strzelbę do ramienia.

— Podzieli się, jeśli zdobycz będzie wystarczająco duża. Oreb zakrakał cicho, bez słów. Pierwsze zwierzę wyszło na strzał.

— Jeszcze nie, synu — szepnąłem. — Niech podejżą bliżej.

Ledwo zauważalnie skinął głową i wycelował.

20

Z powrotem na polu bitwy

Piszę w łóżku, w małej sypialni z kominkiem, jedną ceglaną ścianą i jednym oknem — tej samej, którą dzieliłem ze Sfido. Właśnie rozmawiałem z Jahlee. Oreb skacze po stoliku, który stoi przysunięty do łóżka, i łakomie zerka na podane mi śniadanie. Powiedziałem, że może się swobodnie częstować, i chyba próbuje teraz coś sobie wybrać. Na pewno chętniej zjadłby rybi łeb niż któryś z moich smakołyków. Skóra poszedł połować w przeręblu na rzece, tak jak chyba wszyscy w okolicy, poza jeńcami i woźnicą Inclito, który ich pilnuje.

No i poza Jahlee, Orebem i mną. Muszę odpocząć.

Jestem chory. Może od tego powinienem zacząć. Dziwna to choroba — nic mnie nie boli, ale bardzo szybko się męczę. Przynieśliśmy czwórkoźła do obozu; Skóra szedł przodem, żeby nikt nie zaczął do nas strzelać. Nasz powrót z taką zdobyczą wywołał ogólną radość, a czwórkoźlió został na miejscu obdarty ze skóry, upieczony i zjedzony. Skubnąłem trochę mięsa.

Zjadłem najmniej ze wszystkich, ale oprócz mnie nikt się nie pochorował.

Nieważne. Jestem przekonany, że zachorowałem, zanim wróciliśmy do ogniska.

Jahlee znów mnie zbesztła za to, że nic nie jem.

— Przecież nie możesz żyć tak jak my! — powiedziała.

Zapytałem, czy piła moją krew. Zaprzeczyła, ale przyznała, że inny inhum mógł to zrobić. Kiedy jednak szukała na moim ciele śladów po ugryzieniu, nic nie znalazła.

Tak przynajmniej powiedziała.

— Nie wszystkie choroby to nasza sprawka. Poza tym masz gorączkę, a tej się po ukąszeniu nie dostaje.

Musiałem jej przyznać rację, kiedy przypomniałem sobie Rzep: miała lodowatą skórę!

Powinienem był spisać także naszą wcześniejszą rozmowę, ale widzę, że tego nie zrobiłem. Streszczę ją tutaj.

Zapytała, dlaczego jej nie wydałem. Próbowałem jej wytłumaczyć.

— Ale przecież wy nas nienawidzicie!

Was jako grupy, odparłem. Nienawidzę was za to, że omal nie zabiliście mi syna, i za to, jakie koszmarnie warunki panują na Zieleni, gdzie w tej chwili przebywa.

Zauważyła, że mogłem powiedzieć o niej żołnierzom. Rozstrzelaliby ją i pogrzebali zwłoki.

Zgodziłem się z nią, że tak właśnie by się stało.

— Wolałbyś, żebym wyglądała tak jak w Gaonie?

Na moich oczach zaczęła się zmieniać: urosła, twarz jej się wydłużyła i tak dalej. Wytknąłem jej, że to ryzykowny pomysł.

— Dlaczego? Bo ktoś mógłby mnie zgwałcić? Nie byłby to pierwszy raz.

Zdziwiłem się — i nadal się dziwię. Chuda, zapadnięta i godna pożałowania twarz Jahlee nie pociągałaby mnie nawet, gdybym był w wieku Skóry.

Głowa mnie boli.

*

— Dobrze Jedwab! — oznajmia Oreb.

To chyba sygnał, że powinienem znów wziąć się do pisania. Prawdę powiedziawszy, wcale nie czuję się dobrze, ledwie mogę ustać o własnych siłach — ale i tak jest lepiej niż było. Wrócił mi apetyt. Nic nie jadłem nie tylko podczas choroby, ale także jakiś czas wcześniej, zanim zdałem sobie sprawę z tego, że choruję. Pamiętam, że zjadłem kawałek czwórkozła; gdybym tego nie zrobił, Skóra mógłby się poczuć urażony. Czuję się lepiej niż kiedy przeprowadzałem swój eksperyment, a wtedy wydawało mi się, że mam się całkiem nieźle. I chyba naprawdę tak było.

Najpierw powinienem wyjaśnić, że postanowiłem sprawdzić, czy korzystając z obecności inhumiego, uda mi się nawiązać kontakt z przebywającym na Zieleni Ściągnem. Miałem pod ręką Jahlee, która była do mnie przyjaźnie nastawiona (bardziej przyjaznych inhumich ze świecą by szukać), więc żał byłoby przepuścić taką okazję. Rzecz jasna, nie mogłem nikogo wtajemniczyć w moje plany. Poprosiłem Sfido, żeby przyprowadził do sypialni naszych jeńców i żołnierzy, w tym Cuoio. Wytłumaczyłem mu, że chcę z nimi pomówić, a jestem

jeszcze za słaby, żeby wstać i wyjść. Gdyby oceniać mój stan w tradycyjny sposób, nie kłamałem. Co za ironia losu!

Przyprowadził wszystkich, tak że mój maleńki pokoik prawie pękał w szwach. Poprosiłem, żeby poszedł jeszcze po naszą starą gospodynię; zdziwił się, ale mnie posłuchał. Ledwie jednak drzwi się za nim zamknęły, gdy usłyszeliśmy tętent kopyt. Oreb podfrunął do okna.

— Dzieweczka idzie. Chłopiec. Dzieweczka dobra!

Chwilę później rozległo się pukanie do frontowych drzwi i pospieszne kroki Jahlee.

— Mamy towarzystwo — zauważył bez entuzjazmu diuk.

— Jakiś mężczyzna i potężnie zbudowana kobieta — dodał Skóra.

— Skąd wiesz? — zdziwił się diuk.

— Ma niski głos. Nie widziałem jeszcze, żeby taki głos miała jakaś drobna kobiecina.

Miałem pewne przeczucia, ale zachowałem je dla siebie.

Mimo tłoku Morello zgiął się w ukłonie.

— Chcę cię o coś zapytać, mistrzu Incanto. Rozmawiałem już z chłopcem, który był z tobą, ale nic mi nie chciał powiedzieć.

Uprzedziłem go, że i ja mogę mu nic nie wyjaśnić.

— Człowiek mądry! — przyklasnął mi Oreb.

— W noc przed przybyciem tutaj chłopiec...

— Cuoio. Ten chłopiec ma imię, generale. Nie widzę powodu, dla którego mielibyśmy go nie używać.

— Szeregowy Cuoio wrócił do miejsca, w którym spaliśmy. Czuwał tylko jeden strażnik i ja. Szeregowy Cuoio ostrzegł strażnika, żeby nie strzelał — bez względu na to, co zobaczy. Próbował go nawet przekonać, żeby rozładował strzelbę, ale na to strażnik nie chciał się zgodzić.

— To wbrew regulaminowi! — wyjaśnił Rimo.

— Rozumiem — uspokoiłem go.

— Strażnik okrzyknął cię, mistrzu, ty mu odpowiedziałeś, a potem we trzech przywlekliście czwórkoźła do ogniska. Baliście się, że strażnik mógłby kogoś postrzelić, ale kogo?

— Nie chcieliśmy, żeby w ogóle strzelał. Mógłby trafić na przykład mnie.

Do pokoju zajrzała Jahlee, co chwilowo mnie uratowało.

— Jacyś szlachetnie urodzeni państwo do ciebie, mistrzu. Kobieta twierdzi, że jest...

— ... córką Inclito — dokończyłem, podnosząc głos. — Wejdz, Moro. Czy to Eco z tobą przyjechał?

— Ptak cieszy! — zakrakał Oreb.

Weszli do środka: Mora w futrze, spodniach i wysokich butach i Eco, pobłyskujący biżuterią, z zawieszoną u pasa długą szablą o złoconej rękojeści. Ze względu na szacunek, jaki zebrani uprzednio goście okazywali Morze, a także szerokie bary i długą klingę Eco, w pokoju zapanowała nieznośna wręcz ciasnota.

Mora pomachała mi rażno na powitanie.

— Przepraszam, Incanto. Przeszkodziliśmy wam.

— Nie, nie, skądże. Jeszcze nie zaczęliśmy. Jestem chory...

— Ta kobieta mi mówiła.

— To Jahlee.

Ze słów Mory — i ze sposobu, w jaki je wypowiedziała — wynikało jasno, że uważa Jahlee za ludzką kobietę.

— Jahlee mówi, że się tobą opiekuje, ale teraz ja się tobą zajmę osobiście. Razem z babcią troszczyłyśmy się o ojca, kiedy się pochorował. Poza tym ona wygląda jak zdzira. — Mora

zdążyła się już przepchnąć do mojego łóżka i teraz dotknęła nadgarstkiem mojego czoła. — Masz gorączkę. Jak się czujesz?

— Cudownie.

— Odpowiedziałbyś tak samo nawet, gdybyś był umierający.

Odwróciła się, ja zaś ujrzałem, że też nosi broń: miecz (krótszy i lżejszy niż szabla Eco) i igłowiec.

— Panowie! — Podniosła głos i ręce. — Proszę wyjść, wszyscy! Wiem, że nie macie złych zamiarów, ale przez was jego stan może się tylko pogorszyć. Dlatego... do widzenia! Już was tu nie ma!

— Nie sądziłem, że ci się uda — przyznałem, kiedy zostaliśmy we troje z Orebem.

— Ja też nie — odparła z uśmiechem. — Ale warto było spróbować. Zresztą nawet gdybym ja ich nie wygoniła, mój mąż zrobiłby to za mnie.

— Nie wiedziałem... Cieszę się razem z wami, Moro. To miły i odważny chłopak. Poprosiłbym cię, żebyś mu pogratulowała żony, ale za chwilę sam to zrobię.

— Kiedy wrócisz do przerwane go spotkania, tak? Czy co to tam było...

Pokiwałem głową.

— Będzie mógł zostać i posłuchać? Ja też? Tylko najpierw chciałabym z tobą porozmawiać na osobności.

— Ja z tobą też. Nie mogę się doczekać, chociaż wiem, że to będzie przykra rozmowa.

— Chcesz mnie zrugać. Wiem, że się martwiliście, papa pewnie rwał włosy z głowy. Przepraszam. Naprawdę jest mi przykro, ale dopiero później przyszło mi to na myśl. Bo tak to myślałam o...

Powstrzymałem ją gestem.

— Wiem, o czym myślałaś. Sam miałem do siebie pretensje. Rzeczywiście, obaj się martwiliśmy, ale przy tym mało nie pękliśmy z dumy. I mało nie powariowaliśmy, próbując nie dać tego po sobie poznać. Nie, Moro, nie zrugam cię. Jeżeli ktoś ma ci robić wyrzuty, to tylko twój mąż.

— Ale powiedziałaś, że to będzie przykra rozmowa. Czy papa...

— Ma się dobrze, o ile mi wiadomo. Dowodzi głównymi siłami.

— W takim razie ja zacznę, dobrze? — Przysunęła sobie rozchwierutane krzesło, na którym ja i Sfido przysiadaliśmy, zdejmując buty, i usiadła. — I tak byś mnie wypytywał, gdzie byłam i co robiłam, więc od tego zacznę. Wiesz, że ukradłam konia temu niskiemu posłańcowi? Nie pamiętam, jak miał na imię.

— Wiem. Rimando.

— Właśnie. Wzięłam go, bo wiedziałam, że list papy jest w sakwie w jukach, a nie chciałam zaczynać wyprawy od przekładania uprzęży na innego konia. Zawsze trzeba przy takiej okazji coś poprawić, dociągnąć... Chwilę to trwa. A ja chciałam zginąć bohaterską śmiercią. — Uśmiechnęła się. — Cały czas myślałam o tym, jak to będzie, kiedy zostanę ranna i wpadnę na koniu do Novella Citta, brocząc krwią. Dowiem się, kto tam dowodzi, oddam mu list od papy i umrę. Ale koń mnie uprzedził. Koń Rimando. To on zginął od kuli. Zastrzelili go pode mną. Przez króciutką chwilę jechałam na martwym koniu.

— Ciebie nie trafili?

— Nie. Zabrałam igłowiec papy, mówił ci o tym?

Pokręciłem głową.

— No więc go zabrałam. Wiedziałam, że na noc chowa go pod poduszką. Weszłam do sypialni i wyjęłam go, nie budząc papy. Nigdy go potem nie użyłam. Myślałam, że ja będę strzelać do nich, oni do mnie, ale przedrę się przez ich linie i pojedę dalej, a tu koń mi padł. Sama omal nie zginęłam. Podniosłam ręce i krzyczałam, żeby nie strzelali. Wcale nie byłam dzielna, nic a nic.

— Byłaś rozsądna.

— Mam nadzieję. Złapali mnie, a jakąś godzinę później złapali również Eco. Chyba obserwowali drogę.

— Mamy tu ich diuka i generała Morello. Możesz ich o to zapytać.

— To ci ze związanymi rękami? Widziałam ich. To wspaniała wiadomość!

— Też tak uważamy. Zabrali was do Soldo i uwięzili, mam rację?

— Tak. Zabrali mi igłowiec i powiedzieli, że przesłali listy do diuka. Eco zamknęli w celi razem z innymi mężczyznami, a ja — miałam całą celę dla siebie, bo byłam jedną kobietą w więzieniu. Mogę się nazywać kobietą? Nie przeszkadza ci to, prawda?

— Dlaczego miałoby mi przeszkadzać? Przecież nią jesteś.

Pokiwała z powagą głową.

— Cycki mi pączkują. Chcesz zobaczyć?

Pokręciłem głową.

— Właściwie w celi trzymali mnie głównie nocą, bo za dnia wychodziłam do pracy. Szorowałam podłogi, wylewałam pomyje i tak dalej; tak samo harowałam w domu, zanim przyjęliśmy Onorificę. Mogłabym łatwo uciec, ale chciałam uwolnić także Eco. A zdobycie kluczy zajęło mi trochę czasu.

— Byłaś bardzo dzielna — powiedziałem. Zarumieniła się jak dziewczynka, którą do niedawna była. — Mogę zapytać, gdzie się pobraliście?

— W Novella Citta. Oni mnie... No wiesz, zrobili mi to, kiedy mnie złapali. Potem złapali Eco, a potem znów to zrobili, w nocy. We czterech.

— Przykro mi, Moro. Naprawdę, strasznie mi przykro.

Wzruszyła ramionami.

— Wiesz, jak to jest, kiedy się spadnie z konia? Trzeba się zerwać z ziemi i jak najprędzej wskoczyć na siodło. Bo jak tego nie zrobisz, jak się zaczniesz zastanawiać, to w życiu nie nauczysz się jeździć. Tak właśnie sobie myślałam: muszę wrócić na siodło, muszę wrócić. Po tym pierwszym razie cały czas tak sobie powtarzałam. Ale przecież nie o tym przyszłam z tobą rozmawiać, Incanto!

— Dzieweczka biedna! — zakrakał współczująco Oreb.

— Całkiem możliwe, że to znacznie ważniejsze od sprawy, z którą do mnie przyszłaś.

— Może i tak, ale w tej kwestii nie potrzebuję twojej rady. Eco też złapali, a jaki był dzielny! Kiedy znów mi to zrobili, nawyzywał ich od najgorszych i próbował się uwolnić z więzów, więc go pobili. Strzelbami. Mnie też bili, ale tylko rękoma.

— Znajdziemy ich i ukarzymy. Wiem, że tobie to nie pomoże, ale może uratujemy w ten sposób kogoś innego.

Mora pokiwała głową, chociaż miałem wrażenie, że wcale mnie nie słucha.

— Był taki miły, kiedy jechaliśmy razem do Soldo, i potem, kiedy nas zamknęli. A ja sobie tłumaczyłam, że chyba nie po to babcia tyle razy wychodziła za męża, muszę więc wrócić na

siodło. Wyobrażałam sobie, jak to jest, kiedy się kogoś kocha. Oni mnie nienawidzili. To, co zrobili, nie miało nic wspólnego z miłością.

— Zgadzam się z tobą.

— Kradłam dla niego jedzenie w więzieniu, a on cały czas powtarzał, żebym się o niego nie martwiła i uciekała, jak trafi mi się okazja. Ale ja otworzyłam jego celę, razem ukradliśmy konie, tylko listów papy nie mogliśmy już odzyskać. Ani igłowca. Jechaliśmy potem dużo wolniej, znacznie ostrożniej, a kiedy dotarliśmy do miasta, opowiadałam wszystkim, że jestem córką naszego diuka, a Eco to potwierdzał. I jeszcze mówiłam, że na pewno wygramy wojnę. Wtedy już wiedzieli, że muszą nas albo szybko oddać diukowi Rigoglio, albo przejść na naszą stronę. I przeszli! Dali nam karty, biżuterię, i miecze, i igłowce, i świeże konie, a my drugiej nocy po cichutku się stamtąd zmyliśmy, znaleźliśmy takie jedno miejsce i świętego patre, który dał nam ślub. Cieszę się, że się uśmiechasz.

— Jak mógłbym się nie uśmiechnąć?

— Papa się pewnie wścieknie. Przecież Eco jest cudzoziemcem. Chociaż sama nie wiem, z papą nigdy nic nie wiadomo.

Zauważyłem, że Torda też nie pochodzi z Blanko.

— Nie, chodziło mi o to, że on nie jest z Grandecitta. Tylko że Grandecitta jest teraz daleko, daleko stąd, gdzieś na niebie, i nikt go więcej nie zobaczy. Baliśmy się, że patre będzie nas wypytywał, a on zadawał mnóstwo pytań, ale wcale nie interesowały go sprawy, których najbardziej się obawialiśmy, na przykład ile mam lat albo gdzie jest mój ojciec. Bał się, że nie kochamy się dostatecznie mocno i nie będziemy ze sobą na

zawsze, więc powtarzaliśmy mu i powtarzaliśmy, że się kochamy i że będziemy. Bo to prawda.

— Dzieweczka dobra!

— Wziął dwóch innych patre na świadków i dał nam ślub. I wszyscy wycelowali pannę młodą — dodała z uśmiechem Mora.
— Następna noc była zupełnie inna od tamtych. A potem przyśniła mi się Fava.

— To był przykry sen?

— Nie, miły. Znów byłam małą dziewczynką i bawiłyśmy się lalkami, tak jak kiedyś, tylko że ona nie była...

— Inhumą.

— No właśnie. Kiedy ją poznałam, Incanto, wzięłam ją za zwyczajną dziewczynkę, taką jak ja. I w tym śnie właśnie taka była. Nie rozumiem, jak mogłam się tak pomylić. Następnej nocy przyśnił mi się ten sam sen, i następnej też. Nie chodzi mi o to, że za każdym razem zachowywałyśmy się tak samo czy mówiłyśmy to samo, ale zawsze był to sen o tym, jak bawię się z Favą. Śnię mi się jeszcze inne rzeczy, ale zawsze jeden ze snów jest o niej. To całkiem przyjemne, ja w ogóle lubię sny, ale wydaje mi się, że coś jest nie w porządku.

— A ja myślę, że wszystko jest w jak najlepszym porządku, Moro.

— Nie uważasz, że to może być niebezpieczne?

— Raczej nie. Poza tym zazdrozczę ci. Chciałbym być w swoich snach małym chłopcem. Wiele bym za to dał, gdybym tylko miał co dać.

To była szczerza prawda. Mora pokiwała głową w zadumie.

— Mam sprawić, żebyś przestała o niej śnić? Może umiałbym to zrobić, ale muszę cię ostrzec: nie będę potrafił ci przywrócić

snów, gdybyś potem zmieniła zdanie. Jeżeli zdołam je odpędzić, znikną na zawsze, rozumiesz?

— Tak — przytaknęła z poważną miną.

— Zastanów się dobrze i pospiesz z decyzją. Ja tu długo nie zostanę. Nie, nie umrę — dodałem, widząc wyraz jej twarzy. — W każdym razie bogowie mi o tym nie wspomnieli, a prawie zawsze, kiedy śpię, rozmawiam z boginią. Chodziło mi tylko o to, że skoro wojna ma się ku końcowi, będę szykował się do powrotu do domu. Powinnaś jeszcze wiedzieć, że sny mogą w przyszłości zniknąć same z siebie.

Mora wyprostowała się na krześle.

— Jeżeli uważasz, że nie są niebezpieczne, zatrzymam je tak długo, jak się da.

— Wydaje mi się, że to roztropna decyzja. Miałaś bardzo krótkie dzieciństwo i wiem, że chciałaś je jak najprędzej zostawić za sobą. Cieszę się, że Zewnętrzny, który jest od nas obojga znacznie mądrzejszy, znalazł sposób na to, by ci je przedłużyć.

Zamyśliłem się i przeczesalem palcami brodę.

— O co chodzi?

— Lubiałaś Favę, prawda? Nawet po tym, jak dowiedziałaś się, kim naprawdę jest.

— Tak. Była moją jedyną przyjaciółką. Chociaż nawet gdybym miała z dziesięć innych, i tak ją lubiłabym najbardziej.

— Nigdy więcej jej już nie zobaczysz. Tylko w snach.

— Czy ona nie żyje? Chyba jej nie zabiłeś, Incanto?

— Nie. Próbowałem ją uratować, ale mi się nie udało.

— To... — Mora złapała się za głowę. — To jakieś szaleństwo. Jeszcze wczoraj w nocy bawiłyśmy się lalkami!

Pokiwałem głową.

— Naprawdę się bawiłyśmy? To się działo na jawie?

— Tak sędzę. W każdym z nas jest taka wewnętrzna osoba, która może przetrwać po śmierci. Oboje znaleźliśmy prawdziwą naturę Favy, ale wiemy zarazem, że ta jej osoba wewnętrzna, jej duch, nie była inhumą. Kiedy umrzesz, a wszystkich nas to czeka, staniesz się swoim duchem, bo innej ciebie nie będzie. Twoja osoba wewnętrzna będzie jedyną Morą, jaka zostanie.

— Czyli lepiej by było, gdyby ta wewnętrzna osoba wyrosła na jakąś znośną kobietę, tak?

— O to mi właśnie chodziło. Uważam, że do tej pory świetnie sobie radzisz, ale to dopiero początek twojej drogi. Mogę ci zdradzić pewien sekret?

— Jeżeli uważasz, że powinnam o czymś wiedzieć...

— Uważam, że wszyscy powinni o tym wiedzieć. Znam jeszcze drugą podobną tajemnicę, ale nie mogę jej wyjawić, gdyż dałem umierającemu człowiekowi słowo, że tego nie zrobię. Jednak sekret, o którym wcześniej wspomniałem, odkryłem sam, więc mogę z nim zrobić, co zechcę.

— Mów.

— Zewnętrzny urządził nasz whorl w sposób znacznie bardziej zrównoważony, niż by się mogło wydawać na pierwszy rzut oka. Każdy zysk pociąga za sobą stratę, każda strata — jakiś zysk. Twój ojciec jest zamożny jak na standardy obowiązujące w Blanko, ale — jako człowiek bogaty ma pewne obowiązki i jest wystawiony na pokusy, o których jego ubożsi sąsiedzi nie mają pojęcia. Przyznasz mi chyba rację?

— Cokolwiek ludzie gadają, papa jest dobrym człowiekiem.

— To prawda. Zapomniałem o zazdrości sąsiadów, która jest jedną z głównych wad posiadania majątku, choć nie jedyną. Nie chodzi mi o to, że lepiej by mu się żyło, gdyby był biedny, choć o

wielu ludziach dałoby się to powiedzieć. Zmierzałem tylko do tego, że twój ojciec i jego sąsiedzi są sobie równi w znacznie większym stopniu, niż im się wydaje.

— Dobrze, to rozumiem.

— Z tą osobą wewnętrzną jest podobnie. Kiedy umiera dziecko, oplakujemy je, wylewamy łzy, rozdieramy szaty i wyrrywamy sobie włosy z głowy. Tymczasem jego osoba wewnętrzna często jest doskonalsza od naszej — zawsze, jeśli dziecko zmarło bardzo młodo. Im dłużej pożyjesz, tym większe będziesz miała kłopoty ze swoją osobą wewnętrzną; tym trudniej będzie sprawić, żeby była kimś, z kim da się żyć. Sam miałem z tym tyle kłopotów, że wcale nie uważam, żeby mi się udało.

— Jedwab dobry! — uspokoił mnie Oreb.

Uśmiechnąłem się.

— Ptak też dobry.

— To twoje prawdziwe imię? Jedwab? Jesteś tym człowiekiem z książki?

— Raczej nie.

Mora spojrzała na mnie podejrzliwie, ale zaraz spuściła wzrok.

— Zanim przyjechaliście, zwołałem spotkanie całego naszego oddziału. Zrobił się tu okropny tłok. Sama widziałaś.

— To fakt.

— Dom jest mały. W każdym pomieszczeniu zrobiłoby się równie tłoczno, jeśli nie bardziej. Ja zaś jeszcze przez dzień czy dwa raczej nie powinienem wychodzić na dwór. Mieszka tu z nami jedna młoda kobieta i jedna stara. Obie reagują na imię Jahlee. Mogę cię prosić o przysługę, Moro?

— Ty wyświadczyłeś mi niejedną, a ja nie chciałabym zapaskudzić swojej wewnętrznej osoby. Mów śmiało.

— To z mojej strony czysta ciekawość, ale chciałbym wiedzieć, czy nadal uważasz, że twoja zewnętrzna osoba jest brzydka?

Pokręciła głową.

— Eco mówi, że jestem piękna. Wiem, że to nieprawda i nigdy nie będę piękna, ale ostatnio straciłam na wadze. Zauważyłeś?

— Owszem.

— Postaram się jeszcze trochę schudnąć. Wiem, że nigdy nie upodobnię się do Tordy, ale pewne rzeczy mogę zmienić w wyglądzie i sposobie ubierania się. — Wskazała swoją luźną jedwabną bluzkę. — Wezmę się za siebie.

— Za rok, może dwa Torda ze smutkiem skonstatuje, choć pewnie nikomu się do tego nie przyzna, że nigdy nie będzie wyglądać, zachowywać się ani mówić tak jak ty.

— Dzięki. O jaką przysługę chciałeś mnie prosić?

— Nadal chcę zorganizować to spotkanie, ale muszę ograniczyć liczbę zaproszonych. Przyprawdź tylko jedną Jahlee, nie obie.

— Dobrze.

— Poza tym wszystkich trzech jeńców i ich strażnika, a także diuka Sfido, szeregowego Cuoio i twojego męża. Ty również jesteś zaproszona. Chciałaś przy tym być, prawda?

— I nadal chcę. Dzięki.

— Ptak idzie? — spytał Oreb, kiedy za Morą zamknęły się drzwi. — Jedwab dobry!

— Widzę, że wiesz, co zamierzam zrobić, a właściwie: czego zamierzam spróbować. Co ty na to?

— Jedwab dobry! — powtórzył.

Skóra przyszedł pierwszy. Wyjaśniłem mu, że mamy tylko jedno krzesło, w związku z czym zostawimy je dla córki generała Inclito. zaproponowałem, żeby usiadł na moim łóżku albo, jeśli woli, na podłodze.

Podziękował ruchem głowy.

— Ta staruszka przyjdzie? Dziewczyna jej szukała.

— Być może.

— Nie powinna stać. Jest u siebie. Przyniosę drugie krzesło.

Po Skórze zjawili się Diuk Rigoglio, generał Morello oraz pułkownik Terzo w asyście Affito, woźnicy Inclito. Temu ostatniemu powiedziałem, że cieszy mnie jego obecność, ponieważ będzie miał kto reprezentować nieobecnego generała. Dodałem też, że na spotkaniu nie zabraknie córki i zięcia Inclito.

— Chciał, żebym wrócił i zajął się domem, zadbał o inwentarz i pszenicę.

— Na pewno martwił się też o matkę, Affito.

— Zakładał, że ty się o nie zatroszczysz, mistrzu, znaczy o wszystkie kobiety.

Cuoio przyniósł drugie krzesło i przyprowadził młodą Jahlee.

— Moja ciotka źle się czuje, mistrzu Incanto — powiedziała.

— Czy mogę ją zastąpić?

Przytaknąłem.

— Człowiek, którego nazywacie Incanto, jest moim przyjacielem — wyjaśniła diukowi. — Gdyby nie on, zostałabym zabita albo pogrzebana żywcem. Staram się spłacić ten dług wdzięczności.

Diuk uśmiechnął się i odparł, że chciałby kiedyś móc powiedzieć o mnie to samo. Do pokoju weszli tymczasem Mora, Eco i pułkownik Sfido.

— Jedwab mówi! — zakrakał donośnie Oreb.

Rozmowy ucichły.

Podziękowałem wszystkim za przybycie.

— Chciałbym porozmawiać ze wszystkimi, ale nie ma tu dość miejsca. Dlatego ci z was, którzy są tu w tej chwili, będą musieli przekazać wiadomość pozostałym. Mam nadzieję, że ktoś powtórzy moje słowa także innym mieszkańcom Blanko, zwłaszcza kapitanowi Atteno i jego żonie. Nie chcę nikogo obarczać nadmiarem obowiązków, ale domyślam się, że diuk Sfido chętnie przemówi do żołnierzy, których razem szkoliliśmy, do Adatty i pozostałych.

Sfido skinął głową.

— Eco jest najemnikiem. Niektórzy z was z pewnością dowiedzieli się o tym, kiedy ja rozmawiałem z donną Morą. Będzie miał okazję przekazać słowa pożegnania kapitanowi Kupusowi i jego ludziom, szczególnie Thody'emu i Gorakowi.

— Zrobię to — obiecał Eco.

— Niech pan nie zapomni o kapitanie Rimando, jeśli łaska. Szczerze żałuję, że nie ma go tu z nami. — Powiodłem wzrokiem po ich twarzach. — Naturalnie donna Mora przekaze moje słowa ojcu. Doprawdy, to zrządzenie opatrzości, że akurat teraz przybyła tu z mężem.

— Chyba jeszcze nie umierasz, co? — wtrąciła Jahlee.

— Naprawdę masz taką nadzieję?

— Wiesz, że tak! Mogłam...

Uciszyłem ją skinieniem głowy.

— Oczywiście.

— Mówi Jedwab! — burknął Oreb.

— Chodzi mu o to, że marnuję czas na zbyteczne wstępy. Ma rację. Mam wam sporo do powiedzenia, więc pora przejść do rzeczy. Po pierwsze, byłem chory, o czym wszyscy wiecie. Teraz już pomału zdrowieję i jeśli bogowie pozwolą, niebawem odzyskam siły na tyle, by samodzielnie podróżować. Doszedłem do wniosku, że nie ma sensu wracać z wami do Blanko. Ani na farmę twojego ojca, Moro.

Podniósł się gwar ożywionych głosów. Próbowałem uciszyć gości znaczącym chrząknięciem, ale tylko się rozkaszałem.

— Za chwilę swobodnie podyskutujecie o tym, co powiedziałem. Nie będę wam w tym przeszkadzał, obiecuję. Ale najpierw dajcie mi skończyć. Ponieważ nie wybieram się ani do Blanko, ani na farmę Inclito, nie ma sensu, żeby diuk Sfido i jego jeńcy czekali tu na mój powrót do zdrowia. Nie ma też powodu, żeby czekali na mnie donna Mora i jej małżonek. Jeżeli jedni lub drudzy będą chcieli odjechać jeszcze dzisiaj, życzę im szerokiej drogi. Wydaje mi się oczywiste, że powinni wyruszyć najdalej jutro rano. To była pierwsza sprawa. Druga to kwestia mojej tożsamości, o której rozeszły się ostatnio niemądre plotki. Urodziłem się we „Whorlu”, lepiej znanym jako whorl długiego słońca. Moja matka nie była matką Inclito, nie mieliśmy też wspólnego ojca. Wydawało mi się, że jedno spojrzenie na nasze twarze wystarczy, by przeciąć podobne spekulacje, ale ponieważ tak się nie stało, teraz chcę im położyć kres. Nie przesadzę natomiast, jeżeli powiem, że jesteśmy z Inclito braćmi, jeśli wziąć pod uwagę szacunek, jakim nawzajem się darzymy. Mimo że pochodzę z whorla długiego słońca, mój dom znajduje się w Nowym Vironie, mieście daleko na zachód stąd. Tutaj, gdzie teraz jesteśmy, panuje — pogląd (być może słuszny),

że święci mężowie nie powinni się żenić. Ja jednak nie jestem świętym i mam w Nowym Vironie żonę, którą kocham od dziecka. Rozdzieliły nas okoliczności, które zupełnie was nie dotyczą, niech więc wystarczy, że powiem, iż rozstaliśmy się lata temu, a ja przez cały ten czas próbuję wrócić do domu. Kiedy wydobrzeję na tyle, by znowu ruszyć w drogę, a mam nadzieję, że nastąpi to niedługo, razem z Cuoio udam się do Nowego Vironu.

Skóra chciał w tym miejscu zaprotestować, ale go zagłuszyłem: — Przybył stamtąd całkiem niedawno, więc liczę na to, że mnie tam zaprowadzi. Później może podjąć misję, która przywiodła go do Blanko, pod warunkiem, że będzie tego chciał, a jego matka wyrazi zgodę. Trzeba wam bowiem wiedzieć, że Cuoio jest moim synem, najmłodszym z trzech, jakich mam. — Zwróciłem się do Mory. — Żałuję, że nie doświadczyliśmy z żoną błogosławieństwa, jakim jest posiadanie córki. Tym bardziej zazdrozczę generałowi Inclito córki, odkąd ją...

— Ona śpiewa! — wykrzyknął Terzo.

— Wiem — odparłem. — Staram się mimo to mówić, ty zaś, pułkowniku, spróbuj mimo jej śpiewu zamilknąć. Przynajmniej na jakiś czas.

— Kto śpiewa? — zdziwiła się Jahlee.

— Ktoś, kogo poza mną i pułkownikiem Terzo nikt nie słyszy. Ta sprawa nie ma nic wspólnego ani z nim, ani tym bardziej z wami.

Umilkłem na chwilę i wsłuchałem się w śpiew Algi, szum fal i krzyki morskich ptaków.

— Powiedziałem kiedyś, że nie masz mocy magicznej, Incanto — odezwał się diuk Rigoglio.

— Tak powiedziałaś? Miałaś całkowitą rację.

— Zmieniłem zdanie. Rzuciłeś na Terzo zakłęcie, a ja sam widziałem wiedźmę, siedzącą na kolumnie dymu.

— Wiem, że ją widziałeś.

— Terzo twierdzi, że namówiłeś antygrysa, żeby przyniósł mięso do ogniska. Potem kazałeś mu je położyć i odejść, a on cię posłuchał. Strażnik potwierdza słowa pułkownika.

Woźnica Inclito skinął głową.

— Szeregowy Cuoio nabrał wody w usta. Teraz lepiej go rozumiem, niż kiedy ostatnio rozmawialiśmy. Wygląda na to, że mogę nie mieć więcej okazji do rozmowy z wami dwoma, chciałbym więc o coś zapytać. Nie o to, czy władasz jakąś mocą, bo odpowiedź na takie pytanie już znam. Interesuje mnie jednak, w jaki sposób ją zdobyłeś i jak zamierzasz wykorzystać.

Nie odpowiadałem, aż w końcu Mora mnie wyręczyła: — Bogowie go sobie upodobali. Gdybyś był lepszym człowiekiem, diuku, może i na ciebie spojrzeliby łaskawym okiem.

— Podobno jest w dobrych stosunkach z Zaginionym Ludem — dodała Jahlee. — I...

Jej słowa utonęły w ogólnym rozgardiaszu. Zamknąłem oczy (byłem bardzo zmęczony, co na pewno mi pomogło) i wsłuchując się w jej głos, przywołałem w pamięci obraz Ściągna i dżungli na Zieleni. Sen porwał mnie niczym wezbrana fala, zakręcił mną i pchnął w wieczną noc.

Czerwone słońce

Napisawszy o śnie, sam próbowałem zasnąć. Powtarzałem sobie, że znajduję się w dogodnym do tego miejscu i że z samego rana wrócę do pisania. Wojsko odeszło, w domu jest zupełnie cicho. Powinno mi to ułatwić zaśnięcie, ale nic z tego. Boję się. Cieszę mnie nawet najmniejsze odgłosy wydawane przez Oreba, śpiących Jahlee i Cuoio.

Bardzo chcę opisać whorl czerwonego słońca w taki sposób, żebyś go zobaczyła, Pokrzywo; żeby stanął przed oczami każdemu czytelnikowi mojej relacji. Czy udało mi się dokonać tej sztuki w przypadku dżungli Zieleni? Czy widziałaś bagna i ich okrutnych mieszkańców? Olbrzymie drzewa i liany, przytulone do nich niczym kochanki? A Miasto Inhumich? Gąszcz na wpół zrujnowanych wież, przypominający szlachetną twarz, która gnije w grobie?

Nie, mimo najszczerzych chęci udało mi się przekazać tylko garść chaotycznych obrazów.

Po co zatem miałbym znowu próbować?

Znaleźliśmy się na pustej ulicy, Pokrzywo. Piszę: pustej, chociaż gęsto zasłanej kamieniami, poodpadały kiedyś z fasad

stojących przy niej domów, pospadały na bruk, chwilę się po nim potoczyły i znieruchomiały. Do dziś pozarastały gąszczem chwastów.

Mora wskazała coś wyciągniętą ręką.

— Patrzcie!

Podniosłem wzrok i zobaczyłem błyszczącą czerwoną tarczę słońca, tak ogromną, że kiedy wyprostowałem ramię, nie mogłem jej zasłonić rozpostartą dłonią. Wokół niej świeciły gwiazdy. Poczułem wtedy, że Zewnętrzny próbuje mi w tej wizji przekazać jakąś wiadomość; dotarło do mnie, że olbrzymie słońce, przypominające kulę rozżarzonego węgla, spadło ze szczątków nieba, tak jak kamienie osypały się ze ścian, gwiazdy zaś, które towarzyszyły mu za dnia, pojawiły się wokół niego jak chwasty na bruku. Nie potrafię jednak opisać całego tego rozległego miasta leżącego w gruzach. Gdybym był artystą, mógłbym je narysować — naszkicowałbym je na tym cienkim, szarym papierze atramentem, który dostałem od mojego przyjaciela, właściciela sklepu papierniczego. Wyobraź sobie, że to zrobiłem, i powiedz mi, co widzisz. Co mogłabyś zobaczyć? Kilkaset zrujnowanych domów, kilkaset świetlistych punkcików na szarym niebie (które w rzeczywistości nie jest szare, lecz ma barwę delikatnego fioletu) i czarne słońce (na takim rysunku musiałyby być czarne), zawieszane nad martwym krajobrazem.

Jeśli chcesz mnie lepiej zrozumieć, wyobraź sobie to niebo i spróbuj je zobaczyć tak, jakby istniało naprawdę. Musisz zapomnieć o moich słowach, o słowach i śladach atramentu na papierze. Niebo. Niebo barwy fioletowej albo sinoczarnej, dalekie od błękitu; niebo, na którym widać krainy niebios, tak jak widzieliśmy je w domu, lecz znacznie zimniejsze i bardziej odległe. Na opuszczonej, rozsypującej się ulicy było ciepło, ale

pod mrocznym niebem całe miasto wydawało się chłodne. Wiedziałem, że niedługo — zanim jeszcze szkarłatne słońce schowa się za widnokrąg — zrobi się naprawdę zimno.

— Jak się tu znaleźliśmy? — zdziwił się Skóra.

— Gdzie jesteśmy, Incanto? — spytała Mora.

W milczeniu pokręciłem głową.

— Przestań! — warknął woźnica Inclito.

Odwrociłem się, żeby zobaczyć, do kogo mówi. Jahlee właśnie rozbierała się do naga.

— Patrzcie! — zawołała. — Patrzcie na mnie!

Ostami element garderoby spadł na ziemię i Jahlee okręciła się na palcach, dumnie prezentując półkuliste piersi, szczupłą talię i wąskie biodra.

— Czy to jakiś tutejszy obłęd? — mruknęła Mora.

— Tak — odpowiedział jej diuk Rigoglio. Uklęknął przede mną. Rozwiąż mi ręce. O nic więcej nie proszę. Przetnij mi tylko więzy, na miłość Niestworzonego!

Nie zrozumiałem go. Mogłem tylko patrzeć mu w oczy i zgadywać, co miał na myśli.

— Wiesz, że jestem z natury dumnym człowiekiem, ale teraz błagam cię, przetnij mi więzy. Czy prosiłem cię wcześniej o litość?

— Wasza Wspaniałość... — odezwał się niepewnie Morello.

— Błagam, Incanto. To dla mnie sprawa życia i śmierci. Kimkolwiek jesteś, zlituj się nade mną!

Skinąłem na Skórę.

— Rozwiąż go.

— Nie! — wykrzyknął Sfido.

— Boisz się, że ucieknie, żeby tu zostać? — zapytałem, ale nie czekałem na odpowiedź. — Rozwiąż go — powtórzyłem pod

adresem Skóry. — Tamtych też. Mam nadzieję, że uciekną. Tak byłoby dla nich lepiej.

Skóra z trudem oderwał wzrok od Jahlee, wyjął nóż (mniejszy niż ten, który nosił Ściągno) i rozciął powróż pętający przeguby diuka. Rigoglio wymamrotał słowa podziękowania i zaczął rozcierać ręce.

— Znasz tę ulicę — stwierdziłem. — Od razu ją rozpoznałeś. Jesteś dumnym człowiekiem, jak sam powiedziałeś, zbyt dumnym, by pozwolić sobie na wdzięczność. Podziel się ze mną swoją wiedzą, a uznam, że spłaciłeś wszelkie długi wobec nas.

— Nie jestem pewien... — Powiódł dookoła dzikim wzrokiem.

Z kącika ust pociekła mu krew i przez chwilę pomyślałem, że jest inhumim, a ja dałem mu się zwieść jak dziecko, ale on po prostu zbyt mocno przygryzł sobie wargę.

— Jak tu cicho — odezwała się Mora. Oparła dłoń na rękojeści miecza.

Eco z igłowcem w ręce zaglądał po kolei w ciemne, puste okna.

— Instynkt cię chyba nie zawodzi — powiedziałem do niego. — Ktoś nas obserwuje.

Nic nie powiedział, pokiwał tylko głową w odpowiedzi.

Jahlee powiodła smukłymi dłońmi po swoim ciele.

— To twoje dzieło, rajanie. Podoba ci się? Bo mnie bardzo.

— Wszelkie podziękowania tudzież przekleństwa należą się diukowi Rigoglio — odparłem. — To miejsce trochę przypomina miasto, które znam z Zieleni, ale nie jesteśmy na Zieleni. Tam zamiast domów stały wieże możnych Sąsiadów. Gdzie jesteśmy, Wasza Wspaniałość?

— Wróciliśmy do domu... Do Nessus.

— To nie mógł być mój dom — zaprzeczyła Mora. — Nikt, kto do dziś żyje, nie mógł tu mieszkać. Popatrzcie na te domy.

Diuk chciał coś powiedzieć, ale zrezygnował.

Oreb przysiadł na stercie gruzu.

— Miejsce wielkie!

Wyglądał tak, jak na Zieleni: upierzony karzełek. Dopiero w tej chwili zdałem sobie sprawę, że przeniósł się z nami — i że zdążył już odbyć zwiad.

— Prosiłście, żeby was rozwiązać, Wasza Wspaniałość. Ręce macie już wolne. Do czego chcecie ich użyć?

Diuk skinieniem głowy wskazał najbliższy dom.

— Chciałbym rozejrzeć się w środku. Mogę?

— Co spodziewasz się znaleźć, broń? — wtrącił się Sfido. — Wątpię, żeby ostał się tu choć patyk.

— Chcę znaleźć coś, co... — Rigoglio odwrócił się w moją stronę. — Siłą zaciągnęli mnie na pokład „Whorla”, a potem uśpili. Mówiłem ci o tym.

— Człowiek biedny! — stwierdził Oreb, obserwując go jednym czarnym jak smoła okiem.

— Gdybym znalazł coś znajomego, coś, co bym rozpoznał...

Zapytałem, czy sam dom nie wydaje mu się znajomy. Pokazał na dach.

— Tam były łuki, a pod nimi stały posągi — odparł. — Jestem... Tak, tego jestem pewien. One... — Podeszedł bliżej, schylił się i zaczął grzebać w stercie gruzu pod ścianą.

— Kiedyś wpadłem do jamy w ziemi w zburzonym mieście Zaginionego Ludu — poinformowałem Morę. — Opowiadałem ci o tym?

— Nie.

— Przypomniałem to sobie teraz, tak jak przypominałem sobie Miasto Inhumich na Zieleni. Tamte ruiny pozostawili po sobie pradawni antenaci Sąsiadów, te zaś prawdopodobnie nasi przodkowie. Wygląda na to, że nasze rasy są równie wiekowe. Jak sądzisz, od jak dawna nikt tu nie mieszka?

Mora wzruszyła ramionami, a Eco odparł: — Ze sto lat.

— Chyba dłużej.

Podszedłem do Rigoglio, żeby mieć go na oku. Jahlee uczepiła się mnie jak liana. Jej ciało było ciepłe i wilgotne od potu (u inhumich rzecz absolutnie niewyobrażalna), a w dodatku roztaczało jakąś duszącą, choć miłą woń. Długie kasztanowe włosy — naturalne, nie żadna peruka — otuliły nas jak pnącza altankę Jedwabia. Kiedy próbowałem się uwolnić z jej uścisku, uśmiechnęła się promiennie.

— Tutaj mam zęby, najprawdziwsze zęby, rajanie. Koniec z zaciskaniem warg przy uśmiechu! Sam zobacz.

Uśmiechnęła się od ucha do ucha. Zaproponowałem, żeby pokazała swoje nowe oblicze komuś innemu.

— Na przykład twojemu synowi? Próbował ze mną flirtować, zanim do ciebie przyszedliśmy. Nie ma w tym jeszcze wielkiego doświadczenia...

Rigoglio wyprostował się. W ręce trzymał pękniętą kamienną dłoń, o połowę mniejszą od mojej.

— Posągi — powiedział. — Na górze, pod łukami. Nie mówiłem?

— Mówiłeś. Kogo przedstawiały?

— Nie... Eponimów.

— Kim są eponimowie?

Diuk pokręcił głową.

— Mogę rozejrzeć się po domu?

Zgodziłem się. Wszedł do środka, ja ruszyłem zanim. Widząc, jak przyspieszam kroku, Sfido zawołał: — Łapcie go!

Perspektywa ucieczki diuka nie wydawała mi się szczególnie groźna; ba, gdyby dało się ją zaaranżować w taki sposób, że nikt nie mógłby mieć do mnie pretensji, nie miałbym nic przeciwko temu. Kiedy jednak diuk na chwilę zniknął mi z oczu, zrozumiałem, że grozi mu niebezpieczeństwo.

Nie pomyliłem się. Kiedy schyliłem się pod nadprożem, usłyszałem stłumiony krzyk i odgłos upadającego ciała. Wszedłem do środka i zobaczyłem, że w pomieszczeniu, które dawniej musiało być solaną, diuk szamocze się z jakimś wychudzonym i prawie nagim napastnikiem. Mignęła mi matowa stal. Kiedy ręka z ostrzem wzniosła się do ciosu, próbowałem złapać ją za nadgarstek.

Moje palce tylko musnęły skórę napastnika.

Stęknęcie, jakie wydał z siebie ugodzony nożem Rigoglio, zginęło w ogłuszającym huku wystrzału. Chudy jak szkielet nożownik zesztyniał, wrzasnął przeraźliwie i zasłonił rękami brudną brodatą twarz.

— Nie strzelaj! — krzyknąłem do Skóry.

— Nie strzela! — zawtórował mi Oreb, zataczając małe kółka nad naszymi głowami. — Nie strzela! Nie strzela!

Podniósłszy wzrok, miałem przez chwilę wrażenie, że widzę Oreba na tle pomalowanego sufitu — ale to było niebo: bezchmurne, wygwieżdzone i praktycznie czarne. Dach i strop parteru runęły dawno temu i z domu zostały same ściany.

— Spudłowałem? — Skóra był wyraźnie zde gustowany swoją nieporadnością.

— Nie! Nie! — Napastnik powoli wycofywał się do wyjścia.

— Człowiek ucieka — ostrzegł nas Oreb.

— Słusznie — przyznałem mu rację. — Będzie próbował uciekać, Skóra go zastrzeli i stracimy go na zawsze. — Złapałem brodacza za nadgarstek.

Z resztek powrozów Rigoglio, Morello i Terzo sporządziliśmy więzy na jego ręce i nogi: ręce miał spętane za plecami, a kostki związane w taki sposób, że mógł tylko drobić. Wyglądało na to, że zupełnie oduczył się mówić; nie będzie przesady w stwierdzeniu, że Oreb mówi lepiej od niego. Poza tym był w oczywisty sposób obłąkany, tym bardziej więc cieszyłem się, że Skóra go nie zabił. Widziałem bogów tuneli, których Żubr i jego przyjaciele nazywali „byczkami”; kilku nawet zabiłem, zanim zostaliśmy z Mameltą złapani. Nasz nowy jeniec do złudzenia ich przypominał. W chwilach, gdy pogrążony w myślach, obserwowałem go tylko kątem oka, nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że towarzyszy nam właśnie jeden z bogów tuneli — zagłodzony, wredny i zdesperowany.

Rigoglio odniósł poważną ranę, co stało się oczywiste, gdy tylko ściągnęliśmy z niego koszulę. Opatrzyliśmy go najlepiej jak umieliśmy, podarłszy koszulę na bandażę. Obiecałem mu, że gdy tylko uda nam się zmontować jakieś prowizoryczne nosze, Morello i Terzo będą go nieść. Uśmiechnął się i z wysiłkiem stanął na nogi.

— Pójdę o własnych siłach, mistrzu Incanto. Przynajmniej kawalek.

— Niech tu zostanie z chłopcem — zaproponował Morello. Reszta będzie mogła pójść po pomoc.

Mora schowała miecz.

— A jak nie znajdziemy pomocy?

— Tu jest więcej takich jak on — zauważyłem. — Obserwują nas, podsłuchują, o czym rozmawiamy. Czuję na sobie ich

wzrok. Twój mąż też wcześniej wyczuł ich obecność.

Sfido szturchnął Eco.

— Dobrze się bawisz? — zapytał. — Przecież to wasz miesiąc miodowy.

Mora, która usłyszała jego szept, odpowiedziała: — Różnie bywało, raz lepiej, raz gorzej, ale to już jest zupełne dno.

— Możecie mieć o to pretensje do Jahlee, diuka i do mnie — przyznałem. — Chciałem tylko powiedzieć, że gdybyśmy zostawili tu Rigoglio i Cuoio samych, zostaliby napadnięci; może już w chwili, gdy oddalilibyśmy się poza zasięg głosu, a z całą pewnością po zapadnięciu zmroku. Dlatego Jego Wspaniałość musi pójść z nami. Albo o własnych siłach, póki może, albo na noszach.

Zacząłem iść, a pozostali ruszyli za mną. Morello i Terzo szli obok diuka, żeby w razie potrzeby służyć mu ramieniem.

— Orebie!

Ni to ptak, ni to karzeł opadł na ziemię przede mną.

— Widziałeś tu ludzi? Nie takich jak ten, którego związaliśmy, tylko normalnych, podobnych do nas?

— Stado ludzie! — Pokiwał głową. — Stado dziewczeczki! Widzi bóg?

— Zaprowadź nas do nich. Diuk potrzebuje lekarza.

— Bardzo mokro! Ptak leci! — I pofrunął przodem.

Jedna zniszczona ulica przeszła w następną, ta w kolejną. Eco i Mora wyprzedzili nas i pobiegli za Orebem. Ja szedłem wolniej, z przerażeniem obserwując pustynię gruzów, rozkładu i zapomnienia. Wkrótce zająłem w szyku pozycję, o którą mi chodziło — zrównałem się ze Skórą, puściwszy przodem diuka, Terzo i Morello.

Dołączyła do nas Jahlee, wciąż naga i okryta tylko długimi włosami.

— Ty to zrobiłeś, prawda?

Pokręciłem głową.

— Nie jestem zła, jestem ci wdzięczna! Masz wspaniałego ojca, Cuoio, naprawdę. Nigdy nie zdołam mu się odwdziżyć za wszystko, co dla mnie zrobił.

Skóra ostrożnie skinął głową, zerkając podejrzliwie na Jahlee.

— Mówiłeś wcześniej, Incanto, że to sprawka twoja, moja i diuka Rigoglio. Wątpię, żeby on maczał w tym palce, i jestem pewna, że ja nie miałam z tym nic wspólnego. Nigdy cię nie okłamałam. Chyba o tym wiesz?

Odparłem, że nie jestem skończonym idiotą, więc nic mi o jej prawdomówności nie wiadomo.

— No dobrze, może raz czy dwa skłamałam, ale tylko kiedy to było konieczne. Czy odpowiesz szczerze na proste pytanie?

— Nie, jeśli nie będzie to konieczne.

— To uczciwy układ. Możesz przenieść nas z powrotem? Teraz, w tej chwili?

Skóra spojrzał na mnie zdziwiony.

— Nie wiem — powiedziałem. — Być może. Chyba tak.

— A czy ja... — Jahlee zerknęła na Skórę.

— Wyładniałaś — przyznał.

— Jeżeli moje podejrzenia są słuszne, wrócisz do swojej poprzedniej postaci — dodałem. — Nie mam co do tego pewności, ale tak mi się wydaje. Skóro, pamiętasz zapewne, że w domu, w którym się zatrzymaliśmy, mieszkały dwie kobiety: starsza i młodsza.

— Pamiętam.

— Starsza miała być matką rolnika i właścicielką farmy. Przyniosłeś jej krzesło, twierdząc, że nie powinna stać, skoro jest u siebie w domu.

— Zgadza się.

— Nie wiem, czy ci o tym mówiłem, ale obie miały na imię Jahlee. Morze na pewno o tym wspomniałem.

Skóra przytaknął.

— Wszyscy wiedzą, że młodsza z kobiet dostała imię po babce.

— Wnuczka i babka to jedna i ta sama osoba, tak jak kobieta, która idzie teraz obok nas, i inhumą.

— To miała być tajemnica! — wysyczała Jahlee. — Obiecałeś, że jej nie zdradzisz!

— Obiecałem, że nikomu nie powiem, jeśli nie będę musiał, ale teraz nie mam wyboru. Skóra jest moim synem, a ty przy pierwszej okazji spróbujesz go uwieść. Proszę, nie zaprzeczaj. Wiem, co mówię. — Nie dając jej czasu na odpowiedź, zwróciłem się do Skóry: — Uczciwość każe mi przyznać, że teraz, w tym miejscu, Jahlee nie jest inhumą, lecz normalną ludzką istotą, tak jak i my. I to chyba z tego samego powodu. Jeśli jednak wrócimy do naszego whorla, a wierzę, że tak się stanie, znów będzie tym, kim była. Niedługo się ożenisz, synu, tak jak ja, kiedy byłem mniej więcej w twoim wieku...

Nagle ogarnęło mnie jakieś dziwne uczucie. Nie miałem lustra, spojrzałem więc w dół, na swoje ręce. Odwróciłem dłonie, oglądając je to z wierzchu, to znów od wewnątrz.

— Zmieniłeś się. — Skóra zdawał się czytać w moich myślach. Nigdy bym go nie podejrzewał o taką przenikliwość. — Może wszyscy się zmieniliśmy.

— Ty nie — zauważyłem.

— Za to ty naprawdę przypominasz teraz mojego ojca. Jesteś wyższy i starszy, ale zarazem bardziej do niego podobny niż przedtem.

— A więc kłamałeś, mówiąc, że jest twoim synem! Powinna być się domyślić!

— Jest moim synem w sensie duchowym — wyjaśniłem Jahlee. — Poza tym nie kłamałem, chociaż on jest pewnie innego zdania. Ale wspomniałem o tym, Skóro, że wkrótce znajdziesz sobie żonę. Byłem od ciebie rok młodszy, kiedy ożeniłem się z twoją matką. I wierz mi, lepiej jest iść do małżeńskiego łóża z czystym kontem i sumieniem.

Z namysłem pokiwał głową.

— Rozumiem, ojcze.

Zwróciłem się do Jahlee:

— Owszem, mogę nas przenieść z powrotem. Tak mi się w każdym razie wydaje. Sądzę również, że wrócisz wtedy do swojej poprzedniej postaci. Chcesz, abym zrobił to w tej chwili?

— Nie!

— W takim razie licz się ze słowami i znajdź sobie jakieś ubranie.

Oreb przepłynął nad naszymi głowami niczym miniaturowy statek powietrzny.

— Bardzo mokro!

— Ma rację — stwierdziła Jahlee.

Spojrzałem we wskazanym przez nią kierunku i dostrzegłem błysk wody. Rzeka była potężna, największa, jaką w życiu widziałem, tak szeroka, że wzrok ledwie sięgał na drugi brzeg. Biegła wzdłuż niej szeroka, zniszczona droga z czarnego kamienia. W niektórych miejscach fale ochlapwały bruk, pozostawiając po sobie lepłą wilgoć, która nasuwała mi

nieodparte skojarzenia z kanałami na Zieleni. Prowadzeni przez Oreba, ruszyliśmy tym prastarym traktem (w górę rzeki, jeśli wzrok mnie nie mylił). W wielu miejscach musieliśmy obchodzić szerokie wyrwy w popękanej nawierzchni.

— Gdybyśmy wrócili, moglibyśmy zabrać diuka do lekarza w Blanko — zatroskał się Skóra. — Prawda?

— Nie! — Jahlee ścisnęła go za rękę. — Cuoio, proszę cię, przestań. Pomyśl o mnie.

— Na razie stara się o tobie nie myśleć — zauważyłem. — Bezskutecznie. Rzeczywiście, moglibyśmy znaleźć diukowi lekarza — w Blanko, ale z domu, w którym się zatrzymaliśmy, jest do miasta cały dzień jazdy. I to na dobrym koniu. Nie przyszło ci do głowy, że po powrocie na Błękit rana diuka mogłaby zwyczajnie zniknąć? Że nie miałby już cięcia nożem, które można by pokazać medykowi?

Spojrzał na mnie z rozdziawionymi ustami, ale zaraz odwrócił wzrok.

— Tutaj jesteśmy duchami. Popatrz. — Wyciągnąłem rękę. W powietrzu zmaterializował się mój czarny miecz. Unosił się przed nami, dopóki nie złapałem go za rękojeść; poczułem, jak zaciska uchwyt na mojej dłoni. — Zostawiłem kostur na Błękicie — wyjaśniłem na użytek Jahlee. — A chyba dobrze by było mieć jakąś broń.

Skóra zarzucił strzelbę na ramię i złapał mnie za rękę.

— Jeżeli potrafisz zrobić coś takiego, ojczy, to może mógłbyś uzdrowić diuka?

— Wątpię w to, ale spróbuję.

Rigoglio musiał usłyszeć naszą rozmowę. Odwrócił się — szedł już wtedy wsparty na ramionach przyjaciół — i spojrzał na mnie. W jego oczach krył się ból.

— Czy chciałbyś, żeby wrócił na Błękit z krwawiącą raną na duchu? — spytałem Skórę. — Byłaby dla nas niewidzialna, nie moglibyśmy mu pomóc. To samo przydarzyło się niektórym najemnikom, których poprowadziłem do walki w Mieście Inhumich.

— Nic z tego nie rozumiem, ojczu.

— Prawdopodobnie nikt tego nie rozumie — uspokoiłem go, jeszcze bardziej zniżając głos. — Chciałem nas przenieść na Zielen, do Ściągną. Chciałem znów go zobaczyć. Nadal chcę. Zależało mi też na tym, byście wy wszyscy, a zwłaszcza ty i diuk Sfido, a także Mora i Eco, skoro zrzędzeniem losu zjawili się w takim momencie, poznali prawdziwe zło. Zrozumielibyście wtedy, że my, mieszkańcy Błękitu, musimy się zjednoczyć, stać się braćmi, zanim nasz whorl upodobni się do Zieleni.

Umilkłem i zamyśliłem się nad słowami, które przed chwilą padły z moich ust.

Barbakan i Wieża Niedźwiedzia

Zastanawiałem się właśnie, od czego zacząć następny rozdział mojej opowieści, kiedy przyszli Skóra i Jahlee. Poprosiłem, żeby streścili mi, co widzieliśmy i robiliśmy.

— Dowiedziałam się, dlaczego kobiety płaczą — odparła Jahlee.

— Zabraliśmy diuka do domu, by tam umarł — stwierdził Skóra.

Nic lepszego nie mogłem wymyślić. Prawdę powiedziawszy, moje pomysły na pierwsze zdanie były jeszcze gorsze. „Byliśmy na wzgórzu zniszczonych lądowników” brzmiało chyba najlepiej, ale też mnie nie zachwyciło.

Bynajmniej.

Aby ułatwić im zadanie, musiałem wyjaśnić, czym się zajmuję i pokazać im ukończoną część rękopisu — z górą sześćset stron, zapisanych po obu stronach najdrobniejszym charakterem pisma, na jaki pozwalają pióra Oreba i moje palce.

— Ptak pomaga! — oznajmił z dumą Oreb. — Pomaga Jedwab!

Dodałem, że znosi mi wszystkie długie lotki i pióra z ogona, które zdarzy mu się zgubić.

— W mojej sypialni w Gaonie miał własną grzędę. Kiedy zniknął na blisko rok, zacząłem pisać jego piórami pozbieranymi z podłogi. Tęskniłem za nim i nie chciałem, żeby sprzątaczkę je wyrzuciły. Trzymałem je w piórniku. Nikt nie byłby na tyle głupi, żeby wyrzucić pióra z piórnika, nawet gdybym go nie zamknął.

— To prawda — zgodził się ze mną Skóra.

— Doszedłem do wniosku, że dobrze będzie je naostrzyć. Miałem taki mały nożyk i ostrzyłem je, rozważając kwestie prawne, które przyszło mi rozsądzać. A potem... — Umilkłem, ale zbyt późno.

— Czy to moja obecność wprawia cię w zakłopotanie? — wtrąciła Jahlee. — Nie umiem czytać ani pisać, to fakt, ale nie jestem przewrażliwiona na tym punkcie. Jeśli chcesz mnie naprawdę podręczyć, zapytaj o gotowanie.

— Nie, po prostu to, co chciałem powiedzieć, zabrzmiałoby niezwykle arogancko. Razem z matką Skóry spisaliśmy życiorys patere Jedwabia, do momentu, kiedy się z nim rozstaliśmy. Wydawało mi się, że spisując dzieje moich poszukiwań Jedwabia — bo tym właśnie się zajmuję, a przynajmniej lubię tak o sobie myśleć — w pewnym sensie będę kontynuował tamto dzieło. Zacząłem więc od zacytowania listu z Pajarocu, potem napisałem o spotkaniu z wpływowymi mieszkańcami naszego miasta, o konieczności sprowadzenia nowych odmian zbóż i tak dalej. Nawiasem mówiąc, przywiozłem z „Whorla” trochę zboża, a w Gaonie zebrałem jeszcze więcej. Tak naprawdę, Skóro, zamiast wracać do „Whorla” powinniśmy nauczyć się lepiej wymieniać towarami i informacjami tutaj, na

Błękanie. Gdyby wszystkie miasta podzieliły się zwierzętami i roślinami, które przywiozły w ładownikach, dałoby się częściowo nadrobić te trzysta lat podbojów i rabunku.

— Naprawdę minęły aż trzy stulecia, odkąd mieszkańcy whorla długiego słońca zaczęli schodzić do tuneli, o których opowiadała matka? — zainteresował się Skóra. — Skąd o tym wiesz?

— Nie mam takiej pewności, wiem natomiast, że mniej więcej tyle czasu upłynęło, odkąd „Whorl” odleciał z whorla krótkiego słońca. Właściwie to więcej, ponad trzysta pięćdziesiąt lat, powiedzmy... Trzysta pięćdziesiąt pięć. Jakoś tak. Dość niedbale założyłem, że najazdy rabunkowe zaczęły się natychmiast po wyruszeniu w rejs, co jest raczej mało prawdopodobne.

Skóra podrapał się w ucho.

— Jeżeli minęło mniej więcej trzysta lat...

— Tak?

— Myślałem o starym domu diuka, tym, gdzie strzeliłem do człowieka, który go dźgnął.

— Do omofaga — odpowiedziała Jahlee. — Tak go nazwał ten człowiek, którego spotkaliśmy nad rzeką.

Wyglądał zupełnie zwyczajnie, chociaż naszym oczom jawił się jako elegant pierwszej wody. Zwrócił uwagę, że prowadzimy spętanego jeńca, i spytał, czy chcemy go oddać peltastom. Nie miałem pojęcia, kim są peltaści, zapytałem więc, co z nim zrobią, jeśli go im oddamy.

— Poderzną mu gardło i wrzucą ciało do rzeki — odparł mężczyzna, a widząc, że jeniec go zrozumiał, roześmiał się głośno.

Zasugerowałem, że można by więźnia aresztować i postawić przed sądem za próbę zasztyletowania naszego towarzysza.

— To omofag, panie. Po co tyle zachodu? Równie dobrze możecie zabić go sami. Miasto tylko na tym zyska. A tak w ogóle skąd jesteście?

Terzo, Morello i Sfido odparli, że z Soldo, Mora i ja wymieniliśmy Blanco, a Skóra Nowy Viron.

— Nigdy o nich nie słyszałem. Leżą gdzieś na południu?

— Chyba nie — odparł przytomnie Skóra. Podobało mi się jego poczucie humoru.

Mężczyzna przyglądał się tymczasem Jahlee.

— Jeżeli u was takie kobiety chodzą nago, to chcę tam pojechać.

Jahlee uśmiechnęła się i przejechała językiem po wargach.

— Ci peltaści... — powiedziałem, podnosząc głos, by ponownie zwrócić na siebie uwagę obcego. — Czy to oni są tu stróżami porządku i sprawiedliwości?

— Są żołnierzami, panie. Autarcha odwołuje ich z frontu, kiedy swoje odsłużą i wojna zaczyna ich nużyć. Wracają wtedy do miasta, urządzają pobór, szkolą rekrutów, a przy okazji pilnują, żebyśmy wszyscy szanowali autarchę, płacili myto i podatki, nie wszczynali burd i tak dalej.

— Rozumiem. Gdzie ich znajdę? I gdzie znajdziemy jakiegoś lekarza?

— Tutaj? — Mężczyzna pokręcił głową. — Nie Uzcie na to, panie. Ta część miasta świeci pustkami od... No, od bardzo dawna.

— To znaczy od kiedy? — zapytałem.

Ruszyliśmy w dalszą drogę i obcy dołączył do nas. Cały czas kątem oka obserwował Jahlee.

— Nie wiem dokładnie, panie. — Wskazał w górę rzeki. — Widzicie ten wysoki biały dom? Wygląda, jakby stał w wodzie albo na samym brzegu.

Pokręciłem głową, ale Skóra odparł:

— Ja go widzę, ojciec. Jest chyba z dziesięć mil stąd.

— Ze dwanaście — poprawił go Eco. — Dwanaście jak nic.

— To dom mojego dziadka. Mieszkał tam do śmierci, a zmarł... — Obcy porachował w pamięci. — No, będzie ponad sześćdziesiąt lat. Był jednym z ostatnich mieszkańców tamtych okolic. Po jego śmierci babka przeprowadziła się do nas. Ludzie gadają, że z każdym pokoleniem miasto traci jedną ulicę. Nie będę się zarzekał, że to prawda, ale trochę racji w tym jest. Wychodzi pięć, sześć ulic na sto lat. Więc tę część porzucono... Trudno mi dokładnie powiedzieć, ale na pewno bardzo dawno temu.

— Jedna mila to około dwóch tysięcy trzystu kroków — mruknął do mnie Sfidio. — Z tego, co widzę, równoległe ulice dzieli tu około stu pięćdziesięciu kroków. Może trochę więcej, przyjmijmy dla pewności dwieście. Jeżeli Eco dobrze ocenił odległość, miasto musiałoby popadać w ruinę od dwóch i pół tysiąca lat. Jeśli to twój syn ma rację, czyli odległość jest o jedną czwartą mniejsza, i tak daje to około tysiąca dziewięciuset lat. O ile nie pomyliłem się w rachunkach.

Mora spojrzała na diuka Rigoglio, potem przeniosła zdziwione spojrzenie na mnie. Pokiwałem głową.

— Owszem, domy są tu stare, ale wątpię, żeby miały aż dwa tysiące lat. Kiedyś widocznie szybciej je porzucano. Ale nawet je — ŚU przyjmijmy wersję Cuoio i dopuścimy błąd w obliczeniach na poziomie pięćdziesięciu procent, i tak wychodzi tysiąc lat.

Jahlee wzięła obcego za rękę i szli dalej razem.

— Myślałam o mieście, które oboje znamy, rajanie.

— Wiem, ale tamto miasto nie zostało opuszczone. Niewolnicy czasem remontują stare domy, kiedy my... kiedy się ich do tego przymusi.

Oreb wylądował na drodze spory kawałek przed nami.

— Daleko! — zakrakał. — Idzie szybko!

— Mówi, że powinniśmy się pospieszyć — przetłumaczyłem jego słowa pozostałym słuchaczom. — Nawet jeśli w poszukiwaniu lekarza mielibyśmy przebyć tylko połowę odległości dzielącej nas od białego domu, i tak nie mamy czasu do stracenia.

*

Wydawało mi się, że odzyskałem siły na tyle, by ruszyć w drogę, tymczasem już pierwszy, krótki dzień w siodle ogromnie mnie zmęczył. Zatrzymaliśmy się na nocleg, chociaż wieczór jest jeszcze dość odległy. Korzystając z resztek dziennego światła, Skóra buduje nam — a właściwie mnie, bo nie ulega wątpliwości, że to właśnie moje dobro ma na względzie — szałas z gałęzi sosny. Nie opuściliśmy jeszcze terytorium należącego do Blanko.

Przy jedzeniu przeczytałem mu zapiski poczynione przed odjazdem z farmy. Mam nadzieję, że w ten sposób zachęcę go do przeczytania całej mojej relacji. Z pewnością nie zaszkodzi mu, jeśli się dowie, że od czasu do czasu pojawia się na jej kartach. Szczególnie zaciekało go Miasto Inhumich. Zasypał mnie pytaniami, z których nie na wszystkie umiałem odpowiedzieć.

— Jak stare jest to miasto?

To pytanie padło już po raz drugi.

— Mówiłem, że nie wiem dokładnie, ale na pewno musi być bardzo, bardzo stare. Ze ścian wież powyrastały drzewa, które według naszych standardów byłyby ogromne.

— Drzewo, które ma jakieś sto lat, jest już bardzo duże. Można je ściąć i policzyć słoje.

— To prawda.

— Powiedzmy zatem, że minął wiek od pojawienia się tamtych samosiejek...

— Minęło wiele wieków. Wieże są dziełem Sąsiadów, którzy w sztuce budowlanej znacznie przewyższają nas, ludzi.

— Sąsiadów? Masz na myśli Zaginiony Lud?

Pokiwałem głową i spojrzałem na niego kątem oka, nabierając łyżkę własnoręcznie przyrządzonej potrawy. Mamy wystarczającą ilość srebrnych kart, by zaspokoić nasze potrzeby. Na jednej z mijanych farm kupiliśmy za nie baraninę, rzepe, mąkę, masło, jabłka i sól.

— Skąd tyle o nich wiesz?

Ruchem głowy wskazałem mój rękopis.

— O wszystkim napisałem, a gdybym chciał ci opowiedzieć, czekałby nas długi, nużący wieczór. W dodatku przekonałbyś się w końcu, że nie wiem prawie nic, chociaż nieraz z nimi rozmawiałem.

— Ale to oni zbudowali to miasto na Zieleni, tak? A potem odeszli, oddając je inhumim. Dlaczego?

— Bo woleli je porzucić, woleli opuścić oba whorle, niż dzielić je z inhumimi, tak jak my je dzielimy.

— Ale dlaczego?

Pokręciłem głową.

— Nie wiesz? — Skóra odstawił miskę i spojrzał na mnie podejrzliwie ponad ogniskiem.

— Nie. Mogę się jedynie domyślać, ale moje domysły są niewiele warte.

— Mimo to chciałbym je poznać.

Jeszcze raz przecząco pokręciłem głową.

— Niech ci będzie. — Wziął miskę do rąk. — Smaczna ta potrawka. Co to za ostra przyprawa?

— Imbir.

— Nie kupiłeś go tutaj, prawda?

— Noszę go w torbie. Zabrałem zapas z Blanko, kiedy wyruszaliśmy na wojnę z diukiem Sfido i żołnierzami. Na wzgórzach, kiedy wojowałem razem z Incanto, przejadła mi się mdła wojskowa kuchnia. Dlatego przy pierwszej okazji nakupiłem przypraw: imbiru, czerwonej papryki, bazylii, oregano i innych.

— Mało jesz. Właściwie odkąd się spotkaliśmy, prawie nie widuję cię jedzącego.

— Ciągłe się obżeram, chociaż cały czas próbuję jeść mniej. A przynajmniej staram się próbować.

— Kiedy mówiłeś o przyprawach, przypominałeś mojego ojca, ale z tym niejedzeniem... Jakbym słuchał innego człowieka. Lubisz ryby?

Uśmiechnąłem się.

— Aż za bardzo.

— Czym byś doprawił rybę?

— Najchętniej chyba sokiem z cytryny i pieprzem, ale tutaj trudno o pieprz. W Gaonie mieliśmy przynajmniej cytryny, bo w Blanko ich także nie uświadczysz.

— A w domu? Wyobraź sobie, że masz przyrządzić rybę na Jaszczurce.

— Wystarczyłaby morską wodą i ocet. — Wzruszyłem ramionami. — Trochę też zależy to od gatunku ryby. Były takie, które nazywaliśmy białymi pstrągami, chociaż, rzecz jasna, nie miały z pstrągami nic wspólnego; do nich przydałoby się masło albo olej, bo jak byś ich nie przyrządził, zawsze wychodzą suche i wiórowate, — Słyszac zgrzyt łyżki Skóry o dno miski, dodałem: — Zostało jeszcze trochę w garnku. Częstuj się, jeśli chcesz.

— Wolałbym, żebyś ty zjadł tę resztkę.

Pokręciłem głową.

Korzystając z chwili ciszy, zacząłem przeglądać ostatnie zapiski.

— Wiesz co? Chwilami mam wrażenie, że naprawdę jesteś moim ojcem.

— Bo nim jestem.

— Czasem mówisz tak jak on, a czasem nie, ale w jednym jesteście podobni: on zawsze coś pisał. Mógł przepracować cały dzień w pielni, zjeść kolację, a potem zasiąść do pisania, kiedy my rozmawialiśmy albo się bawiliśmy. Zdarzało się, że wstawał po ciemku, pisał do świtu, a potem brał się do pracy.

— Spisywałem dzieje patere Jedwabia — wyjaśniłem. — Jego życiorys, a przynajmniej tę jego część, którą znałem. Jeżeli coś sobie przypomniałem przy pracy albo coś mi się przyśniło, chciałem przelać to na papier, póki wspomnienie było świeże i wyraziste. Nie zapominaj, że twoja matka też dużo pisała, nawet więcej niż ja.

— Najczęściej przepisywała na czysto twoje zapiski.

— Znała wiele faktów, o których nie miałem pojęcia. Wiedziała na przykład, o czym rozmawiał Jedwab z radcą Lorim podczas ich ostatniego spotkania. Często też podsuwała mi pomysły, na które sam bym nie wpadł.

— Mówiłem ci, jak miał na imię mój ojciec? Albo matka?

Wzruszyłem ramionami.

— Nie pamiętam. A jaka to różnica?

— Wiem, że wspomniałem ci o bracie imieniem Ściągnio, i o drugim, moim bliźniaku, a skoro o nim mówiłem, to musiałem też dodać, że nazywa się Racica.

— Być może. Tak, to całkiem prawdopodobne.

— Ale chyba nie wymieniłem imion matki ani ojca.

— Twoja matka ma na imię Pokrzywa. A ja nazywam się Róg. Skóra przełożył sobie do miski resztę potrawki.

— Ty naprawdę jesteś moim ojcem, co? Tylko wydarzyło się coś, co zmieniło twój wygląd.

Doprawdy, nie sposób opisać radości, jaka mnie w tym momencie ogarnęła. Wykrztusiłem coś w rodzaju „Tak, synu”, chociaż dokładnych słów nie pomnę. Mogłem powiedzieć „mój synu”. Pewnie tak właśnie powiedziałem.

— W tamtym drugim miejscu byłeś do niego znacznie bardziej podobny.

— Wiem. W barbakanie mieli lusterko; pewnie strażnicy korzystają z niego przy goleniu. Czy kiedy zobaczyłeś, jak wyglądam we whorlu czerwonego słońca, nie przyszło ci do głowy, że twoje poszukiwania dobiegły końca?

— Jahlee wyglądała tam jak zwyczajna kobieta.

— Jahlee była zwyczajną kobietą. Właśnie tam.

— Złą kobietą.

— Dlatego, że próbowała cię uwieść? Musisz zrozumieć, że przez większość życia właśnie tak się zachowywała. Prowokowała mężczyzn. Obiecywała im więcej, niż była w stanie dać. Na przykład nigdy nie mogła pozwolić sobie na to, żeby któryś z nich zobaczył ją nagą, tak jak my ją widzieliśmy; nie mogli się nawet do niej zbliżyć, jeśli padało na nią zbyt jasne światło. Przenieśliśmy się do whorla czerwonego słońca i nagle okazało się, że nie musi już nikogo oszukiwać, że jest taka, jaką zawsze udawała. To ją oszołomiło. Spróbuj postawić się w jej sytuacji.

— W porządku.

— Uwiedzenie cię byłoby złym uczynkiem i miałoby zgubny wpływ na twoją równowagę emocjonalną i moralną, ale Jahlee nie zdawała sobie z tego sprawy. Zrozumiała natomiast, że nareszcie może kogoś obdarzyć miłością, którą przedtem tylko obiecywała dziesiątkom mężczyzn. Mam nadzieję, że wyrażam się dostatecznie jasno.

— Czyli w gruncie rzeczy wcale nie jest zła?

— Tego nie powiedziałem. Miałaś rację, nazywając ją złą istotą.

— Mówiłeś o niej jak o przyjaciółce, tymczasem ona wymykała się nocą, wylatywała...

— Lata dobrze! — Oreb najwyraźniej doszedł do wniosku, że już zbyt długo nie uczestniczy w rozmowie.

— Wylatywała przez okno i piła ludzką krew. Tak mi powiedziała.

— Naprawdę? Nie wiedziałem. To znaczy, wiedziałem, że musi to robić, ale nie miałem pojęcia, że ci się z tego zwierzyła.

Skóra niepewnie spuścił wzrok.

— Już po tym, jak wróciliśmy.

— Rozumiem. Czują, że powinna jakoś ci wyjaśnić zmianę, która w niej zaszła.

Nadal nie patrzył mi w oczy.

— Pewnie tak.

— To musiało być dla ciebie rozczarowanie.

Nie odpowiedział. Skończył jeść i wrócił do budowy szałasów.

*

W okolicy są mokradła. Skóra mówi, że wiedział o tym wcześniej, ale miał nadzieję, że lód je skuje i będziemy mogli po nim przejść. Niestety, lód jest za cienki, więc musimy obejść bagnisko bokiem. Ze słów Skóry wynika, że to kawał drogi. Ogromna zielona bestia o morderczych zamiarach skrada się przez błoto. Stąpa na dwóch nogach, jak człowiek, lecz zupełnie bezszelestnie. Ma kły dłuższe i grubsze niż ramię muskularnego mężczyzny — tyle że poza mną nikt jej nie widzi. A i mnie ukazuje się tylko wtedy, gdy wcale jej nie szukam.

Dziś wieczorem rozmawialiśmy o Sąsiadach. Opowiedziałem Skórze o ruinach na wyspie i o tym, jak wpadłem do jamy.

— Ściany domostw sięgały mi najwyżej do pasa — dodałem.

— Mówiłeś, że na Zieleni są wieże, które strzelają pod samo niebo, wyżej niż sięga lądowik.

— To prawda.

— Kiedy wspomniałeś o drzewach wyrastających ze ścian, powiedziałeś też, że Zaginiony Lud przewyższał nas sztuką budowania.

— Z całą pewnością na razie im nie dorównujemy.

— Wobec tego to miasto na wyspie musiało opustoszeć bardzo, ale to bardzo dawno temu.

Patrzyłem mu w oczy i próbowałem go przejrzeć na wylot, tak jak on próbował przeniknąć moje myśli; nie wiedziałem, co wie, i domyślałem się, czego się domyśla.

— Co się z nimi stało?

Zapatrzyłem się na mokradła. Trwało to najwyżej parę sekund, ale przed oczami natychmiast stanął mi whorl czerwonego słońca: okrutny, wygłodniały omofag; brama cmentarza, przez którą pasemka mgły prześlizgiwały się jak zagubione duchy; głupi strażnik o tępej twarzy, który był naszą jedyną nadzieją na uzyskanie pomocy dla Rigoglio. I jedyną szansą upomnienia się o sprawiedliwość.

Z pewnością nie mówiliśmy wszyscy naraz, chociaż można chyba było odnieść takie wrażenie. Rigoglio ledwie trzymał się na nogach, woźnica prawie się nie odzywał, wydaje mi się, że Eco i Terzo również zachowali spokój; być może także Skóra I Jahlee — ale Mora, Sfido i ja gadaliśmy jak najęci.

Strażnik zdawał się nas nie słyszeć. Wycelował we mnie swoją długą broń — ni to pikę, ni to włócznię, podobną do obu, a zarazem nie będącą żadną z nich.

— Jesteś oprawcą?

— Słucham?

— Pytałem, czy jesteś katem. Należysz do gildii?

Ruchem głowy wskazał jakąś budowlę położoną za cmentarzem, którego nagrobki pokrywały pobliskie wzgórze niczym kamienna dachówka.

Odparłem, że nie jestem członkiem gildii, nie dlatego nawet, że chciałem zaprzeczyć, ale dlatego, że nie rozumiałem, o co mu chodzi.

— Czy jesteś z Wieży Matachina?

Pokręciłem głową i przyznałem, że nigdy nie słyszałem o takim miejscu.

— Wziąłem cię za kata. To przez ten miecz. — Wskazał moją klingę. — I ubranie.

— Owszem, mam miecz i ubranie, ale jestem tu obcy.

— Diuk został pchnięty nożem — wtrącił Morello i dramatycznym gestem wskazał rannego. — Opatrzyliśmy go, ale stracił mnóstwo krwi.

Strażnik skinął głową. Nawet jeśli zrozumiał słowa Morello, nie dał tego po sobie poznać.

— Potrzebny mu lekarz — dodała Mora.

— Albo ktoś, kto go uwięzi i da mu spokojnie umrzeć — dorzucił Sfido.

Morello zaprotestował i Skóra musiał ich rozdzielić.

— Jeżeli diuk umrze, on też zginie! — wypalił Terzo i posłał omofagowi nienawistne spojrzenie.

Mora spiorunowała go wzrokiem.

— Ty nie masz tu nic do gadania!

— W takim razie zwiąż mnie i sama nieś diuka. Powtarzam: jeśli Rigoglio umrze, on też pójdzie do piachu!

Eco burknął coś niezrozumiale i oparł dłoń na rękojeści szabli.

— Wolałabym go uwolnić, niż dać ci go zabić — odwarknęła Mora. — Prędzej oddam mu nóż i pozwolę, by poderznął ci gardło.

Strażnik nakazał nam spokój.

— Nie mówi — zakrakał Oreb.

Jahlee zachichotała.

— Nikt nie będzie tu nikogo zabijał — oznajmił strażnik i wymierzył swoją dziwną broń w omofaga. — Na pewno nie bez mojego rozkazu.

— Dobrze powiedziane — zauważyłem.

— A ty... Co zrobiłeś z mieczem?

Rozłożyłem ręce.

— Nie mam żadnego miecza.

Rigoglio z najwyższym trudem podniósł głowę, jakby jej ciężar był dla niego nie do udźwignięcia.

— Nasz przyjaciel jest czarownikiem — wyjaśnił. — Strego. Sam widziałeś.

— Dość tego! — Strażnik skinął na Jahlee. — Jesteś z nimi?

— A chcesz, żebym była?

Patrzył na nią tępo, niezdolny wykrztusić ani słowa, czasem tylko zaklął pod nosem.

— Nie umiera! — przemówił Oreb do Rigoglio.

Nachyliłem się nad diukiem, gdy dotarło do mnie, że Oreb usłyszał coś, co uszło mojej uwagi.

— Nie lituj się nade mną, Incanto — wyszeptał Rigoglio. Ledwie go słyszałem. — Już mi to nie przeszkadza.

— Możesz tchnąć w niego nowe życie? — zapytał mnie Sfidio.

— Nie, choć próbowałem. Wydawało mi się, że wolałbyś, gdyby umarł.

— To prawda, ale chciałbym widzieć, jak stoi pod ścianą i kula roztrzaskuje mu czaszkę.

Strażnik zdjął płaszcz i podał go Jahlee.

— Włóż go — powiedział. — Włóż, włóż, nie ma na co czekać.

— Czerwony to piękny kolor, prawda? Taki dramatyczny... — Jahlee narzuciła płaszcz na ramiona, rozchyliła go i z wdziękiem wysunęła spomiędzy jego pól zgiętą w kolanie nogę ,

opierając stopę na palcach. — Mógłbyś mi wyczarować lustro, rajanie?

— Pewnie tak — odparłem. — Ale tego nie zrobię.

— Nie musisz. Widzę swoje odbicie w jego oczach. Patrz, patrz śmiało — dodała Jahlee pod adresem strażnika. — Jak będziesz grzeczny, to może pozwolę ci dotknąć.

Przez chwilę bałem się, że Skóra go zastrzeli, ale jego głos wyrwał mnie z zamyślenia: — Ojczy?

— Tak? Słucham?

Mgła wznosiła się znad bagien, tak jak znad tamtej szerokiej rzeki w innym whorlu, kiedy nastał wieczór i pochłodziło. Przypomniała mi się Pokrzywa, która widziała duchy nad jeziorem Limna podczas ostatnich letnich wakacji, jakie spędziła tam z rodzicami.

— O czym myślałeś, ojczy?

— O mgle. Mgła jest prawie tak samo niematerialna jak cień, a jednak potrafi spiąć nasze wspomnienia jak żelazna kłamra.

Podążył za moim wzrokiem i spojrzał na mokradła. Samotny ptak przeciął niebo. Pomyślałem, że może to Oreb wraca, ale ptak poleciał dalej, myśląc — tak jak ja — wyłącznie o powrocie do gniazda.

— Kiedy wypłynęliśmy z Kraitem na poszukiwania Algi, z morza też podniosła się mgła. Była gęsta i biała jak mleko, zupełnie inna od tej.

— Kto to jest Alga?

— Kobieta, której śpiew czasem słyszymy razem z pułkownikiem Terzo.

Skóra nic nie powiedział, a ja nie przerywałem milczenia, wspominając pieszczoty dwóch warg i jednej jedynej ręki.

— Ojcie, mogę ci zadać bardzo ważne pytanie? — odezwał się po długiej chwili Skóra.

— Naturalnie.

— Pewnie wyda ci się głupie, ale naprawdę nie daje mi spokoju.

— Rozumiem, mój synu.

— Kiedy... Czasem mam wrażenie, że lekceważysz moje pytania.

Pokiwałem głową.

— Bo czasem zadajesz je z czystej ciekawości albo trafiasz na moment, kiedy jestem pogrążony w myślach. Masz do mnie pretensje, Skóro, ale ja też mógłbym się na ciebie poskarżyć. Może powinniśmy być dla siebie bardziej wyrozumiali?

— Postaram się. A teraz posłuchaj, ojcie. Czy kiedy byłeś w moim wieku, rozumiałeś whorl, w którym przyszło ci żyć? Whorl długiego słońca?

— W twoim wieku, Skóro, już w nim nie mieszkałem. Byliśmy z twoją matką małżeństwem, przenieśliśmy się na Błękit, nawet Ścięgno zdążył się już urodzić. — Wspomnienie złotych dni ustąpiło obrazom rozpacz i desperackiej walki o przetrwanie. — Nie mieszkaliśmy jeszcze na Jaszczurce, ale już byliśmy tutaj.

Skóra chciał coś powiedzieć, ale powstrzymałem go gestem.

— Wracając do twojego pytania: w twoim wieku nie rozumiałem ani whorla długiego słońca, ani tego, w którym niedawno zamieszkałem. Nadal ich nie rozumiem, choć przypuszczam, że pojmuję więcej od ciebie. Ale to tylko przypuszczenie. Ty zaś podejrzewasz, że skąpię ci wiedzy.

— Ja to wiem, ojcie — odparł stanowczym, lekko gniewnym tonem.

— Wiele ci już powiedziałem. Część moich słów puściłeś mimo uszu, a część odrzuciłeś, gdyż nie pasowała do twoich wyobrażeń.

— Czasem tak... — przyznał niechętnie.

— Sam widzisz. Kiedy byłem młodszy niż ty teraz i mieszkałem we „Whorlu”, ojciec próbował przekazać mi wiedzę o swoim sklepie. Sprzedawał papier, pióra, atrament, ołówki, księgi rachunkowe i tym podobne towary. Na pewno ci o tym opowiadałem.

— Tak, ojcie.

— Nie słuchałem go. Potem często żałowałem, że nie poświęcałem jego słowom należytej uwagi. Chciał, żebym przejął sklep, kiedy on będzie za stary, żeby go prowadzić, ale ja postanowiłem, że tego nie zrobię. W tych chwilach, kiedy wydawało mi się, że uważnie mnie słuchasz, starałem się mówić ci o rzeczach, które, mam nadzieję, zapadły ci w pamięć na lata.

— Teraz cię słucham, ojcie. Słucham cię uważnie.

Ja też słuchałem, nasłuchiwałem tak samo, jak przed chwilą. Przede wszystkim nasłuchiwałem odgłosów, które oznaczałyby powrót Oreba, ale słyszałem tylko prychanie i tupanie koni — i powolny trzepot skrzydeł, o wiele większych i bardziej miękkich niż skrzydła Oreba.

— Nic mi nie powiesz?!

— Może... Jest pewna sprawa, bardzo ważna sprawa, o której nie mogę mówić. Do tej pory robiłem uniki i zmieniałem temat, kiedy o nią pytałeś, i chyba teraz zrobię tak samo.

— Dużo wiesz o Zaginionym Ludzie. Nie zaprzeczaj.

— Wcale nie tak dużo.

Udał, że mnie nie słyszy.

— Wydaje mi się, że to oni są kluczem. Gdybym ich zrozumiał, zrozumiałbym wszystko, nawet to miejsce, do którego trafiliśmy, kiedy myślałeś, że przeniesiemy się na Zielen. Bo to wcale nie była Zielen, prawda?

— Tak.

— Gdzie w takim razie byliśmy?

— Diuk Rigoglio twierdził, że to whorl krótkiego słońca, ten sam, z którego kiedyś zabrano go przemocą i wrzucono na pokład „Whorla”. To znaczy do whorla długiego słońca.

— Ale musiałyby minąć bardzo dużo czasu, ojciec. Sam mówiłeś o tysiącach lat.

— Mówiłem, bo tyle minęło. Dlatego ja nie chcę go nazywać whorlem krótkiego słońca.

Zaskoczył mnie następnym pytaniem:

— Myślisz, że pogrzebali go na tym cmentarzu?

— Rigoglio? Nie.

— Powiedzieli, że tak zrobią.

— W takim razie tak zrobili.

Strażnik zaryglował bramę, twierdząc, że wyświadcza nam przysługę.

— Mógłbym poprowadzić was na skróty, przez dziurę w murze. Wiem, gdzie ona jest.

Odparłem, że dłuższa droga często okazuje się krótsza — na dłuższą metę.

— Ale wtedy musielibyśmy przejść przez Stary Działaniec i podejść pod barbakan od tyłu. To wbrew regulaminowi. — Zawahał się. — Poza tym nie wszyscy, którzy wejdą na Stary

Dziedziniec, wychodzą z niego, jeśli wiesz, co mam na myśli. No, idziemy.

Ruszyliśmy. Ja szedłem obok strażnika, Skóra nieco z przodu.

— Prowadzisz nas do lekarza?

— Do lochaga.

— Lochag to twój oficer?

Strażnik skinął głową.

— Jak ona się nazywa? Ta kobieta, której oddałem płaszcz?

— Jahlee.

— Jahlee! Wracaj tu zaraz!

Uśmiechnęła się.

— Bałeś się, że ucieknę?

— Daleko byś nie uciekła, ale też później nie miałbym z ciebie żadnego pożytku.

Modliłem się, żeby strażnik nie zauważył spojrzenia, które posłał mu Skóra.

— Masz na sobie mój płaszcz, więc należysz do mnie, jasne? Nie jesteś z nimi, tylko sama.

— Jestem twoja.

Jahlee podeszła do niego z lewej strony (ja szedłem po prawej) i wzięła go pod ramię.

Marsz był długi i wyczerpujący, a my byliśmy zmęczeni, zanim się jeszcze zaczął. Diuk Rigoglio upadł na ziemię. Przyjaciele nieśli go, dopóki starczyło im sił. Później strażnik zatrzymał przejeżdżający wóz i kazał woźnicy zawieźć nas do barbakanu — niskiego, ponurego fortu o grubych murach, zbudowanego na palach wbitych w dno suchej fosy.

— Tam go pochowamy. — Kciukiem wskazał cmentarz. — Nad rzeką.

Pokręciłem głową.

— On musi przeżyć.

Jednak przełożony strażnika podzielał opinię podwładnego. Twierdził też, że jestem mistrzem z gildii katów.

— To nieprawda — odparłem. — Jesteśmy tylko ubogimi podróżnymi, gośćmi w tym mieście. Dotarliśmy tu dziś, idąc wzdłuż rzeki na północ. Nigdy nikogo nie torturowałem i nie zamierzam tego robić.

— Miał miecz — poinformował lochaga strażnik. — Tylko gdzieś go schował, kiedy spuściłem z niego wzrok. Tamci mówią, że jest czarownikiem.

Lochag zrobił mądrą minę, pokiwał głową, zamoczył pióro w atramencie i naskrobał coś na kawałku pergaminu.

— Ranny potrzebuje krwi — tłumaczyła mu Jahlee. — Posłuchaj, nic mnie nie obchodzi, czy on umrze, czy będzie żył; dla mnie to bez znaczenia. Ale wiem, że potrzebuje krwi, i to pilnie. Widzisz chyba, że wykrwawił się prawie na śmierć?

Lochag podniósł wzrok znad pergaminu.

— Przyszłaś z nimi, ładacznico?

— Tak, ale teraz jestem z nim. — Pokazała na strażnika.

— Wyprowadź ją stąd.

Strażnik posłusznie wykonał rozkaz, a lochag skinął na mnie.

— Ty nimi dowodzisz?

— Tak mi się wydaje.

— W takim razie będziesz za nich odpowiedzialny. Wiesz, gdzie jest Wieża Niedźwiedzia?

Powtórzyłem, że nigdy przedtem nie byłem w tym mieście, toteż nie mam pojęcia, gdzie co się znajduje.

— Poślę z wami chłopaka. — Podał mi pergamin. — Napisałem, żeby spróbowali mu pomóc i znaleźli wam nocleg.

W zamian dostanę tego. — Wskazał omofaga. — Taka zapłata. Umrze na arenie, choć i na to nie zasługuje.

Zacząłem protestować.

— Dźgnął waszego przyjaciela, tak czy nie? Jesteś świadkiem?

— Tak.

— No i bardzo dobrze. Zobaczymy, jak sobie poradzi z mastyfem.

Omofag opluł lochaga, za co został metodycznie spoliczkowany przez strażnika: raz z prawej, raz z lewej.

— A teraz posłuchaj — mówił dalej lochag. — Wasz przyjaciel najprawdopodobniej umrze. Naoglądałem się w życiu więcej ran niż bym chciał, i mówię ci, że raczej nie dożyje jutra. Hodowcy niedźwiedzi wyrzucają padłe zwierzęta na śmietnik, ale napisałem im, żeby jego lepiej potraktowali. Wszystko jest w tym liście, który ci dałem. Mają go pochować jak członka swojej gildii.

Dlaczego inhumni są do nas podobni?

Ojczy?

Podniosłem wzrok na Skórę. Podświadomie spodziewałem się ujrzeć kamienne ściany i dymiące pochodnie w strażnicy, ale za jego plecami rozciągało się ponure bagnisko, zalane światłem gwiazd i niesamowitym blaskiem Zieleni.

— Dlaczego Zaginiony Lud najpierw wyginął tutaj, a dopiero potem tam?

— Tam, to znaczy na Zieleni?

— Mhm. Widziałem, że na nią patrzysz.

— Rzeczywiście, patrzyłem. Z powodu rzezi dokonywanej przez inhumich.

Z ciemności dobiegł trupi szept:

— Zjawiam się chyba w samą porę.

Oba konie zarżały, spłoszone. Skinąłem na Skórę.

— Idź do nich, synu. Mogą uciec, jeśli nie są solidnie spętane.

Jahlee weszła w krąg światła. Odrzuciła na ramię długie kasztanowe włosy, które nie były prawdziwymi włosami.

— Nie ma potrzeby, Skóro. Nie będę ich niepokoić.

— Idź — powtórzyłem. Jahlee parsknęła śmiechem. — Już dwa razy je spłoszyłaś. Po co przyszłaś?

— Przecież wiesz.

— Nie wiem.

— Edukacja twojego syna jeszcze się nie skończyła.

— Zamiast prosić, żebyś usiadła, powinienem cię zabić.

Nadstawiłem ucha. Skóra przemawiał łagodnie do koni, próbując je uspokoić.

— Masz igłowiec?

— Nie powiedziałbym ci, gdybym miał.

— Pewnie nie. Ale i tak mnie nie zabijesz. Nie mówisz tego serio.

Wzruszyłem ramionami.

— Może tak. A może nie.

— Przejmujesz się opinią bogów, a wiesz, że mam ludzkiego ducha.

— Ukradłaś go.

— Tam byłam jedną z was, w tym starym, zepsutym mieście.

— Tam, gdzie zmarł diuk? — spytał Skóra, który właśnie wrócił do ogniska.

— Tak. Dawali mu zioła i inne medykamenty, a on potrzebował krwi. Mówiłam im.

— Jesteś niekwestionowanym ekspertem w tych sprawach, ale oni nie mogli o tym wiedzieć — zauważyłem.

— Co tu robisz? — zainteresował się Skóra. — Chcesz się do nas przyłączyć?

Uśmiechnęła się, nie rozchylając warg.

— Być może...

— I pójść z nami aż do Nowego Vironu?

— Mam nadzieję, że nawet dalej.

— Nie spełnię twojej zachcianki — stwierdziłem stanowczo.

Skóra wodził wzrokiem ode mnie do Jahlee i z powrotem. Nie miał pojęcia, co się dzieje.

— Chciałabym ci pokazać Zieleń — wyjaśniła mu Jahlee. — To mój ojczysty whorl, tam się urodziłam i wychowałam, tak jak twój ojciec urodził się i dorastał na tym małym białym punkciku, który czasem próbuje ci wskazać wśród gwiazd.

— Mówisz o whorlu długiego słońca? Widziałem go. Czy mogę cię o coś zapytać? Skoro już tu jesteś... — Skóra odczekał, aż Jahlee skinie przyzwalająco głową. — Właściwie to chciałbym zapytać was oboje o to samo.

— Tak.

Z tonu jej głosu dało się poznać, że odpowiedziała na pytanie, którego nie zdążył zadać. Obdarzyła go swoim cierpkim uśmiechem, który nie odsłaniał bezzębnych dziąseł.

— Dlaczego strażnik cmentarza... Nie wiem, jak się nazywał. Dlaczego cię pobił?

— Miał na imię Badour. — Jahlee zapatrzyła się gdzieś w dal. — Pokłóciliśmy się, Skóro. To się zdarza między mężczyznami i kobietami, i to dość często. Spytaj ojca.

— Pewnie tego nie zrobisz, Skóro, ale gdybyś jednak zapytał, powiedziałbym ci, że sprzeczki między kobietą i mężczyzną niczym szczególnym nie różnią się od sporów między dwoma mężczyznami albo dwiema kobietami. Kiedy mężczyzna i kobieta zaczynają przerzucać się słowami albo bić, głupcy chętnie przypisują to różnicom między płciami. Tymczasem większość różnic jest znacznie mniej istotna, niżby się mogło wydawać, a te naprawdę ważne prowadzą raczej do złagodzenia konfliktów niż do ich zaognienia.

Skóra pokiwał głową.

— Różnice między inhumą, taką jak Jahlee, i ludzką kobietą, na przykład Morą, są o wiele poważniejsze niż między mężczyzną i kobietą. Widziałeś kiedyś kły inhumiego?

— Nie, ojciec, ale chciałbym zobaczyć.

— Ja ci nie pokażę — zastrzegła się Jahlee.

— My, ludzie, też mamy kły, chociaż wyglądają inaczej. Wyrastają u źródła kanalików łzowych. — Rozchyliłem wargi i obnażyłem nieduże, lekko spiczaste kły. — Nie przeszkadza nam to, że ktoś mógłby je zobaczyć. Kły inhumiego są w środku puste, jak zęby jadowe żmii. Zamiast jednak wstrzykiwać nimi jad, inumi wpuszcza do rany ślinę, która zapobiega krzepnięciu krwi. Potem tą samą drogą wysysa krew. Na pewno ugryzła cię kiedyś pijawka. Pamiętam z dzieciństwa, że nad Limną było ich zatrzęsienie. Tu też są dość rozpowszechnione, tylko znacznie większe.

— Właśnie tu miałem spotkanie z pijawką. — Skóra wskazała mokradła. — Nie miałem konia, więc umówiłem się z pewnym człowiekiem, że przeprowimy się jego łodzią. — Z wysiłkiem przełknął ślinę. — Ludzie mówili, że Jedwab tu jest. Po tej stronie bagien. Tak słyszałem, a wiedziałem, że go szukasz. Dlatego pomyślałem, że mogę cię tu znaleźć. Że się spotkaliście.

Pokręciłem głową.

— Nieważne. Zapłaciłem przewoźnikowi towarami, które zabrałem z domu na wymianę. Przeprowa zajęła nam dwa dni.

— I po drodze ukąsiła cię pijawka.

— Tak, w nogę. Duża, sina pijawka. Była oślizła i wyglądała na miękką, ale potem okazała się bardzo twarda.

Uśmiechnąłem się, a przynajmniej próbowałem się uśmiechnąć.

— To ciekawe, jak dobrze ten opis pasuje do inhumich. Kiedy poznasz ich tak dobrze jak ja, docenisz trafność tych słów.

— Tak mi się odwdzięczasz za gościnność? — wysyczała Jahlee.

— Oderwałem ją — ciągnął tymczasem Skóra. — Rana obficie krwawiła. Inhumi są podobni do pijawek, tak? To właśnie masz na myśli?

— Znacznie bardziej podobni, niż się na pierwszy rzut oka wydaje.

— Ale podobno umieją latać. Tak ludzie gadają. To prawda?

— Tak.

— A pijawki nie. Ludzie też nie, chyba że w lądowniku albo jakoś podobnie. A szkoda. — Skóra spojrział na Jahlee. — Pokażesz mi, jak to robisz?

Pokręciła głową.

— Z tymi zębami to jeszcze mogę zrozumieć, ale o co chodzi z lataniem? Przecież to musi być coś wspaniałego! Nie będę się z ciebie śmiał.

— Nie!

— Widziałem to już kiedyś, ale tylko z daleka — wyjaśnił mi Skóra. — Inhumi przypominają trochę nietoperze, prawda?

— Trochę tak.

— Tylko wolniej machają skrzydłami, pewnie dlatego, że są więksi, dużo więksi od nietoperzy. Ty na pewno widziałeś latających inhumich z bliska. Na Zieleni.

— Tutaj też. Wspominałem ci o Kraicie. Kiedyś wystraszył się i zerwał do lotu, siedząc tak blisko mnie, że mógłbym go dotknąć.

— To ty go przestraszyłeś! — warknęła Jahlee.

— Nie. Dałem mu aż nadto powodów do obaw, ale wtedy akurat nie mnie się przestraszył.

— Możesz mi powiedzieć, o co się pokłóciliście z tym żołnierzem? — zainteresował się Skóra.

— Ja...

Jahlee zawiesiła głos i zerknęła na mnie spode łba. W świetle ogniska jej twarz — twarz, którą dowolnie formowała i przyozdabiała — nie była piękna. Malował się na niej gniew.

— Mogę mu powiedzieć? — zapytałem. — Używając twoich słów: uzupełnię luki w jego edukacji. Będzie lepiej, jeśli się dowie.

— Sam tego nie wiesz!

— Oczywiście że wiem. Widziałem tego żołnierza. Badour, tak się nazywa, prawda? Widziałem go w Wieży Niedźwiedzia, tak jak widziałem ciebie i twoje sińce. Zrozum, staram się być uprzejmy. Nikomu nie obiecywałem, że dotrzymam tej tajemnicy.

— Powiedz, ojcze. Chyba rzeczywiście powinienem o tym usłyszeć. Sam tak powiedziałeś.

— Powiem ci, jeśli Jahlee tego nie zrobi. Albo jeżeli będzie próbowała cię oszukać.

Jahlee splunęła w ogień.

— Głupia byłem, że do was przyszedłem!

— Odejdź. Nikt cię tu nie trzyma.

— Mogłabym odfrunąć. Nie jestem twoim psem, więc nie zrobię sztuczki tylko dlatego, że mi każesz, ale umiem latać.

— Naturalnie. Nigdy temu nie zaprzeczałem. Ba, tak jak Skóra zazdroścę ci tej umiejętności.

— Mogłabym znaleźć wam przejście przez bagna. Byłabym użyteczna.

Wzruszyłem ramionami.

— Oreb już się tym zajął. Szuka dla nas drogi.

— O niego też będę musiał kiedyś cię wypytać — wtrącił Skóra.

— Dlaczego we whorlu czerwonego słońca wyglądał tak, jak wyglądał? Chyba dlatego, że z ducha jest bliższy człowiekowi niż z wyglądu.

— Nie o to mi chodziło. Dlaczego jest z nami? Dlaczego był z tobą, kiedy spotkałem cię pierwszy raz? To znaczy kiedy dali mi konia, powiedzieli, że chcesz się ze mną widzieć i odesłali mnie z frontu. Czytałem fragmenty książki, którą z matką napisaliście. Pewnie żadnego z nas byś o to nie podejrzewał, ale naprawdę ją czytaliśmy.

— To mi pochlebia.

— Napisaliście, że należał do Jedwabia. Że był jego zwierzęciem.

Jahlee się roześmiała. Jej śmiech brzmi szczerze i miło, ale wtedy zrobiło mi się jakoś nieprzyjemnie.

— Nie zauważyłeś, że ptak nazywa go Jedwabiem?

— Jestem jego właścicielem — wyjaśniłem Skórze. — Karmię go, bawię się z nim i rozmawiam. Dlatego tak mnie nazywa; przypisał mi imię dawnego właściciela. Zwróciłeś może uwagę, jak niewieloma imionami się posługuje? Ciebie nazywa chłopcem, a Jahlee „złym czymś”.

— To prawda, zna mało słów, ale tych, które zna, używa doskonale.

— To wszystko nie ma sensu! — Jahlee wstała od ogniska. — Przeleciałam prawie sto mil, żeby zaoferować wam swoją przyjaźń i miłość. Ależ ze mnie idiotka!

— Ciekawe, dokąd poleci? — zapytał Skóra, kiedy zniknęła w mroku. — Wróci na farmę?

— Nie sądzę. Przypuszczam, że na farmę wrócili już jej prawowici właściciele. — Z westchnieniem skubnąłem brodę. Miałem istną gonitwę myśli. — Skarżyłeś się, że za mało udzielam ci nauk. Jeżeli postaram się przekazać ci teraz trochę wiedzy na temat inhumich, a przy okazji także Zaginionego Ludu, bo widzę, że ogromnie cię to interesuje, wysłuchasz mnie uważnie? Postarasz się wszystko zapamiętać?

Skóra podniósł rękę w uroczystym geście.

— Przysięgam na wszystkich bogów, jacy istnieją, że nie uronię ani jednego twojego słowa.

— Uważaj, do czego się zobowiązujesz. Im będziesz starszy, tym boleśniesz staną się wspomnienia porażek. Zacznijmy od inhumich. Uwielbiają opuszczone domy. Wiesz, co się wydarzyło na farmie, gdzie spaliśmy. Groźba wojny sprawiła, że rodzina porzuciła dom i Jahlee natychmiast zajęła ich miejsce; mogła wprowadzić się jeszcze tego samego dnia. Kiedy przybyliśmy tam z diukiem Sfido i żołnierzami, zastaliśmy ją w domu. Założyliśmy, że ma prawo w nim mieszkać. Rozpoznałem ją którejś nocy, kiedy usłyszałem jej głos, nie widząc twarzy (a miała twarz bezzębnej staruszki, zupełnie inną od zmysłowego oblicza, jakie przywdziewała w Gaonie).

— Czy inhumie potrafią dowolnie zmieniać postać?

— Tak. Formują swoje rysy dłońmi, tak jak rzeźbiarz kształty glinianej figury, a dla większego efektu wykańczają dzieło kosmetykami. Ale zmierzałem do tego, że kiedy trafisz na jakiś opuszczony budynek i okaże się, że wcale nie jest pusty, bo ktoś już w nim mieszka, powinieneś traktować tę osobę z rezerwą.

— Będę o tym pamiętał.

— Świetnie.

Skóra zapatrzył się w ogień.

— Czy Jahlee nie mogłaby wrócić, przybrawszy inną twarz? Podszyć się pod inną osobę?

— Mogłaby, naturalnie, ale nie chwałąc się, powiem, że najprawdopodobniej szybko bym ją rozpoznał.

— A ja? Czy istnieje jakiś sposób, żeby zawsze rozpoznać inhumiego?

— Nie, chyba że widziałeś, jak lata albo się pożywia. Nie ufaj mężczyznom, którzy pudrują twarz, ani kobietom, które używają więcej pudru, różu i perfum niż tego wymaga moda. — Przypomniała mi się Fava. — Nie ufaj też dzieciom, które w ogóle noszą jakikolwiek makijaż. I strzeż się ludzi, którzy mało jedzą albo wydają się obchodzić zupełnie bez jedzenia.

— No i tych, których boją się zwierzęta — zauważył Skóra. — Jahlee spłoszyła nasze konie. Oreb też za nią nie przepada.

— Słusznie. A nade wszystko miej oko na ludzi, którzy mają niezdarne palce, nie umieją pisać (albo tak twierdzą), mają kłopoty z dokonywaniem prostych napraw, wiązaniem węzłów, struganiem prostych przedmiotów z drewna. Trzeba ci wiedzieć, że dłoń nie jest naturalną częścią ciała inhumiego. Dlatego ich umysły — kształtują się inaczej niż nasze. Wyobraź sobie dziecko, które nie miało rąk, dopóki nie dorosło i samo ich sobie nie zrobiło.

— Mówiłeś też, że przypominają pijawki — przypomniał mi, zamyślony.

— Powiedziałem tak, gdyż rzeczywiście pod wieloma względami są do pijawek podobni.

— Kiedy byliśmy z Racicą mali, często bawiliśmy się w stawach powyżej papierni.

— Pamiętam.

— Kiedyś znaleźliśmy taki naprawdę prześliczny stawek, z mnóstwem pięknych ryb i cętkowanych żab. Były zielone z niebieskimi plamkami.

Skóra umilkł i poruszył się niespokojnie.

— Tak? Co się stało?

— Wtedy też zobaczyliśmy pijawkę, dużą czerwoną pijawkę. Podpływała właśnie do jednej z tych żabek, kiedy ją zauważyliśmy, więc zaczęliśmy z Racicą krzyczeć do żaby, żeby uważała. Wiesz, jak to dzieci.

— Oczywiście.

— A żaba nie zwracała na nas najmniejszej uwagi. Dopiero kiedy otworzyła pysk, dotarło do mnie, że wzięła pijawkę za rybę i zamierza ją połknąć.

— Nawet Oreb ich nie jada — zauważyłem, widząc, że Skóra znów się zawahał. — To pewnie kwestia jakiegoś świństwa w ich służbie.

— Pewnie tak. Żaba złapała ją i zaraz wypluła, a pijawka podpłynęła do niej z drugiej strony, tak że żaba jej nie widziała, i przyssała się od tyłu jej do głowy. Potem sobie poszliśmy, a kiedy wróciliśmy, żaba leżała martwa, a pijawki nigdzie nie było widać. Pomyślałem, że pijawki wcale nie przypominają ryb, na pewno nie na tyle, żeby nas zwieść, a jednak wystarczyło, żeby żaba dała się nabrać. Pijawka oszukała żabę; pewnie oszukiwała też prawdziwe ryby. Tak jak ja dałem się zwieść Jahlee, dopóki mi nie powiedziałaś, kim jest. Myślałem, że w domu mieszkają dwie kobiety, stara i młoda, ale tak naprawdę obie były jedną osobą.

— Zgadza się.

— Mówiłeś, że same formują sobie dłonie. Mogłyby zamiast rąk mieć łapy, jak psy czy inne zwierzęta?

— Chyba tak, chociaż nigdy tego nie widziałem.

— A czy mogłyby wtedy nabrać prawdziwego psa?

— Wątpię.

— Powiedziałeś, że opowiesz mi wszystko o Zaginionym Ludzie — przypomniał mi wyzywającym tonem Skóra.

— Nie mogłem tak powiedzieć, bo mało o nich wiem. Coś niecoś jednak ci opowiem i postaram się, by miało to związek z innymi tematami, które tej nocy poruszamy.

Oreb zanurkował z nieba i usiadł na końcówce kostura, który trzymałem w poprzek na kolanach.

— Ptak wraca! Złe coś!

— Nie przejmuj się. Znalazłeś ścieżkę, którą moglibyśmy przeprowadzić konie przez bagno? Albo obejść mokradła dookoła?

— Ptak znajduje. — Nastroszył pióra i rozłożył skrzydła, żeby wyglądać na większego niż w rzeczywistości. — Idzie ptak.

— Nie teraz. Musimy się przespać. Bylibyśmy ci natomiast bardzo wdzięczni, gdybyś rano nas poprowadził.

— Teraz pewnie się położysz — mruknął niepokieszony Skóra — a mnie ominie obiecana nauka.

Pokręciłem głową, nasłuchując tupotu i chrapania koni, o których przed chwilą mówiłem Orebowi.

— No to na co czekasz?

Jakby dla dodania wagi swoim słowom, dorzucił drew do ognia.

— Mówiłem ci, że inhumi zmusili Zaginiony Lud do opuszczenia Błękitu.

Pokiwał głową.

— Widziałeś ich kiedyś? Pytam o Zaginionych, bo wiem, że poza Jahlee inhumich widywałeś jedynie z daleka.

— Nie, nigdy. Ale ty podobno tak. I podobno z nimi rozmawiałeś. Tego akurat nie rozumiem. Przecież oni odeszli.

Westchnąłem.

— Nuży mnie słuchanie plotek na mój temat. Kto ci to mówił? I skąd to wiedział?

— Pułkownik Sfido. Nie mam pojęcia, skąd o tym wiedział. Wziął mnie na spytki, pytał, jak ci się to udało, ale nie umiałem mu odpowiedzieć.

— Pewnie podsłuchał plotkujących najemników i żołnierzy.

— Donna Mora też o tym wspominała. Kiedy byliśmy w Wieży Niedźwiedzia, powiedziała do mnie tak: „Twój ojciec rozmawia z Zaginionymi. Nazywa ich sąsiadami. Poza tym w mgnieniu oka umie nas przenieść do innego whorla. Ale ty nie masz pojęcia, jak to robi, prawda?” Przekomarzała się ze mną. Kiedy odpowiedziałem, że naprawdę nic o tym nie wiem, śmiała się ze mnie. Polubiłem ją. Nie może być dużo starsza ode mnie.

— Jest młodsza, i to co najmniej o dwa lata.

Skóra wybałuszył oczy i pokręcił z niedowierzaniem głową.

— Jeżeli nie wierzysz mi, kiedy mówię o Morze, którą widziałeś na własne oczy, z którą rozmawiałeś i dzieliłeś się jedzeniem, dlaczego miałbyś uwierzyć, kiedy opowiem ci o Zaginionym Ludzie? Ich nawet nie widziałeś.

— Dobry chłopiec — zakrakał Oreb, jakby chciał dodać mu otuchy.

— Dobry, Orebie, ale na przemian sceptyczny i łatwowierny, jak to zwykle z młodymi ludźmi bywa: sceptyczny wobec prawdy, a łatwowierny w stosunku do półprawd i oczywistych

zmyśleń. Tak, Skóro, Mora jest od ciebie znacznie młodsza. Gdybyś ją zobaczył miesiąc temu, nie miałbyś co do tego żadnych wątpliwości. Pozwolisz, że jeszcze coś ci powiem? Twój sceptycyzm niczego tu nie zmieni, prawda pozostanie prawdą.

— Dobrze, słucham.

— Młodzież to ludzie, którzy nie dokonali jeszcze wyboru między dzieciństwem i dorosłością. Dopóki człowiek usiłuje zachować przywileje dzieciństwa, czyli przede wszystkim wolność od odpowiedzialności, to nawet jeśli zgłasza pretensje do największych zalet dorosłego życia, takich jak niezależność, pozostaje wyrostkiem.

Skóra patrzył w ogień i milczał.

— Większość ludzi wybiera w końcu dorosłość — albo zostaje w nią wepchnięta wbrew swojej woli. Bardzo nieliczni wycofują — się w dzieciństwo i zostają w nim na zawsze. Więcej jest jednak takich, którzy do końca życia pozostają wyrostkami.

— Ja... Chcesz przez to powiedzieć, że donna Mora dorosła, bo powiedziała, że nie jest już dzieckiem?

— Nie, oczywiście, że nie. Nikt nie może tego tak załatwić. Wyszła za męża, i to nie po to, żeby znaleźć nowego ojca, jak to się często zdarza młodym dziewczynom, ale po to, by stać się równorzędną partnerką Eco. Stała się nowym przywódcą mieszkańców Blanko, a dokonała tego w jedyny możliwy sposób: zaoferowała im swoje przywództwo, kiedy go potrzebowali.

— Ty ją tego wszystkiego nauczyłeś?

— Nie. Zaledwie raz czy dwa udzieliłem jej rady, podobnie jak jej ojciec i Fava. To, co zrobiła, zrobiła absolutnie sama, ponieważ była jedyną osobą zdolną tego dokonać.

— Twoim zdaniem jestem jeszcze za młody na dorosłego.

— Moim zdaniem bardzo się starasz być dorosły i wkrótce dopniesz swego. — Staralem się, by mój głos, zwykle chrapliwy jak krakanie Oreba, tym razem zabrzmiał miękko i łagodnie. — Z pewnością Mora także w swoim czasie starała się na gwałt wydorosnąć, chociaż żaden z nas tego nie widział. Stało się to, kiedy jechała na północ, albo siedziała w soldyjskiej niewoli.

— Muszę to przemyśleć, ojczy. Może dziś w nocy.

— Dobrze.

— Mogę zapytać, jak to było z tobą? Nie musisz odpowiadać.

— Proszę bardzo. W pewnym sensie zostałem wepchnięty w dorosłość, kiedy przybyłem ze scholi do naszej dzielnicy, ale zmiana dopełniła się w tunelach, kiedy przebijaliśmy się do lądownika, walcząc z żołnierzami z Trivigaunte. Mój ojciec został w Vironie. Na pewno ci o tym opowiadałem.

— Tylko trochę. Mów dalej.

— Ale twoja babka poszła z nami, tak jak moi młodszy bracia i siostry. I twoja matka.

Ja też zapatrzyłem się w płomień i oddałem wspomnieniom. Nie widziałem pożaru naszej dzielnicy — znajdowałem się wtedy na pokładzie statku powietrznego z Trivigaunte — ale nagle wydało mi się, że przypominam sobie te straszne chwile: stare domy z rakplastu żarzyły się i waliły w gruzy, a w ruinach trwały walki.

— Mów dalej — ponaglił mnie Skóra.

— Po dotarciu na Błękit matka dalej próbowała mnie traktować jak dziecko; moje rodzeństwo też chciało, bym znów był jednym z nich, tak jak we „Whorlu”. Skończyło się na tym, że zostawiłem ich, zabrałem Pokrzywę i poprosiliśmy patere Remorę, żeby udzielił nam ślubu. Zdajesz sobie pewnie sprawę,

że masz ciotki, wujków i kuzynów, których w życiu na oczy nie widziałeś.

— No jasne. Przeprowadziliście się z matką na Jaszczurkę, żeby od nich uciec.

— Rzeczywiście, przenieśliśmy się tam, ale nie z tego powodu. Chciałem zbudować papiernię, a do tego potrzebny był bystry strumień, na dodatek położony w okolicy, w której łatwo spławiałoby się drewno. Poza tym zależało mi na objęciu ziemi, do której nikt inny nie zgłasza pretensji, bo na kupno zajętych terenów nie było nas stać. Gdybym wiedział, ile nas to będzie kosztowało wysiłku...

Wzruszyłem ramionami.

— Dlaczego pytałeś, czy widziałem Zaginionych Ludzi? Chcesz mi ich pokazać?

Nie pomyślałem o tym wcześniej i teraz musiałem rozważyć ten pomysł.

— Jeśli mi się uda, to tak. Zastanawiałem się, czy wydali ci się podobni do ludzi. Przy mnie zawsze skrywali twarze w cieniu, ale może nie wszystkich traktują tak samo.

— Czy nie wyglądają tak jak my, tylko z czterema rękami i czterema nogami?

— Nie wydaje mi się, by naprawdę aż tak nas przypominali. Zewnętrzny stworzył ich zapewne z prochu tego whorla, tak jak nas uformował z prochu whorla krótkiego słońca, o czym wspomina Pismo Chiasmologiczne. Dowodzi tego fakt, że ludzkie ciało po śmierci obraca się w proch. Nie byłoby chyba sensu stwarzać nas w dwu różnych miejscach jednocześnie. Poza tym proch tego whorla z pewnością różni się od naszego.

Przypomniałem sobie noc spędzoną w Wieży Niedźwiedzia, kiedy to Mora napomknęła o Sąsiadach. Noc śmierci diuka.

Niby cały czas patrzyłem w żar ogniska, ale nagle przed oczami stanął mi Stary Dziedziniec, ciemny, zimny, złowrogi i ogromnie odległy, kiedy patrzyło się nań z maleńkiego okna pokoiku, w którym ulokowano mnie i Skórę. Naprzeciwko naszej wieży znajdowała się wieża katów, przed którą ostrzegali mnie nawet przywódcy gildii — ładownik olbrzymi i smukły jak przed laty, chociaż poczerniały ze starości i pozbawiony paru płyt osłony. Z jednej jego strony stała Baszta Czarownic (tak ją nazywano), jeszcze bardziej zrujnowana od wieży katów, a z drugiej Czerwona Wieża, która od rdzy przybrała brunatnoczerwony odcień. Na Błękitcie i na Zieleni wszystkie trzy wieże nazwalibyśmy ładownikami, ale we whorlu czerwonego słońca traktowano je jak zwykłe budynki, uzupełnione murowanymi dodatkami — karłowatymi wykwitami z cegły i kamienia, teraz równie steranymi wiekiem, jak same ładowniki.

Umarłem w pokoju niewiele różniącym się od komnatki, którą zajmowałem w Wieży Niedźwiedzia, w podobnym ładowniku, nic więc dziwnego, że wspomnienie śmierci nawiedziło mnie z niezwykłą intensywnością. Spojrzałem w niebo; gwiazd przybyło i świeciły jaśniej niż w dzień. Nie umiałem jednak znaleźć Zieleni, Błękitu, „Whorła” ani nawet tych konstelacji, które podziwialiśmy z Pokrzywą, kiedy Ścięno był malutki, a my rozścielaliśmy na plaży koc i siedzieliśmy na nim długo po zachodzie słońca, trzymając się za ręce i patrząc w gwiazdy.

Skóra coś powiedział. Odruchowo podniosłem wzrok, chociaż nie rozumiałem jego słów.

— Byłem ciekaw, o czym myślisz, ojcze.

— O tym, jak diuk Rigoglio zmarł w ładowniku.

Skóra pokiwał głową.

— Posmutniałeś.

— Jedwab dobry! — oświadczył Oreb.

— Nie powiesz mi dziś nic więcej o Zaginionym Ludzie?

— Najpierw przetraw to, co powiedziałem do tej pory.

— Chyba już przetrawiłem.

Byłem bardzo zmęczony. W takim stanie człowiek wmawia sobie, że położy się tylko na chwilę, ale nie będzie spał.

— Jak chcesz — odparłem.

— Chciałem cię jeszcze o coś zapytać... Właściwie to o mnóstwo rzeczy. Twierdzisz, że Zaginieni Ludzie raczej nie są do nas zbyt podobni.

— Chyba rzeczywiście tak powiedziałem.

— A inhumni są prawie nie do odróżnienia od nas. Oszukują nas tak, jak ta czerwona pijawka, o której opowiadałem, oszukała żabę.

Milczałem.

— No... Potrafią tak uformować twarz, żeby wyglądała jak ludzka. Sam to mówiłeś. Malują się jak kobiety. Poza tym mówią jak my, a czasem chyba nawet myślą podobnie. Przynajmniej Jahlee tak się zachowywała. Wściekła się na nas zupełnie jak normalna kobieta.

— Mów dalej.

— Mam zacząć zadawać pytania? — Skóra spojrział na mnie podejrzliwie.

— Nie. Chciałbym, żebyś trochę pogłówkował. To ci dobrze zrobi. Tobie i całemu whorłowi.

— I tak już prawie skończyłem. Mam wrażenie, że Zaginieni Ludzie byli od nas znacznie mądrzejsi i silniejsi. Wszyscy tak mówią. Jeśli zatem tak bardzo się od nas różnili, a inhumni są do nas tak podobni, Zaginieni powinni byli ich bez trudu

rozpoznawać. W takim razie jakim cudem inhumi mogli im aż tak bruździć? Wiesz, ojczy?

— Czy wiem, dlaczego inhumi są do nas podobni?

— To znaczy dlaczego ja ich za takich uważam, tak? Jahlee do złudzenia przypomina ludzką kobietę, a i ty sam tak o nich mówiłeś. Te ostrzeżenia przed niezamieszkanymi domami i tak dalej. Gdyby mieli ogony czy coś, łatwiej byśmy ich rozpoznawali.

— Uważasz, że nas przypominają, i tak jest w istocie. Ale dlaczego tak jest?

Skóra nie wiedział, co odpowiedzieć.

— Wybacz, jeśli będę się powtarzał. W Gaonie myśliwi wyplatają z wikliny skorupę w kształcie tarzara i nakrywają ją prawdziwą skórą, zdartą z tarzara.

— Chyba mi o tym nie mówiłeś. W każdym razie nie przypominam sobie.

— No to teraz mówię.

— Inhumi starają się wyglądać tak jak my, żeby na nas polować.

— Nie. Stają się tacy jak my, żeby na nas polować. Powiedziałeś, że w stawie powyżej papierni żaby brały pijawkę za małą rybkę.

— Tak mi się wydaje.

— Wyobraź sobie teraz, że ta pijawka nie umie pływać.

— Oni naprawdę stają się tacy jak my — stwierdził Skóra po dłuższym zastanowieniu. — O to ci chodzi? Nie mogliby tego robić, gdyby nie mieli wzorca. Gdyby nie mieli nas. Uśmiechasz się.

— Owszem. Nie śmiałem liczyć na to, że dojdziemy tak daleko bez łamania przysięgi, której zamierzam dotrzymać. W

Gaonie dowodziłem grupą ponad dwudziestu inhumich. Byli niezwykle użyteczni w wojnie, którą prowadziliśmy z Hanem; pełnili rolę zwiadowców i zabójców. Czary, które rzekomo rzucałem, nie były niczym innym, jak prowadzoną przez nich dywersją na tyłach wroga. Potem jednak, kiedy uciekłem łodzią z miasta, próbowali mnie zabić.

— Dlaczego?

— Bali się, że nie dotrzymam słowa danego twojemu bratu. Powierzył mi sekret, który ich zdaniem mógłby im ogromnie zaszkodzić, gdyby został ujawniony. Gdybym przyznał im rację, chyba złamałbym obietnicę, wątpię jednak, by...

— Złe coś!

— O tak, Orebie, z pewnością.

— Jeżeli próbowali cię zabić, to moim zdaniem powinienes ujawnić ich tajemnicę.

— Dla własnego bezpieczeństwa?

— Właśnie.

— Nie chcę opłacić bezpieczeństwa honorem. Zdarzały się w moim życiu chwile, kiedy pragnąłem śmierci; teraz też myśl o niej mnie nie przeraża. Za nic jednak nie chciałbym splamić swojego honoru.

— Chciałem powiedzieć, że to nie ma nic wspólnego z Zaginionym Ludem, ale chyba nie miałbym racji. Wiem, że pewnego dnia pomożesz mi połączyć fakty.

— Zrobię to od razu. Połączę fakty, jak to powiedziałaś. Wspomniałaś o tym, że Zaginieni Ludzie byli od nas silniejsi i mądrzejsi. Słusznie. Mówiłaś też, że inhumie upodabiają się do nas nie tylko wyglądem, ale także sposobem mówienia, myślenia — i zachowania, a wszystko po to, żeby na nas polować. To również jest prawdą. Oczywiście nie mogą stać się

dokładnie tacy jak my. Mają na przykład słabe nogi, co często maskują, udając starcze niedołęstwo, tak jak to robił patere Kwezal. Musieliśmy ci z Pokrzywą wspominać o patere Kwezalu.

— Naturalnie.

— Tak bardzo upodobnił się do podstarzałego augura, że został przełożonym virońskiej Kapituły. Przez trzydzieści, czterdzieści lat wodził wszystkich za nos, i gdyby nie został postrzelony, może wodziłby nas po dziś dzień. Nie stworzył doskonałej kopii człowieka, ale z pewnością znakomitą podróbkę. Przyznasz mi rację?

— Chyba tak.

— Wiemy, że inhumi żerowali na Sąsiadach, czy też, jak ich tu nazywamy, na Zaginionym Ludzie. Możemy się zatem domyślać, że podszywali się pod nich równie skutecznie, jak pod nas, a może nawet lepiej. Czy i z tym się zgodzisz?

— Nie rozumiem, dlaczego mieliby lepiej ich udawać niż nas.

— Wyobraź sobie te dwa whorle przed tysiącami lat. Zaginiony Lud mieszkał tu, na Błękanie, inhumi zaś na Zieleni, żywiąc się krwią dzikich zwierząt w dżungli. Później wybili Zaginionych do nogi, Skóro. Sąsiedzi zniknęli bez śladu. Dlaczego wcześniej inhumi nie wymordowali wszystkich zwierząt na Zieleni?

— Bo nie mieliby nic do jedzenia.

— Zgadza się. Ale czy byli dostatecznie inteligentni, żeby na to wpaść? Pamiętaj, że nie mieli wtedy pod ręką ludzi, których mogliby naśladować.

— Rozumiem. Sami byli zwierzętami, latającymi pijawkami. Znów się uśmiechasz... Muszę przyznać, że lubię, kiedy to robisz.

— Ja też. Koniec końców Zaginiony Lud znalazł sposób przeprawy przez otchłań i dotarł na Zieleń. Może zbudowali sobie lądowiki... Tak, pewnie tak właśnie zrobili. Polecieli na Zieleń, a inhumi dzięki nim stali się mądrzy i silni, do tego stopnia, że potem prawie do szczętu ich wytępilli. Siła Zaginionych stała się siłą ich wrogów, rozumiesz? Sąsiedzi rozpaczliwie dążyli do coraz większej potęgi i wiedzy, a kiedy je zdobyli, potęga i wiedza doprowadziły do ich upadku.

Przypomnieli mi się zwierzoludzie, których widziałem w Wieży Niedźwiedzia; ludzie, którzy pod wpływem wyrzutów sumienia i rozpachy odrzucili człowieczeństwo. Naszego omofaga zamknięto z nimi w jednej klatce. Kiedy ich zobaczył — i kiedy zrozumiał, kim są — próbował przemówić.

— Ojczy?

— Tak, synu?

— Czy nas też inhumi mogą wytępić?

— Naturalnie.

— W takim razie powinniśmy byli zabić Jahlee.

Pokręciłem głową, żeby zapomnieć o widoku i smrodzie klatek.

— To by nic nie zmieniło.

— Pomogłoby!

— Wcale nie. Ba, mogłoby pogorszyć sytuację. Nie zapominaj, Skóro, że inhumi błyskawicznie przejmują nasze wzorce zachowania. W Gaonie Jahlee była moim sojusznikiem, na farmie — moim przyjacielem. Walczyła pod moimi rozkazami, zabijała moich wrogów i poznawała ich tajemnice, by potem zdradzać mi je w ogrodzie albo szeptać przez okno w sypialni. Wyobraź sobie, że wyczekałbym na chwilę, w której odwróci się

do mnie plecami, dobył długiego, ostrego miecza, którego teraz nie mam, i pchnął ją w plecy.

— Żałuję, że tego nie zrobiłeś!

— Zmieniłbyś zdanie, gdyby naprawdę do tego doszło. Przerażliwy wrzask poniósłby się daleko nad cichymi, pustymi mokradłami, a ohydny zdeformowany stwór padłby, wijąc się i brocząc krwią, u twoich stóp — stwór, którego jeszcze przed chwilą brałeś za piękną kobietę. Spróbuj to sobie wyobrazić. I jak?

Skóra milczał.

— Tłukłbyś ją kolbą po głowie, żeby skrócić jej męki. Peruka zsunęłaby się jej z czaszki, a jej oczy, Skóro, patrzyłyby na ciebie błagalnie, kiedy prosiłaby: Skóro, błagam, miej litość, zmiłuj się, wspomnij na miłość swojej matki! Litości! Byliśmy przyjaciółmi! Oddałabym ci się w Wieży Niedźwiedzia, gdybyś do mnie przyszedł. Wiesz, że nie kłamię! Oszczędź mnie, Skóro, błagam!

— Nie mówi! — zarządził Oreb.

Mimo to kontynuowałem mój monolog:

— Uderzałbyś jeszcze silniej, miażdżąc kolbą jej bezzębne, opite krwią wargi, ale już nigdy nie zapomniałbyś tych oczu. Wracałyby i wpatrywały się w ciebie — we mnie zresztą też — w bezsenne noce, tuż przed świtem. Nawet kiedy byś się zestarzał tak jak ja, wciąż by cię prześladowały.

Skóra bez entuzjazmu pokiwał głową.

— A za sto lat od dzisiaj wszyscy inhumi w tym whorlu staliby się ciut okrutniejsi, odrobinę bardziej dumni, trochę groźniejsi. Wszystko przez to, co zrobilibyśmy tej nocy. Pamiętaj: oni stają się tym, czym my jesteśmy. Nie mają wyboru.

— Już rozumiem.

— Kiedy wojna w Gaonie dobiegała końca, zwolniłem inhumich ze służby. Wszystkich, wśród nich także Jahlee. Jak myślisz, dlaczego to zrobiłem?

Wzruszył niepewnie ramionami.

— Nie byli ci już potrzebni.

— Mogłem im znaleźć dziesiątki innych zajęć. I możesz mi wierzyć, myślałem o tym. Mogłem podbić miasta leżące w dole rzeki i stworzyć imperium. Mogłem użyć ich do umocnienia moich wpływów w Hanie, a potem także w Gaonie. Pokrzywa niedawno wysłała ciebie i Racicę, żebyście mnie szukali, prawda?

— Mhm.

— Myślałem o tym, żeby kazać inhumim przynieść waszą trójkę do Gaonu, gdzie bylibyśmy rodem panującym; rodzina Inclito powoli zdobywa podobną pozycję w Blanko. Po mojej śmierci walczyłyś z bratem na śmierć i życie o tron. Porzuciłem jednak te myśli i oddałem tron mieszkańcom Gaonu, którzy mnie na nim osadzili. Zrobiłem to po części dlatego, że wiem — albo przypuszczam — jaki był los Sąsiadów; dlatego, że ich wieże nadal sięgają wilgotnego nieba Zieleni, podczas gdy ich miasta na Błękanie dawno legły w gruzach i zmieniły się w bezimienne pagórki.

Czekałem na reakcję Skóry, ale on tylko patrzył na mnie z rozdziawionymi ustami, niezdolny wykrztusić słowa.

— Na Zieleni Zaginiony Lud zrobił to, co ja w Gaonie. Podporządkowali sobie inhumich. Tylko że z czasem coraz bardziej uzależniali się od swoich sług. Sługom tym pozwalali żerować tu, na Błękanie; może nawet sami ich tu przywozili. Ja też pozwoliłem moim inhumim karmić się krwią żołnierzy z Hanu. Powtarzałem sobie, że jest wojna i że Człowiek z Hanu z

pewnością postąpiłby tak samo. Od początku jednak, odkąd postawiłem pierwszy krok na tej drodze, byłem zdecydowany zejść z niej w przyszłości.

— Co się stało, kiedy wszyscy Zaginieni na Błękanie umarli? — zapytał zduszonym głosem Skóra.

— Nie wiem, czy naprawdę do tego doszło. Trochę ich mogło przetrwać, może nawet do dziś. Nadszedł jednak czas, i to szybko, jak sądzę, najdalej po kilkuset latach, kiedy wyprawy na Błękit przestały się inhumim opłacać.

— I co się wtedy stało?

— To już chyba wiesz — odparłem i życzyłem mu dobrej nocy.

Wioska Ścięgna

Tyle się wydarzyło, odkąd ostatni raz miałem pióro w ręce! Mam wrażenie, że powinienem zacząć nową książkę — albo skończyć tę, którą mam przed sobą. Może dziś wieczorem zajmę się jednym i drugim. Tak byłoby najlepiej.

Długo siedziałem przy ognisku, pisząc i patrząc, jak gwiazdy wschodzą nad wzgórzami, przez które przejechaliśmy za dnia. Zdawałem sobie sprawę, że Jahlee wcale daleko nie odeszła. Oreb co i rusz mi o tym przypominał, mimo że prosiłem, by przestał hałasować, bo zbudzi Skórę. Nasze wierzchowce też potwierdzały jej bliskość. Inhumi zawsze płoszą konie, które — tak myślę — wyczuwają bijącą od nich woń krwi.

Więcej dowodów nie potrzebowałem, ale i tak wkrótce miałem do dyspozycji następny. Lodowaty zimowy wiatr zdawał się nieść parne, dławiące podmuchy z Zieleni, niczym oziębły starzec, brodaty, wiekowy, który niesie w ramionach gnijącego trupa pięknej dziewczyny. Wzrok miałem utkwiony w papier; mrużyłem z wysiłku oczy, nie jest bowiem łatwo pisać przy świetle ogniska. Nagle odniosłem wrażenie, że z lewej strony, na granicy pola widzenia lub tuż poza nią, czai się pochodzący z Zieleni olbrzymi pożeracz ludzi, który z każdym

wolnym, ostrożnym krokiem kruszy delikatny lód i przemierza dwadzieścia łokci. Kiedy spojrzałem w tamtą stronę, dostrzegłem w półmroku cień szerokich, ociekających wodą liści, a w pewnej chwili także ćmę o skrzydłach większych niż arkusze papieru, na których piszę, skrzydłach opalizujących i opatrzonych przez jakiegoś boga niezwykłym rysunkiem koła i krzyża. Ćma podfrunęła do ognia — tylko po to, by zniknąć, kiedy zamrugałem powiekami.

Ledwie zamknąłem oczy, zjawiała się Jahlee. W wyszywanej sukni wyglądała jeszcze piękniej, niż nago we whorlu czerwonego słońca.

— Pasuje do ciebie ten upał — stwierdziłem. — Jesteś stworzona dla Zieleni.

Udała, że się krzywi.

— Myślałam, że to będzie dla ciebie niespodzianka, jeśli w ogóle coś z tego wyjdzie. A ty od początku się tego spodziewałaś.

— Mój syn powinien od dawna tu z tobą być. Zasnął na długo przed tym, jak skończyłem pisać.

Skinęła głową, ale jej twarz niczego nie wyrażała.

— Uwiodłaś go? Bo myślę, że miałby aż nadto czasu, żeby się ubrać i zniknąć.

— Nie twój interes!

— Więc nie udało ci się. W przeciwnym razie na pewno byś się pochwalila.

— Powtarzam: to nie twój interes. Nie wpadłeś na to, że mógł nie chcieć się z tobą widzieć? Uprzedziłam go, że przyjdiesz.

— Naturalnie. Zwłaszcza jeśli w chwili szczytowania ugryzłaś go w szyję, tak jak tego żołnierza, który zaprowadził nas do fortu nad fosą.

— Nie ugryzłam go!

— Nie ukąsiłaś Skóry, bo nie udało ci się go uwieść, tak? Na pewno o to ci właśnie chodziło, bo...

— Chłopiec idzie! — Oreb przeleciał mi nad głową. Znow był trzy razy większy niż normalnie i upodobił się do pierzastego karła z nienaturalnie długimi rękami.

— Nie spierajmy się, bo będziemy musieli ze Ściągnem cię przepędzić, tak jak pogoniliśmy cię od ogniska na skraju bagien. To — jest Zieleń, a na Zieleni jesteś człowiekiem. Pamiętasz Rigoglio? Pamiętasz, jak ślina ciekła mu z ust? Jakie miał puste spojrzenie?

Pamiętała. Wzdrygnęła się.

— Nie będę udawał, że cenię twoje życie wyżej niż ty sama, ale mimo wszystko je szanuję. Bądźmy znów przyjaciółmi...

Chciałem powiedzieć „Bądźmy znów przyjaciółmi, tak jak w Gaonie i potem na farmie, w czasie wojny”, ale padła mi w ramiona i rozplakała się, więc nie było sensu kontynuować.

W tej pozycji zastał nas Skóra, który okazał dość taktu, by poczekać z zagadywaniem nas do chwili, gdy się odsuniemy.

— Znalazłem jakichś ludzi, ojcze. Nie chciałem z nią dłużej rozmawiać, więc powiedziałem, że się rozejrzę, i kazałem jej tu na ciebie zaczekać.

— Nie jestem twoją służącą, chłopczyku. — Jahlee wytarła nos w rękaw. — Miałam dość twojego towarzystwa. Twój ojciec jest dwa razy bardziej mężczyzną niż ty.

— Wiem o tym. Chcesz ich zobaczyć, ojcze?

— Tak. Przypuszczam, że znajdziemy wśród nich twojego brata.

— Nie wyglądasz jak... jak przedtem — wypalił Skóra. — Nawet nie tak, jak w tym mieście z ogromną rzeką.

Nic nie powiedziałem.

— Zaprowadzimy cię z Orebem, jeśli będziesz chciał.

Półtorej mili dalej wyszliśmy z dżungli na wykarczowany teren i znaleźliśmy się na grobli oddzielającej dwa niżej położone, zalane wodą pola ryżu. Krótkie słońce świeciło za naszymi plecami jak dysk z rozpalonego do białości żelaza, przez co rzucaliśmy do przodu nieludzko wydłużone cienie. Poprzedzały nas jak jacyś dziwni ambasadorowie. Kostur nie przeniósł się razem ze mną, zrobiłem więc sobie nowy. Z rozbawieniem i zaciekawieniem obserwowałem, jak jego cień, z początku słabo widoczny, gęstnieje i czernieje w miarę jak kostur materializował mi się w ręce, nabierał masy i twardości.

Jak już wspomniałem, Blanko jest jedynym znanym mi miastem, które jest otoczone murem. Qarya była wioską, ale również ufortyfikowaną. Widywałem już wcześniej takie osady na Zieleni, lecz otaczały je tylko prowizoryczne palisady z grubo ciosanych bali, niewiele lepsze od zwykłych płotów. Qaryę okalała szeroka, pełna wody fosa, a sama palisada wyrastała z ziemnego, oblicowanego cegłą wału. Bale w częstokole były grubsze niż tułów mężczyzny.

— Robi wrażenie — mruknąłem.

— Wolałbym kamienny mur — odparł Skóra. — Taki jak w Blanko.

— Oni też by woleli. I niedługo będą go mieli.

Jahlee, uwieszona u rękawa mojej wolnej ręki, spojrzała na mnie pytająco.

— Po co to wszystko, skoro inhumii potrafią latać?

Pod bramą siedziało lub wylegiwało się z pół tuzina starszych mężczyzn. Nie chciałem, żeby zwrócili uwagę na słowa Jahlee, więc na wszelki wypadek zmieniłem temat: — Nigdy nie widziałem cię tak piękną jak dziś. Muszę to uczciwie

przyznać. Myślałem, że tak jaskrawe światło słońca na twarzy każdej kobiety wyłowi jakieś niedoskonałości, ale twoje oblicze jest od nich całkowicie wolne.

Uśmiechnęła się, błyskając równymi, ślicznymi zębami.

Najstarszy z mężczyzn, siwobrody jak ja, który siedział na koślawym stołku jakby to był tron Gaonu, splunął.

— Po niej widać, że nie inhum, tak samo jak chłopak nie jest inhumem. Ale ty? Coś ty za jeden?

— Jestem takim samym człowiekiem jak ty.

— Odwiń no te szerokie rękawy. Pokaż nadgarstki.

Oddałem kostur Skórze i spełniłem żądanie starca. Obracałem dłonie we wszystkie strony, nie bardzo wiedząc, czego szuka. Jeden z pozostałych, szpakowaty i kulawy, wskazał Jahlee.

— Twoja żona?

— Nie, oczywiście że nie — odparłem.

— Powiedz tylko słówko, najdroższy, a będę twoja — szepnęła mi do ucha Jahlee.

— Żona chłopaka, co?

— Ten chłopak jest moim synem. Nazywa się Skóra i nie jest jeszcze żonaty. Ja mam na imię Róg. Ta kobieta jest ni mniej, ni więcej, tylko naszą przyjaciółką. Nazywa się Jahlee.

Siwobrody odcharknął z głębi płuc i splunął, najwyraźniej dając znak pozostałym, żeby siedzieli cicho.

— To złe imię dla kobiety.

— Zmienię je — zaproponowała Jahlee. — Jakie byłoby bardziej odpowiednie?

— Czego tu szukacie? — zapytał siwobrody, kompletnie ją ignorując.

— Przyszliśmy się spotkać z moim drugim synem, starszym bratem Skóry. Nazywa się Ściągno. — Wśród ludzi przed bramą zapanowało lekkie poruszenie. — Przypuszczam, że mieszka w tej wiosce. Gdybyście mogli mi wskazać drogę do jego chaty, nie kłopotałbym was więcej.

— Jesteś ojcem Ściąгна, co?

Skinąłem głową.

Siwobrody powiódł wzrokiem po stadku gapiów, wybrał jednego z nich i skinął ręką. Wybraniec pobiegł do wioski.

Chciałem pójść za nim, ale jakiś grubas ze smolście czarną brodą zastąpił mi drogę.

— Ściągno jest naszym raisem, wiesz?

— Nie wiedziałem o tym, ale bardzo się z tego cieszę. Czy przyjdzie tu, kiedy ten człowiek go o to poprosi?

— Ten człowiek o nic go nie poprosi. Pójdzie do Maliki, do studni. To miejsce dla kobiet. Maliki porozmawia z twoją kobietą.

Jahlee roześmiała się, jakby była na przyjęciu.

— Bądź dla mnie miły, Incanto, bo inaczej naopowiadam jej niesamowitych łgarstw na twój temat. Na przykład o tym, jak pożarłeś wszystkie myszy.

— Lepiej mów prawdę... — zaczął czarnobrody.

Skóra odciągnął mnie na bok.

— Nie pozna cię — szepnął. — Nie ma szans.

— W takim razie będę musiał mu udowodnić, kim jestem, tak jak tobie udowodniłem.

Jahlee szturchnęła mnie w ramię.

— To chyba jest ta cała Maliki — mruknęła. — Mam z nią porozmawiać?

— Przynajmniej spróbuj.

Maliki była wyższa niż większość kobiet i szła wyprężona jak struna. Rysy twarzy miała jak wyciosane siekierą, nos orli. Siwobrody uklonił się jej, nie wstając ze stołka. W odpowiedzi posłała mu lodowaty uśmiech i leciutko skinęła głową.

— Widzieliśmy, jak nadchodzą, Maliki — wyjaśnił. — Coś dużego krążyło nad nimi w powietrzu. Raczej nie inhumi, chociaż może taki mały, niewyrośnięty, młody jeszcze... Chyba mu się nie spodobaliśmy, bo zawrócił i zniknął w dżungli, zanim ci podeszli bliżej.

Jahlee dygnęła.

— To był ptasi przyjaciel Incanto, Maliki. Incanto pozwala mu latać, gdzie chce. Jest zupełnie nieszkodliwy.

Maliki przyglądała się nam. Jej stalowoszare włosy, proste i szczesane mocno do tyłu (podobne przez to do hełmu), roznieciły w mojej pamięci jakiś nikły płomyczek wspomnień, który jednak zaraz zgasł. Zwróciła się do Jahlee: — Incanto to młodszy czy starszy?

— Starszy, Maliki.

— Mówi, że jest ojcem Ściągną — mruknął kulawy.

Maliki uciszyła go gestem.

— A młody jak się nazywa?

— Cuoio, Maliki.

— Właściwie to Skóra — wtrącił Skóra. — Tak jak prawdziwe imię mojego ojca brzmi Róg.

Maliki nie zaszczyciła go nawet przelotnym spojrzeniem.

— Próbujesz mnie okłamać, dziewczyno? Jak ty się nazywasz?

— Nie, Maliki. Kiedy się poznaliśmy, przedstawił mi się jako Cuoio. Nie okłamałabym cię, Maliki.

— Każdego byś okłamała. — Maliki podeszła bliżej i dotknęła włosów Jahlee. — Jesteś naprawdę piękna, ale urodzona z ciebie awanturnica. Widziałam tysiące takich jak ty, chociaż większość nie dorównywała ci urodą. Gdzie spaliście ostatniej nocy?

To pytanie zaskoczyło Jahlee.

— Ostatniej nocy? Eee... no...

— Mów prawdę. Poznam, jeśli skłamiesz.

— Złe coś! — zakrakał Oreb. Przysiadł na dachu jednego z blokhauzów przy bramie. — Złe coś. Lata!

Jahlee wykorzystała okazję i zmieniła temat: — To jest właśnie ptak Incanto, Maliki. Ten, o którym ci mówiłam. Umie mówić, ale gada od rzeczy.

— Nigdy takiego nie widziałam. — Maliki przyjrzała się Orebowi. — Skąd go masz?

— Nie jest mój, Maliki. W ogóle mnie nie lubi. Należy do Incanto.

— Czy on jest ojcem Ściągną?

— Incanto? Tak mi się wydaje. On sam tak twierdzi, a jest bardziej prawdopodobny ode mnie.

— Jak większość. — Maliki uniosła brwi. — Kochasz go?

— Och, tak!

— A jego syn, Cuoio? Co o nim powiesz?

— To niewdzięcznik! Niedobry, mściwy dzieciak! — Miało się wrażenie, że Jahlee zaraz prychnie jak rozeźlona kotka.

— Ale chyba uczciwy w ocenie kobiet. Czego tu szukacie?

— Ty... — Oczy Jahlee błysnęły złowrogo. — Nie muszę z tobą rozmawiać!

— Mylisz się. Mamy tu taki zwyczaj, że przywiązujemy dziewczynie długą linę do nóg i wrzucamy ją do studni. Kiedy ją

wyciągamy, zwykle jest już skora do współpracy. Albo martwa. Jeżeli nie jest ani skora, ani martwa, wrzucamy ją drugi raz. — Maliki uśmiechnęła się jak krokodyl. Spojrzała na mnie. — Ty jesteś Incanto? O czym rozmawiałeś z tymi ludźmi?

— Nie chcieli nas wpuścić do wioski, a ja miałem nadzieję, że pokażą mi, gdzie mieszka mój syn. Albo że kogoś po niego pošlą.

— Twój syn Ściągnę? — Znów uniosła brwi.

— Tak.

— A ty naprawdę nazywasz się...

— Róg, jak to już powiedział mój syn Skóra.

— Urodziłeś się we whorlu długiego słońca. Nie zaprzeczaj. W jakim mieście?

— Nie zaprzeczam. W Vironie.

Maliki pokiwała głową, chyba tylko do własnych myśli.

— Ściągnę nie ma, ale spodziewamy się jego rychłego powrotu. Nie będę się mieszać do jego rodzinnych spraw. Chodźcie ze mną. Wszyscy.

Poszliśmy za nią potulnie jak owieczki wąską ulicą o miękkiej, pylistej nawierzchni. Stały przy niej domy z bali, kryte słomą i niewiele różniące się od większości domów w Nowym Vironie. W końcu wyszliśmy na placyk, na którym kobiety siedziały parami i rozmawiały lub stały w większych grupach — i też rozmawiały.

— To jest studnia, do której wrzucimy tego twojego rudzielca. — Maliki wskazała przykrytą cembrowinę. — O tej porze roku wody jest sporo, więc daleko nie polecą. Trzeba ją będzie wrzucić parę razy.

— Incanto wam na to nie pozwoli — stwierdziła Jahlee.

— Incanto, który twierdzi, że nazywa się Róg, nie będzie miał tu nic do gadania. Przyzwoitość wymaga, bym cię uprzedziła: to

nie jest dobra woda. Nadaje się do prania i podlewania ogródków, ale do picia musimy ją gotować. Staraj się jej za dużo nie nałykać.

Ruszyliśmy dalej, a ja zapytałem, dokąd Maliki nas prowadzi.

— Do domu Ścięgna. Nie tam chciałeś iść?

— Tak... Tak, naturalnie.

— Więc tam właśnie idziemy. Będziecie mogli na niego tam poczekać. Powinien wrócić przed zmrokiem, ale jeśli nie zdąży, jego żona pewnie zgodzi się was przenocować, jeśli będziecie się przyzwoicie zachowywać. Znasz ją?

— Ledwo, ledwo. Wątpię, żeby mnie pamiętała.

— Dobrze włada mieczem. Można by pomyśleć, że jest na to za gruba, ale tusza jej nie przeszkadza. Ty podobno byłeś kiedyś niezłym szermierzem. Ale teraz nogi już nie te, co?

— To prawda, miałem miecz. , ale nie byłem żadnym mistrzem szermierki. Ścięgno na pewno przesadził z opisem moich dokonań.

— Ścięgno nigdy o tobie nie mówi.

Maliki zatrzymała się przed sporą chatą (większą niż stojące obok), wyjęła zza pasa sztylet i zastukała ręką w drzwi.

Otworzyła jej uśmiechnięta kobieta, grubsza niż pamiętałem. Towarzyszyło jej dwóch małych chłopców.

— Musimy porozmawiać, Balu — oznajmiła jej Maliki. — Masz chwilkę?

Doleciał nas nieprzyjemny zapaszek, którego źródłem, jak przypuszczałem, byli dwaj malcy.

— Ależ oczywiście! Wejdźcie, proszę. Mamy owoce. Napij się wina?

Maliki pokręciła głową.

— A wy, panie?

Podziękowałem i powiedziałem, że chętnie wypiję kieliszek. Skóra i Jahlee pokiwali głowami, a Oreb zakrakał: — Ptak pije? — I wskoczył za nami do chaty.

— Mógłbym prosić odrobinę wody dla ptaka? Takiej, którą można bezpiecznie pić, jeśli łaska.

Bala zerknęła ciekawie na Oreba, opadła ciężko na kolana i przekrzywiła głowę, jakby sama była ptakiem.

— Jakiś ty duży! Obiecujesz, że nie podziobiesz Shauka i Karna?

— Dziobie owoc!

Bala spojrzała na mnie, coraz bardziej zaróżowiona.

— Lubi winogrona?

— Lubi! Winogrona lubi!

— Dobrze. Są tam, w misce. To wasz ptak, panie? Poczęstujecie go? Proszę, siadajcie. Wszyscy.

Wyszła pospiesznie z izby. Oreb, uciekając przed natrętnymi rączkami Shauka i Karna, podfrunął na oparcie fotela z polerowanego woskowanego drewna. Maliki usiadła na drugim, mniejszym krześle, zostawiając nam dwie spore ławy.

— Dwóch synów. Chcieliby mieć dziewczynkę, rzecz jasna, ale matka się nie skarży.

Patrząc na Shauka i Karna, wspominałem czasy, gdy Skóra i Racica byli mali.

— Nie są bliźniakami — zauważyłem.

— Nie. Shauk ma trzy lata, a Kam chyba dwa, jeśli dobrze pamiętam poród. — Maliki wycelowała palec w Jahlee. — Jak się nazywasz? Nie znam twojego imienia, a będę musiała przedstawić was Bali.

— Moje imię nie podoba się w tych stronach. — Jahlee spojrzała na mnie. — Mogę podać jej inne?

— Oczywiście. Powiedz: Judaszowiec.

— Nazywam się Judaszowiec, Maliki.

— Rozumiem. A przedtem jak się nazywałaś?

— Jahlee.

— Nadałeś swojej kobiecie nazwę kwiatu we wspólnej mowie — zauważyła Maliki. — U nas do imion i paru innych celów używamy mowy wysokiej. Na przykład Maliki nie jest moim prawdziwym imieniem. Choć ty pewnie tak myślałeś, co?

— Owszem.

— Ja jestem maliki, sędzia. Twój syn, Ściągno, choć nie wiem, czy naprawdę jest twoim synem, jest raisem, czyli generałem. A raczej byłby nim, gdybyśmy mieli tu ordę z prawdziwego zdarzenia. Ale dowodzi naszymi oddziałami w walce.

— Zawsze świetnie walczył. Szkoda, że nie ma go tu z nami.

— Szkoda. Oddałabym tę sprawę w jego ręce. Ale jest na polowaniu.

Bala, która weszła do izby z tacą z kieliszkami i karafką, zdziwiła się nieco, słysząc te słowa.

— Ściągno uwielbia polowania — powiedziałem. — I dobry z niego myśliwy. Na Jaszczurce regularnie zaopatrywał nas w mięso.

Bala postawiła tacę i odrzuciła kosmyk włosów klejących się do spoconego czoła.

— Znaliście go wtedy, panie? Czasem wspomina tamte czasy, ale mówi głównie o matce.

— Incanto jest jego ojcem — wyjaśniła Jahlee.

Bala wytrzeszczyła na mnie oczy.

— Dokładniej rzecz biorąc: jestem duchem jego ojca. Wszyscy troje jesteśmy tu duchami. Albo sennym marzeniem. Nie, wszyscy czworo. Oreb również.

Maliki pstryknęła palcami.

— Właśnie! Oreb! Nie dawało mi to spokoju. Nie poznajesz mnie, calde? Wiem, że wydałam ci się znajoma.

Pokręciłem głową.

— Nie mam prawa do tego tytułu.

— Nie? Nie szkodzi, i tak będę się tak do ciebie zwracać, bo tego drugiego miana nie pamiętam. — Uśmiechnęła się: kąciki jej ust uniosły się na grubość włosa. — No, kim jestem?

Znow pokręciłem głową.

— Wiem, postarzałam się. Ty też. Minęło prawie dwadzieścia pięć lat.

— Długi czas! — powiedział Oreb, chyba do Bali.

— Ojciec Ścięgna chyba zginął tutaj, prawda? — spytała Maliki.

— Tak sądzimy.

Skóra chrząknął znacząco.

— Mogę coś powiedzieć? Jestem bratem Ścięgna. Rodzonym bratem.

— Jeśli ptak calde może mówić, mów i ty — zgodziła się Maliki.

— Jestem zatem twoim szwagrem — stwierdził Skóra, wstając i podając Bali rękę. — A ty moją szwagierką. To zaś są moi bratankowie. — Roześmiał się. — Nigdy wcześniej nie byłem wujkiem.

Bala uścisnęła jego dłoń i uśmiechnęła się życzliwie.

— Tak naprawdę wcale nas tu nie ma. Jesteśmy na Błękicie. Ale chcieliśmy z ojcem zobaczyć, jak miewa się Ścięgno, więc przybyliśmy do was. A Jahlee zabrała się z nami, bo tu jej się bardziej podoba. Wzięliśmy też Oreba.

— Róg, Incanto, Jedwab czy jak on się tam naprawdę nazywa, jest ojcem twojego męża wobec bogini — wyjaśniła Bali Maliki. — Jego ojcem w obliczu Centralnego Procesora. Takie tam pitu-pitu. Właśnie przypomniałam sobie ten drugi tytuł: patere. Mam rację? — spojrzała na niego pytająco.

— Do niego również nie roszczę sobie praw, ale owszem, tak właśnie brzmi.

— W ich wysokiej mowie, prawie zapomnianej, to słowo oznaczające ojca. Patere. Tak jak „papa”.

Bala usiadła. Młodszy synek od razu spróbował wdrapać się jej na kolana, podniosła go więc i posadziła sobie na podołku.

— Szkoda, że go tu nie ma — stwierdziła.

— Szkoda — powtórzyła Maliki — chociaż niewiele by to zmieniło.

— Przepraszam za te zapachy. Ściągnę nie chciał, żebym tam sprzątała, ale zajmę się tym, jeśli sam tego nie zrobi zaraz po powrocie. Właściwie zajęłabym się tym od razu, gdybyś mi pomogła.

— Nie. — Maliki pokręciła głową. — Nie mam czasu. Niech mężczyźni robią, co do nich należy.

— Ja to zrobię — zaproponował Skóra. — Jeśli chcesz, możesz mi chyba pomóc. W czym rzecz?

— To nasi jeńcy. — Twarz Maliki, cały czas poważna, nagle przybrała okrutny wyraz. — Pojmaliśmy ich w ostatniej dużej bitwie, a teraz siedzą skuci w piwnicy. Sześciu, tak, Bala?

— Pięciu. Jeden umarł.

— Kobieta?

— Jeden z mężczyzn. Został postrzelony. — Bala przytknęła dłoń do boku. — Pod koniec Ściągnę wniósł go na górę. Był

bardzo osłabiony, ale na wszelki wypadek nie dopuszczałam do niego chłopców.

— Nie żyje, bo próbował nam spalić dom — oznajmił Shauk i z zapalem pokiwał głową.

— Biedny człowiek — mruknął Oreb.

— Rozumiem, że tutejsze wioski wojują ze sobą? — spytałem.
— Na Błękanie jest podobnie. Tylko zamiast wiosek mamy miasta.

— Gdzie wasz lądownik? — zapytała Maliki z udawaną obojętnością.

— Nie mamy lądownika. Chciałem cię zapytać, a teraz zapytam was obie, czy w pobliżu jakiegoś nie ma.

— Jest ten, który ojciec Ścięgna próbował naprawić — odparła Bala. — Ale już nie poleci.

— Wiem.

— Rozumiem, że potrzebujecie kogoś, kto posprząta po jeńcach? — wtrącił Skóra. — To stąd ten smród? Mógłbym się już wziąć do pracy.

— Dobry chłopiec! — pochwalił go Oreb i zamachał skrzydłami.

— Lepiej zostaw strzelbę — poradziła mu Maliki. — Daj ją mnie.

Skóra przeniósł wzrok na mnie.

— Zostawię ją ojcu.

— To moja wioska!

Wziąłem od Skóry strzelbę i podałem ją Maliki.

— To prawda. Wierzę, że oddasz broń Skórze, kiedy wykona męską robotę.

Skinęła głową i położyła sobie strzelbę na kolanach. Cały czas zerkała czujnie na chłopców.

— Zaprowadzę cię — zaproponowała Bala. — Tylko wezmę miecz.

— Przylecieliście lądownikiem — powiedziała Maliki, zwracając się do Jahlee i do mnie. — I to zapewne dzisiaj. Domyśliłam się tego, gdy tylko zobaczyłam włosy dziewczyny. Chcę wiedzieć, gdzie go zostawiliście.

— Powiedziałbym ci, gdybyśmy rzeczywiście przybyli tu na pokładzie lądownika. Masz rację, mówiąc, że dziś zjawiliśmy się na Zieleni, ale nie jesteśmy prawdziwi. Nie tak jak ty. Mój syn próbował wam to wyjaśnić.

Pokręciła głową.

— A myślałam, że chłopak nie łże.

— Słyszałem, jak próbował łąć. Kiepski z niego kłamca, tak jak i ze mnie. Jahlee jest w tej sztuce znacznie lepsza, co zresztą od razu wyczułaś.

— Złe coś! Bóg mówi!

Lodowaty uśmiech przemknął przez twarz Maliki.

— Twój ptak jej nie ufa.

— To prawda. Ja jej ufam, a on nie.

Jahlee wyszczerzyła zęby w uśmiechu. Stała oparta o chropowatą ścianę z bali — i była tak piękna, że mogłaby złamać tysiąc serc na raz.

— Podobałeś się nam, calde — stwierdziła Maliki. — Wszystkim. Generał Saba powtarzała, że jesteś najprzebieglejszym człowiekiem, jakiego zna. Że nie spotkała ani kobiety, ani mężczyzny, którzy mogliby się z tobą równać. Twoja dobroć była prawdziwym darem bogini, bo gdybyś był złym człowiekiem, nie chciałyby mieć w tobie wroga. No, dałam ci wskazówkę. Powinna pomóc.

— Odpowiedziałaś mi, że pochodzisz z Trivigaunte. Co z tego? Domyśliłem się tego, gdy tylko cię zobaczyłem, a potwierdzenie moich podejrzeń nic w tym wypadku nie znaczy. Co zaś się tyczy mojej domniemanej przebiegłości, to jestem jej całkowicie pozbawiony, co chyba sama już zauważyłaś. Wiesz o mnie równie mało, jak ja o tobie. Różnimy się tylko tym, że ja zdaję sobie sprawę ze swojej niewiedzy. Bierzesz mnie za calde Jedwabia. Pochlebiasz mi tym tak bardzo, że z trudem zaprzeczam, ale nie zmienia to faktu, że się mylisz.

— Jeżeli zostaniemy tu na noc, to obudzimy się rano? — zaciekała się Jahlee. — To znaczy czy obudzimy się tutaj?

— Nie wiem. Raczej nie.

— W takim razie ja się nie kładę. Będziecie musieli mnie ze Skórą pilnować, żebym nie zasnęła. A ja się postaram, żebyście i wy nie spali.

Jej spojrzenie było zarazem zmysłowe i kpiące.

Maliki prychnęła pogardliwie.

— Chciałbym dowiedzieć się czegoś więcej o waszej sytuacji — przyznałem. — Jeńcy Ścięgna napadli na wioskę, to oczywiste. Skąd przybyli?

— Ze starego miasta. — Maliki wskazała ręką kierunek. — Jest ich tam pełno.

— Nie sądzę. Inhumich, których pewni najemnicy wytępili na moją prośbę, było stosunkowo niewielu, choć i tak więcej, niż byśmy sobie życzyli. Teraz musi ich być jeszcze mniej. Czy jeńcy są lub byli ich niewolnikami?

— Tak. Nazywamy ich nieludźmi.

— Mężczyźni przy bramie przestraszyli się nas. Wzięli nas za nieludzi, prawda? Kazali mi pokazać nadgarstki. Czego szukali? Śladów kajdan?

— Tak. Zorientowałam się, że nie możecie być nie ludźmi, kiedy zobaczyłam dziewczynę. Tutaj żadna kobieta nie ma tak zadbanych włosów. Zwróciłeś uwagę, jak wyglądają włosy Bali?

— Są czyste i schludnie uczesane. Tak jak i twoje.

— Dziękuję. Ale gdybym je rozpuściła, nawet ty zauważyłbyś różnicę.

Jahlee schyliła głowę. Długie kasztanowe loki opadły jej na twarz.

— Dziwię się, że inhumi nie obcinają niewolnikom rąk — powiedziałem.

— Ja też — dodała Jahlee. Wyprostowała się i odgarnęła włosy do tyłu.

— Na pewno jakoś się zabezpieczają — zauważyła Maliki.

— Na pewno. Jahlee, już tu kiedyś byłaś. Mogę tak powiedzieć?

— Właśnie powiedziałeś.

— Istotnie, powiedziałem. Czy słusznie podejrzewam, że za twoich czasów takie praktyki nie miały miejsca? Mam na myśli uzbrajanie niewolników.

— Słusznie. Było tu wtedy znacznie mniej ludzi.

— Kiedy to było?

— Nie wiem.

— Kilka lat temu?

— Byłam małą dziewczynką, kiedy wsadzili mnie do ładownika — wyjaśniła Jahlee, zwracając się do Maliki.

— Szczęściara z ciebie.

— No nie wiem. Gdybym mogła, zostałabym tutaj.

— Ale jesteś tylko snem, słyszałam. Mam nadzieję, że jakoś przeżyjesz bez mojego współczucia.

— Rajan i Cuoio nie mają racji. — Jahlee pochyliła się nad Maliki. Nie widziałem jeszcze, żeby mówiła tak szczerze i z takim zaangażowaniem. — Jesteśmy prawdziwi. Mówią tak, jakbyśmy cały czas byli na Błękicie, ale tam zostało tylko to coś, co można pogrzebać w ziemi. My jesteśmy tutaj.

— Wierzę w twoje ostatnie słowa, dziewczyno.

Zastanawiałem się nad sytuacją wioski, poglądami Maliki i rolą mojego syna w tym wszystkim.

— Czy większość mieszkańców wioski pochodzi z Trivigaunte? — zapytałem. — Pewnie tak, skoro nadajecie sobie imiona i tytuły z tamtejszej starej mowy. „Shauk” i „Karn” brzmią dla mnie obco; nie kojarzę takich imion z Vironu. Tak samo „Bala”.

— Mniej więcej dwie trzecie z nas stamtąd przyleciało — przytaknęła Maliki. — A reszta z różnych stron. Twój syn na przykład z Vironu.

— Nigdy tam nie był. Urodził się już na Błękicie, ale rozumiem, co masz na myśli: wychował się w virońskiej kulturze.

— No właśnie. Kiedy pierwszy raz udawałam się do Vironu, wiedziałam, że wyda mi się zupełnie obcy, ale i tak byłam zaskoczona, że wrażenie jest aż tak silne. O wielu rzeczach, które dla mnie były oczywiste, nikt tam nigdy nie słyszał. Teraz ściętno wydaje mi się znajomy. Oczywiście poza tym jest moim przyjacielem. Spędziłam kiedyś parę miesięcy w Vironie, poznałam trochę waszych ludzi. Inni cudzoziemcy w Qaryi pochodzą z miast, o których w domu nawet nie słyszałam.

— Whorl długiego słońca musi być naprawdę ogromny — westchnęła Jahlee. — Myślisz, że to dla nas za daleko, rajanie?

— Z pewnością nie tak daleko jak miasto, które odwiedziliśmy w towarzystwie diuka — odparłem i znów zwróciłem się do Maliki. — Chcę cię zapytać o wasz lądownik i o ludzi, z którymi przyleciałaś z Trivigaunte, ale najpierw powiem ci, że patere Kwezal pochodził stąd, z tego whorla. Teraz o tym wiem. Pamiętasz patere Kwezala? Był naszym prolokutorem.

— Ach tak, rzeczywiście.

— Przez wiele lat zastanawiałem się, jak zdołał się dostać do whorla długiego słońca. Powiedziano nam, że żaden lądownik nie odleciał, dopóki nie dotarliśmy do Centralnego Procesora. Byłaś z nami na statku, kiedy tam poleciliśmy?

Maliki z uśmiechem pokręciła głową.

— W takim razie jedna z podejrzanych odpada. Myślałem, że mogłabyś być tą porucznik, która pilnowała nas, gdy byliśmy jeńcami.

Nie przestawała się uśmiechać.

— Jestem starsza niż myślisz, calde.

— Dość stara i mądra, by powiedzieć mi, jak patere Kwezal dostał się z Zieleni do whorla długiego słońca?

Odeła wargi.

— Zanim ktokolwiek przyleciał tutaj, tak? Twierdzisz, że był inhumim.

— Tak.

— To sporo wyjaśnia. Ale wtedy bym na to nie wpadła. Nigdy wcześniej nie słyszałam o inhumich.

— Ja też nie, ale podejrzewam, że byli jednym ze źródeł naszych podań o diabłach. A jeśli mam rację, to patere Kwezal nie przybył sam.

— Inhumi potrafią pokonać przestrzeń dzielącą Zielen od Błękitu. Wiedziałaś o tym, calde?

— Mhm.

— W ten sam sposób mogli się dostać do whorla długiego słońca.

— Za daleko — wtrąciła Jahlee.

— Mieszkałaś tu w dzieciństwie, więc wydaje ci się, że jesteś ekspertem, co?

— Nie jestem, ale swoje wiem. Pytałeś mnie o to samo w Gao — nie, rajanie. Powiedziałam ci wtedy, że nie wiem, jak tego dokonał.

— Pamiętam.

— Naprawdę nie wiem, ale jestem pewna, że to dla inhumich za daleko. Nie mógł przylecieć do whorla w taki sam sposób, w jaki inhumi latają na Błękit i z powrotem. Nie wytrzymałoby tak długo bez powietrza. Czy jesteście pewni, że żaden lądownik nie odleciał przed waszym przybyciem?

— Wprost przeciwnie. To błędna informacja, chociaż sędzę, że podano nam ją w dobrej wierze.

— No to masz odpowiedź. Po co nas o to wypytywać? Lądownicy odlatują pełne i wracają puste, jeśli im się na to pozwoli.

Uśmiech Maliki był przesycony goryczą.

— Na tym właśnie polegał mój błąd, calde.

— Nazywaj mnie Rogiem, bardzo cię proszę.

Udała, że nie słyszy.

— Wiedzieliśmy o tym. Mężczyźni na pokładzie nie mieli o tym pojęcia, ale nasza bogini powiedziała o tym rani. Poszłam z nimi. Myślałyśmy z generalissimus, że za rok albo dwa uda nam się wrócić i zameldować, co tu widziałyśmy. Można by

powiedzieć, że byłam jej szpiegiem. Od tego czasu robiłam dla tej kolonii wszystko, co w mojej mocy, a powód mojego przybycia przestał być tajemnicą.

— Chyba zaczynam rozumieć. Powiedziałaś, że Ścięgno jest waszym generałem. Raisem. W Trivigaunte nikt by się nie zgodził na to, by generał był mężczyzną. Nawiasem mówiąc, czy Bala też się tam urodziła?

— Nie. Widziałeś, jakie ma jasne włosy? Jej ojciec pochodził z Trivigaunte, ale jej matkę poznał dopiero tutaj.

— Rozumiem.

— To, co za chwilę powiem, może ci się wydać przechwałką. A ja nie lubię wychodzić na zarozumialca. — Ani w głosie, ani w wyrazie twarzy Maliki nie było choćby cienia wesołości. — W okolicy osiadło sporo lądowników, ale koloniści, którzy schodzą z ich pokładów, nie radzą sobie nawet w połowie tak dobrze jak my. Mężczyźni walczą z inhumimi i giną, a kobiety uciekają. Potem też zwykle giną, w dżungli. Nieliczne docierają do innych kolonii — tak właśnie było z matką Bali. Wtedy przygarnialiśmy wszystkie kobiety bez wyjątku.

— Wasz lądownik nie mógł wrócić na górę?

— Mógł i wrócił, ale beze mnie. Powinnałam być wystawić przy nim straż, ale uznałam, że nie ma takiej potrzeby. Zresztą i tak nie miałam ludzi na zbyciu.

— Mam pewien pomysł — odezwała się nieoczekiwanie Jahlee. — Powiecie pewnie, że jest głupi...

Bala weszła jej w słowo:

— Twój syn wszystkim się zajął, Rogu — powiedziała. — On naprawdę jest bratem Ścięgna. Zorientowałam się od razu, jak tylko zaczął pracować i z nimi rozmawiać. Jest niesamowity, tak jak mój mąż.

Skóra, który wszedł za nią do izby, zarumienił się i utkwiał wzrok w czubkach swoich butów.

Podziękowałem jej, a Jahlee dodała:

— Ma to po tobie. Powinieneś wziąć z niego przykład: porozmawiaj z nimi. Chcesz się dowiedzieć, jak ktoś mógł się stąd dostać do whorla długiego słońca? Mogą coś o tym wiedzieć. To był właśnie mój pomysł, rajanie.

— Całkiem niezły. Mogę zejść do piwnicy i porozmawiać z jeńcami, Balu?

— Muszę zejść z tobą — oświadczyła Maliki. — Ściągną nie ma, więc muszę go zastąpić. Bala też powinna iść z nami.

— Ja też pójdę — wtrąciła Jahlee. — To był mój pomysł.

Skóra zakaszłał, zerknął na Balę i mruknął: — To nie jest miłe miejsce, ojciec. To znaczy, zrobiliśmy co się dało: opróżniliśmy im wiadra, umyliśmy je, ale...

— Rozumiem. W Blanko kazałem przykuć paru ludzi do ściany w suchym kanale pod ziemią. Teraz pewnie są już wolni.

— Ale faktycznie jest tam ktoś, z kim powinieneś zamienić dwa słowa.

— Ich dowódca? — zapytałem.

— Ten wysoki? — zawtórowała mi Bala.

— Kobieta.

— Ach tak... — uśmiechnęła się Maliki.

— Byłoby chyba lepiej, gdybyśmy zamiast schodzić na dół, przyprowadzili ją tutaj. Jest bardzo osłabiona, ledwie się rusza, kroku nie robi o własnych siłach. A nas jest pięcioro.

— Z pewnością masz rację. Będzie bardziej skora do rozmowy, kiedy inni nie będą jej słyszeć. Czy takie rozwiązanie byłoby... nie powiem: dobre, ale... do przyjęcia? Balu? — Upiłem łyk wina, które nie należało do najsmaczniejszych.

— Jeśli Maliki nie będzie miała nic przeciwko temu...
— Ona... — zaczął Skóra.
— Jaka ona? Ta uwięziona? Co chciałeś powiedzieć?
— Moglibyśmy porozmawiać na osobności, ojcze? W cztery
oczy? — Spojrzał znacząco na Maliki i Jahlee.
— Rozpoznałeś ją? Kto to jest?
Skóra pokręcił głową.
— Biedny chłopiec! — zakrakał Oreb.
— W takim razie to ona cię rozpoznała. Albo powiedziała coś,
czego nie chcesz przy wszystkich powtarzać. Mimo że Bala już
to słyszała.
Niechętnie skinął głową.
— Mów, Balu — rozkazała Maliki. — To na pewno jakaś
bzdura, ale może być niebezpieczna.
— To nie było nic wielkiego — odparła zakłopotana Bala. —
Zdejmował jej bandaż z nogi, kiedy powiedziała, że kogoś jej
przypomina.
— To wszystko? — warknęła Maliki.
Bala pokiwała głową.
— Róg, ojcze — mruknął Skóra. — Powiedziała, że
przypominam Roga.
— I to już naprawdę wszystko?
— Nie mówi! — zasugerował mu Oreb.
— Tak. Tej końcówki Bala nie słyszała, bo nie zwracała na
nas uwagi.
— To ty jesteś Róg. — Maliki oskarżycielskim gestem
wycelowała we mnie palec. — Tak powiedziałeś.
— Bo to prawda.
— Twój syn wcale cię nie przypomina.

— Tutaj i tak jest do mnie bardziej podobny niż tam, w obozie — zauważył Skóra.

— Nie mówi!

Maliki spiorunowała Oreba wzrokiem i zwróciła się do Skóry.

— Wygląda różnie w różnych miejscach? Czy to właśnie miałeś na myśli, młody człowieku?

Skóra zarumienił się i wskazał Jahlee.

— Ona też! Zapytaj ją.

— Powariowaliście. — Maliki wstała z krzesła. — Wszyscy powariowaliście, jak Nadar.

— Wobec tego nie ma sensu nas słuchać — zauważyłem. — Dlatego proponuję posłuchać, co ma do powiedzenia kobieta, którą uwięziliście. Przynajmniej jest przy zdrowych zmysłach.

— Sądząc po tym, jak walczyła, to raczej nie — odparła z satysfakcją Maliki. — Jeden z mężczyzn poddał się i namówił ją do kapitulacji, kiedy zostali okrażeni przez pięćdziesięciu ludzi Ściąga.

Chciałem powiedzieć, że tym bardziej tak dzielnej kobiecie należy się posłuchanie, ale Maliki nie dała mi dojść do słowa.

— Twierdzisz, że zmieniasz postać — powiedziała. — Jak we śnie. Czy nadal utrzymujesz, że jesteście tylko snem?

— Gdzie jest strzelba mojego syna? Zabrałaś mu ją, moim zdaniem całkiem rozsądnie, kiedy schodził do jeńców.

Maliki rozejrzała się zmieszana po izbie.

— Położyłaś ją na kolanach i przytrzymałaś oburącz. Nie chciałaś, żeby wpadła w ręce moich wnuków. Co się z nią stało?

— Strzelba znika! — oznajmił Oreb.

Odwróciłem się do Skóry i Bali.

— Przyprowadźcie tę kobietę, proszę. Chcę ją zobaczyć. To może być bardzo ważne.

Bóg Błękitu

Jahlee nie było dwa dni. Dziś wieczorem wróciła i usiadła przy ognisku. Tak bardzo przypominała człowieka, że cały czas musiałem świadomie sobie powtarzać, że nim nie jest.

— Nie zapytasz, czego chcę? — zdziwiła się.

— Nie. Wiem, czego chcesz, i nie mogę ci tego dać.

— Możesz. Na pewien czas.

— Ale ty nie chcesz tego na pewien czas, tylko na stałe. Nie mogę zaspokoić twoich pragnień.

— Tak jak ja twoich, calde.

— Prosiłem cię, żebyś mnie tak nie nazywała.

— W porządku.

— Co się zaś tyczy moich zachcianek, to chciałbym wrócić do domu. Więcej pragnień nie mam, a to jedno staram się właśnie zrealizować. Chcę zebrać Szpika i resztę tych, którzy mnie wysłali, przyznać im się, że zawiodłem, opowiedzieć, jak do tego doszło, i dać im tę książkę do przeczytania. Rzeczywiście, nie możesz mi w tym pomóc, ale prawdą jest także, że nie potrzebuję twojej pomocy. A właściwie: nie potrzebujemy twojej pomocy. Proszę cię tylko, byś nam nie przeszkadzała. Mamy srebro, kilka kart, konie, możemy...

— Nie mogę jeździć konno.

— Nie możesz, ale i nie musisz.

— Chciałabym jechać z wami na koniu, tak jak na Zieleni, kiedy pojechaliśmy obejrzyć lądownik. Choć wiem, że byłam kiepskim jeźdźcem.

— Ze mnie też marny kawalerzysta, chociaż ostatnio spędzam w siodle sporo czasu. I tak poszło ci lepiej, niż się spodziewałem.

— Twój syn, ten starszy, twierdził, że nie możemy być duchami. — Zachichotała. — Bo jego konie się nas nie bały. Myślał, że to dobry żart, pamiętasz? A ja powiedziałam, że mnie nie muszą się obawiać. Polubił mnie, naprawdę mnie polubił. Podobałam mu się bardziej niż ta grubaska Bala.

Nic nie powiedziałem.

— Więc gdybym do was dołączyła, tak jak tam, mógłbyś mówić, że jestem twoją synową. Szwagierką Skóry.

— Nie mógłbym. I nie mówiłbym tak.

Jahlee puściła moje słowa mimo uszu.

— Stać mnie na konia. Dla nas, a przynajmniej dla mnie zdobycie pieniędzy nie stanowi problemu. Mówię o prawdziwych kartach. Lubimy karty, bo są lekkie.

— Ale z powodu ich braku lądownicy nie mogą wrócić do whorla długiego słońca, a to oznacza, że macie mniej zwierzyny. Uśmiechnęła się, rozciągając usta w wąską kreskę.

— Was i tak jest mnóstwo. Dla mnie aż za dużo.

Otworzyłem piórnik i zacząłem ostrzyć pióro, którym piszę.

— Twój własny gatunek nic cię nie obchodzi.

— To wy jesteście moim gatunkiem. Dobrze o tym wiesz, więc czemu nie powiesz tego wprost? W środku jestem taka sama jak

wy. Wszyscy inhum, którzy walczyli w twoich szeregach w Gao — nie, byli podobni.

— A co z tymi, którzy unicestwili Zaginiony Lud, Jahlee? Oni też byli ludźmi?

— Pomarli, zanim się urodziłam.

Dłuższą chwilę siedzieliśmy z milczeniem, wsłuchani w szmer wiatru w gałęziach i w spokojny oddech Skóry. Od czasu do czasu bełkotał coś niezrozumiale przez sen. Może Jahlee rozróżniała słowa albo z tonu jego głosu domyślała się ich treści, ale dla mnie pozostały tajemnicą.

— Gdzie Oreb? — zapytała w końcu.

— Pewnie gdzieś w pobliżu. Ostrzegł mnie, że się zbliżasz, i od — frunął.

— Nie lubi mnie.

Nie odpowiedziałem — a jeśli nawet, to tylko wymamrotałem coś niezobowiązująco pod nosem.

— A ty?

Nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

— Tak — odparłem po namyśle. — Wolałbym, żeby cię tu nie było, ale muszę przyznać, że cię lubię.

— Piję krew. Najczęściej ludzką.

— Wiem o tym. Krait też pił krew.

— Ale nie zabijamy naszych ofiar. W każdym razie niezbyt często.

— To prawda.

— Kiedy spływałaś rzeką z tą dziewczyną z Hanu, groziliśmy, że cię zabijemy, bo nie pozostawiasz nam wyboru. Taką podjęliśmy decyzję, ale tak naprawdę żadne z nas tego nie chciało. Serio. Wahaliśmy się, bo każdy czekał, aż ktoś inny załatwi to za niego.

— Byłaś jedną z nich? Tak, już sobie przypominam. Było was całe mnóstwo. Prawie wszyscy.

— Ale lubisz mnie, więc najpierw pomyślałeś, że nie należałam do tej grupy. Miałeś taką nadzieję.

— Tym bardziej że nie próbowałaś mnie zabić, kiedy się znów spotkaliśmy.

Zamyśliła się.

— Liczyłam na to, że zginiesz na wojnie. Nie musiałabym cię wtedy zabijać. Rajanie...

— Tak?

— Ta kobieta... Wysoka, skuta. Zapomniałam, jak się nazywała.

— Acalypha.

— Właśnie, Acalypha. Oni... To znaczy my, inhumi, chcieliśmy zabić jej dzieci. Mówiła, że od lat próbowali dochować się dzieci, ona i jeden z tych uwięzionych.

— Alka.

— Ale im nie wychodziło, więc przygarniali dzieci, których rodzice zginęli. Mieli ich pięcioro, tak mówiła. To chyba bardzo dużo.

— Na Zieleni jest na pewno znacznie więcej sierot.

— Myślisz, że to zrobimy? My, inhumi? Ze zabijemy te dzieci? Mieli zaatakować wioskę twojego syna. Próbowali, ale im się nie udało.

— Wioskę Abanji. Tak brzmi prawdziwe imię Maliki. Przypomniałem je sobie, kiedy cofnąłem się pamięcią do dawnych dni, do Vironu. Pułkownik Abanja. Qarya jest jej wioską, nie Ściąгна. Pewnie nigdy nie stanie się jego wioską.

— W tym punkcie się z tobą nie zgodzę, rajanie.

— Nie kłóćmy się.

Tym razem to ja przerwałem przedłużające się milczenie: — Nie możesz spróbować, Jahlee, prawda?

— Nie. Nie tutaj. — Czekala, aż coś powiem, ale milczałem. — Chcesz, żebym odeszła, rajanie? To znaczy, ja i tak pojedę z wami, bez względu na to, co powiesz, ale jeśli chcesz, żebym na razie zniknęła, zrobię to.

— Tak. Odejdź, proszę.

Wstała, pokiwała głową i odgarnęła kosmyki kasztanowej peruki.

— Wiesz, dokąd chciałabym się udać, prawda? Gdzie najbardziej chciałabym się znaleźć?

— Wiem.

— Nie dostanę się tam bez ciebie. A ty dokąd byś się wybrał, rajanie? Dokąd, gdybyś mógł swobodnie wybierać?

Jej ramiona zaczęły się wydłużać i rozplaszczać, podobnie jak dłonie, którymi mogłaby już dotknąć kostek u nóg.

— Nie jestem pewien...

— Do Nowego Vironu, żeby być z matką Skóry? Tam przecież zmierzasz.

— Gdybym mógł swobodnie wybierać, tak? Nawet jeśli to absolutnie niemożliwe?

— Tak.

— Chciałbym znów znaleźć się z Algą na słupie.

Nie zdawałem sobie z tego sprawy, dopóki te słowa nie padły z moich ust.

— To ta dziewczyna z Hanu?

Pokręciłem głową. Jahlee posłała mi swój wąski uśmiech, rozpostarła skrzydła i odleciała.

— Złe coś! — stwierdził siedzący na gałęzi nad moją głową Oreb. — Złe coś!

*

Dziś rano Skóra zapytał mnie, czy Jahlee wróciła w nocy.

— Złe coś — zapewnił go Oreb.

— Była tu, ojczy? Wróciła, kiedy spałem?

Zdziwiłem się. Zapytałem, skąd ten pomysł.

— Śniło mi się, że znów jestem na Zieleni. Wiem, że naprawdę wcale się tam nie przeniosłem, to był zwykły sen, ale pomyślałem, że mogła siedzieć przy ognisku i rozmawiać z tobą i że to jej obecność tak na mnie wpłynęła. Nie wiem, jak to robicie, że przenosicie nas na inne whorle, ale to mogło być coś podobnego... Ojczy?

— Słucham?

— Chodzi mi o Ściągno, Bałę i tych wszystkich ludzi na Zieleni. Czy inhumie wytępią ich, tak jak wytępiłi Zaginionych?

— Nie.

— Jesteś pewien?

— Tak bardzo, jak tylko mogę być, nie znając odpowiedzi. Bo z pewnością zdajesz sobie sprawę, że jej nie znam. Pytałeś mnie tylko o opinię, a moja opinia jest taka, że tego nie zrobią.

Następne pytanie Skóry zupełnie mnie zaskoczyło. Nadal zresztą uważam je za niezwykle.

— Dzięki nam?

— Oczywiście, że nie. Naprawdę myślisz, że moglibyśmy ocalić cały whorl, synu? We dwóch?

— Nie we dwóch. Jest jeszcze Ściągno, Bala, ich dzieci, Maliki i całe mnóstwo innych.

— No tak, to zupełnie zmienia postać rzeczy. W takim wypadku odpowiedź brzmi: tak. Zielen zostanie ocalona dzięki

temu, co zrobiliśmy i co zrobimy. Błękit też. Zaginiony Lud już o tym wie, a i ja powinienem był się domyślić, kiedy poprosili mnie o pozwolenie na odwiedziny. Gdyby inhumini mieli zniewolić ludzi na Błękanie, Zaginiony Lud nie chciałby tu wracać; gdyby zaś mieli nas wymordować, moje pozwolenie nie byłoby nikomu potrzebne.

Skóra pokiwał głową, choć w tej chwili słuchał chyba głównie własnych myśli.

— Nudzą was moje i matki opowieści o whorlu, z którego przybyliśmy, whorlu długiego słońca. Dlatego nie będę się nad nim rozwodził. Kiedy znaleźliśmy się na pokładzie lądownika, myślałem — wszyscy myśleliśmy — że Pah popełnił straszliwy błąd, że Zielen to śmiertelna pułapka, gdzie czyhają krwiożerczy inhumini.

— Bo tak jest.

— Wcale nie. Owszem, są tam całe chmary inhumich, ale nie takie, żebyśmy nie mogli sobie dać z nimi rady. Polują na kolonistów na Zieleni, tak jak na nas tutaj.

— Zgadza się.

— Podczas takich ataków giną. Nie zawsze, ale dość często udaje się ich zastrzelić. Ściągnę i inni koloniści dają im w kość. Nie mają nic do stracenia, bo sami ryzykują życie. Kiedyś na Zieleni oczyściłem duży miejski ściek zatkany ludzkimi ciałami. Musiały ich być tysiące.

— Co za makabra...

— W rzeczy samej. Ale to wszystko byli niewolnicy albo potencjalni niewolnicy, którzy zamiast walczyć w obronie swych panów, umarli, kiedy ci wyssali z nich całą krew. Kiedy Ściągnę wygrywa, staje się coraz silniejszy; inhumini, kiedy zwyciężają, słabną.

Dzisiaj Skóra przedstawił ten argument Jahlee, chociaż ubrał go w inne słowa i przedstawił bardziej rozwlekłe niż ja na tych kartkach.

— Wygramy — stwierdziła stanowczo. — Już wygrywamy. I to na obu whorlach.

— Dlaczego?

— Dlatego że wy znacznie częściej walczyacie między sobą niż przeciwko nam. Pamiętasz, jakie pytanie zadałam twojemu ojcu przed bramą Qaryi?

— Nie.

— Zapytałam, po co komu fosa i palisada, skoro inhumie potrafią latać. Nie odpowiedział, choć znał odpowiedź. A ty? Spróbujesz zgadnąć?

— Chyba nie.

— Sprzedajecie nam swoich rodaków w zamian za broń i bogactwa — wyjaśniła Jahlee na wpół przeproszającym tonem. — Im więcej was jest, tym okrutniejsi i bardziej gwałtowni się stajecie. A wasze okrucieństwo i gwałtowność dodają nam sił.

Skóra spojrział na nią pytająco.

— Zapytaj człowieka, którego nazywasz ojcem. On ci to wyjaśni.

— Do tej pory nie wyjaśnił — odparłem. — I teraz też tego nie zrobi.

Jahlee mówiła dalej, jakbym w ogóle się nie odezwał: — Walczyłeś w wojnie Soldo z Blanko. Jak ci się wydaje, kto ją wygrał?

— Blanko.

— Nie. My.

Kiedy Skóra położył się spać, a Jahlee odleciała, wrócił Oreb.

— Dobrze coś. Coś idzie.

— Masz na myśli Sąsiadów?

Mimo że w Gaonie dostałem od nich kielich, a u Inclito często wyczuwałem ich obecność, nie rozmawiałem z nimi odkąd przenieśli mnie do whorla długiego słońca.

Oreb z zapalem pokiwał łebkiem. W blasku ogniska oczy świeciły mu jak dwa węgielki.

— Idzie szybko!

— Już przyszedł — powiedział Sąsiad. Nie widziałem jego twarzy, ale jego głos się uśmiechał.

Dołączył do niego drugi i obaj usiedli przy naszym ognisku, kiedy wskazałem im miejsce.

— Wiem, że nie jecie naszej stawy ani nie pijecie naszego wina. Przykro mi, że nic dla was nie mam.

— Mądrość — odparł pierwszy.

— Rozmowa — dodał drugi.

— Prędzej pustosłowie i bezmyślność, obawiam się. Czy inhumani naprawdę nas przepędzą, tak jak was przepędzili?

Pierwszy pokręcił głową.

— Nie możecie udać się tam, gdzie my.

— Pytasz, czy wygnają was na wasz statek? — zapytał drugi.

Zapomniałem znaczenie tego słowa, więc powtórzyłem je pytająco.

— Do waszego gwiazdowego wędrowca, pustej asteroidy, którą nazywacie whorlem długiego słońca.

— To nie wchodzi w grę — powiedziałem. — Zostało niewiele sprawnych lądowników, a ludzi z każdym dniem przybywa.

— W takim razie nie mogą was przepędzić, tak jak nas przepędzili — odparł pierwszy.

— Nie idzie! — zawtórował mu Oreb.

— Musimy więc zostać i walczyć. Czy to właśnie przyszłście mi powiedzieć?

— Nie mamy ci nic do powiedzenia. Z naszymi inhumimi walczyliśmy przed tysiącem lat. Znasz wynik tej walki. Dlaczego miałbyś nas słuchać?

— Dobre coś! — nalegał Oreb. — Coś mówi.

— Ponieważ jesteście mądrzy i pokazaliście mi, że jesteście naszymi przyjaciółmi — wyjaśniłem. — Gdybym mógł zadać wam jedno pytanie...

— Nie odpowiemy.

— ... zapytałbym, jakiemu bogu oddawaliście cześć na ołtarzu, który Oreb znalazł wśród wzgórz pomiędzy Blanko i Soldo.

— Nieznanemu bogu — odparł drugi z Sąsiadów, ale tym razem to w jego głosie zagościł uśmiech.

— Próbowałem sobie przypomnieć wszystkich naszych bogów z whorla długiego słońca: Echidnę, Tartarosa, Quadrifonsa i całą resztę. Od roku albo i dłużej w ogóle o nich nie myślałem.

— Niewiele o nich wiemy — przyznał pierwszy Sąsiad. — Znacznie mniej niż ty.

— Rozmawialiśmy o Pahu... My, to znaczy ja, Skóra i Jahlee. Ja ze Skórą twierdziłem, że Pah dobrze zrobił, kierując „Whorl” w stronę tego krótkiego słońca. Jahlee jest natomiast przekonana, że się pomylił.

— Nie zgadzasz się z nią? — zapytał drugi.

— Nie zgadzam, ale mogę się mylić. Dawno doszedłem do wniosku, że Pahowi zdarzają się błędy. Wydało mi się oczywiste, że we „Whorlu” powinno być znaleźć się miejsce nie

tylko dla żołnierzy płci męskiej, takich jak Pięściak, ale także dla kobiet-chemów.

— Dobry człowiek! — stwierdził stanowczo Oreb.

— Istotnie, na swój sposób był dobrym człowiekiem. Jak chyba wszyscy żołnierze.

— Jeżeli nie chcesz nam opowiedzieć o bogach, których czciliście na pokładzie statku, nie musisz tego robić — powiedział drugi Sąsiad.

— Wielu ich było. I często się kłócili. Więcej nie musicie wiedzieć. Echidna próbowała zabić Paha, za co sama została zabita. Miasto Trivigaunte, którego patronką była Sphigx, próbowało podporządkować sobie Viron, miasto Scylli. I moje.

Sąsiad skinął głową.

— Rozważyłem zasugerowaną przez Jahlee możliwość pomyłki Paha i doszedłem do wniosku, że na pewno się pomylił, wpuszczając do „Whorla” innych bogów. Ten błąd mógł go kosztować życie.

— W takim razie mógł się również pomylić, wysyłając wasz statek właśnie tutaj — zauważył pierwszy z Sąsiadów.

— Istotnie. Ale jeśli co do jego omyłki można mieć wątpliwości, to nasz błąd jest oczywisty: przyjęliśmy Echidnę, Scyllę i pozostałych, a wyrzuciliśmy z paciorków Zewnętrzznego.

— W tym miejscu odchrząknąłem. — Wydaje mi się, że odrzuciliśmy go, ponieważ wydawało nam się, że nie jest spokrewniony z Pahem. Znaliśmy imiona siedmiorga dzieci Paha i Zewnętrzznego wśród nich nie było. Nie przyszło nam natomiast do głowy, że mógłby być jego ojcem. Ba, nie wpadliśmy na to, że Pah w ogóle miał ojca.

— Pah jest waszym bogiem — stwierdził pierwszy Sąsiad. — Nie naszym.

— Zgadza się. Jakich wy mieliście bogów? Oto jest pytanie.

— Pytanie, na które dla twojego dobra nie udzielimy ci odpowiedzi.

— Nie rozumiem, jak wiedza o waszych bogach mogłaby mi zaszkodzić. Chyba że uważacie, że lepiej będzie, jak sam do tego dojdę.

Wstali od ogniska.

— Ściągnę, mój syn, znalazł w lesie ołtarz poświęcony nieznanemu bogu. Potem doszedłem do wniosku, że matka Algi musiała być waszą boginią morza.

Zaczęli się oddalać.

— Żegnaj, przyjacielu!

— Słyszeliście o Aldze i jej matce? Opowiadałem o nich niektórym z was.

Rozmyli się w ciemnościach, zanim przebrzmiały moje słowa, ale usłyszałem jeszcze odpowiedź: — Kiedyś nią była.

— Bóg mokry? Bóg mokry? — zawodził melancholijnie Oreb. Czy miał na myśli Matkę? Czy Scyllę, która nawiedza mnie w snach? Pytałem go o to, ale albo nie odpowiada w ogóle, albo zaczyna sam sobie zaprzeczać. Może chodziło mu o nie obie.

*

Minął prawie tydzień, odkąd dokonałem ostatnich zapisków. Przez cały ten czas padał deszcz albo śnieg. Znaleźliśmy ze Skórą jaskinię w ścianie urwiska i spędziliśmy w niej beczynn timerstwo czasu, rozmawiając i grając kamieniami w warcaby. Nie pisałem, bo została mi tylko jedna kartka papieru.

Dzisiaj rano przestał sypać śnieg i wyszło słońce. Ruszyliśmy w drogę z mocnym postanowieniem kupienia ziarna dla koni,

które są chude i wygłodniałe. Dzień był pogodny, lecz bardzo zimny. Gałęzie drzew pokryły się szklistym, twardym lodem, który do tej pory nie stopniał.

Późnym przedpołudniem wyprzedziliśmy na drodze kobietę okutaną w futra, jadącą po damsku na płochliwym białym mule. Twarz ukryła głęboko w kapturze obszytym białym futrem, ale dla mnie — dla Skóry pewnie też — i tak wyglądała iście po królewsku. Zapytała, czy może się do nas przyłączyć, ponieważ dalej na trakcie grasują bandyci. Zgodziliśmy się, rzecz jasna.

Przed wieczorem zajechaliśmy do tej gospody. Właściciel wybiegł na drogę, żeby z nami porozmawiać. Twierdził, że przez następnych trzydzieści mil nigdzie nie znajdziemy noclegu, a u niego nawet kolacja jest już gotowa.

— Na waszym miejscu, pani, nie jechałbym dalej. Pomyślicie, że zależy mi na waszych pieniądzach. Pewnie, że tak, ale dobrze wam radzę, zostańcie. Jedzenia mamy w bród, znajdą się też pokoje dla was, pani, i dla służby.

Kobieta roześmiała się, słysząc te słowa.

— To nie są moi słudzy. Wszystko, co mam, należy także do nich, jeśli tylko wyrażą takie życzenie.

Poznałem ten śmiech. Kiedy przedstawiałem ją żonie karczmarza, nazwałem ją moją córką, Jahlee.

KONIEC TOMU II

KOLEJNY TOM
POWRÓT DO WHORLA